



AUTORKA *Koleżniczki*

*Dziś i jutro
Estery*

JEAN SASSON

Sasson Jean

Dziecko Estery

Ester i Joseph Gale przyrzekli sobie, że przeżyją piekło holocaustu i odnajdą córeczkę odebraną im przez oficera SS Kleista. Przetrwali, ale nigdy nie udało im się ustalić losów dziecka. W 1948 r. wyjeżdżają do Jerozolimy. W tym samym czasie palestyńska rodzina Antounów zostaje wysiedlona przez Żydów z Hajfy i trafia do obozu uchodźców w Libanie. Po latach los styka ze sobą troje młodych ludzi, przedstawicieli następnego pokolenia. Michael, oficer armii izraelskiej, nienawidzi Arabów, bo próbują odebrać Żydom rodzinną ziemię. Demetrius Antoun, lekarz, nienawidzi Żydów, bo zamordowali jego rodzinę. Christine Kleist, niemiecka pielęgniarzka, próbuje odkupić winy ojca nazisty, pracując jako wolontariuszka. W ogniu konfliktów i krzyżujących się uczuć wychodzą na jaw skrywane od lat tajemnice rodzinne.

Nota od Wydawcy i Autorki

Dziecko Estery to powieść historyczna.

Przedstawione w niej fakty są faktami historycznymi, natomiast nazwiska, postacie i wydarzenia rozgrywające się między nimi są dziełem wyobraźni autorki, z wyjątkiem postaci publicznych. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących bądź nieżyjących, oraz większości rzeczywistych wydarzeń lub instytucji jest czysto przypadkowe.

Nasz adres internetowy: www.windsor-brooke.com

Prolog

29 listopada 1947 roku przyszłość miliona trzystu tysięcy Arabów i siedmiuset tysięcy Żydów zamieszkałych w Palestynie spoczęła w rękach pięćdziesięciu sześciu delegatów do Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Delegaci opowiedzieli się za podziałem starożytnego kraju, spełniając tym samym kultywowane od dwóch tysięcy lat marzenie Żydów o powrocie do historycznej ojczyzny. Od tego dnia dla Żydów zaczęło się świętowanie, a dla Arabów żałoba. Jerozolima stała się strefą działań wojennych.

Jerozolima. Środa, 7 stycznia 1948

Zygzakując ulicą dla uniknięcia ostrzału snajperów, zdenerwowany Joseph Gale szybko dotarł do frontowych drzwi swojego niepozornego domu. Wewnątrz nie zwolnił kroku, tylko spojrzał z niepokojem na śpiącego syna, prędko przeszedł przez pokój stołowy i znalazł się w zagraconym korytarzu, zamienionym teraz w salę porodową. Estera Gale nie zauważyła powrotu męża. Przewracała się na cienkim materacu, przyciskając do piersi wilgotny ręcznik. Z jej piersi wydobywały się ciche jęki, zakłócające nieruchomą ciszę pokoju. Przy boku Estery czuwały siostra Josepha, Rachela, oraz

Anna Taylor, Amerykanka, która zaprzyjaźniła się z Gale'ami po ich przybyciu do Palestyny.

Joseph popatrzył na siostrę i zauważył, że utkwiała w otwartych drzwiach pełne nadziei spojrzenie. Potrząsnął głową i uniósł ręce w geście porażki.

— Nikogo nie mogłem znaleźć — wyszeptał. — Nawet pielęgniarki.

Rachela odetchnęła głęboko. Z ulgą przyjęła powrót Josepha, ale była przerażona, że nie udało mu się znaleźć lekarza. Spojrzała z obawą na Annę i powiedziała:

— Zrobimy, co w naszej mocy.

— Poród to naturalna czynność — oświadczyła Anna. — Estera urodzi zdrowe dziecko.

Rachela przytaknęła, starając się ukryć niepokój,

— Kiedy trzymali mnie w Drancy — wyszeptała — asystowałam raz przy porodzie.

Obóz Drancy, usytuowany na przedmieściach Paryża, był najbardziej niesławnym z przejściowych obozów, w których przetrzymywano francuskich Żydów, oczekujących na transport do obozu zagłady w

Oświęcimiu, w Polsce. Wspominając te straszne czasy, Rachela zapatrzyła się w dal; nie dodała, że kobieta zmarła podczas porodu.

Estera zacisnęła zęby na ręczniku; jej twarz pobladła.

Wąskie wargi Racheli zwęziły się jeszcze bardziej, gdy kącikiem ust powiedziała:

— Josephie, to już niedługo.

Joseph poczuł, że ściska go w żołądku, a wewnętrzny głos szepnął mu, że uniknęli śmierci na próżno, jeśli teraz straci Esterę. Pochylił się nad żonę, dotykając wargami jej policzka.

— Wytrzymaj, kochanie — szepnął. — Niedługo będzie po wszystkim.

Estera jęknęła z niedowierzaniem; miękkość jej głosu zniknęła pod chropowatością.

— Nigdy. Nigdy, Josephie, ten ból stał się częścią mnie. — Wstrząsnął nią dreszcz.

Oczy Josepha napęłniły się łzami.

Anna wstała i zaczęła pocierać ramiona Estery, dając głową znak Josephowi, żeby wyszedł.

— Woda — przypomniała mu. — Możesz zagotować wodę?

— Tak, oczywiście. — Joseph pocałował Esterę i wyszedł.

Przechodząc przez pokój stołowy w drodze do kuchni, zatrzymał się na dłuższą chwilę, żeby przykryć Michela drugim kocem.

Reszką drogocennej nafty podgrzał nad palnikiem niewielką ilość wody.

Mieszkańcom rozdartej wojną Jerozolimy brakowało nie tylko żywności — zapasy wody też się kończyły.

Wzdrygnął się, słysząc stłumione krzyki Estery. Zaczął się głośno modlić. „Usłysz moje modły, o Panie”. Zamknął oczy i potarł palcami czoło. „Wszystko, o co proszę, to życie Estery”. Zawahał się na chwilę, a potem wyszeptał: „O życiu dziecka Ty zdecyduj”.

Michel Gale obudził się, zaczął płakać i wołać mamę.

Joseph wziął swoje ukochane dziecko w ramiona i obiecał, że się z nim pobawi, lecz nic, co mógł zrobić lub powiedzieć, nie uspokoiłoby chłopca. Myślał, że nic już nie może pogorszyć sytuacji, gdy do drzwi zapukał Ari Jawor, przynosząc niedobre wieści.

Ari Jawor był najbliższym przyjacielem Josepha i członkiem Hagany, Żydowskich Sił Obronnych. Był krępy męczyzną o szerokich barach, twardym na zewnątrz i miękkim w środku i miał skłonność do dramatyzowania. Dzisiaj mówił jeszcze głośniej niż zwykle. Nie przywitawszy się nawet z przyjacielem, trzasnął otwartą dłonią w ścianę i zawołał:

— Oni znów to zrobili! Stary jest wściekły!

Joseph zamknął szybko drzwi i dopiero wtedy skierował uwagę na Ariego. Nie był pewien, kim są „oni”, lecz wiedział, że mężczyzna nazwany „starym” to Dawid Ben Gurion, przywódca palestyńskich Żydów, który z pewnością zostanie pierwszym premierem ich nowego kraju.

Popatrzył na przyjaciela i omal nie roześmiał się głośno na myśl, że ze swoimi szalonymi oczami, umorusaną twarzą, za luźnym ubraniem i gęstymi włosami, sztywnymi od brudu, Ari przypomina demona. Jego nieoczekiwana wizyta bez wątpienia oznaczała złe wiadomości.

— Co się stało? — spytał, starając się ukryć niepokój.

Ari zacisnął dłonie w pięści i rozejrzał się, jakby chciał kogoś uderzyć. Jego twarz, zaczerwieniona od zimna, poczerwieniała jeszcze bardziej. — Na dworcu autobusowym w Bramie Jaffy podłożono duży ładunek wybuchowy. Niedawno. Bóg jeden wie, ilu ludzi zginęło i ilu jest rannych. — Po chwili wahania dodał: — Słyszałem, że ulica wyglądała jak jatka.

Brama Jaffy była główną arterią handlową Jerozolimy, zwykle zapełnioną tłumami kupujących.

— Boże... — wymamrotał Joseph. — Jak łatwo w jednej chwili żyć, a w następnej być martwym. — Od kiedy opuścili Europę i przybyli do Palestyny, często myślał o tym, że stara nienawiść, którą przesiąkła ta ziemia obiecana Żydom przez Boga, zagraża wszystkim jej mieszkańcom, arabskim i żydowskim.

Ari oparł M-1 o ścianę.

— Nasze źródła podają, że to banda Irgunu odpowiada za tę zbrodnię. Tym draniom udało się ukraść policyjnego vana. A potem ci dranie wytoczyli na zatłoczoną arabską ulicę dwie baryłki TNT. Kobiety, dzieci... wszystkich posiekało na krwawe strzępy.

— Boże drogi — powtórzył cicho Joseph, nie patrząc Ariemu w oczy. — Złapano tych ludzi?

Ari skinął głową.

— Po zrzućeniu drugiej bomby na skrzyżowanie Mamillah z aleją Księżniczki Marii członkowie bandy rozbili wóz i próbowali uciec przez cmentarz. Brytyjska policja i ochrona amerykańskiego konsulatu rzucili się za nimi w pościg i trzech zabili.

Irgun był nielegalną zbrojną bojówką dowodzoną przez Menachema Begina, człowieka, którego niepozorny wygląd w ogóle nie zdradzał morderczych skłonności. Jego zwolennikami byli zahartowani, twardzi ludzie, którzy ocaleli z holokaustu i byli gotowi zabić każdego, kto spróbuje utrudnić powstanie żydowskiej ojczyzny. Członkowie Irgunu wierzyli, że ich cudowny powrót na Ziemię Obiecaną jest znakiem błogosławieństwa bożego dla ich sprawy, i każdy akt terroru usprawiedliwiali werselem z Pisma Świętego. Ostro sprzeciwiali

się idei kompromisu z Brytyjczykami, Amerykanami i Arabami, a ich lekkomyślne poczynania przysparzały Dawidowi Ben Gurionowi wielu bezsennych nocy.

Nagle Joseph o czymś sobie przypomniał.

— Woda! — zawołał, wybiegając do kuchni.

Ari zmierzył go zdziwionym spojrzeniem, lecz poszedł za nim.

Michel Gale siedział w milczeniu na podłodze i bawił się małym metalowym żołnierzykiem.

— Michel, Ari przyszedł — powiedział Joseph.

Michel wydał wargi, ale nie podniósł głowy. Chciał tylko mamy. Nikt inny go nie interesował. Joseph zanurzył palec w wodzie.

— Prawie dobra.

Ari napił się cennej wody, przełykając głośnie.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę, lecz myśleli o tym samym: arabski odwet z pewnością nadejdzie, a dzielnica Musrara, w której mieszkali Gale'owie, była szczególnie narażona na ostrzał arabskich snajperów. Przylegała do starej części Jerozolimy i była wciśnięta między wschodnią, arabską część miasta i zachodnią, żydowską. Ulica, przy której stał dom Josepha i Estery Gale'ów, była zamieszкана wyłącznie przez Żydów, ale jedną przecnicę dalej mieszkali już Arabowie. Nieliczni arabscy snajperzy na tym terenie tylko drażnili żydowskich sąsiadów, lecz w pobliskiej dzielnicy Szeikh Dżarrah ostrzał snajperów był znacznie silniejszy.

Świadomość zagrożenia sprawiła, że Ari powiedział:

— Musisz myśleć o dziecku, Josephie. Spakuj parę rzeczy, a ja spróbuję załatwić ciężarówkę i wydostać was stąd.

Joseph potrząsnął głową.

— Nie, to niemożliwe.

Ari popatrzył na niego uważnie i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Joseph odezwał się pierwszy:

— Estera od sześciu godzin ma bóle porodowe.

— Cóż, to zmienia postać rzeczy. — Ari pociągnął się za wąsy, rozważając inne możliwości. — Jeśli nie możesz wyjechać — powiedział wreszcie — będziemy musieli sprowadzić kilku mężczyzn dla waszej ochrony.

Wiedząc, że żydowskich bojowników jest zbyt mało, Joseph zaprotestował:

— Sam mogę się o siebie zatroszczyć. Ari wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie wątpię w to. — Nikt nie był zacieklejszy w boju niż Joseph Gale. Klepnął przyjaciela po ramieniu. — Ale tu w okolicy jest więcej żydowskich rodzin, o które trzeba zadbać.

Joseph milczał przez chwilę, a potem rozpogodził się i zmienił temat:

— Jak się miewa Leah?

Leah Rosner była niedawno poślubioną żoną Ariego i, podobnie jak on, cały swój czas poświęcała służbie w Haganah. Arabowie, przeciwko którym walczyła, nazywali ją jasnowłosym diabłem, a żydowscy towarzysze uważali ją za świetnego żołnierza.

Niespokojne zielone oczy Leah nigdy nie zdradzały tragedii, która naznaczyła jej życie. Jako jedyna ocalała z dużej, czecho-słowacko-żydowskiej rodziny. Pod koniec drugiej wojny światowej niemieccy żołnierze wyprowadzili z obozu śmierci w Oświęcimiu sześć tysięcy żydowskich więźniów, uciekając przed rosyjskimi wyzwolicielami. Wycofujący się gestapowcy zabijali wszystkich, którzy nie potrafili wytrzymać tempa marszu. Gdy ojciec Ariego został zastrzelony, a ostatnia siostra Leah zmarła z głodu, Ari i Leah czerpali siłę z siebie nawzajem. Przeżyli wbrew wszystkiemu, stali się nierozłączni i niedawno się pobrali.

Ari uśmiechnął się z radością, w jego głosie zabrzmiała duma.

— Leah jest cudowna, Josephie. Jestem najszczęśliwszym mężczyzną, jaki żyje na tym świecie!

Michel zaczął popłakiwać i Ari wyszedł równie szybko, jak się pojawił, zostawiając Josepha z nowym źródłem niepokoju: arabską zemstą za podstępny atak Irgunu.

Drzwi holu otwały się ze skrzypieniem i na terakotowej posadzce zastukały kroki Racheli, która zmierzała do kuchni. Nie zamknęła drzwi, spoza których dobiegały zdławione krzyki Estery.

Przerażony Michel znów się rozplakał. Coś strasznego działo się jego mamie. Nie otarł śluzu ściekającego z nosa na wargę, tylko zliżał go końcem języka i połknął słoną ciecz.

Gdy Rachela weszła do kuchni, złapał ją za spódnicę i nie chciał puścić. — Przestań w tej chwili! — Rachela wyszarpnęła spódnicę i spojrzała na ściągniętą twarz chłopca. — Michel! Gdzie twoje zabawki? — Rzuciła oskarżycielskie spojrzenie na brata. — Joseph, czemu on się nie bawi? — Próbowałem wszystkiego, Rachelo. On się nie uspokoi, dopóki nie zobaczy matki. — Joseph zaczął polewać przegotowaną wodą nóż, nożyce i inne metalowe przedmioty, które dała mu Anna.

— Mamusia! Chcę do mamusi! — zawodził Michel. Lęk nappełnił go determinacją.

W głosie Racheli pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

— Och, dość tego! Później! Później zobaczysz mamę. — Otarła buzię chłopca skrajem spódnicy. — No, zmykaj. Niedługo pójdziesz do mamy. Obiecuję.

Widząc otwarte drzwi, Michel rzucił się do zakazanego pomieszczenia. Nikt go nie oddzielił od matki.

— Mamusiu! — zawołał, biegnąc do łóżka. Rachela wystawiła głowę na korytarz.

— Przepraszam, Estero. Wymknął się nam.

Na widok malca Estera Gale zmusiła się do uśmiechu, ale zaraz przyćmił go bolesny grymas, który zmienił całą jej twarz.

— Michel! Chodź do mnie, synku. — Wyciągnęła do chłopca rękę.

Michel złapał ją mocno, z odrobiną podejrzliwości spoglądając na wielki, nabrzmiały brzuch matki; przypominał sobie, że w jakiś sposób dostało się tam dziecko. Zagubiony w świecie, który już nie obracał się wokół niego, chciał wdrapać się na materac i przytulić do matki tak jak dawniej. Już miał wskoczyć na łóżko, gdy matka wygięła plecy i krzyknęła przeraźliwie.

Michel wrzasnął ze strachu.

Anna Taylor zerwała się na równe nogi, popychając Michela w stronę drzwi i ciotki.

— Rachela, zaczyna się!

— Estero, kochanie! Już idę! — zawołał Joseph. Michel przez całe dwa lata swojego życia nie słyszał, żeby ojciec tak krzyczał.

Anna powiedziała ostro:

— Michel, zajmij się czymś.

Chłopiec położył się za krzesłem ojca i po chwili zasnął.

Hajfa, Palestyna

Palestyński nauczyciel George Antoun pasjonował się historią starożytną, a zwłaszcza greckim piśmiennictwem. Często powtarzał, że grecka nauka i kultura rozlała się po świecie niczym wezbrany potok, i że skorzystał z tego każdy współczesny człowiek. Właśnie czytał w samotności swoją przechowywaną niczym skarb *Iliadę*, gdy usłyszał natarczywe walenie do drzwi.

Mary zobaczy, kto to jest, pomyślał. Nagle przypomniał sobie o czymś bolesnym i zamknął książkę. Wczoraj Mary znów poroniła i nie mogła wstać z łóżka. George zaczynał sobie uświadamiać, że jego żona nigdy nie donosi ciąży. Byli małżeństwem dopiero od sześciu lat i przeżyli już dziesięć poronień, a każde z nich łamało im serce. Nie mieli ani jednego dziecka.

— Chwileczkę! — zawołał, podnosząc się niechętnie i wychodząc z gabinetu na korytarz.

Pukanie było coraz głośniejsze. — George, otwórz!

George rozpoznał głos. Za drzwiami stał Ahmed Ajami, członek kółka czytelniczego George'a, długoletni przyjaciel rodziny.

— Ahmed? Co ci tak spieszno? — spytał uśmiechnięty George, otwierając szeroko drzwi.

Żałobna mina Ahmeda zaalarmowała go. Musiało stać się coś okropnego.

— George, przyjacielu, gdzie jest Mitri?

George poczuł skurcz w żołądku. Czyżby Ahmed przynosił najstraszniejszą z wieści? Czy ukochanemu ojcu zdarzył się jakiś wypadek? George złapał Ahmeda za rękę i wciągnął go do domu.

— Mitri wyszedł do kawiarni ponad godzinę temu. Coś mu się stało? Ahmed wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

— George, w Jerozolimie dokonano straszliwego zamachu — jęknął i oparł głowę o ścianę.

— Co takiego?

Ahmed odetchnął jeszcze raz, a potem spojrział George'owi prosto w oczy.

— Przyjacielu, właśnie dostaliśmy wiadomość od kuzyna, że w Jerozolimie zginęło wielu ludzi.

George zaczął się trząść. Jego dwaj bracia i siostra mieszkali w Jerozolimie. Razem mieli dziesięcioro dzieci. Z zachowania Ahmeda odgadł, że ktoś z rodziny musiał zostać ranny. Miasto stawało się sceną coraz gwałtowniejszych aktów nienawiści zarówno ze strony Żydów, jak i Arabów. George złapał się za gardło.

— Kto zginął? Powiedz mi.

Ahmed potrząsnął powoli głową i wskazał w stronę dużego pokoju. Jego oczy zaszczyły łzami. Bał się, że przyjaciel może zemdleć.

— Usiądź, George. Musisz usiąść.

George Antoun był łagodnym mężczyzną i nikt nigdy nie słyszał, żeby podnosił głos. Ahmed tym bardziej się wystraszył, słysząc jego krzyk.

— Mów! Kto?! — Podszedł krok bliżej do przyjaciela. — Musisz mi to powiedzieć, natychmiast!

Ahmed rozplakał się i zamachał rękami.

— George, przyjacielu... Pod Bramą Jaffy był straszny zamach bombowy. Straciłeś wszystkich: Petera, Jamesa i Emily. Wszyscy nie żyją.

George stał jak oniemiały. Ręce i nogi zaczęły mu się trząść. Zanim osunął się na podłogę, usłyszał znajome kroki ojca na kamiennej ścieżce przed domem.

Zaszlochał i ukrył twarz w dłoniach.

— Jak mam mu to powiedzieć? Jak?

Jerozolima

Kilka godzin później obudził go triumfalny głos ojca: — Bądź błogosławion, Panie nasz, Boże, który rządysz wszechświatem, jesteś dobrem i czynisz dobro.

Pocierając oczy, Michel wygramolił się zza krzesła.

Joseph rozpromienił się na widok syna.

— Michel, słyszałeś dobrą nowinę? Masz braciszka! Myśl o braciszku nie wywołała u Michela entuzjazmu. To

wszystko było zbyt niepokojące. W ciemnych oczach malca zalśniły łzy, lecz ojciec zdawał się tego nie dostrzegać.

Świadomość, że ukochana żona jest bezpieczna i urodziła zdrowego chłopca, sprawiła, że całe napięcie odpłynęło, i napełniła łzami oczy Josepha Gale'a. Nie straci swojej Estery! Bóg jest sprawiedliwy, przynajmniej czasami taki bywa. Joseph podniósł Michela i powtórzył jeszcze raz:

— Bądź błogosławion, Panie nasz, Boże, który rządysz wszechświatem, jesteś dobrem i czynisz dobro.

Płacz niemowlęcia znowu pchnął Michela w objęcia strachu. Zaczął łkać, bezradny wobec dramatycznych zmian zachodzących wokół niego, wiedząc, że już nigdy nic nie będzie takie samo.

W piątek wieczorem nabrał do braciszka nieco więcej życzliwości.

Dziecko spało w jego starej kołysce, stojącej w kącie głównego pokoju.

Nowa pomoc domowa, Beduinka imieniem Dżihan, która pracowała wcześniej u Anny, a teraz pomagała rodzinie Gale'ów, przykucnęła obok z dłonią na plecach niemowlęcia, poruszając delikatnie kołyską i śpiewając jakąś rzewną piosenkę.

Stojąc oparty plecami o ścianę, patrząc na bawiącego się Michela i śpiącego nowo narodzonego synka, Joseph czuł się szczęśliwy, co od dawna mu się nie zdarzyło. Mimo ataku w Bramie Jaffy Arabowie nie mścili się za śmierć swoich bliskich. Był zaskoczony, ale i pokrzepiony nadzieją, że jego rodzina nie będzie musiała płacić za innych w tym niekończącym się cyklu zemsty. Radował się myślą, że niebawem Żydzi zapomną o czasach, gdy przeżycie było cudem, a śmierć powszedniością. Od tego ranka, gdy trzech bojowników Hagany zjawiło się, żeby pilnować rodzin z sąsiedztwa, ostrzał snajperów ustał.

Rachela przerwała zadumę starszego brata. Spojrzała na Dżihan z nieukrywaną dezaprobatą.

— Coś takiego! Ślepa pomoc domowa?

Joseph zwrócił w stronę siostry pozbawioną wyrazu twarzy.

— Ona bardzo dużo umie.

— Dużo umie? Jak ślepa gosposia może dużo umieć? Żartujesz chyba. Jaka z niej pomoc dla Estery? — Rachela była wściekła, że nie spytano jej o zdanie. — Anna chyba jest pomyłona, że coś takiego zaproponowała! Joseph zachował spokój.

— Rachelo, Dżihan zajmowała się Anną od dzieciństwa. Wspaniale opiekuje się dziećmi.

— Nie wierzę! — Rachela zniżyła głos: — Pewnie Anna ma dość karmienia bezużytecznej gęby!

Odpowiedział z nutką zniecierpliwienia w głosie:

— Nie bądź złośliwa. Takie jest życzenie Estery. I moje. Rachela Gale była upartą osobą, która lubi stawiać na swoim.

Co gorsza, była brzydką, krępą kobietą w rodzinie wysokich, przystojnych mężczyzn. Nikt się o nią nie starał, więc wiedziała, że nigdy nie założy własnej rodziny. Miała nadzieję, że będzie odgrywać ważną rolę w wychowywaniu dzieci brata.

— Popelniasz straszny błąd — powiedziała gorzkim tonem. — Ślepa kobieta! Ona robi dzieciom krzywdę, zapamiętaj moje słowa!

Joseph popatrzył siostrze w twarz i pomyślał, że Rachela staje się coraz bardziej nieznośna. Zmierzył ją twardym spojrzeniem.

— Rachelo, decyzja zapadła! — oznajmił gniewnie. — A teraz zamknij buzię i daj mi spokój! — Odwrócił się i wyszedł.

Rachela spojrzała ze zdumieniem na brata. Joseph był łagodnym, delikatnym mężczyzną i rzadko słyszała, żeby podnosił głos. Jego łagodność wręcz zachęcała Rachele do używania ostrego języka.

— Ślepa gosposia, też mi coś! — mruknęła pod nosem i pospieszyła do kuchni, by przygotowywać posiłek.

Wspomnienie mrocznych czasów, gdy była naprawdę samotna, złagodziło sprzeczkę z bratem. Przetrwała Oświęcim i ukryła się w kobiecym baraku w dniu, gdy naziści opróżniali obóz. Po wyzwoleniu obozu przez Armię Czerwoną wędrowała okazjami z Polski do Francji, śpiąc na polach i żyjąc dzięki dobroci obcych ludzi. Kilka miesięcy później dotarła szczęśliwie do wyzwolonego Paryża i podekscytowana czekała na powrót innych członków

rodziny Gale'ów. Przyłączyła się do setek Żydów w hotelu Lutetia, szukających swoich bliskich, z którymi rozdzieliła ich deportacja. Ci, którzy przeżyli obóz koncentracyjny, wymieniali się listami i informacjami. Zdawało się, że tygodnie ciągną się w nieskończoność, ale Rachela czekała, nie chcąc uwierzyć, że tylko ona jedna przeżyła z całej rodziny. Wielu mówiło jej, że trzyma się płonnej nadziei, ona jednak siedziała w hotelowym holu, lustrując każdego przybywającego Żyda i wypytyując go o rodziców i braci. Po miesiącu usłyszała od naocznego świadka, że matka i ojciec trafili do krematorium w Oświęcimiu. Michela, najstarszego brata, widziano ostatnio w obozie pracy przy ogrodzeniu. Abbi, żona Michela, chrześcijanka, odmówiła Racheli, gdy ta poprosiła o gościnę; w czasie długiej okupacji Francji zaczęła żałować, że wyszła za Żyda. A Jacques? Kiedy Rachelę deportowano z Drancy wraz z rodzicami, Jacques, bojownik ruchu oporu, był więziony przez gestapo. Natomiast o Josephie, Esterze i ich dziecku wiadomo było tylko, że wiosną 1942 roku wszyscy mieszkali w getcie warszawskim. Rachela była już bliska porzucenia wszelkiej nadziei i wyruszenia do Palestyny razem ze znajomymi Żydami, którzy ją do tego namawiali, gdy nagle dostrzegła znajomą sylwetkę mężczyzny czytającego w hotelu kartki z ogłoszeniami. Joseph wrócił! Po powitaniu wśród łez Rachela przyłączyła się do brata i jego żony i ruszyli w drogę do Palestyny. Europa nie była już bezpieczna dla Żydów. Dopiero po bezpiecznym przybyciu na miejsce dowiedzieli się o losie Jacques'a.

Z zasmuconą twarzą Rachela zaczęła ustawiać potrawy na tackach.

Dom Friedricha Kleista w Berlinie Wschodnim

Ten sam straszny sen nawiedzał go każdej nocy.

Friedrich Kleist kazał swoim ludziom popędzać rodzinę Steinów, lecz był głęboko wstrząśnięty. Jego przełożony, Karl Drexler, zobowiązał go do tego, by zabrał wszystkich z miesz-

kania i załadował do najbliższego pociągu z transportem Żydów do Trebłinki. Friedrich czuł na plecach wzrok zniechęconego dowódcy, choć wychodząc z kwatery SS, widział, że pułkownik Drexler został w swoim gabinecie.

Drgnął ze zdziwienia, kiedy zobaczył, że dwaj jego więźniowie zniknęli. Pomyślał o rosnącym Żydzie — tym, który omal nie złamał mu szczęki podczas szamotaniny w mieszkaniu parę dni wcześniej. Friedrich obiecał im czas — czas na uratowanie niektórych osób z rodziny — lecz ten czas już upłynął. Postanowił nie zawiadamiać pułkownika Drexlera, że mężczyźni wymknęli się z pętli. Niech będzie, co ma być, pomyślał. Stał jak w transie i patrzył na szlochające kobiety i dzieci przesuwające się obok niego. Nie mógł nie zauważyć, że kobiety są bardzo ładne, a dzieci urocze. Ale pułkownik stwierdził, że nie mają prawa żyć, i Friedrich wiedział, że niebawem te urodziwe twarze zamienią się w proch i ulecą z dymem z komina krematorium.

Zatrzymał wzrok na twarzy jednego z najmłodszych dzieci. Dziewczynka miała dwa lub trzy latka, ciemne kręcone kędziorzy i słodki uśmiech. Była śliczna. Podbiegła do Friedricha.

Z tyłu wyciągnęła się ręka i złapała dziecko.

— Dafna, chodź do mamusi, proszę cię. Dafnia roześmiała się radośnie.

— Będziemy jechać pociągiem?

— Tak, kochanie — odparła matka przez ściśnięte gardło. — Zobaczymy drzewa i kwiaty.

Patrząc na dziecko, Friedrich zobaczył nagle, że dzieje się coś okropnego. Twarz dziewczynki poczerniała, a jej skóra zaczęła się kurczyć. Z głowy małej uniósł się dym. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i zwinęła się z bólu.

Friedrich zerwał się gwałtownie ze snu i z krzykiem usiadł na łóżku.

Eva przemawiała do niego łagodnie, próbując uspokoić męża:

— Friedrich, to tylko sen. Jesteś w Berlinie.

Friedrich trząsał się tak strasznie, że materac poruszał się razem z nim.

Zmusił się, żeby wstać. Pocałował żonę w czoło.

— Przepraszam, przyniosę wody.

Eva westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Sny męża stawały się coraz gorsze. Kiedy to się skończy?

Friedrich Kleist siedział przez całą noc i jęczał bezwiednie, po raz kolejny przeżywając ten straszliwy dzień w 1942 roku, w którym wysłał rodzinę Steinów do Treblinki, gdzie wszyscy spłonęli w piecach.

Mimo że upłynęło sześć lat, a on nie był obecny przy popełnianiu tej zbrodni, czuł swąd palonego ludzkiego ciała. Woń stawała się coraz gorsza, każdej nocy, z każdym kolejnym snem.

Friedrich zaczął płakać, żałując, że przeżył wojnę.

Jerozolima

Mieszkanie wypełniło się wkrótce odgłosami święta *Szalom Zachar* — powitania męskiego potomka. Nie bacząc na straszne warunki życia w Jerozolimie, przybyli wszyscy sąsiedzi i przyjaciele Gale'ów.

Ari i Leah Jaworowie zjawili się ostatni. Ucieszyli się, gdy Joseph poprosił ich, żeby zostali chrzestnymi syna. Podekscytowani, zaczęli rozprawiać o *Brit Milan*, tradycyjnym obrzędzie nadania imienia męskiemu potomkowi rodziny, połączonym z obrzezaniem, który odbywa się osiem dni po narodzinach dziecka. Ani Ari, ani Leah nie znali wybranego imienia chłopca; ta informacja miała pozostać w rodzinie Gale'ów aż do *Brit Milah*. Wiedzieli jednak, że niemowlę będzie nosić imię jednego z członków rodziny, który odszedł. Tradycja żydowska mówi, że zmarły będzie wyznaczać drogę życiową noworodka, a za sprawą holokaustu Joseph i Estera Gale mieli wiele imion do wyboru. Nagle rozległy się głośnie oklaski. Rachela wyciągnęła trzy butelki czerwonego wina, które schowała na urodziny bratanka. Po raz pierwszy od miesięcy kuchenny stół uginał się od potraw. Każdy gość przyniósł jakiś smakowity kąsek, zachomikowany na taką wyjątkową okazję. Była gotowana fasola, groszek, ziemniaki i nawet skrzynka świeżych owoców, przeschmuglowana do umęczonego miasta przez Ariego Jawora. Była nawet

babka, niebezpiecznie przechylona na jedną stronę z powodu niedostatku odpowiednich składników.

Kołysząc się przy melodyjnej żydowskiej pieśni, Joseph wziął Michela w ramiona i szepnął:

— Jesteś światłem mojego życia! Jesteś wcieleniem doskonałości! — Pozwolił chłopczykowi wypić łyk wina i dodał: — Na cześć życia, synku! Jego usta rozszerzyły się w uśmiechu. Nowe życie było znakiem siły Żydów.

Estera uśmiechnęła się czule, widząc, jak mąż cieszy się ich starszym synem. Oparła głowę na jego ramieniu, przypominając sobie, że jest matką dwóch wspaniałych, zdrowych chłopców.

Śpiewom przewodził kantor; wszyscy byli szczęśliwi i uśmiechnięci, chcieli radować się tą chwilą i zapomnieć o przemocy zalewającej ten mały kraj, który teraz uważali za swój. Gdy w pobliżu rozległy się wystrzały, dwóch mężczyzn wzięło broń i wyszło, by strzec domu. Pozostali goście zaśpiewali jeszcze głośniej, jakby chcieli zagłuszyć bitewne odgłosy i stworzyć doskonały obraz ludzi żyjących w pokoju i harmonii. Była to dla Josepha na poły gorzka, na poły słodka chwila. To, co działo się wokół, zmuszało go, żeby panował nad sobą całą siłą woli. Jeszcze nie tak dawno ich przyszłość była misternie spleciona z losem dużych, życzliwych rodzin. Druga wojna światowa przyniosła śmierć tym, których kochali, i z przeszłości Josepha i Estery więcej zostało utracone niż ocalone. A teraz, jakże prędko, znów musieli walczyć o życie swoje i swoich dwóch małych synów.

Joseph z trudem się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć śmiechem i płaczem jednocześnie. Jego oczy wypełniły się łzami szczęścia z powodu bezpiecznych narodzin syna i smutku, że ci, których kochał, nie doczekali tej radosnej chwili. Znajdował jednak odrobinę pocieszenia w świadomości, że pamięć ukochanego brata Estery, Daniela Steina, zacnego i dzielnego człowieka, będzie żyła dzięki ich synowi. Właśnie dzisiaj postanowili, że nadadzą synowi imię Daniel. Będzie się nazywał Daniel Gale.

Estera wyczuła, o czym mąż myśli, i skinęła głową. Nigdy nie zapomną brata Josepha, Michela, i jej brata. Daniela. Patrząc w twarz męża, domyślała się, że Joseph widzi inne miejsce

i inny czas i mimo ogromnej radości z narodzin drugiego zdrowego syna jest rozpaczliwie smutny.

Żydowska tradycja nakazywała, aby w takich uroczystościach uczestniczyły całe rodziny, ale oni stracili je w Treblince i Oświęcimiu. Byli głęboko zranieni i nigdy nie myśleli, że w ich życiu nadejdzie dzień świętowania, tak jak w latach poprzedzających holokaust nigdy by sobie nie potrafili wyobrazić pustki, która najbardziej daje się odczuć w czasie obchodów najważniejszych rodzinnych świąt.

Teraz stali obok siebie, ukrywając swoje prawdziwe myśli i jednocześnie gawędząc z przyjaciółmi.

Ich goście zdziwiliby się, gdyby wiedzieli, że nie widzą wokół siebie absolutnie nikogo.

Część I

Paryż-Warszawa

1938-1942

Osoby

Rodzina Steinów:

Mosze Stein (*ojciec*)

Sara Stein (*matka*)

Estera Stein (*córka*)

Eilam Stein (*syn*)

Daniel Stein (*syn*)

Izrael Stein (*syn*)

Gerszom Stein (*syn*)

Rodzina Gale'ów:

Beniamin Gale (*ojciec*)

Natalie Gale (*matka*)

Michel Gale (*syn*)

Jacques Gale (*syn*)

Joseph Gale (*syn*)

Abraham Stein (*syn*)

Rachela Gale (*córka*)

Miriam Gale (*mała córeczka Josepha i Estery Gale*)

Dawid Stein (*niewidomy wnuk Mosze i Sary Steinów*)

Karl Drexler (*esesman, komendant getta warszawskiego*)

Friedrich Kleist (*niemiecki strażnik w getcie warszawskim*)

Postacie drugoplanowe:

Noe Stein (*ojciec Mosze Steina*)

Doktor Szoham (*żydowski lekarz*) **Noy** (*zbiegły żydowski więzień*)

Tolek Grinspan (*żydowski policjant w getcie warszawskim*)

Edmund (*bojownik francuskiego ruchu oporu*)

André (*bojownik francuskiego ruchu oporu*)

Rudolf Drexler (*ojciec Karla Drexlera*)

Eva Kleist (*żona Friedricha Kleista*)

Rozdział I

Lato 1938. Paryż, Francja

Polska matka Sary Stein traktowała córki w taki sam sposób, w jaki sama była traktowana przez swoją matkę. W rezultacie Sara wyszła za znacznie starszego od niej mężczyznę, którego nie znała i nie kochała. Pierwszych kilka lat małżeństwa było dla niej jednym pasmem udręki. Później ujawniła się łagodniejsza strona charakteru męża i strach Sary zamienił się w uczucie. Jednak te pierwsze lata sprawiły, że kiedy została matką, podjęła milczące postanowienie: obiecała sobie, że córki zrodzone z jej łona nie będą zmuszane do wyjścia za mąż wbrew swojej woli. Po urodzeniu pięciu synów zapomniała jednak o młodzieńczym ślubowaniu. A potem wydała na świat ostatnie dziecko, delikatną dziewczynkę. Teraz dziewczynka zamieniła się w piękną młodą kobietę, która w zeszłym miesiącu skończyła osiemnaście lat, i Sara stanęła po jej stronie w sporze o wybór męża.

Mimo to targały nią wątpliwości.

— Martwię się, Mosze — powiedziała. — Czy nasze dziecko znajdzie szczęście w tym związku?

Mosze Stein nie był w nastroju, żeby wysłuchiwać niewczesnych rozterek żony.

— Kobieto! Czy ja znam przyszłość? — Spojrzał żonie w oczy i dodał: — Poczekaj, a zobaczysz, co Bóg szykuje dla głupiej dziewczyny, która wychodzi za obcego.

Sara odczuła te słowa jak uderzenie pięścią. Mąż najwyraźniej miał jej za złe wybór córki.

Nie myliła się. Głęboko religijny ojciec Mosze ostrzegął go: „Nigdy nie łam tradycji. To zawsze jest błąd”. Jego pięciu synów wzięło sobie za żony kobiety wybrane przez *szadchana*, czyli swata, lecz Mosze zawsze był miękki, gdy chodziło o najmłodsze dziecko, jedyną córkę. Estera była jego oczkiem w głowie, miłość do tego dziecka osłabiła jego wolę.

Pocierając oczy palcami, Mosze próbował znaleźć usprawiedliwienie dla swojej słabości. Prawdopodobnie to wypadek sprawił, że tak ulegał tej dziewczynie. Jako dziecko Estera została potrącona przez galopującego konia i ledwie wyszła z tego z życiem. Od tego czasu cała rodzina Steinów rozpieszczała dziewczynkę ponad wszelką miarę. Estera Stein zawsze stawiała na swoim i wyrosła na upartą młodą kobietę, która nie przyjmowała do wiadomości odmownych odpowiedzi.

W zeszłym roku podczas rodzinnych wakacji w Paryżu poznała najmłodszego z braci Gale'ów, przystojnego chłopaka, który najwyraźniej miał sporo doświadczenia w kontaktach z kobietami. Estera nic nie wiedziała o mężczyznach, ale ubzdurała sobie, że go kocha, i zagięła na niego parol. Mosze zdecydowanie zaprotestował, twierdząc, że dziewczyna z Polski nie powinna wiązać się z Francuzem, Estera jednak sprzysięgła się przeciwko niemu z matką i teraz miała wyjść za Josepha Gale'a, zamieszkać w obcym kraju i żyć z dala od rodziców. Będzie dobrze, jeśli uda im się odwiedzić córkę raz na rok.

Ale nie to było najgorsze. Mosze wiedział, że dla Żydów nadchodzą ciężkie czasy. Nie trzeba było być prorokiem, by przewidzieć, że nad Europą znów wisi wojna. Hitler już połknął Nadrenię i Austrię, a teraz wziął na cel małą Republikę Czechosłowacką. Czy następna będzie Polska?

Mosze miał świadomość, że jeśli Niemcy napadną na Polskę, Żydzi staną się pierwszymi ofiarami. Siedmiu z jego pracowników było polskimi Żydami, którzy kiedyś osiedlili się w Niemczech i stracili wszystko oprócz życia, gdy Hitler doszedł do władzy. Niemcy sporządzili listy wszystkich Żydów urodzonych za granicą i wyrzucili ich tam, skąd przybyli, przemocą roz-

dzielając rodziny. Mężczyzn oddzielono od żon i dzieci, niemieckich Żydów, wsadzono ich do pociągu i wysłano na polską granicę koło Zbąszynia. Polskie władze jednak też ich nie chciały, i nieszczęśnicy musieli tkwić na ziemi niczyjej. Na wieść o tej niesprawiedliwości Mosze użył swoich wpływów i zatrudnił paru wypędzonych biedaków, ratując ich z opresji. Z wdzięczności dla swego dobroczyńcy próbowali ostrzegać go o nadchodzącej katastrofie i Mosze jako jeden z pierwszych dowiedział się, jak naziści traktują Żydów.

Już teraz przygotowywał się na nieuchronne pogromy. Historia Europy była splamiona prześladowaniem Żydów, a polska ludność również ich nie kochała. Ale w jakim kraju Żydzi byli mile widziani? Dziad Mosze uciekł do Polski z Pale, gdzie znajdowało się rosyjskie getto dla Żydów. Ojciec Mosze, Noe, był wówczas jeszcze dzieckiem, jednak straszne wspomnienia nigdy go nie opuściły. Na łożu śmierci stary Noe Stein rzucał się i majaczył o koszmarze ucieczki przed carskimi żołnierzami. Mosze żałował, że ojciec nie może znaleźć spokoju nawet przed śmiercią, ale tłumaczył sobie, że taki jest los wszystkich *zydów* na wygnaniu. Czy nie ma spokojnej przystani dla narodu wybranego przez Boga? Mosze doszedł do wniosku, że nie, i zaczął wymieniać część swojego majątku na złoto i diamenty.

Westchnął z niepokojem i pomyślał, że musi trzymać Esterę blisko siebie, bo inaczej jak ją ochroni? Próbował ostrzec rodzinę Gale'ów o nadchodzącym niebezpieczeństwie, ale nie chcieli mu wierzyć; jego twarz poczerwieniała na wspomnienie tamtej chwili.

Sara Stein i Natalie Gale rozmawiały o weselu, a ich mężowie oddali się politycznej dyspucie, która oczywiście obracała się wokół Hitlera. Mosze podzielił się z głową rodziny najnowszymi wieściami z Berlina. Wydawało się, że nic nie powstrzyma Niemców przed połknięciem Czechosłowacji, nawet perspektywa wojny.

— Czy Francja będzie interweniować? — spytał. Pytanie to przstraszyło Beniamina Gale'a.

— To znaczy walczyć?

— Tak.

— Ależ skąd — odparł Beniamin. — Francuskie społeczeństwo nigdy nie poprze kolejnej rujnującej wojny.

Mosze zachnął się.

— Lepiej zatrzymać Niemców w Pradze niż pod Łukiem Triumfalnym!

— Bądź poważny.

— Jestem bardzo poważny — odrzekł Mosze. — Robisz jakieś przygotowania?

Natalie Gale usłyszała ich rozmowę i roześmiała się.

— Mosze, przemawiasz, jakbyś był głosem przeznaczenia! Sarkazm Natalie uraził Mosze, ale tylko uśmiechnął się niewyraźnie i zmilczał.

Beniamin odpowiedział na pytanie Mosze jak pewny swego Francuz:

— Francuscy obywatele nie muszą robić przygotowań, nasz rząd podjął już odpowiednie kroki. Jeśli Niemcy po raz drugi będą próbowali podbić Europę, Linia Maginota utrzyma ich w bezpiecznej odległości.

Mosze zmarszczył czoło.

— Nie byłbym tego taki pewny. Przeczytałem niedawno, że większość ekspertów wojskowych uważa Linie Maginota za nieskuteczną.

Beniamin machnął tylko ręką.

— Naprawdę! — zawołał Mosze. — Ci wojskowi przewidują, że Niemcy ominą fortyfikacje, podbiją Belgię i zaatakują Francję z tamtej strony.

— Ależ nie! — zawołał Beniamin, mimo iż sam czytał niedawno artykuł, którego autor twierdził, że Niemcy kpią sobie z Linii Maginota, nazywając ją „francuskimi opłótkami”.

Mosze nie dawał za wygraną.

— Hitler nie ukrywa, że nienawidzi Francuzów niewiele mniej niż Żydów. — Był coraz bardziej podekscytowany. — Posłuchaj mnie! Nie bądź ślepy na nienawiść!

Obaj wiedzieli, że źródłem owej nienawiści są drakońskie warunki Traktatu Wersalskiego, narzuconego pokonanym Niemcom po zakończeniu pierwszej wojny światowej.

Natalie Gale poruszyła się na fotelu.

Beniamin zerknął na żonę i stwierdził:

— Straszymy tylko nasze panie.

Mosze próbował ostrzec Gale'ow, lecz nic nie było w stanie przebić się przez radosną lekkomyślność, którą nosili jak zbroję. Nie mógł znieść myśli, że jego najukochańsze dziecko będzie żyło z ludźmi, którzy są zbyt głupi, by pojąć, że żydowski spryt i siła są jedynym zabezpieczeniem przed nadciągającą katastrofą.

To było nie do wytrzymania.

Spojrzał na żonę, a gdy próbowała coś powiedzieć, jego twarz pociemniała ze złości.

Sara zamknęła usta i odwróciła głowę. Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy nie widziała męża tak rozgniewanego.

Mosze przypominał sobie wcześniejsze słowa żony, i zaczął się zastanawiać, jak by tu użyć ich przeciwko niej. Uciekając się do kobiecych sztuczek, Sara przywarła do męża i uśmiechnęła się do niego.

— Mosze, czasy się zmieniły. Teraz wiele dziewcząt wychodzi za mąż z miłości. Poza tym on jest miłym młodzieńcem i pochodzi z zamożnej rodziny. Trudno by nam było znaleźć lepszego męża dla Estery w całej Polsce. — Zmarszczyła nos jak młoda dziewczyna, którą Mosze kiedyś poślubił. Nie była pewna, jak mu powiedzieć, że Natalie i Benjamin Gale'owie zapomnieli o tym, że są Żydami. — Naomi mówiła, że są lubiani i szanowani, chociaż ich dom nie jest koszerny.

Mosze wiedział teraz, że jego żona i córka spiskowały przeciw niemu. Boskie prawo stanowiło, że za każde kłamstwo trzeba zapłacić, i bał się, że jego córce przyjdzie za to zapłacić wysoką cenę.

Jeśli idzie o rodzinę Gale'ow, Mosze przeprowadził na własną rękę dyskretne śledztwo i nie podobało mu się to, co odkrył. Mieszkali we Francji od sześciu pokoleń i uważali się za rodowitych Francuzów, zapomniawszy o swych żydowskich korzeniach.

— Oni najwyraźniej dopasowują swoją moralność do sytuacji — mruknał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Bo jak inaczej niewierzący Żyd może sobie wyznaczać zasady życiowe?

Nowoczesny styl życia Natalie i Beniamina Gale'ow zdecy-

dowanie nie przypadł do gustu Mosze Steinowi, wychowanemu w zamożnej, lecz religijnej żydowskiej rodzinie.

I tak oto rok później wrócili do Francji na ślub, którego Mosze nie chciał. Jego złość wzmagano jeszcze bardziej to, że córka uparła się, by ślub odbył się w Paryżu, który nazywała „miastem miłości”.

Mosze mruknął coś pod nosem. Teraz było już za późno, zaręczyny zostały oficjalnie potwierdzone przez *t'naitn* — dokument stwierdzający, że obie strony zobowiązują się dotrzymać obietnicy zawarcia małżeństwa. Gdyby odwołał Ślub, ściągnąłby hańbę na całą rodzinę. Nie dawała mu spokoju świadomość, że mógł powiedzieć „nie”, kończąc ten romans, zanim się na dobre rozpoczął. Westchnął ciężko na myśl o swej głupocie i złożył dłonie przed twarzą, mrużąc: „Boże ty mój! Jak ja wtedy myślałem?”.

Postanowiwszy, że nie przyjmuje na siebie winy, prawie się nie odzywał do żony od chwili, gdy wrócili z obiadu z rodzicami chłopca. To było ich trzecie spotkanie, lecz po raz pierwszy byli sam na sam z państwem Gale i wspólny posiłek okazał się w katastrofą.

Zaczęło się całkiem dobrze, choć Mosze zraził się trochę, widząc, że gospodarze zaprosili ich do drogiej restauracji. Wiercił się na krześle, zerkając na lustra na ścianach i aksamitne draperie. Lokal kojarzył mu się z burdelem. Sam nigdy nie był w burdelu, słyszał jednak relacje tych, którzy tam byli. Rozejrzał się, lecz nie zauważył wśród gości ani jednego Żyda. Ale oczywiście we Francji Żydzi w jakiś cudowny sposób zamieniali się we Francuzów i nie można w nich było rozpoznać Żydów. Mosze był dumny, że jest Żydem, członkiem narodu wybranego przez Boga, i wiele razy słyszał, jak ojciec mówił, że właśnie z powodu swojej wyjątkowości Żydzi rodzą się, by cierpieć. I cierpieli z cichą godnością, nie błagając wrogów o litość.

Nie rozumiał, czemu niektórzy Francuzi tak desperacko starają się ukryć swoją żydowską tożsamość. Taka postawa dziwiła go i gniewała.

Państwo Gale spóźnili się, zgodnie z nakazem mody, kiedy jednak już przyszli, trudno było ich nie zauważyć. Mosze

zlustrował zbliżających się gospodarzy. Musiał przyznać, że Heniamin i Natalie Gale stanowią piękną parę. Beniamin był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Był też inteligentny; Mosze słyszał, że jest cenionym adwokatem i może się poszczycić tym, że wielu najznakomitszych gojów w mieście — oraz ich firmy — to jego klienci. Natalie Gale była wciąż zadbana i atrakcyjna, mimo że wydała na świat czworo dzieci. Mosze wiedział, że była pierwszą damą w swoim kręgu towarzyskim.

Państwo Gale przywitali się gorąco ze Steinami i Mosze poczuł się niemal usatysfakcjonowany. Jeśli gospodarze byli niezadowoleni, że ich syn żeni się z dziewczyną z Polski, doskonale ukrywali swoje odczucia. Wiadomo było, że francuscy Żydzi patrzą z góry na swoich wschodnioeuropejskich braci, lecz już przy pierwszym spotkaniu Mosze wyczuł, że rodzina chłopaka musi coś wiedzieć o warszawskich Steinach. Ho gdyby było inaczej, czy zachowywaliby się tak, jakby Estera była ich wymarzoną synową?

Rodzina Steinów była kiedyś biedna, te czasy należały już jednak do przeszłości. Rosyjski dziad Mosze zaczynał bardzo skromnie. W swojej wiosce w Rosji sprawował funkcję rytualnego rzeźnika, mimo że nie cierpiał widoku krwi. Ale w tamtych czasach syn musiał iść w ślady ojca, niezależnie od swoich pragnień. Po ucieczce do Polski Mosze odkrył, że istnieje Żydowska rada, wydająca licencje dla rytualnych rzeźników. Nie mógł jednak uzyskać dla siebie licencji, postanowił więc założyć własną firmę — mały młyn zbożowy. Interes okazał się dochodowy i dziadek Mosze stworzył wielką sieć młynów oraz sklepów spożywczych i odzieżowych. Jego syn Noe, który odziedziczył firmę, miał smykałkę do interesów. Rozszerzył działalność na udzielanie kredytów i rezultaty przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Mosze był jedynym żyjącym synem Noego Steina, bogatym i wpływowym człowiekiem, wysoko cenionym w licznej żydowskiej społeczności Warszawy.

Zanim posiłek dobiegł końca, Mosze zrozumiał, że przychyłość gospodarzy nie ma nic wspólnego z jego zamożnością. Heniamin i Natalie Gale'owie byli na wskroś nowoczesnymi rodzicami, nie próbującymi narzucać dzieciom swej woli przy wyborze życiowych partnerów.

Stało się to całkiem jasne, gdy Natalie powiedziała;
— Wiecie, mówiłam wczoraj Beniaminowi, jaka jestem podekscytowana! Od czterech lat nie mieliśmy wesela w rodzinie! Nasz najstarszy, Michel, żenił się wtedy z Abbi, miłą dziewczyną z chrześcijańskiej rodziny. — Po chwili dodała znacząco: — Było wielkie katolickie wesele. Ksiądz, który odprawiał mszę, ma rodzinę w Warszawie! — Spojrzała na Mosze i uznając, że jego nieruchome spojrzenie wyraża ciekawość, zapytała: — Może słyszeliście o rodzinie Chaillet z Warszawy?

Mosze oniemiał — właśnie się dowiedział, że jego ukochana córka wchodzi do rodziny pozwalającej dzieciom zawierać związki z innowiercami! Katolickie wesele, masz ci los! Słyszał już wcześniej, że w Paryżu czy Londynie takie rzeczy się zdarzają, lecz nigdy dotąd nie spotkał Żydów, którzy odwrócili się od podstawowej żydowskiej zasady, wedle której zawieranie mieszanych małżeństw jest wbrew tradycji.

Spojrzał z niepokojem na Sarę. To było niesłychane!

Beniamin Gale rzucił żonie spojrzenie pełne irytacji, nie rozumiejąc, dlaczego drażni Steinów.

Zapadła długa cisza.

Sara z widocznym wysiłkiem zebrała myśli. Starła się podtrzymać rozmowę, lecz spojrzała z niedowierzaniem na Natalie, gdy ta oświadczyła, że nie ma nic przeciwko temu, aby młodzi pominęli tygodniową separację poprzedzającą ślub.

— Joseph i Estera nie widzieli się przez rok. To okrutne trzymać ich z dala od siebie. Kiedy wczoraj wróciliśmy, Joseph był zrozpaczony, cały czas dopytywał się o swoją ukochaną. — Natalie odwróciła się do Sary.

— Wyślij Esterę na zakupy, niech się spotka z Josephem w kawiarni. Nie martw się, ja wszystko załatwię. — Zachichotała i mrugnęła do Sary, klepiąc ją po dłoni, jakby wspólnie konspirowały przeciwko wszystkiemu, co zasługuje na szacunek w żydowskim stylu życia.

Od tej chwili Mosze i Sara prawie się nie odzywali, pozwalając Natalie Gale mówić, aż zabrakło jej tematów. Z każdą chwilą było coraz gorzej. Beniamin Gale zdawał się rozumieć przyczynę niezadowolenia gości. Był wrażliwszy od żony i próbował załagodzić

sytuacje, zapewniając Steinów, że oboje z żoną są elastyczni, „i jeśli o niego chodzi, o wszystkim powinni decydować rodzice narzeczonej. Roześmiał się głośno, klepiąc Mosze po plecach.

- Powiedz mi tylko, gdzie i kiedy mam przyjść, a tam będę.

- Czy ślub syna tak mało dla ciebie znaczy? — zapytał Mosze.

Heniamin zaczerwienił się; nie odpowiedział na pytanie Mosze. Zapadła pełna napięcia cisza, którą próbował wypełnić, udając, że z wielkim przejęciem studiuje rachunek, i pstrykając na kelnera.

Natalie spoglądała w bok, mając nadzieję, że Steinowie nie ukażą się zbyt konserwatywni. Wszystkie jej przyjaciółki były niewierzące. Starła się zawierać jak najwięcej znajomości z chrześcijanami i namawiała męża, żeby wyprowadzili się z zachodniej części miasta, w której mieszkało najwięcej Żydów. Rozpierała ją duma, gdy Michel ożenił się z Abbi, dziewczyną z jednej z najlepszych katolickich rodzin w Paryżu. Uważała, że stary styl życia to wielki ciężar, który przynosi żydom same szkody we francuskim społeczeństwie, i często powtarzała dzieciom, że Żydzi źle robią, skazując się na życie w religijnej i społecznej izolacji. Benjamin już dawno porzucił żydowską wiarę, nie przeszkadzały mu więc nauki, których żona udzielała dzieciom.

„Żydzi sami ściągają na siebie większość problemów swoim sposobem ubierania się i zachowaniem” — powtarzała często mężowi Natalie.

Prawda była taka, że wstydziła się swojego żydowskiego dziedzictwa, a drwiny i szyderstwa, jakich doznała w dzieciństwie, wciąż jej doskwierały. Została wychowana w surowym żydowskim domu.

Poślubiwszy niewierzącego Żyda, który matował ją przed ortodoksyjnym ojcem, zbuntowała się przeciwko wszystkiemu, co żydowskie.

Sprzeciwiała się nadaniu dzieciom tradycyjnych żydowskich imion, lecz tylko Jacques ustrzegł się tej skazy. Benjamin uparł się na Michela, Josepha i Rachelę. Natalie przypuszczała, że chciał w ten sposób udo-bruchać swoją matkę, ale znalazła trochę pocieszenia w tym, że dwoje *małych* dzieci Michela otrzymało chrześcijańskie imiona i zostało wychowanych w chrześcijańskiej wierze.

Teraz, ilekroć mijała ortodoksyjnych Żydów ze zwisającymi pejsami, w brudnych chałatach, mierzyła ich niechętnym spojrzeniem. Sam wygląd wystarczał, żeby inni ludzie ich znienawidzili. Nie chciała, żeby w jakikolwiek sposób ją z nimi kojarzono. W jej pojęciu paryska rodzina Gale'ów była francuska, nie żydowska. Miała nadzieję, że związek z żydowskim dziedzictwem zostanie zerwany, a tymczasem Joseph zakochał się w żydowskiej dziewczynie!

Pocieszała się tym, że Mosze Stein jest kompletnie łysy i tylko dwóch z jego pięciu synów nosi te odrażające pejsy — i właśnie ci dwaj zajmowali się interesami w Warszawie i nie mogli przyjechać na wesele. Szczerze mówiąc, nie chciała, żeby jej syn wchodził do tej rodziny, ale Joseph miał swój rozum, choć właściwie stracił go całkowicie dla tej dziewczyny. Pocięchą było dla niej również to, że kiedy rodzice Estery wrócą do Polski, dziewczyna znajdzie się pod jej kontrolą. Zdaniem Natalie każdy, kto tylko miał szansę uwolnienia się od skazy żydostwa, natychmiast z niej korzystał.

Przy pożegnaniu zaprosiła Mosze i Sarę na kolację i zdziwiła się, gdy przyjęli zaproszenie. Lekko zaskoczona, oznajmiła sztywno: „Przekażę Josephowi, że spotkanie z Esterą jest niemożliwe”.

Potem oboje z Beniaminem odwrócili się i poszli — dwoje beztroskich, szczęśliwych Francuzów, zadowolonych z siebie i swojego francuskiego obywatelstwa, podobnie jak Mosze i Sara Steinowie byli zadowoleni, że są Żydami.

Mosze nie odezwał się do żony aż od obiadu.

Sara właśnie miała się z nim podzielić swoimi obawami i przeprosić go za to, że popierała związek córki, gdy usłyszała jej kroki.

Estera weszła do pokoju.

Ściągnięte niepokojem twarze rodziców rozluźniły się. Mosze i Sara uwielbiali swoją córkę.

Estera Stein, wychowana w rodzinie, która ją rozpieszczała, z pięcioma opiekuńczymi braćmi, czuła się bezpiecznie i pewnie. Odziedziczyła też żywą inteligencję, która kryła się za drażliwością Mosze Steina. Dumni rodzice dopilnowali, żeby otrzymała dobre wykształcenie, a ich duma powiększyła się

jeszeze, gdy córka okazała się najbardziej błyskotliwą uczennicą, jaka kiedykolwiek uczęszczała do Hebrajskiego Gimnazjum Świeckiego, szkoły dla żydowskiej arystokracji w Warszawie. Miała talent do języków, płynnie mówiła i czytała w jidysz, po polsku, niemiecku, francusku i hebrajsku. Mówiła też i rozumiała po angielsku i włosku, choć miała trudności z czytaniem tekstów w tych językach. Z powodu coraz większej dyskryminacji Żydów na polskich uniwersytetach Mosze wynajął guwernantkę, aby córka mogła kontynuować edukację w domu. listera była piękną dziewczyną i miała charakter matki — zawsze myślała o tych, którym wiodło się gorzej niż jej. Miała leż kilka niedobrych cech: była uparta jak jej ojciec i naiwna Mik matka. Czasami zdawało się, że jest skłócona ze światem, który tak źle traktuje niewinnych.

Z tego też względu Sara uważała, że powinna chronić córkę przed młodzieńczymi uniesieniami, pamiętając o tym, że Estera jest tylko naiwną dziewczyną z purytańskiej żydowskiej rodziny. Joseph Gale był światowym Francuzem, który z łatwością oczarowywał kobiety. Sara sama dała mu się oczarować, więc lożumiała fascynację Estery. Z ciężkim sercem uświadomiła sobie, że jeśli to małżeństwo okaże się nieszczęśliwe, ona będzie temu winna.

Patrząc na śliczną twarz córki, Mosze przeklinał siebie za to, że posłuchał żony. Małżeństwa z miłości to prosta droga do katastrofy. On był ojcem, panem tego domu. Jak mógł winić Sure, skoro miał prawo postawić weto wobec wszystkich zachcianek jej i dzieci? Będzie dźwigał ciężkie brzemie żalu, icśli córka nie znajdzie szczęścia z tym mężczyzną.

listera była tak podekscytowana planowaniem ślubu i wesela, że nawet nie zauważyła przygnębienia rodziców. Radość zapierała jej dech w piersi, cała twarz jaśniała, a usta rozchyliły się w uśmiechu szczęścia.

— Mamusiu, krawiec przyszedł. Suknia jest prześliczna! — zawołała. — Chodź prędko!

Przypomniała sobie o ojcu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Papo, czy to nie jest cudowne? Mosze zmusił się do uśmiechu.

— Oczywiście, kochanie. Jeśli ty jesteś szczęśliwa, to jest cudownie! — Pochylił się i pocałował córkę w czubek głowy, dotykając ustami jej kędzierzawych ciemnych włosów.

Sara wyszła szybko razem z córką, zostawiając męża samego.

Mosze spoglądał przez chwilę na drzwi. Biedne dziecko. Zbyt młoda i głupiutka, żeby oddzielić Francję od Francuzów. Jego szwagier Jakub powiedział mu, że w całym kraju narasta antysemityzm, i choć Francja jest gościnna, sami Francuzi nie są gościnni. Jakub uważał, że jeśli naziści podbiją Francję, Francuzi niewiele zrobią, żeby chronić swoich żydowskich współobywateli.

Zmartwiony Mosze zaczął chodzić po pokoju. Nazistowskie zagrożenie skierowało jego myśli na sposób, w jaki Hitler doszedł do władzy. Nagle przypomniał sobie o książce i zaczął przeszukiwać walizkę. Jeden z jego pracowników, który niedawno stał się syjonistą, postawił sobie za cel przedstawienie światu morderczego planu Hitlera i przyszedł do Mosze z szalonym pomysłem przemycenia rodziny Steinów do Palestyny. Wobec antyżydowskich nastrojów ogarniających Niemcy i kraje Europy Wschodniej wielu europejskich Żydów zaczynało dawać posłuch tym, którzy nie widzieli przyszłości dla Żydów nigdzie poza Palestyną. Ale Mosze Stein uważał, że syjoniści to głupcy. Żydzi musieli postarać się, żeby Europa ich zaakceptowała, i zapomnieć o wędrówce przez połowę świata tylko po to, by bić się z Turkami, Arabami, Brytyjczykami i Bóg wie z kim jeszcze o wąski skrawek pylistej ziemi, na której nie zmieściłaby się nawet połowa europejskich Żydów.

Człowiek ten częściowo przetłumaczył książkę nazistowskiego dyktatora, *Mein Kampf*, i błagał Mosze, żeby ją przeczytał, a kiedy usłyszał, że Mosze wybiera się do Paryża, zmusił go, żeby zabrał ze sobą przekład. Mosze zamierzał przekartkować książkę, aby spełnić daną obietnicę, i teraz uznał, że nadszedł odpowiedni moment. Nie zaszkodzi przeczytać, pomyślał — zwłaszcza że niemiecki dyktator spoziera złym okiem na Polskę.

Z książką w ręku usadowił się w fotelu stojącym najbliżej okna.

Westchnął ciężko i założył okular)' do czytania.

Przypominając sobie błagania swojego pracownika: „Zaal-

muj francuskich Żydów! Hitlera ktoś musi powstrzymać!" — przerzucił kilka kartek.

Niełatwo będzie odczytać jego pismo, stwierdził. Zaczął przesuwać palcami po stronicach, czytając na głos.

Im dłużej czytał, tym bardziej narastał jego niepokój, a uspokojenie, którego szukał, coraz bardziej się oddalało.

Przysłość tego narodu (Żydów), moralna i fizyczna, to zagadnienie samo w sobie, muszę powiedzieć. Z samego ich wyglądu poznasz, że nie kochają wody, i często ku swej rozpaczyci stwierdzasz to nawet z zamkniętymi oczami. Niejednokrotnie aż przewracało mi się w żołądku od smrodu tych chałaciarzy. Do tego jeszcze brudne ubrania i wygląd, ogólnie daleki od bohaterskiego.

Trudno to wszystko nazwać atrakcyjnym, ale ich wizerunek staje się zdecydowanie odrażający, gdy oprócz fizycznej nieczystości odkryjemy moralne plamy na tym „narodzie wybranym”.

Dało mi wiele do myślenia, gdy powoli zacząłem dostrzegać, jakie działania podejmują Żydzi w pewnych dziedzinach.

Czy jest jakaś forma brudu lub rozwiązłości, zwłaszcza w życiu kulturalnym, w którą nie byłby uwikłany chociaż zaden Żyd?

Jeśli przetniesz ten wrzód, nawet ostrożnie, spostrzegasz, jak larwę w gnijącym ciele, oślepioną nagłym światłem — parcha!

Kiedy pierwszy raz rozpoznałem w Żydzie zimnego, bezwstydnego i wyrachowanego organizatora rozpusty (prostytcji), pośród brudu wielkiego miasta, zimny dreszcz przebiegł mi po plecach...

(...) wreszcie doszedłem do wniosku, że Żyd nie jest Niemcem. Dopiero teraz poznałem w pełni tego, który uwodzi nasz naród.

Żyda nie da się oddzielić od jego poglądów.

Im dłużej się z nimi spierałem, tym lepiej poznawałem ich dialektykę.

Najpierw liczyli na głupotę adwersarza, a potem, kiedy nie było innego wyjścia, sami zgrywali głupców. Jeśli to wszystko nie pomagało, udawali, że nie rozumieją, a potem zmieniali pospiesznie temat i przytaczali banały, które nie miały

Żadnego związku z dyskutowaną kwestią, a jeśli znów zaatakowałeś, oddawali pole i udawali, że nie wiedzą, o czym mówisz. Ilekroć próbowałeś zaatakować któregoś z tych apostołów, twoja ręka zamykała się na oślizłej larwie, która przelewała ci się przez palce, i w następnej chwili znów łączyła się w jedno. Ale jeśli zadałeś któremuś z nich, w obecności świadków, tak poważny cios, że nie miał innego wyjścia, tylko przyznać ci rację, i jeśli uwierzyłeś, że posunąłeś się krok naprzód, nazajutrz czekała cię wielka niespodzianka. Żyd nic nie pamiętał z poprzedniego dnia i znów plótł swoje nonsensy, jakby nic się nie stało, a jeśli zakwestionowałeś to z oburzeniem, udawał zdumionego; nie pamiętał nic a nic, poza tym, że wczoraj dowiódł ci swojej racji. Czasem w takiej sytuacji stałem jak rażony gromem. Sam nie wiedziałem, czemu się bardziej dziwić: ruchliwości ich języków czy wirtuozerii w kłamstwie. Stopniowo zacząłem ich coraz bardziej nienawidzić. Tak więc dzisiaj wierzę, że postępuję w zgodzie z wolą Najwyższego Stwórcy, że broniąc się przed Żydem, toczę walkę o dzieło Pana.*

Ręka Mosze drżała, gdy odkładał książkę na kolana. Poczuł, że budzi się w nim przerażenie i ściska jego ciało jak imadło. Zrozumiał, że coś strasznego spadnie na Żydów w Europie — był tego pewien tak samo jak tego, że nazywa się Mosze Stein.

*** Przekład fragmentu *Mein Kampf* z tekstu angielskiego.**

Rozdział II

Joseph Gale

Kawalerskie lata Josepha Gale'a nigdy nie były spokojne. Większość znajomych Beniamina i Natalie Gale uważała, że ich wszyscy trzej synowie są przystojni, lecz najmłodszy został pobłogosławiony urodą gwiazdora filmowego, która wcale nie ułatwiała mu życia. Bez własnej winy zyskał opinię bawidamka.

Jesteś pewien, że tego chcesz? — drażnił się Jacques Gale z bratem, Metodycznie drącym listy miłosne, które dostał ostatnio od ośmiu kobiet o złamanym sercu, błagających go, by nie żenił się z Esterą Stein. Joseph podniósł brwi i uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział, wiedząc, że brat zna już odpowiedź na swoje pytanie.

Między Josephem i Jacques'em zawsze istniało zrozumienie nie wymagające słów. Był między nimi tylko rok różnicy wieku i od dzieciństwa pozostawali nierozłączni. Jacques doskonale rozumiał Josepha: brat spotkał kobietę swoich marzeń i niczego bardziej nie pragnął, niż ją poślubić.

Gdy patrzył na Josepha, po jego wargach przemknął melancholijny uśmiech. Upił mały łyk whisky z wodą sodową i powiedział głosem zabarwionym szczyptą zazdrości:

- Wiesz co, szczęśliwy z ciebie drań! Kręciło się wokół ciebie tyle panien, że już zaczynało cię to męczyć, a tu nagle zjawia się najpiękniejsza kobieta na świecie! — Wypuścił głośno powietrze. — Że też mnie się tak nie poszczęściło!

Joseph zmrużył lekko oczy, rozbawiony. Wziął w rękę ostatni list i podarł go na kawałki.

— Pewnego dnia i ty spotkasz swoją Estere, Jacques. Bądź cierpliwy. Jacques'a ogarnął niejasny, przejmujący smutek.

— Tak, wiem — mruknął bez przekonania. Zauważyli Estere Stein jednocześnie, lecz Jacques upierał się, że to on zobaczył ją pierwszy.

To było rok temu. Siedzieli z trzema dziewczynami z chrześcijańskich rodzin w jednym z paryskich ogródków kawiarnianych, ciesząc się słonecznym popołudniem, gdy Estera przyszła kupić cukierki. Choć miała piękną figurę, wszystkie spojrzenia utkwione były w jej olśniewająco pięknej twarzy z ogromnymi czarnymi oczami. Obaj w jednej chwili zapomnieli o trzech towarzyszących im Francuzkach, mimo że dziewczęta wymieniły kilka uszczypliwych uwag na temat niemodnej sukienki nieznanej rywalki.

Kiedy usłyszały obcy akcent Estery, zaczęły się prześcigać w złośliwych żartach, przedrzeźniając cudzoziemkę:

— „Ach! Cukierki czekoladowe, ze słodkimi ciereśniami w środku poprosię”. — Parsknęły śmiechem. — Przyjechała prosto ze starego kraju, więc to pewnie twój typ, Jacques!

Żadna z dziewcząt nie chciała, żeby Joseph zaczął flirtować z piękną nieznajomą, bo każda potajemnie marzyła o tym, by zostać jego przyjaciółką. Nie przeszkadzało im nawet to, że jest Żydem, co zwykle byłoby przeszkodą nawet w tolerancyjnej Francji. Ale Joseph i Jacques Gale byli inni i łatwo było zapomnieć o ich żydowskim pochodzeniu.

Jacques pierwszy odzyskał mowę. Szturchnął brata i szepnął:

— Ręce przy sobie, braciszku, ja pierwszy ją zobaczyłem! Jest moja! Joseph nie odpowiedział, lecz uśmiechnął się do dziewczyny, która odwróciła się i patrzyła teraz na niego.

A kiedy go zobaczyła, Jacques nie miał już żadnych szans.

Chłopcy szybko pożegnali panny, wściekłe z powodu ich rejterady.

— Do zobaczenia, Josephie! — zawołała z nadzieją ta ładniejsza.

Jacques pierwszy znalazł się koło Estery.

- Czy mogę służyć pani pomocą, madame? — spytał z ukłonem.

Joseph wychylił się spoza ramienia brata i puścił do niej oko. Dziewczyna zalała się rumieńcem, nie wiedząc, jak zareagować na nieoczekiwane względy braci.

- Tak.., chyba tak. — Esterze dodawało jeszcze większego uroku to, że nie zdawała sobie sprawy ze swojej zapierającej dech urody; zawsze się dziwiła, że wszyscy zwracają na nią uwagę.

Joseph wziął sprawy w swoje ręce, sięgając po pękata torebkę cukierków i podając ją z uśmiechem Jacques'owi.

- Dama przyjmuje twoją pomoc — oświadczył, po czym z galanterią ujął Esterę pod ramię i wyprowadził ją z kawiarni.

Jacques, niezadowolony, że brat go przechytrzył, szybko zajął miejsce u jej drugiego boku.

listera zerknęła spod kapelusika na Josepha, najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała. Rozpaczliwie próbowała wymyślić coś mądrego, co można byłoby powiedzieć w takiej sytuacji. Nie potrafiła jednak znaleźć w głowie ani jednego interesującego tematu, więc nic nie mówiła, pozwalając prowadzić rozmowę chłopcom, gdy odprowadzali ją do domu, w którym ojciec wynajął pokoje na letnie wakacje w Paryżu.

- Gdzie pani mieszka? — spytał Jacques, starając się zwrócić jej uwagę na siebie i jednocześnie próbując się dowiedzieć, jak daleko będą musieli iść. Dziewczyna kupiła całkiem sporo cukierków.

- W Warszawie. Jacques przewrócił oczami.

- W Polsce? — zdziwił się Joseph.

- Nie mieszka pani w Paryżu? — spytał Jacques, rozczarowany, że dziewczyna jest turystką, i w związku z tym prawdopodobnie nie zabawi długo we Francji. W tym momencie Estera spojrzała mu prosto w twarz i mógł w pełni ocenić nieskazitelność jej rysów. Pomyślał wtedy, że piękna dziewczyna z Warszawy bardzo zmieni ich życie.

Estera przezwyciężyła nieśmiałość i potwierdziła, że jest Polką, a potem powiedziała:

— Siostra mojej matki mieszka w Paryżu. Ciocia Naomi to jej jedyna siostra. Przyjeżdżamy do niej co dwa lata. Na sześć tygodni. — Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do Josepha.

Joseph nie mógł nie zauważyć, że jej usta są pięknie wykrojone, a zęby błyszczące i idealnie równe.

Jacques i Joseph dowiedzieli się, że Estera ma pięciu braci i ortodoksyjnie religijnego ojca, który nie pozwala jej umawiać się na randki.

Wkrótce znaleźli się przed domem ciotki dziewczyny przy rue des Rosiers, w najbardziej żydowskiej części Paryża.

Odgadując z manier i ubrań chłopców, że są zamożni, Estera zarumieniła się ze wstydu, że przyprowadziła ich do takiej dzielnicy. Słyszała złośliwe uwagi modnych towarzyszek chłopców i bardzo chciała powiedzieć Josephowi i Jacques'owi, że jej warszawski dom ma trzydzieści pokoi, nie zrobiła tego jednak. Nie powiedziała im też, że jej ojciec jest bardzo bogaty i stać ich na znacznie ładniejszą kwaterę w centrum miasta, nawet na Polach Elizejskich, gdyby tylko chcieli, ale matka woli mieszkać u siostry.

Rue des Rosiers nie przypominało żadnej z dzielnic, które chłopcy zwykli odwiedzać. Uliczki były wąskie, ciemne i zatłoczone; w tej okolicy osiedlało się wielu nowo przybyłych do miasta ortodoksyjnych Żydów. Joseph i Jacques przyglądali się wszystkiemu i wszystkim wokół z wielkim zaciekawieniem.

Estera zatrzymała się na schodach domu, przygryzając dolną wargę i spoglądając niepewnie w stronę drzwi. Dziś po raz pierwszy rodzice wypuścili ją samą na zakupy. Nigdy więcej jej nie zaufają, jeśli odkryją, że pozwoliła odprowadzić się do domu dwóm chłopcom. Wyciągnęła rękę po torbę cukierków.

— Do widzenia — powiedziała. Jej niepewne zachowanie świadczyło jasno o tym, że nie może zaprosić nowych znajomych do środka.

Jacques podał jej cukierki i ujął wyciągniętą dłoń Estery, dotykając jej lekko ustami. — Do widzenia, panno Stein. Miło nam było pani towarzyszyć. — Rzucił Josephowi ostrzegawcze spojrzenie. — Czy mogę panią odwiedzić? — Odchrząknął. — Na przykład jutro?

Estera nerwowo przestępowała z nogi na nogę, czekając, co powie Joseph.

- Nie wiem...

Joseph patrzył na nią jak urzeczony, rozbrojony jej niewinnością. Czy ona naprawdę nie wie, jak sobie poradzić z jego beczelnym braciszkiem?

Estera spojrzała na niego wyczekująco, nie chcąc, żeby rozmowa skończyła się zbyt szybko, lecz jednocześnie bojąc się, że w drzwiach pojawi się jej ojciec. Spojrzała z niecierpliwością na Jacques'a, a potem odwróciła się i popatrzyła na Josepha. Nie wiedząc, co dalej robić, wbiegła na schody. Odwróciła się ostatni raz.

Oczy Josepha były niewidoczne, lecz na jego ustach błąkał się uśmiech. Na pewno tu wróci.

Jacques zanotował sobie w pamięci numer mieszkania, do którego weszła ich nowa znajoma.

— Dwanaście. Popytajmy trochę i dowiedzmy się czegoś więcej o tej dziewczynie — zaproponował.

- Jeśli chcesz... — Joseph nie mógł przestać myśleć o zniewalającej urodzie Estery i jej zachowaniu, jakże różnym od zachowania dziewcząt, które zwykle spotykał, śmiałych i pewnych siebie. Przyjemna odmiana. Pytania o piękną młodą Polkę, zadane grupie mężczyzn stojących w pobliżu, spotkały się z wrogimi spojrzeniami. Jacques i Joseph byli nieco zbyt elegancko ubrani jak na tę dzielnicę, a w ich wyglądzie nie było nic żydowskiego.

Joseph zwrócił uwagę na kilku miejscowych zabijaków.

- Tu jest chyba niezbyt bezpiecznie — powiedział do brata, zastanawiając się, czy będzie musiał się bić. Na ogół jego imponujący wzrost wystarczał, żeby odstraszyć nawet największych twardzieli.

— Masz rację. Wynośmy się stąd. Jutro wrócimy — roześmiał się Jacques i pobiegli do domu, podekscytowani spotkaniem z dziewczyną z Polski.

Następnego popołudnia wsiedli na zdezelowane rowery, pożyczone od ogrodników. Ubrani w zgrzebne ubrania, nie zwracali niczyjej uwagi. Kiedy dojechali na miejsce, postawili rowery pod ścianą kamienicy i stanęli na schodach, czekając, aż dziewczyna wyjdzie. W milczeniu spoglądali na ubogich Żydowskich mieszkańców swojego pięknego miasta.

Jacques powiedział cicho do Josepha:

— Zal mi tych biednych drani.

Joseph nie zdążył nic odpowiedzieć, bo w tej samej chwili drzwi mieszkania numer dwanaście otwały się i ujrzeni Esterę idącą pod rękę z inną młodą damą; obie były ubrane tak, jakby wybierały się na popołudniowy spacer. Estera miała na sobie szmaragdową sukienkę ciasno opinającą jej smukłą talię i podkreślającą bujne piersi. Kolor pasował do jej smagłej urody. Luźne, nieupięte kędziory falowały, gdy schodziła po schodach.

— O Boże! — jęknął Jacques. — Jeśli takie są polskie dziewczyny, musimy zahaczyć o Polskę w naszej podróży. — W przyszłym roku obaj bracia zamierzali wybrać się w podróż dookoła świata.

Joseph patrzył jak zahipnotyzowany, lecz zachował swoje myśli dla siebie. Estera wyglądała jeszcze piękniej niż wczoraj. Kiedy dostrzegła chłopców, otworzyła szeroko oczy.

— Joseph, Jacques! Skąd się tu wzięliście?

Była autentycznie uradowana, ale także zdziwiona i troszkę przestraszona, że jej kuzynka może niewłaściwie zrozumieć sytuację. Ze zdumieniem spoglądała na Josepha. Sądząc po odzieniu, które obaj mieli dzisiaj na sobie, mogli być mieszkańcami tej dzielnicy.

Ruth spojrziała na nich z dezaprobatą i pociągnęła Esterę za rękę.

— Chodźmy, moja droga.

Jacques podszedł do nich szybko i ze śmiechem wyjaśnił, dlaczego mają na sobie takie dziwne ubrania. Nie zrobiło to wielkiego wrażenia na Ruth, lecz przyjrząwszy się dokładniej Josephowi, nie odprawiła chłopców.

Obaj młodzieńcy dołączyli do dziewcząt; chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o pięknej pannie z Polski. Jacques dużo mówił, starając się oczarować dziewczęta i odwrócić ich uwagę od swojego przystojnego brata.

Bracia wszystko robili razem i teraz razem zalecali się do Estery. Jacques zadurzył się w niej tak samo jak Joseph, szybko jednak stało się jasne, że mimo wysiłków Jacques'a to Joseph wyjdzie z tej rywalizacji zwycięsko. Jacques był przystojnym mężczyzną, lecz Joseph był przy-

stojniejszy. Jacques był wysoki, ale jego brat jeszcze wyższy. Jacques był czarujący, lecz Joseph jeszcze bardziej. Jacques nie mógł się opędzić od kobiet, ale Joseph nie miał dla nich czasu i, jak dotąd, bardzo mu to odpowiadało.

Gdy Jacques zauważył, że Estera patrzy na Josepha nawet wtedy, gdy odpowiada na jego pytania, westchnął zrezygnowany i skierował uwagę na jej kuzynkę. Przyjmując porażkę bez urazy, zaczął rozmawiać z Ruth, która była dość ładna, by wzbudzić jego zainteresowanie. Tymczasem Joseph i Estera czarowali się nawzajem.

Estera szła w milczeniu, lecz jej myśli były przejrzyste jak kryształ: oto spotkała mężczyznę, którego chciała poślubić. Wiedziała, że wyprzedza myślami rozwój tej znajomości. Nie miała żadnego doświadczenia w miłości, ale nie miała też wątpliwości, że poznając Josepha, znalazła miłość. Bo jak inaczej można wytłumaczyć dziwną bezradność, ogarniającą ją za każdym razem, gdy spoglądała w jego twarz, lub ogarniające całe

ciało drzenie, gdy brał ją pod rękę i prowadził ulicami Paryża?

Podniosła głowę, spojrzała na Josepha i uśmiechnęła się. Erotyczne napięcie między nimi było coraz silniejsze.

Urzeczony niemal biblijną urodą Estery, Joseph zaprowadził ją do Rue Drouot, słynnej kafejki, znanej niegdyś pod nazwą Boulevard de Gand; miał świadomość, że po raz pierwszy jego własna uroda pozostaje niezauważona. Wszystkie spojrzenia, męskie i kobiece, skupiły się na Esterze. Kiedy już wszyscy przyjrzeni jej się dokładnie, Joseph zauważył, że mężczyźni patrzą na niego z wyraźną zazdrością.

Poprowadził Esterę do stolika z marmurowym blatem, stojącego w najodleglejszym kącie kawiarni. Obie pary zamówiły lody, lecz Joseph i Estera nie mogli przestać rozmawiać, i ich porcje się roztopiły. Mówili właściwie jedynie po to, żeby mieć powód do patrzenia na siebie.

Josepha ogarnęło przemożne pragnienie, aby dotknąć jedwabistej skóry Estery, przesunąć dłońią po jej lśniących czarnych włosach, poczuć bliskość jej ciała. Ale nie mógł tego zrobić.

Estera chciała o nim wszystko wiedzieć, chciała wejść w jego świat, poznać wszystkie jego myśli i dzielić jego życie. Ale nie mogła mu o tym powiedzieć.

Byli tak zafascynowani sobą, że żadne z nich nie zauważyło, jak Jacques mruga porozumiewawczo do Ruth i oboje wstają od stolika. Przeszli na drugą stronę ulicy do niewielkiego parku, zostawiając Josepha z Esterą samych, wciąż pogrążonych w rozmowie.

Przez dziewięć następnych dni chłopcy czekali na ulicy na Esterę i Ruth, a potem towarzyszyli im w spacerach do rozmaitych parków i zapraszali do kawiarenek przy Boulevard.

Dziesiątego dnia Joseph zapragnął, żeby jego związek z Esterą wszedł w nową fazę. Namiętność do pięknej Polki sprawiła, że nie dbał o nic więcej. Przyzwyczajony do bardziej doświadczonych kobiet, które łatwo było podbić, popełnił fatalny błąd. Siedział w milczeniu nad herbatą i zastanawiał się, jak zacząć. Estera popijała herbatę, a Joseph podziwiał jej różowe, wygięte w łuk usta. Po chwili nachylił się do niej i szepnął:

— Czy możesz uwolnić się od Ruth? Jutro?

Estera zmierzyła go czujnym, badawczym spojrzeniem. — Uwolnić się? — spytała z uśmiechem.

— Muszę się z tobą spotkać sam na sam.

Uśmiech zamarł na ustach Estery. Sam na sam? Zaczęła poprawiać kapelusz, starannie unikając wzroku chłopaka i zastanawiając się nad jego pytaniem. Przecież Joseph wie, że nie mogą się zobaczyć sam na sam. Już teraz poczyniała sobie dość śmiało. Po raz pierwszy w życiu ukrywała coś przed matką. Wiedziała, że ojciec zabroniłby jej wychodzić z mieszkania albo nawet zabrał ją z powrotem do Warszawy, gdyby przeczuwał, jak jego córka spędza popołudnia.

— Mamy z bratem malutkie mieszkanko na lewym brzegu rzeki, z dala od naszego rodzinnego domu — mówił cicho Joseph. Uniósł palcem podbródek Estery. Ta dziewczyna z Polski działała na niego w niesamowity sposób. Przeczucie szczęścia pchnęło go do lekkomyślności. — Estero, muszę cię mieć. Poczuć cię w swoich ramionach. Nikt się nie dowie.

Estera przestała się uśmiechać. Wciąż zdezorientowana, nie odpowiadała. Nagle poczuła, że Joseph gładzi ją pod stołem po nodze. Pierwszy raz dotknął jej w ten sposób. Gdy dotarło do niej znaczenie tego gestu, jej twarz poczerwieniała, a w oczach błysnęła wściekłość. Zerwała się na nogi i pchnęła stół, prze-

wrając filiżanki. Jej gniewny okrzyk sprawił, że hałaśliwa sala ucichła nagle.

Pomylił się pan, panie Gale! Nie jestem dziewczką! — Była niewysoką dziewczyną, ale policzek, który wymierzyła Josephowi, mógł zrobić wrażenie. — Ruth! Idziemy! — Odwróciła się i wybiegła rozgniewana, z oczami pełnymi łez.

Joseph siedział oniemiały. Dotknął lekko zaczerwienionego policzka. Jacques, widząc osłupienie na twarzy brata, parsknął śmiechem. Śmiał się tak długo i głośno, że wszyscy zwrócili na nich uwagę.

Ciszej! — krzyknął jakiś mężczyzna.

Proszę się uspokoić! — zawołał siedzący przy stoliku obok młody chłopak, żałując, że nie wyszedł za dziewczynami. Wyciągnął szyję, ale już zniknęły. Westchnąwszy, powrócił do lektury „Paris Soir”.

Głupie gęsi — szepnęła podstarzała paryska piękność do swojej towarzyszki, rzucając tęskne spojrzenie na Josepha.

Tęgi właściciel kawiarni ruszył w ich kierunku, potrząsając gniewnie ścierką.

Wynocha! Już! — krzyknął. Wybiegając, Joseph i Jacques zobaczyli jeszcze, jak krzywi się na widok poplamionego herbatą obrusa.

Joseph i Jacques Gale'owie prowadzili beztroskie życie, odkąd sięgnąć pamięcią. Ich ojciec był bogaty i pochłonięty pracą, a matka tak zajęta obowiązkami towarzyskimi, że bardzo wcześnie zaczęła zachęcać swoje dzieci, by wychodziły z domu i szukały własnej drogi. Ze śmiechem radziła synom, żeby się dobrze bawili.

Takie podejście Natalie bardzo odpowiadało chłopcom.

Joseph właśnie zdobył dyplom prawnika na Uniwersytecie Paryskim i rodzice namawiali go, żeby wybrał się w podróż dookoła świata, zanim pójdzie w ślady ojca i zostanie adwokatem. Joseph uznał, że podróż dookoła świata to dobry pomysł, ale chciał, żeby towarzyszył mu w niej brat. Jacques miał w tym roku skończyć akademię medyczną.

Tymczasem

Joseph zaliczał jeden romans po drugim, spędzając dni w najprzyjemniejszy możliwy sposób.

Tak było do chwili, gdy poznał Esterę Stein.

Skarcony przez młodą Polkę, zamknął się w sobie. Siłąc się na nonszalancję, próbował powetować sobie porażkę, chodząc do łóżka z coraz to nowymi dziewczynami. Ale z jakiegoś powodu każda następna nudziła go jeszcze bardziej niż poprzednia.

Jacques próbował raz czy dwa poruszyć ten temat, Joseph jednak ucinał krótko: „Jeśli nie masz nic przeciwko temu. wolałbym o tym nie rozmawiać”.

Po paru tygodniach ogarnął go niepokój, którego przyczyną — o czym dobrze wiedział — była Estera. Liczył dni w kalendarzu, znając datę powrotu Steinów do Warszawy. Myślał, że lada dzień dostanie wiadomość od pięknej Polki.

Czekał i czekał, pragnąc znów ją zobaczyć.

Nie mógł zrozumieć jej milczenia, zaczął więc pić.

Pewnego razu, po północy, Jacques zastał go w bibliotece ojca, wertującego książkę o historii polskich Żydów. Uniósł brew, spostrzegłszy do połowy opróżnioną butelkę whisky. Kiedy przeczytał tytuł książki — *Żydzi w Polsce* — nie potrafił ukryć rozbawienia w głosie.

— Od kiedy to interesujesz się historią polskich Żydów? Joseph mruknął coś i pospiesznie zamknął książkę, wypożyczoną z biblioteki uniwersyteckiej.

Jacques przysunął sobie krzesło.

— Wygląda na to, że przydałoby ci się towarzystwo. Joseph wzruszył ramionami; pomyślał, że brat zna go zbyt dobrze. Nie chcąc, by Jacques wyczuł jego tęsknotę za Esterą, zaczął mu opowiadać o swojej nowej kochance, tygrysicy z Nicei.

— Pół Francuzka, pół Włoszka, kompletnie szalona! Nauczyła mnie nawet paru sztuczek!

Roześmiali się obaj.

Joseph nalał sobie szklanekę whisky i opróżnił ją dwoma głośnymi haustami.

Jacques długo przyglądał się bratu.

— Nie napisze do ciebie, wiesz? — powiedział wreszcie i odchrząknął.

— Dziewczęta w Polsce są inaczej wychowywane.

Josephowi zaschło w ustach. Patrzył przez chwilę na brata, a potem bez słowa nalał sobie znowu. Myślał o tym, co powiedział Jacques, wciąż jednak nie potrafił przyznać się do swoich prawdziwych uczuć.

— Niech wraca do tej swojej Polski! — odparł szorstko, po czym zapalił papierosa, zły, że Jacques wyczuł, jak bardzo tęskni do Estery. — Jak na mój gust, jest za bardzo naiwna i prostolinijna.

Jacques usadowił się wygodnie.

— Czyżby? Ja nie odniosłem takiego wrażenia.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że jego brat jest zbyt arogancki w stosunku do płci pięknej. Już jako nastolatek miał magnetyczny wpływ na kobiety w każdym wieku. Uwielbiał je, a one to odwzajemniały. Było ich bardzo wiele — ustawiały się w kolejce, żeby uwieść Josepha.

A teraz ta dziewczyna z Polski doprowadziła go do rozpacz. Jacques doskonale to rozumiał. Wiedział, że niewiarygodna uroda Estery i jej dziecięca niewinność oczarowałyby każdego mężczyznę. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby w grę wchodził ktoś inny, nie jego brat, z pewnością podjąłby poważną próbę zdobycia serca Estery Stein.

Po raz pierwszy w życiu zrobiło mu się żal Josepha. Mimo to nie mógł go okłamywać.

— Braciszku, przykro mi to stwierdzić, ale to, co mówisz, kłóci się z tym, co mówią twoje oczy.

— A ty, braciszku, pieprzysz bez sensu! — odparował Joseph. Przeniósł wzrok na sufit, zastanawiając się, czy powiedzieć prawdę, czy dalej ciągnąć tę grę. Wiedział, że brat czeka i ocenia go. Czy jest gotów, żeby obrócić wszystko w żart? Do diabła z Jacques' em, pomyślał, ale nagle przeszła mu ochota, by grać z bratem w ciuciubabkę. Zakręcił nerwowo szklanką w dłoni.

— Jak mogłem być taki głupi? — Przygryzł wargę. — Tak, przyznaję się. Z początku chodziło mi tylko o to, żeby zaciągnąć Esterę do łóżka. — Oparł się bezwładnie o stół. — A teraz

nie mogę jeść, nie mogę spać — wyznał. — Jacques, ja muszę ją mieć. Jacques był zaskoczony, ale i zadowolony.

— A więc tym razem naprawdę się zakochałeś? — naigrawał się dobrodusznie z brata. Do tej pory Josephowi wszystko przychodziło zbyt łatwo i być może nadszedł czas, żeby nauczył się tego, co Jacques już wiedział: że nie wszystko w życiu przychodzi bez wysiłku. — Może powinieneś się z nią ożenić — zasugerował ze śmiechem, wiedząc, że Joseph nigdy nie brał pod uwagę ślubu z żadną kobietą, bez względu na to, jak bardzo był nią zauroczony. „Czemu mężczyzna ma jeść codziennie tę samą potrawę, skoro może mieć szwedzki stół”, powtarzał często. — Daj sobie z nią spokój — dodał po chwili poważniejszym tonem. — Ona wróci do Warszawy i nigdy więcej jej nie zobaczysz. — Spojrzał bratu w oczy. — Czy tego chcesz?

Twarz Josepha załapała się purpurą. Długo milczał, ale wreszcie odparł:

— Nie, nie chcę. — Zamilkł na chwilę, a potem spytał: — Widziałeś ją?

Jacques potrząsnął głową i odrzekł, jakby drażniąc się z bratem:

— Nie, ale wiem o rodzinie Steinów o wiele więcej niż ty. Joseph spojrzał na niego pytająco.

— Nadal spotykam się z Ruth — oznajmił Jacques. — Chodziłem z nią po żydowskich osiedlach. Wczoraj poszliśmy na *Dos pletzt*. — *Dos pletzl*, zwane przez Paryżan „małą dzielnicą”, znajdowało się w czwartym dystrykcie Paryża i było zamieszkane przez ubogich żydowskich imigrantów. W oczach Jacques'a pojawił się osobliwy błysk. — Nie uwierzyłbyś, jak ci ludzie trzymają się swojej wiary, czerpiąc z niej siłę...

— Uśmiechnął się, widząc zdumienie w oczach Josepha. — Prawdę powiedziawszy, jestem bardzo ciekaw Żydów, tych prawdziwych Żydów... nie dekowników takich jak my... — Roześmiał się, ale zaraz spoważniał. — Powiem ci, że nie jest łatwo być prawdziwym Żydem! Joseph ze zniecierpliwieniem odwrócił głowę. Los Żydów mało go obchodził.

— Innym razem, Jacques. Proszę cię... Czy Ruth powiedziała ci coś o Esterze?

— No dobrze. — Jacques postanowił ulitować się nad bratem. — A więc, jeśli chodzi o Esterę... — Odchrząknął. — Musisz wiedzieć, że Estera Stein jest dziedziczką dużego majątku.

Śmiech Josepha zabrzmiał jak zduszone szczerknięcie. Jednak Jacques nie dał za wygraną.

— Posłuchaj mnie. Zapomnij o tym, w jakiej dzielnicy Estera mieszka w Paryżu. Ruth przysięga, że jej kuzynka Estera pochodzi ze znanej żydowskiej rodziny. Ojciec Estery jest jednym z najbogatszych Żydów w Warszawie, może nawet w całej Polsce. — Mówił powoli, akcentując każde słowo. — Wielu mężczyzn w Warszawie chciałoby móc zdobyć tę dziewczynę. A ty, mój drogi bracie, jesteś pierwszym, którego Estera poznała, nie licząc krewnych. Masz przewagę nad każdym żydowskim sukinsynem w Polsce!

Joseph słuchał tego w niemal desperackim skupieniu, rozumiejąc, że staje przed nowym dylematem. Z ubrania Estery wywnioskował, że Steinowie muszą być zamożni, nigdy jednak nie przypuszczał, że mogą być bogatsi niż jego rodzina.

— Co jeszcze powiedziała Ruth? — zapytał.

Jacques ścisnął wargi palcami, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem powtórzył Josephowi to wszystko, czego Joseph już się dowiedział przez dziesięć dni:

— Cóż, Estera jest wyborną pianistką, mówi pięcioma czy sześcioma językami. Jest dobrze wykształcona, w odróżnieniu od innych polskich dziewcząt. Jej ojciec wynajął prywatną guwernantkę, jakąś Angielkę. — Przypomniał sobie kilka zdumiewających uwag, które Ruth wypowiedziała niepytana. — Zdaje się, że Polacy dają się Żydom we znaki w szkołach — wyznaczają dla nich określoną liczbę miejsc. A poza tym separują ich w klasach, .każą siadać w „ławkach-gettach" na końcu sali. Wyobrażasz to sobie? — Jacques potrząsnął ponuro głową. — W każdym razie Estera dużo czyta. Ruth mówi, że jest bardzo inteligentna.

— Spojrzał na Josepha, który wpatrywał się nieruchomo w jego twarz. — Co jeszcze? Aha, w wolnych chwilach pracuje ochotniczo w żydowskich darmowych kuchniach w Warszawie. To wszystko, co zapamiętałem. — Uśmiechnął się. — I jeszcze jedno: Ruth twierdzi, że jej kuzynka jest dziewczyną.

Joseph nie mógł tego wiedzieć, lecz pamiętając reakcję Estery w kawiarni, nie był zaskoczony.

— Czy wspominała o mnie Ruth? — spytał ściszo, lekko drżącym głosem.

Jacques potrząsnął głową.

— Przykro mi, braciszku. Dziewczyna jest urażona i rozgniewana. Ostrzegła Ruth, że jeśli chce pozostać jej przyjaciółką, nie wolno jej wymieniać przy niej twojego imienia.

Twarz Josepha pobiła jak kreda. Im więcej dowiadywał się o Esterze, tym bardziej jej pragnął. Była urocza, inteligentna i piękna ponad wszelkie wyobrażenie. Będzie dla jakiegoś mężczyzny idealną żoną. Ścisnęło mu się serce na myśl, że ktoś inny może ją mieć. Chciał jej tylko dla siebie.

Długo siedział bez słowa.

Jacques wstał, otworzył butelkę sherry i nalał sobie do szklanki. Potem ponownie usiadł i z zaciekawieniem obserwował twarz brata, na której toczyła się walka.

Joseph popatrzył na niego.

— Jeśli pójdę do niej na kolanach, jak to będzie wyglądać? Jeśli będę ją błagał, pomyśli, że jestem słaby. — Był zbyt dumny, żeby zdobyć się na przeprosiny. Gotowały się w nim emocje. Ponownie wypowiedział słowa, w które chciał wierzyć: — Skontaktuje się ze mną.

Jacques potrząsnął niecierpliwie głową.

— Nie ona.

— Zawsze tak robią, przecież wiesz — przypomniał mu Joseph.

Jacques siedział bez ruchu, zastanawiając się nad sytuacją brata.

Wiedział, że Estera Stein nie skontaktuje się z Josephem. Kochał brata i nie miał wątpliwości, że Joseph byłby głupcem, pozwalając odejść jedynej kobiecie, która uczyniłaby go naprawdę szczęśliwym.

Długo siedzieli obaj w milczeniu.

Wreszcie Jacques zerknął kątem oka na zegar.

— Boże drogi! Spójrz, która godzina! Idę spać — oznajmił, ale nie ruszył się. Szczerze uczucie dla brata kazało mu podjąć jeszcze jedną próbę: — Josephie, nigdy nie przestaniesz żałować, jeśli pozwolisz Esterze odejść. Naprawdę. Idź do niej.

Jutro. - Odsunął krzesło. — A teraz pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Joseph popatrzył na niego, krzywiąc ironicznie wargi. — Możesz zabrać swoją radę ze sobą do łóżka. Jacques wzruszył ramionami i ruszył w stronę drzwi.

— W porządku. Jak chcesz.

Po jego wyjściu Joseph nalał sobie następną szklanę, a potem następną i jeszcze jedną. Powoli upił się do nieprzytomności, zagłuszając szalejące w nim emocje.

Dziesięć dni przed planowanym wyjazdem Steinów do Warszawy Joseph poprosił brata o doreczenie Esterze listu.

Dziewczyna podarła list i rzuciła go Jacques'owi pod nogi, krzycząc, żeby sobie poszedł, bo zawoła ojca.

Pięć dni przed jej wyjazdem Jacques i Ruth zaprosili ją na lody.

Estera odrzuciła zaproszenie.

Cztery dni przed powrotem rodziny Steinów do Warszawy Joseph zapukał do drzwi ich mieszkania z kwiatami i cukierkami czekoladowymi w rękach.

Dziewczyny nie było w domu. Jej rodzice przyjęli go lodowato.

Trzy dni przed wyjazdem Steinów Joseph oznajmił swoim zdumionym rodzicom, że poznał dziewczynę, z którą chce się ożenić, i spytał, czy coś zrobią w tej sprawie.

Następnego dnia Beniamin i Natalie Gale skontaktowali się ze swatem.

Poznawszy szczegóły, swat wyraził wątpliwości: uważał, że znaczne różnice między rodzinami źle wrozą takiej parze. Ale gdy spotkał się z Josephem i zrozumiał, jak głębokie jest jego uczucie do dziewczyny z Polski, zgodził się udać do Mosze Steina.

Ku zaskoczeniu wszystkich Mosze i Sara Sternowie odrzucili propozycję małżeństwa, twierdząc, że młody Gale nie jest odpowiednim kandydatem na męża dla ich córki.

Dzień przed ich wyjazdem z Paryża zrozpaczony Joseph chodził ulicami miasta. Chodził i rozmyślał. Wszystko na czym zbudował swoje życie, obracało się w gruzy. Nagle dostrzegł

sens w małżeństwie, które zawsze krytykował, uważając je za przeżytek. Nie wiedząc jak, znalazł się koło domu Estery. Stał przez chwilę, wpatrując się w okna mieszkania Steinów. Zrozumiał, że jeśli pozwoli dziewczynie odejść, do końca życia nie przestanie tego żałować. Krążył w kółko, mówiąc sam do siebie i zastanawiając się, jak ją odzyskać. Przechodnie śmiali się, robili do siebie miny i stukali się palcami w czoło. Myśleli pewnie, że to jakiś zbieg z domu wariatów pojawił się na ich ulicy.

Joseph nawet tego nie zauważył.

Nagle podjął decyzję, wbiegł na schody mieszkania Steinów i zaczął walić w zamknięte drzwi.

— Estero, musisz ze mną porozmawiać! — zawołał. Mosze otworzył, myśląc, że ma do czynienia z szaleńcem. Sara zasłaniała córkę — uznała, że młody człowiek jest czymś odurzony.

Joseph spojrzał Esterze w oczy. Wyciągnął rękę.

Estera odsunęła matkę i powoli podeszła do niego. Była blada i bardzo szczupła.

Joseph widział, że jest tak samo udęczona jak on.

— Estero — powiedział błagalnym tonem — czy mi kiedyś wybaczysz? Dziewczyna rozplakała się.

Mosze krzyknął, że Joseph ma odejść, i zagroził, że zrzuci go ze schodów.

— Estero, nie potrafię przestać o tobie myśleć — powiedział. Na jego twarzy widać było głębokie uczucie. — Najdroższa, musisz za mnie wyjść.

Estera podeszła bliżej.

Joseph delikatnie pogładził ją dłonią po policzku.

— Wyjdiesz za mnie?

Wzburzony Mosze próbował odsunąć córkę od Josepha.

Czując, że widzi wielką miłość, Sara pociągnęła męża za rękę, którą trzymał Esterę.

Mosze jednak nie puścił. Desperacja dała mu nadludzką siłę: szarpnął wściekle córkę w swoją stronę, a razem z nią Josepha.

Ale jego córka była równie uparta jak on.

— Tak, Josephie! — zawołała, płacząc. — Wyjdę za ciebie! Dam ci dzieci! Zestarzę się z tobą! Tak! Tak!

Trzymani przez przerażonego Mosze Steina w żelaznym uścisku, łkali i całowali się.

— Kocham cię, Estero! — szeptał Joseph. — Kocham cię.

Wzburzony Mosze odłożył powrót do Warszawy. Po trzech dniach, nie mogąc znieść nieustannych nagabywań dwóch zapłakanych kobiet, które kochał, niechętnie wyraził zgodę na ślub córki z Josephem, wymógł jednak na młodych tradycyjny, roczny okres narzeczeństwa. Nakłonił ich też do złożenia drugiej obietnicy: jeśli ślub odbędzie się w Paryżu i jego córka zamieszka w tym mieście, oboje przyjadą do Polski, gdy będzie miało urodzić się ich pierwsze dziecko.

— W takiej chwili Esterze będzie potrzebna matka — oświadczył. Był zazdrosnym ojcem i nie zawahał się wykorzystać sytuacji, żeby dostać to, czego chciał.

Joseph nie wybiegał myślami poza wesele i miesiąc miodowy. Myśl o rodzinie wydała mu się dziwnie pociągająca. Ucisnął dłoń Mosze.

— Przyrzekam. Kiedy Estera będzie się spodziewać pierwszego dziecka, przywiozę ją do was.

Rozdział III

25 sierpnia 1939. Warszawa, Polska

Pogoda w Warszawie była wyjątkowo ciepła, lecz ludzie byli w ponurych nastrojach. Koncentracja nazistowskich wojsk na zachodzie sprawiła, że powiało chłodem, który przeleciał przez cały kraj i wdarł się do każdego domu i serca.

Próbując stworzyć atmosferę święta, rodzina Steinów spędzała w sierpniu dużo czasu na powietrzu, na otoczonym murem podwórku. Ich ukochana Estera była w domu pierwszy raz od ślubu, czekając na narodziny swojego pierwszego dziecka.

Mimo szaleństwa, które ogarnęło tego gorącego lata Berlin, Joseph Gale dotrzymał słowa danego Mosze.

Obietnica obietnicą, teraz jednak trudno mu było uwierzyć, że okazał się tak lekkomyślny i zabrał żonę w zaawansowanej ciąży z bezpiecznego Paryża do Warszawy, gdzie wszystko wydawało się takie niepewne. Jego rodzina była przeciwna tej podróży.

Optymistyczna wiara Beniamina Gale'a w pokój w Europie legła w gruzach. Śledząc nieudolne wysiłki francuskich i brytyjskich polityków, próbujących ułagodzić nienasyconego niemieckiego dyktatora, pojął daremność dyplomatycznych rozwiązań. „Hitler i jego siepacze nie rozumieją niczego prócz brutalnej siły — rzekł do najmłodszego syna. — Obawiam się, że czeka nas trochę szarpaniny. Nie jedź do Polski, synu, tam właśnie zacznie się pożoga”.

Słowa ojca nie dawały teraz Josephowi spokoju. W ciągu

ostatniej doby ogromna armia niemiecka zaczęła wykonywać pierwsze ruchy.

Siedział z teściem na wybrukowanym podwórku; na kamieniach leżał rzucony przez kogoś polskojęzyczny dziennik „Nasz Przegląd”. Obaj mężczyźni w milczeniu słuchali radia, czekając na dodatkowe wiadomości dotyczące koncentracji niemieckich sił na polskiej granicy. Po ponad godzinie spiker ogłosił podnieconym głosem: „Nasze źródła w Niemczech podają, że Adolf Hitler zagroził, iż zetrze Polskę z mapy! Niemieckie wojska w każdej chwili mogą przelać się przez polską granicę. Niech żyje Polska!”. Od tego komunikatu rozgłośnia nadawała w kółko polski hymn, *Mazurek Dąbrowskiego*. Nagle przerwano nadawanie hymnu i spiker histerycznym głosem wykrzyczał: „Polskie źródła wywiadowcze przed chwilą potwierdziły, że we wczesnych godzinach rannych niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych telegrafowało do niemieckiej ambasady i konsulatów w Polsce, nakazując niemieckim obywatelom opuszczenie naszego kraju najkrótszą drogą!”.

Joseph i Mosze popatrzyli na siebie bez słowa.

— Jest tylko jedno wyjaśnienie takiego rozkazu — stwierdził po chwili Mosze.

W oczach Josepha błysnął sarkazm.

— Tak... Jaka to byłaby szkoda, gdyby Niemcy zaczęli zabijać Niemców! Na falach eteru znów zabrzmiała melodia polskiego hymnu.

Mosze wstał i pochylił się nad odbiornikiem. Kręcąc gałką, nastawił radio na stację BBC. Komunikat brytyjskiego spikera brzmiał jak podzwonne dla Polski; jego głos, pełen troski, lecz spokojny, doskonale oddawał stosunek jego kraju do ostatnich wydarzeń. „Nasz londyński korespondent donosi, iż Radio Berlin ogłosiło, że doszło do »polskich napaści« na niemieckie terytorium i że polski rząd odrzucił pokojową propozycję fuhrera. Potwierdzono wcześniejsze informacje, że armia niemiecka zbliża się do polskiej granicy”. Po chwili dodał, że brytyjski premier, Neville Chamberlain, podjął wszelkie możliwe wysiłki, aby zapobiec polsko-niemieckiej wojnie.

Mosze mruknął coś i nastawił odbiornik z powrotem na Warszawę.

Rozgłośnia chwilowo przerwała nadawanie i radio

tylko głośno buczało, Mosze złapał więc Berlin. Niemiecki spiker był jeszcze bardziej podekscytowany niż polski prezenter. „Nasz ukochany fiihrer — grzmiał — wielki mąż stanu, złożył ostatnią wspaniałomyślną propozycję durnym Polakom. Wszystko zależało od nich samych. Jednak głupota Polaków nie zna granic: wybrali wojnę!”.

Mosze usiadł ciężko. Nadeszło to, czego lękał się od dwóch lat.

Twarz Josepha była ciemna jak chmura burzowa, gdy spojrzał na teścia.

— Wygląda na to, że nie ma już odwrotu — powiedział. Mosze

oświadczył z nutką dumy w głosie:

— Polska to nie Austria czy Czechosłowacja. Niemcy nie przemaszerują przez Polskę bez walki.

Joseph uniósł brwi.

Po twarzy Mosze przemknął gniew.

— Mówię ci, nie oddamy im ani guzika!

— Tak, oczywiście — odparł ze znużeniem Joseph. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Polacy poddadzą się bez walki. Przez ten rok sporo przeczytał o Polsce i wiedział, że po setkach lat tragicznych wojen i brutalnych najazdów naród polski jest gotów bronić się ze wszystkich sił przed kolejną okupacją. Od kilku dni słyszał na ulicach przechwałki zadziornych Polaków, opowiadających, co zrobią Niemcom, jeśli ci odważą się postawić stopę na polskiej ziemi. Nawet dzieci krzyczały, że niemieccy żołnierze zawisną na bramach miasta.

Joseph uważał, że Polacy zasługują na podziw, lecz ich brawura graniczy z głupotą.

Mosze patrzył w przestrzeń, zamyślony. Pocieszało go jedno: po latach potulnych, prowadzonych bez przekonania negocjacji z Hitlerem, Wielka Brytania i Francja wreszcie uświadomiły sobie gorzką prawdę — apetytu Hitlera nie można zaspokoić. Nadrenia, Austria i Czechosłowacja były tylko przystawkami. Przywódcy Europy Zachodniej odkrywali wreszcie to, co Mosze Stein wiedział od początku: niemiecki dyktator nie spocznie, dopóki cała Europa nie znajdzie się w jego żelaznych szponach. Dopiero teraz sprzymierzeńcy Polski niechętnie przyjmowali do wiadomości, że nie mają innego wyjścia oprócz walki.

Uśmiechnął się ponuro, gdy spiker Radia Warszawa ogłosił po raz setny: „Ambasadorzy Wielkiej Brytanii i Francji skierowali do Hitlera notę z informacją, że ich kraje dotrzymają zobowiązań wobec Polski”. Mosze wiedział, że po brytyjskim i francuskim ultimatum został puszczony w ruch ciąg zdarzeń, nieuchronnie prowadzących do wojny.

— Bezkrwawe podboje Hitlera skończą się, jeśli zaatakuje Polskę — stwierdził.

Joseph poczuł, że drętwieją mu ręce i nogi. Miał nadzieję, że Mosze się myli. — Lepszy bezkrwawy podbój niż krwawy.

Zdziwiło to Mosze, lecz przypisał słowa zięcia jego miłości do Estery i postanowił je zignorować.

— Czas podnieść zwodzone mosty — zakomunikował. Złapał leżące na stoliku pióro i papier i coś napisał, po czym wstał i ruszył w stronę domu.

— Sprawa jest przesądzona — rzucił przez ramię do Josepha. — Do rana z pewnością nas zaatakują.

Choć chwila była pełna napięcia, Joseph miał ochotę się uśmiechnąć: staruszek nie przestawał go zaskakiwać. Nie sposób było odgadnąć, co mu chodzi po głowie. Zdecydowanie teścia umocniło tylko Josepha w postanowieniu, że musi za wszelką cenę zapewnić żonie i nienarodzonemu dziecku bezpieczeństwo w czasie zbliżającej się nawałnicy. Mosze stanął w drzwiach i zawołał Janka, jednego z trzech młodych Polaków, którzy służyli w domu Steinów. Janek był najbystrzejszym i najszybszym z nich.

Chłopiec przybiegł z twarzą zaczerwienioną z podniecenia.

— Już jestem!

— Zanieś tę wiadomość Abrahamowi — nakazał Mosze i klepnął Janka w plecy. — Tylko raz-dwa! — Odprowadził chłopaka wzrokiem i zwrócił się do Josepha: — Moi synowie przyjdą na obiad.

Mosze wysłał Janka z poleceniem dla swoich pięciu synów, aby wypłacili pracownikom wynagrodzenie i puścili ich do domu. Do rozrzuconych po całej Warszawie młynów, sklepów i kantorów mieli zostać wysłani zaufani subiekci z takimi samymi poleceniami. Pracowników miano zapewnić, że gdy tylko Steinowie otworzą z powrotem interes, wszyscy zostaną

zawiadomieni. Po zamknięciu lokaii synowie Mosze mieli natychmiast stawić się w rodzinnym domu.

Nagle z piętra dobiegi rozziewający krzyk.

Serce Josepha zabiło szybciej. Podniósł się z krzesła z przerażeniem na pięknej twarzy, spojrział na okno na piętrze i wyszeptał:

— Estera...

Bóle przedporodowe zaczęły się już wczoraj wieczorem. Mosze pobladł, lecz wskazał zięciowi palcem krzesło.

— Siadaj. Spytam doktora, co się dzieje — rzekł i szybko zniknął wewnątrz domu.

Joseph ruszył za nim, ale po chwili zatrzymał się i zaczął po prostu chodzić w tę i z powrotem z dłońmi splecionymi tak mocno, że aż pobiełały mu kostki. Nie było sensu spierać się z teściem. Nie po tym, co zdarzyło się wcześniej tego dnia.

Kiedy Joseph czekał na powrót Mosze, doręczono mu telegram od ojca w Paryżu.

Przeczytał go, poruszając bezgłośnie wargami.

PILNE

Do Mosze Steina, Warszawa, Polska

Do wiadomości Josepha Gale'a

Joseph, wyjeżdżaj natychmiast z Polski obojętnie jaką trasą.

Wojna jest nieuchronna!

Beniamin Gale, Paryż, Francja

Joseph zamknął na chwilę oczy, trzymając kartkę w dłoni. Mruknął coś cicho, a potem zaklął:

— Do licha! Gdyby to tylko było możliwe! Przycisnął depeszę do piersi, marząc o tym, żeby być teraz

z Esterą w Paryżu. Po chwili znów zaczął chodzić w tę i z powrotem.

Kiedy Mosze wrócił, podniósł pytająco brwi na widok telegramu.

Ale Joseph najpierw chciał wiedzieć, co się dzieje z żoną.

— Estera?

— Doktor Szoham powtórzył to samo, co przed godziną,

synu — odparł niewzruszenie Mosze. — Długi poród to normalna rzecz przy pierwszym dziecku.

Joseph podszedł niecierpliwie do krzesła, na które opadł Mosze, i stanął nad teściem. - Co dokładnie powiedział?

Mosze wypuścił ciężko powietrze i spojrzał surowo na zięcia. Nigdy nie widział mężczyzny, który by się tak denerwował porodem. Parę godzin wcześniej Joseph omal nie poturbował doktora Szohama, domagając się od niego, żeby biedak powstrzymał bóle Estery. I to natychmiast! Bogu dzięki, że Abe Szoham jest przyjacielem rodziny, bo nie wiadomo, jak by się lu skończyło.

Mosze uśmiechnął się lekko i poklepał Josepha po plecach. Abe prosił, żebym trzymał cię z daleka od niego. Przepraszam — rzekł Joseph. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Ale Mosze wiedział. Żałosne krzyki i jęki Estery były trudne do zniesienia.

Mojej córce nic nie będzie — zapewnił zięcia, próbując także uspokoić w ten sposób samego siebie.

Joseph przyglądał się teściowi, nie bardzo wiedząc, czy może mu wierzyć.

Wyraz twarzy Mosze niczego jednak nie zdradzał.

Przechylił głowę, nasłuchując, ale nic nie usłyszał.

Krzyki Estery stopniowo cichły i teraz jej postękiwania ledwo było słyhać. Joseph bał się śmiertelnie o swoją młodą żonę, a teraz miał jeszcze dodatkowy kłopot, bo wyglądało na to, że cała niemiecka armia zwali im się na głowę.

Podał teściowi telegram i zaczął szukać w kieszeni papierosa. Biorąc pod uwagę, jak bardzo niepokoił się o żonę, miał zadziwiająco pewne dłonie. Zaciągnął się głęboko dymem i zerknął na teścia przyglądającego się depeszy.

Zirytowany Mosze powiedział podniesionym głosem: To zbyt niebezpieczne. Estera nie może teraz podróżować. Wiem — odparł Joseph, biorąc od niego telegram i chowając go do kieszeni koszuli.

Usiadł z papierosem i spojrzał jeszcze raz na teścia, który jakby zapomniał o jego obecności. Twarz Mosze była ściągnięta

i Josephowi zdawało się, że jego oczy zdradzają lęk. Pewnie każdy Żyd w Polsce wygląda teraz tak samo, pomyślał. Jeśli Hitler wejdzie się do Polski, w której mieszka trzy i pół miliona Żydów, będzie jak lis w kurniku.

Zbyt pochłonięty własnymi problemami, żeby dłużej zastanawiać się nad rozpaczliwym położeniem Polski, Joseph zmrużył oczy i zaczął gorączkowo myśleć. Jeszcze wczoraj był młodym mężczyzną nie znającym trosk, a dziś martwił się o Esterę i jej bezpieczeństwo w przypadku wybuchu wojny. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym kącikiem ust. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli Polska zostanie napadnięta. Gdyby był sam, mógłby to potraktować jako przygodę. Mógłby przyłączyć się do walczących Polaków albo uciec, wrócić do Francji i wstąpić do francuskiej armii, by walczyć z Niemcami na Zachodzie. Ale z żoną i nowo narodzonym dzieckiem walka ani ucieczka nie wchodziły w grę.

Przeklinał sam siebie za to, że wyjechał z Francji i wybrał się do Polski w samym środku europejskiego kryzysu. Kiedy się słuchało płomiennych mów niemieckiego dyktatora, nie trzeba było być geniuszem, by przewidzieć, że w końcu zaatakuje Polskę. Przypominał sobie przyczyny, dla których wyruszył w tę podróż: w Paryżu wojna zdawała się tak odległa... zawsze dotrzymywał danego słowa... a Estera, obawiając się pierwszego porodu, rozpaczliwie pragnęła być z matką.

Nie umiał jej niczego odmówić.

Bóg pobłogosławił ich małżeństwo i z każdym dniem kochali się jeszcze bardziej.

Delikatnie naprowadzany przez Esterę, Joseph zaczął się interesować swoim żydowskim dziedzictwem. Natalie Gale robiła, co tylko mogła, by rozluźnić związki dziewczyny z żydowską tradycją, ale przegrała. Joseph zachichotał, przypominając sobie zdziwienie matki, gdy odkryła, że synowa ma silniejszą osobowość od niej. Spokojne i łagodne zachowanie Estery sprawiało wrażenie, że można ją łatwo kierować, Natalie jednak przekonała się rychło, że tak nie jest. Młoda kobieta odnosiła się do teściowej z szacunkiem i zawsze uważnie słuchała jej rad, potem jednak postępowała zgodnie z własnym sumieniem, nie przejmując się naciskami Natalie. Pierw-

szy raz w życiu ktoś ucierał matce Josepha nosa. ale odmowy Estery były lak dyplomatyczne, że Natalie nie mogła się skarżyć, jeśli nie chciała wyjść na jeszcze większą wiedźmę, niż była.

Joseph cieszył się, że Estera kieruje się swoim rozumem. Zanudziłyby się z kobietą, która potakiwałaby każdemu przy każdej okazji.

W listopadzie, gdy nieśmiało wyznała mu, że jest w ciąży, niemal fruwał z radości. Porwał ją wtedy w ramiona, całował w usta, po szyi, brzuchu... Prawie się uśmiechnął na to szczęśliwe wspomnienie, zaraz jednak przypomniał sobie o dylematach, które przed nim stoją, i twarz mu się ściągnęła. Lekkomyślnie ignorując ostrzegawcze sygnały, świadczące o zbliżaniu się wojny, wystawił Esterę i ich nienarodzone dziecko na prawdziwe niebezpieczeństwo.

Z kuchni wyszła jedna z polskich służących z dzbankiem kawy i talerzykiem ciastek. Przysłała ją jej pani, Sara Stein, która czuwała przy boku Estery. Dziewczyna z ponurym wyrazem twarzy złośliwym tonem poinformowała Mosze, że pojawił się nowy problem:

— Dziecko panny Estery obróciło się w złą stronę. Doktor Szoham próbuje je przekręcić. Powiedział, że jeśli dziecko dobrze się ułoży, pana córka urodzi w ciągu kilku godzin.

Joseph pomyślał, że Estera z pewnością strasznie cierpi, i skoczył na nogi.

— Muszę do niej iść!

— Zostaw babskie sprawy babom — nakazał Mosze znużonym głosem, gotów powstrzymać zięcia siłą, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Wstał i zagroził mu drogę do drzwi. Według niego mężczyźni powinni trzymać się z dala od miejsca porodu, zwłaszcza tacy jak Joseph, nie umiejący panować nad swoimi emocjami. — Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, sprowadzając najlepszego lekarza w mieście - dodał. Teraz reszta zależy od doktora, Estery i... — zawahał się chwilę — od Boga.

Stanął obok znacznie wyższego zięcia, poklepał go po plecach i popatrzył na niego. Przemknęło mu przez myśl, że z Josephem nie łączy go absolutnie nic oprócz tego, że obaj są

Żydami i kochają Esterę. Uznał jednak, że to wystarczy. W ciągu ostatniego miesiąca jego opinia na temat Josepha uległa zmianie. Bez względu na to, kim był ten chłopak we Francji i co robił, ożeniwszy się z Esterą, zamienił się w najtroskliwszego męża, całkowicie oddanego kobiecie, którą poślubił.

Próbując dowieść Mosze, że miała rację co do tego małżeństwa, Sara z dumą powtórzyła mu, czego dowiedziała się od córki. Mosze zdumiał się i pomyślał, że nigdy nie znał mężczyzny tak zauroczonego kobietą.

Każdego innego nazwałby głupcem, ale ponieważ ten mężczyzna był mężem jego córki, ucieszył się bardzo. Postępowanie Josepha tylko potwierdzało to, co Mosze już wiedział: jego córka była uważana za wyjątkową kobietę nie tylko przez najbliższą rodzinę.

Mosze i Sara pierwszy raz od ślubu Estery odetchnęli swobodnie, wiedząc, że ich córka jest kochana i autentycznie szczęśliwa.

Nawet o tym nie wiedząc, Joseph zdobył sobie w końcu przychyłność rodziny żony.

— Przynieś papier — powiedział Mosze do pokojówki. Chcąc zająć czymś zięcia, poprowadził go z powrotem do krzesła i podał mu pióro. — Josephie, musisz wysłać ojcu odpowiedź. Będzie się martwił o twoje bezpieczeństwo.

Joseph skinął głową. Wiedział, że rodzina w Paryżu na pewno się o niego zamartwia.

— Masz rację.

Mosze poruszył się niespokojnie na krześle, zastanawiając się, co ich czeka.

— Kto wie, może wkrótce zostanie przerwana wszelka komunikacja? Sądząc po ostatnich oświadczeniach prasowych francuskiego rządu, Joseph nie wątpił, że jeśli Hitler napadnie na Polskę, Francja wypowie Niemcom wojnę. A znając swojego brata Jacques'a, był pewien, że będzie on jednym z pierwszych, którzy założą francuski mundur. Rodzicom będzie ciężko — jeden syn w wojsku, a drugi w Polsce. Z pewnością bardzo czekają na każdą wiadomość. Skreślił więc kilka słów, starając się, by nie brzmiały zbyt niepokojąco.

PILNE

Do Beniamina Gale'a, Paryż, Francja Estera wkrótce urodzi . Wyjazd z Warszawy niemożliwy. Wracam, jak tylko pozwoli na to rozwój wydarzeń.

Nie martwcie się. Jesteśmy bezpieczni . Joseph Gale, Warszawa, Polska.

Gdy goniec zabrał telegram, Mosze znów zaczął majstrować przy radiu, ale nadawano tylko powtórki tego, co już wcześniej słyszeli.

Joseph chodził w tę i z powrotem, paląc papierosa i nasłuchując, co się dzieje w pokoju żony. Postanowił, że jeśli wszystko skończy się szczęśliwie, nie będą mieli więcej dzieci. Jedno wystarczy. Kiedy już wrócą do Paryża, zadba o to, żeby Estera nigdy więcej nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie. Rodzenie dzieci niesie ze sobą zbyt duże ryzyko.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu, zmagając się w myślach ze swoimi problemami.

Słyszac zbliżające się kroki, Joseph pobiegł kamienną ścieżką do tylnych drzwi willi. Rozpoznał głosy synów Mosze i zawołał: „Jesteśmy na podwórku!”. Zaczekał przy drzwiach i przywitał się ze szwagrami:

— Ale wiadomości, co, Gerszom? Daniel, miło cię widzieć. — Kiwnął głową. — Abraham. Izrael. Eilam. — Odstąpił na bok i patrzył, jak młodzi Steinowie witają się z ojcem.

Podobnie jak Mosze, cała piątka była drobnej budowy i przeciętnej urody. Joseph poznał Abrahama, Eilama i Daniela rok temu na ślubie i od razu zauważył ich uderzające podobieństwo. Kiedy przyjechał z Esterą do Warszawy, przedstawiono go Izraelowi i Gerszomowi. Nosili pejsy, ale mimo to obaj wyglądali dokładnie tak samo jak trzej młodszy bracia. A wszyscy bardzo przypominali ojca, jeśli wziąć poprawkę na jego wiek i brak włosów. Jeszcze większą dezorientację mogły spowodować ich niemal identyczne głosy: miękkie, kontrolowane, lecz zdradzające pewność siebie — ci mężczyźni z całą pewnością byli przyzwyczajeni do szacunku ze strony równych sobie.

Przebywając z nimi wszystkimi w jednym pomieszczeniu, Joseph często czuł się jak w gabinecie luster — było to niesamowite wrażenie. Na pierwszy rzut oka wyglądali przeciętnie, mieli jasną skórę, kasztanowe włosy i ciemne oczy, lecz kiedy się z nimi rozmawiało, widać było, że ma się do czynienia z wykształconymi ludźmi. Wszyscy pracowali w dochodowych firmach rodzinnych Steinów, ale ukończyli najlepsze hebrajskie szkoły w Warszawie i byli bardzo inteligentni. Joseph musiał zrewidować swoją opinię o polskich Żydach. Jak większość Francuzów, zawsze uważał, że Polska to zaścianek zamieszkały przez niewykształconych chłopów. W porównaniu z Francją był to rzeczywiście zacofany kraj, lecz spotkanie z żydowską inteligencją w Warszawie przyjemnie zaskoczyło Josepha. Wkrótce przekonał się, że rodzina żony jest wysoko ceniona w tej społeczności. Miał niewiele kontaktów z polskimi katolikami, którzy stanowili większość i do których należała władza polityczna, Żydzi byli wciąż obywatelami drugiej kategorii i nie zanosilo się na to, żeby zostali zaakceptowani przez ogół, jak Żydzi francuscy. W rodzinie Steinów rzadko wspomniano o niesprawiedliwościach, jakie polscy Żydzi od wieków cierpliwie znosili, Joseph widział jednak wyraźnie, że w polskim społeczeństwie istnieje tragiczne pęknięcie. Polscy Żydzi i katolicy byli jak dwa oddzielne narody i żaden nie zapuszczał się na terytorium drugiego. Z tego, co Joseph zobaczył i usłyszał, wysnuł wniosek, że polscy katolicy nienawidzą Żydów, traktując ich jak intruzów, choć przecież mieszkali na tej ziemi od siedmiuset lat. Miał nieprzyjemne przeczucie, że jeśli Niemcy napadną na Polskę, tutejsi Żydzi nie będą mogli liczyć na pomoc polskich obywateli. Przypomniał sobie o niemiłej zmianie w zachowaniu polskiej pokojówki, która zawiadomiła Mosze o stanie Estery. W ciągu swojego krótkiego pobytu u Steinów zaobserwował całkowitą przemianę w nastawieniu służby. Teraz już wiedział, co było tego powodem. Pracownicy Steinów, przekonani, że Niemcy wypędzą Żydów z Polski, coraz bardziej otwarcie demonstrowali wrogość wobec swoich chlebobawców. Nie po raz pierwszy od przyjazdu do Warszawy Joseph

pomyślał, że miał szczęście, przychodząc na świat we Francji, gdzie antysemityzmu nie było od czasów Napoleona, który dał Żydom pełne prawa społeczne.

Popatrzył znów na Mosze i jego pięciu synów. Otoczyli ojca kołem, czekając na polecenia. W domu Steinów to Mosze był uosobieniem prawa. Kiedy wchodził do pokoju, wszyscy członkowie rodziny wstawali na znak szacunku i nikt nie ośmielił się usiąść, póki on tego nie zrobił. Daniel, najmłodszy i najodważniejszy z synów, tak się bał, że ojciec odkryje jego nałóg palenia tytoniu, że zadawał sobie wiele trudu, aby to ukrywać.

Było oczywiste, że Mosze Stein jest bardzo kochany i szanowany przez dzieci.

— Co teraz, ojcze? — spytał Gerszom.

— Mamy wiele do zrobienia — odrzekł Mosze miękkim, lecz zdecydowanym głosem.

Joseph ze zdumieniem patrzył, jak zmienia się jego twarz. Błada skóra Mosze pociemniała, jego oczy przybrały odcień czarnego lodu.

— Mamy wiele do zrobienia — powtórzył. Wskazał radio i ruchem ręki nakazał Izraelowi wyłączyć odbiornik. — Wejdźmy do środka — powiedział.

Ruszył zdecydowanie przed siebie, a kiedy znaleźli się w bibliotece, wrócił na korytarz i rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma nikogo ze służby. Potem wszedł z powrotem do środka i stanął za swoim masywnym drewnianym biurkiem. Kazał Danielowi zamknąć drzwi na klucz.

Wszyscy byli ciekawi, co Mosze ma do powiedzenia. Ze względu na obecność Josepha posługiwał się francuskim, który znali wszyscy młodzi Steinowie.

— Siadajcie. Usiedli.

Głos Mosze był cichy, lecz wyraźny:

— Nie potrzebuję wam wyjaśniać tego, co już wiecie. Lada chwila Polska zostanie zaatakowana przez Niemców. Jeśli nie jutro, to za tydzień, jeśli nie za tydzień, to za dwa. I mimo że mamy dzielną armię, Polska przegra. To nie będzie tak jak w czasie pierwszej wojny... Niemcy są teraz bardziej zdeterminowani i lepiej uzbrojeni niż wtedy. — Potrząsnął głową

i potarł ręką brodę. — I znacznie gorsi. Za poprzedniej okupacji znałem paru Niemców. Nie byli tacy źli i nie mieli nic przeciwko Żydom. Można nawet powiedzieć, że nam sprzyjali, bo uchylili wiele surowych przepisów wprowadzonych przez Rosjan. Ale teraz Niemcy mają inny stosunek do Żydów, a niemieccy żołnierze są bardziej posłuszni i łatwiej ulegają tym, którzy spełniają życzenia Hitlera. — Pokiwał ze smutkiem głową. — Boję się, że zobaczymy, jak Niemcy wpadają w otchłań zła. A jeśli przykładem może być to, co stało się w Austrii i Czechosłowacji, zjawia się tu ze strasznym planem wobec Żydów. Po chwili milczenia dodał:

— Polski rząd twierdzi, że możemy ich powstrzymać, aż nadejdą brytyjskie i francuskie wojska. Nie zgadzam się z tym. Nasi sprzymierzeńcy są nieprzygotowani. Powalczymy dzień, może tydzień, ale cokolwiek się stanie, nie możemy wygrać. — Zniżył głos: — Konie nie pokonają czołgów. Po niemieckiej armii zjawi się gestapo. Nie będziemy mieli wiele czasu na przygotowania.

Joseph pomyślał, że w Warszawie jest przynajmniej jeden Żyd, który rozumie zamiary Hitlera.

Mosze popatrzył po kolei na każdego syna, a potem na Josepha. Zabębnił palcami o blat biurka.

— Mam kupca na nasz rodzinny interes.

Młodzi Steinowie zamrugali oczami z zaskoczenia, kilku poruszyło się na krzesłach, lecz nikt się nie odezwał.

Josephowi przyszła do głowy straszna myśl. Nagle zrozumiał, że na jego oczach zanika pewien styl życia. Jeśli przepowiednie teścia się spełnią, w Polsce nie zostanie nawet echo żydowskiej kultury.

— Kiedy tylko Niemcy ustanowią swoje rządy — mówił dalej Mosze — żydowskie rachunki bankowe zostaną zamrożone, a wszyscy Żydzi stracą swoje firmy, tak jak w Niemczech, Austrii, Czechosłowacji i Nadrenii. Lepiej sprzedać je i coś zarobić, niż pozwolić sobie odebrać. Kupiec miał przyjść dziś wieczorem, ale w związku z całym tym gadaniem o wojnie będę musiał to odłożyć. — Podniósł dłoń do twarzy i położył palec na wardze. — Na razie weźmiemy pieniądze z firm i kupimy złoto i diamenty, a jutro zamknę nasze konta banko-

we. - Widząc zmienione twarze synów, zapewnił ich: — Po wojnie odbudujemy interesy, zaczniemy od nowa.

Po wojnie! Josepha uderzyła pewność w głosie Mosze. A przecież byli Żydami w kraju, w którym nienawidzono Żydów, kraju otoczonym przez obce wojska, przygotowujące się do przekroczenia granicy. W tej chwili Joseph chciałby być wszędzie, tylko nie w Polsce. Poczuł, że zaczyna się pocić.

Mosze odwrócił się i ku zaskoczeniu wszystkich otworzył jedną z drewnianych szafek. Krył się za nią wbudowany w ścianę sejf.

Joseph spojrział na Daniela, który tylko wzruszył ramionami. On też nic nie wiedział.

Mosze otworzył drzwiczki, a potem wyciągał po dwie torby naraz, aż na biurku uzbierało się ich osiem. Na jego twarzy widać było dumę.

— To ocali nam życie — oznajmił.

Rozległ się szmer podnieconych głosów, gdy Mosze otworzył torby, w których ukazały się złote monety i mnóstwo diamentów.

— Opowiem wam krótką historię. Życie mojego ojca ocaliła złota moneta. Carscy żołnierze byli chciwi i darowywali życie, jeśli mogli coś zyskać. Ojciec przewidział, co się może stać, i przez lata odkładał na kolejny pogrom. Kiedy znowu zaczęło się prześladowanie Żydów, miał dziesięć monet. Dwie dla dzieci, po jednej dla siebie i żony i sześć na rozpoczęcie nowego życia. Tymi monetami opłacił żołnierzy.

— Ojcze, czy potrzebujemy aż tak dużo? — spytał Daniel. W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

Najwyraźniej Mosze już od pewnego czasu myślał o niemieckim zagrożeniu.

— Kto wie? Może niemiecka okupacja potrwa dłużej? Może wartość naszego życia wzrosła? — W jego oczach błysnęła determinacja, a głos stwardniał, gdy obiecywał synom: — Bez względu na cenę, jaką przyjdzie zapłacić, rodzina Steinów przetrwa!

Kilka godzin później trzy polskie służące podały na obiad zimne kotlety. Joseph próbował jeść, ale mięso ugrzęzło mu w gardle. Wyśliznął się z pokoju, żeby zobaczyć, co z Esterą,

i dowiedział się, że lekarz zdołał obrócić dziecko, które wkrótce powinno się urodzić. Niedługo zobaczy swoją ukochaną Esterę.

Po spotkaniu w bibliotece Mosze kazał Abrahamowi przynieść radio do biblioteki. W czasie posiłku rozgłoszenie bez przerwy nadawały polski hymn. Po półgodzinie odezwał się spiker i zapowiedział, że niebawem poda nowe wiadomości. Po obiedzie siedmiu mężczyzn kręciło się wokół odbiornika, czekając na najnowsze wieści o ruchach niemieckich wojsk. Wiadomości o dwudziestej brzmiały ponuro: „Bandy niemieckich kryminalistów przekroczyły polską granicę i atakują posterunki graniczne!”.

O dwudziestej pierwszej posepny głos obwieścił: „Zmotoryzowane kolumny zbliżają się do polskiej granicy”.

O dwudziestej drugiej podekscytowany spiker zakomunikował niespodziewanie: „Niemcy przestali się zbliżać! Polska nigdy nie zginie!”.

Z głośnika znów zabrzmiał polski hymn.

Mosze wyłączył odbiornik.

Mężczyźni zaczęli się zastanawiać, czy najeźdźców mogli powstrzymać noty brytyjskiego ambasadora Hendersona i ambasadora Francji Coulondre'a.

Czy to możliwe? — pytał samego siebie Joseph. Pozwolił sobie na marzenia i zobaczył w wyobraźni, jak spacerują z Esterą ulicami Paryża, pchając przed sobą wózek.

Daniel nie pozwolił mu jednak cieszyć się dłużej tym cudownym obrazem. — Benjamin Gale musi być ważną osobistością we Francji, jeśli przekonał rząd, że musi zagrozić wojną Niemcom, by ocalić jego wnuczka! — zawołał.

Joseph roześmiał się i dał mu kuksańca w bok. Daniel podniósł ręce i zaczęli udawać, że się boksują.

— On cię zmiażdży, Daniel! — śmiał się Izrael. Napięta atmosfera w domu znikła równie nagle, jak się pojawiła.

Mosze uśmiechnął się po raz pierwszy od dwóch dni. Chociaż czuł, że niebezpieczeństwo tylko odsunęło się w czasie, miał teraz chwilę oddechu, której tak bardzo potrzebował. Będzie miał więcej czasu, żeby przygotować się na nadchodzące zło.

— Niemcy się zatrzymali, ale tylko na razie — przypomniał synom. — Nie odeszli. Usłyszeliśmy ich ostrzeżenie i będziemy gotowi. Musimy zebrać żywność i dużo wody. Możemy zgromadzić część zapasów tutaj, a część w mieszkaniu Abrahama.

Steinowie zaczęli obmyślać plan działania na jutro.

— Nie będziemy jedynymi Żydami robiącymi zapasy — stwierdził Daniel. — Musimy się rozdzielić na grupy i pójść na kilka rynków.

Mosze przyznał mu rację i wydał instrukcje:

— Abraham i Eilam pójdą na Gęsią i Twardą. Izrael i Gerszom wezmą targowiska na placu Grzybowskiem i Za Żelazną Bramą. Daniel, ty pójdziesz do naszego przyjaciela na Towarowej. Dowiedz się, czy Farbstein może zagwarantować dodatkowe dostawy, jeśli znajdziemy się w oblężeniu. — Przerwał na chwilę, a potem dodał: — Zapłać mu tyle, ile będzie trzeba.

Przypomniał sobie o zięciu.

— Joseph, ty nie mówisz w jidysz i słabo rozumiesz po polsku, więc zostaniesz w domu z kobietami.

Joseph zaczerwienił się. Rzeczywiście nie znał miasta i wiedział, że nie będzie umiał się targować z polskimi Żydami, ale był mężczyzną i nie przywykł, żeby traktowano go jak kobietę.

— Nie — sprzeciwił się. — Pójdę z Danielem. Mogę ładować rzeczy i przenosić.

— Dobrze — zgodził się Mosze, zadowolony z reakcji zięcia. Żaden z jego synów nie był tak silny jak Joseph. Jego pomoc bardzo się przyda. Niebawem bracia się pożegnali, by wrócić do swoich rodzin. Powiedzieli, że przyjdą rano po Josepha i zajmą się przygotowaniami do wojny. Kiedy już wychodzili, przypomnieli sobie, że ich siostra rodzi. W innej sytuacji bracia dzieliliby troskę Josepha o stan Estery, ale ponieważ Niemcy szykowali się do uderzenia na Polskę, zapomnieli o młodszej siostrze.

— Co z Esterą? — spytał Gerszom.

— Już niedługo — odparł Joseph. — Doktor Szoham mówi, że dziecko urodzi się lada chwila.

Abraham uśmiechnął się do Josepha, przypominając sobie, jak sam się czuł podczas narodzin swojego pierwszego dziecka.

— Pamiętaj, że to zmartwienie, które masz teraz, to nic w porównaniu z tymi, które cię czekają później! — powiedział i klepnął szwagra po plecach. — Twoje kłopoty dopiero się zaczynają, bracie!

— Dzięki, Abrahamie — odparł Joseph. Chciał się roześmiać, lecz odgłos, który wydał, wcale nie przypominał śmiechu. — Nie wiedziałem, że jesteś taki współczujący!

Kiedy bracia wyszli, dom wydał się nagle ogromny i cichy.

Mosze i Joseph zostali w bibliotece; mówili niewiele, czekając na wiadomości o Esterze.

O jedenastej usłyszeli trzaśnięcie frontowych drzwi i do biblioteki, ledwie powłócząc nogami, weszła Sara Stein.

— Doktor poszedł do domu, do rodziny — oznajmiła. — Powiedział, że postara się zajrzeć rano.

Joseph znieruchomiał. Czy Estera nigdy nie urodzi tego dziecka?

Zacisnął dłonie, przyrzekając sobie, że będzie silny. Sara uśmiechnęła się do zięcia.

— Estera odpoczywa. - Spojrzała na Josepha z pełną zadumy czułością, po czym dodała: — Josephie, masz piękną córeczkę.

Obaj mężczyźni zerwali się z krzeseł. Mosze wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń zięcia, który stał jak sparaliżowany.

— Bądź błogosławion, Panie nasz, Boże, który rządysz wszechświatem, jesteś dobrem i czynisz dobro — wyrecytował. Poklepał Josepha po plecach, a potem skoczył do szafki, szarpnięciem otworzył dolną szufladę i wyciągnął z niej butelkę dobrego czerwonego wina. Machnął butelką w powietrzu i powiedział: — No, rusz się! Idź do żony! Ja otworzę wino! Joseph wbiegał na schody po dwa stopnie naraz.

Pokój był ciemny i nieprzyjemny, w powietrzu unosiły się zapachy narodzin. Joseph doszedł prawie po omacku do łóżka, zanim jego oczy przyzwyczyły się do światła świec. Estera spała, oddychając powoli.

Wyglądała blado, lecz pięknie. Joseph pomyślał, że nic nie może zaszkodzić jej urodzie, nawet dwadzieścia cztery godziny rozdzierającego bólu.

— Kochanie, pracowałaś tak ciężko... — Pochylił się i pocałował żonę w policzek, wielką dłonią gładząc delikatnie jej policzek.

Estera otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć. Jej głos był tak cichy, że Joseph musiał przyłożyć ucho do jej ust, żeby usłyszeć, co mówi.

— Widziałeś ją?

— Jeszcze nie, najdroższa — odparł.

Popatrzy! na maleńkie zawiniątko u boku Estery. Bardzo pragnął wziąć córkę w ramiona, ale bał się, że wypuści ją z drżących rąk. Odsunął białą bawełnianą tkaninę z twarzyczki dziecka.

Westchnął cicho. Niemowlę by!o nie większe od jego dłoni i absolutnie doskonale. Dziewczynka ziewnęła i jej maleńkie usteczka uformowały się w idealnie okrągłą literę O. Joseph miał wrażenie, że spojrzenie jej oczu skupiło się na nim, jakby wiedziała, że patrzy na swojego ojca i opiekuna. Zdawał sobie sprawę, że dziecko jest za małe, by uświadamiać sobie, kogo widzi, lecz poczuł, że łzy napływają mu do oczu.

Drżącymi wargami uśmiechnął się do żony, szukając słów, które oddawałyby to, co czuje, nie znalazł ich jednak.

— Jest przepiękna, tak jak jej matka — wykrztusił wreszcie chrapliwym głosem. Pogładził żonę dłonią po twarzy. — Teraz będę kochał dwie wspaniałe kobiety!

Estera uśmiechnęła się i zasnęła, opierając głowę na jego ręce.

Przepełniony miłością do żony i dziecka, które mu data. Joseph nie mógł odejść od łóżka. Patrzył na Esterę i śpiące niemowlę, obiecując sobie, że nie spotka ich żadna krzywda. Zawarł umowę z Bogiem, Panem Wszechświata, ślubując, że powróci do żydowskiej wiary w zamian za bezpieczeństwo 1 istery i dziecka. Potem pomyślał, że być może Bóg uzna go za niegodnego, i wyszeptał:

- Jeśli Bóg nie ma ochoty przywracać Josepha Gale'a na luno żydowskiej wiary, umrę, żeby ochronić rodzinę.

W ciągu tej długiej nocy zostawił wreszcie za sobą beztroskie młodzieńcze życie i przyjął na siebie odpowiedzialność mężczyzny. przed którym stanęło największe wyzwanie. Właśnie wtedy zakończyły się lata dojrzewania Josepha Gale'a.

Teść czeka! cierpliwie w gabinecie. Bardzo chciał zobaczyć córkę i wnuczkę, wstrzymywał się jednak, nie chcąc zakłócać Josephowi tej najbardziej osobistej chwili.

Sara postanowiła się położyć.

— Zawołaj mnie, jeśli będę potrzebna — powiedziała do męża.

Zasnęła spokojnie, mimo że na świecie działo się tyle strasznych rzeczy, całkowicie przekonana, że jej mąż potrafi ochronić rodzinę.

Mosze powoli opróżnił butelkę wina, upijając się po raz pierwszy w życiu. W zamroczeniu przechodził od uszczęśliwienia do lęku, od ulgi do rzeczywistości. Wyraźnie czuł niebezpieczeństwo grożące rodzinie.

Modlił się, prosząc Boga o siłę do walki o ocalenie najbliższych. Siedział przy biurku, ale głowa opadła mu na piersi. Jego podbródek drżał, gdy przypomniał Bogu, że przez całe życie był mu posłuszny.

— Byłem dobrym Żydem, Panie — wymamrotał. — Pozwól nam żyć.

Nie proszę o nic więcej. Pozwól nam żyć.

Rozdział IV

Wojna

26 sierpnia 1939 roku o godzinie 1.30 w nocy, odwoławszy wojnę z Polską, Adolf Hitler siedział przy biurku w kancelarii Rzeszy. Zaskoczyło go, że Brytyjczycy i Francuzi postawili ultimatum w związku z Polską. Już dawno uznał, że brytyjscy i francuscy politycy to ludzie z papieru, których z łatwością zmusi do przyjęcia swojej wizji świata. Czyżby tym razem się przeliczył? Był dumny ze swojej wyjątkowej umiejętności oceny ludzkich charakterów i przewidywania ich posunięć.

Kurier doręczył mu wiadomość, która okazała się kolejnym ciosem: Mussolini, przywódca należących do Osi Włoch, stracił wolę walki i kwestionował konieczność ataku na Polskę!

W przeddzień wojny Adolf Hitler był prawdziwie samotny.

Coraz bardziej wzburzony, uznał, że wszystkiemu winne jest światowe żydostwo. Żydzi mają zbyt duży wpływ na Brytyjczyków! Popatrzył na zegar. Późna godzina jeszcze bardziej go rozzłościła. Gdyby nie Żydzi, jego armia już byłaby na terytorium Polski!

W ataku wściekłości wykrzyczał do pustego gabinetu: „Nic mnie nie powstrzyma przed inwazją na Polskę!”.

Absolutnie nic.

Joseph Gale spojrział na zegarek. Była czwarta rano, piątek, pierwszego września. Próbował zasnąć, lecz nie udało mu się to. Nie chciał budzić Estery i męczyć jej swoimi niepokojami,

postanowił więc wstać i poczekać na wschód słońca. Pragnął, żeby godziny mijały jak sekundy, ale czas zdawał się stać w miejscu.

Czy dzień nigdy nie nadejdzie?

Zapinając guziki koszuli i czesząc włosy, uświadomił sobie, że myśli o Niemcach — zastanawiał się, co teraz mogą robić żołnierze Wehrmachtu. Zobaczy! w wyobraźni jasnowłosych wojowników Hitlera w lśniących stalowych hełmach, maszerujących z dudnieniem butów po spokojnej polskiej ziemi.

W ciągu ostatnich sześciu dni wojenne przygotowania prawie ustały, ale naziści na dobre usadowili się na polskiej granicy.

Ich złowieszczy spokój doprowadzał Polaków do obłędu.

Za to ambasady i ministerstwa wojny w całej Europie były przeciwieństwem spokoju. Rozgorączkowani politycy w pośpiechu ogłaszali konferencje, zawierali pakt, łamali je, klęli i spiskowali; wreszcie wszystkie te działania załamały się i Polska została sama na drodze największej maszyny wojennej, jaka kiedykolwiek istniała.

Wczoraj wieczorem Radio Warszawa podało najnowszą przerażającą wiadomość; Hitler odrzucił kompromis, a brytyjscy i francuscy politycy zaniechali starań o pokój, choć raz po raz ostrzegali niemieckiego dyktatora, że jeśli napadnie na Polskę, wojna będzie nieunikniona.

Zdrowy rozsądek mówił Josephowi, że tylko całkowite zaspokojenie żądań Hitlera może go usatysfakcjonować. Nie wątpił, że nazistowski dyktator będzie przekonywał swój naród o konieczności wszczęcia wojny, choć było jasne, że nie potrzebuje żadnego pretekstu do atakowania sąsiadów — narody Austrii i Czechosłowacji mogły to potwierdzić. Po wysłaniu niemieckich oddziałów do Austrii Goebbels, hitlerowski minister propagandy, ogłosił, że ocaliły one niemiecką Austrię od chaosu, ponieważ Wiedniem wstrząsały zamieszki! Później, gdy Hitler postanowił podbić Czechosłowację, Niemców nakarmiono kolejnymi kłamstwami. Goebbels rozpowszechnił informację, że Czechosłowacja rozpadłaby się bez wspaniałomyślniej pomocy wielkiego narodu niemieckiego — i dlatego trzeba okupować Czechosłowację!

W obłędnym świecie Hitlera ofiara ponosiła winę za zbrodnie agresora.

Czas uciekał zbyt szybko. Los Polski był z pewnością przesądzony, a Joseph potrzebował jeszcze kilku godzin pokoju, żeby zabrać rodzinę w bezpieczne miejsce. Bagaże były już spakowane, wszystkie przygotowania zakończone. Uciekną z zagrożonego kraju na wozie zaprzężonym w konie. Mężczyźni, których Mosze wynajął do wywiezienia Josepha z rodziną z Polski, mieli przyjść w południe. Niemiecka Trzecia Armia zamknęła polską zachodnią granicę, więc musieli uciekać na wschód. Przez kilka ostatnich dni Joseph studiował mapę, aż nauczył się całej trasy na pamięć: pojedą z Esterą i Miriam przez Związek Radziecki do Turcji, a stamtąd statkiem do zachodniej Europy. Podróż będzie niebezpieczna, lecz nie było innej możliwości. Joseph spojrzął po raz drugi na zegarek, odsunął firanki i przycisnął czoło do zimnej szyby, gapiąc się na pustą ulicę. Noc była ciemna i groźna. Wyteżył wzrok, usiłując zobaczyć pierwsze światło brzasku, a potem westchnął ciężko.

Próbował strząsnąć z siebie poczucie beznadziejności, które dręczyło go mimo starannie zaplanowanej ucieczki. Wyszedł z pokoju i zszedł po schodach do kuchni, gdzie znalazł teścia siedzącego samotnie przy stole. Mosze z uwagą przeliczał pieniądze, które będą potrzebne Josephowi do przekupienia rosyjskich i tureckich urzędników.

Joseph przywitał się z teściem:

— Dzień dobry, Mosze.

Stary Żyd skinął głową i liczył dalej. Na stole piętrzył się stos polskich złotych.

Joseph zaparzył sobie filiżankę kawy, usiadł na krześle i popatrzył na teścia. Ubiegły tydzień odcisnął na nim piętno. Jego oczy zaczerwieniły się, twarz pobladła. Wyglądał na wyczerpanego. Mimo to Joseph wiedział, że choćby Mosze Stein był nie wiadomo jak zmęczony fizycznie, nic nie złamie jego nieugiętej woli chronienia rodziny. Dzień 25 sierpnia, w którym omal nie doszło do wybuchu wojny, dodał Mosze skrzydeł. Przez tydzień udało mu się zdziałać cuda. Sprzedał młyny Steinów bogatemu Polakowi, który sądził, że Niemcy zostawią go w spokoju, bo jest katolikiem. Polak otrzymał prawo własności młynów, a w zamian zostawił Mosze gruby plik banknotów. Mosze nie chciał przyjąć czeku, upierał się

przy gotówce, która została dołożona do tego, co wziął z kont, oraz złota i diamentów ukrytych w schowku w bibliotece. Synowie wykonali jego polecenie i zgromadzili żywność i wodę. Pracownicy zatrudnieni w domu przez cały tydzień okładali parter workami z piaskiem.

Rodzina Steinów przygotowała się na długie oblężenie.

Stary Mosze Stein nie dawał łatwo za wygraną i Joseph był przekonany, że jeśli ktoś zdoła przeżyć nazistowską okupację, będzie to jego teść. Ale mimo wiary w zapobiegliwość Mosze uważał, że rodzina Steinów powinna opuścić Polskę. Miał przeczucie, że Polska stanie się wkrótce bardzo nieprzyjemnym miejscem.

Jego ręka odruchowo sięgnęła do kieszeni koszuli po paczkę papierosów. Powoli zapalał papierosa, myśląc o tym, co chce powiedzieć. Przez chwilę patrzył, jak dym unosi się nad jego głową, a potem odchrząknął i podjął jeszcze jedną próbę.

— Mosze, jedź z nami. Choćby ze względu na kobiety i dzieci. Mosze potrząsnął głową.

— Wiesz przecież, że nie mogę wyjechać — odparł. Joseph zaciągnął się głęboko i spróbował z drugiej strony, tym razem z większym naciskiem:

— Ale naziści, Mosze. Naziści...

— Żydzi przeżyli gorsze rzeczy — przerwał mu beznamiętnie Mosze, myśląc o rosyjskich pogromach.

— Estera będzie się o was niepokoić — przekonywał uparcie Joseph. Mosze milczał przez chwilę, po czym odrzekł:

— Ty zajmiesz się Esterą. To twoja żona, twoja odpowiedzialność.

Miejsce Estery z mężem i dzieckiem jest we Francji. Miejsce rodziny Steinów jest w Polsce.

Wizyta Josepha i Estery uświadomiła mu, że to, co kiedyś wydawało mu się niemożliwe, stało się rzeczywistością: Joseph kochał Esterę tak bardzo, jak on kochał swoją Sarę. Wiedział, że póki zięć żyje, jego córka jest bezpieczna. Ta świadomość napawała go wielkim spokojem.

Joseph przyglądał się Mosze przez pełnych pięć minut. Strząsnął popiół na spodek i napił się kawy. Wszelkie jego wysiłki były daremne.

Wiedział, że nigdy nie przekona teścia do

opuszczenia ukochanej Warszawy. Ale bał się, że jeśli Sternowie nie wyjadą z Polski przed wkroczeniem Niemców, być może nigdy nie uda im się wyjechać. Rozumiejąc, że Mosze ma własne plany, potarł dłonią czoło i powiedział:

— Będę się modlił o wasze bezpieczeństwo.

Mosze wzruszył się, bo wiedział, że zięć został wychowany na ateistę. Skończył liczenie, ściągnął trzy pliki banknotów gumkami, odłożył je razem i spojrzał na Josepha. Uśmiechnął się blado i położył rękę na jego ramieniu.

— Dziękuję, synu. Cieszę się.

Nagle gdzieś z wysoka dobiegł dziwny pomruk. Zamarli.

Pomruk przybierał na sile.

— Samoloty? — spytał Joseph niepewnym głosem. Mosze siedział w milczeniu, nad słuchując i myśląc.

— Niemcy — szepnął do siebie. Nagle zdjął rękę z ramienia zięcia, wstał i rzucił się biegiem na podwórze, a Joseph za nim. Stanęli obok siebie i patrzyli, jak wojna wdziera się nad Polskę.

Samoloty niemieckiej Luftwaffe wyglądały jak czarne krzyże, a zrzucane przez nie bomby z hukiem spadały na cele. Niebo nad Warszawą w mgnieniu oka rozjaśniły potężne eksplozje i pożary.

Błyski rozświetliły twarze obu mężczyzn, ukazując malujące się na nich przerażenie.

Zaczęła się wojna!

Hitler rzucił wyzwanie światu!

Nadzieja Josepha, że uratuje Esterę i córkę, prysła.

Mosze poruszył ustami, próbując powiedzieć zięciowi, żeby się ukrył, ale po raz pierwszy w życiu zawiódł go język.

Joseph, wściekły na niemieckie maszyny, niosące śmierć i zniszczenie bezbronnym mieszkańcom Warszawy i udaremniające jego plany ucieczki, stanął na środku podwórka, podniósł pięść i rzucił obelgi na pilotów:

— Sukinsyny! Cholerne niemieckie bydlaki! Niech was szlag trafi!

Mosze zostawił zięcia i pobiegł do domu, żeby ostrzec rodzinę. Gorzkie łzy płynęły po policzkach Josepha, gdy łamiącym się głosem krzyczał:

— Neeee! Neeee!

Lotnicy zrzucający śmiertelny ładunek nie przejmowali się cywilną ludnością Polski. Zostali poddani indoktrynacji i ślepo wierzyli w swoją misję.

Kilka dni przed atakiem Luftwaffe i przekroczeniem polskiej granicy przez niemiecką armię Adolf Hitler wygłosił mowę do swoich generałów, aby zaostrzyć ich słabnący apetyt na wojnę.

Jego słowa były dobitne, rozkazy precyzyjne. „Zamknijcie swoje serca na litość! Bądźcie brutalni! Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać to, co im się słusznie należy, a racja należy do silniejszego. Musicie być twardzi i bezwzględni, musicie zamknąć się na wszelkie współczucie!

Każdy, kto kiedykolwiek rozmyślał o tym świecie i życiu, wie, że jego sens polega na zwyciężaniu — a zwyciężają najlepsi, i tylko dzięki użyciu siły”. Poglądy głoszone przez Hitlera rozprzestrzeniły się jak zaraza i błyskawicznie zatrwały całą niemiecką armię.

A posłuszni niemieccy żołnierze gorliwie wypełniali rozkazy.

W Paryżu rodzina Gale'ów zebrała się w salonie. Podczas pełnej emocji narady próbowali wymyślić jakiś plan uratowania Josepha, jego żony i dziecka.

Padły najdziwaczniejsze propozycje.

— Pójdziemy z Jacques'em śladem niemieckiej armii — zaproponował Michel. — Weźmiemy dość pieniędzy, żeby przekupić urzędników i wyciągnąć ich stamtąd. — Spojrzał na zmartwioną twarz Racheli i dodał: — Spróbujemy uratować też Steinów, jeśli to będzie możliwe.

Beniamin Gale zgłosił weto.

— Mam narażać na niebezpieczeństwo wszystkich moich synów? Poza tym, jeśli pieniądze mogą uratować im życie, w sejfie Steinów ich nie brakuje.

— Czy nasz rząd nie może im jakoś pomóc? — spytał Jacques. Beniamin potrząsnął ponuro głową.

— Nie sądzę. Do rana będziemy w stanie wojny z Niemcami.

Podejrzewam, że wszystkie kanały dyplomatyczne są już zablokowane. Natalie Gale za kłopoty Josepha obwiniała Steinów. Religijna synowa i jej rodzina coraz bardziej jej się nie podobali. We

Francji pojawiały się oznaki, że dotarła tam fala antysemityzmu z Niemiec. Natalie widziała wczoraj demonstrację Francuzów chrześcijańskiego wyznania skierowaną przeciwko żydowskim imigrantom. Krzyczano: „Oddajcie Francję Francuzom! Żydzi do domu!”. Takie sceny umacniały jeszcze jej przekonanie, że z tego, iż jest się naznaczonym jako Żyd, nie może wyniknąć nic dobrego.

— Gdyby Steinowie zostali w Warszawie, gdzie jest ich miejsce, mój syn byłby bezpieczny w Paryżu! — mruknęła.

— Mamo, nie mów takich rzeczy! — zawołał Jacques i przypomniał jej łagodnie: — Zapomniałaś, że my też jesteśmy Żydami?

Natalie roześmiała się.

— Żydami? Nie jesteśmy Żydami, drogi synu, tylko Francuzami! Jacques otworzył usta ze zdumienia, spoglądając najpierw na matkę, a potem na ojca.

— O czym mama mówi? — spytał zdumiony. Benjamin poklepał żonę po dłoni.

— Nie sądź jej zbyt surowo, Jacques. Nie widzisz, że jest wstrząśnięta? Natalie podziękowała mężowi wzrokiem, ale jej oczy były mokre. Właśnie tego wieczoru uświadomiła sobie, że spośród trzech synów najbardziej kocha Josepha. A teraz ten ukochany syn był w poważnym niebezpieczeństwie.

Przygotowując drinki dla ojca i braci, Rachela walczyła ze łzami.

— Może Joseph już jest ranny albo nie żyje... — rozpaczała. — I jeszcze dziecko!

Dzień wcześniej Benjamin dostał drugi telegram z wiadomością o szczęśliwych narodzinach wnuczki. Michel spojrzał ze zgrozą na siostrę.

— Nawet o tym nie myśl!

— Ale to prawda! Czy nie mówili w wiadomościach, że Warszawa jest bombardowana? — Rachela rozplakała się i załamała ręce, przewracając przy tym butelkę brandy.

— Rachelo, znasz swojego brata — próbował ją pocieszać Jacques. — Joseph umie się o siebie zatroszczyć.

Przez głowę Natalie przebiegały tysiące myśli. Spojrzała oskarżycielskim wzrokiem na męża.

— Beniaminie, mówiłam ci, że nie powinniśmy obrzezywać chłopców. Pamiętajsz?

Beniamin wyrzucił ręce w górę.

— Natalie, na miłość boską!

— Przecież tak było! A teraz Joseph za nic nie zdoła przekonać nazistów, że nie jest Żydem. — Natalie, jak większość Europejczyków, słyszała plotki, jakoby Niemcy dorosłych mężczyzn zmuszali do ściągania spodni. Jej syn wyglądał jak goj, lecz po takich oględzinach musiałby zostać uznany za Żyda. W pokoju słychać było tylko jej ciężki oddech. — Dla nazistów garść piachu jest więcej warta niż życie Żyda — oznajmiła. — A gdybyś mnie posłuchał, Joseph byłby bezpieczny!

Beniamin wstał gwałtownie i wyciągnął rękę w stronę żony.

— Jesteś za bardzo zdenerwowana — stwierdził zdecydowanym głosem.

— Chodźmy spać.

Natalie nie zamierzała jednak wychodzić.

— Nie! — zawołała, gdy mąż prowadził ją delikatnie do drzwi. —

Musimy wymyślić jakiś sposób uratowania Josepha. Ratujcie go — zwróciła się do Michela i Jacques'a. — Zostawcie jego żonę i dziecko, jeśli będzie trzeba, ale uratujcie Josepha.

Jacques odprowadził wzrokiem wychodzących rodziców. Spojrzenie matki sprawiło, że czuł się nieswojo.

— Nie wydaje się wam, że mama dziwnie się zachowuje? — spytał. Nie widząc żadnej reakcji, dodał: — Jakby zrzucała wszelkie problemy na swoje żydowskie pochodzenie.

Michel nie znosił rodzinnych kłótni.

— Nie wiemy, jakie było jej życie przedtem — odparł. — Ale chyba żydowska kultura, która ukształtowała mamę, zraziła ją do siebie.

— Każde życie niesie ze sobą łązy — zauważyła gorzko Rachela.

Jacques spojrział na nią z zaskoczeniem. Po raz pierwszy przyznał sam przed sobą, że życie jego siostry było bardzo trudne. Pozostawała całkowicie w cieniu atrakcyjnej matki i przystojnych braci. Jacques często słyszał, jak ciotki wyrażały w obecności Racheli żal, że cała uroda i wdzięk przypadły w udziale chłopcom. To było okrutne.

Michel spojrział na zegarek i wstał.

— Muszę iść do domu. Już dawno powinienem tam być. Abbi na mnie czeka.

— Wstępujesz do wojska? — spytał Jacques. Michel zawahał się.

— Raczej nie. Zaczekam na powołanie. — Spojrzał badawczo na brata.

— A ty?

— Jutro.

— Tak myślałem. Korpus medyczny?

Jacques roześmiał się cicho i odparł konfidencyjnym szeptem:

— Ani mi się śni. Chcę spojrzeć tym draniom z bliska w oczy.

Michel spojrział z podziwem na młodszego brata. Nie zdziwił się, lecz trochę zazdrościł Jacques'owi, że potrafi odsunąć od siebie lęk. Joseph był taki sam. Starszy od Jacques'a

o cztery, a od Josepha o pięć lat Michel wychowywał się w spokoju i samotności, szukając ukojenia w lekturze i spokojnych zajęciach.

— Cóż, uważaj na siebie — rzekł, ściskając brata.

— Pozdrów Abbi — odparł Jacques i uśmiechnął się. —

i powiedz moim bratankom, że przyjdę ich odwiedzić jutro wieczorem.

— Dobrze.

Rachela w milczeniu odprowadziła wzrokiem wychodzącego Michela.

Potem spojrzała na Jacques'a i położyła głowę na stoliku, łkając rozpaczliwie.

Jacques pogładził siostrę po karku i plecach.

— Martwisz się o Josepha? To kawał byka! Nie wiesz, że może załatwić dziesięciu Niemców i nawet się nie zasapać? — spytał ze śmiechem.

Joseph wiele razy porządnie go przestraszył.

Ale Rachela nie mogła przestać płakać. Dławiło ją przerażające przecucie, którego nie umiała wyjaśnić:

Wiedziała, że naziści obrócą ich cudowny świat w gruzy.

Rozdział V

Getto warszawskie

W ciągu tygodnia po napaści armia niemiecka, posuwając się błyskawicznie, dotarła do przedmieść Warszawy. Prawie pokonana polska armia przegrupowała się i w sile stu sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy zaczęła bronić stolicy. Niemiecki Blitzkrieg załamał się, a potem zatrzymał.

Zaskoczenie Hitlera, wywołane zaciekłym oporem Polaków, zamieniło się w furję. Rozkazał, aby na bombardowane z powietrza nieszczęsne miasto skierować ostrzał ciężkiej artylerii.

17 września Armia Czerwona zaatakowała Polskę od wschodu. 25 września Warszawa, której brakowało zaopatrzenia wojskowego i żywności, przygotowała się do kapitulacji. Tego dnia Niemcy przypuścili ostateczny szturm — atakowali z taką zajadłością, że przerażeni mieszkańcy stolicy byli przekonani, że najeźdźcy zamierzają zrównać miasto z ziemią.

27 września 1939 roku Warszawa padła.

Śpiewając „Heili Heilo”, swoją pieśń zwycięstwa, armia niemiecka wmaszerowała do zniszczonego miasta.

Dla trzystu pięćdziesięciu tysięcy żydowskich mieszkańców Warszawy zaczęły się rządy terroru, oznaczające unicestwienie gromadzonych przez wieki skarbów żydowskiej sztuki, nauki i kultury, które wzbogaciły Warszawę.

Niemiecka przemoc była obeszładniająca.

Głodujących Żydów wyciągano z kolejek po jedzenie.

Wywożono ich do przymusowej pracy.

*Żydowskie konta bankowe zostały zamrożone. Firmy zamknięto.
Żydzi powyżej pięćdziesiątego roku życia zostali zmuszeni do noszenia
białych opasek z niebieską gwiazdą Dawida.
Zabroniono Żydom używać chodników, pokazywania się w miejscach
publicznych i korzystania ze środków transportu.
Ogłoszono dla nich godzinę policyjną.
Wyznaczono obowiązkową dzienną rację żywnościową: dwa tysiące
sześćset trzysta sześćset kalorii dziennie dla Niemców, sześćset sześćdziesiąt
dwa dla Polaków i sto osiemdziesiąt cztery dla Żydów.
16 listopada 1940 roku zamknięto getto, stłaczając trzydzieści procent
ludności Warszawy na dwóch i pół procentach obszaru miasta. W tym
„mieście w mieście” Żydzi pracowali, robili zakupy i głodowali.
Druga wojna światowa trwała dwa tysiące siedemdziesiąt sześć dni.
Żadne miasto w Europie nie ucierpiało bardziej niż Warszawa, a żaden
naród bardziej niż Żydzi.*

Luty 1942

Kiedy Joseph Gale wyszedł z piekarni w getcie, jego oczom ukazał się przedziwny widok. Metr przed piekarnią stała naga, owinięta w prześcieradło wychudzona postać, podskakująca na śniegu. Skóra tej ludzkiej istoty była trupio biała i Josephowi przyszła do głowy okropna myśl, że patrzy na szkielet okryty białym ciastem.

Stanął, żeby przyjrzeć się dokładniej białej zjawie. W tym samym momencie z ukrycia wyskoczył mały chłopiec i wyrwał mu chleb z rąk. Joseph był kompletnie zaskoczony.

— Stój! — krzyknął. — Złodziej!

Pobiegł za chłopcem i po chwili trzymał go w ramionach. Dzieciak walczył jak dzikie zwierzę, kopiąc i drapiąc, i jednocześnie wpychał sobie do ust tyle chleba, ile się dało. Nagle zjawiała się postać w białym prześcieradle, chwyciła kawałek bochenka i zaczęła wciskać go do gardła. Joseph nie zamierzał odbierać chłopcom chleba, próbował ich uspokoić.

— Przestańcie się szarpać! — rozkazał. — Zabiorę was do mojej żony. Dostaniecie gorącej zupy.

Mali złodzieje pomyśleli jednak, że to jakiś podstęp, i dalej się wrywali. Wokół nich zaczął się zbierać tłum. Joseph natychmiast uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Jedną ręką przycisnął chłopców do siebie, a drugą wsadził do kieszeni i wyciągnął banknot pięćdziesięciozłotowy. Podniósł go nad głowę, kusząc chłopców pieniędzmi.

— Jeśli przestaniecie się szarpać, kupię wam dużo jedzenia i ciepłe ubrania.

Uświadomiwszy sobie wreszcie, że Joseph nie chce zrobić im krzywdy, chłopcy uspokoili się.

W tym momencie zza węgła wyszedł niemiecki żołnierz i zauważył całą trójkę.

Getto roilo się od sierot. Dzieci sprzedawały ubrania, żeby kupić jedzenie, a potem włóczyły się grupami, żebrząc lub kradnąc żywność. Niemieckie dowództwo uważało to za poważne przestępstwo. Żołnierz natychmiast się zorientował, że chłopcy są złodziejami, i postanowił zabrać ich do aresztu.

Zbliżając się do Josepha, wymachiwał złowrogo pałką. Nie wdając się w wyjaśnienia, podniósł ją, aby uderzyć jednego z chłopców.

Joseph odsunął się instynktownie, wciskając jednemu z chłopców zwinięty banknot w dłoń.

— Uciekajcie! — powiedział szeptem.

Niemiec całą uwagę skierował na niego. Był wściekły.

— Ty! — krzyknął. — Niemcy rozkazują! Żydzi słuchają! Tobie nie wolno wydawać rozkazów!

Joseph przybrał beznamiętny wyraz twarzy. Wzruszył ramionami.

Niemiec był żołnierzem batalionu strażniczego SS i po latach systematycznego prania mózgu przez partię nazistowską uwierzył, że Żydzi są nieczystymi, podrzędnymi istotami. Gdy jednak patrzył na Josepha, pomyślał, że ten rosły, dobrze zbudowany mężczyzna nie może należeć do odrażającej żydowskiej rasy.

— Jesteś Żydem? — spytał podejrzliwie.

— Czy nosiłbym to, gdybym nim nie był? — Joseph wskazał na znak identyfikacyjny warszawskich Żydów: niebieską gwiazdę Dawida naszytą na białą opaskę.

Żołnierz okrążył Josepha, marszcząc brwi. Przystojna twarz mężczyzny i jego porządne ubranie stanowiły dla niego absolutną zagadkę.

Joseph rozważał, czy nie rozbroić Niemca, który był od niego jakieś dwadzieścia kilogramów lżejszy.

Zanim jednak zdążył przeprowadzić ten plan, żołnierz wyciągnął pistolet i wezwał posiłki. Był prawie pewien, że złapał polskiego przemytnika.

Wielu Polaków było gotowych pomagać Żydom za odpowiednią cenę.

Joseph siedział na twardej ziemi, otoczony przez polską policję. Niemiec założył mu na głowę metalowy instrument pomiarowy. Rozmiar i kształt głowy Josepha nie pasowały do niemieckich wytycznych dotyczących żydowskich głów, więc żołnierz uznał, że jego więzień ponad wszelką wątpliwość jest przemytnikiem.

Przemyt w getcie warszawskim był przestępstwem karanym śmiercią.

Niemiec popatrzył z satysfakcją na jednego z polskich policjantów.

— Miałem rację. Ten człowiek nie jest Żydem.

— Z całą pewnością jestem Żydem — zaprotestował gniewnie Joseph.

Żołnierz potrząsnął zdecydowanie głową.

— Nie jesteś Żydem!

Ironia tej sytuacji sprawiła, że Joseph parsknął śmiechem.

— Naprawdę jestem pełnej krwi Żydem!

Żydzi przechodzący ulicą nie mogli uwierzyć własnym uszom. Bładzi, o zapadłych oczach, patrzyli ze zdumieniem na Josepha. Jeszcze nie słyszeli, żeby ktoś w okupowanej Polsce upierał się, że jest Żydem, ani nie widzieli nikogo, kto ośmieliłby odzywać się tak hardo do Niemca.

Joseph strącił metalowy przedmiot z głowy.

— Chyba nie wierzy pan w tę waszą idiotyczną propagandę —

powiedział szyderczo. Niemiecki rząd od lat wykorzystywał to dziwaczne urządzenie, próbując udowodnić, że Żydzi nie dorównują intelektualnie innym rasom.

Polscy policjanci wymienili niepewne spojrzenia, odsuwając się od zatrzymanego. Zdziwiło ich zuchwale zachowanie Josepha i byli przekonani, że niemiecki żołnierz go zastrzeli.

W oczach nazisty rozbłysła ciekawość — pomyślał, że być może uśmiechnęło się do niego szczęście. Ten człowiek mógł go zaprowadzić do innych polskich przemytników lub do bogatych Żydów. Schwywanie kogoś takiego oznaczało awans.

Joseph poczuł, że robi mu się gorąco, gdy usłyszał:

— Zabrać go na Pawiak.

Mogli go torturować, zabić albo wysłać do obozu pracy; bał się, że żona i córka nigdy by się nie dowiedziały, co się z nim stało. Wiedział, że coś takiego sprawiłoby Esterze niewyobrażalny ból. Przeklinał sam siebie, że był taki nieostrożny.

Czterej policjanci odprowadzili go do więzienia na Pawiaku, gdzie wtrącono go do małej, brudnej celi, w której było już czterech innych Żydów.

Joseph spodziewał się najgorszego, ale nic się nie działo. Najwyraźniej zapomniano o nim. Innych więźniów zabierano codziennie z celi, torturowano i przesłuchiowano, lecz na niego nikt nie zwracał uwagi. Słyszał jednak odgłosy strasznego bicia, okropne krzyki i rozdzierające serce błagania o litość.

Trzy dni, które spędził w więzieniu, były okropne, wiedział jednak, że nie różniły się od codziennej egzystencji innych Żydów. Tak jak więźniowie, którzy przyszli przed nim i po nim, siedział w celi, zastanawiając się, jak i kiedy umrze, i modląc się do niedawno odnalezionego Boga, żeby dał mu umrzeć mężnie. Postanowił, że zanim zginie, zabije tylu drani, ile się da. Pomyślał, że śmierć paru Niemców osłodzi mu jakoś grozę przedwczesnego umierania.

I wtedy zjawił się Mosze Stein z torbą diamentów, odsuwając konfrontację zięcia z nazistami. Po długich negocjacjach okazało się, że trzeba aż pięciu spośród największych diamentów, żeby ocalić życie Josepha. Cena, jaką Mosze zapłacił za jego życie, bardzo zmartwiła Josepha — wiedział, ile jedzenia można by za te diamenty kupić na czarnym rynku. W getcie nic nie było tak cenne jak żywność. Niemcy próbowali zagłodzić Żydów i bez pieniędzy

na zakup dodatkowej żywności od przemytników rodzina Steinów musiałaby ograniczyć się do wyznaczonej dla Żydów racji stu osiemdziesięciu czterech kalorii dziennie.

Nawet kot nie przeżyłby przy takiej racji żywnościowej.

Joseph nie mógł przestać o tym myśleć, mimo że Estera śmiała się i płakała jednocześnie, dotykając jego twarzy, włosów i rąk i wołając do matki, że Joseph nie jest zjawą, że żyje i wrócił do niej.

Rzadko się zdarzało, by Żyd wrócił żywy z Pawiaka.

Wreszcie Estera oderwała się od Josepha i objęła ojca.

— Papo, uratowałeś go! Dziękuję! Muszę powiedzieć Miriam! Z rozpromienioną twarzą pobiegła do córki, żeby obudzić ją z niespokojnego snu. Od dnia, gdy ojciec zniknął, dziewczynka bardzo źle sypiała.

Widząc radość wnuczki na widok ojca, Mosze wiedział, że gdyby to było konieczne, oddałby Niemcom wszystkie swoje diamenty, żeby wyciągnąć Josepha z Pawiaka.

Sara Stein przyjrzała się twarzy zięcia.

— Jesteś taki zmęczony, Josephie. Spójrz, Mosze, widzisz, jaki jest zmęczony?

— Chłopak jest raczej głodny niż zmęczony — powiedział Mosze i nie chcąc niepokoić Estery, szepnął żonie do ucha: — Od dnia, kiedy go zabrali, dostawał do jedzenia tylko suchy chleb i wodnistą zupę.

Sara poklepała Josepha po policzku.

— Zrobię ci coś ciepłego do jedzenia — obiecała.

— Wspaniale — odparł Joseph, oblizując się odruchowo. Był głodny jak wilk. Sara zniknęła w kuchni i zaczęła przygotowywać gulasz z fasolką. Apetyczny zapach rozniósł się po mieszkaniu, sprawiając, że Joseph poczuł bolesny skurcz żołądka.

Mieszając gulasz, Sara zerkała od czasu do czasu przez ramię na swoich bliskich, uradowanych, że znów są razem. Poruszała ustami w bezgłośniejszej modlitwie — cieszyła się, że nie stracili kolejnego członka rodziny. Ale szczęśliwy powrót Josepha obudził także wspomnienie straconych synów.

Dwadzieścia pięć dni po napaści Niemców na Polskę na Steinów zaczął spadać cios za ciosem.

Niespodziewana mężna obrona Polaków rozwścieczyła nazistowskiego dyktatora i rozkazał zrównać Warszawę z ziemią. Miasto było o krok od kapitulacji, a Niemcy wciąż siali śmierć z powietrza. Bombardowania sięgnęły zenitu 25 września 1939 roku.

Później Steinowie dowiedzieli się, że tego dnia na Warszawę spadło siedemdziesiąt ton bomb zapalających. I właśnie tego dnia opuściło ich szczęście: Abraham, Eilam, ich żony i siedmioro z ich ośmiorga dzieci spłonęli żywcem w domu Abrahama.

Sara i cała reszta rodziny natychmiast pospieszyli im na ratunek. Obie kondygnacje domu częściowo się zapadły i stały w płomieniach. Joseph znalazł Eilama z ośmiomiesięcznym synkiem w objęciach i wyciągnął go jeszcze żywego z płonącego budynku. Straszliwie poparzony Eilam zmarł w ramionach Mosze, błagając go, żeby ratował jego żonę i dzieci.

Było to ponad dwa lata temu, lecz Sara wciąż miała w nozdrzach okropną woń spalonego ciała... Ciała zrodzonego z jej ciała.

Ocalony chłopiec miał na imię Dawid... Ojciec osłonił jego małe ciało, więc nie było na nim żadnych ran. Ale malec doznał straszliwych oparzeń twarzy. Szybko odkryli straszną prawdę: Dawid stracił wzrok!

Po dwudziestu pięciu dniach bombardowań w Warszawie panował chaos, szpitale zostały zniszczone i nie można było znaleźć ani jednego lekarza. Czerwony Krzyż nie mógł nic zrobić. Sara widziała, jak sanitariusze porzucali rannych i kryli się przed niemieckimi bombami.

Zrobiła wszystko, co mogła, żeby ulżyć cierpieniu wnuczka, i zdołała ocalić mu życie. Często zastanawiała się, czy dobrze uczyniła, bo nawet teraz, po tak długim czasie, chłopiec łatwo wpadał w lęk i wciąż wzywał matkę. Zawodził jak przerażone, nic nie rozumiejące zwierzę, i rzucał główką na boki, jakby zmiana jej położenia mogła przywrócić mu wzrok. Widok Dawida rozdzierał serce. Tylko Miriam umiała wywołać uśmiech na jego twarzyczce. Jej słodycz sprawiała, że mały kuzyn przynajmniej na chwilę zapominał o nagłej i strasznej zmianie, jaka zaszła w jego króciutkim życiu.

Sara weszła do pokoju i powiedziała Josephowi, że posiłek zaraz będzie gotowy. Popatrzyła na zniszczone sprzęty; przy-

pomniła sobie piękny dom i meble, które stracili. Mniej więcej rok po niemieckiej napaści ziściły się przerażające pogłoski o żydowskim getcie. 16 listopada 1940 roku warszawscy Żydzi zostali zamknięci za murem. Wszystkich Żydów w mieście zmuszono do przeniesienia się do starej żydowskiej części Warszawy, którą Niemcy nazwali „żydowską dzielnicą”, zakazując używania nazwy getto. Ale jak powiedział Mosze, „getto jest gettem, bez względu na to, jak Niemcy je nazywają”. W czasie ostatniego spisu okazało się, że w getcie warszawskim żyje prawie czterysta tysięcy Żydów. A liczba ta wciąż się powiększała, bo naziści przywozili tu także Żydów z prowincji.

Mosze załatwił dla Steinów dobre mieszkanie przy ulicy Chłodnej — wystarczające dla całej rodziny, choć panował w nim straszny ścisk. Nikt się jednak nie skarżył, bo w niektórych mieszkaniach w jednym pokoju tłoczyło się po dwadzieścia osób!

Niemcy nie pozwolili im zabrać drogich mebli; później rodzina dowiedziała się, że dom zajął wysoki oficer SS. Pozwolono natomiast wszystkim zatrzymać ubrania, a nawet bogatą bibliotekę Mosze, co bardzo ich zdziwiło.

Sara oparła się o framugę drzwi, patrząc, lecz nie słuchając; w milczeniu liczyła swoją topniejącą rodzinę. Izrael zniknął w sierpniu zeszłego roku. Zabrano go z ulicy, bo znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Wkrótce Mosze dowiedział się od członka Judenratu, żydowskiej rady wyznaczonej przez nazistów do utrzymywania porządku w getcie, że syna wywieziono do obozu pracy z dala od Warszawy.

Izrael został niewolnikiem.

— Nie, Mosze! Nie! — krzyknęła Sara, gdy mąż jej o tym powiedział. Słyszała o straszliwych warunkach życia w takich obozach. Niemcy zmuszali Żydów do noszenia gołymi rękami zamrzniętych ołowianych rur... pchania pod górę wózków załadowanych kamieniami... Byli katowani tylko za to, że są Żydami. Wszyscy wiedzieli, że niemieccy lub polscy nadzorcy wyznaczali szczególnie ciężkie zadania dla Żydów, którzy wyglądali na inteligentnych lub bogatych.

Takich jak Izrael Stein.

Gdy zaczęła się okupacja, Sara uznała, że irzej pozostali synowie są bezpieczni, gdyż Mosze słono zapłacił za to, żeby ani ich, ani Josepha nie wciągnięto na listę przymusowych robotników.

Batalion przymusowej pracy stworzono, aby uspokoić Niemców, powstrzymać ich przed porywaniem mężczyzn z ulicy. Zamożni Żydzi płacili za to, żeby ich nazwiska nie znalazły się na liście. Ale choć niektóre bogate żydowskie rodziny traktowano wyjątkowo, często zdarzało się też, że nawet bogactwo i wpływy nie mogły ich ocalić.

Wywózka do obozów pracy żydowskich mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat wciąż była zagrożeniem.

Mosze zrobił wszystko, żeby ustalić, gdzie znajduje się obóz, lecz nikt nie wiedział — albo nikogo to nie obchodziło — dokąd zabrano Izraela.

Dopiero w zeszłym tygodniu przypadkowo dowiedzieli się od uciekiniera z obozu, co się stało z ich synem.

Znajomy Mosze z Judenratu mylił się: obóz był zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów na południe od Warszawy.

Uciekinier miał na imię Noy, czyli „ornament”, być może ze względu na swoją niezwykłą urodę. Teraz nie został po niej nawet ślad — chłopak był chudy i wycieńczony, z niedożywienia wypadały mu włosy. Sara pomyślała, że wygląda jak dziecko, które nagle się postarzało.

Zaspokajając głód gęstą zupą ugotowaną przez Sarę, Noy powoli opowiadał historię Izraela; chrapliwy kaszel co chwila zmuszał go do przerywania. Nie odrywał wzroku od talerza, lecz wielki smutek zaciemnił jego twarz.

— Obóz był tak blisko miasta, że wielu mężczyzn próbowało się z niego wydostać. Duża liczba uciekinierów rozgniewała polskiego nadzorcę... chyba dlatego, że Niemcy bili go, ilekroć stwierdzili, że kogoś brakuje.

Ostrzegł nas, że następny, który spróbuje ucieczki, zostanie surowo ukarany. Ale w obozie było tak ciężko, że nic nie mogło nas

powstrzymać. W grudniu ubiegłego roku Izrael i dwóch innych mężczyzn próbowało uciec. Tamtym się udało. Waszego syna schwytano.

Noy zamyślił się, przypominając sobie Izraela. Spojrzał ciepło na Sarę.

— Wasz syn był dobrym człowiekiem. Zawsze się kimś opiekował, dzielił się kocem, podtrzymywał nas na duchu... Tak... Izrael Stein był przyzwoitym człowiekiem.

Sarze ścisnęło się serce, kiedy przypomniła sobie tę opowieść.

— Ten Polak był wściekły, mówię wam! Stracił kolejnych dwóch ludzi i wiedział, co go czeka. Cała jego złość spadła na waszego syna.

Postanowił zrobić przykład z Izraela Steina.

Sara jęknęła głucho. Mosze kazał jej wyjść do kuchni, tłumacząc, że Noy potrzebuje porządnego posiłku. Ona jednak wiedziała, że mąż próbuje oszczędzić jej cierpienia; stanęła za drzwiami i słuchała każdego słowa.

— Aż do tej chwili ten Polak nie był taki zły. Ale Niemcy postraszyli go, że jeśli nie przestanie łagodnie traktować Żydów, wywiozą jego rodzinę do obozu koncentracyjnego. Więc zaczął znęcać się nad twoim synem...

bił go rurą... zastanawialiśmy się, jak to możliwe, że Izrael jeszcze żyje.

Później, kiedy koło niego przechodziliśmy, zawołał nas i poprosił, żeby ktoś powiadomił jego rodzinę... mówił, że będziecie się zamartwiać, nie wiedząc... chciał przeżyć, bardzo się starał... ale zabrało go zimno.

Straszliwie poraniony najdelikatniejszy z synów Sary został przywiązany do słupa i pozostawiony na ciężką, powolną śmierć od chłodu surowej polskiej zimy. W całkowitej samotności.

Trzech synów, dwie synowe i siedmioro wnucząt — wszyscy nie żyli.

Miriam coś powiedziała i Estera roześmiała się głośno, wyrывая Sarę z zadumy nad przeszłością. Patrzyła, jak córka niesie małą z powrotem do sypialni, uspokajając ją:

— Tata będzie tu jutro rano. Przrzekam! — Pocałowała córkę. — Bądź grzeczną dziewczynką i idź spać.

Sara wróciła do kuchni.

Joseph uważnie obserwował żonę i córkę, aż zniknęły z pola widzenia.

Milczał przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad wypadkami ostatnich dni. Co by się stało, gdyby nie wrócił? Zgarbił szerokie ramiona i spojrzał na teścia.

— Mosze, dziękuję ci za życie.

Twarz Mosze ożywiła się na myśl o odniesionym zwycięstwie; uśmiechnął się do Josepha.

— Twój widok jest dla nas jak lekarstwo! — Przechylił głowę i popatrzył na pozostałych dwóch synów, Daniela i Gerszoma, puszcżając do nich oko.

Ocknęli się z zamyślenia i stanęli nad siedzącym Josephem. Gerszom poklepał szwagra po plecach.

— Dzięki Bogu jesteś bezpieczny.

Daniel ucałował Josepha w oba policzki, a potem cofnął się i przyjrzał mu się. — Nie wyglądasz tak źle. — Po chwili dodał ze smutkiem: — Izrael miał rację, wiesz? Mosze rzucił mu pytające spojrzenie.

— Izrael?

Daniel przesunął dłonią po włosach.

— Mniej więcej tydzień przed tym, jak go zabrali, Izrael powiedział mi, że niewielu Żydów przeżyje te mroczne czasy. Nigdy nie zapomnę jego słów. „Za nazistów nigdy nie wiadomo, jak się skończy twoje życie, dlaczego i kiedy, ale wiadomo, że się skończy”. — Z trudem panował nad sobą, bo z Izraelem łączyły go najbliższe kontakty. — Miał rację.

Wszyscy umrzemy, zanim skończy się wojna.

Na chwilę zapadła cisza.

Joseph pobladł. Te dwa lata uświadomiły mu, że Niemcy są zdolni do wszystkiego. To, co zobaczył na Pawiaku, świadczyło o tym, że Izrael miał rację. Jeśli wojna szybko się nie zakończy, cudem będzie, jeśli chociaż jeden Żyd w Polsce ujdzie z życiem.

Twarz Mosze ściągnęła się.

— Nie! Twój brat się mylił! Możemy przeżyć. Gdybym wiedział, gdzie jest, mógłbym go uratować. — Podniósł rękę. — Pamiętajcie, że Rosjanie przyjęli złoto w zamian za życie waszego dziadka. — Wskazał na Josepha. — A jemu Niemcy darowali życie za diamenty. Można ich kupić, mówię wam! Nasi wrogowie są chciwi. — Uśmiechnął się blade. — Ich chciwość to nasze ocalenie.

Daniel zaciska! dłonie w pięści za plecami, z trudem hamując gniew.

Ojciec się mylił i Daniel o tym wiedział. Próbując nadać swojemu głosowi ton szacunku, powiedział:

— Tato, tylko walka może nas ocalić! Powinniśmy wziąć część pieniędzy i wydostać nasze żony i dzieci z getta... kana-

łami... na wozie ze śmieciami... obojętnie jak! — Spojrzał na Josepha i Gerszoma, jakby chciał zyskać ich poparcie. — Słyszałem, że są polscy chłopci, którzy chętnie przyjmują żydowskie kobiety i dzieci do swoich domów, jeśli się im odpowiednio zapłaci. Możemy wyprowadzić stąd nasze rodziny, po kilkoro naraz! Na wsi będą bezpieczniejsi. Mężczyźni zostaną w getcie i będą walczyć. — Spojrzał błagalnie na Mosze. — Tato, za twoje pieniądze możemy kupić setki karabinów. Wystarczy, że powiesz jedno słowo!

Ale Mosze był niewzruszony.

— Daniel, przeczekamy tę wojnę, nie przyłączając się do walki.

Spojrzał uważnie na syna. Doszły go ostatnio niepokojące pogłoski, że Daniel przyłączył się do grupy bojowo nastawionych chłopców, którzy uważali, że na przemoc trzeba odpowiedzieć przemocą. Patrząc teraz na syna, utwierdził się w przekonaniu, że plotki były prawdziwe, i bardzo go to zmartwiło. Zaatakowanie Niemców musiałyby ściągnąć ich uwagę na całą rodzinę Steinów. Jeśli Daniel zrobi jakieś głupstwo, nie będzie można nikogo ocalić.

Przez chwilę zmagali się ze sobą wzrokiem.

Daniel wiedział, że ojciec bardzo się myli, sądząc, że z Niemcami można pertraktować, jeśli ma się dużo pieniędzy. Może niektórych można skusić, lecz ogromna większość nazistów pałała żądzą zabijania Żydów i Polska szybko zamieniała się w jeden wielki żydowski cmentarz.

Daniel pierwszy przerwał ciszę.

— Tato, nie pozwolimy się pokonać bez walki! Mosze starał się zachować spokój.

— Synu, najpierw musimy przetrwać niemiecką okupację. Walczyć z nimi teraz to pewna śmierć. Wkrótce wojna przeniesie się na teren Niemiec. Hitler postąpił jak szaleniec, napadając na Rosję. — Potrząsnął głową. — Wojna na wschodzie, wojna na zachodzie... Niemcy narobili sobie zbyt wielu nieprzyjaciół. W końcu przegrają, a ich wrogowie pożrą Hitlera i uwolnią świat od niemieckich żołdaków. Gdy rozpocznie się nieunikniony upadek Hunów, włączymy się do walki.

Daniela doprowadzało do rozpaczki postępowanie starych, potulnych Żydów w getcie. Żydzi padali jak muchy, a ludzie

tacy jak jego ojciec uważali, że Niemców można po prostu przeczekać.

— Kiedy to będzie? Kiedy? — spytał wzburzony. — Gdy wojna się skończy? Będziemy się bić, kiedy zapanuje pokój?

— A czemu nie? — odparł Mosze. — Powiedz mi, synu, czy zdarzyło się kiedyś, by ostatni dzień wojny był pierwszym dniem pokoju?

Gerszom nieraz już słyszał, jak ojciec i Daniel poruszają ten temat. Nie wiedział, co o tym myśleć, więc składał swoje życie oraz życie żony i dzieci w ręce Boga.

— Jeśli Bóg przeznaczył nam życie, przeżyjemy — oznajmił. — Jeśli nie, zginiemy. — Westchnął głośno. — Oto cały nasz los.

Joseph w głębi duszy przyznawał rację Danielowi, ale uważał, że nie jest to odpowiednia chwila na tak poważną dyskusję. Emocje były zbyt silne. Uznał, że trzeba przerwać tę wymianę zdań między ojcem i synem, zanim zaczną na siebie krzyczeć.

— Przykro mi z powodu diamentów — powiedział, zmieniając temat. Mosze wzruszył ramionami.

— Możesz przestać się martwić. Po to przecież są... żeby ocalić rodzinę Steinów. — Popatrzył niespokojnie na Daniela i dodał twardszym tonem: — Nie po to, żeby zabijać Niemców.

Brązowe oczy Daniela spochmurniały, ale nie chciał psuć szczęścia rodziny z powodu powrotu Josepha, więc zrezygnował ze sporu. Machnął ze zniecierpliwieniem ręką i wyszedł z pokoju bez pożegnania.

Mosze pomyślał, że przed wojną niegrzeczne zachowanie Daniela byłoby nie do pomyślenia.

Josepha zdziwił rozdźwięk między ojcem i synem, lecz ukrył swoje odczucia i wrócił do głównego tematu rozmowy.

— Nigdy sobie tego nie wybaczę. Tak głupio pozwoliłem się aresztować... Ta wojna może potrwać lata. Będzie ci potrzebne wszystko, co zaoszczędziłeś, a może nawet więcej.

Martwiła go nie tylko utrata diamentów. Jego aresztowanie naraziło całą rodzinę na poważne niebezpieczeństwo.

Od chwili zamknięcia getta, gdy naziści zgromadzili w jednym miejscu swoje najbardziej znienawidzone ofiary, Steinowie

robili wszystko, by nie rzucać się w oczy. Teraz nie było to już możliwe. Od dziś esesmani wiedzieli, że Mosze Stein jest bogatym Żydem. A to mogło okazać się bardzo niebezpieczne.

Mosze roześmiał się niewesoło.

— Oficer SS, kapitan Kleist, powiedział mi, że to była wina tego chłopca. Że nigdy nie zostałbyś aresztowany, gdyby nie on. To prawda?

W tym momencie zjawiała się Sara. Zmarszczyła brwi.

— Chłopca? Jakiego chłopca?

— Co tam się właściwie stało? — dopytywał się Mosze. — Kapitan Kleist nie podał mi szczegółów, a ja wolałem nie czekać — dodał.

Do pokoju weszła Estera i usiadła koło Josepha, biorąc go za rękę.

— Podziękowałyśmy z Miriam Bogu — powiedziała i dała mężowi znak, żeby nie przerywał rozmowy.

Joseph trochę się rozluźnił. Nie mógł uwierzyć, iż zwykłe wyjście do piekarni omal nie kosztowało go życia. Uśmiechnął się krzywo.

— Kapitan mówił prawdę. Zostałem aresztowany z powodu dziecka.

Głodnego dziecka. — Roześmiał się smutno, przypomniawszy sobie

szczególne szczegóły. — A właściwie dwójki dzieci. — Przerwał na chwilę, a potem opowiedział wszystko rodzinie.

Mosze, Gerszom, Sara i Estera przyglądali mu się w napięciu,

wstrzymując oddech. Wszyscy wiedzieli o błakających się po getcie

biednych, bezdomnych dzieciach, których rodzice albo zginęli z ręki

Niemców, albo umarli z chorób i głodu. Ci mali nędzarze mogli tylko

kraść lub żebrać, a jeśli mieli szczęście, zabierano ich do jednego z

sierocińców utworzonych w getcie. W zeszłym tygodniu słyszeli o malcu,

który ukradł chleb i nie wypuścił go z rąk, kiedy go złapano — wołał

zostać pobity na śmierć.

Estera otarła łzy z twarzy. Przez dwa lata okupacji nakarmiła niejednego

takiego małego żebraka. Jako matka uważała, że nie ma nic

straszniejszego niż widok bandy sierot włóczących się po ulicach getta.

— Żołnierz zobaczył, co się stało — ciągnął Joseph —

i próbował zabrać tych chłopców do aresztu. Zacząłem się z nim kłócić, powiedziałem, że to tylko dwoje głodnych dzieci. I właśnie wtedy wpackowałem się w tarapaty — wyjaśnił.

— Taak — mruknął Mosze. Doskonale wiedział, że naziści nigdy nie puściliby czegoś takiego płazem. — Wszyscy Niemcy trzymają się prawa i uważają, że dziecko kradnące chleb zasługuje wyłącznie na karę.

— Te dzieci głodują! — zawołała gniewnie Estera. Sara dokończyła myśl córki:

— A dzieje się tak dlatego, że Niemcy konfiskują żywność! Mosze nie pozwolił jej mówić dalej.

— Nie zapominajcie, że według nazistów obywatel nigdy nie powinien pomagać złodziejowi w ucieczce. Wszyscy musicie o tym pamiętać! — zakończył surowo.

Estera spojrzała oskarżycielsko na ojca.

— Nigdy nie wydałabym dziecka! Mosze machnął z rezygnacją rękoma.

— Dla Niemców świat jest albo czarny, albo biały. Joseph podrapał się po głowie, a potem szybko oderwał rękę i popatrzył na nią z przestachem.

— Cholera! — jęknął. — Mam wszy!

Ruszył do kuchni, przeklinając brud panujący w więzieniu na Pawiaku.

Estera pobiegła za nim.

— Zagotuję wody — powiedziała.

Dom Steinów był jednym z nielicznych, które mogły się poszczycić zwycięstwem nad insektami, stanowiącymi plagę mieszkańców całego getta. Ten ciężko okupiony sukces zawdzięczali uporowi Sary, która pilnowała, by za każdym razem, gdy ktoś z rodziny wychodził na ulicę, po powrocie czekała na niego kąpiel i zmiana odzieży.

Joseph umył się, a potem zabrał się do gulaszu, który pochłonał, nie zostawiając ani odrobiny.

Wkrótce cała rodzina położyła się spać.

Ostatnie trzy dni były bardzo ciężkie i Joseph czuł się wyczerpany, nie mógł jednak usnąć. Estera dawno zasnęła, a on jeszcze długo leżał i patrzył pustym wzrokiem w sufit.

Z tęsknotą myślał o rodzime pozostawionej we Francji; nawet

teraz, po tak długim czasie nie potrafił sobie wyobrazić, że Paryż jest pod niemiecką okupacją. Płakał z upokorzenia, gdy czytał o tym, jak niemiecka armia przemaszerowała Polami Elizejskimi. Pocieszeniem było dla niego tylko to, że Michel i Jacques bezpiecznie wrócili z frontu. Ostatnia wiadomość od Gale'ów dotarła do getta ponad pół roku temu, wciśnięta w środek bryły sera. Joseph przeczytał jednostronicowy list tyle razy, że jego treść wyryła mu się w pamięci.

Ojciec napisał wtedy:

Drogi synu!

Modlimy się każdego dnia o Twoje bezpieczeństwo, o bezpieczeństwo Estery, Miriam i wszystkich Steinów. To, co słyszymy o Warszawie, jest przerażające. Boimy się o Twoje życie i bardzo za Tobą tęsknimy.

Nawet tu, we Francji, pętla się zaciska. Wielu Francuzów przyłączyło się do Niemców przeciwko naszym. Francuscy faszyci w granatowych koszulach pikietują Żydowskie sklepy. Twoja mama nie chce wychodzić z domu, od kiedy na jej karcie identyfikacyjnej postawiono stempel „Juif”. My jesteśmy na razie bezpieczni, lecz z powodu francuskiej kolaboracji wielu tutejszych Żydów przebywa w obozach. Bardzo zaskoczyło to Twoją matkę

i mnie, by nie powiedzieć więcej, bo nigdy nie przypuszczaliśmy, że znajdzie się choćby jeden Francuz^ który będzie działał ręką w rękę z Niemcami przeciwko Żydom.

Twój brat Jacques nie mieszka już w Paryżu. Nie widzieliśmy go od prawie trzech miesięcy, ale słyszeliśmy, że ma się dobrze. Michel, jego rodzina i Rachela również są bezpieczni. Jak tylko skończy się wojna, wracaj czym prędzej do domu. Będziemy na Ciebie czekać.

Ojciec i rodzina

Joseph westchnął ciężko. Nie miał wątpliwości, że Jacques wstąpił do ruchu oporu. To wyjaśniało, dlaczego nie mieszka już w domu — nie chce narażać rodziny na niebezpieczeństwo. Jego brat był odważnym, pełnym inwencji mężczyzną i z pew-

nością zgłaszał się do najbardziej niebezpiecznych akcji. Joseph przewracał się z boku na bok. Tak bardzo chciałby walczyć u boku Jacques'a! Razem daliby sobie radę w każdej sytuacji. Uwięziony w getcie, bezradny, mógł tylko mieć nadzieję, że brat przeżyje wojnę. Czy zobaczy go jeszcze kiedyś?

Próbując zapomnieć o tej niepokojącej możliwości, powrócił myślami do swojego pierwszego spotkania z Niemcami. Przez dwa lata udawało się mu unikać konfrontacji z niemieckimi żołnierzami — po prostu starał się w ogóle nie opuszczać domu. Chodzenie z opaską na ramieniu uznał za obrazę. A wołające o pomstę do nieba zarządzenie, że Żydzi muszą okazywać Niemcom szacunek, schodząc z chodnika i uchylając kapelusza, tak go rozgniewało, że bał się swojej reakcji. Gdy czasem wychodził, patrzył z niedowierzaniem, jak polscy Żydzi ulegle stosują się do niemieckich nakazów. Uznał, że po latach zastraszania przez Polaków nauczyli się ukrywać swoje uczucia. Ale on nie był Polakiem. Jego francuskie wychowanie nie pozwalało nikomu okazywać uległości — a zwłaszcza znienawidzonym esesmanom. Wiedział, że Niemcy mogą go zastrzelić za najdrobniejsze przewinienie. Miłość do Estery i Miriam sprawiała, że pragnął przeżyć. Unikanie Niemców wydawało się mądrą strategią. Pieniądze Mosze Steina umożliwiły mu przesiadywanie w bibliotece, gdzie czytał jedną książkę za drugą i czekał na koniec wojny. Teraz uświadomił sobie, jak bardzo był naiwny.

Daniel ma rację, pomyślał. Nadszedł czas, by Żydzi stawili opór... żeby podnieśli głowy i stanęli do walki z prześladowcami.

Przewrócił się na bok i popatrzył na śpiącą Esterę. Według niego była jednym z najwspanialszych dzieł Boga. Dotknął lekko ręką jej twarzy i włosów. Właśnie wtedy postanowił przyłączyć się do grupy bojowników Daniela. Od jutra rana zacznie zabijać Niemców. W końcu, powiedział sobie, każdy martwy Niemiec to o jedno zagrożenie mniej dla jego ukochanej żony.

Pocałował Esterę w policzek i przykrył córeczkę dodatkowym kocem, a potem zasnął spokojnym snem.

Rozdział VI

Walka

Na początku 1942 roku Adolf Hitler stwierdził, że czas znaleźć ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego. Mimo że Wehrmacht ponosił porażki w Rosji, nazistowski dyktator wierzył, że niebawem Niemcy wygrają wojnę. Widział w sobie niekwestionowanego władcę całej Europy. Chciał zwycięstwa swojej armii i eliminacji problemu żydowskiego. Nie mogło go zadowolić nic prócz całkowitej eksterminacji Żydów.

Marszałek Rzeszy Hermann Goring dobrze nadstawiał uszu, kiedy Hitler mówił: „Najłatwiej dobrać się do polskich Żydów, bo właśnie oni stanowią największe zagrożenie dla Rzeszy- Ci Żydzi to nosiciele chorób, przemytnicy i spekulanci, niezdolni do ciężkiej pracy”.

Goring gorliwie zabrał się do wypełniania rozkazów fuhrera.

Getto warszawskie, 19 kwietnia 1942 roku, szabat

Stajemy się brudasami, za jakich mają nas Niemcy, pomyślał Joseph. Szedł ulicą getta i patrzył na wymizerowanych Żydów dpiących na chodnikach. Oddychał płytko, bo wokół unosił się tłusty zapach uryny i niemytych ciał, wyniszczonych krwawą biegunką. Objął spojrzeniem tę żalną scenerię, utrwalając ją w pamięci i przyrzekając sobie, że pewnego dnia, już niebawem, żydowscy bojownicy upomną się o sprawiedliwość dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka zmarłego w getcie.

Poprzedniej nocy wziął udział w pierwszym spotkaniu żydowskiego podziemia. Grupa miała tylko cztery pistolety, więc wkrótce jeden z nich — ten, który najmniej przypominał Żyda — miał wyjść z getta, by spotkać się z przedstawicielem polskiego ruchu oporu. Wszyscy liczyli na to, że nie wróci z pustymi rękami.

Myśl o działaniu sprawiła, że Joseph poczuł przypływ adrenaliny. Naprężył mięśnie, rad, że wciąż jest młody i silny. Gniew budził się w nim powoli, lecz teraz wybuchł z ogromną siłą.

Kątem oka zauważył chudą jak szkielet kobietę, skuloną w bramie nad dwojgiem dzieci, których płacz był słaby jak pisk dopiero co narodzonych kociąt. Jego gniew wybuchł ze zdwojoną mocą. Przyspieszył kroku, szepcząc: „Przepraszam, bardzo przepraszam”, ilekroć przypadkowo dotknął nogą kłębka łańców, przykrywających ciało wynędzniałego Żyda.

Wrócił myślą do problemu, który był w tej chwili najważniejszy. Życiu teścia zagrażało niebezpieczeństwo i Joseph czuł, że to jego wina.

Od dnia, gdy go dwa miesiące temu aresztowano, Niemcy zaczęli zaciskać pętlę wokół rodziny Steinów. Tydzień po wyjściu Josepha z Pawiaka Mosze dostał nakaz opuszczenia mieszkania przy Chłodnej i przeprowadzenia się do mniejszego, przy ulicy Niskiej.

Potem gestapo wzięło na cel jego dwóch pozostałych przy życiu synów. Najpierw przyszli po Gerszoma i oświadczyli, że zabierają go do obozu pracy. W ostatniej chwili esesman przyjął za jego uwolnienie trzy sztuki złota.

W zeszłym tygodniu aresztowano Daniela, ale Niemcy nie wiedzieli, że mają w rękach ważnego członka żydowskiego ruchu oporu. Oskarżono go o nielegalne skupowanie waluty. Był to po prostu brutalny sposób wymuszania pieniędzy i Mosze zapłacił złotówkami, twierdząc, że oddaje resztki swojego majątku.

Od chwili zwolnienia Daniela Steinowie z lękiem czekali na następny ruch SS.

— Tato — ostrzegał ojca Daniel — dopóki Niemcy nie uzyskają pewności, że nic więcej nie mamy, będą się z nami

obchodzić jak pies z kością. — Po chwili dodał jeszcze: — A potem nas wszystkich zabiją.

— Z kością? — zdziwił się Mosze. — Co komu po kości! Oni już oskubali mnie do kości.

Nic nie szło zgodnie z jego tak dobrze obmyślanym planem. Aż do tego momentu nigdy nie brał pod uwagę, że może przegrać. Ale im bardziej chudł jego mieszek, tym większy był jego lęk.

— Tato, czy jeszcze nie poznałeś nazistów? — nacierał Daniel. —

Niemcy są jak mur, na który nie można się wdrapać, którego nie można przebić ani obejść. — Z jego słów biła nienawiść. — Musimy stanąć z nimi twarzą w twarz i walczyć do samego końca.

Mosze wiedział z rozpaczliwą pewnością, że jego bogactwo to jedyne światło w otaczającym ich mrocznym świecie. Potrząsnął głową, lecz nie odpowiedział, uparcie trzymając się nadziei, że pieniędzy wystarczy aż do końca wojny.

Tydzień później rodzina stanęła w obliczu kolejnej tragedii.

W zeszłym tygodniu na „ziemi niczyjej” między murem getta i aryjską częścią miasta zabito niemieckiego żołnierza. Natychmiast gruchnęła pogłoska, że esesmani będą się mścić. Nikt nie wiedział, jaką formę przyjmie zemsta, ale Żydzi znali już Niemców i wiedzieli, że prędzej czy później grom spadnie. Kiedy Niemcy w końcu uderzyli, Żydzi zapłacili wysoką cenę.

Nocą w przeddzień szabatu do getta wkroczyło SS i doszło do straszliwej masakry. Niemcy mieli listę nazwisk ludzi ze wszystkich warstw żydowskiej społeczności. Wyciągali z łóżek wpływowych Żydów, byłych urzędników Judenratu i biedaków i rozstrzeliwali ich.

Na liście było również nazwisko Mosze Steina.

Uratował go jeden z jego licznych znajomych, żydowski policjant, Tolek Grinspan. Przed wojną radca prawny Mosze, opłacany przez niego od dnia, kiedy został wyznaczony na policjanta, ostrzegł w porę starego Żyda, który schronił się w domu przyjaciela.

Esesmani przeszukali pospiesznie mieszkanie i nic nie powiedzieli na nieprzekonujące kłamstwo Daniela, że ojciec zmarł niedawno na nagłe zapalenie płuc.

Gdy wychodzili, Daniel wyciągnął Josepha na korytarz i powiedział głosem tętniącym nienawiścią:

— Jeszcze ich zobaczymy.

Nazajutrz rano Tolek Grinspan przysłał ulicznego sierotę z wiadomością, że musi się spotkać z Mosze wieczorem przy synagodze Moriah na Karmelickiej. Obawiając się, że spotkanie może być pułapką, że strach przed Niemcami okazał się silniejszy od chciwości Tolka, Joseph przekonał teścia, że powinien pójść zamiast niego.

Zwolnił kroku, zbliżając się do celu. Zobaczył Tolka, zanim tamten zauważył jego. Nie było to trudne nawet mimo ciemności, bo Tolek miał na sobie czapkę z gwiazdą i buty z cholewami, jakie nosili żydowscy policjanci. Opierał się o ścianę synagogi, uderzając miarowo w lewą dłoń gumową pałką.

Joseph stanął w cieniu i patrzył. Zachowuje się nerwowo, pomyślał. To dobry znak — niepokoi się przed spotkaniem z Mosze. Gdyby była to pułapka zastawiona przez Niemców, policjantowi nie groziłoby niebezpieczeństwo i byłby spokojniejszy. To wydawało się logiczne. Rozejrzał się i podszedł do Tolka. Był wyższy o całą głowę od niskiego, pulchnego pięćdziesięcioletniego policjanta.

— Witam — powiedział.

— Gdzie Mosze? — spytał Tolek.

— Z przyjaciółmi.

Policjant przyglądał się przez chwilę Josephowi, drapiąc się po nosie brudnym paznokciem. Postanowił, że będzie się targował z zięciem.

— Mam dla niego dobrą wiadomość. — Popatrzył na Josepha znacząco. Chciał zapłaty przed ujawnieniem informacji.

Joseph z trudem ukrył gorycz.

Zaraz po zamknięciu getta Niemcy zmusili Żydów do utworzenia własnych sił policyjnych, które podlegały polskiej policji i niemieckim władzom. Na samym początku Żydzi należący do policji zachowywali się odpowiedzialnie, z czasem jednak zaczęli wykorzystywać swoją uprzywilejowaną pozycję. Mosze tolerował ich skłonność do łapówkarstwa, bo wykorzystywał ją dla własnych celów, ale Joseph miał mniej wyrozumiałości dla Żydów żerujących na innych Żydach.

Jego oczy zwięzły się. Tolek był tęgi i zadbany. Na widok jego tłustej gęby Joseph poczuł obrzydzenie. Założyłby się o tysiąc złotych, że policjant codziennie jada mięso. Sara Stein już nie podawała rodzinie mięsa, a dzieci piły mleko tylko raz w tygodniu i Miriam zaczynała tracić na wadze. Zacisnął zęby.

— Ile? — spytał.

Tolek spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Mosze ci nie powiedział?

— Nie — odparł Joseph, potrząsając głową.

— Stawka jest ustalona. — Tłusty policjant nerwowo spojrzął przez ramię. — Jesteś pewien, że ci nie mówił?

— Mosze się ukrywa, przyjacielu.

Tolek przyjrzał się Josephowi, zastanawiając się, jak wykorzystać tę sytuację. Mimo że wzrost Josepha budził respekt, nigdy nie słyszano, aby francuski zięć Mosze Steina uciekał się do przemocy, i policjant pomyślał, że można go okpić. Poza tym interesy z Mosze Steinem stawały się zbyt niebezpieczne. Tolek wiedział, że Niemcy chcą zabić tego starego Żyda. A kiedy Niemcy wzięli jakiegoś Żyda na cel, Żyd prędzej czy później umierał. Przekonany, że to ostatnia szansa dobrania się do sakiewki Mosze, rzucił znacznie wyższą cenę:

— Pięć sztuk złota.

Joseph uśmiechnął się lekko. Policjant kłamał. Cena wynosiła jedną sztukę złota. Postanowił, że zabije Tolka Grinspana. Będzie o jednego szczura nękającego mieszkańców getta mniej, pomyślał.

— Pięć? — Sięgnął do kieszeni i zaczął odliczać złote monety, jedną po drugiej. Tolek chwycił złoto w ciastowatą dłoń i schował do woreczka wiszącego na szyi. Joseph usłyszał brzęk monet, gdy policjant wciskał mieszek pod pachę, i wiedział, że się nie pomylił: kieszenie Tolka wypchane były pieniędzmi od innych Żydów.

— Mów — rzekł cicho.

Kiedy policjant dostał złoto, wyjawiał, czego się dowiedział:

— Powiedz teściowi, żeby uciekał z getta, obojętnie jak. Podśluchałem mojego kapitana... pułkownik Drexler jest wściekły, że Mosze Stein się wymknął. — Po chwili dodał nagłym tonem: — Dziś w nocy. Powiedz Mosze, że przyjdą dziś w nocy.

Joseph zmarszczył czoło.

— A reszta rodziny?

Tolek zawahał się, nie wiedząc, ile może ujawnić. Słyszał, że Niemcy zamierzają rozstrzelać Mosze, jego dwóch synów i zięcia, a kobiety i dzieci wyrzucić na ulicę. Gdyby nagle zniknęła cała rodzina, zaczęliby szukać informatora, a to mogłoby ich doprowadzić do niego. Uznał, że spełnił swoje zobowiązanie, i odparł:

— Nie. Niemcom chodzi tylko o Mosze.

Joseph wyczuł, że policjant kłamie. Był tak zły, że w każdej chwili mógł wybuchnąć, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Tolek rozejrzał się szybko, a potem zaczął się oddalać. Joseph potrząsnął głową i złapał go za ramię.

— Chwileczkę.

Policjant oblizał wargi, jego twarz się zaczerwieniła.

— Co jest? — zapytał, przestępując nerwowo z nogi na nogę, zaniepokojony zachowaniem Josepha.

Joseph uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że nie dostałeś wszystkiego, co ci się należy — rzekł, nie podnosząc głosu, i przyparł tłustego policjanta do muru synagogi.

Na twarzy Tolka malowało się zaskoczenie i strach. Źle ocenił Josepha Gale'a, który wyglądał teraz strasznie, w jego brązowych oczach płonął gniew. Tolek kopnął go lekko, ale wiedział, że nie ma szans w walce ze znacznie młodszym, sprawniejszym i silniejszym mężczyzną.

— Puść mnie — jęknął. — Dostałeś to, co chciałeś.

— Milcz! — syknął Joseph.

Tolek poczuł ogromną dłoń na gardle i niezdarnie próbował uderzyć przeciwnika gumową pałką.

Krótką walka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Joseph poczuł, że policjant dygocze gwałtownie, a potem wiotczeje. Pozwolił, żeby ciało się osunęło, i oparł je o mur. Upewniwszy się, że Tolek nie żyje, szarpnął jego koszulę i zerwał z szyi sakiewkę ze złotymi monetami. Obejrzał się. Mimo że było już po godzinie policyjnej, miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Nie mógł wiedzieć, że Daniel poszedł za nim i stojąc w ciemności, pilnował, by Josephowi nie stało się nic złego.

Zdziwił się, ale i ucieszył, że Joseph zabił Tolka; na jego twarzy ukazał się uśmiech. Wiedząc, że misja Josepha zakończyła się powodzeniem, szybko wrócił do mieszkania Steinów.

Joseph nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś na niego patrzył, więc uważnie spojrzął w jedną i drugą stronę pustej ulicy. Nikogo jednak nie zauważył. Wstał powoli i odszedł, dziwnie nieporuszony tym, co zrobił. Po drodze przeliczył palcami złoto. W sakiewce było dwadzieścia dziewięć monet.

Gdy maszerował ulicą Zamenhofa do Niskiej, przyszła mu do głowy pewna myśl. Włożył dwadzieścia cztery monety do kieszeni, a pozostałe pięć wziął do ręki. Idąc szybkim krokiem, odnalazł kobietę, którą widział wcześniej w bramie przy ulicy Milej. Wcisnął jej w dłoń złote monety. — Masz — szepnął. — Kup dzieciom coś do jedzenia. Kobieta krzyknęła cicho i spojrzała na niego z zaskoczeniem, więc szybko odszedł.

Po raz pierwszy od lat nie czuł napięcia.

Wkrótce znalazł się na Niskiej i wchodząc po schodach do mieszkania, zobaczył, że Daniel i teść czekają na niego. Wbiegał po trzy stopnie naraz. Mężczyźni stali w cieniu w holu przy drzwiach.

— I co? — spytał Mosze, przyglądając się badawczo zięciowi.

Wyraz twarzy Josepha wystarczył mu za odpowiedź.

Z ust starego Żyda wydobył się cichy jęk.

Joseph potrząsnął ze smutkiem głową. Miał dziwne przeczucie, że po dzisiejszej nocy ich życie zmieni się raz na zawsze.

- Sytuacja nie jest dobra — powiedział. — Niemcy wrócą jeszcze dzisiaj.

— Popatrz na teścia. — Musisz kogoś przekupić i wydostać się z getta. Mosze spojrzał ponuro na Daniela.

Jesteś tego absolutnie pewny? — spytał Daniel. — Co dokładnie mówił Tolek?

— Powiedział, że pułkownik wyśle dzisiaj swoich ludzi po rybę, która za pierwszym razem wyśliznęła się z sieci. — Zrobił pnuzę, zastanawiając się, jak wytłumaczyć śmierć policjanta. —

Tolek sądzi, że Niemcy chcą się dobrać także do niego i że jego dni są policzone.

Oczy Daniela zabłysły, ale nic nie powiedział. Joseph Gale będzie bojownikiem, jakich mało.

Głowa Mosze opadła na pierś.

— A więc stało się — szepnął z niedowierzaniem.

Odwrócił się i niepewnym krokiem wszedł do pokoju, zastanawiając się, co dalej robić. Wiedział, że czasem mężczyzna musi podejmować najważniejsze decyzje w ułamku sekundy.

Joseph i Daniel weszli za nim bez słowa.

Sara i Gerszom czekali w pokoju stołowym, obawiając się najgorszego, mieli jednak nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Mosze spojrzał na żonę.

— Kochanie, nadszedł czas, żebym się spakował.

Sara potrząsnęła gwałtownie głową i krzyknęła cicho. Widząc rozpacz na twarzy męża, wcisnęła w usta skrawek fartucha i zdusiła krzyk. Skinęła głową i wstała.

Wyszli z pokoju.

Estera, która jeszcze nie spała, dołączyła do pozostałych. Bez słowa padła Josephowi w objęcia. Joseph, Daniel i Gerszom milczeli.

Mosze wszedł pośpiesznie do pokoju, niosąc niewielką walizkę.

Zatrzymał się na widok córki.

— Powinnaś już spać. Estera podbiegła do niego.

— Tato, nie odchodź, proszę.

Patrzyła na niego błagalnie, a Mosze pomyślał, że wygląda jak mała dziewczynka.

— Jeśli zostanę, wszystkich was narażę na niebezpieczeństwo. —

Odprowadził córkę z powrotem do męża i spojrzał mu głęboko w oczy.

— Joseph się tobą zaopiekuje. I dzieckiem. — Po chwili dodał jeszcze: —

Dopóki nie wrócę.

Gerszom objął matkę, która już nie kryła łez.

Daniel stał z boku, nie wiedząc, co powiedzieć.

Mosze popatrzył na rodzinę i uśmiechnął się mężnie. Pomyślał, że do chwili, gdy Hitlerowi przyszła do głowy szalona myśl o podbiciu świata, był najszczęśliwszym z ludzi. Żył pełnią

życia. Zanim w Warszawie zjawili się naziści, inaczej wyobrażał sobie swoją śmierć: był pewien, że umrze spokojnie w łóżku jako stary człowiek, otoczony przez dzieci i wnuki. Nic jednak nie jest pewne i wyglądało na to, że spokojna śmierć nie jest mu pisana.

Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Daniela. Patrzył długo na swojego rwącego się do walki syna, pragnąc dostać jeszcze jedną szansę przekonania go, że powinien powstrzymać się od przemocy. Nie było już jednak na to czasu i teraz mógł tylko żyć nadzieją. Kiwnął głową, objął syna i ucałował go w jeden, a potem w drugi policzek.

Odwrócił się do zięcia i poklepał go po ramieniu. Joseph okazał się błogosławieństwem od Boga.

— Miałeś rację — szepnął z żalem. — Powinienem być wywieźć rodzinę z Polski już dawno temu.

Joseph zastanawiał się, jak poradzą sobie bez Mosze. Ten człowiek był jak czołg stojący między rodziną a znienawidzonymi Niemcami.

Mosze spojrzał na Gerszoma. Ten sobie poradzi, pomyślał. Ma wiarę. Estera rozplakała się.

— Tato, tato...

Pomarszczona twarz Mosze zbladła.

— Muszę już iść.

Jeszcze raz uściśnął wszystkich, zostawiając Sarę na koniec. Po jej policzkach płynęły łzy.

— Mosze, ja...

Położył jej palec na ustach.

— Saro, kiedyś się spotkamy. W lepszym miejscu. Sara Stein rzuciła się w objęcia męża.

Jej rozpacz była trudna do zniesienia. Mosze musiał zebrać wszystkie siły, żeby oderwać się od żony.

Przed zamknięciem drzwi spojrzał na Gerszoma i Daniela i rzekł:

— Wiecie, co robić. — Mówił o resztkach kosztowności ukrytych w trzech różnych miejscach.

Uśmiechnął się łagodnie, machnął szybko ręką i starannie zamknął drzwi, nie mówiąc rodzinie, dokąd się udaje — nie chciał narażać ich na niebezpieczeństwo.

Sara wyszła z pokoju, opierając się rękami o ścianę, Daniel i Gerszom poszli powiedzieć swoim żonom, co się stało; ustalili, że spotkają się z Josephem za pół godziny.

Joseph wziął Esterę na ręce i zaniósł do łóżka. Usiadł przy niej i poczekał, aż zaśnie, ukołysana własnym płaczem.

Po półgodzinie, ustaliwszy ze szwagrami plan działania. Joseph wrócił do sypialni, ale nie położył się spać. Usiadł na dużym kufrze koło okna wychodzącego na Niską, czekając na Niemców, którzy przyjdą szukać Mosze Steina.

Nie musiał długo czekać.

Paryż

Jacques Gale żył teraz na walizkach. Nigdy nie zostawał w jednym miejscu dłużej niż na jedną noc. Mógł nocować w luksusowym apartamencie w hotelu albo w szafie. Kiedyś spał nawet zwinięty w wannie, za poduszkę mając tylko marynarkę.

Nie posiadał się z radości, gdy otrzymał wiadomość, że jego komórka ruchu oporu w Paryżu schwytała wreszcie Kota, francuskiego kolaboranta, który doprowadził do śmierci wielu towarzyszy Jacques'a. Dowiedział się, że podczas tortur Kol ujawnił, iż los europejskich Żydów jest przesądzony.

Jacques zmierzał do bezpiecznej kryjówki w sercu Paryża. Przywitał się z Edmundem i André, dwoma towarzyszami broni; pożartowali chwilę z „kota, któremu obcięto pazury”, a potem Jacques pochłonął posiłek złożony z chleba, zupy i sera.

Edmund wręczył Jacques'owi dwustronicowy dokument.

— Teraz przeżuj to — powiedział.

Jacques z niedowierzaniem przeczytał pismo raz, a potem drugi.

Kot darzy pełnym zaufaniem swojego łącznika, niemieckiego kapitana. Ten nazista lubi się przechwalać, że wie wszystko o spotkaniach na wysokim szczeblu, na których zapadają decyzje dotyczące planu tysiącletniego panowania Niemców w Europie. Zwierzył się Katowi, że na przedmieściu Berlina, Wannsee, 20 stycznia 1942 roku odbyła się konferencja, w której wzięło udział piętnastu czołowych nazistowskich dygnitarzy. Decyzje

podjęte w czasie tej konferencji są podobno znane całej niemieckiej machinie urzędniczej.

Choć marszałek Rzeszy Göring nie brał udziału w naradzie, za pośrednictwem generała SS Heydricha przekazał obecnym list, w którym stwierdził, że europejscy Żydzi nie wymierają dostatecznie szybko, aby można było mówić o skutecznej zagładzie całej żydowskiej rasy.

Po długiej dyskusji na temat kwestii żydowskiej podjęto decyzję o budowie w Polsce obozów z komorami gazowymi dla przyspieszenia procesu eksterminacji. Wszyscy Żydzi, łącznie z kobietami i dziećmi, którzy nie zmarli jeszcze z głodu i chorób, mieli być zagazowani.

Polscy Żydzi są pierwsi na liście. Po ich wyeliminowaniu do obozów śmierci mają zostać przetransportowani bydłęcymi wagonami Żydzi z zachodniej Europy, między innymi francuscy.

Jacques zapatrzył się w przestrzeń.

— Joseph... — szepnął.

Edmund i André wiedzieli, że Jacques Gale jest Żydem i że ta informacja oznacza niebezpieczeństwo dla jego rodziny w Paryżu. Edmund stuknął palcami w papier. Jego głos drżał od gniewu.

— Tak jak powiedziałem André, Niemcy oszaleli! André próbował ukryć własny lęk. Miał żydowską narzeczoną.

— Nie martw się, Jacques. Wkrótce Niemcy będą zdychać z nosami w kałużach.

— I nie zapominaj — dodał Edmund — że między nazistami i twoją rodziną jest jeszcze mnóstwo polskich Żydów.

Jacques popatrzył na nich zimnym, kamiennym spojrzeniem.

— Mój brat jest w Warszawie — szepnął. — Ożenił się z najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Mają małą córeczkę.

Po tych słowach zapadło milczenie.

— Mój brat, jego żona i dziecko to Żydzi do poświęcenia, ci, o których mówiłeś — rzekł po chwili Jacques tak cicho, że prawie nie było go słychać.

Twarze Edmunda i André poszarzały jak popiół; spojrzeli po sobie.

Wkroczyli w świat niewyobrażalnego, nie dającego się wyrazić słowami zła.

Rozdział VII

Waffen-SS

W roku 1933, gdy Adolf Hitler został kanclerzem Republiki Niemieckiej, którą poprzysiągł zniszczyć, zawsze mu wierny Heinrich Himmler pokazał swoje zdolności organizacyjne, tworząc osobistą straż Hitlera, liczącą z początku trzystu, a na koniec pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Były hodowca drobiu dokonał tego zaledwie w ciągu czterech lat. Pod jego dowództwem SS, której pełna nazwa, Schutzstaffeln, oznaczała „oddział ochronny”, znana też jako Czarny Zakon, stale rosła w siłę i zyskiwała coraz większy prestiż.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy napadli na Polskę, SS liczyła prawie sto tysięcy ludzi- Adolf Hitler chętnie się: „Rozkazałem, moim jednostkom spod znaku trupiej czaszki zabijać na wschodzie bez litości i skrupułów wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci rasy żydowskiej lub mówiących po Żydowsku”.

Spytany, czy żołnierze Wajfen-SS okażą się dość twardzi, by móc mordować niewinne kobiety z dziećmi na rękach, Hitler klepnął się rękami w kolana i roześmiał się. „Esesmani są inni niż wszyscy” — odparł. Był przekonany, że za pomocą twardego, spartańskiego wychowania Himmlerowi udało się stworzyć z SS rasę ludzi, których posłuszeństwo wobec fuhrera jest bezwarunkowe, i gdyby kazał im rzucić się z gołymi rękoma na czołg, zrobiliby to bez wahania.

Karl Drexler, tak jak wszyscy inni ludzie, przyszedł na świat zaprogramowany przez swój kod genetyczny, a później został poddany oddziaływaniu, które miało ukształtować jego życie.

Potwora uczynił z niego ojciec, Rudolf Drexler.

Rudolf Drexler urodził się 8 marca 1892 roku w Monachium, w rodzinie ze średniej klasy. Jego ojciec był nauczycielem akademickim, a matka zajmowała się domem. Był jednym z czterech synów, a jego dzieciństwo upływało w sielankowej atmosferze. Uczęszczał na uniwersytet i na drugim roku poślubił urodziwą córkę sąsiadów. Ich pierwszy syn, Karl, urodził się w roku 1913.

Życie Drexlerów toczyło się bez ciekawszych wydarzeń aż do dnia, gdy, tak jak innych Europejczyków, dotknęła ich historyczna tragedia: pierwsza wojna światowa. Rudolf i jego trzej bracia wyjechali z Niemiec, by walczyć na froncie zachodnim. Zanim Niemcy przegrali wojnę, jeden zginął, drugi stracił obie nogi, a trzeci — wzrok. Tylko Rudolf nie odniósł żadnych obrażeń. Po gorzkiej klęsce wrócił do zrujnowanego kraju i załamanej rodziny. Zamknął się w sobie, próbując znaleźć wytłumaczenie cierpień, które spadły na jego ukochaną ojczyznę i najbliższych.

W tym ciemnym okresie swego życia odkrył Houstona Stewarda Chamberlaina, Brytyjczyka, który wyrzekł się ojczyzny, ożenił z córką Ryszarda Wagnera i stał się bardziej proniemiecki niż najbardziej fanatyczni rdzenni Niemcy. W czasie pierwszej wojny światowej Chamberlain szerzył antybrytyjską propagandę, budząc wściekłość Brytyjczyków, którzy uznali go za renegata. W swojej książce *Fundamenty dziewiętnastego wieku* zawarł tezę, jakoby Niemcy byli rasą panów, a ich przeznaczeniem było rządzenie światem. Jako zaciekle anty-semita, utrzymywał, iż Niemcy są twórcami i depozytariuszami cywilizacji, natomiast Żydzi jej niszczycielami.

Niemcy pogrążyły się w chaosie po przegranej wojnie, a Rudolf Drexler dzięki Stewardowi Chamberlainowi znalazł kozła ofiarnego, na którego rzucił winę za wszystkie nieszczęścia: Żydów. Gotował się ze złości, ilekroć zobaczył Żyda idącego ulicą niemieckiego miasta lub wykonującego pracę, którą z pewnością odebrał Aryjczykowi.

Z pomocą teścia wrócił na uczelnię i uzyskał tytuł doktora filozofii. W roku 1922 został etatowym wykładowcą na Uniwersytecie Berlińskim. Pięć lat później, po burzliwej kłótni z kolegą, stracił posadę. Owym kolegą był Żyd, a szefem Rudolfa, wniosującym o jego wyrzucenie, również był Żyd.

By utrzymać rodzinę, Rudolf musiał podjąć za niewielką pensję pracę w sklepie tekstylnym. Właścicielem sklepu był Żyd.

Trawiony gniewem, Rudolf opowiadał dzieciom, ile zła kryje się w żydowskiej rasie. „Jeśli nie podejmiemy żadnych działań — ostrzegął — naszym ukochanym krajem będą rządzić parchy!”. Był niestrudzony we wpajaniu swojemu potomstwu pogardy dla Żydów. „Powinno się ich internować, trzymać z dala od reszty ludności, a jeśli to nie rozwiąże problemu, deportować z Niemiec! Stawką jest przyszłość kraju!”.

Z sześciorga dzieci Rudolfa najbardziej podatny na te nauki okazał się Karl. Wkrótce zaczął uważać Żydów za odrażających odmienców. Ojciec cieszył się, widząc, jak chłopiec przeklina mijanych na ulicy Żydów i pluje na nich, wyzywając ich od „morderców Chrystusa”.

Jako nastolatek Karl przyłączył się do bandy wyrostków, napadających na bezbronne żydowskie dzieci na ulicach. Na uniwersytecie został przywódcą grupy, która protestowała przeciwko przyjmowaniu na uczelnię zbyt wielu żydowskich studentów i dopuszczała się fizycznych napaści na Żydów otrzymujących wysokie oceny z egzaminów.

Kiedy do władzy doszli Narodowi Socjaliści, Karl Drexler i jego ojciec popłakali się z radości. *Mein Kampf*, książka zawierająca zarys programu politycznego Hitlera, określająca Żydów jako pasożyty na ciele Niemców, stała się ich biblią.

Karl z błogosławieństwem ojca zgłosił się do SS. Drzewo genealogiczne rodziny Drexlerów świadczyło o tym, że od 1750 roku ich krew jest czysta. Wykazanie czystości krwi było konieczne, jeśli Karl miał zostać kandydatem na oficera. Wysoki niebieskooki blondyn o nordyckich rysach bez trudu spełniał kryteria właściwych cech rasowych, stosowane przez SS.

Gdy Karl wyjechał z domu na szkolenie, stał się rodzinnym

bohaterem. Miał bronić *Yaterlandu* przed żydowskimi świniami, ryjącymi w jego ziemi i okradającymi go z bogactwa.

Po ukończeniu szkolenia wytatuowano mu na ramieniu symbol SS, podwójną błyskawicę. Następnego dnia rano dostał umundurowanie: czarne bryczesy, pas, brązową koszulę, czarny krawat, czarną koszulę i buty z cholewami. Na czarnej czapce i pasku do zapinania pod brodą widniał znak trupiej czaszki.

30 kwietnia 1937 roku, w urodziny fuhrera, Karl złożył rsesmańską przysięgę:

Tobie, Adolfowi Hitlerowi, fuhrerowi i kanclerzowi Rzeszy Niemieckiej, przysięgam wierność i męstwo. Ślubuję Tobie i przez Ciebie wyznaczonym dowódcom posłuszeństwo aż do śmierci, tak mi dopomóż Bóg.

Po złożeniu drugiej przysięgi, w której Karl Drexler ślubował, że ożeni się tylko wtedy, „jeśli zostaną spełnione konieczne warunki” rasowe i zdrowotne, i po przyrzeczeniu, że nie weźmie ślubu bez zezwolenia samego Himmlera, Karl otrzymał sztylet SS.

Za radą Himmlera postanowił zostać członkiem gestapo. Hyla to wyodrębniona część SS, która wkrótce stała się głównym narzędziem nazistowskich rządów terroru.

W dniu powrotu do Berlina Karl Drexler z wielką pieczołowitością przygotował swój mundur, sztylet i czapkę. Potem długo obracał się przed lustrem, podziwiając swe odbicie.

Kodzina czekała na jego przyjazd na dworcu kolejowym. Największą nagrodą dla młodego Karla Drexlera była duma, jaką ujrział w oczach ojca.

Rudolf Drexler uścisnął syna i zapłakał. - Mój syn, mój syn żołnierzem! Aż do tej chwili uważał, że przegrał swoje życie, lecz widok Karla uświadomił mu, że wychował syna, który z pewnością

potrafi odzyskać to, co zostało ukradzione jemu samemu i jego ukochanym Niemcom.

Po wybuchu wojny gestapo podążało za niemieckimi siłami zbrojnymi do okupowanych krajów, brutalnie eliminując każdego, kto ośmielał się protestować przeciw niemieckiemu panowaniu. Pierwszymi masowymi ofiarami gestapowców dążących do unicestwienia wrogów Rzeszy stali się Żydzi, uwięzieni w pułapkach gett.

Karl Drexler został ranny w nogę, gdy jego służbowy samochód wjechał na rosyjską minę, i wrócił do Berlina na rekonwalescencję. Potem otrzymał przydział na front wschodni, gdzie miał się zająć rozwiązaniem nabrzmiewającego problemu żydowskiego w getcie warszawskim.

Karl Drexler przyglądał się nazwiskom na liście z lekko drżącymi ustami. Jego podwładny, Friedrich Kleist, stał naprzeciw niego z rękami splecionymi na plecach, starając się nie okazywać lęku, który go przepełniał. Dowódca od czasu tragicznej kampanii zimowej w Rosji zachowywał się coraz bardziej irracjonalnie. Karl Drexler wyładowywał się teraz na każdym, kto znalazł się w pobliżu. Młodszy brat pułkownika Drexlera walczył na zachód od Smoleńska na froncie wschodnim.

Tydzień temu dowiedzieli się, że rosyjscy partyzanci zastawili pułapkę, w której zginęło wielu niemieckich żołnierzy. Friedrich zastanawiał się, czy właśnie to wpłynęło na zmianę zachowania Drexlera.

Karl wcisnął kartkę do kieszeni.

— Niemieccy żołnierze wystrychnięci na dudka przez durnych Żydów?

— spytał.

— Na to wygląda, panie pułkowniku — odparł Friedrich, nadając głosowi beznamiętny ton.

Karl mruknął coś pod nosem, obszedł biurko i wziął do ręki krlka dokumentów; potrzebował trochę czasu, musiał pomyśleć o Żydach w getcie warszawskim. Żydzi to przebiegła rasa — wszelkimi sposobami trzymali się swojego nędznego życia.

A on żałował im każdego oddechu.

Wczoraj w nocy piętnastu tych bydlaków zdołało uciec. Od tego czasu ludzie Karla wytropili tylko trzech zbiegów. Karl dopilnował, żeby przed rozstrzelaniem poddano ich torturom, i choć sprawiło mu to chwilową przyjemność, nie mogło w pełni zadowolić pragnienia upokorzenia i złamania Żydów.

Kampania rosyjska załamywała się, więc Karl tym mocniej odczuwał pilność i wagę swojego zadania. Potrzebował jednak czasu, żeby przy pomocy swoich ludzi zlikwidować żydowskie świnie. Wiedział, że dla dowódców w Berlinie rozwiązanie kwestii żydowskiej jest równie ważne jak wygranie wojny. Jeśli przeżyje choćby jeden Żyd, misja Karla nie zostanie spełniona.

Skierował swoją złość na Friedricha.

— Czy sam muszę wszystko robić? — Pstryknął palcami. — Zbierz swoich ludzi i chodź ze mną. — Osobiście wejdzie do getta i wytropi tych upartych Żydów! A potem wpakuje im kulki w łeb na oczach rodzin. Zimny uśmiech błąkał się po jego wargach, gdy sobie to wyobrażał. Postanowił nie zabijać tych Żydów ot tak po prostu.

O wiele przyjemniej będzie patrzeć, jak błagają o litość, torturowani. Na samą myśl o tym poczuł rozkoszny dreszcz.

Ta noc zamieni się w morderczą orgię. Metoda Karla była prosta. Brał jako zakładników żydowskie dzieci i informował żydowskie psy, że mają pięć minut na ujawnienie miejsca pobytu poszukiwanego. Potem zaczynało się zabijanie i Żydzi zdradzali kryjówki zbiegów.

W ciągu kilku godzin mieli już dziesięciu z dwunastu poszukiwanych. Niestety jednego z nich trzeba było zabić. Widząc swoje dziecko we krwi, zastrzelone, Żyd zawył jak hiena i z gołymi rękoma rzucił się na oprawcę.

Kiedy szli do ostatniego mieszkania przy Niskiej, Karl poklepał swojego podwładnego po plecach. Był szalenie dumny z siebie i uważał się za wielkiego stratega w śmiertelnej rozgrywce z Żydami. Martwił go jednak Friedrich Kleist. Był nowy w getcie warszawskim i Karl czuł, że nie wkłada serca w swoją pracę, ale nie miał mu tego za złe. Często zdarzało się, że jego ludzie, zwłaszcza ci mniej doświadczeni, potrzebowali czasu, by zobaczyć Żydów takimi, jakimi byli naprawdę, i zro-

zumieć absolutną konieczność wyeliminowania ich z życia Europy. Żydzi byli niebezpieczni między innymi dlatego, że sobie tylko znanymi podstępными, chytrymi sposobami umieli zdobywać przychylność ludzi. Karl mówi! głośno, podkreślając słowa ruchami pałki w górę i w dół, jak pełen entuzjazmu nauczyciel przemawiający do uczniów, choć żaden student nigdy nie powinien usłyszeć takiego wykładu.

— Żydzi to tępaki. Dzięki rozmaitym testom na inteligencję, przeprowadzonym przez cenionych naukowców z Rzeszy, udało się stwierdzić, że mózg Żyda jest taki sam jak mózg konia.

Widząc niedowierzanie Friedricha, dodał ze śmiechem:

— Nie tak duży jak u konia, tylko taki tępy. Naprawdę! Tak jest! — Zachichotał. — Powiedz mi, czy człowiek dyskutuje o swoich pomysłach z koniem?

— Nie, panie pułkowniku — padła zgodna z oczekiwaniem odpowiedź.

— Pewnie, że nie. Człowiek musi stłuc bydlę, żeby pokazać mu, gdzie ma iść. Tak samo jest z Żydami. Trzeba im pokazać, co mają robić, w najprostszym sposobie. — Karl Drexler wyszczerzył do Friedricha zęby w uśmiechu, czekając na odpowiedź.

— Oczywiście — wymamrotał Friedrich, nie wiedząc, co powiedzieć. Zacerwienił się, czując na sobie wzrok tysiąca przodków, osądających jego postępowanie w chwili i miejscu, które wymagały od mężczyzny okazania jego prawdziwej wartości. Westchnął ciężko, czując, że otacza go banda szaleńców i jest całkowicie bezradny.

Friedrich nie chciał brać udziału w tym, co będzie się działo tej nocy.

Wstąpił do SS za radą kuzyna, który przekonał jego rodziców, że ich jedyny syn będzie znacznie bezpieczniejszy w SS, aniżeli w armii, która nagle zaczęła ponosić dotkliwe klęski. Friedrich był mężczyzną średniego wzrostu, dość atrakcyjnym, lecz pod wieloma względami dziecinny, bo zbyt długo chronionym przez nadopiekuńczych rodziców. Matka nakłaniała go, żeby zastanowił się nad służbą w SS, ponieważ tak jak wielu Niemców uważała, że żołnierze tych elitarnych jednostek dbają tylko

tylko o morale Niemców i zajmują się pilnowaniem więźniów. W trzecim roku wojny SS rozluźniła trochę niektóre z surowych wymogów rekrutacji i tylko dlatego Friedrich został przyjęty.

Początkowo był zadowolony, podziwiał mundury i pewność siebie esesmanów. Powiedział sobie, że każdy zdrowy mężczyzna w Niemczech nosi mundur, więc nie miał wyboru, a jeden rodzaj służby nie różni się od drugiego.

Bardzo się pomylił.

Już w czasie szkolenia uświadomił sobie, że nie ma odpowiedniej konstrukcji psychicznej do wykonywania zadań zleczanych jednostkom SS. Szybko dotarło do niego, że uczą go, jak być mordercą, a nie żołnierzem! Jak mordować Żydów, których przy okazji wskazywano jako źródło wszystkich niemieckich problemów. Żydzi rozpętali wojnę, zasługiwali więc na katastrofę, która miała ich spotkać. Żydzi stali za każdą niemiecką klęską.

Nawet teraz, gdy szedł obok pułkownika Drexlera, dźwięczały mu w uszach słowa jego byłego instruktora SS: „Niebezpieczeństwo grożące naszemu krajowi nie zostało usunięte. Nasi wrogowie chcą wdrzeć się jeszcze dalej na niemiecką ziemię! Największym zagrożeniem dla niemieckiego stylu życia są ci brudni Żydzi!”.

Instruktor myślał dokładnie to, co mówił, ale Friedrich przytaknął swemu dowódcy bez przekonania.

Chociaż wśród przyjaciół rodziny Kleistów nie było Żydów, on sam nie miał nic przeciwko nim i często było mu przykro, że są tak źle traktowani. Nie był jednak tak naiwny, by głośno wyrażać swoje wątpliwości — wylądowałby wtedy jako strażnik w obozie koncentracyjnym w Polsce. Rodzice byli zachwyceni, że ich syn jest daleko od karabinów wrogów Niemiec, których liczba stale rosła. Friedrich wiedział jednak, że gdyby wiedzieli, co się dzieje z Żydami i jaką rolę mu narzucano, woleliby, żeby siedział w zasypanym śniegiem okopie gdzieś w Rosji.

Swojego dowódcę, Karla Drexlera, uważał za obłąkańca dopuszczającego się straszliwych zbrodni przeciwko niewinnym kobietom i dzieciom. Obsesja pułkownika na punkcie Żydów przerażała go, ale nie mógł nikomu o tym powiedzieć. Wiedział, że pułkownik Drexler, zanim trafił do Warszawy, służył na

froncie wschodnim. W Kijowie wpadł w furie, gdy dwóch jego żołnierzy odmówiło wykonania rozkazu podłożenia ognia pod stodołę, w której było uwięzionych sto rosyjskich kobiet i dzieci. Friedrich słyszał, że owi dwaj żołnierze zostali surowo ukarani.

Pułkownik był niebezpieczny i Friedrich wiedział, że lepiej z nim nie zadzierać. Obawiał się konsekwencji nieposłuszeństwa.

Był przekonany, że Żydzi są już właściwie martwi i nie może nic zrobić, aby im pomóc. Drexler powiedział mu ostatnio prywatnie, że wysocy dowódcy na styczniowym spotkaniu w Wannsee pod Berlinem podjęli decyzję o przyjęciu planu „ostatecznego rozwiązania”, który oznaczał eksterminację europejskich Żydów.

Obłąd! Cały świat oszalał, myślał Friedrich.

Teraz jednak musiał przygotować się na kolejny akt przemocy, bo dochodzili do mieszkania przy Niskiej, gdzie mieszkał jeden z najbogatszych Żydów w getcie, Mosze Stein.

Friedrich miał powody, by bać się spotkania z Mosze Steinem. Poznał go kilka miesięcy wcześniej i przyjął od niego łapówkę w zamian za uwolnienie krewnego, mężczyzny aresztowanego pod zarzutem szmuglerstwa. Nigdy wcześniej nie wziął łapówki, lecz akurat tego dnia dostał niepokojący list od żony, Ewy. Brytyjczycy wzmogli bombardowanie Berlina, i Eva napisała mu o trudnościach, z jakimi boryka się cała rodzina. Żywność w Niemczech osiągała niebotyczne ceny. Martwiąc się o żonę i swoich rodziców, Friedrich dał się uwieść wielkim diamentom Mosze Steina, tłumacząc sobie, że Żydzi z warszawskiego getta i tak wkrótce będą martwi. Kiedy dowiedział się, że strażnik, który aresztował krewnego Mosze, został wezwany do Niemiec na pogrzeb brata, a inny oficer nie wypełnił odpowiednich formularzy, wziął pięć diamentów i wypuścił Żyda. Miał nadzieję, że bez podpisanych dokumentów i tak nikt nie będzie wiedział, kto był aresztowany.

Na wszelki wypadek zatrzymał sobie jeden diament, a z zaufanym kolegą z SS załatwił, żeby po dwa diamenty trafiły do Ewy i jego matki.

Ale ktoś jeszcze musiał wiedzieć o bogactwie starego Żyda, bo jakimś sposobem nazwisko Mosze Steina znalazło się na

liście egzekucyjnej, gdy Drexler postanowił zemścić się za śmierć zamordowanego w getcie niemieckiego żołnierza. Pułkownik traktował go tak samo jak zwykle, więc Friedrich miał nadzieję, że nie dowiedział się o nielegalnej transakcji. W przeciwnym razie byłby w poważnych tarapatach. Karł Drexler bardzo głęboko wierzył w przysięgę, którą złożył. Nikt nie słyszał, żeby pułkownik kiedykolwiek przyjął łapówkę. Kiedy Żyd wymknął się z pierwszej obławy, Drexler powiedział do Friedricha: „Mosze Steina aresztujemy na samym końcu”. Zawsze zostawiał sobie na koniec to, co najlepsze.

Friedrich zauważył, że jego zwierzchnikowi największą przyjemność sprawia poniżanie bogatych Żydów. „Tym bogatym draniom zdaje się, że majątek uratuje ich przed niemiecką sprawiedliwością — powiedział kiedyś i roześmiał się, przypominając sobie jakieś zabawne, jego zdaniem, wydłużenie. — Bogaci Żydzi zawsze są tacy zdziwieni w chwili śmierci” — dodał.

Wchodząc po schodach do mieszkania Steinów, Friedrich czuł, jak ściska go w żołądku. Był przekonany, że o czwartej tano rodzina Steinów śpi spokojnie, nieświadoma, że nadchodzi Karł Drexler, by zniszczyć ich życie. Wyczuwając, że pułkownik obserwuje go, starał się nadać twarzy wyraz zapału.

Pułkownik stanął przed drzwiami mieszkania Mosze Steina i wyprostował się, czując, że całe jego ciało ogarnia spokój. Spełniał życzenie swojego ukochanego fiihrera. - Wyłamać drzwi — rozkazał.

Rozdział VIII

Śmierć na Niskiej

Joseph Gale czekał od czterech godzin. Słyszał głos Karla Drexlera i stąpanie ciężkich buciorów esesmanów, kroczących ulicami getta w stronę ulicy Niskiej.

Szybko zamknął Esterę i Miriam w sypialni.

— Nie wychodź, bez względu na to, co usłyszysz! — powiedział do przerażonej żony.

Z bijącym głośno sercem dołączył do Gerszoma i Daniela, siedzących w pierwszym pokoju. Trzej mężczyźni byli gotowi poświęcić się, by ocalić swoje rodziny.

Joseph wymienił spojrzenie z Danielem i nagle poczuł, że jest chłodny i spokojny.

Roztrzaskane drzwi przewróciły się i esesmani wpadli do mieszkania.

Kiedy Karl Drexler zobaczył czekających na nich trzech Żydów, podniósł brwi i popatrzył na nich uważnie, zatrzymując wzrok na Josephie Gale'u.

Przyglądał się roslemu mężczyźnie przez kilka chwil, po czym swobodnie wszedł przez wyłamane drzwi, jakby był zaproszonym gościem.

— Szukam Mosze Steina. Jest tu gdzieś może? — spytał z zimnym uśmiechem.

— Niedawno zmarł — odparł Daniel. Taką odpowiedź wspólnie ustalili.

— Pochowaliśmy go w zeszłym tygodniu.

Przez cały ubiegły rok w getcie umierało dwustu Żydów dziennie i było całkiem prawdopodobne, że Mosze również znalazł się wśród tych nieszczęśników.

Karl Drexler strzepnął z czarnej kurtki nieistniejący pyłek.

— Czyżby? — Odwrócił się do Friedricha Kleista i mrugnął do niego, a potem minął trzech mężczyzn i podszedł do regału z książkami Mosze. W kompletnej ciszy panującej w pokoju przeglądał bogate zbiory klasyki w kilku językach. — Co to jest? — zapytał, kartkując Monteskiusza.

Przekonany, że wszyscy Żydzi to złodzieje, uznał, że Steinowie musieli obrabować bibliotekę jakiegoś polskiego arystokraty. Później każe kapitanowi Kleistowi zwrócić zbiory właścicielom.

Odłożywszy książkę na miejsce, popatrzył na trzech Żydów. Szturchnął Daniela pałką.

— Nazwisko?

Młody mężczyzna zeszywniał.

— Daniel Stein.

— A, tak! Daniel. — Karl zachichotał i nawiązując do wersetu z Biblii, zapytał: — Danielu, sługo żywego Boga, czy twój Bóg, któremu nieustannie służysz, uratował cię przed lwami?

Daniel nie odpowiedział.

Paru esesmanów parsknęło śmiechem.

Karl uśmiechnął się do nich i odchrząknął.

— Danielu, jaka to przypadłość zabrała twój... ojca, zdaje się?

Daniel kiwnął głową.

— Tak, Mosze Stein był moim ojcem. — Przełknął ślinę, żeby nie przekląć Niemca, zamiast mu odpowiedzieć. — Umarł na zapalenie płuc.

— Zapalenie płuc, oczywiście... — Karl przeszedł między Danielem i Josephem. Przystanął i popatrzył Josephowi w oczy, oceniając kształt jego głowy. Ścisnął ręką jego biceps i pomyślał, że u tego mężczyzny nie widać żadnych typowych cech fizycznych Żyda. Zbity z tropu imponującym wzrostem Josepha i jego powierzchownością, zmrużył oczy. — A ty jak się nazywasz?

— Joseph Gale — odpowiedział Joseph.

Karl Drexler nie przestawał mu się przypatrywać. Joseph nie upuszczał wzroku. Karl Drexler był wysokim mężczyzną, lecz Joseph go przerastał.

Kiedys Joseph Gale podziwiał niemiecki naród, mimo że to właśnie Niemcy militaryści rozpętali pierwszą wojnę światową, a wcześniej wiele razy napadali na sąsiadów. Niemcy byli pełni sprzeczności: wydawali muzycznych geniuszy, wspaniałych pisarzy, intelektualistów i uczonych — a także potwory, dążące do zniszczenia wszystkiego, co dobre i piękne.

Jednak od początku drugiej wojny światowej, od okupacji Polski i utworzenia w Warszawie getta, nienawidził wszystkich niemieckich drani.

Spojrzał w niebieskie i zimne jak lód oczy esesmana i doszedł do wniosku, że nie ma w nich nic. Ten człowiek był pustą skorupą, zaprogramowaną wyłącznie na zabijanie. Zastanawiał się, czy nazistowska doktryna wysysała wszelkie dobro ze wszystkich Niemców — podobnie jak z tego, który stał teraz przed nim.

Jeśli tak, zasługiwali na to, by zginąć.

Prawie się uśmiechnął na myśl, że właśnie taki los spotykał zastępy niemieckich żołdaków w Rosji. Hitlerowska machina wojenna mocno kulała na froncie wschodnim i Joseph już od pewnego czasu wiedział, że Niemcy przegrają obłąkańczą walkę o panowanie nad światem. Miał tylko nadzieję, że przegrają dość szybko, aby warszawscy Żydzi zdążyli się uratować.

Nagle doznał dziwnego przeczucia, że pewnego dnia ten człowiek może znaleźć się na jego łasce.

Stali bez ruchu naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

Twarz Karla poczerwieniała — był wściekły na tego bezczelnego Żyda, który najwyraźniej rzucał mu wyzwanie.

Joseph aż świerbiło, żeby zabić Karla Drexlera. Wyobraził sobie nagle, że jego ręce mają własną wolę, wyciągają się i duszą tego człowieka równie łatwo, jak udusiły Tolka Grinspana. Wiedząc, że oznaczałoby to śmierć wszystkich członków rodziny, schował ręce do kieszeni i spuścił wzrok. Karl był zadowolony. Było to niewielkie zwycięstwo, ale nie lubił przegrywać z żadnym Żydem. Chciał zadać Josephowi Gale'owi wiele pytań, nie zrobił tego jednak. Później przyjdzie czas na przesłuchanie.

Zwrócił się do Gerszoma:

— Proszę akt zgonu Mosze Steina.

Gerszom przestąpił z nogi na nogę.

— Nie mamy na razie dokumentów. Jeszcze nie. — Wszyscy wyczuli niepewność, która wkradła się do jego głosu. — Lekarz mówi, że będzie gotowy jutro.

Karl potrzęsął głową i cmoknął. Spojrzał na swojego adiutanta.

— Widzisz, Friedrich? Żyd nie wie, co to prawda. Żyd po prostu nie umie powiedzieć prawdy.

Twarz Karla znowu poczerwieniała.

— Kłamcy, każdy śmierdzący Żyd to kłamca! — Gra była skończona, nie udawał już rozbawienia. — Znajdźcie kobiety i dzieci — rzucił, pstrykając palcami na esesmanów stojących za Friedrichem Kleistem. Pięciu esesmanów rozeszło się do różnych części mieszkania.

Karl kazał trzem Żydom zostać na miejscu, ale Joseph nie posłuchał i ruszył za Niemcami do sypialni. Wyprzedził ich, przytrzymał przed drzwiami i otworzył je.

— Estero, kochanie. Weź Miriam i chodź ze mną.

Karl postanowił, że będzie długo zwlekał z zabiciem tego Żyda.

Mieszkanie wypełniło się odgłosem wyłamywania drzwi i dziecięcym płaczem.

Przerażone żony Daniela i Gerszoma oraz wdowa po Izraelu prowadziły przed sobą dzieci.

Sara Stein stanęła spokojnie między swoimi dwoma dorosłymi synami, trzymając w ramionach niewidomego wnuczka Dawida.

Joseph przytulił łkającą Miriam i objął Esterę, stojącą przy jego boku.

Czuł, że żona drży na całym ciele. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Nie martw się, najdroższa — szepnął. — Zaraz będzie po wszystkim. Pułkownik z wykrzywioną nienawiścią twarzą spoglądał to na jednego, to na drugiego Żyda. Widok wysokiego Żyda z żoną i dzieckiem doprowadzał go do wściekłości. Ciemnooka kobieta o oliwkowej skórze była bardzo piękna, była też jednak bez wątpienia pełnej krwi Żydówką. Jej córka natomiast miała jasne włosy i oczy i bladą cerę. Można ją było wziąć za Niemkę.

Pomyślał, że być może jej ojciec jest Aryjczykiem. Jeśli tak rzeczywiście było, popełnił najgorszą zbrodnię przeciwko państwu: pozostawał w cielesnym związku z żydowską dziwką. Karl jeszcze przez chwilę spoglądał na stojącą przed nim żydowską rodzinę. Nie wiedział dokładnie, czemu nienawidzi tego wysokiego Żyda bardziej niż innych. Po chwili jednak uświadomił sobie, że Joseph Gale wygląda, jakby czuł wyższość nad nim, Niemcem!

Pomyślał, że bardziej pragnie ukarać Josepha Gale'a, niż go zabić. Nie wiedział tylko jeszcze, co zrobi i jak to zrobi. Na razie.

Friedrich przesunął się niepewnie w stronę drzwi. Ulżyło mu, gdy usłyszał, że stary Żyd umarł lub uciekł, ale wiedział, że za chwilę ktoś zginie.

Patrząc, jak Joseph czule obejmuje swoje dziecko, Karl z trudem powstrzymał uśmiech.

Podszedł do Daniela.

— Przekaż Mosze Steinowi — rzucił mu w twarz — że ma się zgłosić na Pawiak w ciągu ośmiu godzin... — Zawiesił głos i przez krótką jak uderzenie serca chwilę w pokoju panowała absolutna cisza. — Jeśli nie, wszystkich was zabiję — zapowiedział złowieszczo.

Przepełniony gniewem Daniel ledwie mógł oddychać. Kiwnął głową, wiedząc, że Niemiec spełni swoją groźbę. Zaprzeczanie, że ojciec żyje, było daremne.

Karl spojrzał na Josepha ze złośliwym uśmieszkiem.

Joseph patrzył i słuchał, starając się zachować kamienną twarz. Czuł, że esesman na nim skupił całą swoją nienawiść.

Pokój wypełnił się lamentem, gdy Karl wskazał Miriam.

— Dajcie tę małą blondynkę — rozkazał krótko. Spojrzał na inne dzieci.

— 1 tego małego. — Skinął ręką w stronę Dawida, niewidomego wnuczka Sary.

— Nie! — krzyknęła Estera.

Joseph trzymał jedną ręką córkę, a drugą odpychał esesmana, który wyciągnął ręce po Miriam.

Friedrich zacisnął zęby tak mocno, że żyły wystąpiły mu na czole.

— Nie zabijajcie tego wysokiego Żyda! — zawołał Karl, przekrzykując rozpaczliwe zawodzenia kobiet.

Sara odwróciła się z głośnym jękiem i pobiegła z Dawidem do swojej sypialni. Niewidomy chłopiec, nie rozumiejąc przyczyny niepokojącego zachowania babki, zaczął krzyczeć.

Daniel i Gerszom skoczyli za matką, a za nimi dwaj esesmani.

Trzy synowe Sary pociągnęły dzieci w kąt pokoju, osłaniając je swoimi ciałami.

Joseph zdołał powalić esesmana na podłogę, podał Miriam Esterze i pchnął ją z dzieckiem w kierunku ściany. Stanął przed żoną i córką i zaczął walczyć, a jego przenikliwy krzyk mroził krew w żyłach. Do walki włączyło się jeszcze dwóch esesmanów, ale lęk Josepha o dziecko dał mu siłę dziesięciu mężczyźn.

Karl obserwował te zmagania z wielkim zainteresowaniem. Z jego doświadczenia wynikało, że większość Żydów potulnie spełnia każdy rozkaz wydany przez niemieckich panów. Ale ten był bez wątpienia inny. Trzech esesmanów padło, a Joseph okładał czwartego. Umocniło to Karla w podejrzeniu, że Joseph Gale nie jest Żydem. Wyciągnął pistolet i cofnął się dwa kroki w stronę drzwi. Z zalem pomyślał, że będzie musiał wydać rozkaz zabicia Josepha Gale'a. Jaka szkoda!

Szybkim ruchem ręki posłał do walki jeszcze jednego żołnierza i swojego adiutanta. Friedrich jednak nie był przygotowany na walkę wręcz i gdy twarda pięść Josepha wylądowała na jego nosie, z którego natychmiast trysnęła krew, zatoczył się do tyłu i wylądował na podłodze. Nigdy przedtem nie czuł takiego bólu.

Zaniepokojony Karl rozkazał włączyć się do walki pozostałym esesmanom. W końcu powalili wielkiego Żyda, po czym zaczęli go okładać.

Joseph leżał nieprzytomny, a jeden z podwładnych Karla wyciągnął ręce po Miriam, która ukryła się za plecami matki i płakała żałośnie. Estera rozpaczliwie kopała i drapała, walcząc jak tygrysica. Karl przez chwilę obserwował ją zimnym wzrokiem, a potem powalił jednym ciosem w twarz. Widząc padającą na ziemię Żydówkę, poczuł złośliwą satysfakcję. Miriam przez cały czas krzyczała, wołając matkę.

Karl złapał dziecko za jasne loki i pociągnął po podłodze.

Uderzył dziewczynkę dwa razy, żeby ją uciszyć, i kazał Friedrichowi ją podnieść.

Oszołomiony Friedrich siedział z zakrwawioną chusteczką przy nosie.
— Tak, zaraz... — odparł półprzytomnie.

W głębi mieszkania padł strzał i po chwili dwaj esesmani wrócili z Dawidem, śmiertelnie bladym i nieruchomym. Chłopczyk zemdłał ze strachu.

Trzymając łkającą dziewczynkę, Friedrich walczył z mdłościami. Próbował uspokajać dziecko, lecz Miriam, która od urodzenia знаła tylko miłość i dobroć, nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

— Mamusiu! Mamusiu! — krzyczała, odwracając się w stronę nieprzytomnej Estery.

Karl Drexler promieniał z dumy, patrząc na tę wspaniałą scenę, która była jego dziełem. Joseph Gale leżał na podłodze z zakrwawioną twarzą. Karl stwierdził, że nie odniósł poważniejszych obrażeń. Przeżyje. Po stracie dziecka tych kilka miesięcy życia, które mu Karl przeznaczył, będzie specjalnym rodzajem tortury.

Estera była nieprzytomna. Wyglądało na to, że ma złamaną szczękę. Drexler omal się nie roześmiał, gdy przeniósł wzrok na synowe Mosze Steina: trzy żydowskie dziwki ze swoimi bękartami, odrętwiałe ze strachu.

Z głębi mieszkania dochodziły głośne szlochy.

Pułkownik Karl uśmiechnął się zimno.

Jeszcze nie skończył z rodziną Steinów, o nie.

Beniaminowi Gale'owi wystarczyło jedno spojrzenie, by uznać, że jego żona postradała rozum. Przeglądała album rodzinnych zdjęć Gale'ów, wyjmowała fotografie Jacques'a, Josepha i Estery i wyrzucała jedno po drugim do kosza.

Rachela stała obok i wyjmowała zdjęcia.

— Mamo, co robisz?! — krzyczała. — Przestań!

Natalie wymamrotała coś pod nosem; Beniaminowi zdawało się, że słyszy, jak powtarza: „samotny album, samotny żydowski

album" — ale nie był tego pewien. Podeszedł do Natalie i wyjął jej album z rąk.

Rachela z płaczem zaczęła wkładać zdjęcia z powrotem na miejsce.

Beniamin ze wszystkich sił starał się uspokoić żonę. Wiedział, dlaczego tak rozpacza. Wczoraj wieczorem dostali wiadomość, że Jacques wpadł w ręce gestapo. Dowiedzieli się, że był ważnym członkiem Résistance i stacjonował w Lyonie, mieście, które w ubiegłym roku stało się centrum francuskiego ruchu oporu. Powiedziano im też, że ich syn zabił wielu niemieckich żołnierzy i kolaborantów, zanim został schwytany.

Beniamina ostrzeżono, żeby uciekał wraz z całą rodziną z Paryża do Szwajcarii. Ulubioną metodą gestapowców było torturowanie członków rodziny na oczach więźniów z ruchu oporu.

Natalie podniosła głowę i spojrzała mężowi w twarz.

— Chcę zobaczyć moich synów! — krzyknęła. — Muszę ich zobaczyć! Mam im coś ważnego do powiedzenia!

Beniamin objął mocniej żonę. Poczł grudę w gardle, w jego oczach pojawiły się łzy. Nie mógł się załamać — wiedział, że jeśli jedno z nich nie pozostanie silne, rodzina nie otrząśnie się z szoku po stracie Jacquesa i Josepha.

Natalie uwolniła się z objęć męża i opadła na fotel.

— Myliłam się przez te wszystkie lata! — wyznała, patrząc mu w oczy.

Beniamin znowu pomyślał, że z żoną jest coś nie tak.

— Nie pozwalałam moim synom żyć jak Żydzi... — Przerwała, patrząc pustym wzrokiem ponad jego ramieniem. — A teraz pewnie umrą jako Żydzi.

Beniamin był gotów zrobić wszystko, żeby uspokoić żonę. Jęknął i uklęknął przed nią. Ucałował jej ręce i położył głowę na kolanach.

— Natalie, nie możesz się tym zadrećzać. Delikatnie przesunęła dłońmi po głowie męża.

— Zbłądziłam, porzucając wiarę. Odgrodziłam dzieci od ich dziedzictwa. Popełniłam niewybaczalny grzech — mówiła gorzko. — A teraz ponoszę karę, tracąc moich pięknych synów.

Rachela nie mogła dłużej znieść jej cierpienia. Wybiegła

z pokoju z albumem przyciśniętym do piersi, żałując, że nie jest na miejscu Jacquesa czy Josepha. Wiedziała, że matka zawsze bardziej kochała swoich przystojnych synów.

Beniamin usłyszał trzaśnięcie drzwi. Przypomniał sobie, że aresztowanie Jacques'a oznacza niebezpieczeństwo dla nich wszystkich. Musiał być gotów na trudne chwile.

— Natalie, musimy przygotować się do wyjazdu — rzekł. — Teraz musimy myśleć o Racheli i Michelu.

Nieprzytomne spojrzenie Natalie ustąpiło miejsca żalostnej rezygnacji.

— Niemcy mogą już tu przyjść. — Klasnęła w dłonie. — Moja dusza umarła, więc co mi po ciele?

Ale Beniamin nie mógł sobie pozwolić na niezdecydowanie.

— Kochanie, mamy jeszcze dwoje dzieci. Musimy wyjechać z Paryża, żeby one mogły przeżyć.

Natalie skinęła lekko głową. Mąż miał rację. Pomyślała o dwojgu pozostałych dzieciach. Rachelą była młoda. Zadrzała na myśl, że Niemcy mogą dostać ją w swoje łapy. A Michel... wprawdzie ożenił się z gojką, ale wiedziała, że dla okupantów nie miałoby to znaczenia.

Czuła obezwładniające zniechęcenie, wzięła jednak głęboki oddech i powiedziała:

— Spakuję trochę rzeczy.

Beniamin wstał szybko. Wiedział, że nie wolno im tracić czasu.

Zanim zdążyli wyruszyć, zadzwonił telefon i Abbi poinformowała ich, że Michel został zabrany przez trzech Niemców w czarnym samochodzie.

Po chwili rozległo się uporczywe dzwonienie do drzwi. Beniamin przygarnął żonę i córkę i razem stanęli w holu. Kiedy gestapowcy weszli do domu, Natalie wyrwała się z objęć męża, stanęła przed nim i z szalonym spojrzeniem oznajmiła:

— To mnie szukacie. To ja uprawiam żydowską maskaradę.

Nazajutrz rano Mosze Stein podsłuchiwał, jak ludzie, którzy udzielili mu schronienia, rozmawiają o tym, że z jego rodziną stało się coś strasznego. Wyszedł natychmiast z ukrycia i rzucił

się biegiem ulicami getta. Mimo grożącego mu niebezpieczeństwa wrócił na Niską, nie sprawdzwszy nawet, czy SS obserwuje dom.

— Co ja zrobiłem? — zawodził zrozpaczony, gdy zobaczył, w jakim stanie są pozostali przy życiu członkowie rodziny, i dowiedział się o uprowadzeniu dwojga wnucząt.

Rodzina poniosła ogromne straty.

Gerszom nie żył. Jeden z esesmanów strzelił mu w twarz podczas walki o Dawida. Jego pogrążona w żałobie żona i dzieci siedzieli w pokoju, nie mogąc przeboleć utraty troskliwego męża i ojca.

Daniel poszedł na spotkanie z oddziałem żydowskich bojowników, których chciał namówić do przeprowadzenia ataku na posterunki gestapo. Joseph żył, był jednak straszliwie poturbowany. Kiedy odzyskał przytomność, całą jego twarz i głowę pokrywały głębokie rany i sińce. Słyszając łkanie żony, zmusił się do otwarcia oczu, przez jedną szczęśliwą chwilę nie pamiętając o przeżytych koszmarze i o tym, że jego ukochane dziecko zostało porwane przez brutalnych morderców. Potrząsnął głową, rozglądając się po pokoju.

listera miała złamaną szczękę. Sara obwiązała jej twarz szeroką opaską, która biegła przez głowę i obejmowała brodę. Ale łzy listery nie miały nic wspólnego z fizycznymi obrażeniami.

Sara ze ściągniętą twarzą opowiedziała mężowi, co się stało.

Mosze zacisnął wargi i słuchał w milczeniu. Dowiedziawszy się o warunkach pułkownika SS, pocieszył córkę:

- Kochanie, już niedługo odzyskasz swoje dziecko. — Zamierzał oddać się w ręce gestapo. — Jestem stary — ciągnął. — Przeżyłem swoje życie. Trzeba teraz ratować młodych. — Był gotów zrobić wszystko, byle tylko doprowadzić do uwolnienia ukochanych dzieci.

Przekonany, że niebawem umrze straszliwą śmiercią, pożegnał się ze wszystkimi członkami swojej gwałtownie topniejącej indziny.

- Mosze! — krzyknęła rozpaczliwie Sara, widząc męża stojącego w drzwiach i żegnającego się z nią po raz drugi w ciągu ostatniej doby.

Mosze długo patrzył na żonę. Przemknęła mu przez głowę myśl, że uodpornił się nawet na najgorsze. Śmierć czterech synów, porwanie ukochanych wnucząt i niepewność, czy pozostali członkowie rodziny przeżyją, pokonały go w końcu. Był gotów stanąć przed Bogiem. To Bóg będzie musiał zdecydować o dalszych losach jego rodziny na ziemi. Zamknął drzwi. Odgłos jego kroków oddalił się szybko. W mieszkaniu zaległa głęboka cisza. Dla wszystkich, których Mosze kochał, było to tak, jakby już umarł.

Część II
Lewant 1952-1982

Osoby

Rodzina Antounów:

George Antoun (*ojciec*)

Mary Antoun (*matka*)

Demetrius Antoun (*syn*)

Mitri Antoun (*ojciec George 'a*)

Sammy (*drewniany osiolek Demetriusa*)

Rodzina Baderów:

Mustafa Bader (*ojciec*)

Abeen Bader (*matka*)

Walid Bader (*syn*)

Rodzina Gale'ów:

Joseph Gale (*ojciec*)

Estera Gale (*matka*)

Michel Gale (*syn*)

Jordana Gale (*córka*)

Rodzina Kleistów:

Friedrich Kleist (*były esesman, strażnik w getcie warszawskim*)

Eva Kleist (*żona Friedricha*)

Christine Kleist (*córka Friedricha i Ewy, pracująca jako pielęgniarka w obozie Szatila*)

Amin Darwiz (*palestyński piekarz mieszkający w Szatili*)

Ratiba Darwiz (*dawno zmarła żona Amina*)

Ahmed Faye (*bojownik z organizacji Fatah*)

Hala Kenaan (*narzeczona Demetriusa*)

Maha Fakharry (*dyrektorka szkoły w Szatili*)

Postacie drugoplanowe:

Yassin i Hawad (*bojownicy z organizacji Fatah*)

Mahmoud Bader (*wuj Walida*)

Rozette Kenaan (*matka Hali*)

Nadine (*młodsza siostra Hali*)
Omar (*młodszy brat Hali*)
Madżida, Nizar i Anwar (*pielęgniarki w szpitalu w Szatili*)
Stephen Grossman (*zmarły narzeczony Jordany Gale*)

Postacie publiczne:

Jasir Arafat, znany też pod nazwiskiem Abu Ammar (*przywódca Fatah*)
Menachem Begin (*premier Izraela*)
Baszir Gemayel (*zamordowany w zamachu prezydent Libanu*)

Prolog

21 kwietnia 1948. Hajfa, Palestyna

George'a i Mary Antounów zbudziły głośne arabskie słowa, wypowiedane z silnym obcym akcentem. Dobiegały z głośnika zamontowanego na szybko jadącej ciężarówce. Arabom radzono opuścić Hajfę. „Uciekajcie, póki jest czas! Żydowskie siły otoczyły Hajfę. Przyjmijcie ostatnią propozycję bezpiecznego postępowania. Straszne konsekwencje spadną na wasze rodziny, jeśli natychmiast nie opuścicie miasta. Uciekajcie! Uciekajcie! Pamiętajcie o Deir Yassin!”.

Ryczący głos Żyda stawał się coraz słabszy, aż w końcu zupełnie ucichł. George leżał na łóżku, zastanawiając się, co będzie najlepsze dla jego rodziny. Myśl o Deir Yassin i możliwość, że żona i syn mogą zostać zabici w czasie snu, sprawiły, że zalał się potem.

Każdy Arab w Palestynie znał historię Deir Yassin, arabskiej wioski, która ogłosiła neutralność i odmówiła przyłączenia się do walki przeciwko Żydom. Mimo to 9 kwietnia 1948 roku banda żydowskich renegatów z Irgunu napadła na osadę i zamordowała ponad dwustu arabskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Przerażeni arabscy cywile z północnej Galilei zaczęli uciekać z Palestyny, szukając bezpiecznego schronienia w Libanie i Jordanii.

George z westchnieniem wyciągnął rękę i przygarnął żonę.

Mary nic nie powiedziała, ale gwałtowne bicie jej serca wyrażało strach lepiej niż słowa.

Moment, którego George bał się najbardziej, właśnie nadszedł. Wkrótce zacznie się bitwa o Hajfę i George nie wiedział, co robić. Zostać i walczyć? Wziąć rodzinę i uciekać do Libanu? Zastanawiając się nad tym, skupił wzrok na jednym punkcie, a jego myśli odpłynęły daleko. Gdyby tylko syjoniści nie przybyli do Palestyny...

Żydzi ulegli rzymskiej armii w roku 70 naszej ery i Jerozolima została spalona. Pojmanych Żydów zabrano do Rzymu jako niewolników. Ci, którzy zdołali uciec przed gniewem Rzymian, rozproszyli się po całej Palestynie. Przez niemal dwa tysiące lat Żydzi i palestyńscy Arabowie żyli ze sobą w zgodzie, mimo że przez kraj przetaczały się wojny, inwazje i okupacje.

Ale pod koniec dziewiętnastego wieku pojawiły się napięcia między Żydami i Arabami mieszkającymi w Palestynie. Europejscy Żydzi, uciekając przed dyskryminacją i prześladowaniami w Europie, zaczęli szukać schronienia w tym kraju. Wykupywali ziemię od Arabów. Palestyńscy dzierżawcy byli zmuszani do opuszczania tych terenów przez nowych właścicieli, którzy sami chcieli uprawiać rolę. Tu i ówdzie dochodziło nawet do aktów przemocy.

Żydzi zaczęli tworzyć syjonistyczne kolonie i partie polityczne. Arabowie odpowiedzieli na to zakładaniem towarzystw antysyjonistycznych. Powołując się na Stary Testament, Żydzi głosili, że Palestyna jest ich prawdziwą ojczyzną. Ale Arabowie, zarówno muzułmanie, jak i chrześcijanie, kategorycznie odrzucili twierdzenie, jakoby żydowskie osadnictwo w czasach biblijnych dawało Żydom urodzonym w Europie prawo do Palestyny, ważniejsze od prawa urodzonych na tej ziemi Arabów. Ślali do otomańskich władców petycje, domagając się powstrzymania żydowskiej ekspansji. Imigracja została spowolniona, lecz nie powstrzymana.

Na początku pierwszej wojny światowej w 1914 roku w Palestynie, należącej do tureckiego imperium otomańskiego, mieszkało sześćset dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi, z czego pięćset trzydzieści pięć tysięcy stanowili muzułmańscy Arabowie sun-

niccy, siedemdziesiąt tysięcy arabscy chrześcijanie, a osiemdziesiąt pięć tysięcy — Żydzi. Głód i wojna zebrały swe żniwo i po jej zakończeniu w roku 1918, mimo że proporcje ludnościowe nie uległy zmianie, układ polityczny w Palestynie zmienił się diametralnie. Brytyjczycy wyparli Turków z Palestyny. Czterechsetletnie panowanie imperium otomańskiego dobiegło końca, a zaczęła się trzydziestoletnia okupacja brytyjska.

Z początku brytyjscy urzędnicy kolonialni próbowali zadowalać zarówno Arabów, jak i Żydów. Obiecali Żydom, że będą mieli swoją ojczyznę, a zaniepokojonych Arabów zapewnili, że liczba żydowskich imigrantów nigdy nie zachwieje równowagi ekonomicznej kraju. Ani Żydzi, ani Arabowie nie czuli się usatysfakcjonowani i wyladowywali swój gniew na brytyjskich władzach, atakując żołnierzy.

W latach dwudziestych dwudziestego wieku europejscy Żydzi zaczęli odczuwać skutki narastającego antysemityzmu. W roku 1933 do Palestyny napłynęli żydowscy imigranci z Europy. Trzy lata po dojściu do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera liczba żydowskiej ludności Palestyny osiągnęła czterysta tysięcy.

Rozgniewani palestyńscy Arabowie zaczęli domagać się od Brytyjczyków powstrzymania żydowskiego zalewu.

Mimo że brytyjski rząd twierdził, iż Palestyna jest w stanie zapewnić utrzymanie znacznie większej liczbie ludności, wyznaczył limity dla żydowskiej imigracji.

Europejscy Żydzi, którym brytyjskie władze odmówiły wstępu do Palestyny, omijali przepisy i przedostawali się przez granicę nielegalnie. Starcia między Żydami i Arabami przybierały na sile.

Komisja działająca z ramienia królewskiego rządu Wielkiej Brytanii zbadała sytuację w Palestynie i orzekła, że Arabowie i Żydzi nie mogą pokojowo współżyć w tym samym kraju. Stwierdzono, że należy utworzyć w Palestynie dwa odrębne państwa. Żydzi zgodzili się z tym postanowieniem, ale Arabowie odpowiedzieli na nie otwartą rebelią.

Wybuch drugiej wojny światowej w 1939 roku zmusił brytyjski rząd do odsunięcia problemu palestyńskiego na drugi plan; Arabowie i Żydzi zgodzili się na tymczasowe, niewygodne dla obu stron zawieszenie broni.

Kiedy w 1945 roku druga wojna światowa dobiegła końca. Żydzi ponownie zaczęli domagać się oddania im Palestyny. Mieli poparcie społeczeństw na całym świecie. Straszliwe zbrodnie popełnione przeciwko europejskim Żydom przez niemiecką Trzecią Rzeszę dały tym, którzy przeżyli holokaust, moralne prawo do tego, aby ich wysłuchano. Żydowska ludność Palestyny liczyła pięćset pięćdziesiąt tysięcy i należało do niej dwadzieścia procent terytorium kraju. Pozostałe osiemdziesiąt procent było w rękach miliona stu tysięcy Arabów-muzułmanów i stu czterdziestu tysięcy Arabów-chrześcijan.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Harry Truman naciskał na utworzenie w Palestynie państwa żydowskiego. Wierzył. Że poparcie dla żydowskich żądań dobrze przysłuży się jego przyszłym interesom politycznym. W dużej mierze dzięki wysiłkom jego administracji Organizacja Narodów Zjednoczonych opowiedziała się za podziałem Palestyny i przyznaniem Żydom pięćdziesięciu pięciu procent obszaru kraju. Arabowie odpowiedzieli gwałtownymi protestami. Zgromadzenie Ogólne ONZ głosowało również za tym, żeby Jerozolima pozostała miastem międzynarodowym, co rozgniewało Żydów, utrzymujących, że utworzenie państwa żydowskiego bez Jerozolimy jest niemożliwe.

I znów ani Arabowie, ani Żydzi nie czuli się zaspokojeni.

Od dnia, w którym odbyło się głosowanie Zgromadzenia Ogólnego, 29 listopada 1947 roku. Żydzi i Arabowie rozpoczęli wzajemną eksterminację. Po ataku następował kontratak i wkrótce stało się to regułą. Zaprawieni w boju Żydzi, którzy przetrwali drugą wojnę światową byli nieugiętymi bojownikami. Bitwa po bitwie, Palestyńczycy tracili Palestynę.

Bez najmniejszego ostrzeżenia do pokoju wdarł się huk głośniejszy niż cokolwiek, co George słyszał w życiu, pozbawiając go na chwilę słuchu, wstrząsając całym domem i wszystkim w środku. Skoczył na nogi.

— Żydzi wysadzają Hajfę w powietrze! — krzyknął.

Mary bez słowa sięgnęła do drewnianej kołyski i podniosła ich synka Demetriusa. Malec zaczął płakać.

Echo potężnej eksplozji ucichło i rozległ się huk wystrzałów z broni maszynowej, dochodzący ze wszystkich stron. George oddychał szybko. Nadszedł czas, żeby podjąć decyzję, której miał nigdy nie podejmować... Tak sobie przysiągł. Decyzję o opuszczeniu Palestyny. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarzyczkę Demetriusa i decyzja zapadła.

— Spakuj tylko kilka najważniejszych rzeczy — rzucił pośpiesznie do Mary. — Musimy stąd natychmiast uciekać! — Stał w drzwiach i odwrócił się do żony. — Zawołam tatę. Pospiesz się!

Mary skinęła głową. Łzy wypełniły jej oczy. Przycisnęła synka do piersi i zaczęła wkładać ubrania do rozłożonej na podłodze brązowej walizki. George i Mitri zebrali ważne dokumenty rodzinne, zdjęcia, kilka cennych ksiąg, dywanów, miedzianych tac, ulubione naczynia i sprzęty do gotowania Mary, trochę żywności i ułożyli to wszystko na kamiennej ścieżce przed domem. Potem przeszli przez dom, spuszczać okiennice i zamykając drzwi.

Gdy zapakowali rzeczy do samochodu, stanęli we frontowym ogródku i po raz ostatni spojrzeli na swój dom, po czym wsiedli do auta i odjechali. Zamierzali tu kiedyś wrócić.

Odgłosy wojny obudziły malca, który znów zaczął płakać. Mary uspokajała synka, odwracając głowę, by spojrzeć na wspaniały dom, który zostawiała. Zawsze wyobrażała sobie, jak wychowuje w nim Demetriusa. Co teraz będzie z ich marzeniami? Co będzie z nimi samymi?

George spojrział na zatroskaną twarz żony i spróbował ją pocieszyć:

— Nie martw się, na pewno wrócimy. Za tydzień wrócimy. — Rządy sąsiednich krajów arabskich obiecały przyjść Palestyńczykom z odsieczą, pokonać „syjonistyczne bandy” i wrzucić je do morza. George powtórzył ponownie, tym razem mówiąc bardziej do siebie niż do Mary: — Za tydzień wrócimy...

Mary siedziała w milczeniu. Ogarnął ją smutek. Nie umiała powstrzymać łez.

Ojciec George'a, Mitri, siedział z twarzą szarą jak popiół, nie odzywając się i nie oglądając na dom, w którym przeżył

większość swojego życia. Miał nadzieję, że Brytyjczycy potrafią utrzymać pokój... Brytyjczycy jednak, twierdząc, że nie mogą prowadzić polityki nieakceptowanej przez obie strony, opowiedzieli się przeciw rezolucji ONZ i zamierzali w ciągu miesiąca opuścić Palestynę. Głosowania, mandaty, podziały, rozwiązania prawne — wszystko to na próżno, myślał George Antoun. Nic nie mogło zmienić faktu, że został zmuszony do opuszczenia domu, żeby chronić rodzinę przed pociskami i bombami.

Rozgniewany i pełen obaw, wywiózł rodzinę z ukochanej Hajfy. Pojechali wzdłuż północnego wybrzeża przez miasta Acre i Naharidża, przekroczyli granicę i znaleźli się w Libanie.

Dwa dni później, 23 kwietnia 1948 roku, Żydzi opanowali Hajfę.

14 maja 1948 roku ogłoszono powstanie państwa Izrael. Nieco później tego samego dnia brytyjski wysoki komisarz, sir Alan Cunningham, opuścił flagę Zjednoczonego Królestwa i wyjechał z Palestyny.

Rozpoczęła się wojna.

W toku walk Żydzi stracili nagrodę, której najbardziej pragnęli: stare miasto w Jerozolimie. Ale włączenie się do konfliktu arabskich armii nie spowodowało klęski Żydów, którzy do 1 czerwca 1948 roku dwukrotnie powiększyli obszar swojego małego kraju, zajmując górną Galileę, Równinę Nadmorską i wyżynę Negew.

Żydzi świętowali.

Wśród Arabów zapanowała żaloba.

13 grudnia 1948 roku parlament Transjordanii przegłosował aneksję części terytorium Palestyny nie przejętej jeszcze przez Żydów.

Starożytna Palestyna przestała istnieć. Dla świata nie było już ani jej, ani narodu palestyńskiego.

W czasie walk prawie siedemset tysięcy Arabów uciekło do sąsiednich krajów arabskich. Po wojnie różne delegacje reprezentujące Arabów i Żydów usiłowały rozwiązać problem uchodźców palestyńskich, ale wszystkie próby umożliwienia

Palestyńczykom powrotu do ojczyzny kończyły się fiaskiem. Arabowie, którzy opuścili swoje domostwa w czasie wojny, wierząc, że wygnanie jest tylko tymczasowe, ze zdumieniem dowiadawali się, że nowy żydowski rząd wprowadził ustawy o „porzuconym mieniu”, sankcjonujące politykę: „nie ma powrotu dla Palestyńczyków”.

Wśród bezdomnych arabskich uciekinierów była także rodzina George'a Antouna, kiedyś mieszkająca w Hajfie w Palestynie.

Rozdział IX

Cztery lata później, luty 1952. Obóz uchodźców Nahr al Barid w Libanie, 16 kilometrów na północ od Trypolisu

W kraju dziesięciu milionów modlitw i dziesięciu tysięcy męczenników na ogromnym kamieniu siedział mały chłopiec. Z twarzą zwróconą na południe i zamkniętymi oczyma, Demetrius Antoun usilnie starał się ujrzeć w wyobraźni to, czego nie mógł zobaczyć oczami: Palestynę.

„Najpiękniejszą z bożych krain”, jak mawiał jego ojciec, wspominając ojczyznę, której Demetrius nigdy nie widział. Teraz jednak próbował zrobić to, o co prosił ojciec: zobaczyć rodzinny dom w myślach.

Zacisnął powieki i usta jeszcze mocniej, przypominając sobie wszystko, co ojciec opowiadał mu o utraconym dziedzictwie. Obrazy były bardzo wyraziste: ulica przed domem, wyłożona ciemnymi gładkimi kamieniami. Pomalowana na ciemnoróżowo furtka, ozdobiona kratką z pnączami wina. Mały domek Antounów zbudowany z błyszczącego białego kamienia. Demetrius widział furtkę... schody... drzwi... wszystkie pokoje... dywany... obrazy... książki... czuł kuchenne zapachy... słyszał odgłosy dochodzące z domu sąsiadów... widział szkołę, w której uczył ojciec... jego gabinet... i mały park przed ich domem, gdzie bawiły się dzieci z sąsiedztwa.

Wizja była tak realistyczna, że podekscytowanemu chłopcu zaczął rwać się oddech. Zdawało mu się, że naprawdę zdołał przenieść się myślą do Palestyny, więc prędko otworzył oczy, ale zobaczył, że ciągle jest w tym samym miejscu. Dręczony tęsknotą, przypominał sobie, że z powodów, których nie po-

trafił pojąć, nikt z jego rodziny nie może wrócić do tego wspaniałego miejsca. Demetrius naprawdę wierzył, że przeżył w Palestynie całe życie i tylko chwilowo musi przebywać w obozie Nahr al Barid.

Zasmucony, westchnął ciężko.

Uderzając kamieniem w blaszany rondel, George Antoun zawołał śpiewnie:

— Demetrius! Demetrius! Gdzie ty się podziewasz? Kiedy chłopiec usłyszał jego głos, podniósł się i stanął na kamieniu, szukając ojca w masie ludzi tłoczących się na krętych ścieżkach obozu. George Antoun był niskim mężczyzną, lecz czteroletniemu synowi wydawał się ogromny i Demetrius łatwo wyluskał wzrokiem szybko poruszającą się sylwetkę ojca. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Tata! — zawołał.

Zeskoczył z kamienia, ale potknął się, stracił równowagę i upadł na twardą ziemię. Rozplakał się, widząc, że pękł pasek w jego nowych sandałach. Ruszył biegiem w stronę ojca, trzymając w rączkach drocenne obuwie.

— Tato, tato!

Kiedy George ujrzał płaczącego synka, rzucił na ziemię blaszany rondel, podbiegł do chłopca i wziął go w ramiona.

— Czemu płaczesz, synku?

Demetrius, pochlipując, wyciągnął przed siebie sandał.

— Zepsuł się! Przewróciłem się i zepsułem mój bucik! Przypomniał sobie, że dostał te sandały na urodziny zaledwie trzy tygodnie temu. Ojciec pojechał wtedy do Trypolisu i sprzedał srebrną monetę, żeby urozmaicić trochę jednostajny jadłospis, składający się z ryżu i fasoli, który zapewniała agenda Organizacji Narodów Zjednoczonych, prowadząca obóz. Kupił też dla syna sandały w prezencie urodzinowym. Promieniał z radości, patrząc, jak chłopczyk wsuwa nowe sandały na swoje maleńkie stopy. To był najszczęśliwszy dzień w krótkim życiu Demetriusa. Mama upiekła ciasto i zrobiła obiad z kurczaka. Dziadek dał mu paczkę czekoladek.

George spowaźniał na widok pękniętego paska. Chłopiec z płaczem potrząsał głową.

— Zepsułem sandał!

George Antoun uściskał synka i zmusił się do uśmiechu.

— Nie płacz, Demetriusie. — Pogłaskał chłopca po główce. — To tylko sandał. A poza tym dziadek umie go naprawić. — Usiadł na skalistej ziemi, strząsając piach i suchą trawę z ubrania syna. — Pamiętasz, jak dziadek złożył złamaną nogę Sammiego? Pamiętasz, prawda?

Demetrius pokiwał głową.

— Tak, tatusiu.

Sammy był drewnianym osiołkiem Demetriusa. Rok wcześniej uchodźcy dostali dużo ubrań i zabawek z Francji od ludzi, którzy dowiedzieli się, jak ciężkie jest ich życie w obozie. To była cudowna chwila, gdy Demetrius objął osiołka, krzycząc „Sammy!”, jakby odzyskał dawno utraconego przyjaciela. Nikomu nie pozwolił go nieść. Ojciec ze zdumieniem patrzył, jak jego mały synek wlecze, pcha i ciągnie wielką zabawkę z biura dyrektora obozu do domu. Gdy Demetrius zobaczył, że w czasie transportu pękła jedna z nóg osiołka, wpadł w rozpacz. Urwała się po kilku dniach. Ale dziadek naprawił zabawkę i wyglądała jak nowa. — Sammy nie jest zepsuty! — zawołał, potrząsając sandałem. — A mój bucik tak! — Był niepokieszony. Dotykając palcem pękniętego paska, zaczął płakać jeszcze głośniej.

George westchnął, wziął sandał od syna i wsunął go do kieszeni spodni. Przyciągnął do siebie Demetriusa.

— Chodź, malutki. — Zakołysał nim w ramionach. — Nie płacz już. Zrób to dla taty.

Zwilgotniały mu oczy, gdy patrzył na dziecko. Już dawno zrozumiał, że chłopiec jest bardzo wrażliwy i często z różnych powodów przeżywa wstrząsy emocjonalne. Ale to była tylko jedna z cech syna, które niepokoiły Georga. Mimo że w arabskiej kulturze nie było miejsca na miłość do zwierząt, Demetrius potrafił godzinami chodzić wśród skał otaczających obóz, przyglądając się jaszczurkom i chrząszczom uwijającym się po piasku, motylom i pszczołom pożywiającym się kwiatowym nektarem. Dorośli mieszkańcy obozu uważali tę fascynację chłopca naturą za dziwactwo. George jednak wiedział od samego początku, że jego syn będzie się różnił od innych dzieci.

Szlochanie syna wyrwało go z zadumy; westchnął i popatrzył na malca. Demetrius był ślicznym noworodkiem, a teraz stał się wyjątkowo ładnym chłopcem, wcale jednak nie przypominał ojca. George nie miał wątpliwości, że wyrośnie na bardzo przystojnego mężczyznę.

Demetrius wtulił głowę w ramiona ojca, jego małym ciałem wstrząsały spazmy.

Nie mogąc dłużej wytrzymać smutku syna, George wydał dźwięk naśladujący sapanie osła i zaczął całować Demetriusa po policzkach, nosku i brzuchu, aż chłopczyk zachichotał. Jego smutek przysł.

George uśmiechnął się.

— Chodź, poszukamy dziadka.

Pochylił się i wstał. Jego wzrok padł na obóz. Zmrużył oczy i pomyślał, że w blasku zachodzącego słońca miejsce, które nazywał teraz domem, wygląda okropnie. Dom! Roześmiał się gorzko, gdy przypomniał sobie ich prawdziwy dom. Westchnął ciężko i zagryzł wargę. „Wszystko się skończyło... wszystko, co dobre”, inruknał do siebie. Popatrzył na Demetriusa. Z wyjątkiem dziecka... chłopiec był jedynym dobrem, jakie zostało mu w życiu. Z czułością wziął synka w ramiona i ruszył z powrotem w stronę obozu.

Dom Antounów, składający się z niewielkiego pomieszczenia podzielonego wiszącym kocem na dwa pokoiki, został niedawno zbudowany. Bez pomocy Agencji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie wciąż mieszkaliby w namiocie. Niestety z braku funduszy zbudowano niewiele takich domów i większość uchodźców nadal koczowała w namiotach.

Rodzinie Antounów poszczęściło się i miała dom z bloków ze szlaku, pokryty blachą. Ale ta skromna siedziba słabo chroniła przed zimnymi wiatrami wiejącymi od śnieżnych gór północnego Libanu.

Główny „pokój” urządzono nielicznymi sprzętami, które rodzinie udało się uratować tego dnia, gdy musiała w pośpiechu opuszczać dom w Hajfie. Kilka porozkładanych na podłodze poduszek służyło do siedzenia, a między nimi ustawiono miedziane garnki. Na podłodze leżał wytarty czarno-wiśniowy dywan, pośrodku którego stała taca z małymi porcelanowymi

filiżankami. Na półkach z surowych desek znalazło się miejsce dla cennych książek, o które oparto rodzinne zdjęcia z pozaginanymi rogami. Na przywiązanej do gwoźdźcia w ścianie czarnej zamszowej wstążce wisiał duży klucz do domu.

Drugi „pokój”, jeszcze mniejszy od pierwszego, z ledwością mieścił łóżka dla całej rodziny. Wyblakła zasłona zawieszona na drucie oddzielała małą przebieralnię żony George'a, Mary. Sfatygowana brązowa walizka służyła za garderobę, a w dużej beczce przechowywano zapasy żywności. Na jej pokrywie stały pogięte przybory kuchenne i stos wyszczerbionych talerzy.

George zatrzymał się w drzwiach pierwszego pokoju.

— Mary! — zawołał.

Demetrius wysliznął się z objęć ojca na ziemię. Jego małe stopki bezgłośnie potuptały po dywanie.

— Mary! Mary! — powtórzył, naśladowując głos ojca. George odwrócił się, marszcząc czoło, i spojrzał w niebo.

Zachodzące słońce wskazywało, że zbliża się godzina wieczornego posiłku. Skinął głową na syna.

— Chodź, Demetrius, mama gotuje.

Trzymając się za ręce, obeszlili dom. Demetrius musiał bardzo szybko przebierać krótkimi, pulchnymi nóżkami, żeby nadążyć za ojcem.

Najpierw zobaczyli dziadka, który palił fajkę i czytał najnowszy biuletyn z informacjami na temat Palestyny. Od pierwszego dnia wygnania Mitri uważnie śledził wiadomości z ojczyzny. Był przekonany, że wkrótce cały świat zauważy, iż Palestyna została odebrana prawowitym właścicielom, i niebawem zło zostanie naprawione. Cztery lata później wciąż czekał.

Mary Antoun siedziała przykucnięta, plecami do ściany, mieszając potrawę z ryżu przyprawioną pomidorami, orzeszkami i cebulą.

Była w złym nastroju, co rzadko się jej zdarzało. Przeważnie udawała przed mężem, że nie przeszkadza jej nędza i brud w domu, lecz jej wymuszona beztroska była kpina z tego, co naprawdę czuła. Mimo że bardzo się starała, przystosowanie się do trudów życia w obozie okazało się ponad jej siły.

Codzienne problemy piętrzyły się nieustannie. Gdy tylko zdołała rozwiązać jeden, pojawiał się następny. Dzisiaj przyczyną jej udręki były trudności ze zdobyciem wody.

Kiedy zbudowano dom, George ustawił przy nim duży blaszany pojemnik do łapania deszczówki, który sprawdzał się dobrze zimą, w czasie deszczów. Ale całą deszczówkę zużywali do mycia się i prania — a Mary i tak musiała dźwigać wodę do picia i gotowania, bo był to kobiecy obowiązek.

Po południu zrobiła dwie długie wyprawy do wspólnej studni, żeby napełnić naczynia wodą do picia i gotowania dla rodziny. W czasie pierwszego marszu potknęła się, rozlewając połowę wody z dzbana. Omal się nie rozplakała i przestraszyła inne kobiety, potrząsając pięściami i krzycząc w niebo: „Boże, czemu nas zostawiłeś?”.

Kiedy tylko skończyła nosić wodę, zapaliła ogień pod dużym czarnym garnkiem stojącym na kuchence. Spieszyła się z przygotowaniem ostatniego dziennego posiłku, bo zimą słońce wcześniej zachodzi i zaczyna wiać chłodna, śródziemnomorska bryza.

Nie cierpiała pracować na zewnątrz, w zimnie. Trzęsła się, mieszając zawartość garnka i powtarzając sobie, że gdyby nie syn, odwróciłaby się twarzą do ściany i poczekała, aż śmierć upomni się o jej umęczone ciało. — Mama! — Demetrius objął matkę rączkami od tyłu, śmiejąc się głośno. — Po południu widziałem ptaszka z niebieskimi piórkami i wiesz co? On do mnie mówił!

Mary odłożyła drewnianą łyżkę na odłamek bloku szlaki, odwróciła się i podniosła synka.

— Demetriusie! — rzekła z poważnym wyrazem twarzy. — Ile razy mam ci powtarzać, że ptaki nie mówią? Tak samo jak koty i osły!

Chłopczyk zaczął się z nią przekomarzać.

— A właśnie, że mówią! Mówią do mnie! — Zmarszczył czoło, odsunął się od twarzy matki i oznajmił: — Zrobiłem tak, jak kazał dziadek.

Powiedziałem: „Mów do mnie, ptaszku!”. I on mówił! — Wyrwał się z objęć matki i podbiegł do dziadka. — Dziadku, powiedz mamie! Ptaki z tobą rozmawiają, i ze mną też! Pamiętasz?

Mitri rzucił Mary spojrzenie pełne poczucia winy. Obiecał synowej, że pomoże jej okiełznać nieco wyobraźnię chłopca. A teraz Demetrius go wydał.

— Powiedz jej, dziadku! — nalegał malec.

Mitri podrapał się po brodzie i umknął spojrzeniem w bok, próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy, więc tylko podniósł brwi, próbując dać chłopcu sygnał, żeby zamilkł.

Demetrius wydał dźwięk przypominający buczenie, zamachał rękoma jak skrzydłami i zaczął poruszać głową w dół, układając wargi w kształt dziobka. Z uśmiechem podniósł wzrok na matkę i oznajmił:

— Dziadek powiedział, że kiedy wrócimy do domu w Palestynie, dostanę ptaszka w klatce! — Pociągnął Mary za sukienkę i spytał z podnieceniem: - Mamusiu, upieczesz tort urodzinowy dla mojego ptaszka?

Mary podniosła brwi i spojrzała na George'a, jakby chciała powiedzieć „A nie mówiłam?”.

— I co ty na to? — spytała męża.

George spojrzał na ojca, którego twarz spochmurniała. Mitri bał się tego, co teraz usłyszy. Ale George powiedział tylko:

— Tato, nie opowiadaj chłopcu głupstw, proszę cię. Mitri przygładził nerwowo włosy i pociągnął wnuka za ramię.

— To miał być nasz sekret, pamiętasz?

Zmieszany chłopiec popatrzył po kolei na wszystkich dorosłych. Twarz matki była gniewnie ściągnięta. Mary kucnęła i zgarbiła się nad garnkiem. Dziadek zaczął stukać cybuchem fajki o ścianę, a ojciec stał nieruchomo w szerokim rozkroku z rękoma ciasno splecionymi na piersi, patrząc w niebo. Demetrius zrozumiał, że powiedział coś złego.

Rozplakał się; czuł, że to miejsce, w którym teraz mieszkali, i dom, który stracili, mają coś wspólnego ze smutkiem tej chwili.

— Czemu nie możemy pojechać do domu, tato? — spytał drżącym głosem. Nie usłyszawszy odpowiedzi, tupnął nogą i krzyknął: — Ja chcę do domu!

Dorośli otoczyli łkającego malca.

— Pewnego dnia wrócimy do domu, obiecuję ci — zapewnił synka George, uśmiechając się do niego.

Mary poklepała chłopca po ramieniu, napominając siebie, że nie może pozwolić, aby to, co ją dręczy, wydostawało się na zewnątrz i raniło tych, których kocha. Mitri, świadom, że to właśnie on spowodował nieprzyjemne zajście rozmową o ptaku, przyklęknął przed wnuczkiem, rozłożył ramiona i skinął na niego.

Demetrius skoczył między rozwarte kolana dziadka, gdzie tyle razy znajdował schronienie. Zarzucił rączki na szyję staruszka, szlochając tak głośno, że aż się krztusił.

Mitri zaczął uspokajać chłopca:

— Nie płacz. Jeśli nie będziesz płakał, po obiedzie opowiem ci, jak uratowałem jagnię przed głodnym wilkiem. Nie byłem wtedy dużo większy od ciebie. — Uśmiechnął się do dziecka bezzębnymi ustami, zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął cukierek, który trzymał na specjalną okazję.

Kiedy obaj mężczyźni pocieszali Demetriusa, Mary popatrzyła nad ramieniem męża na kawałek brązowego klepiska służący za ogród, przypominając sobie pachnące krzewy rosnące wzdłuż tarasowego patio w Hajfie. Wkrótce starannie pielęgnowane rośliny zaczną kwitnąć; ciekawe, jaka kobieta nazwie je teraz swoimi.

Czuła się tak, jakby jej życie w Palestynie przeżył ktoś inny i opowiedział je jako ciekawą historię; ogarnęła ją tęsknota za krajem. Przyjaciółki zazdrościły jej ogrodu z przepięknymi różami. Dom i podwórko były nieskazitelne, a mąż dumny ze smakołyków, które przygotowywała w kuchni. Nawet nie usłyszała cichutkiego jęku, który się jej wymknął, gdy przypomniła sobie cudowne chwile spędzane w domu z George'em, rodzinami ich obojga i przyjaciółmi. Po chwili wspomnienia prysły, a usta Mary zacisnęły się, gdy pomyślała o strasznej wojnie i nieoczekiwanym wygnaniu. Odchrząknęła i potrząsnęła głową, próbując odrzucić od siebie te myśli — były niebezpieczne, więc lepiej się do nich nawet nie przyznawać. Przez te cztery lata wygnania uświadomiła sobie, w jak ciężkiej znaleźli się sytuacji. Na samym początku wierzyła, że pewnego dnia będą mogli wrócić do domu, żyć znów tak jak kiedyś, lecz z biegiem lat narastała w niej rozpaczliwa świadomość, że rodzinie Antounów już nigdy nie będzie wolno

odwiedzić Palestyny — nie mówiąc już o tym, żeby tam znowu zamieszkać.

Popatrzyła na syna. Mąż i teść karmili wyobraźnię Demetriusa wizjami Palestyny, ale ona uważała to za lekkomyślność. Była pewna, że chłopiec nigdy nie będzie mógł wrócić do ich ojczyzny. Wiedząc, że nie może zmienić przyszłości, zamknęła oczy i pomyślała z goryczą: „To jest teraz nasze życie”.

Wzdychając z żalem, podparła się rękoma i wyprostowała. Spojrzała na dwóch mężczyzn i chłopca. „Marzyciele — szepnęła do siebie. — Sami marzyciele”.

Zgiąwszy się lekko w pasie, podniosła ciężki czarny garnek i powoli weszła do domu.

— Chodźcie tu wszyscy trzej, bo obiad wystygnie! — zawołała.

Wieczorem przygaszony, milczący George siedział ze ściągniętą, zmęczoną twarzą, patrząc niewidzącymi oczami na Mary, która karmiła synka i kładła go spać. Wiedział, że jego ojciec coś mówi, ale nie słyszał słów. A Mitri spełniał daną wnuczce obietnicę i snuł opowieść o wyjąłym wilku i owcach. Po chwili Demetrius piszczał ze śmiechu.

Mary spojrzała na twarz męża — znała go tak dobrze, że rozumiała jego myśli, jakby były jej własnymi. Wiedziała, że znów przeżywa wydarzenia z 1948 roku. Wielokrotnie powtarzał, że popełnił błąd: że Palestyńczycy powinni byli zostać w swoich domach i walczyć, nawet jeśli miałyby to kosztować ich życie. A oni umknęli jak tchórze, tracąc dobytek, środki do życia i ojczyznę. Winił o to tylko siebie i przynajmniej raz dziennie mówił z żalem, że to nie Palestyna go opuściła, tylko on opuścił Palestynę.

Najmniejsza wzmianka o tym brzemiennym w skutki roku pogrążyła George'a w głębokiej rozpacz. Mary nic nie mówiła, bo wiedziała, że żadne słowa nie mogą przynieść mu ulgi. Przez chwilę dręczyło ją przerażające pytanie, czy można umrzeć z żalu. Mieszkając w Nahr al Barid, nietrudno było dojść do takiego wniosku, bo niektórzy mężczyźni umierali tam bez żadnych widocznych objawów chorób.

Większość mieszkańców obozu, w odróżnieniu od rodziny Antounów, była wieśniakami z okolic jeziora Houleh w północnej Palestynie. Należeli niegdyś do pracowitych społeczności rolniczych, a teraz nagle okazało się, że nie mają nic do roboty. Chodzili bez celu po obozie, czekając najpierw na wschód słońca, a później na zachód, i wiedzieli, że każdy następny dzień będzie dokładnie taki sam. Kobiety były w innej sytuacji: pracowały w obozie równie ciężko, jak pracowałyby w domach w Palestynie. Gotowanie, sprzątanie i opieka nad dziećmi nigdy się nie kończyły. Nie miały czasu, żeby siedzieć beczynn timer i wędznąć od środka. Mary naprawdę bała się o George'a. Smutek przyspieszył bicie jej serca. Stała, dotknęła jego ramienia i weszła za zasłonę, żeby się przebrać do snu. Tam, ukryta przed wszystkimi, pozwoliła sobie na chwilę żalu. Przycisnęła czoło do ściany i zapłakała cicho nad wszystkim, co zostało stracone.

Kilka godzin później zimny wiatr zrodzony z ciemności panującej przed świtem uderzył w popękane ściany i skrzypiące drzwi, obojętnie wirując wokół drżących mieszkańców.

George widział, że ojciec śpi niespokojnie. Ciągłe wiercenie się Mitriego świadczyło o tym, że wytarty po obu stronach koc nie chroni go przed chłodem. George'a ścisnęło w żołądku. To on odpowiadał za to, czy ojciec mieszka w godziwych warunkach. Stary człowiek powinien mieć własne łóżko i ciepłą kołdrę.

Objąwszy się ramionami, George oparł się plecami o ścianę. Nie położył się do łóżka mimo wielokrotnych nalegań Mary i siedział teraz wyprostowany na małej poduszce, zamiast leżeć na którymś z niewygodnych cienkich materacy. Przepęłniało go poczucie niepewności. Zastanawiał się nad decyzją, którą podjął i która — był tego pewien — zmieni na lepsze życie całej jego rodziny.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na żonę, zwiniętą opiekuńczo wokół syna. Pomyślał, że przynajmniej dziecku jest ciepło, Małe ciało Demetriusa owinięte było w kołderkę i koc przeznaczony dla ojca. Chłopczyk dostał przed modlitwą i pójściem do łóżka kubek ciepłego koziego mleka i spał teraz spokojnie, z uśmiechem na buzi.

Nie wstając, George pochylił się nad żoną. Widział, że oczy Mary są otwarte — i chyba zmartwione. Postanowił, że jej powie pierwszej. Dotknął palcem pleców żony.

— Nie śpisz? — spytał cicho.

Mary odwróciła się powoli, ostrożnie, żeby nie obudzić śpiącego dziecka. Popatrzyła uważnie w twarz męża. Uwielbiała go: był taki delikatny i łagodny. Pomyślała, że George Antoun jest jednym z tych uczciwych, przyzwoitych ludzi, których nazwisk nie znajdzie się na kartach podręczników historii, lecz bez których życie byłoby niemożliwe. Przetrwiała z nim wiele ciężkich chwil i wiedziała, że robił wszystko, aby mogli przystosować się do trudnych okoliczności. Przed „tragedią 1948 roku” George był nauczycielem — wykształconym, spokojnym mężczyzną, który pragnął pokoju dla swojego kraju. Kiedy spadła na nich nawałnica przemocy, wszystko stracili.

Mary uniosła podbródek i zapraszającym gestem poklepała dłonią matę, na której leżała. George ułożył się obok żony, dotykając pierś jej ramienia. — Podjąłem decyzję — szepnął, po czym zamilkł i dopiero po chwili dokończył: — Mary, musimy stąd uciec.

— Dokąd?

Ze zmarszczonym czołem popatrzył na twarz żony.

— Musimy odejść jak najdalej. — Ścisnął palcami dolną wargę. — Myślałem o Trypolisie, ale to za blisko. Mogliby nas znaleźć i zawrócić do obozu. — Nagle zdecydował się. — Bejrut. Tam będziemy mieli więcej możliwości.

Bojąc się, że jej głos zdradzi wątpliwości, Mary nie od razu odpowiedziała. To miasto było niemożliwym do spełnienia marzeniem uciekinierów w obozie Nahr al Barid.

— Bejrut... — wyszeptała wreszcie tęsknym głosem. W jej sercu obudziła się nadzieja. Libańczycy rozumieli znaczenie edukacji i chcieli, żeby ich dzieci chodziły do dobrych szkół. A w szkołach potrzeba nauczycieli. Ktoś mówił, że George mógłby tam znaleźć pracę w prywatnej szkole. Mając pracę, mógłby odzyskać godność. Jego pensja pozwoliłaby im żyć jak wolni obywatele. Mary wybiegła myślami naprzód: mogliby wynająć małe mieszkanie w mieście. Za dwa lata syn skończy sześć lat i będzie go można zapisać do dobrej szkoły. Przesunęła

dłonią po znoszonej koszuli męża. Kupi maszynę do szycia i postara się, żeby cała rodzina nosiła przyzwoite ubrania.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Bejrut... ich życie się odmieni, jeśli tam wyjadą.

George i Mary podejmowali wiele prób opuszczenia obozu, lecz w miarę jak rosła liczba palestyńskiej ludności w małym Libanie, prędko wprowadzono ograniczenia, utrudniające Palestyńczykom przenoszenie się z jednego obozu uchodźców do drugiego bądź do miasta. Żeby uzyskać swobodę poruszania się, wymagana była niezależność finansowa, a rodzina Anlounów, uciekając, zabrała ze sobą niewiele więcej oprócz swojego życia.

Od 1948 roku byli pozbawieni wszystkiego.

W najczarniejszych chwilach Mary mówiła sobie, że mieli szczęście, uchodząc z życiem. W styczniu czterdziestego ósmego roku George stracił dwóch braci i jedyną siostrę w zamachu terrorystycznym w Bramie Jaffy w Jerozolimie. Mary, jako jedyne dziecko, które przeżyło pierwsze lata dzieciństwa, nie miała rodzeństwa, które mogła stracić. Często dziękowała Bogu, że rodzice zmarli z przyczyn naturalnych kilka lat przed wybuchem wojny. Przynajmniej nie doświadczyli udręki wygnania. Pamiętając o trudnościach z opuszczeniem obozu, zastanawiała się, co o tym myśli George.

— Jak? — spytała. — Powiedz mi jak — poprosiła. Krew nabiegła do twarzy George'a. Tutaj dopiero zaczynały się trudności. Zakłopotany, odsunął się od żony. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

— No powiedz — zachęcała go Mary.

George spuścił wzrok i po kilku nieudanych próbach wykrztusił wreszcie:

— Mary, ja... potrzebuję klejnotów. Klejnotów z twojego posagu.

Słyszałem rozmowę w obozie. Są ludzie, którzy przygotowują odpowiednie dokumenty i przemycą nas do Bejrutu. Za twoje klejnoty. —

Załawionymi oczami wpatrywał się w twarz kobiety, która wniosła w jego życie tyle szczęścia. Prosząc ją o jej jedyny majątek — klejnoty, które miały ją ocalić przed śmiercią z głodu, gdyby zmarł przed nią, czuł się głęboko zawstydzony.

Uśmiechając się słodko do męża, Mary poczuła nowy przyływ gorącej miłości, którą od tylu lat dzieliła z tym mężczyzną. Nie wahała się ani chwili. Podniosła się z wysiłkiem i rozpięła trzy górne guziki swojej zniszczonej koszuli. Sięgnęła po brązową sakiewkę wiszącą na rzemyku i wyciągnęła ją w stronę męża.

— Proszę, weź je. — Widząc cierpienie na jego twarzy, dodała: — Co mi po nich? Czy wybieram się na bal? — spytała żartobliwie.

George pochylił się do żony i drżącą ręką szybkim ruchem wziął od niej złoto i drogocenne kamienie, które podarował jej dziesięć lat wcześniej na znak swojej dozgonnej miłości.

— Jutro. Jutro skontaktuję się z tymi ludźmi — wymamrotał, nie mogąc się zdobyć, żeby spojrzeć na Mary.

Słyszając jego cichy szloch, pogładziła go po plecach, modląc się w duchu o to, aby Bóg dał George'owi Antounowi jeszcze jedną szansę w życiu. Tydzień później Mary przyrządziła specjalny posiłek z jagnięcego mięsa i ryżu. Rodzina rzadko jadła mięso i buzia Demetriusa jaśniała ze szczęścia, gdy zajadał, wycierając talerz do czysta bułką.

Po kolacji Mary przykucnęła przed synem i skinieniem ręki kazała mu usiąść sobie na kolanach.

— Demetriusie — zaczęła poważnym głosem. — Dzisiaj zagramy w niezwykłą grę.

— Musisz być bardzo spokojny — dodał stojący obok George. On też miał bardzo poważny wyraz twarzy. — Schowasz się. Nikt nie może cię usłyszeć. Nikt nie może cię zobaczyć. Potrafisz się schować? Zrobisz to dla taty?

— Zabawa! — roześmiał się George; zerwał się z kolan matki, podbiegł do dziadka i zaczął podskakiwać w jego ramionach. — Dziadku, będę się chował! — zawołał śpiewnie, łapiąc Mitriego za brodę i zamykając mu palcami oczy.

Mary wstała i zaczęła składać w stos najcieplejsze i najlepsze ubrania syna.

— Pomóż mi — powiedział George do żony pełnym determinacji głosem. Wcześniej przygotował duży słomiany koszyk, umieszczając w nim ubrania syna i sandały, które Mitri zdołał zreperować. Gdy skończył to robić, Demetrius ochoczo wczołgał się do środka. George przykrył go z góry kocem, ale po chwili z wnętrza kosza dobiegło wołanie:

— Gdzie Sammy? Ja chcę Sammy'ego!

Troje dorosłych wymieniło pełne udręki spojrzenia. Drewniany osiołek był jedyną zabawką, jaką chłopiec kiedykolwiek miał. Był ciężki i nieporęczny i mieli nadzieję, że uda się go zostawić razem z innymi większymi przedmiotami, których nie zdołaliby zabrać ze sobą w długą drogę do Bejrutu.

— Demetriusie, musisz być dużym chłopcem — powiedziała Mary, po czym dodała, prosząc Boga o wybaczenie: — Sammy dołączy do nas później.

— Sammy! — szlochał chłopiec. — Ja chcę Samm'ego! Zaczął krzyczeć i kopać.

George pobiegł szybko do sypialni, przyniósł osiołka i poświęcił kilka cennych chwil, żeby zmieścić go jakoś pod kocem obok syna.

Szlochania Demetriusa przycichły i po chwili ustały.

— Sammy! Musisz być bardzo cicho! — szepnął chłopiec. Po chwili odsunął koc z twarzy i uśmiechnął się szeroko do taty.

— George, jesteś niemożliwy — powiedziała Mary. Jej twarz była bardzo blada.

— To prawda — przyznał George, uśmiechając się do niej ciepło.

Umieściwszy dziecko w koszu, rodzina Antounów zaczęła przygotowywać się do opuszczenia po cichu domu. Kto wie, czy któryś z sąsiadów nie doniósłby na nich. Wszyscy mieli na plecach pakunki z odzieżą. George dźwignął koszyk z najcenniejszym ładunkiem, a Mary wzięła brązową walizkę z dokumentami, zdjęciami rodzinnymi i narzędziami kuchennymi; znalazło się tam też kilka książek. Mitri zajął się kocami i poduszkami, w których Mary zaszyła porcelanowe filiżanki. Rozejrzeli się ostatni raz po domu i zaczęli zamykać drzwi, gdy nagle Mitri zawrócił i wbiegł do większego pokoju, żeby

zabrać klucz do domu w Palestynie. Mary popatrzyła na niego z niechęcią, gdy zawiązywał czarną wstążkę na szyi i wsuwał klucz pod koszulę.

— Pewnego dnia nam się przyda — wyjaśnił z nieśmiałym uśmiechem. George poprowadził ich szybko przez obóz, a polem zwolnił na wąskiej ścieżce. Kosz kołysał się lekko w jego ramionach.

Czując się bezpiecznie, Demetrius objął rączkami swojego drewnianego osiołka i zasnął głęboko.

Nikt nic nie mówił, ale serce Mary waliło jak szalone. Co będzie, jeśli przewodnicy ich nie znajdą? Mogli okłamać George'a, żeby pozbawić go resztek dobytku. Błąkające się wokół obozu psy mogły zacząć szczekać, zdradzając ich strażnikom. Musieliby wrócić bez nadziei na poprawienie swojej przyszłości. Mary zdawała sobie sprawę, że niebezpieczeństwo może nadejść z każdej strony. Postanowiła, że będzie myśleć o czymś innym, najlepiej o swoim ślicznym synku. Demetrius był prawdziwym cudem. Po sześciu latach rozpaczliwego oczekiwania, po kolejnych poronieniach, gdy umarła wszelka nadzieja, sam Bóg zesłał im tego chłopca. George często powtarzał, że ich syn jest darem niebios.

Usta Mary rozchyliły się w uśmiechu.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy Mitri potknął się i omal nie przewrócił. Nie było łatwo iść po kamienistej ścieżce. Tylko George poruszał się pewnie. Był tak mocno przekonany, że postępują właściwie, że w ciągu kilku ostatnich dni całe jego przygnębienie zniknęło i znów przypominał mężczyznę, którym był przed ucieczką z Palestyny.

Nocne powietrze było dość chłodne i wkrótce Mary poczuła, że drętwieją jej palce. Przełożyła walizkę z jednej ręki do drugiej, ogrzewając wolną dłoń w fałdach spódnicy.

Miejsce spotkania znajdowało się dwa kilometry na południe od obozu. Mary odetchnęła z ulgą, widząc dwóch mężczyzn, wychodzących spoza dużej skały. Obaj byli ubrani w szerokie czarne spodnie i mieli ze sobą duże sakwy. Ich głowy zakrywały czarne turbany. Przypomniała sobie, co powiedział George: przewodnicy byli braćmi i wyznawcami tajnej religii druzyjskiej.

W dwunastym wieku sekta druzów oddzieliła się od tradycyjnego islamu i od tego czasu rytuały ich religii były pilnie strzeżoną tajemnicą, nieznaną nikomu oprócz męskich członków sekty. Druzowie słynęli ze swej umiejętności tropienia i byli bardzo lojalni wobec przyjaciół, lecz jednocześnie bardzo mściwi w stosunku do wrogów.

Obaj byli uzbrojeni w karabiny i długie noże. Wyglądali groźnie i złowieszczo, i choć Mary wiedziała, że druzowie nikogo nie napadają, jeśli sami nie zostaną napadnięci, czuła ulgę, wiedząc, że zostali opłaceni, by zapewnić im ochronę.

Z ich oszczędnych mchów emanowała pewność siebie. Przywitali George'a i Mitriego uniesieniem dłoni. Spojrzawszy na Mary, starszy z braci położył dłoń na sercu, a młodszy tylko skinął głową. Potem jeden bez słowa wziął walizkę z ręki Mary, a drugi szybko zarzucił na plecy bagaż Mitriego. Starszy dał znak dłonią, żeby przygotowali się do marszu, i sam zajął miejsce na czele, a jego młodszy brat na końcu. Tak uformowana grupka ruszyła w długą wędrówkę do Bejrutu.

Pięcioro dorosłych maszerowało równym tempem przez całą noc, przemierzając wzgórza i doliny Libanu. Gdy Mary miała powiedzieć, że już nie może, a poblady Mitri ledwo dyszał, Demetrius się obudził, wytknął głowę z kosza i rozejrzał się dookoła. Starszy przewodnik roześmiał się na jego widok i powiedział, że wygląda jak „ptasie piskłę czekające na robaczka” i zarządził, że zatrzymają się aż do nadejścia nocy.

Na małym ogniu zagotowali kawę; dorośli pili gorący napar i posilali się chlebem z serem, a Demetrius napił się mleka z puszki i zjadł dwa z sześciu gotowanych jaj, które Mary wzięła na drogę.

Przewodnicy pożartowali trochę z chłopcem, ale poza tym niewiele mówili przy jedzeniu. Potem zniknęli, wspiąwszy się na najwyższy punkt w okolicy, gdzie na zmianę mieli odpoczywać i trzymać wartę.

Mitri zwinął się w pozycji embrionalnej i prawie natychmiast zaczął chrapać.

George popatrzył na żonę i uśmiechnął się.

— Prześpij się, Mary. Zabiorę małego na spacer.

Spojrzawszy w jego oczy, zaczerwienione z niewyspania, Mary zaprotestowała:

— Nie, najpierw ty odpocznij, a ja zajmę się Demetriusem. George nie dał jednak za wygraną, wziął malca za rękę i odszedł od obozowiska. Weszli na niewysokie wzgórze i przez ponad godzinę obserwowali, jak mały zajaczek skubie trawę. Gdy zwierzątko schowało się do nory, George i Demetrius oparli się plecami o sosnę i patrzyli sennie w niebo. Nagle nad ich głowami zaczęło krążyć stadko zimorodków; po chwili obserwowania ptaków George powiedział z zadumą:

— Synku, jesteśmy jak te ptaki, błąkamy się bez celu, szukając domu. Zafascynowany Demetrius patrzył na kołujące i nurkujące ptaki, które czekały, aż intruzi odejdą wreszcie od drzewa i będą mogły wrócić do domu.

Niebo różowiło się przed świtem, gdy grupka uciekinierów dotarła do przedmieść Bejrutu. Mary zatrzymała się w pół kroku i z podziwem popatrzyła na miasto z budynkami lśniącymi bielą na tle zielonych tarasowych zboczy wzgórz i pełnych gracji gór schodzących aż do głębokiego błękitu Morza Śródziemnego. Bejrut okazał się tak piękny, jak jej opowiadano. Doszła do wniosku, że przewyższa urodą nawet ich rodzinną Hajfę, najwspanialsze miasto w całej Palestynie.

George delikatnie dotknął ramienia żony i pochylił się. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Wiedzieli, że podjęli słuszną decyzję.

Chwila ta sprawiła, że znaczna część udreki ostatnich kilku lat poszła w zapomnienie.

Rozdział X

Szesnaście lat później, w 1968 roku

Czterechsetletnie tureckie imperium otomańskie upadło po klęsce w roku 1918, wraz Niemcami i ich sojusznikami, gdy podpisano akty kapitulacji kończące pierwszą wojnę światową. Zwycięskie narody podzieliły ziemię pokonanych krajów. Państwo otomańskie na Bliskim Wschodzie zostało rozdzielone między Anglię i Francję. Nowymi władcami Palestyny stali się Brytyjczycy. Francuzi przejęli kontrolę nad nowo utworzonym państwem libańskim.

Liban, wolny od dzielącego Palestynę problemu „kwestii Żydowskiej”, cieszył się polityczną stabilnością i spokojem społecznym, a jego obywatele doskonale prosperowali pod francuskimi rządami.

W roku 1946 Liban otrzymał niepodległość. Przywódcy kraju, zarówno chrześcijańscy, jak i muzułmańscy, przyjęli umowę narodową, zakładającą utrzymanie jedności kraju mimo istnienia licznych frakcji religijnych. I choć muzułmanie skarżyli się, że nowy prezydent, chrześcijanin-maronita, faworyzuje swoich przyjaciół, wyznawców tej samej religii, w pierwszych latach niepodległości umowa była przestrzegana.

Zwycięstwo Żydów w wojnie o Palestynę w 1948 roku wywołało poważne reperkusje, bo palestyńscy uchodźcy z północnej Galilei schronili się w Libanie. Góryste tereny tego kraju zawsze służyły jako schronienie różnym grupom etnicznym

i religijnym, a tolerancyjni Libańczycy ze współczuciem przyjęli palestyńskich braci.

Nie sposób było ustalić, ilu palestyńskich uchodźców przybyło do Libanu, lecz oceniano, że było ich dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Już wtedy w kraju, którego długość wynosiła dwieście siedemnaście kilometrów, a szerokość osiemdziesiąt siedem kilometrów, mieszkało ponad dwa miliony ludzi. Przybycie Palestyńczyków zakłóciło ład społeczny i ekonomiczny małego państwa.

Uchodźcy palestyńscy naruszyli też delikatną równowagę sił między grupami religijnymi w Libanie. Ludność chrześcijańska miała niewielką przewagę polityczną, lecz większość przybyszy była sunnitami. Libańscy chrześcijanie obawiali się, że zwiększona liczba muzułmanów przechyli szalę na ich korzyść. Między innymi z powodu tych obaw uchodźcy nie otrzymali pełnych praw obywatelskich i politycznych.

Kiedy zamieszkali w jaskiniach, meczetach, starych koszarach i gdziekolwiek się dało, libański rząd zaczął w całym kraju tworzyć obozy uchodźców.

W Bejrucie skonfiskowano prywatne, niezagospodarowane tereny i oddano je Palestyńczykom. Jeden z nich, o nazwie Szatila, znajdował się na południowych przedmieściach Bejrutu.

Uchodźcy przez wiele lat koczowali tam w namiotach. Stopniowo zastępowały je surowe budynki z pustaków i obóz zaczął przypominać ubogie przedmieście Bejrutu.

George i Mary Antounowie wychowali swojego ukochanego syna Demetriusa właśnie tam, w obozie Szatila.

Próbowali wtopić się w społeczeństwo Libanu, ale bez powodzenia. Nie mając pełnych praw obywatelskich i możliwości uczestniczenia w systemie ekonomicznym kraju, tak samo jak inni Palestyńczycy musieli pędzić życie w ubóstwie. Pocieszenie znajdowali w swojej religii, a szczęście czerpali od siebie nawzajem.

Kochany i rozpieszczany przez rodziców i dziadka Demetrius wkrótce stał się elokwentnym odpowiedzialnym młodym człowiekiem, marzącym o tym, by pewnego dnia rodzice zaznali luksusu życia klasy średniej.

Tak jak przepowiedział jego ojciec, wyrósł na wyjątkowo przystojnego mężczyznę. Był rośliwy i barczysty, choć jednocześnie

szczupły. Miał szerokie czoło, szare oczy tak ciemne, że niemal czarne, prosty nos i pełne wargi, okolone starannie utrzymanymi wąsami — wszystko to sprawiało, że wszędzie, gdziekolwiek się znalazł, zwracał na siebie uwagę i sprawiał korzystne wrażenie.

W 1968 roku z wyróżnieniem skończył szkołę średnią. Rodzice dali mu w prezencie niewielką sumę pieniędzy, skrzętnie oszczędzanych na tę chwilę, aby mógł zrealizować wycieczkę do Jordanii i Syrii, o której długo marzył, wraz ze swoim najlepszym przyjacielem, Walidem Baderem.

Droga do Karameh, Jordania 20 marca 1968

Demetrius Antoun i Walid Bader maszerowali od rana, a teraz było południe, paliło słońce i fale gorąca pulsowały w powietrzu. Dotarli do samotnego drzewa ligowego, postanowili poczekać w cieniu przy drodze na zachód od Kerek, licząc na złapanie okazji do autostrady Morza Martwego. Mimo upału oczekiwanie nie męczyło ich, bo byli młodzi, beztroscy i przyjaźnili się od dzieciństwa. Wczesne popołudnie upłynęło dość szybko.

Wyszli ze swoich domów w Bejrucie tydzień wcześniej i ruszyli w od dawna wyczekiwaną podróż do Jordanii. Po zwiedzeniu Petry, stolicy Nabatejczyków, przemierzali królestwo Haszemitów z zamiarem odwiedzenia obozu uchodźców w Karameh, gdzie Walid miał krewnych. Potem zamierzali wrócić do stolicy, Ammanu.

Demetrius i Walid wymienili spojrzenia pełne ulgi, gdy zobaczyli, że nadjeżdżająca ciężarówka zwalnia. Widząc, że kierowca nie zatrzyma się całkowicie, szybko wskoczyli do kabiny.

— Do Karameh? — zapytał Walid.

Kierowca skinął głową, a potem przestał zwracać uwagę na autostopowiczów i zajął się prowadzeniem zdezelowanego, zardzewiałego wozu. Był w średnim wieku, drobny i chudy i wydawał się absolutnie panować nad ogromnym, dziesięcotonowym pojazdem.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy uznał, że z wozem wszystko jest w porządku.

Zerknął na Walida, a potem przechylił się, żeby popatrzeć na Demetriusa.
— Jesteś zapaśnikiem? — spytał.

Walid roześmiał się. Demetrius miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i rzeczywiście wyglądał jak zapaśnik. Jego postura zawsze robiła wrażenie.

Demetrius starał się nie okazywać irytacji, ale nie udało mu się powstrzymać gniewnego grymasu.

— Jestem studentem — odparł ostro. Nie lubił, kiedy na jego widok ludzie dochodzili do wniosku, że utrzymuje się ze sprawności ciała, gdy on tymczasem niczego bardziej nie pragnął, niż iść przez życie, wykorzystując swój intelekt. Po chwili dodał łagodniejszym tonem: — Mój przyjaciel i ja tymczasowo mieszkamy w Bejrucie...

— Do czasu, aż Palestyna będzie wolna — wtrącił Walid.

Kierowca parsknął śmiechem. Każdy Palestyńczyk na wygnaniu głęboko wierzył, że pewnego dnia wróci do ojczyzny. Jego palestyńscy sąsiedzi w Ammanie prawie o niczym innym nie mówili. Pstryknął lekceważąco palcami prawej dłoni.

— Zapomnijcie o Palestynie! Będziecie kołysać wnuki w Bejrucie!

Walid zmienił temat.

— Zobaczymy Jordanię i Syrię, a potem wrócimy do Bejrutu. —

Uśmiechnął się. — Jesienią mój przyjaciel i ja rozpoczynamy studia na uniwersytecie.

Kierowca zerknął we wsteczne lusterko.

— Aha! Uczeni!

— Pewnego dnia, jeśli Bóg pozwoli — odparł Walid. Demetrius milczał, wyglądając przez okienko za kierowcą.

Słońce wisiało jeszcze nad horyzontem, ale zaczęły gromadzić się szare chmury. Kolumny promieni tworzyły wielkie plamy światła, rozciągające się na całą szerokość doliny. Sielankowe piękno widoku pochłonęło całą uwagę Demetriusa.

Rozmowa między Walidem i kierowcą urwała się. Jechali górską drogą, a potem na północ autostradą Morza Czerwonego.

Czas i odległość zdawały się płynąć bardzo szybko. Kierowca zdjął nogę z pedału gazu.

— Jesteśmy w wiosce Szunet Nimrin — oznajmił. — Jeśli

chcecie dostać się do Karameh, musicie wysiąść na tym skrzyżowaniu. Demetrius skinął głową.

— Dobrze. Wsiadamy. Kiedy ciężarówka zwolniła i zatrzymała się, Walid podziękował kierowcy i spytał:

— Czy dojdziemy stąd do Karameh przed wieczorem? Kierowca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Może tak, a może nie. Tak czy owak, czasem lepiej jest wędrować, niż dojść do celu! — Ruszając, odwrócił się i zawołał: — Idźcie z Bogiem! Spod kół ciężarówki wzbila się chmura kurzu i spalin; Demetrius i Walid umknęli przed nią w stronę niewielkich zabudowań Szunet Nimrin.

Krztusili się przez chwilę i kaszleli, a potem ślanęli i rozejrzeli się w milczeniu. Przed niewielkim targowiskiem pod gołym niebem siedziało dwóch starszych mężczyzn, popijając kawę i grając w jakąś grę planszową. Mechanik leżący górną połową ciała pod ciężarówką z otwartą klapą silnika wykrzykiwał polecenia do pomocnika siedzącego za kierownicą. Kilka starych, zardzewiałych samochodów zasłaniało widok.

— To mała, spokojna osada — stwierdził Walid. Skierował wzrok na tubylców z nadzieją na przyjazne powitanie, lecz ani żaden ze starców, ani mechanicy nie wykonali najmniejszego gestu. — Dobrze, że nie planowaliśmy tu spędzić nocy — mruknął.

— Tak — zgodził się Demetrius. — Masz rację. — Spojrzał na autostradę, po czym ruszył w kierunku Karameh.

Walid zgarbił się. Miał krótsze nogi od Demetriusa i poranny marsz mocno go wyczerpał. Pamiętał, że Karameh leży jedenaście kilometrów od Szunet Nimrin. Przyspieszył kroku, żeby zrównać się z Demetriusem.

— Powinniśmy zaproponować pieniądze temu mechanikowi — zasugerował. — Mógłby nas podwieźć do Karameh.

Demetrius spojrział na przyjaciela i uśmiechnął się, a potem potrząsnął głową.

— Walidzie, powiedz mi, jak moglibyśmy wąchać słodki zapach doliny z samochodu — drażnił się z przyjacielem. — Albo poczuć kamienie pod stopami... usłyszeć pieśń kuropatwy...

Walid zamrugał oczami, ale po chwili roześmiał się. Pomyślał, że to bardzo w stylu Demetriusa, wyśpiewywać pochwały natury. Jednak pogodny nastrój jego przyjaciela był zaraźliwy i żeby nie zostać w tyle, Walid przyłączył się do gry:

— Tak, oczywiście! Masz rację! Jak moglibyśmy upajać się wonią wielbłądzich odchodów... podziwiać wychudzone owce., albo zachłysnąć się smrodem niemytych pasterzy.

— Walidzie, twoje serce nie jest we właściwym miejscu.

— Nie, to moje stopy nie są we właściwym miejscu. -Walid zgiął się wpół, śmiejąc się ze swojego żartu.

Po kilkunastu minutach wyjął z kieszeni skrawek niebieskiego materiału i otarł czoło.

— Ale się zmachałem!

Demetrius parsknął śmiechem i zakpił dobrodusznie z przyjaciela:

— Jesteś za mały. Twoje malutkie nóżki łatwo się męczą. Walid popatrzył na niego z wyrzutem.

— To nie jest zabawne.

Zwinął materiał w kulkę i wepchnął z powrotem do kieszeni. Błady i przygnębiony, ruszył dalej, nie odzywając się. Złościło go, że jest niski i drobny. Od dziecka chciał być taki duży i silny jak Demetrius.

Demetrius, wcale nie zbity z tropu, zaśmiał się znowu, spoglądając na przyjaciela z nieukrywanym przywiązaniem.

Demetrius Antoun i Walid Bader byli najlepszymi przyjaciółmi od pierwszej chwili, gdy się poznali. Było to przed szesnastu laty, kiedy Antounowie uciekli z obozu Nahr al Barid do Bejrutu. Mustafa Bader i jego rodzina zaproponowali im wtedy posiłek i nocleg. W obu rodzinach byli czteroletni synowie, którzy od razu się polubili. Trzymali się razem w szkole i razem bawili, jeszcze bardziej zbliżając do siebie dorosłych. Z biegiem lat George Antoun i Mustafa Bader pogodzili się z gorzkim życiem uchodźców, ale ich synowie rzucili życiu wyzwanie i z uporem twierdzili, że pokonają biedę i beznadzieję, które złamały ojców.

Między obydwojma młodymi mężczyznami istniała silna więź.

Niedawno skończyli szkołę średnią i wyruszyli na upragnioną wyprawę; zamierzali jesienią zacząć studia na uniwersytecie

i zaczynała im świtać nadzieja, że ich wygnanie wkrótce się skończy. Spragniony Demetrius stanął i odkorkował butelkę wody.

Walid szedł dalej.

Demetrius upił łyk letniej wody.

— Walidzie, woda! — zawołał z przekorną zachętą w głosie.

Wiedział, że przyjaciel nie umie się na niego długo złościć.

Walid obejrzał się, odwrócił, podszedł do Demetriusa i sięgnął po butelkę. Zaspokoiwszy pragnienie, otarł usta wierzchem illoni i spytał:

— Gdzie samochody? Gdzie ciężarówki? Demetrius spojrzał na słońce.

— Wkrótce się ściemni.

Walid westchnął, ale ruszył dalej. Minęła godzina, nadal jednak nie było widać żadnej okazji.

— Niedługo będę musiał się zatrzymać — oznajmił.

— Póki jest choć odrobina światła, musimy iść. — Demetrius popatrzył na przyjaciela i uśmiechnął się. — Nie kusi mnie łóżko z piasku i kamieni, skoro do wioski jest już niedaleko.

— W tej chwili łóżko z piasku i kamieni wydawałoby mi się lak z bawełnianego puchu — wysapał Walid między jednym a drugim oddechem. — Jestem wykończony. Karameh może poczekać do jutra rana.

Demetrius popatrzył na zmęczoną twarz przyjaciela. Spali już wcześniej pod gołym niebem.

— Masz rację. Znajdziemy jakieś miejsce z dala od drogi... może na wzgórzu. Do świtu odpoczniemy. Poza tym maszerowanie poboczem szosy w ciemności to niezbyt dobry pomysł — dodał.

Walid wskazał dwie duże skały, sterczące ze zbocza wzgórza kilkanaście metrów od drogi.

— Spójrz tam, w prawo.

— Widzę.

Bez słowa wspięli się na wzgórze.

Walid rozłożył kurtkę na ziemi między skałami i usiadł.

Demetrius odpiął plecak i wyjął resztę prowiantu. Oparł się plecami o skałę i wyciągnął kanapkę w stronę Walida, ale ten potrząsnął głową.

— Jestem tak zmęczony, że nie czuję głodu. Demetrius ugryzł kanapkę i spojrzał na Walida.

— Ty pierwszy się prześpij, ja nie jestem aż tak bardzo zmęczony.

— Nie będę się z tobą spierał — odparł Walid. — Idę spać. — Skulił się w kłębek i niemal natychmiast zasnął.

Demetriusowi noc mijała bardzo powoli. Żeby nie zasnąć, zaczął myśleć o Palestynie. Świadomość, że jest tak blisko ojczyzny, sprawiła, że serce zabiło mu szybciej, a oddech się płytszy. Palestyna towarzyszyła nieustannie jego życiu jak cień, wspomnienie czasów dobrobytu całej rodziny. Był ciekaw, jaki naprawdę jest ten kraj, i pragnął go zobaczyć na własne oczy. Po raz pierwszy od lat wróciły do niego marzenia i opowieści, słyszane od dzieciństwa, i pomyślał, że jutro na chwilę podejda do granicy i chociaż rzucą okiem na ojczyznę, do której uchodźcy nie mieli prawa wkraczać. A potem opowie ze szczegółami rodzinie i przyjaciołom, co widział. Z tą myślą zamknął oczy i oparł głowę o kamień, pozwalając sobie na sen, który zdawał się trwać zaledwie kilka minut.

Nagle nad ich głowami rozległ się głośny warkot silników nisko przelatującego śmigłowca. Obudzili się w mgnieniu oka.

— Co to?! — zawołał Walid, starając się przekrzyczeć łoskot śmigieł i ryk silnika.

— Helikopter — odkrzyknął Demetrius; podniósł się na nogi i spoglądał w niebo.

— Gdzie? — spytał z niepokojem Walid, stając obok przyjaciela.

Hałas zaczynał słabnąć. Demetrius odpowiedział po kilku sekundach:

— Leci bardzo nisko. Nad drogą do Karameh.

Walid spojrzał jeszcze raz w niebo, a potem odwrócił się do Demetriusa.

— Która godzina?

— Już prawie świt, tak myślę.

— Świt! — zawołał Walid z irytacją. — Miałeś mnie obudzić!

Demetrius wzruszył ramionami.

— Przysnąłem.

Walid znowu popatrzył w górę, a Demetrius w prawo, próbując ustalić trasę przelotu śmigłowca.

— Brzask szybko się zaczyna... Demetrius przerwał mu szeptem:

— Cicho. — Zamilkł na chwilę. — Słuchaj uważnie. Co słyszysz?

Walid zamknął oczy i wstrzymał oddech. Po kilku sekundach odparł:

— Ciężarówki...

— Może to ciężarówki, ale... te potężne silniki... i łoskot... to czołgi.

— Czołgi! — powtórzył głośno Walid.

— Cicho! Wsłuchaj się dokładnie.

Wyteżyli słuch, próbując rozróżnić dobiegające do nich dalekie odgłosy.

Demetrius powoli obrócił głowę w lewo, a potem w prawo; po chwili zrobił to jeszcze raz.

Walid oddychał szybko, wlepiając wzrok w przyjaciela.

— Co robisz?

— Patrzę uszami.

Zdezorientowany Walid też zaczął kręcić głową.

— Patrzę uszami, ale nic nie widzę — mruknął po chwili i wpatrzył się w twarz Demetriusa. — Co chcesz zobaczyć tymi swoimi uszami?

Demetrius jeszcze raz powtórzył ruch głową:

— Zobaczyłem już dość. To Izraelczycy.

— Izraelczycy?! — zawołał Walid z niedowierzaniem i wzburzeniem. —

Widzisz Izraelczyków?

— Walidzie, nie trzeba ujrzeć ich flagi, żeby wiedzieć, że to oni —

tłumaczył cierpliwie Demetrius. — Odgłos dochodzi z południa i zachodu. Na wschodzie jest Jordania. A Palestyńczycy nie mają czołgów.

— Wziął głęboki oddech. — To mogą być tylko Izraelczycy.

— Ale... my jesteśmy w Jordanii! — zaprotestował Walid.

— Tak samo jak Izraelczycy. Musieli przekroczyć most Króla Husajna i wejść do Szunet Nimrin. Dobrze, że tam nie zostaliśmy.

Walid nie chciał, żeby Demetrius miał rację, więc dalej się spierał:

— W Szunet Nimrin nie ma nic ciekawego dla Izraelczyków.

— Oczywiście. Ich celem jest Karameh.

— Karameh! — zawołał Walid. — Dlaczego Karameh? — spytał pełnym niepokoju szeptem.

Demetrius schylił się, podniósł kurtkę i torbę Walida i rzucił mu je.

— Dlatego, przyjacielu, że Karameh to siedziba palestyńskich bojowników z Fatah.

Walid stał przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad słowami Demetriusa, który tymczasem spokojnie zapiał kurtkę i zarzucił torbę na plecy.

— Czy powinniśmy odejść od szosy? — spytał przyjaciela.

— Tak.

Demetrius poprowadził. Zwrócili się ku stromemu zboczowi i zaczęli się na nie wspinać.

— Kieruj się w lewo — poradził Walid. — Stok nie jest tam taki stromy.

— Wspinaczka może będzie łatwiejsza, znajdziemy się jednak zbyt blisko Karameh.

— Otóż to — odparł Walid. Chciał wiedzieć, co się dzieje z bratem ojca, który mieszkał w Karameh. — Może z jakiegoś wzniesienia uda nam się zobaczyć wioskę. Demetrius otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie przez dolinę przetoczyło się ogłuszające wycie i dudnienie silników odrzutowców lecących na niskim pułapie. Obaj odruchowo rzucili się na ziemię i przywarli do niej. Nie podnosili głów; czekali, aż minie najwyższe natężenie dźwięku.

— Nic nie widzę! — krzyknął Walid prosto w ucho Demetriusa. — Za mało światła... i ta mgła.

— I za duża prędkość — dodał spokojnie Demetrius. Przetoczył się na bok i wstał, pociągając za sobą Walida. Spojrzał w niebo. — Przeleciały, zanim je zobaczyliśmy.

Walid ześliznął się kilkanaście centymetrów po zboczach wzgórza, próbując złapać równowagę. Spróbował jeszcze raz, tym razem chwycił się gałęzi małego krzewu i zdołał stanąć na nogach.

— Ale hałasowały! Ile ich było, jak myślisz?

— Dwa, może trzy... — odparł Demetrius. — Jeśli się ich nie widzi, nie można mieć pewności.

— Skoro my ich nie widzimy, na pewno i oni nas nie widzą — stwierdził z ulgą Walid. — Jesteśmy niewidzialni.

Demetrius ze zmarszczonym czołem spojrział w miejsce, skąd przyszli.

— Może z powietrza, ale nie z drogi.

— Czołgi! Przez moment zapomniałem o czołgach... — Walid podążył za wzrokiem przyjaciela. Posłuchał przez chwilę i powiedział: — Teraz słyhać je wyraźniej.

Demetrius wyglądał na zaniepokojonego. Zaczął się wspinać.

— Musimy się oddalić od drogi. Prędej! — Wdrapywał się po zboczu na rękach i nogach, przedzierając przez gęste zarośla. — Ruszaj się!

Przez kilka minut wspinali się bez słowa, od czasu do czasu spoglądając przez ramię w stronę drogi. Chwyтали się każdej podpórki i wchodzili coraz wyżej.

— Czołgi są już blisko — mruknął Walid.

— Kiedy znajdą się pod nami, ukryjemy się za skałami. Uważaj na drogę...

Dalsze słowa Demetriusa zagłuszył gwizd silników odrzutowych. Zaskoczeni niespodziewanym hałasem, znieruchomieli. Kiedy fale dźwięku odbiły się od wzgórza, Demetrius zaczął się ponownie wspinać.

— To te same samoloty? — zapytał Walid.

— Może — odparł Demetrius. — Ale zasłaniają nas chmury. Piloci nic nie widzą. Naprzód — dodał nagłaco.

Walid zrobił jeszcze kilka kroków, a potem popatrzył przez ramię w stronę drogi i Szunet Nimrin.

— Demetriusie, widzę czołg! — zawołał. Demetrius stanął i również zwrócił spojrzenie na drogę.

— Ja też. Prędko! Tutaj! — krzyknął i rzucił się na ziemię za dużą skałą. Stopy Walida osunęły się po piasku i kamykach, ale wbił palce w ziemię, podciągnął się i położył obok Demetriusa, dysząc ciężko.

— Ich oczy są gdzie indziej — stwierdził Demetrius. — Za tą skałą powinniśmy być bezpieczni. Trzymaj się przy samej ziemi.

Walid przesunął się trochę, żeby lepiej widzieć drogę; silniki s/umiały coraz głośniejsze.

— Teraz są dwa czołgi — powiedział cicho. Demetrius wyjrzał zza skały.

— A teraz trzy.

Dobiegający z góry świst odwrócił ich uwagę od drogi; spojrzeli w stronę Karameh. Kiedy patrzeli w niebo, gwizd nagle ustał, zastąpiony głuchym grzmotem wybuchu. Ziemia zadrżała. Kamyki jeszcze toczyły się po zboczach, gdy eksplozja powtórzyła się — raz, a potem drugi.

— O Boże! Izraelczycy ostrzeliwiają Karameh!

Walid zagryzł wargę; mógł tylko pocieszać się nadzieją, że jego wuj i kuzyni mają się gdzie schronić.

Demetrius próbował obmyślić jakiś plan wyjścia z trudnej sytuacji.

— Pociski nadlatują z zachodu... przez rzekę Jordan — mówił między jednym a drugim wybuchem. — Kiedy się wstrzela, będzie ich o wiele więcej.

Walid z rozpaczą ukrył twarz w dłoniach.

— Ale przecież w Karameh jest wiele kobiet i dzieci. Jak oni mogą coś takiego robić?

Demetrius milczał, wpatrzony w horyzont na zachodzie. Upłynęło kilka sekund, zanim zrozumiał, co widzi. - Walid...

— Tak?

— Widzisz te śmigłowce nadlatujące w naszą stronę od zachodu?

Walid uniósł głowę i spojrział w stronę rzeki Jordan.

— Tak! O Boże! Sześć, siedem... mnóstwo śmigłowców! Jak nisko lecą!

Demetrius uświadomił sobie nagle, że znaleźli się z Walidem w niebezpieczeństwie.

— Żołnierze — powiedział głośno, ale natychmiast zniżył głos: — Te helikoptery niosą na pokładach żołnierzy, którzy mają zaatakować Palestyńczyków w Karameh.

Walid poczuł, że skręca go w żołądku.

— Musimy stąd uciekać!

Demetrius nie spuszczał oka ze śmigłowców. Gdziekolwiek spojrzą, niebezpieczeństwo, pomyślał. Wciąż odległy łoskot śmigieł helikopterów zagłuszył świst

pocisków artyleryjskich. Wybuchy, które po chwili nastąpiły, zatrzęsły ziemią — jakby stąpał po niej jakiś olbrzym.

— Demetriusie! — zawołał Walid. — Wycieczka do Jordanii przestała mi się podobać!

— Nie podnoś się! — krzyknął Demetrius. Widząc przerażenie na twarzy przyjaciela, przyciągnął go do siebie. Czuł, jak Walid drży.

Czekali.

Po chwili ostrzał nagle się skończył. Demetrius i Walid wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na Karameh.

Ze środka wioski unosił się czarny dym. Trzy poruszające się powoli czołgi były teraz kilkaset metrów od pierwszych domów. Po chwili na wschodnim skraju wioski zaczęły lądować Śmigłowce. Słysząc było serie z pistoletów maszynowych. Z lądujących helikopterów wyskakiwali żołnierze; odbiegając od ogromnych maszyn, strzelali. Śmigłowce uniosły się i w ciągu kilku sekund odleciały.

Demetrius wiedział, że z każdą sekundą grozi im coraz większe niebezpieczeństwo.

— Izraelscy żołnierze będą próbowali powstrzymać każdego, kto chciałby schronić się na tych wzgórzach.

— Spójrz! — zawołał Walid, szarpiąc przyjaciela za ramię. — Palestyńczycy się bronią! Mają karabiny! Strzelają / dołów w ziemi! Patrz, trafili czołg!

— Wszyscy zginą — mruknął Demetrius.

Na przemian z hukiem czołgowych wystrzałów słysząc było serie z pistoletów maszynowych. Rzadko zdarzały się momenty ciszy, w których Demetrius i Walid mogli zamienić choćby jedno słowo. Leżeli przez kilkanaście minut, obserwując zacieklą bitwę w Karameh; dym eksplozji łączył się z podnoszącą się powoli mgłą.

Strzały z karabinów i odgłosy wybuchów nagle zaczęły się ze sobą mieszać. obrońcy wioski wycofywali się biegiem w stronę wzgórz. W chwili względnego spokoju Walid odwrócił się i spojrzał na Demetriusa.

— Bitwa jest przegrana — powiedział cicho. — Palestyńczycy uciekają z Karameh,

Demetrius potrząsnął głową, spoglądając na wioskę. Większość budynków zasłaniała unosząca się wolno mieszanina

czarnego, białego i szarego dymu. Na wschód od Karameh kilka czołgów otoczonych wianuszkami żołnierzy rozproszyli się i zaczęło wjeżdżać na strome podnóże góry.

— Izraelscy żołnierze ścigają Palestyńczyków — stwierdził beznamietnie, — Zabijają ich wszystkich. — Nagle jego uwagę zwróciła seria stłumionych wybuchów dochodząca z wioski. Westchnął ciężko. — Wysadzają domy. Karameh wkrótce przestanie istnieć. A to jeszcze nie wszystko. Jeśli czołgi skierują się na północ, ty i ja znajdziemy się w wielkim niebezpieczeństwie. Nikt nie będzie pytał, skąd się tu wzięliśmy. — Może powinniśmy stąd odejść...

— Dokąd? Nigdzie nie jest bezpiecznie. Ciemna twarz Walida pobieliała.

— Więc musimy zostać tu, gdzie jesteśmy, i starać się być niewidoczni.

— Tak będzie najlepiej — odparł Demetrius. — Ale musimy obserwować czołgi. Jeśli skierują się w naszą stronę...

Jego słowa zagłuszył szczególnie głośny wybuch. Spojrzał na wspinające się po zboczach maszyny.

— Walid! Patrz! — zawołał. — Palestyńczycy zniszczyli czołg!

— Widzę!

Obok pozostałych maszyn zaczęły wybuchać pociski.

— Jordańczycy! — krzyknął radośnie Demetrius. — Przyszli naszym na odsiecz! Ostrzeliwują izraelskie czołgi!

— Chwała Bogu! — ucieszył się Walid. — Chwała Bogu! Jesteśmy uratowani!

Demetrius wiedział jednak, że tak nie jest. Jordańczycy obserwowali bitwę, ale Karameh nie miało dla nich żadnej wartości. Uderzyli dopiero wtedy, gdy izraelskie czołgi skierowały się w stronę Ammanu.

— Jesteśmy świadkami prawdziwej wojny! — Walid był teraz bardziej podekscytowany niż przestraszony. Jordańczycy włączyli się do bitwy, więc szansa zwycięstwa Palestyńczyków bardzo wzrosła.

Izraelskie czołgi zaczęły zawracać.

— Jordańczycy wygrali! — wrzasnął Walid.

— Nie sędę. Izraelczycy wycofują się, bo nie przyszli tutaj walczyć z Jordańczykami.

— Więc Jordańczycy pozwolą im dalej atakować Karameh?

— Walka o Karameh już się skończyła. Dlaczego Jordańczycy mieliby ryzykować z powodu zniszczonej wioski, skoro nie zrobili nic, aby chronić ją, gdy była nietknięta? — Demetrius westchnął. — Teraz Izraelczycy będą chcieli dostać tych, którzy zbiegli.

— Na drodze pod nami jest coraz więcej izraelskich czołgów!

— Widzę. Nadjeżdżają z Szunet Nimrin.

— Izraelskie posiłki?

— Tak. Wkrótce będą wszędzie. Musimy stąd odejść — oświadczył Demetrius.

Walid odwrócił się i popchnął go lekko.

— Prędzej! Prędzej!

Ale Demetrius nie dał się popędzać. Podniósł się ostrożnie, spojrzął w stronę zbocza góry i nagle znieruchomiał, utkwivszy wzrok w punkcie oddalonym o kilkadziesiąt metrów.

Walid niecierpliwił się.

- Co się dzieje?

Demetrius odpowiedział po chwili przez zaciśnięte zęby:

- Nie jesteśmy sami.

- Ktoś cię widział?

Demetrius patrzył dalej w milczeniu na zbocze.

Spoza dużej skały powoli, ostrożnie wysunął się mężczyzna w mundurze khaki i zaczął schodzić w dół. W prawej ręce trzymał kałasznikowa AK-47, a do pasa miał przytroczone kilka ręcznych granatów. Z jego mchów emanowała siła i pewność siebie.

- Wydaje mi się, że nasz gość jest palestyńskim bojownikiem.

Słowa Demetriusa i ton, jakim je wypowiedział, sprawiły, że Walid zerwał się na równe nogi.

Stojąc ramię w ramię, patrzyli na zbliżającego się mężczyznę. Niżej! — zawołał żołnierz rozkazującym tonem, lecz ani Walid, ani Demetrius nie zareagowali.

— Niżej! — powtórzy! tamten, sygnalizując lewą dłonią, o co mu chodzi. Walid przykucnął.

Demetrius nie spuszczał oczu z żołnierza. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia ojca, który radził mu darować sobie wizytę w Karameh, twierdzy najbardziej fanatycznych fedainów Abu Ammara, czyli Jasira Arafata. Nie licząc krótkich przerw, Żydzi i Arabowie wojowali ze sobą od 1948 roku. Otoczony przez Arabów Izrael musiał bronić każdej granicy. W 1956 i 1967 roku walki osiągnęły największe natężenie. W wojnie 1967 roku Żydzi czterokrotnie powiększyli i terytorium kraju, przejmując wschodnią Jerozolimę, Zachodni Brzeg, Wzgórza Golan i Synaj. Ich zwycięstwo nie tylko odebrało ducha Arabom, ale także zamieniło w uchodźców pół miliona Palestyńczyków. W ciągu ostatniego roku wciąż dochodziło do incydentów granicznych i rosło napięcie. Mimo że Demetrius wiedział o tym wszystkim, zignorował radę ojca, bo Walid bardzo chciał odwiedzić wuja i kuzynów.

Jego myśli przerwał cichy, pełen nadziei głos przyjaciela:

— To dobrze dla nas, że on jest bojownikiem, prawda?

— Lepiej, że to Arab niż Żyd.

Żołnierz był coraz bliżej; schodził powoli ze stoku, pochylony, z karabinem w dłoni. Zatrzymał się co kilka metrów

1 rozglądał. Kiedy znalazł się za skałą całkowicie zasłaniającą go od strony drogi, przedstawił się:

— Jestem Ahmed Fayez. Demetrius skinął głową.

— Ja jestem Demetrius Antoun. — Spojrzał w dół na Walida. — A to mój przyjaciel, Walid Bader.

Oparł się plecami o skałę, wziął głęboki oddech i odwrócił się, żeby popatrzeć na drogę. Upłynęło kilka sekund, zanim spojrzał na Demetriusa i Walida.

— Gdzie wasza broń?

— Nie mamy broni — odpowiedział Walid piskliwym głosem.

Ahmed przez chwilę spoglądał w milczeniu to na Demetriusa, to na Walida.

— Co tu robicie? — zapytał wreszcie.

— To nasza sprawa — odrzekł Demetrius.

Ahmed podniósł powoli karabin i wymierzył go prosto w jego pierś.

— Drodzy przyjaciele, dzisiaj wszystko jest moją sprawą. Słyszałem, że są tutaj izraelscy szpiedzy. — Zmierzył ich twardym spojrzeniem. — A teraz odpowiedź na moje pytania. Jesteście Palestyńczykami, tak?

— Tak — potwierdził Demetrius. — Ale nie jesteśmy partyzantami.

— Pytam jeszcze raz, co tutaj robicie?

Walid, nie chcąc dopuścić, żeby Demetrius wdał się w sprzeczkę z uzbrojonym mężczyzną, powiedział szybko:

— Brat mojego ojca, Mahmoud Bader, mieszka w Karameh. Przyszliśmy go odwiedzić.

— Czemu go z wami nie ma? — spytał podejrzliwie Ahmed.

— Jeszcze tam nie doszliśmy — odparł Walid.

— Wczoraj późnym popołudniem wyruszyliśmy z Szunet Nimrin — wyjaśnił Ahmedowi Demetrius — ale nie doszliśmy za dnia do Karameh.

— Machnął ręką w stronę toczącej się bitwy. — A teraz to...

— Spędziliśmy noc przy drodze — dodał Walid.

Przez chwilę nikt się nie odzywał; Ahmed lustrował przybyszów wzrokiem, zastanawiając się, czy im wierzyć, czy nie. Mimo że był w tym samym co oni wieku, w jego powierzchowności była jakaś twardość, która mogła wzbudzać lęk.

Demetrius i Walid nie odzywali się, czekając na następne pytanie.

Ahmed Fayez jakby drażnił się z nimi, mierząc z karabinu to w Demetriusa, to w Walida.

Walid wciągnął głośno powietrze. Ahmed uśmiechnął się.

— Wierzę wam. — Uśmiechnął się ponownie. — Ale Żydzi nie uwierzą. Oni są przekonani, że każdy Palestyńczyk to partyzant.

Walid zerwał się na nogi i spojrzał na Demetriusa.

— Widzieliśmy bitwę od początku.

— Poległo wielu odważnych bojowników — powiedział

Ahmed niskim, pełnym żalu głosem. — Czterdziestu... pięć dziesięciu, może więcej...

— Jak mogło do tego dojść? — spytał Demetrius. — Niebyło żadnego ostrzeżenia?

Ahmed zaśmiał się ponuro.

— Ostrzeżenie...? Przed atakiem nad wioską przeleciał śmigłowiec wroga... bardzo nisko... zrzucił kartki. — Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął zmiętą, zadrukowaną z obu stron kartkę żółtego papieru. — Widzicie? To jest ostrzeżenie. Tu jest napisane, że cywile powinni opuścić wioskę. — Pokiwał głową i znów się roześmiał. — Wiedzieliśmy od kilkunastu dni, że Karameh zostanie zaatakowane, ale chcieliśmy walczyć, choć Jordańczycy mówili nam, żebyśmy uciekali na wzgórze. — Zaśmiał się jeszcze raz, tym razem z wyraźną satysfakcją. — Zabiliśmy wielu Żydów.

— Izraelczycy mieli czołgi i samoloty! — zawołał Demetrius. — Jak mogliście liczyć, że wygracie taką bitwę?

— Ci, którzy chcieli odejść, dostali pozwolenie. — Ahmed uśmiechnął się radośnie. Dzisiaj po raz pierwszy zobaczy! krew wroga. — Ci, którzy zostali i walczyli, odnieśli wielkie zwycięstwo.

— Zwycięstwo? — powtórzył Walid. — Przecież Karameh zostało zniszczone... wielu ludzi zginęło.

— Mylicie się. To wielkie zwycięstwo. Wkrótce cały świat się dowie, że Palestyńczycy... fedaini... nigdy nie przestaną walczyć o swoją ojczyznę.

— Zamilkł na chwilę. — To jest zwycięstwo! — zakończył żarliwie.

— Nie rozumiem takiego zwycięstwa — mruknął Demetrius. Huk wystrzału z czołgu na drodze sprawił, że wszyscy trzej znieruchomieli.

Ahmed rzucił się na ziemię, krzycząc:

— Padnij!

Demetrius i Walid padli obok Ahmeda. Pocisk eksplodował na zboczu góry kilkanaście metrów nad nimi. Fala uderzeniowa podrzuciła ich ciała, a potem grawitacja ściągnęła je z powrotem na kamienistą ziemię. W chmurze czarnego dymu ze zbocza zaczęły się staczać niewielkie odłamki skały, spadając na leżących.

Ahmed uniósł głowę i ostrożnie wyjrzał zza krawędzi skalnego bloku. Na środku drogi stał czołg z lufą wciąż wymierzoną w zbocze. Otaczali go izraelscy żołnierze, stojąc lub kucając, z bronią gotową do strzału i wymierzoną w stronę góry.

Ahmed odwrócił się do Demetriusa i Walida.

— Wiedzą, że tu jesteśmy — stwierdził spokojnym głosem. — Musimy stąd szybko odejść. Ja pójdę pierwszy, a wy za mną, ale nie razem.

Musimy zachować odległość przynajmniej dziesięciu kroków.

Przeskakujcie od skały do skały.

Demetrius i Walid skinęli głowami na znak, że rozumieją polecenie.

Ahmed przesunął się na drugą stronę skały, spojrzął w stronę drogi, a potem przebiegł do niewielkiego kopca z ziemi i kamieni kilkanaście metrów dalej.

Demetrius szturchnął swojego towarzysza.

— Musimy zrobić tak, jak powiedział. Ty pierwszy. Ja pójdę za tobą.

Walid podczołgał się do krawędzi skały i zobaczył, że kilkunastu izraelskich żołnierzy zeszło już z drogi i wspina się na górę. Wciągnął gwałtownie powietrze i popatrzył na przyjaciela.

— Żołnierze tu idą!

— Biegnij za Ahmedem. Ruszaj! — krzyknął cicho Demetrius i popchnął mocno Walida. Wiedział, że jeśli pójdzie pierwszy, jego towarzyszowi może zabraknąć odwagi, żeby za nim podążyć.

Walid pobiegł do kopca z kamieni.

Przed opuszczeniem kryjówki Demetrius sprawdził, gdzie są żołnierze.

Widział, że rozdzielili się na dwie grupy po czterech i pięciu ludzi i zdążyli już pokonać kilkanaście metrów zbocza. Muszą uciekać, i to szybko!

Walid wciąż biegł w stronę Ahmeda.

Demetrius skoczył do miejsca, w którym przed chwilą był Walid. W tym samym momencie usłyszał wystrzał z czołgu. Zdawało się, że podrzucona siłą wybuchu ziemia pędzi mu na spotkanie. Upadł ciężko na piersi i kolana, w ustach poczuł piach. Wypluł go i zakaszał, a potem uniósł głowę, żeby zobaczyć, gdzie trafił pocisk. Kłęby czarnego dymu unosiły się

powoli z trafionej pociskiem ziemi obok małego zagłębienia, kilka metrów przed Demetriusem. Wokół panowała kompletna cisza.

Demetrius powiedział sobie, że jego przyjaciel jest gdzieś dalej.

— Walid! — Przez chwilę czekał na odpowiedź, po czym zawołał jeszcze raz, spoglądając przez gęsty dym: — Walid! Odezwij się!

Nie słysząc odpowiedzi, skoczył do dymiącego dołu, ześlizg nął się na dno i upadł na kolana. Po chwili wydostał się na zewnątrz, wbijając palce w sypką ziemię, i poczołgał się na rękach i kolanach, wciąż wołając Walida.

Najpierw zobaczył puste buty. Krzyknął z rozpacz. Jeden but leżał do góry podeszwą, drugi kilka centymetrów dalej. Potem zobaczył małe stopy, krótkie nogi, szczupłe ciało... twarzą do ziemi... nieruchome.

— Walid? — Złapał przyjaciela za ramię, żeby go odwrócić. Zdrętwiał cały i nie mógł oddychać. Usiadł prosto, wziął Walida w ramiona i wyszochtał: — O Boże. Walid, wstań, proszę cię. — Przesunął dłonią po jego twarzy. — Walid... Jak ja to powiem twojej matce?

— Zostaw go, musimy iść! — krzyknął Ahmed Fayez i jego mocna ręka pociągnęła Demetriusa za ramię.

— Zostawić go... — powtórzył bezgłośnie Demetrius. -Zostawić go?

— Tak. — Ahmed wyciągnął dłoń. — Nic już nie możesz dla niego zrobić.

Demetrius ujął dłoń Palestyńczyka, a potem nagle ją puścił. Wyprostował się, złapał pistolet Ahmeda i wyrwał mu go z ręki.

Oczy palestyńskiego bojownika zwięziły się, lecz nie zareagował, zaskoczony siłą Demetriusa.

Demetrius skierował wzrok na czołg i żołnierzy wspinających się po zboczu. Jego twarz ściągnęła się w furii. Rzucił się biegiem w dół, złorzecząc, krzycząc i strzelając.

Jego szaleńcza szarża osadziła na chwilę żołnierzy w miejscu. Zaraz jednak padli na ziemię i otworzyli ogień.

Wieżyczka czołgu obróciła się, lufa się obniżyła... strzelec czekał.

Demetrius odruchowo rzucił się na ziemię, przetoczył i strzeli!. Pocisk trafił w twarz jakiegoś żołnierza, który zaczął zsuwać się powoli po zboczu. Demetrius jak przez sen usłyszał głos jego towarzysza: „Abe!”. Skoczył z krzykiem w stronę żołnierza leżącego twarzą do ziemi i przytrzymującego hełm.

Przebiegając obok, strzelił. Ręka żołnierza odpadła od hełmu.

Kiedy przekraczał ich linię, Izraelczycy przerwali ogień z obawy, że pozabijają się nawzajem. Ci, którzy byli najbliżej drogi, wycofali się do czołgu.

Demetrius potknął się i upadł plecami na stok góry.

Izraelski żołnierz podniósł się na jedno kolano i wymierzył.

Seria pocisków z kałasznikowa trafiła go w pierś. Demetrius usłyszał, jak wzywa matkę.

W tej samej chwili tył czołgu poderwał się nagle od słabej eksplozji, a po sekundzie maszyna wybuchła, zamieniając się w kulę ognia i czarnego dymu.

Siła wybuchu rzuciła Demetriusa w tył i wytrąciła mu broń z ręki.

Słychać było krzyki i stukot karabinów maszynowych.

Demetrius podniósł się szybko.

Kilka metrów niżej na stoku izraelski żołnierz również zaczął wstawać.

Trafiło go kilka pocisków.

Demetrius nie próbował znaleźć swojego kałasznikowa. Skoczył do żołnierza, który stał oniemiały, spoglądając w dół na swoje rany.

Niespodziewane uderzenie rzuciło żołnierza na plecy. Demetrius stanął nad nim okrakiem, chwycił go obiema rękami za gardło i ścisnął. Pięć sekund... dziesięć sekund... piętnaście... Twarz tamtego poczerwieniała, pobladła, a potem zsiniała. Jego oczy wyszły z orbit.

- Demetrius! — krzyknął Ahmed, zbiegając po zboczu. Trzydzieści sekund...

- Demetrius! Minuta.

Ahmed położył dłoń na ramieniu Demetriusa.

- Dość! — Jego głos był spokojny i pewny. — On już nie żyje.

Zastrzeliłem tego Izraelczyka, zanim przewróciłeś go na ziemię. —

Rozejrzał się z zadowoleniem. — Wszyscy nie żyją.

Demetrius rozluźnił uścisk. Wciąż patrzył na zmienioną twarz żołnierza. Dusił martwego człowieka! Powoli zaczął odzyskiwać przytomność umysłu. Słyszał krzyki i czuł mocny uchwyt Ahmeda. Czuł też swąd spalonego ciała zmieszany z wonią benzyny.

— Jesteś ranny? — spytał Ahmed ściszym głosem. — Możesz stać? Demetrius kiwnął głową, podnosząc się powoli znad martwego Izraelczyka.

Zdawało się, że ze wszystkich stron dobiega krzyk: „Bogu niech będą dzięki!” — i odgłosy strzałów z karabinów maszynowych.

Demetrius spojrział na Ahmeda, a potem na bojowników, którzy zbierali się wokół niego.

— To Demetrius Antoun! — oznajmił głośno Palestyńczyk, żeby wszyscy słyszeli.

— A to są — wskazał na bojowników — twoi bracia. Demetrius milczał posepnie.

— Ten człowiek - Ahmed wskazał na jednego z mężczyzn — to Yassin, który strzelił w czołg rakietą. — Roześmiał się głośno. Pozostali dzielili jego radość. Ahmed spojrział z dumą na Demetriusa, uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu. — Gdybyśmy mieli jeszcze dziesięciu takich jak ty, pobilibyśmy całą izraelską armię!

Palestyńczycy zaczęli się poszturchiwać, śmiać i żartować.

— Dość już! — powiedział Ahmed, kiedy się trochę uspokoił. — Później będziemy się cieszyć. Zabierzcie ich broń — rozkazał. — Musimy stąd zaraz odejść.

Odwrócił się do Demetriusa.

— Bracie, musisz iść z nami — rzekł cicho. — Ukryjemy się na wzgórzach i poczekamy, aż Żydzi wrócą zabrać swoich poległych. Wtedy ich wystrzelamy! — Roześmiał się na myśl o zabitych Izraelczykach. Demetrius nie odpowiedział. Przemknęła mu przez głowę myśl, że Ahmed Fayez jest człowiekiem, któremu łatwiej przychodzi śmiech aniżeli uśmiech.

Stanął mu przed oczami obraz nabrzmiałej twarzy martwego izraelskiego żołnierza, a potem przypomniał sobie słowa ojca:

„Demetriusie, odebrać komuś życie to największy grzech przeciwko Bogu i człowiekowi”.

— Demetrius! — zawołał Ahmed. — Dość już na dzisiaj zdziałałeś. Teraz odpoczniesz. Hawad! Zaprowadzisz Demetriusa do naszej kryjówki.

Położył dłoń na ramieniu Demetriusa.

— Idź z Hawadem. Pozostali muszą się dowiedzieć o twojej odwadze... Takie męstwo daje siły do dalszej walki.

Demetrius odwrócił się od Ahmeda i spojrzał na zbliżającego się Hawada.

— Tak... — mruknął. — Odpoczynek bardzo mi się przyda...

Zrobił krok w stronę Hawada; kiedy się witali, myślał o słowach Ahmeda: odwaga i męstwo. Wiedział, że nie powodowały nim ani męstwo, ani odwaga: w tamtej chwili wydawało mu się, że łatwiej jest umrzeć, niż żyć.

— Bóg z tobą, Demetriusie Antounie! — zawołał Ahmed. Pograżony w czarnych myślach Demetrius nic nie odpowiedział.

Rozdział XI

Obóz uchodźców palestyńskich Szatila

Kiedy w 1948 roku powstało państwo Izrael, a państwo palestyńskie zniknęło, palestyński ruch niepodległościowy usunął się ze sceny politycznej, przekazując odpowiedzialność za prawa Palestyńczyków w ręce Ligi Arabskiej. Dziesięć lat później przebywający wciąż na wygnaniu miody palestyński inżynier nazwiskiem Arafat, pełen poczucia krzywdy z powodu zignorowania Palestyńczyków przez arabskie reżimy, które obiecały uwolnić ich kraj, stworzył organizację pod nazwą Fatah. Odwróciła się ona od wszystkich arabskich rządów, licząc na to, że Palestyńczycy sami zdołają sobie wywalczyć niepodległość. W 1965 roku członkowie zbrojnego skrzydła Fatah rozpoczęli ataki na cele w Izraelu, budząc nadzieję Palestyńczyków zamkniętych w obozach dla uchodźców. W latach sześćdziesiątych, na fali arabskiego nacjonalizmu ogarniającego cały Bliski Wschód, palestyńscy intelektualiści zaczęli domagać się od arabskich reżimów uznania palestyńskiego ruchu narodowego. W roku 1964 Liga Arabska stworzyła Organizację Wyzwolenia Palestyny. Na początku swego istnienia OWP była pod wpływem i kontrolą prezydenta Egiptu, Gamala Abdel Nadera. Ale OWP była organizacją polityczną a nie wojskową, i jej żądania zwrotu Palestyny były lekceważone przez zachodnie rządy. W 1967 roku, gdy Izraelczycy po raz trzeci zadali armiom arabskim druzgocącą klęskę, zdesperowani palestyńscy uchodź-

cy zwrócili się do Fatah w nadziei, że bardziej radykalne podejście zwróci na nich uwagę rządów świata. Jednocześnie pokonane narody arabskie, które przegrały z Żydami trzy wojny, zaczęły obwiniać uchodźców palestyńskich o wszystkie klęski, jakie na nich spadły. Rządy arabskie, szukając sposobu wycofania się z ruchu na rzecz wyzwolenia Palestyny, zachęciły Fatah i OWP do zjednoczenia się i ogłosiły Jasira Arafata nowym przewodniczącym Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Po przelaniu żydowskiej krwi w Karameh palestyńscy fedaini z Fatah nagle stali się dla Arabów bohaterami i wszyscy zaczęli ich popierać.

Czerwiec 1968

Pogrążony w żalu Demetrius Antoun ruszył z Karameh do Ammanu, stolicy Jordanii, a stamtąd do Damaszku w Syrii. Pamiętając o gorącym pragnieniu Walida, żeby odwiedzić Damaszek, wzburzony Demetrius błąkał się po mieście, nie umiejąc się cieszyć jego urodą. Po dniu spędzonym na Starym Mieście i w Souq al-Hamadżijeh wyłożone kocimi łbami ulice Damaszku wydały mu się ponure. Przeszedł obok szeregu kawiarni pełnych rozmawiających głośno mężczyzn i wszedł do najmniej zatłoczonej. Wybrał stolik w kącie i zamówił kanapkę z serem i mocną kawę po arabsku.

Stał się przypadkowym świadkiem gorącej dyskusji toczonej przez dwóch tureckich biznesmenów i libańskiego studenta. Przedmiotem rozmowy był wywołany w 1917 roku przez tureckie władze Libanu głód, który spowodował śmierć trzystu tysięcy Libańczyków. Turcy byli głośni i kłótlivi i Demetrius od razu zauważył, że nieśmiały student z Bejrutu stoi na straconej pozycji.

Demetrius czerpał wiedzę od swojego skromnego, lecz uczonego ojca, i rozgniewał się, słysząc, jak grubszy z dwóch Turków wrzeszczy do studenta: „Ty ośli synu! Głód tysiąc dziewięćset siedemnastego roku był spiskiem brytyjskiego i francuskiego rządu, w którym chodziło o obalenie otomańskiej władzy. — Machnął na studenta ręką. — Wracaj do szkoły”.

Tłuścioch posłał swojemu towarzyszowi pełen samozadowolenia uśmiech, a potem wskazał na głowę i mruknął: „Arabowie mają ciemne mózgi”. Bardzo mu się podobało, że może sobie szydzić z byłych poddanych Imperium Otomańskiego. synów tych, nad którymi władzę sprawował niegdyś jego ojciec.

Twarz Demetriusa poczerwieniała ze złości. Już dawno zauważył, że ignorancja idzie w parze z arogancją. Zaczerpnął głęboko tchu, nakazując sobie nie wtrącać się do sprzeczki, ale gdy spojrział na upokorzonego studenta, nie mógł się powstrzymać. Obrócił się na krześle i złapał grubasa za rękę.

— Będziesz musiał przeprosić — rzekł zwodniczo łagodnym tonem. — Głód w Libanie w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku spowodowali twoi rodacy. Turecka armia zarekwirowała całą żywność w Libanie, zostawiając cywilom do jedzenia trawę.

Grubas próbował uwolnić ramię, lecz Demetrius wzmocnił uścisk. Turecki biznesmen, przekonany, że znajdzie ochronę w kraju, który wybrał tyranię zamiast anarchii, rozejrzał się za funkcjonariuszem w mundurze. Widząc trzech policjantów, wskazał na trzymającego go młodego mężczyznę.

— O! Jeszcze jeden libański osioł!

Demetrius zmrużył oczy i zacieśnił uścisk, lecz nic nie powiedział. Jego milczenie dodało odwagi grubasowi, który podniósł podbródek i syknął:

— A może jesteś synem dziwki?

Demetrius nie mógł tego znieść. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, poszedł za impulsem: wstał błyskawicznie i mocno uderzył Turka w czubek głowy.

Na twarzy grubasa malowało się zdziwienie, gdy zsuwał się powoli z krzesła i padał na terakotową posadzkę u stóp Demetriusa.

Gości ogarnęła panika. Kilku starszych mężczyzn w popłochu zaczęło przepychać się do wyjścia. Towarzysz grubasa zaczął wrzeszczeć:

— Policja! Ratunku!

Rozległy się okrzyki: „Co się dzieje?” „Bójka!”. Demetrius sięgnął do kieszeni i rzucił na stolik pięćdziesiąt syryjskich lirów. Puścił do studenta oko.

— Wychodź. Szybko!

Student nerwowo pozbierał papiery. Zanim wybiegł, rzucił Demetriusowi spojrzenie pełne wdzięczności.

Demetrius dopił kawę i spokojnie czekał na funkcjonariuszy.

Trzej policjanci wraz z kilkoma gapiami stali wokół leżącego na ziemi grubasa. Najwyraźniej mieli teraz przerwę i woleli ją wykorzystać na picie kawy. Doprowadzenie kogoś na posterunek wiązałoby się z papierkową robotą.

_ Co się stało? — spytał zmęczonym głosem najstarszy z nich.

_ On mnie obraził — odparł Demetrius. — Musiałem zareagować.

— Jak cię obraził?

— Obraził moją matkę.

Policjant ze zrozumieniem skinął głową i spojrzał z ciekawością na Demetriusa. Żaden prawdziwy mężczyzna nie puściłby takiej obelgi płazem, ale większość młodych ludzi uciekłaby na widok funkcjonariuszy. Ten chłopak jednak wyglądał na takiego, który gotów jest bronić swojej matki bez względu na okoliczności.

Jeden z gapiów zaczął się śmiać, wymachując pięścią.

— Ja wszystko widziałem, panie władzo. Ten duży — wskazał na Demetriusa — przyłożył mu kulakiem. Powalił go jednym ciosem!

Obrzuciwszy Demetriusa pełnym podziwu spojrzeniem, mężczyźni zajęli się nieprzytomnym grubasem. Z jego nosa spływał śluz, ściekając na usta i brodę.

Jeden z młodszych policjantów podrapał się po głowie.

— Ale się usmarkał! Wszyscy parsknęli śmiechem.

— On nas zaatakował! — zawołał towarzysz nieprzytomnego mężczyzny. — Aresztujcie go!

Dowódca patrolu spojrzał na Demetriusa i podjął szybką decyzję.

— Zmiaataj stąd. I żadnych bójek. — Zerknął na jego umięśnione ramiona.

— Mógłbyś kogoś zabić.

Demetrius wyszedł. Znalazłszy się na ulicy, pomyślał, że czas wracać do Bejrutu.

Niemieły incydent w kawiarni przywołał wspomnienia z jego wczesnej młodości. Tak jak wszyscy chłopcy, brał udział w niejednej bójce. Już wiele lat temu odkrył, że nie może używać nawet połowy swojej siły. W czasie niegroźnej szarpaniny złamał kiedyś żebro koledze z klasy, gdy go próbował przytrzymać, by nie uderzył Walida. W tym samym roku złamał innemu chłopcu szczękę podczas dzielnicowego turnieju bokserskiego. Od tego momentu unikał stosowania siły fizycznej — zmieniło się to jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy gniew i frustracja wzięły górę nad rozsądkiem.

Szybkim krokiem wrócił do hoteliku, gdzie się zatrzymał. W niecałą godzinę spakował rzeczy do małej walizki, zapłacił rachunek i pośpiesznie ruszył na postój taksówek, mając nadzieję, że uda mu się zaoszczędzić pieniądze, podróżując do Bejrutu razem z kilkoma innymi pasażerami. Gdy taksówka wreszcie ruszyła, pomyślał, że niepotrzebnie się martwił. Żeby więcej zarobić, kierowca zabrał czterech pasażerów. W zardzewiałym, rozklekotanym czarnym mercedesie siedziało pięciu dorosłych mężczyzn. Dwaj pasażerowie, starzec i jego wnuk, byli libańskimi szyitami. Wracali do slumsów Bejrutu.

Demetrius siedział spokojnie i słuchał opowieści starego szyity, próbując oczyścić umysł z trosk.

Jego córka wyszła za Syryjczyka. Kiedy razem z wnuczką przyjechał do Syrii świętować narodziny dziecka córki, z przerażeniem dowiedział się, że dziecko urodziło się z dużą głową, która z każdym dniem rosła. Demetrius uświadomił sobie, że noworodek ma wodogłowie, i smutek ścisnął mu serce, bo wiedział, że dziecko umrze, ale dopiero po długich cierpieniach.

Demetrius bardzo pragnął zostać lekarzem, ale nie miał odwagi komukolwiek o tym powiedzieć; wiedział, że ubóstwo rodziny czyni to marzenie nieziszczalnym. Postanowił zadowolić się zawodem nauczyciela, tak jak ojciec.

Kiedy stary człowiek skończył swoją smutną opowieść, taksówkarz stwierdził, że zaschło mu w gardle i ma pusty żołądek. Spojrzawszy na jego wychudzoną twarz i źle dopasowane ubranie, Demetrius sięgnął do kieszeni, szukając ostatnich banknotów. Zaproponował, że postawi wszystkim posiłek.

Taksówkarz zatrzymał samochód obok przydrożnej budki z jedzeniem; wszyscy wysiedli, żeby rozprostować nogi i ulżyć pęcherzom. Demetrius kupił tuzin ugotowanych na twardo jaj, pięć ziemniaków, pięć kromek chleba i pięć butelek wody sodowej. Właściciel budki dodał na swój koszt garść oliwek.

Podzieliwszy się tym skąpym posiłkiem, ruszyli w dalszą drogę. Demetrius był jedynym pasażerem, który nie spał, gdy mijali pasmo górskie biegnące wzdłuż granicy z Syrią. Kierowca zrećnie pokonywał ciasne jak agrafka zakręty, a Demetrius przyglądał się domkom z pokrytymi czerwoną dachówką dachami, przyczepionym do poszarpanych zboczy gór. W wioskach druzów widział mężczyzn jadących na osłach i kobiety krzątające się przy codziennej pracy. Gdy zjeżdżali ze stoku po libańskiej stronie, przez zielone korony drzew zobaczył błyszczące w oddali fale Morza Śródziemnego.

Demetrius uważał, że Liban jest pięknym krajem, o wiele piękniejszym od Jordanii czy Syrii. Przycisnąwszy twarz do brudnej, popękanej szyby, spoglądał na gęste sosnowe lasy i myślał o ojcu, który powiedział mu kiedyś, że Liban to kraj kontrastów: jest tam miejsce dla wszystkich, od najbogatszych do najbiedniejszych. Wystarczy, że Bóg się uśmiechnie, i człowiek, który rozpoczął życie w slumsach południowego Bejrutu, może je skończyć w willi na wzgórzu. W Libanie wszystko jest możliwe.

Tęskniącemu za lepszym życiem Demetriusowi przemknęła przez głowę myśl, że wolałby się urodzić w Libanie niż w Palestynie.

Westchnął. Jak dotąd Bóg śmiał się z marzeń Palestyńczyków.

Smutek Demetriusa zaczął znikać, gdy taksówka zbliżyła się do wschodniego Bejrutu, przejechała przez chrześcijańskie enklawy i znalazła się na obrzeżach zachodniej dzielnicy miasta. Gdy mijali otoczone murami wille stojące wśród palm i sklepików, spostrzegł, że różowe i białe oleandry zaczęły już kwitnąć. Nadeszło lato.

Na ulicach Bejrutu kłębił się tłum ludzi z całego świata. Demetrius uśmiechnął się na widok pięknych Libanek w najmodniejszych ubraniach z Paryża, targujących się z brodatymi

starcami przy straganach warzywnych. U boku maronickich kapłanów w długich białych płaszczach kroczyli sztywno druzowie w czerwonych czapczkach i szerokich spodniach. Wpadający przez otwarte okno samochodu zapach prażonych ziaren kawy obudził drzemiących pasażerów.

Ulice były zakorkowane i Demetrius pomyślał, że prędko i by pokonał pozostałą odległość pieszo. Zaczynał się niecierpliwić. Nigdy nie przebywał tak długo z dala od rodziny.

W końcu dojechali do obozu Szatila. Zapłaciwszy swoją część rachunku i pożegnawszy się ze wszystkimi, Demetrius wysiadł z samochodu.

Obóz Szatila miał powierzchnię niewiele większą niż półtora kilometra kwadratowego, ale był domem dla ponad siedmiu tysięcy ludzi. I mimo bliskości tętniącego życiem Bejrutu, był najbiedniejszym obozem uchodźców w Libanie. Otoczony wzgórzami, leżał w niecce, która zamieniała się w błotnistą rzekę, gdy nadchodziły deszcze, zalewające otwarte ścieki.

Zbudowane z bloków szlaki i betonu malutkie, nędzne klocki w niczym nie przypominały zamożnych domów Bejrutu. Niewiele budynków było pomalowanych, a na każdym wisiały rury wodociągowe i przewody elektryczne. Większość mężczyzn była w Palestynie rolnikami, ale teraz wszyscy zamienili się w robotników fizycznych. I choć wielu pracowało jako malarze, stolarze czy hydraulicy u bogatych Libańczyków, w obozie Szatila nic nie świadczyło o ich umiejętnościach.

Podczas trzymiesięcznej nieobecności Demetriusa niewiele się w obozie zmieniło, teraz jednak nie dostrzegał brudu tego miejsca, które nazywał domem. Myślał tylko o rodzinie i szoku, jaki wywoła jego nieoczekiwany powrót. Miesiąc wcześniej napisał w liście, że być może zostanie w Karameh rok lub dłużej.

Myśl o radości, z jaką najbliżsi przyjmą jego powrót, podniosła go na duchu.

Obóz był zawsze zatłoczony, lecz tego dnia wszystkie ulice roiły się od ludzi. Demetrius nie mógł sobie przypomnieć takich tłumów. Co się dzieje? Nagle usłyszał okrzyki radości i zobaczył dużą grupę chłopców, maszerujących przez Szatilę. Szli kolumną, dumnie trzymając w dłoniach kije i wołając: „Palestyna!

Palestyna!** Mieszkańcy obozu stali wzdłuż ulicy, krzycząc: „Młode lwy! Wy nas ocalicie! Młode lwy!”.

Demetrius, nierozpoznany jeszcze przez przyjaciół i sąsiadów, oparł się o ścianę niewielkiego budynku i obserwował ten spektakl. Ku zachwytowi tłumu, na sygnał dowódcy młodociani żołnierze nagle przykucnęli, potem rzucili się przed siebie hiegiem, podkurczyli nogi i zaczęli robić salta.

Wskoczyli na s/.czyt przygotowanej wcześniej wydmy z piasku i wydali przeraźliwy okrzyk, starając się, żeby zabrzmiał jak ryk dzikich bestii w dżungli. Widzowie przyjęli to z aplauzem, krzycząc i śmiejąc się jednocześnie; w powietrzu wyczuwało się histerię.

— Fatah! Fatah! Fatah!

Po kilku minutach Demetrius zaczął się przepychać przez dum; wiedział już, skąd całe to zamieszanie. „Karameh”, mruknął pod nosem. Przed bitwą o Karameh Palestyńczycy byli pariasami świata arabskiego. Każdy mężczyzna nimi gardził. Teraz jednak, po zabiciu paru izraelskich żołnierzy, stali się bohaterami wszystkich Arabów, którzy kiedykolwiek czuli się poniżeni przez Żydów.

Demetrius miał ochotę wykrzyknąć, że jedno zwycięstwo batah to mniej, niż się wydaje. Kilku zabitych izraelskich Żołnierzy nie zmieni wyniku wojny toczącej się między Żydami i Arabami. A poza tym ci Żydzi też mieli imiona, na przykład A be. Demetrius wzdrygnął się mimowolnie. Kiedy szedł przez obóz Szatila, stanął mu przed oczyma widok zabitych, między którymi był także Walid. Westchnął ciężko. Wojna Arabów z Żydami mocno związała ze sobą te dwa narody, mimo że nigdy by się do tego nie przyznały. Arabowie i Żydzi, Żydzi i Arabowie.

Demetrius przeciskał się przez tłum w stronę domu rodziców; zewsząd dobiegały go przechwałki, jak to Arabowie niebawem zepchną Żydów do morza.

Przyspieszył kroku i pochylając się, szedł pod przybudówkami wiszącymi nad wąskimi uliczkami. Było gorąco i wilgotno, zaczął się pocić. Miejscami przejścia miały nie więcej niż metr szerokości.

Mieszkańcy obozu Szatila budowali swoje siedziby na każdym skrawku wolnej ziemi.

W końcu znalazł się w domu.

Mary Antoun stała przed wejściem, tyłem do ulicy; jej sylwetka rysowała się na tle słońca, a długie ciemne włosy były zebrane w schludny kok. Demetrius stanął i patrzył, jak troskliwie pielęgnuje przepiękny purpurowy kwiat w cynkowej doniczce.

Matka zawsze kochała kwiaty.

Nie widząc Demetriusa, podlała roślinę, a potem pochyliła się i delikatnie musnęła kwiat nosem i ustami. Gdy się odwróciła, Demetrius zobaczył ogromną radość na jej twarzy.

Zauważyła go.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

— Demetrius! — Podbiegła do syna, który czekał na nią z rozwartymi ramionami. Serce biło jej z podniecenia. — Mój syn! Moje życie! — powiedziała cicho. — Jesteś w domu... W domu... — Przesunęła palcami po jego twarzy. — Tata i dziadek niedługo wrócą. Ale się ucieszą! Demetrius milczał. Mary zauważyła jego nieruchomy wzrok i w jednej chwili zrozumiała, że stoi między nimi śmierć Walida Badera. Bez słowa wprowadziła go do ich ubogiego domu.

Zamknąwszy drzwi, popatrzyła na syna i pogładziła go po twarzy.

— Opowiedz mi, Demetriusie. Opowiedz mi o Walidzie. Demetrius próbował mówić, kilka razy otwierał i zamykał usta. Po chwili opadł na kolana, położył głowę na kolanach matki i załkał; zbyt długo tłumił w sobie ból.

Mary Antoun była mądrą kobietą. Wiedziała, że większość mężczyzn nie potrafi mówić o tym, co najważniejsze. Walid znaczył dla Demetriusa bardzo wiele. Gdy gładziła syna po drżących ramionach, ogarnął ją smutek, że nie umie go ochronić przed okrucieństwami życia.

Widząc ogromny żal Demetriusa, zapłakała razem z nim, aż w końcu zabrakło im łez.

Rozdział XII

Amin Barwisz

Po południu Demetrius zamknął drzwi rodzinnego domu i stanął na ulicy. Kiedy tylko zniknął z zasięgu wzroku rodziców, na jego twarzy pojawił się wyraz troski. Szedł do rodziców Walida Badera i z każdym ciężkim jak ołów krokiem ogarniał go coraz większy lęk. Dzisiaj miał zobaczyć Mustafę i Abeen Baderów po raz pierwszy od śmierci ich syna trzy miesiące temu. Gwizdał pod nosem, żeby podnieść się na duchu, lecz melodia załamywała się i zanikała. Wspomnienie Walida wciąż dręczyło jego sumienie.

Dzień po bitwie o Karameh Mahmoud Bader zebrał zakrwawione szczątki bratanka i pochował obok swojej córki, która straciła życie rok wcześniej, w listopadzie 1967 roku, gdy armia izraelska zbombardowała Karameh i pocisk spadł na grupę dziewcząt wychodzących ze szkoły. Osobliwym zrzędzeniem losu zamordowanie kuzynki Walida doprowadziło również do jego śmierci.

Palestyńczyków z Karameh rozwścieczyła śmierć dziewcząt, i fedaini wzięli odwet, wślizgując się na teren Izraela i podkładając miny. 18 marca 1968 roku izraelski autobus szkolny wjechał na jedną z nich. Zginął jeden z uczniów i lekarz, a dwadzieścioro dziewięcioro innych dzieci zostało rannych. Doprowadziło to do eskalacji przemocy. Izraelski rząd zarządził akcję wojskową na dużą skalę; jej celem było oczyszczenie granic państwa z arabskich terrorystów. Do ataku

doszło akurat tego dnia. gdy Walid i Demetrius przebywali w tej okolicy. Po pogrzebie Walida Mahmoud Bader wybrał się w żałobną, podróż do obozu Szatila, aby powiedzieć bratu o śmierci jego najmłodszego syna. Demetrius, przepelniony poczuciem winy. ponieważ przeżył, gdy Walid zginął, nie poszedł razem z Mah moudem. To okropne wydarzenie wywołało w nim jeszcze większą dezorientację. Nie wiedząc, co ma dalej robić, wziął udział w radosnym świętowaniu zwycięstwa Palestyńczyków. Idea wyzwolenia Palestyny, którą głosił Ahmed Fayez, wywarła na niego silny wpływ. Został z Fayezelem i fedainami w Jordanii, niedaleko granicy Izraela. Wysłał listy do rodziców i rodziny Baderów z wiadomością, co się stało owego feralnego dnia: w jednej chwili Walid był przy jego boku, a w następnej stał już przed obliczem Boga. Teraz, trzy miesiące później, Demetrius był z powrotem w Szatili, rozczarowany chaotycznymi działaniami fedainów. Miraż palestyńskiego zwycięstwa rozplynął się bezpowrotnie.

Przed drzwiami domu Baderów zdenerwowany Demetrius splótł ręce za plecami i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Przesunął dłonią po gęstych kasztanowych włosach i głęboko odetchnął, po czym z determinacją pchnął drewniane drzwi.

Były otwarte. Zawiasy zaskrzypiały złowieszczo.

Mustafa Bader był niemal ślepy bez okularów, lecz słuch miał nadal doskonały. Odpoczywał na małym podwórku na tyłach domu, gdy usłyszał skrzypienie drzwi. Zastana wiając się, kto może mu składać wizytę przed kolacją. Mustafa bez trudu przeszedł przez dobrze znane pokoje domu, szukając jednocześnie w kieszeni okularów. Jedno szkiełko wypadło rok temu i było teraz przyklejone taśmą Mustafa ostrożnie sprawdził, czy szkiełko jest bezpieczne, a potem założył ogromne ciemnozielone oprawki. Nawei z grubymi szklami na końcu nosa mrużył oczy, spoglądając na gościa. Wreszcie rozpoznał potężną sylwetkę młodego człowieka.

— Demetrius! — zawołał, wyciągając ramiona. — Deme trius! Wróciłeś!
— Gęste, siwiejące włosy Mustafy podskaki wały, gdy ścisnął gościa. Z podniecenia machał rękami. — Sły-

szeliśmy od kogoś wczoraj wieczorem, że wróciłeś! — Ucałowawszy Demetriusa trzy czy cztery razy w każdy policzek, zawołał: — Abeen, chodź szybko! Demetrius tu jest!

Usłyszeli jej krzyk, zanim ją zobaczyli.

- Demetrius! Mój drogi Demetrius!

Abeen Bader była chudą, niską kobietą, a sądząc z poważnego wyrazu jej twarzy, można było pomyśleć, że ma się do czynienia z surową, oschłą osobą. Pograżona w żałobie po śmierci swojego najmłodszego dziecka, schudła jeszcze bardziej i stała się koścista. Była ubrana w czerń od stóp do głów i miała zapadnięte, podkrążone oczy.

Jej wygląd wstrząsnął Demetriusem. Pomyślał, że matka Walida postarzała się od jego śmierci o dwadzieścia lat. Abeen przywitała Demetriusa ciepłym uśmiechem, w milczeniu przypatrując się jego twarzy, jakby szukała w niej jakiegoś sobie tylko znanego znaku.

- Teraz ty jesteś naszym synem — oznajmiła z przejęciem, wpatrując się swoimi wielkimi bursztynowymi oczami w twarz Demetriusa. Mówiła pewnym głosem, bo choć miała wątłe ciało, jej duch był silny. — Czyż nie, Mustafu? — spytała męża, a on energicznie skinął głową, potrząsając siwą czupryną.

Wyglądał, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Demetrius przypomniał sobie, co Walid często mówił o swoich rodzicach: że ojciec jest nerwowy i często zmienia nastroje, a matka ma umysł mężczyzny. Przyjaciel zwierzył mu się kiedyś, że bardzo żałuje, iż odziedziczył budowę matki i nadpobudliwość ojca. „Nieudana kombinacja”, stwierdził cierpko.

Demetrius chciał się sprzeciwić, wykrzyknąć, że nie może zająć miejsca ich syna, lecz słowa protestu zamarły mu na wargach, gdy spojrzał na Mustafę i zobaczył, że jego oczy błyszczą z radości. Wiedział, że jest autentyczna, Mustafa i Abeen kochali go zawsze jak syna, mimo że Antounowie byli chrześcijanami, a Baderowie wyznawali sunnicki islam. Wiele innych muzułmańskich rodzin w obozie patrzyło niechętnym okiem na Antounów.

Spojrzawszy nad ramieniem Mustafy, ujrzał na środku ściany

głównego pokoju zdjęcie uśmiechniętego przyjaciela i westchnął głęboko. Otoczona czarną tkaniną fotografia wisiała na honorowym miejscu; Demetrius mógł sobie wyobrazić długie godziny rozdierającego smutku wypełniające dom Baderów. Patrząc na podobiznę przyjaciela z dawnych, szczęśliwych dni, próbował odrzucić obraz zakrwawionego, martwego ciała Walida, lecz ponura rzeczywistość wzięła górę. Odwrócił się do matki przyjaciela.

— Abeen, świetnie wyglądasz — powiedział, starając się żeby jego głos zabrzmiał pogodnie. — Tak się cieszę, że cię widzę!

Abeen ukloniła się lekko, z widoczną radością. Demetrius wciągnął nosem powietrze.

— Co tak pięknie pachnie? — spytał. Twarz Abeen rozjaśnił uśmiech.

— A jak myślisz? To twoje ulubione danie, mięso jagnięcia z liśćmi winnej latorośli!

Mustafa klasnął w dłonie.

— Abeen od rana gotuje z nadzieją, że o nas nie zapomniawsz.

— Zapomnieć o was? Nigdy! — odparł Demetrius i mrugnął do Mustafy.

— Zostaniesz największym grubasem w Szatili. jeśli nie będziesz na siebie uważał!

Mustafa westchnął głośno i poklepał się po rosnącym brzuchu. Był krępy, mocno zbudowanym mężczyzną, lecz jego brzuch zaczynał już wystawać poza szeroką klatkę piersiową.

— To samo powtarzał mi Walid — rzekł, kiwając głową. — Prawda, Abeen? — spytał z wymuszonym uśmiechem.

Zapadła niezręczna cisza. Abeen pobladła.

— Mustafa, obiecałeś! — zganiła męża. — Dzisiaj chcemy tylko cieszyć się z twojego powrotu — wyjaśniła Demetriuso wi. — Jeśli Bóg da, będzie jeszcze wiele dni na opłakiwanie naszego Walida.

Usta Demetriusa zacisnęły się, lecz nic nie odpowiedział. Duży zegar na niewielkim stole w głównym pokoju zadzwonił głośno.

Mimo surowego wyglądu i silnej osobowości Abeen Bader była kobietą bardzo uczuciową. Przysunęła się do Demetriusa i oparła głowę na jego piersi.

— Jutro — powiedziała uspokajająco. — Jutro nam wszystko opowiesz. Demetrius zacisnął zęby i milczał. Jego ciemnoszare oczy pociemniały jeszcze bardziej, gdy ponownie spojrzął na zdjęcie na ścianie. Ból po stracie przyjaciela był tutaj, w Szatili, jeszcze dotkliwszy niż w Karameh. Ze smutkiem uświadomił sobie, że wesoły Walid już nigdy nie weźmie udziału w takim rodzinnym spotkaniu. Oczy zaszczyły mu łzami, gdy przypomniał sobie po raz kolejny, co się stało: Walid Bader naprawdę nie żyje, a on, Demetrius Antoun, stracił najlepszego przyjaciela, jakiego miał.

Odwróciwszy się do Abeen, a potem do Mustafy, powiedział powoli:

— Kiedy zginął Walid, odszedł więcej niż jeden człowiek. Abeen skinęła nieznacznie głową; wiedziała dobrze, co

Demetrius ma na myśli. Walid Bader był ukochanym synem, bratem i przyjacielem.

— Niech mi Bóg wybaczy! — zawołał drżącym głosem Mustafa. — Nie zaproponowałem ci kawy! — Pospieszył do kuchni, mruczając coś pod nosem o swoim karygodnym braku dobrych manier.

Abeen wskazała Demetriusowi jedyne porządne krzesło w domu.

— Był tu dzisiaj Amin Darwisz — powiedziała. — Chce się z tobą zobaczyć.

Demetrius, który przed chwilą usiadł, wstał natychmiast.

— Pójdę do niego. Abeen skinęła głową.

— Oczywiście, idź... ale wracaj szybko. Kawa ci wystygnie. — Spojrzała na zegar, oceniając, ile czasu zajmie jej przygotowanie kolacji. — Za godzinę podam posiłek.

— Nie martw się, na pewno wrócę. Umieram z głodu — odparł Demetrius. Za nic by się nie przyznał, że najadł się w domu.

Uścisnął Abeen i skierował się do wyjścia. Odwrócił się w drzwiach.

— Jak się miewa Amin? — spytał.

Abeen położyła rękę na piersi i smutno potrząsnęła głową

— Ach, bez zmian.

Trzyizbowy domek Amina Darwisza znajdował się nie więcej niż dwie minuty marszu od domu Baderów. Demetrius pokonał tę odległość w minutę, choć wiedział, że przenosi się z jednego domu żałoby do drugiego. Wytłumaczył sobie jednak, że łatwiej znieść stary, zadawniony smutek Amina niż świeże cierpienie Baderów

Amin Darwisz był pogrążony w żałobie, odkąd Demetrius go znał.

Uśmiechnął się na widok mosiężnego gongu, wciąż opartego o ścianę domu. Amin był częściowo głuchy od dwudziestu jeden lat, od listopada 1947 roku, kiedy w Jerozolimie wybuchła bomba i zabiła jego ukochaną żonę, Ratibę, wraz z ich nienarodzonym dzieckiem. Demetrius wykonał czynność znaną dobrze wszystkim gościom Amina: podniósł krótki, gruby kij i uderzył w gong, który był połączony z drugim gongiem, znajdującym się w środkowym pokoju malutkiego domku. Poczł wibracje wędrujące od palców aż do ramienia.

Po kilku sekundach drzwi otworzyły się raptownie i wybiegi z nich niziutki, gruby Amin, wycierając ręce w małą kuchenna ściereczkę. Z piskliwym okrzykiem złapał swojego gościa wpoi i zatańczył wokół niego; Demetrius mógł zobaczyć jego rzed nące włosy, zbyt długie z tyłu, nieuczesane i poplątane.

Podniósł przyjaciela tak, że zrównali się głowami.

— Z dnia na dzień stajesz się niższy i okrągłszy! -zawołał ze śmiechem i postawił małego grubaska na ziemi.

Amin promieniał z radości.

— Brakowało mi ciebie! — Podniósł rękę i uszczypnął Demetriusa w policzek. — Straciłeś na wadze, tak jak myślałem — zmartwił się.

Demetrius zaprzeczył, choć wiedział, że to prawda.

— Nie! Zdaje ci się!

— Myślisz, że jestem ślepy jak Mustafa Bader? — spytał Amin, po czym kołyszącym się krokiem wszedł z powrotem do domu.

— Upiekłem ciastka migdałowe — oznajmił. — Specjalnie dla ciebie. Chodź.

Żadna kobieta w obozie nie mogła się równać z Aminem, gdy chodziło o słodkie wypieki. Demetrius ruszył za przyjacielem. Na znak szacunku dla przywiązania Amina do dawno zmarłej żony zatrzymał się w wejściowym pokoju i stanął naprzeciwko małej kapliczki poświęconej Ratibie Darwisz. Większość Arabów miała w domach specjalne miejsca upamiętniające najbliższych, którzy odeszli, lecz ołtarzyk Ratiby był wyjątkowo ozdobny.

— Jak się miewa Ratiba? — spytał Demetrius.

— Co? — krzyknął Amin z kuchni. Demetrius potrząsnął głową i zachichotał.

— Co mówiłeś? — zapytał Amin.

— Jak się miewa Ratiba?

— A, tak. Ratiba... — Amin potruchtal w stronę Demetriusa / dużym talerzem świeżo upieczonych ciastek w dłoni; drugą dał gościowi znak, żeby usiadł na jednej z poduszek rozłożonych po całym pokoju. Postawił przed nim talerz. — Jedz! Jedz! — powiedział swoim piskliwym głosem. Wyprostowawszy plecy, Ściągnął brwi i popatrzył na zdjęcia Ratiby: pierwsze przedstawiało wesołe dziecko, drugie uśmiechniętą młodą dziewczynę, a trzecie promieniejącą szczęściem pannę młodą; Amin spoglądał na nie, jakby porównywał wizerunki ze swoimi wspomnieniami. Chrząknął cicho, gdy zobaczył, że przewrócił się jeden z wazonów ze sztucznymi różowymi kwiatami pod ołtarzykiem. — To pewnie któreś z dzieci Yassina! — Powoli ustawił plastikowe kwiaty, a potem popatrzył na Demetriusa. Wyglądało na to, że wzmianka o Ratibie tym razem nie wywołała u niego melancholii.— Ratiba? Biedactwo, to był jeden z jej złych dni.

Demetrius jadł ciasteczka, spoglądając na zdjęcia Ratiby i zastanawiając się, w jaki sposób ta niezbyt urodziwa kobieta zdobyła taką miłość... miłość, która przetrwała dwadzieścia lat po jej śmierci.

— Zły dzień? Jak to? — zapytał zdziwiony. Amin zabębnił palcami w ścianę.

— Wciąż tęskni za naszym domem w Jerozolimie.

— Ach tak, oczywiście.

Amin usiadł obok i machnął krótką, pulchną ręką w stronę ołtarzyka.

— Ale dość o Ratibie. Jak tylko wrócimy do Palestyny, jej zdrowie się poprawi. A teraz opowiadaj o sobie.

Prośba Amina przywołała niemiłe wspomnienia; mięsień koło prawego oka Demetriusa zaczął drgać. Przyłożył do niego rękę, żeby go unieruchomić.

Amin nie pozwolił się jednak ignorować. Wiedział, co dręczy jego młodego przyjaciela.

— Śmierć Walida wszystkim nam złamała serca. Ale co możemy zrobić?

— Poklepał Demetriusa po ramieniu. — Pozwól odpocząć ranom kilka dni, a potem opowiesz mi, co się stało.

— Masz rację — przyznał Demetrius. — Rany są zbyt świeże. Amin skierował rozmowę na swój drugi ulubiony temat po

Ratibie:

— Nie zapomnij tego, co ci powiem... Palestyna nie odrodzi się dzięki dżentelmeńskiemu porozumieniu. Każdy z nas musi być gotów ponieść ofiarę. — Przysunął się bliżej. — Byles w Palestynie?

Milczenie przyjaciela i jego leciutki uśmiech powiedziały mu, że był. Nie chcąc mówić o rozczarowaniu, którego doznał. Demetrius wybrał największe ciastko i włożył je sobie w całości do ust.

Oczy Amina błyszczały z podniecenia.

— Wspaniale! — zawołał radosnym głosem. Tęsknił za zapachami Palestyny, jej wzgórzami, rozpadlinami i głębokimi wąwozami. Pochylił się tak, że Demetrius widział każdą zmarszczkę na jego twarzy. — Czy twoja krew rozgrzała się na widok piękna tej ziemi ?

Demetrius przesunął się na poduszce, niepewny, czy powiedzieć Aminowi prawdę, którą poznał: opowieści wygnańców o Palestynie były mocno przesadzone. Od najwcześniejszego dzieciństwa słyszał o urodzie ojczyzny, ale gdy na własne oczy ujrzał te jałowe pustkowia, aż się zachwiał i upadł na ziemię, nie mogąc wydobyć słowa. „A więc to jest ten kraj, tak gorzko opłakiwany przez ojca? — myślał. — To jest ta ziemia obiecana?”.

Amin dotknął lekko palcami jego ramienia.

— No i co?

Demetrius rozchylił usta w pełnym zamyślenia uśmiechu, a potem spojrzał na przyjaciela. Widząc jego podniecenie, pomyślał, że chyba powinien chronić marzenia Amina. Zrobił więc jedyną rzecz, którą mógł zrobić: skłamał.

— Co za kraj! Gdy stanąłem na palestyńskiej ziemi, nie widziałem nic prócz zieleni. Zielone wzgórza... zielone drzewa z gałęziami niemal dotykającymi ziemi, ciężkimi od dojrzewających owoców... Strumienie pełne słodkiej wody... Mówię ci, w Palestynie jest dość wody dla milionów ludzi.

Wiedział, że moc słowa i mitu jest o wiele większa od mocy prawdy, bo okrążyła twarz Amina różowawą się z radości. Pochłaniał chciwie każde słowo.

— Musisz mi wszystko opowiedzieć — oświadczył. — Próbowalesz pomarańczy z Jaffy?

— Na Boga! — zawołał Demetrius. — Te pomarańcze są jak marzenie! Amin skinął energicznie głową, aż całe jego ciało się zatrzęsło.

— Najsłodsze pomarańcze na świecie!

Na wspomnienie ich smaku dotknął językiem górnej wargi, a potem przeniósł wzrok z twarzy Demetriusa na swoje ręce, zaciśnięte tak mocno, że ich kostki pobielaly. Myślał o złotym okresie swojego życia, gdy miał dom w Jerozolimie i był członkiem dużej rodziny, która wybrała się kiedyś nad morze, żeby przywieźć słodkie pomarańcze z ogrodów Jaffy i świeże ryby z portowych miast nad Morzem Śródziemnym.

Kiedy przyjaciel wspominał przeszłość i szczęście, o których nigdy nie przestał myśleć, Demetrius rozejrzał się po pokoju. Ileż to razy uciekali z Walidem ze szkoły i ukrywali przed todzicami w domu Amina. Było coś krzepiącego w tym, że nic się tutaj nie zmieniło od czasów, gdy był dzieckiem.

Tak jak większość uchodźców. Amin miał niewiele osobistych przedmiotów. Całe umeblowanie jego domu stanowiły kolorowe poduszki do siedzenia i kilka plecionych bordowych ilywaników, zakrywających cementową podłogę. Na drewnianej skrzynce stał mały mosiężny czajnik do kawy. Obok

ulubionej poduszki Amina leża! pognieciony egzemplarz Koranu. Na ścianach wisiały zdjęcia Ratiby. Pokój z małym łóżkiem był sypialnią — Demetrius wiedział, jak wygląda, bo ukrył się tam kiedyś przed ojcem. Ale nogi wystawały mu spod łóżka i to go zdradziło. Malutka kuchenka pełna była ulubionych przyborów Amina.

Przed wojną 1948 roku Amin Darwisz miał małą piekarnię w tak zwanej Jerozolimie Zachodniej, żydowskiej dzielnicy miasta.

Jego żona została zabita właśnie w tej piekarni. Demetrius setki razy słyszał tę historię od Amina, który powtarzał, że to nienasycony apetyt Ratiby na słodczyce i jego pragnienie, aby obdarowywać ukochaną wszystkim, na co jej przyszła ochota, doprowadziły do tego, że odniosła „ciężkie obrażenia”.

Amin i Ratiba wychowali się na tej samej ulicy w Jerozolimie i znali się od dziecka. Amin postanowił, że ożeni się z Ratibą, kiedy ją tylko zobaczył. Wszedł na jej podwórko po piłkę, wrzuconą tam przez jego młodszego brata. Ratiba czekała w bramie, ściskając mocno piłkę i uparcie żądając jakiegoś smakołyku; powiedziała, że piłka uderzyła ją w głowę i nie odda jej, dopóki czegoś nie dostanie. Amina zaszokowała jej śmiałość, choć jednocześnie przypadła mu do gustu. Nie powstrzymało go to przed wyrwaniem piłki z rąk Ratiby i ucieczką, nie mógł jednak zapomnieć rezolutnej dziewczynki i wrócił jeszcze tego samego dnia z ciastkiem, które ukradł ze stołu w domu.

Idąc za przykładem Ratiby, zażądał w zamian całusa.

Dziewczynka cmoknęła go w policzek i Amin zakochał się w niej nieprzytomnie.

Zareczyli się, gdy miał dwadzieścia lat, a Ratiba szesnaście. Amin wziął niewielką pożyczkę i kupił piekarnię w żydowskiej części miasta. Nie miał osobistych zatargów z Żydami, a w arabskiej dzielnicy było pełno piekarni. Poza tym wielu Żydów lubiło arabskie słodczyce. Piekarnia okazała się dochodowa i wkrótce Amin musiał zatrudnić dwóch pomocników.

Rok później Amin i Ratiba pobrali się. Ślub odbył się w ogrodzie ojca panny młodej, w tym samym miejscu, w którym wiele lat wcześniej zaczął się ich romans. W tym czasie naras-

tało już napięcie między Arabami a Żydami: spierali się, do kogo należy Palestyna, i głośno mówili o wojnie. Akty przemocy były na porządku dziennym. Amin był tak pochłonięty swoim małżeńskim szczęściem, że ignorował rady przyjaciół, którzy mówili mu, żeby sprzedał piekarnię i przestał chodzić do żydowskiej części miasta. Poza tym wierzył, że jego żydowscy znajomi ochronią go przed atakami swoich rodaków.

Po trzech miesiącach małżeństwa ogłosił wspaniałą nowinę: Ratiba spodziewała się pierwszego dziecka. W czasie ciąży słodczy smakowały jej jeszcze bardziej niż zwykle. Pewnego wieczoru po kolacji wspomniała, że chętnie zjadłaby *atifa*, arabski naleśnik umoczony w syropie i posypany pistacjami. Stwierdziła, że nikt nie robi takich lekkich naleśników jak Amin, że tylko jej mąż potrafi je robić i wobec tego musi zabrać ją do piekarni i wybrać dla niej kilka *atifów*, które upiekł wcześniej tego samego dnia.

Stali na chodniku i dumny Amin właśnie miał wprowadzić Ratibę do piekarni, gdy ulicą przejechała ciężarówka z trzema Żydami. Opony piszcząły, kierowca niemal nie panował nad pojazdem. Amin znieruchomiał, nie rozumiejąc, co się dzieje. Zauważył jednak Izraelczyka o jasnobrązowych włosach, wychylającego się z kabiny ciężarówki. Żyd uśmiechnął się dia-bolicznie i zawołał: „Arabskie psy, wynocha z Jerozolimy!” — a potem zamachnął się i rzucił pojemnik z zapalnikiem, wypełniony benzyną.

Gdy Amin ocknął się w ciszy szpitala, wokół jego łóżka stała zapłakana rodzina. Powiedzieli mu prawdę, z którą nie umiał się pogodzić: nie przeżyła ani Ratiba, ani ich nienarodzone dziecko.

Od tej chwili, przez cały okres wojny, ucieczki i wygnania, Amin Darwisz żył w swoim własnym świecie, udając, że Ratiba nie zginęła; często mówił, że jego żona jest w drugim pokoju, bo cierpi na ból głowy albo jakąś inną drobną dolegliwość. Pod każdym innym względem zachowywał się racjonalnie; z czasem mieszkańcy Szatili zaakceptowali to jego dziwactwo i zawsze pytali go o ukochaną Ratibę, która nie żyła od dwudziestu lat.

Amin utrzymywał się z pieczenia ciast, które sprzedawał potem na ulicach Bejrutu. Był ulubieńcem dzieci, bo zawsze

miał ukryty gdzieś w kieszeni albo torebce jakiś smakołyk i uśmiechał się do każdego dziecka.

Myśli obu mężczyzn przerwało niepewne pukanie do drzwi.

— Do licha! To pewnie Mustafa — powiedział, krzywiąc się, Demetrius.

— Zapomniałem, że miałem przyjść na kawę.

Amin zmrużył oczy.

— Jesteś pewien? Ja nic nie słyszałem. Demetrius roześmiał się.

— Amin, pozwól, że zabiorę cię do miasta — powiedział głośniejszym głosem, niż to było konieczne. — Przytknął wargi do ucha Amina i ryknął; — Są teraz takie urządzenia, które poprawia ci słuch!

— Po co od razu krzyczeć! — burknął Amin, szarpiąc się do tyłu.

Mustafa wsunął niepewnie głowę przez drzwi i zajrzał do środka. Zawsze bardzo uważał, żeby nie zaskoczyć Amina, bo obawiał się, że pewnego dnia piekarz zupełnie postrada zmysły, i często się zastanawiał, jaką formę przybierze jego szaleństwo. Poza tym był przezornym człowiekiem i uważał, że nisko trzymana głowa dłużej utrzyma się na szyi.

— Kawa gotowa? — spytał Demetrius.

Pozbawiona wyrazu twarz Mustafy była lepszą odpowiedzią niż grymas i Demetrius wiedział, że źle się zachował.

— Kawa jest nie tylko gotowa, ale już czeka na ciebie — odparł Mustafa. Demetrius pociągnął swojego małego przyjaciela za ramię.

— Idziemy, Amin. — Uśmiechnął się do Mustafy. — Wybacz, zupełnie straciłem poczucie czasu. — Demetrius miał dwadzieścia jeden lat, w jego ciemnoszarych oczach błyszczała wrażliwość i nikt nie umiał się na niego długo gniewać.

— Nie szkodzi — odparł z uśmiechem Mustafa i skinął ręką. — Chodźcie, Abeen czeka.

Mustafa i Amin stanęli po bokach Demetriusa i wzięwszy się za ręce, ruszyli do domu Baderów. Obaj starsi mężczyźni spojrzeli na Demetriusa, a potem na siebie; widzieli w swoim młodym towarzyszu połączenie siły i intelektu, potrzebne do odzyskania ojczyzny. Ich rozpacz zamieniła się w nadzieję.

Rozdział XIII

Przyszłość Demetriusa

Kilka tygodni po powrocie do obozu Szatila Demetrius czuł się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał. Jediną różnicą była dotkliwa nieobecność Walida. Wracając od Hali Kanaan, dotarł do Szalili po północy, potykając się po drodze kilka razy na zaniedbanej ścieżce prowadzącej przez obóz. Gdy zbliżał się do domu Antounów, w którego oknie widać było światła przedzierające się przez szczeliny między zasłonami, do jego uszu dobiegł odgłos przyjacielskiej sprzeczki. Znajome głosy Mustafy Badera, Amina Darwisza i dziadka Mitriego górowały nad głosami dzieci bawiących się na sąsiednim podwórku.

Demetrius odetchnął z ulgą. Może dzięki obecności przyjaciół nie będzie musiał zaspokajać nienasyconej ciekawości rodziny dotyczącej jego znajomości z Halą Kanaan, młodą kobietą, do której zaczął się zalecać, gdy miał siedemnaście lat. Jego troskliwi rodzice i dziadek od dawna snuli wobec niego plany matrymonialne, a z powodu ostatnich wydarzeń zaczęli myśleć o Hali jako o synowej.

Czuł, że jego bliskie spotkanie ze śmiercią w Karameh i trzymiesięczny pobyt w Jordanii uświadomiły rodzinie, czym jest naprawdę życie bojownika. Obawiając się, że ich ukochany syn może przystąpić do fedainów, rodzice uznali, iż nadszedł czas, aby się ożenił, mimo zdecydowanych protestów Demetriusa, który twierdził, że nie będzie mógł utrzymać żony

i dzieci, dopóki nie zakończy edukacji. Z szacunku dla rodziców udawał zainteresowanie, gdy obiecywali mu zapewnienie pic niędzy na szkołę i rodzinę, choć nigdy nie podobał mu się pomysł zawierania małżeństwa w pośpiechu. Znosił jednak to wszystko cierpliwie, rozumiejąc, że jego najbliższym trudno pogodzić się z myślą, że z chłopca zmienił się w mężczyznę zdolnego do podejmowania samodzielnych decyzji.

Gdy wszedł do domu, rozmowa stała się jeszcze głośniejsza i spośród czterech mężczyzn przywitał go tylko jego ojciec, mrugając oczami i dając ręką znak, żeby podszedł i usiadł koło niego.

W tym momencie dziadek Mitri, nie mogąc dojść do głosu, zaczął krzyczeć na Mustafę i Amina:

— Nie macie żadnego szacunku dla starszych?! Obaj mężczyźni zarumienili się.

— Oczywiście, masz rację — odrzekł poważnym tonem Amin, machając zapraszająco ręką. — Mów, mów, moje uszy czekają.

Mustafa Bader popatrzył na Mitriego ze zdziwieniem.

— Czyja kiedykolwiek obraziłem kogoś starszego? — Dotknięty, rozejrzał się, czekając, aż ktoś przyzna, że nigdy nie popełnił takiego przewinienia. Spojrzał z nadzieją na George*a Antouna, lecz ten skierował całą uwagę na syna.

Demetrius uśmiechnął się do ojca i wyszedł z zatłoczonego pokoju stołowego do kuchni, zamierzając przygotować sobie małą przekąskę, a potem dołączyć do pozostałych. Był nadal głodny, mimo że zjadł kolację z rodziną Hali.

Rodzina Kenaanów była duża, lecz miała niewielkie dochody, i Demetrius jadł mało, wiedząc, że trójce młodszych dzieci powiedziano prawdopodobnie, żeby jadły sam ryż i warzywa, dopóki gość nie zostanie obsłużony. Wziął mały kawałek ciemnego mięsa, wyjaśniając po cichu matce Hali:

— Rozette, już nie mogę jeść tak jak kiedyś. Straciłem apetyt po śmierci Watida.

Słyszac to, Omar, pięcioletni braciszek Hali, zapiszczał z radości:

— Mamo! Czy to znaczy, że mogę zjeść kawałek kurczaka? Demetrius skupił uwagę na najmłodszej dziewczynce, dwu-

letniej Nadine, udając, że nie zauważa, jak zakłopotana Rozette szczypie nieszczęsnego Omara w rękę.

Rozmyślając o wieczorze u Hali i nalewając sobie oranżady, Demetrius usłyszał ciche głosy matki i Abeen Bader, dochodzące przez hol z małego pomieszczenia, które Mary Antoun wygospodarowała sobie na pokój do szycia i szydełkowania. Pomyślał, że kobiety pewnie cerują skarpetki lub łatają przetarte ubrania mężów i dzieci; często się tym zajmowały, gdy mężczyźni pili kawę czy herbatę i zastanawiali się, jak wrócić do ojczyzny.

Dziadek Mitri mówił podniesionym głosem ze względu na Amina Darwisza:

— Tak jak powiedziałem, ten okrutnik, który podbił kraj i rządził nim wbrew woli mieszkańców, najpierw zgładził tylu obywateli, ilu udało mu się złapać, a pozostałych wygnał i sprowadził swoje plemię. — Mitri uniósł gęste, szare brwi i siedział przez chwilę bez słowa, obserwując słuchaczy i nieznośnie powoli mieszając łyżeczką herbatę.

— Mów dalej — ponaglił go Amin.

Ale Mitri nie spieszył się, krzyżując tym samym plany małego grubaska, który chciał wrócić do domu na czas, żeby upiec dodatkowe ciastka na rano.

— Nie znacie tej historii? — spytał Mitri.

— Tato! — rozżłościł się George Antoun.

Mitri zachichotał z radości; jego oczy zniknęły w fałdach pomarszczonej twarzy. — No więc dobrze...

Demetrius szukał w szafkach czegoś do przekąszenia, nie słuchając zbyt uważnie rozmowy w sąsiednim pokoju. Wreszcie znalazł trochę orzeszków ziemnych w łupinach. Oparłszy łokcie na małym drewnianym regale oddzielającym kuchnię od pokoju stołowego, zaczął gryźć orzechy, spoglądając z uśmiechem na czterech mężczyzn.

Mitri zaczął z namaszczeniem nabijać fajkę.

Amin zaśmiał się niepewnie, lecz nic nie powiedział.

George pomasaował sobie szyję. Chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć, ale nie mógł uwolnić się od myśli, że z wiekiem jego ojciec staje się coraz większym dziwakiem.

Po dłuższej, pełnej napięcia chwili milczenia Mitri zacisnął pięść.

— Właśnie to próbuję wam powiedzieć przez cały wieczór: niesprawiedliwego władcę można pokonać nawet bez armii. Wystarczy jeden zdeterminowany człowiek!

Mustafa rozejrzał się po pokoju, a potem skierował wzrok na Mitriego.

— Pozwól mi coś z tego zrozumieć — rzekł podniesionym głosem. — Sugerujesz, że Demetrius powinien wśliznąć się do Jerozolimy i zabić premiera Izraela, Lewego Eshkola?

Demetrius omal nie udławił się orzeszkiem.

George skoczył do syna i klepnął go w plecy.

— Co się tu u licha dzieje? — spytał Demetrius. Nagle przyszło mu na myśl, że ci wszyscy mężczyźni poszaleli. — Co ja mam wspólnego z Levim Eshkolem?

Amin i Mustafa zaczęli mówić, przekrzykując się wzajemnie, a Mitri z zadowoleniem przyglądał się zamieszaniu, które sprowokował.

Podeksytowany Amin zerwał się na nogi i pulchnymi palcami ścisnął ramię Demetriusa.

— Rozmawialiśmy o twojej wspaniałej przyszłości jako przywódcy ruchu.

Demetrius nie bardzo wiedział, o czym jego mały przyjaciel mówi.

— Jakiego ruchu? — spytał, spoglądając to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Nagle zrozumiał, że to właśnie on jest głównym tematem rozmowy.

— Fatah, oczywiście... — odparł Mustafa. - Ruch wyzwolenia kraju.

My...

— Sam powiedziałaś, że Ahmed Fayez mówił ci, że daleko zajdziesz, jeśli będziesz chciał — przerwał Amin Mustafie błagalnym, drżącym z podniecenia głosem, zwracając się do Demetriusa. — Nawet zaproponował ci dowództwo swojej jednostki bojowej!

Obaj mężczyźni spoglądali z nadzieją na młodego człowieka, który w każdym calu wyglądał na wojownika.

— Gadacie bez sensu, zamiast myśleć — upomniał ich George. — Mój syn nie należy do Fatah.

Gniew Demetriusa prysł. Poczuł zimny dreszcz na ciele, gdy dotarło do niego, czego się po nim spodziewają. Mustafa Bader, Amin Darwisz i dziadek naprawdę wierzyli, że odegra jakąś rolę w walce z Żydami i odzyskaniu kraju, o którym nie mogli zapomnieć. Nagle zrozumiał, że już wcześniej powinien był wyjawić im, że choć podczas pobytu u fedainów jego dusza uległa wpływowi abstrakcyjnej idei zbrojnej walki, nie potrafi sam siebie przekonać, że morderstwo nie jest morderstwem.

Wzdrygnął się, przypominając sobie słowa Ahmeda Fayeza, gdy oglądali ciało jedyne go żołnierza, którego Izraelczycy nie zdołali zabrać po bitwie pod Karameh: „Ścierwo naszego wroga pachnie jak perfumy !”.

Tak, pomyślał Demetrius, Ahmed Fayez jest właśnie takim człowiekiem, jakiego chcą ci starzy mężczyźni, którzy mogą być bohaterami tylko w marzeniach. Ahmed miał mentalność mordercy: nigdy nie było mu dość zabijania. Miał zaledwie dziesięć lat, gdy cała jego rodzina zginęła od izraelskiego pocisku, który spadł na ich dom w Karameh. Od tej chwili jego pragnienie zemsty było tak dzikie, że z radością świętował każdą żydowską śmierć.

Demetrius spojrział z niepokojem na Amina.

— Nie jestem takim człowiekiem, za którego mnie bierzecie — powiedział cicho.

Nikt się nie odezwał.

Popatrzył na stojących przed nim trzech mężczyzn; jego iwarz pociemniała. Nadszedł czas, aby powiedzieć im to, co sam wiedział, a nie to, co chcieli wiedzieć.

— Zawarłem separatystyczny pokój z Żydami — oznajmił po chwili.

Amin cofnął się raptownie i wciągnął głośno powietrze. Mustafa popatrzył sceptycznie na Demetriusa. Dziadek Mitri zakaszłał chrapliwie.

— Co to znaczy, synu? — spytał George.

— Dokładnie to, co powiedziałem. Widziałem to wszystko od środka — odparł Demetrius. — Pozostawię walkę o Palestynę tym, którzy bardziej się do tego nadają.

— Drogi chłopcze, nie myślisz tak naprawdę! — zawołał Amin.

Demetriusa ogarnął gniew na myśl o romantycznych roje niach starszych mężczyzn o walce i przemocy, gdy im samym nie grozi śmierć. Od czasu Karameh Fatah bardzo się rozrosła, a liczba ataków na Izraelczyków zwiększyła się w ciągu roku dwudziestokrotnie. Przygraniczna wojna z narodem żydów skim nasilała się, a sukcesy Fatah sprawiły, że ludzie skazani na długie wygnanie znów zaczęli marzyć o powrocie do ojczyzny.

Nieprzyjemne milczenie przerwał w końcu George.

— Mówiłem wam, że Demetrius wkrótce się żeni — powiedział z wyrzutem, obejmując syna w pasie i udając, że nic widzi jego zaskoczonego spojrzenia. — A potem wstąpi na Amerykański Uniwersytet w Bejrucie. Wszystko już przygotowane. — Spojrzał z dumą na swojego utalentowanego syna. — Zdał egzamin wstępny z najlepszym wynikiem. Jesienią zacznie studia.

— Każdy z nas wie, co mówią znawcy sztuki wojskowej -oświadczył z przekonaniem Amin. — Fizyczna siła ma większe szanse na zwycięstwo, gdy kieruje nią moc umysłu. Mamy w Demetriusie swojego przywódcę!

— Nie, nie — zaprotestował George, potrząsając głową. Podekscytowany Amin poderwał się z miejsca.

— Demetrius Antoun musi wyjść na spotkanie swego przeznaczenia!

— Tak! Amin ma rację! — zawtórował mu Mustafa. George spojrzał na nich wyzywająco.

— Tylko wykształcony człowiek jest panem samego siebie, a mój syn będzie wykształcony.

— Libańczyków guzik obchodzi, czy Demetrius jest intelektualistą — stwierdził konfidencjonalnym tonem Mustafa. — Oni wiedzą tylko, że jest Palestyńczykiem. Będą go uważać za obywatela drugiej kategorii.

Czy takiej przyszłości chcesz dla swojego syna?

George znowu potrząsnął głową, a potem odpowiedział tonem, w którym pobrzmiwała nutka zadufania:

— Demetrius będzie traktowany z wielkim szacunkiem. — Zniżył głos i dodał: — Wiem, że tak będzie, bo otrzymałem zapewnienia od najwyższych władz uczelni.

Mustafa spojrzal na niego podejrzliwie. George Antoun byl wykształconym człowiekiem, ale mimo to od dnia, gdy wyjechał z Palestyny, nie zdobył żadnego ważnego stanowiska. Wprawdzie jego ostatnia praca była lepsza od poprzedniej, lecz przecież George był tylko stróżem na uniwersytecie. Przedtem zamiatał ulice w Bejrucie. Rodzina Antounów głodowała, gdyby nie to, że Mary umiała dobrze szyć. W oczach Demetriusa błysnął gniew. Dobrze wiedział, co ma na myśli Mustafa. Wciągnął głęboko powietrze i krzyknął:

— Dość! Gadacie, jakby mnie tu nie było! — Popatrzył na mężczyzn, którzy zachowywali się tak, jakby nie słyszeli, co do nich mówił. — Czy ja wyglądam na naiwnego?

George zgarbił się, a Mustafa i Amin, widząc gniew Demetriusa, nie ośmielili się odpowiedzieć.

— Posłuchajcie mnie uważnie — powiedział drżącym głosem Demetrius.

— Nie potrzebuję waszych rad. Sam odpowiadam za swoje życie.

George przestąpił niepewnie z nogi na nogę, gdy syn skierował na niego wzrok.

— Tato, ile razy mam ci powtarzać, że nie mogę poprosić Hali, żeby za mnie wyszła, dopóki nie skończę nauki? Czy mam robić drugi krok, zanim uczynię pierwszy? — Demetrius jeszcze nigdy nie przemawiał tak surowo do żadnego z mężczyzn, którzy stali teraz obok niego. Widząc łzy napływające do oczu ojca, ruszył w stronę drzwi. Nie chciał powiedzieć czegoś, czego musiałby później żałować. — Chyba pójdę do Asfourieh i poproszę o miejsce do spania — oświadczył.

— Synku! Nie odchodź! — zawołał przestraszony George.

— Tam przynajmniej udzielą mi fachowej rady! — krzyknął Demetrius.

Mitri popatrzył na wnuka. Uważał, że jego pomysły są głupie.

Separatystyczny pokój z Żydami, dobre sobie! Gdyby wszyscy Palestyńczycy myśleli tak samo, zgniliby w obozach dla uchodźców.

— Może tam właśnie jest twoje miejsce! — zachichotał. — Słyszałem, że wariaci z Asfourieh są całkiem cwani i potrafią wymyślić więcej teorii na różne tematy, niż psychiatrzy są w stanie obalić. Doskonale będziesz tam pasował!

Zapadła cisza. Demetrius zastanawiał się, o co dziadkowi chodzi.

— Tato, za dużo mówisz — odezwał się po chwili George. Zrozumiał słowa ojca, który ostrzegał go, uświadomiwszy sobie, że ich rozmowa przybiera zły obrót.

Demetrius przestał się wahać. Wyrzucił ręce w górę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Do pokoju wbiegły Mary i Abeen.

— Co tu się stało? — spytała Mary męża. Nie uzyskawszy odpowiedzi, rozejrzała się. — Gdzie Demetrius?

Mitri wstał powoli, opierając się na lasce. Powoli podszedł do synowej, zatrzymał się na chwilę i powiedział niemal szeptem:

— Twój syn powiedział, że idzie do Asfourieh.

— Do Asfourieh...? — powtórzyła Mary Antoun. Wymieniła spojrzenia z Abeen. „Asfourieh” oznaczało klatkę dla ptaków; był to ogromny kamienny budynek w centrum Bejrutu — ciemny, złowrogi azyl dla psychicznie chorych.

Abeen zastanawiała się, czy jej mąż nie przyczynił się do wzburzenia Demetriusa.

— O tej godzinie? — zdziwiła się.

Przypomniała sobie dwóch młodych mężczyzn, znajomych Demetriusa, którzy przeszli załamania nerwowe. Obaj przebywali w Asfourieh, lecz o tej porze Demetrius nie mógł pójść do nich w odwiedzin.

Mustafa otworzył usta, ale obawiając się reakcji żony, nic nie powiedział.

— On nie poszedł tam naprawdę — odpowiedział za niego George.

Westchnął z żalem i dodał smutnym głosem: — W ten sposób chciał nam dać do zrozumienia, żebyśmy przestali wtrącać się w jego życie.

Mitri niecierpliwie machnął fajką w powietrzu.

— Ha! Młodzi są dzisiaj zbyt niezależni i nie wychodzi im to na dobre. Jesteśmy jego rodziną! Mamy prawo się wypowiadać!

— Nie trzeba się tak ekscytować, tato — powiedział George. Abeen spojrzała podejrzliwie na Mustafę, domyślając się, że chodzi o coś więcej. O wiele więcej.

Mary rzuciła mężowi znaczące spojrzenie; rozumiała, co się stało, i wiedziała, że George wyjaśni jej wszystko, kiedy zostaną sami. Odchrząknęła.

— Czy nasz syn powiedział, kiedy wróci?

— Nie — odparł George.

Amina dręczyły wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedział. Pamiętał, że w trudnych chwilach Demetrius chronił się właśnie w jego domu. Wydawało się jednak, że dziś w nocy nie skorzysta z tego schronienia. Potarł oczy i spojrzał na drzwi.

— Czas spać — mruknął, kierując się do wyjścia; jego małe stopy przesuwały się po podłodze prawie bezgłośnie. — Ratiha będzie się zastanawiać, czemu się spóźniam. Dobranoc wszystkim.

Mustafa, który chciał oddalić moment, w którym będzie musiał tłumaczyć wszystko swojej połowicy, ruszył za nim.

— Abeen, kochanie — zwrócił się do żony. — Zostań tak długo, jak będziesz chciała. Ja dotrzymam towarzystwa Aminowi.

Abeen pełnym wyrzutu wzrokiem odprowadziła męża, który pospiesznie wyszedł z pokoju.

Rozdział XIV

Hak Kenaan

Koronkowa firanka odsunęła się na chwilę, gdy Demetrius Antoun znalazł się naprzeciwko obozowego przedszkola. Z okna wyjrzała dziecięca buzia.

— Przyszedł — zakomunikował radośnie Omar Kenaan. Mana Faknarry, dyrektorka przedszkola, ucieszyła się.

— Wspaniale, Omarze — powiedziała, popychając lekko chłopca. — Dołącz do pozostałych dzieci. Prędko! — Uśmiechnęła się do siebie. Obecność fedaina-bohatera na pewno uświetni ten dzień.

Gdy Omar wbiegł do drugiego pomieszczenia, kilkanaścioro dzieci krzyknęło chórem:

— Demetrius przyszedł! Możemy zaczynać!

Mana, stojąc w drzwiach, poszukała wzrokiem Hali Kenaan.

— Hala! Chodź tutaj! — zawołała.

Hala podała ostatnie wskazówki chłopcu, który miał grać w sztuce najważniejszego królika. Z rozjaśnioną uśmiechem twarzą ruszyła do głównej sali budynku przedszkola. A więc jednak Demetrius przyszedł. Maha obserwowała ją z zainteresowaniem. Hala Kenaan znana była w całej Szatili, gdyż spotkały się w niej różne piękne cechy, i Maha często musiała walczyć z poczuciem melancholijnego żalu, który odczuwała na widok znacznie młodszej i olśniewająco pięknej kobiety — żalu, że nie można być wiecznie młodym. Była kiedyś taka, jak teraz Hala, ale

ciężkie życie ją zniszczyło. Jej gładką niegdyś twarz złobiły zmarszczki, gęste czarne włosy dawno się przerzedziły i posiwiały, a szczupła dziewczęca figura mocno się zaokrągliła.

Zalałają fala smutnych wspomnień: jej ukochany mąż, ojciec sześciorga dzieci, zmarł niedawno powolną, straszliwą śmiercią na raka.

Dobiegająca pięćdziesiątki Maha, której uroda odeszła razem z mężem, była przekonana, że będzie musiała przeżyć resztę życia bez miłości mężczyzny.

— On tu jest? — spytała podekscytowana Hala.

Maha uśmiechnęła się przyjaźnie, starając się ukryć zazdrość i dzielić z młodą kobietą radosne oczekiwanie. Zrobiła nieznaczny gest ręką.

— Omar widział, jak szedł w tę stronę.

Hala dotknęła włosów i wygładziła nową bluzkę, daremnie próbując wyprostować zagniecenia.

— Jak wyglądam? — spytała.

Maha jeszcze raz zlustrowała Halę od stóp do głów i pomyślała, że niska samoocena Hali Kanaan jest zupełnie niezrozumiała. Tym, którzy otrzymali takie błogosławieństwo od Boga, pewność siebie powinna przychodzić naturalnie. W młodości Maha czuła całą potęgę swojej urody. Potrząsnęła głową i zasiniała się bezgłośnie, a potem powiedziała:

— Moja droga Halu, wyglądasz prześlicznie. — Po chwili i leciutką irytacją dodała: — Na pewno zdajesz sobie sprawę, że pragnie cię każdy mężczyzna, który cię widzi.

Hala zarumieniła się, co sprawiło, że wyglądała jeszcze ładniej.

— Nie drażnij się ze mną! — zawołała, spoglądając ze zdumieniem na swoją przełożoną.

Maha wzruszyła ramionami.

— No dobrze, niech ci będzie — odparła. W jej głosie dało się słyszeć rozgoryczenie. — Posłuchaj jednak mojej rady: ciesz się swoją urodą, póki możesz, moja droga. Zamieni się w proch, zanim się obejrzyysz. — Zamierzała odejść, ale kiedy poczuła na plecach pytające spojrzenie dziewczyny, odwróciła się szybko i po przyjacielsku uściśnęła Halę. — Nie zwracaj nu mnie uwagi, kochanie. — Pchnęła leciutko młodszą koleżankę. — I biegnij do swojego ukochanego!

Hala uśmiechnęła się.

— Dziękuję, że dodałaś mi odwagi.

Maha przypomniała sobie o swoich małych podopiecznych i na jej twarzy ukazał się wyraz zaniepokojenia.

— Muszę zrobić porządek z dziećmi. Jak tylko posadzisz Demetriusa, dam sygnał, żeby zaczynali sztukę — powiedziała i odeszła, mruczając coś pod nosem.

Hala spojrzała na wejście do szkoły. Gdzie jest Demetrius?

Została ostatnio mianowana jedną z trzech asystentek w przedszkolu, a dzisiaj dzieci miały dać krótkie przedstawienie. Asystentkom powiedziano, że oprócz najbliższej rodziny mogą zaprosić jeszcze jednego gościa. Hala zaprosiła Demetriusa Antouna.

Byli w sobie zakochani od trzech lat i Hala zaczęła się niecierpliwić, bo niczego nie pragnęła bardziej, niż zostać jego żoną. Poszła za radą Mahy — „żeby zwyciężyć, trzeba się odważyć” — i zaprosiła Demetriusa z nadzieją, że gdy zobaczy dzieci grające w sztuce, pragnienie zostania ojcem skłoni go do oświadczeń. Na samą myśl o tym kręciło jej się w głowie.

W tym momencie usłyszała głośne pukanie do drzwi. Nikt oprócz Demetriusa nie oznajmiał swojej obecności tak energicznie. Poczuli, że cała drży, gdy szła otworzyć; zanim to zrobiła, zwilżyła usta końcem języka.

Popatrzyła na ukochanego błyszczącymi oczyma, udając zaskoczenie.

— Demetriusie! Przyszedłeś!

Demetrius zamrugał; pomyślał, że Hala wygląda tego dnia wyjątkowo pięknie. Miała ciemne włosy i oczy, a jej blada skóra odcinała się od jasnej zieleni bluzki niczym biała śmietana. Wziął w dłonie jej ręce i przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. Nie odzywał się długo i Hala zaczęła się bać, że w ogóle nie odpowie.

— Demetriusie? — powtórzyła niepewnie.

Demetrius rozejrzał się; chciał sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Potem pochylił się i szybko złożył pocałunek na ustach Hali.

— Jesteś piękna! — szepnął z czułością. Hala roześmiała się.

— Ktoś nas zobaczy!

— Niech patrzą — odparł chrapliwym szeptem. — Jestem honorowym mężczyzną.

Uśmiechając się radośnie, Hala wzięła Demetriusa pod rękę i poprowadziła go do ostatniego, największego pomieszczenia hudynku z trzema salami; posadziła go blisko sceny. Czowała, że wszystkie oczy zwrócone są na nią, i z trudem ukrywała dumę. Przyjaciółki mówiły jej często, że Demetrius Antoun to najbardziej godny pożądanym mężczyzną w Libanie, a może i na całym świecie! Był nie tylko wysoki, przystojny i inteligentny, lecz także dobry i delikatny. Nikt nie musiał mówić Hali, że jej się poszczęściło.

Kątem oka zauważyła, że Maha daje jej gorączkowe znaki, wskazując kurtynę, którą powiesiły dzień wcześniej. Białe prześcieradła zaczynały się niebezpiecznie kołysać, pociągane małymi psotnymi rączkami.

Hala bez słowa pobiegła do dzieci.

Niespodziewane pojawienie się Demetriusa wywołało lekkie poruszenie wśród niezamężnych dziewcząt i kobiet, które zaczęły szeptać między sobą.

Mimo że Demetrius był chrześcijaninem w społeczeństwie zdominowanym przez muzułmanów wyznania sunnickiego, dzięki szacunkowi, jakim cieszyła się jego rodzina, oraz jego urodzie i czarowi, nigdy nie narzekał na brak zainteresowania ze strony kobiet. Były całe zastępy niezamężnych muzułmańskich dziewcząt w obozie Szatila, które marzyły o tym, aby zdobyć jego serce, mimo że oznaczałoby to długotrwały spór z rodzicami w związku z różnicą wyznań. To, że Demetrius nigdy nie spotykał się z nikim oprócz Hali Kenaan, odpowiedniej dla niego dziewczyny z chrześcijańskiej rodziny, nie sprawiał tym kobietom wielkiej różnicy. Dopóki nie był z Halą formalnie związany, każda miała prawo na niego „polować”.

Starsze kobiety mrugały do siebie i podnosiły brwi. Doszły do wniosku, że obecność Demetriusa oznacza, iż podjął bardzo ważną decyzję.

Spodziewały się, że niebawem on i Hala ogłoszą swoje zaręczyny. Były bardzo poruszone — w świecie arabskim spotkanie z nieżonatym mężczyzną to wielkie wydarzenie.

Demetrius był świadom sensacji, jaką wywołał. Starał się

nie rzucać w oczy; powiedział kilka słów do ludzi, których znał, i usadowił się na małym składanym krzeselku.

Maha Fakharry koniecznie chciała go powitać.

— Miło, że przyszedłeś, Demetriusie. Musisz zostać na poczęstunku — powiedziała głośno. — Koniecznie chcę posłuchać o bitwie pod Karameh. — Próbowała uśmiechnąć się zachęcająco, lecz tylko groteskowo wyszczerzyła duże żółknące zęby.

Demetrius uśmiechnął się niewyraźnie w odpowiedzi, skinął głową i niepewnie poruszył się na krześle, patrząc na od chodzącą za kurtynę Mahe.

Matka powiedziała mu kiedyś, że w młodości Maha Fakharry była prawdziwą pięknoscią, ale trudno mu było to sobie wyobrazić. Mary dodała, że niestety młodość przeminęła, Maha jednak nadal chce być tak samo podziwiana i pożądana i flirtuje z żonatymi mężczyznami.

Demetrius nie umiał w wyobraźni odwrócić biegu lat — w jego oczach Maha Fakharry była tylko natarczywą kobietą, mającą tyle lat, że mogła być jego matką. Usłyszawszy, co powiedziała o Karameh, zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu, przyjmując zaproszenie Hali. Kto wie, czego spodziewa się po nim Maha? Znów poruszył się niespokojnie na krześle.

Żeby się odprężyć, rozejrzał się i przez uchylone drzwi zerknął do drugiej sali. Wiele się tu zmieniło od czasu, gdy był małym chłopcem. Zdziwił się na widok ławek i krzeseł, książek, paczek żółtego papieru i kolorowych kredek.

Kiedy chodzili tutaj z Walidem, siedzieli na matach z trzciny. Nie było żadnych książek, a do pisania służyły im stare papierowe torebki. W kartonowych pudłach było trochę przyborów szkolnych i popsutych zabawek, podarowanych przez ludzi. Demetrius pamiętał, że w słoneczne dni w szkole panowała straszna duchota. Lekcje odbywały się wtedy na dworze. Często z mozołem rysowali litery na piasku, używając palców jako ołówków. Nauczyciel, Amal Atwi, próbował pocieszać ich, mówiąc, że bieda jest dobra, bo dostatek prowadzi do tego, że z dzieci wyrastają dorośli pozbawieni celu w życiu.

Demetrius zmarszczył brwi. Karmili nas wyłącznie rebusami, niczym więcej, powiedział sobie, rozglądając się po małym

budynku. Ściany były nadal pomalowane na ponury szary kolor, lecz teraz rozjaśniono je barwnymi plakatami, z których część została namalowana przez dzieci. Inne, propagujące dobre odżywianie i zdrowie, pochodziły z Agencji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Iliskim Wschodzie.

Skierował wzrok na największy i poruszając bezgłośnie wargami, przeczytał: „Palestyna dla Palestyńczyków”. Plakat przypomniał mu o tym, że dorośli Palestyńczycy wciąż żyją marzeniami, które — w co nie wątpił — nigdy się nie urzeczywistnią.

Szepty zamilkły, gdy Maha dała znak i na scenę ochoczo wbiegły pierwsze dzieci. Ktoś zaklaska! i Maha również wyszła na środek sceny. — Rodzice, krewni i przyjaciele, witajcie. Wasze dzieci ćwiczyły wiele godzin, czekając na tę chwilę. — Zrobiła pauzę i rozejrzała się po sali. — Na Palestyńczyków spadło tysiąc nieszczęść, lecz nie postrzegamy już siebie jako ludzi dotkniętych biedą i zhańbionych klęską.

Demetrius wzdrygnął się, czując na sobie jej wzrok.

— Nie! Po zwycięstwie pod Karameh, już nie! — mówiła. Uśmiechnęła się szeroko i wszystkie rozmowy natychmiast ucichły. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem. — Po naszym zwycięstwie pod Karameh dzieci doznały natchnienia. — Spojrzała / z dumą na uczniów. — Tak. Nasi bohaterowie walczą karabinami, a my, kobiety, walczymy o Palestynę na swój sposób, .jak? Rodząc dzieci, a później wychowując je na rewolucjonistów! Dziś ci młodzi rewolucjoniści wykonają krótką scenkę dustrującą naszą nieugiętą walkę o odzyskanie ojczyzny.

Demetrius jęknął poirytowany i popatrzył na dzieci, wsłuchane w przemowę Mahy. Uczono je, że to zaszczyt zginąć za... no właśnie, za co? Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że dorośli Palestyńczycy gotowi są poświęcić swoje dzieci, żeby podtrzymać ideały dające im siłę. Wzdrygnął się ponownie, widząc, że Maha znów na niego patrzy. Miał nieprzyjemne uczucie, że jest manipulowany przez Mahę lub Halę — albo obydwie. Następne słowa dyrektorki przedszkola potwierdziły to podejrzenie.

Maha wykonała rekami dramatyczny gest.

— Pragnę ogłosić, że mamy dziś zaszczyt gościć w naszej małej szkole bohatera spod Karameh.

Przez salę przebiegł szmer podniecenia.

— Demetrius Antoun! — zawołała Maha. — Bohater Szatili! Wstań, Demetriusie!

Rozległy się brawa i okrzyki. W obozie krążyły pogłoski, że Demetrius walczył pod Karameh, lecz on ani im nie zaprzeczał, ani nie potwierdzał, więc ludzie nie byli pewni, czy to, co usłyszeli, jest prawdą. Teraz zostało to potwierdzone; kobiety zaczęły tupać i krzyczeć, a mężczyźni gwizdać. Wielu obecnych miało synów, braci czy mężów należących do ruchu. Wszyscy Palestyńczycy, chrześcijanie i muzułmanie, pragnęli odebrać Palestynę Żydom i Demetrius stał się bohaterem mieszkańców Szatili. Rozejrzał się, skonsternowany, w końcu jednak wstał i wyszedł na środek. Machnął niezręcznie ręką i uśmiechnął się krzywo do rozentuzjasmowanej widowni.

Maha mówiła dalej, lecz jej słowa utonęły w ogólnym zgiełku.

Oszołomiony Demetrius wrócił na miejsce, odprowadzany dobiegającymi ze wszystkich stron słowami uznania. Jego gniew na Hale rósł, ale nagle zobaczył, że dziewczyna patrzy ze zdziwieniem na Mahę; doznał uczucia ulgi, bo zrozumiał, że Hala nie ma nic wspólnego z tym, co robi jej przełożona. Ucieszył się. Nigdy by nie wybaczył Hali, gdyby przyłożyła do tego rękę, bo dobrze wiedziała, że niechętnie przyznaje się do udziału w wydarzeniach pod Karameh i rozmawia o nich.

Zachwycona reakcją publiczności Maha z błyskiem w oczach oznajmiła:

— Demetrius Antoun będzie naszym honorowym gościem na poczęstunku po występie dzieci. Ci, którzy chcą usłyszeć relację z pierwszej ręki o zwycięstwie Armii Palestyńskiej, niech do nas dołączą. Zapraszam.

Demetrius pobladł i zadrzał ze złości, siedział jednak bez słowa, nie dając nic po sobie poznać. Gdyby nie to, że nie chciał narażać Hali na ryzyko utraty pracy w szkole, zerwałby się i wybiegł.

Maha chodziła po scenie, coraz bardziej podekscytowana.

— Dziękuję. A teraz zaczynamy przedstawienie! Zaczęła ustawiać rozbawione dzieci, najpierw w jednym miejscu, potem w drugim; na widowni wybuchły śmiechy, gdy najmłodszy uczniowie zaczęli kicać po scenie, myśląc, że sztuka już się zaczęła. Maha również się roześmiała i wyrzuciła ręce w górę w geście kapitulacji. Publiczność zaczynała się niecierpliwić, sądząc, że przedstawienie nigdy się nie zacznie. Maha tymczasem wystąpiła krok przed dziećmi.

— Sztuka nosi tytuł *Szanowna królicza rodzina z Palestyny* i opowiada o naszym trudnym położeniu oraz o marzeniach i nadziejach naszych pociech. Zostanie odegrana przez wasze, u także moje, dzieci. — Machnęła ręką w stronę uczniów. — Nasze dzieci! Nasza nadzieja na przyszłość!

Wszyscy oprócz Demetriusa zaczęli klaskać.

Miejsce Mahy na scenie zajęła Nadia, śliczna dwunastoletnia dziewczynka. Była narratorką. Nie spojrzawszy nawet do tekstu, zaczęła mówić czystym, miłym dla ucha głosem:

— „Była sobie kiedyś piękna łąka. Wszystkie ptaki i zwierzęta żyły sobie na niej razem szczęśliwie”.

Kilka dziewczynek rozłożyło ręce, udając ptaki, a dwaj chłopcy zaczęli naśladować wysokie skoki gazeli.

— „W pewnym wyjątkowym miejscu na tej łące od wielu, wielu lat mieszkała królicza rodzina. Mama i tata królik zbudowali dla swoich dzieci piękny domek w cieniu drzewa. Koło gniazda rosło dużo świeżej sałaty do jedzenia. Nieopodal tryskało źródło czystej wody”.

Pięcioro dzieci zaczęło podskakiwać po scenie. Widzowie parsknęli śmiechem, gdy jedna z dziewczynek skubnęła listek sałaty i zrobiła okropną minę, wysuwając język i kręcąc głową.

— „I nadszedł smutny dzień, bo na łące zjawiała się rodzina wygłodniałych lisów”.

Wszyscy znowu zaczęli się śmiać, gdy chłopiec grający lisa zaczął krzyczeć:

— „Mówiłem, że nie chcę być Izraelczykiem!”.

Kiedy sztuka szczęśliwie dobiegła końca po zwycięstwie

królików nad lisami, publiczność wstała i zaczęła krzycze* „Niech żyje Palestyna! Niech żyje Palestyna!”.

Przedstawienie okazało się sukcesem. Nadia ukłoniła się dumnie razem z całą obsadą, a Mana wbiegła na scenę i ucałowała po kolei wszystkie dzieci.

Demetrius patrzył, jak pociesza chłopca, obsadzonego w roli Izraelczyka. Mimo że sztuka wywołała w nim niesmak, musiał przyznać, że jego naród to mistrzowie manipulacji. W tej chwili nie było na sali nikogo, kto nie poświęciłby swojego dziecka w walce o Palestynę. Co gorsza, każde dziecko chciało zostać męczennikiem.

Musiał potem wysłuchiwać gratulacji widzów obecnych na przedstawieniu. Później Hala napomknęła, że kilka osób pytało ją, kiedy ogłosi zaręczyny.

— Hala! — zawołał zdesperowany. W ich związku wyczuwało się wyraźne napięcie, bo dziewczyna koniecznie chciała, żeby się pobrali w ciągu roku. — Czasami wydaje mi się, że jesteśmy jak dwoje ludzi, z których każde tańczy do innej melodii! — Machnął ręką. — Tańczymy w innym rytmie.

Hala przestała się uśmiechać i zmarszczyła brwi. Jej plan się nie powiódł i wyglądało na to, że decyzja Demetriusa, aby odłożyć ślub, w ciągu tego popołudnia jeszcze bardziej się umocniła. Mimo to nie dawała za wygraną.

— Tak, tańczymy, a ja się starzeję! — odparowała. -Niedługo będę miała tyle samo zmarszczek co Abeen Bider! — Na samą myśl o tym zaczęła płakać. — Jesteś nie sprawiedliwy! Mówisz jedno, a z tego, co robisz, wynika co innego!

Demetriusa ubodło to oskarżenie. Westchnął ciężko. Wiedział, że większość przyjaciółek Hali szykuje się już do ślubu, i nagle lepiej ją zrozumiał.

— Najdroższa — powiedział, unosząc palcem brodę dziewczyny. — Dla mnie zawsze będziesz piękna, nawet gdy się razem zestarzejemy. — Bardzo chciał ożenić się z Halą, lecz powstrzymywała go jego niepewna sytuacja materialna. -Znasz moje położenie. — Dramatycznym gestem wywrócił kieszenie spodni. — Widzisz? Jestem biedakiem!

Hala zaśmiała się smutno i wcisnęła mu kieszenie z powrotem

w spodnie; przemknęło jej przez myśl, że wolałaby, gdyby jej ukochany był mniej inteligentny i ambitny.

— A kto w Szatili nie jest biedny? — spytała. — Myślałeś o tym, żeby przystąpić do bojowników? Wielu z nich zajmuje stanowiska polityczne i ma kwatery w mieście. Co miesiąc dostają pieniądze za swoje poświęcenie. — Zrobiłaby wszystko, byleby tylko wyjść za Demetriusa: gotowa była nawet poprosić go, żeby wstąpił do Fatah, choć wiedziała, że on tego nie chce.

Demetrius popatrzył na nią z gniewem i ruszył do wyjścia, pomyślał jednak, że Hala w tej chwili nie jest sobą. Powściągnął irytację.

— Kochanie, ile razy mam ci powtarzać? Szanuję poświęcenie, ale nie wstąpię do Fatah — oznajmił stanowczo. — Każdy człowiek musi iść własną drogą. Mogę pomóc sprawie Palestyny, ucząc się i zarabiając dość pieniędzy, żeby posłać nasze dzieci do najlepszych szkół. Nawet nie myśl, że pozwolę, aby nasze dzieci urodziły się i żyły tak jak my, dzięki litości innych! — Jego wzrok przewiercał ją na wylot. — Nie miałem ani jednej koszuli, która nie należałaby przedtem do kogoś innego! Każda zabawka, którą miałem, zanim przywędrowała do mojego domu, została wyrzucona przez jakieś inne dziecko, którego nie znałem!

— Nie podniecaj się tak — mitygowała go Hala. Ale Demetrius nie mógł przestać.

— Cieszyliśmy się chuderlawym kurczakiem, jakby to był bezcenny kawior! — Rozpaczliwie chciał, żeby Hala, tak jak i on, zapragnęła czegoś innego niż znój i udreka, których doświadczali ich rodzice. — Posłuchaj mnie. Palestyńczycy muszą przestać bujać w obłokach i wykorzystać jak najlepiej życie, które im dano. A ja muszę znaleźć sposób, żeby jakoś zarabiać!

Twarz Hali posmutniała; jej nadzieje rozwiały się. Demetrius próbował ją przekonać.

— Wezmę podwójne kursy. Wiesz, że dam sobie radę. Skończę studia najprędzej jak to możliwe. A potem będziemy mieli wspaniałe wesele...

— Przerwał, po czym obiecał nieostrożnie: — I zabiorę cię do Paryża na miesiąc miodowy.

Rozmawiali już o tym wcześniej.

— Cztery lata? — spytała Hala głosem bez wyrazu. Za stanawiała się, co powie przyjaciółkom i rodzinie.

— Trzy lata!

— Bedę miała dwadzieścia dwa! — jęknęła Hala.

— Halu, zaufaj mi! Trzy lata szybko miną, a ty będziesz wtedy wyglądać tak cudownie, jak nigdy.

— Co ja im wszystkim powiem?! — zawołała Hala z wy rzutem. — Ty przecież nawet nie poprosiłeś mnie jeszcze, żebym za ciebie wyszła! Demetrius spojrział jej w twarz, jak gdyby dostrzegł w nici coś, czego nigdy nie widział.

— Tym się martwisz, najdroższa? — Roześmiał się cichu. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że pewnego dnia nie wezm; i ślubu. Było wiele młodych kobiet, które nie tały, że jego zaloty będą mile widziane, ale Demetrius nie chciał nikogo prócz Hali Kenaan.

Z czułym uśmiechem położył prawą rękę na ramieniu dziewczyny i popchnął ją delikatnie na sofę. Zanim się zorientowała, co zamierza zrobić, upadł przed nią na kolana. Ich oczy były teraz na tej samej wysokości. Znow uderzyła go niezwykła uroda Hali.

Dziewczyna zarumieniła się.

W głosie Demetriusa było gorące uczucie, dobroć i łagodność.

— Halu Kenaan, kocham cię. Nigdy nie kochałem innej kobiety.

Wyjdiesz za mnie?

Hala zagryzła wargę i zachichotała. Demetrius uśmiechnął się.

— A więc? Pytam ukochaną kobietę, czy za mnie wyjdzie, a ona chichocze?

— Wyglądasz w tej chwili bardzo śmiesznie. Demetrius ujął jej twarz w dłoń.

— Powiedz, że tak! Albo będę cię całował tak długo, aż się zgodzisz.

Wybuchnie skandal!

Hala roześmiała się głośno.

— Tak! Tak!

Demetrius spojrział na nią poważnie.

— Poczekasz na mnie? Trzy lata? — Chciał usłyszeć od niej tę obietnicę, żeby mogli zamknąć ten temat raz na zawsze.

— Tak! Ale tylko trzy lata, nie dłużej! Potem, jeśli się ze mną nie ożenisz, ucieknę z jakimś przystojnym nieznajomym! — Dawno nie czuła się tak szczęśliwa i pewna siebie. Teraz mogła przynajmniej powiedzieć przyjaciółkom i rodzinie, że są oficjalnie zaręczeni.

Demetrius odparł z uśmiechem:

— Ty wyjdiesz za przystojnego nieznajomego, a ja będę musiał popełnić morderstwo!

Hala zaczerwieniła się; nie była pewna, czy Demetrius kocha ją tak bardzo, że gotów byłby zrobić coś takiego.

Patrzył jej długo w oczy z głęboką tęsknotą. Przysunął do siebie jej twarz.

— Najdroższa — szepnął. Hala nie opierała się zbyt długo.

— Teraz jesteś moją narzeczoną — powiedział cicho Demetrius, a potem pocałował ją namiętnie.

Rozdział XV

Bejrut

Między rokiem 1968, w którym Demetrius Antoun poprosił o rękę Halę Kanaan, a 1982, kiedy Izrael dokonał inwazji tu Liban, doszło do szeregu wydarzeń politycznych i wojskowych, które zagroziły przyszłości wszystkich uchodźców palestyńskich w Libanie.

Po bitwie pod Karumeh w 1968 wzrosło napięcie między Izraelem i Organizacją Wyzwolenia Palestyny. OWP, odurzona zwycięstwem pod Karameh, pod przywództwem Jasira Arafata dokonała licznych ataków na terytorium Izraela z Jordanii i Libanu, których ofiarą padło wielu żydowskich cywilów. Gdy izraelski rząd obarczył odpowiedzialnością za przemoc kraje udzielające schronienia OWP, stosunki między Palestynczykami i rządami Jordanu, Libanu i Syrii stały się bardzo napięte.

Kiedy obecność Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Jordanii zaczęła grozić wybuchem otwartej wojny, król Husajn nakazał jordańskiej armii przejąć kontrolę nad bojownikami OWP. Doszło do groźnego konfliktu, który zagroził stabilności całego narodu. Po roku walki palestyńscy partyzanci wycofali się z Jordanii do Libanu i przyłączyli do sił OWP w tym kraju.

Wkrótce jednak ofiary wśród ludności cywilnej skłoniły izraelski rząd do zażądania, aby przywódcy libańscy położyli kres wypadom uzbrojonych oddziałów palestyńskich na teren Izraela. Gdy okazało się, że libańskie władze nie są w stanie

tego dokonać, wojska izraelskie przypuściły pierwszy atak na pozycje OWP w Libanie.

Nawet bez problemu palestyńskiego równowaga między ugrupowaniami religijnymi w Libanie była bardzo chwiejna. Władza polityczna spoczywała w rękach chrześcijan i muzułmanie słusznie twierdziili, że są dyskryminowani, mimo iż liczebnie przeważali nad chrześcijanami. Próbując pozbawić chrześcijan dominującej roli, libańscy muzułmanie, zarówno sunnici, jak i szyici, wycofali swoje poparcie dla Palestyńczyków.

Problem palestyński, który nałożył się na napięcia między chrześcijanami i muzułmanami, wtrącił Liban w otchłań politycznego chaosu.

13 kwietnia 1975 roku w chrześcijańskiej dzielnicy Bejrutu, Ain al Rummaneh, doszło do zbrojnej napaści na chrześcijan. Chrześcijańskie służby porządkowe, w przekonaniu, że napastnikami byli Palestyńczycy, zemścili się, atakując autobus pełen palestyńskich cywilów jadących z jednego obozu uchodźców do drugiego. Zginęło dwudziestu dziewięciu Palestyńczyków.

W Libanie, w którym już i tak wrzało, rozgorzała wojna domowa. Muzułmanie walczyli z chrześcijanami... Palestyńczycy zLi-bańczykami... druzowie z maronitami... Żadna z grup nie była dość silna, aby pokonać wszystkie inne, więc rząd Libanu upadł. Syryjska interwencja wciągnęła w konflikt Izraelczyków.

W 1977 roku premierem Izraela został Menachem Be gin. Nowy przywódca, który stracił rodziców i brata w nazistowskim obozie koncentracyjnym, w każdym wrogu Izraela widział Hitlera. Przyjąwszy bezkompromisowy stosunek do Palestyńczyków, dostrzegł w libańskiej wojnie okazję do odwetu. Wykorzystując jako pretekst atak OWP na izraelskiego ambasadora w Wielkiej Brytanii, Shlomo Argova, który miał miejsce 3 czerwca 1982 roku, 6 czerwca 1982 roku Begin wydał armii rozkaz dokonania inwazji na Liban.

Mimo że nieprzewidziane wydarzenia uniemożliwiły ślub Demetriusa Antouna i Hali Kenaan, spełniło się jedno z marzeń młodego Palestyńczyka: latem 1978 roku ukończył wydział

medyczny Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie. Gdy w roku 1982 zaczęła się izraelska inwazja na Liban, kierowa! szpitalem w obozie Szatila.

Izraelskie oblężenie Bejrutu Zachodniego 12 sierpnia 1982

Christine Kleist usłyszała gwizd izraelskich myśliwców bom bardujących F-16, nadlatujących na małej wysokości znad Morza Śródziemnego. Spojrzała na mały zegarek, który na stawiła na wczesne budzenie. Była dokładnie szósta rano Słyszając coraz głośniejsze wycie samolotów, złapała lornetkę i wyskoczyła z wąskiego łóżka na balkon, nie zarzuciwszy nawet szlafroka na cieniotką nocną koszulę. Patrząc na zgrabno sylwetki samolotów, klęła pod nosem i zastanawiała się, co się stało z zawieszeniem broni.

Dzień wcześniej libańscy spikerzy radiowi ogłaszali z prze jęciami, że długie negocjacje między Libańczykami, Organizacji Wyzwolenia Palestyny i Izraelczykami zakończyły się powo dniem. Jasir Arafat i bojownicy OWP mieli wkrótce opuścić terytorium kraju, a Izraelczycy — wstrzymać bombardowanie nieszczęsnego miasta.

Christine odsunęła ręką gałązki kwitnącego na balkonie bzu, żeby móc śledzić tor lotu samolotów. Leciały od strony morza w stronę Bejrutu Zachodniego i palestyńskich obozów Sabia i Szatila. Od pierwszego dnia wojny najzacieklejsze ataki kierowane były właśnie na obozy uchodźców. Christine wzdrygnęła się, gdy samoloty zrzuciły swój śmiertcionośny ładunek na zachodnią część oblężonego miasta. Betonowe budynki rozpadły się, a nad miastem uniosły się czarne chmury dymu i popłynęły w stronę morza.

Christine złapała się mimowolnie za gardło.

— O mój Boże, Demetrius!

Odrętwiała ze zmęczenia i strachu, stała i patrzyła, jak izraelskie samoloty nadlatują falami i bezlitośnie spuszczały bomby na obozy uchodźców.

Dzień wcześniej ze łzami w oczach zostawiła Demetriusa

w Szatili, w muzułmańskiej części miasta, po przetrwaniu w obozie ponad dwóch miesięcy bombardowań lotniczych. Była teraz bezpieczna w chrześcijańskim Bejrucie Wschodnim, znała jednak dobrze gwałtowność izraelskich nalotów: rozdzierające uszy wybuchy bomb i pocisków, deszcz spadających z nieba odłamków, zwały gruzu, poczerńiałe trupy. Ale tak straszego dnia jeszcze nie było.

Trzy godziny po pierwszym nalocie postanowiła zadzwonić do znajomego norweskiego reportera, który mieszkał przy ulicy Sidini w dzielnicy Hamra w Bejrucie Zachodnim. Jego mieszkanie było na jednym z wyższych pięter, więc miał dobry widok na obozy, a ona musiała wiedzieć, co się dzieje.

Właśnie miała wejść z powrotem do środka, gdy na ulicy, dokładnie pod balkonem, zauważyła izraelskiego żołnierza. Gwałtownie opuściła rękę, prawie nie słysząc stuknięcia upadającej lornetki. Popatrzyła na twarz żołnierza.

Michel Gale kroczył szybko wąskim chodnikiem, z wysoko uniesioną głową, pogwizdując skoczną melodię. Obozom uchodźców zaordynowano bombardowanie, mające oczyścić je z terrorystów, ale życie w chrześcijańskiej, wschodniej części miasta toczyło się normalnie. W kafejkach interesy szły znakomicie, a libańskie kobiety opalały się na plażach Morza Śródziemnego.

Michel uśmiechnął się i pomyślał, że właśnie w taki sposób powinno się prowadzić wojnę. Zastanawiał się w tej chwili, co zje na śniadanie, i nie miał pojęcia, że jest uważnie obserwowany przez nieznaną kobietę. Izraelczycy byli wszędzie w Bejrucie Wschodnim i Christine trudno było pogodzić widok wesołych młodych żołnierzy z zjadłością ataków na Bejrut Zachodni. Kim są ci mężczyźni, którzy masakrują całe rodziny? Ten beztroski, atrakcyjny młody człowiek nie może być mordercą. Obserwując żołnierza, zadała sobie pytanie, czy ojciec Demetriusa miał rację, kiedy mówił: „Niemieckie prześladowania pozbawiły wrażliwości Żydów, którzy przeżyli holokaust, zamiast ich uwrażliwić”. Widziała przed oczyma twarz George’a Antouna, jakby znów przed nią stał. Pokiwał wtedy smutno głową i powiedział: „To smutne, lecz historia daje wiele

przykładów ofiar straszliwych tragedii, zadających potem ból tym, których uważają za swoich wrogów". Potem ojciec Demetriusa uśmiechnął się łagodnie do Christine i dodał konspiracyjnym szeptem: „Ty i ja jesteśmy ogniwami w tym łańcuchu. Żydzi sponiewierani przez twój naród poniewierała teraz moich rodaków”.

Christine zwiesiła ze wstydu głowę, zastanawiając się czy rzeczywiście to, co robili naziści, wyznacza teraz los pozbawionych ziemi Arabów.

Po brutalnej napaści Izraela na Liban zaczynała sobie uświadamiać, że w słowach George'a Antouna było sporo racji. Wydawało się, że Izraelczycy nie przejęli się cierpieniami jakie zadali swoim arabskim wrogom. Żydzi przeżyli straszliwą tragedię, lecz teraz sami przynosili ból innemu narodowi — Arabom.

Gdy w zeszłym roku pracująca jako pielęgniarka w obozie Szatila Christine powiedziała, że jej ojciec był oficerem SS stała się tematem wielu ożywionych dyskusji. Nikt nie winił jej za zbrodnie nazistów, lecz Arabowie chcieli wiedzieć, dlaczego Niemcy czuli przymus zgładzenia całego narodu. Nie umieli wyobrazić sobie bydlęcych pociągów z ludźmi, masowego gazowania, pieców pełnych małych dzieci. Nie potrafili zrozumieć zorganizowanej na sposób europejski zagłady- ich mordercze żądze wygasły równie szybko, jak się rozpały. Przebywając wśród nich, Christine ze zdziwieniem zauważyła że współczują ofiarom żydowskiego holokaustu i potrafią oddzielić tę sprawę od wojny z Izraelczykami o kawałek ziemi do którego oba narody rościły pretensje. Westchnęła, po czym znów skupiła uwagę na izraelskim żołnierzu.

Właśnie w tej chwili Michel Gale spojrzał w górę. Oczy zaświeciły mu się na widok ładnej dziewczyny z bujnym biustem. Przez koszulę widać było brązowe sutki. Zatrzymał się. Dziewczyna miała ciemne włosy, więc wziął ją za miejscową. Machnął z entuzjazmem ręką i krzyknął po arabsku:

— Zejdź, napijemy się kawy! Trzeba to uczcić. — Roześmiał się i dodał dla zachęty: — Po dzisiejszym dniu w Bejrucie nie zostanie ani jeden terrorysta!

Christine trzymała się barierki tak mocno, że zaczęły jej się trząść ręce. Nie mogła uwierzyć w to, co powiedział ten żołnierz. Terrorysty? Czy on naprawdę nie wie, że Szatila i Sabra to osiedla pełne cywilów? Zmierzyła Michela kamiennym spojrzeniem i wyobraziła sobie pięknego, łagodnego Demetriusa, swojego ukochanego mężczyznę, w samym środku bitwy, biegnącego z jednego miejsca w drugie, opatrującego rannych i pocieszającego tych, których nie może uratować. Na myśl o jego cierpieniu cofnęła się o krok i załkała.

— Chodź! — zawołał Michel, błędnie oceniając jej reakcję. Poczul przelotne wyrzuty sumienia z powodu Dinahy, swojej dziewczyny, z którą spotykał się od dwóch lat, ale Jerozolima i Dinaha wydawały się teraz tak odległe... Poza tym libańskie dziewczyny były takie nieśmiałe i seksowne. — Nie słyszałaś? Postawię ci śniadanie. — Przechylił głowę na bok. — Oczyszczamy Liban z terrorystów — oznajmił z satysfakcją, a potem dodał: — Wy, Libańczycy, powinniście być nam wdzięczni! Christine wybuchła. W jej głosie nie było lęku, tylko bezgraniczny gniew. Gdy wyrzucała z siebie tętniące sarkazmem słowa, jej twarz była ściągnięta, a ciężkie piersi falowały. Machnęła ręką w stronę Bejrutu Zachodniego.

— Ty głupcze! Naprawdę wierzysz w te wasze kłamstwa? Terrorysty? Mordujecie kobiety, dzieci i starców! Nie terrorystów!

Michel wzdrygnął się. Zaskoczony tą niespodziewaną konfrontacją, zamachał bezradnie rękami i powtórzył:

— Zabijamy terrorystów! Christine ponownie wybuchła.

— Nie! Zabijacie-maleńkie dzieci! — Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała pokazać ostatnie zakrwawione, poranione dziecko, które trzymała w ramionach. — Dzieci! Dzieci! — Przypomniała sobie, że Izraelczycy wprowadzają w błąd Amerykanów, którzy dostarczają im broń. — I powiedzcie tym dumnym Amerykanom, że to ich bomby rozrywają ciała tych dzieci!

Michel stał jak osłupiały, nie wiedząc, co robić. Aż do tej chwili wszystkie Libanki w Bejrucie Wschodnim zachowywały się przyjaźnie i życzliwie wobec żydowskich okupantów.

Christine zamilkła na chwilę dla zaczerpnięcia tchu; jej usta wydawały się niebieskie na tle białej skóry. Gniewały ją bezsensowne ataki Izraelczyków i bardzo bała się o Demetriusa. Histerycznie dźgnęła się palcem w pierś i zawołała:

— Może i mnie zabijecie! Jestem taką samą terrorystką jak ci, których mordujecie! Zabij mnie! Zabij! — Osunęła się na ziemię i ledwie słyszalnym głosem zawołała przez łzy: Wszystkich nas zabijcie! Wszystkich...

Michel stał przez chwilę, usiłując dokładniej przyjrzeć się kobiecie na balkonie. Stracił dobry humor, opadły mu ramiona. Próbował wytłumaczyć sobie jakoś ten incydent. Kobieta była najwyraźniej obłąkana. Wszyscy wiedzą, że Bejrut Zachodni roi się od terrorystów, a cywile dostali ostrzeżenie, żeby się wynieść. Mruknął coś pod nosem; chciał tylko wypić w damskim towarzystwie filiżankę dobrej tureckiej kawy. Wciąż przekonany, że nieznajoma jest Arabką, przypomniał sobie, że w arabskiej szkole ostrzegano go: Arabowie albo leżą u twoich stóp, albo wiszą ci u gardła. Ta kobieta z pewnością skoczyłaby mu do gardła! Przemknęło mu przez myśl, że może powinien wrócić i aresztować ją, ale nie zrobił tego.

Jerozolima

Estera Gale rozsunęła zasłony i wyszła na mały balkon swojego domu w Jerozolimie. W środku światło wydawało się mdłe, lecz Estera widziała, że słońce świeci już jasno. Pomyślała, że dzień na pewno będzie upalny. Czekała na powrót męża i córki z poczty, zaparzyła sobie w kuchni mocną kawę. Zaczynała się już martwić, bo od dwóch tygodni nie mieli wiadomości od Michela. Wojna w Libanie siała śmierć. Estera wiedziała, że ani ona, ani Joseph nic znieśliby utraty następnego dziecka.

Kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi, pobiegła zobaczyć, czy przyszedł list od Michela.

— Jest list? — zapytała.

— Tak, kochanie — odparł Joseph, wyciągając dużą kopertę. — Bardzo gruby list...

Po czterdziestu czterech latach małżeństwa Joseph nadal czuł w sercu ciepło na widok żony. Mimo że całą wojnę Estera przeżyła w straszliwych warunkach, wciąż była piękną kobietą i nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt dwa lata, tylko na pięćdziesiąt.

Jordana szturchnęła ojca.

— Otwórz list! — powiedziała. Podeszła szybko do matki, uścisnęła ją i wyjaśniła: — Papa nie chciał otworzyć listu przed powrotem do domu!

Estera uśmiechnęła się do swojej wysokiej, pełnej życia córki, której twarz pojaśniała z radości. Pogłaskała ją po długich rudych włosach.

— Chodźcie do kuchni. Mam kawę i bułki. Razem przeczytamy ten list. Nalała kawy do trzech filiżanek, usiadła na krześle i oparła nogi na drewnianych poprzeczkach drugiego krzeselka. Joseph i Jordana patrzyli, jak otwiera list Michela. Zmarszczyła brwi z rozczarowania, widząc, że w kopercie jest tylko jedna kartka i plik zdjęć. Zanim je obejrzała, przeczytała na głos ledwie czytelne bazgrały syna.

1 sierpnia 1982, jedenasta w nocy Mamo, Tato i Siostrzyczko!

Pamiętacie stare porzekadło, że łatwo się wplątać w wojnę, ale trudno z niej wyplątać? Tak właśnie jest w Libanie! Wydaje mi się, że jesteśmy tu od dwóch lat, a nie od dwóch miesięcy, [/suwanie terrorystów jest o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażałem. Slumsy Bejrutu Zachodniego pełne są bojowników Arafata i dopóki nie wejdziemy tam i nie uprzątniemy gniazda węży, nic się nie rozwiąże. Wiemy, że obozy Sabra i SzatUa roją się od terrorystów, więc na nich koncentrujemy swoje wysiłki. Dzisiaj nasi piloci odbyli ponad sto dwadzieścia lotów, siły lądowe przesuwają się z zachodu i południa, a koledzy z marynarki bombardują pozycje OWP.

Tysiące razy zada wałem sobie pytanie, dlaczego Palestyńczycy nie poddadzą się i po prostu nie odejdą. W tej części świata nie ma już dla nich miejsca.

Nie będę was zanudzał gadaniem o wojnie. Jestem gruby, rozbisurmaniony i nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo. Dla libańskich chrześcijan tu, we Wschodnim Bejrucie, jesteście bohaterami i małe dziewczynki rzucają nam kwiaty pod nogi. (Duże dają nam inne dowody sympatii, ale nie mówcie o tym Dinasze!).

Myślę, że jeśli uda nam się splawić Palestyńczyków, Liban będzie wspaniałym sąsiadem, więc może dzięki tej wojnie coś jednak osiągniemy, gdy wszystko co trzeba zostanie zrobione.

Posyłam wam szwajcarskie czekoladki i duńskie ciastka przez jednego z moich kumpli, który został niegroźnie ranny w nogę i wraca do domu. Nie uwierzylibyście, jakie rarytasy można tutaj kupić — chrześcijański Bejrut Wschodni jest jak jeden wielki pasaż handlowy. Aż trudno uwierzyć, że ten naród od lat jest uwikłany w wojnę domową!

Sami widzicie, że nie trzeba się o mnie martwić. Jestem całkiem bezpieczny. Na dowód przesyłam zdjęcia! Duże buziaki dla was wszystkich...

Estera obejrzała zdjęcia swojego przystojnego syna, a potem jedno po drugim podawała mężowi.

— Rzeczywiście dobrze wygląda — stwierdziła z uśmiechem. Siedząca z boku Jordana położyła głowę na ramieniu ojca.

spoglądając na brata stojącego nad brzegiem morza z bronią w ręku. W tle widać było Libanki ubrane w kostiumy bikini. Joseph mrugnął do córki i roześmiał się cicho.

— Lepiej nie pokazywać tego Dinasze.

— Michel wygląda jak turysta — zauważyła jakby w zamyśleniu Estera. Jordana podniosła do ust filiżankę, ale po chwili trzasnęła nią w stół, rozlewając kawę na biały obrus.

— Nie mamy żadnego interesu w Libanie! — zawołała głośno. — Michel powinien zrezygnować ze służby i wrócić do domu!

Wasz kochający syn i duży brat Michel

Joseph wolałby, żeby jego córka nie reagowała tak emocjonalnie. Po śmierci jej ukochanego Stephena w zeszłym roku Jordana była coraz bardziej rozczarowana niekończącym się konfliktem z Arabami i w końcu, ku przerażeniu rodziny, została żydowską pacyfistką. Wciąż, mówiła o bezsensowności żydowskiej agresji, irytując tym wszystkich. Najbardziej denerwowało lu Michela, który żywił głęboką niechęć do arabskiej ludności Izraela i utrzymywał, że naród izraelski nie będzie mógł cieszyć się pokojem, dopóki ostatni Arab nie zostanie wypędzony z kraju.

Syn Estery i Josepha był izraelskim bojownikiem, a córka pacyfistką, więc w domu nie było spokoju.

Michel wyrósł w przekonaniu, że wojna i zabijanie są normalną częścią życia. Był małym dzieckiem w czasie wojny z Arabami w 1948 roku, kiedy przez dom rodziny Gale'ów przewijali się izraelscy żołnierze, i jego najwcześniejszą ambicją stało się wstąpienie do Hagany. Spytany, dlaczego chce to zrobić, zaszokował rodziców i uradował żołnierzy, odpowiadając dziecięcym głosem: „Żeby zabijać Arabów”.

Jordana prowokacyjnie powtórzyła to, co mówiła już wiele razy:

— Wiem, co myślicie, i chciałabym, żebyście to przyznali... Nasz kraj jest zbudowany na niesprawiedliwości!

Powstrzymując się przed powiedzeniem tego, co myśli, Joseph poklepał córkę po ręce i wziął głęboki oddech.

— Jordano, proszę...

Jordana, w przeciwieństwie do rodziców i starszego brata, miała skłonność do dramatycznych wybuchów.

— Wojna i zwycięstwo! — prychnęła ze złością. — Wojna i zwycięstwo! Nie ma czegoś takiego, jak zwycięstwo w wojnie. Każde zwycięstwo jest podszyte pustką!

— Przestań, Jordano! — zawołała Estera.

Joseph wrócił do tematu Michela, mając nadzieję, że uciszy emocje córki.

— Twój brat niedługo wróci, kochanie. Jestem pewien, że kiedy poznasz szczegóły jego misji, zgodzisz się, że nie miał wyboru, musiał walczyć z terrorystami. — Widząc, że twarz Jordany czerwienieje, dodał: — Nie denerwuj się, córeczko.

Jordaną zalały gorzkie wspomnienia; wyrwała rękę i wybiegła z kuchni, krzycząc:

— Jak wróci?! W czarnym worku?! Jak Stephen? Joseph wstał i ruszył za córką, lecz Estera powstrzymała go

łagodnie:

— Niech idzie. Znowu ma zły dzień. Joseph usiadł zrezygnowany.

— To straszne — rzekł, słysząc przez cienką ścianę łkanie Jordany. — Od śmierci Stephena nie widzi w naszym kraju niczego dobrego.

— Masz rację, kochanie — zgodziła się Estera. — Widzi tylko wady.

Popatrzyli na siebie przez chwilę, a potem Estera znów zajęła się zdjęciami Michela.

Joseph zostawił ją z fotografiami syna, a sam wyszedł na balkon, z którego widać było dachy domów sąsiadów. Myśli o smutku córki i brutalnej śmierci jej narzeczonego zlały się w jedno i ukłuły go jak sztylet.

— Biedny Stephen — wyszeptał.

Tak samo jak wszyscy mężczyźni w Izraelu, Stephen Grossman musiał odbyć trzyletnią obowiązkową służbę wojskową. W czasie ostatnich sześciu miesięcy stacjonował w bazie nadmorskiej Gaza, najbardziej niebezpiecznej ze wszystkich.

W przeciwieństwie do Michela miał zbyt łagodny charakter, by żyć w kraju toczącym wojnę. W Gazie zaczął kwestionować politykę swojego państwa. Uważał, że Arabowie są traktowani niesprawiedliwie, i często mawiał, że jeśli Żydzi chcą przetrwać, muszą uznać Arabów za równych sobie.

Podczas ostatniej przepustki weekendowej zwierzył się Jordanie, że nie może się doczekać opuszczenia Gazy, bo be/ względu na to, jak przyjaźnie się zachowuje, Arabowie patrzą na niego z ledwie skrywaną nienawiścią, która lada chwila może wybuchnąć.

Te słowa okazały się dziwnie prorocze. W następnym tygodniu Stephena Grossmana porwano, torturowano i pocięto szablą na kawałki. Nie wiedząc o tym, Arabowie zabili jednego z niewielu Żydów, który im współczuł.

Jordana nigdy się nie pozbierała po stracie narzeczonego.

Jednego dnia była najszczęśliwszą kobietą na świecie, a następnego zżerała ją najczarniejsza rozpacz.

Ponure myśli Josepha przerwał głośny hałas. Jego córka krzyczała na matkę. Wbiegł do kuchni i zobaczył, że Jordana spakowała niewielki plecak. Słuchał wstrząśnięty, jak córka z twarzą ściągniętą gniewem i żalem oznajmia wyzywającym tonem:

— Wyjeżdżam na zawsze z tego kraju! Mam dość zabijania! — Patrzyła przez chwilę na rodziców, a potem dodała: — Nie szukajcie mnie! Ja nie żartuję!

Pokój zatrząśł się od jej kroków, gdy wybiegała. Estera patrzyła na nią w posepnym milczeniu.

— Jordano, wracaj! — zawołał Joseph.

Trzasnęły frontowe drzwi i do pokoju wdarła się cisza. Joseph czuł, że całe jego ciało drży. Patrzył na Esterę, jakby nie mógł zrozumieć, co się stało.

— Jak to możliwe?

Estera była zdumiewająco spokojna.

— Nie martw się, kochanie — powiedziała do męża. — Od pewnego czasu wydawało mi się, że Jordana potrzebuje całkowitej zmiany. — Widząc pełne zdumienia spojrzenie Josepha, dodała: — Ty i ja przyjechaliśmy do Palestyny z powodu straszliwej tragedii, jaką przeżyliśmy. Tu znaleźliśmy nowe życie. — Milczała przez chwilę. — Teraz nasza córka musi znaleźć swoją drogę. — Nie martw się — powtórzyła. — Jordana wróci.

Nie zdołała jednak pocieszyć Josepha. Nie mógł zapomnieć, że spośród ich czworga dzieci przeżyło tylko dwoje. Teraz, gdy Jordana odeszła, a Michel był w Libanie, on i Estera znów zostali całkiem sami.

Bejrut

Słyszając kroki odchodzącego żołnierza, Christine Kleist podniosła się i weszła do mieszkania. Zwinęła się na kanapie stojącej pośrodku skąpo umeblowanego pokoju stołowego; czuła się samotna i pusta w środku.

Leżąc połową ciała na kanapie, poczuła przemożne pragnienie, żeby zobaczyć Demetriusa, upewnić się, że mężczyzna, którego kocha, przeżył naloty. Wtuliła twarz w pachnącą stęchlizną kanapę.

— Boże! Spraw, żeby był bezpieczny! — zawołała.

Wiedziała, że gdyby Demetrius zginął, spędziłaby życie, dryfując bez przystani.

Demetrius Antoun zajął ważne miejsce w jej życiu i Christine doszła do wniosku, że nie może wyjechać z Libanu. Mimo że nakazał jej dbać o swoje bezpieczeństwo i mimo gorączkowych nalegań rodziców, by wróciła do Berlina Zachodniego, zmieniła swoje plany. Nie wsiądzie na prom w Jonieh, nie wsiądzie na Cyprze, nie wsiądzie też do samolotu, który zabrałby ją do bezpiecznego domu rodziców w Nietn Czech. Gdy tylko ustanie ostrzał i naloty, przekroczy niesławna zieloną linię oddzielającą chrześcijański Bejrut Wschodni od muzułmańskiej, zachodniej części miasta i wróci do obozu Szatila.

Lekki uśmiech wygładził czoło Christine, bo przyszła jej do głowy pierwsza przyjemna myśl tego dnia: niebawem znów padnie w ramiona ukochanego.

Po południu, w przerwie między izraelskimi atakami, gdy zmierzała do szpitala Demetriusa, znalazła się w wąskiej uliczce w Szatili, pełnej zrozpaczonych krewnych zabitych i rannych ludzi. Ubrana na czarno jak Arabka, bez problemów przekroczyła zieloną linię, bo Izraelczycy jej nie zatrzymywali. Teraz jednak uświadomiła sobie, że mogą ją strzelać na śmierć właśnie ci, którym szła na pomoc, w miejscu, które od szpitala dzieliły zaledwie metry.

W czasie przerw pomiędzy izraelskimi bombardowaniami mieszkańcy Bejrutu Zachodniego zazwyczaj w pośpiechu transportowali rannych do szpitali albo wykorzystywali chwilę oddechu na przygotowanie się do następnego ataku. Dzisiaj nie było inaczej. Cienkimi jak nitki, krętymi uliczkami Szatili tłumy ludzi przelewały się jak strumień krwi.

Patrząc na blade, podekscytowane twarze Palestyńczyków, naznaczone cierpieniem, zbryzgane krwią najbliższych, Christine zrozumiała, że w szpitalu z pewnością pełno jest umierają-

cych i rannych. Musi się dostać do Demetriusa! On jej potrzebuje!
— Zróbcie przejście! — zawołała po arabsku. — Pozwólcie mi przejść!
Jestem pielęgniarką! — Ale jej słowa utonęły w zgiełku krzyków, jęków i
zawodzeń. Straciwszy panowanie nad sobą, Christine zaczęła przepychać
się przez tłum, wołając po niemiecku; — Z drogi! Jestem potrzebna w
szpitalu doktora Antouna! — Wciąż nie zwracano na nią uwagi, więc
zaczęła szczypać i kopać, z determinacją przeciskając się przez ludzką
ciżbę.

Niesiona siłą pulsującego tłumu, wreszcie dotarła do szpitala. Westchnęła
z ulgą, widząc, że surowy parterowy budynek z betonu nie ucierpiał, choć
ślady bombardowania były wszędzie widoczne. Przesunęła dłonią po
pooranej odłamkami ścianie i przestąpiła przez puste worki, które miały
zostać napełnione piaskiem i użyte jako osłona murów. W pozbawionym
elektryczności, oświetlanym tylko słabym blaskiem naftowych lamp
wnętrzu panował półmrok. Christine stała przez chwilę, pozwalając
oczom przystosować się do ciemności. Z ulgą usłyszała mocny, wyraźny
głos Demetriusa. Wołał, żeby ktoś znalazł szybko krew do transfuzji.
Christine krzyknęła cicho z radości i przebiegła przez maleńką
poczekalnię wypełnioną rodzinami rannych. Wciągnęła gwałtownie
powietrze na widok dziecka pozbawionego głowy. Kobieta trzymała ciało
dziecka owinięte w wełniany koc, a mężczyzna ścisnął jego głowę w
zakrwawionym prześcieradle. Christine pomyślała, że muszą być w
szoku. Oboje dorosłych miało całkowicie spokojny wyraz twarzy, jakby
byli głęboko przekonani, że lekarz poskłada ich dziecko. Christine
zadrżała i odwróciła głowę; pragnęła jak najszybciej znaleźć Demetriusa,
rzucić się w jego ramiona i zapłakać.

Znając go, wiedziała, że będzie w jedynej sali operacyjnej szpitala, przy
najciężej rannych. Gdy przesuwiała się przez zatłoczony korytarz,
rozpoznało ją kilkoro wolontariuszy; zatrzymywali się i patrzyli na nią
pytająco. Nie chcąc, żeby ktokolwiek wypowiedział jej imię, Christine
kładła palec na ustach — zamierzała zrobić Demetriusowi niespodziankę.
Demetrius stał tyłem do drzwi. Christine słyszała jego głos,

poważny i miękki jednocześnie. Jest zawsze taki delikatny dla pacjentów, pomyślała, uśmiechając się z dumą. Ta jego cecha była jednym z powodów, dla których zakochała się w Demetriusie Antounie.

Nie chcąc przeszkadzać mu w pracy, zatrzymała się i słuchała, czekając na właściwy moment, żeby oznajmić swoją obecność.

Demetrius zajmował się jakąś pacjentką. Zmieszana Christine zrozumiała, że jest świadkiem intymnej sceny. Demetrius prosił z nieznaną trudną i skomplikowaną rozmowę.

Kobieta powoli, z wysiłkiem szeptała:

— Demetriusie, ja wiem. Życie ze mnie uchodzi. Kochany, powiedz, że mi przebaczasz.

Potężne ramiona Demetriusa opadły. Pełnym bólu głosem próbował uspokoić pacjentkę:

— Ciii, Hala... zmęczysz się. Nie umrzesz. — Załkał, jego ciało zwiotczało. — Nie pozwolę ci umrzeć.

Christine nic z tego nie rozumiała, zupełnie nic. Drżący głos chorej podniósł się.

— To już zapisane. Umrę.

Kobieta imieniem Hala zakaszlała; Christine poznała po odgłosie, że jest postrzelona w klatkę piersiową. Po roku asystowania Demetriusowi Christine знаła ten dźwięk aż za dobrze.

Demetrius przysunął się bliżej i delikatnie odsunął z twarzy rannej kosmyk włosów.

— Lepiej przestań już mówić. Hala przycisnęła ręce do piersi.

— Kochany, nie patrz tak smutno. Śmierć stała się moim sprzymierzeńcem.

— Hala, nie mów takich rzeczy!

— Wszyscy nie żyją. Prawie wszyscy, których kochałam, zginęli. Oprócz ciebie... i mamy. — Zakaszlała i mówiła dalej: — Demetriusie, proszę cię, spełnij jeszcze jedno moje życzenie. Powiedz, że mi przebaczasz.

Ramiona Demetriusa uniosły się ciężko i opadły. Nagle poddał się emocjom i zapłakał bezgłośnie; po chwili zaczął mówić szybko, jakby bał się tego, co przyniesie następna chwila:

— Oczywiście, że ci przebaczam, najdroższa. Poza tym to była moja wina, że nie poczekałaś.

Christine wyczuła, że się uśmiecha, choć tego nie widziała.

— Nie, nie! — zaprzeczyła z uniesieniem Hala. — Postąpiłam bardzo niegodziwie, wychodząc za jednego mężczyznę, gdy kochałam drugiego. Kobieta zniżyła głos do szeptu i Christine musiała wyteńczyć słuch, żeby rozróżnić słowa.

— Demetriusie, czy nie sądzisz, że to wszystko jest karą, że to Bóg mnie karze? Za to, że wyszłam za Nicole, mimo że wciąż kochałam ciebie? Christine nie mogła się ruszyć z miejsca; wiedziała, że powinna odejść, nie miała jednak siły. Próbowwała zrobić krok, ale poczuła tylko mrowienie w udach.

— Hala! Ani słowa więcej. Osłabiasz się. Madżida już zbiera krew na twoją transfuzję. Potrzebujesz siły, żeby wyzdrowieć. Później porozmawiamy.

— Jeszcze tylko jedno...

— Wszystko.

— Powiedz, że mnie kochasz.

Christine bała się, że w ciasnym pomieszczeniu Demetrius usłyszy głośnie bicie jej serca.

Demetrius głęboko wciągnął powietrze, lecz nic nie odpowiedział.

W głosie Hali zabrzmiał ton wyrzutu:

— Myślałam, że przyjdiesz, kiedy zginął Nicola, i czekałam na ciebie.

Demetrius potrząsnął głową i westchnął głośno. Hala nie dawała za wygraną:

— To z powodu tej Niemki, prawda? Czy dlatego nie wróciłeś? — Spróbowała się podnieść, by znaleźć się bliżej Demetriusa. — Czy kochasz ją teraz tak, jak kiedyś mnie?

Demetrius łagodnie popchnął ją z powrotem na łóżko.

— Hala, jutro będziesz żałować tych słów. Jesteś teraz wdową i masz dwoje wspaniałych dzieci.

— Moje wspaniałe dzieci nie żyją — odparła sucho. — Widziałam je, zanim zemdlalam. Biedny Ramzi stracił głowę.

Demetrius nic nie powiedział, tylko odchrząknął cicho.

Nagle Hala powiedziała mocnym głosem, jak kobieta, która zbyt długo tłumila swoje uczucia:

— Demetriusie, posłuchaj. Mój mąż nie żyje, moje dzieci nie żyją. Zanim połączę się z nimi w ciemnym grobie, muszę naprawić to, co złe. W sercu zawsze byłam twoją żoną. Ueknn Nicola mnie dotykał, czułam twoją pieśczęotę. Ilekroć na niego spojrzałam, widziałam twoją twarz.

— Hala...

— Czy nadal mnie kochasz? — spytała z desperacją. — Jeśli powiesz, że mnie kochasz... zrobię wszystko, żeby przeżyć.

Ulegając dawnemu uczuciu, Demetrius przysunął się do Hali Christine nigdy nie słyszała takiego ciepła w jego głosie.

— Powiem to tylko raz i nie będę powtarzał. Nigdy nic przestałem cię kochać i ty o tym wiesz.

Hala roześmiała się cichutko.

— A więc, najdroższy, umrę szczęśliwa.

Christine ukryła twarz w dłoniach, wymknęła się z kliniki i niemal na ślepo pobiegła przez labirynt ulic Szatili, do domu Amina Darwisza.

Amin był jej przyjacielem. Może on opowie jej o kobiecie imieniem Hala. Przebiegła obok mosiężnego gongu przy drzwiach domu Amina, nie zatrzymując się, żeby oznajmić swoją obecność Łkając, pchnęła uchylone drzwi i zawołała:

— Amin! Żadnej odpowiedzi.

— Amin! — krzyknęła ponownie. — To ja, Christine! Wtedy go zobaczyła.

Pobladła, ugięły się pod nią nogi. A potem zaczęła krzyczeć Krzyczała tak głośno i tak długo, że zwróciła uwagę wszystkich sąsiadów na ulicy, przywykłych przecież do okrzyków bólu i cierpienia.

Pierwsi zjawili się Mustafa i Abeen Baderowie. Podbiegli szybko do Christine, chcieli wiedzieć, co jest przyczyną jej rozpacz.

Abeen złapała ją za rękę.

— Dziewczyno, co się stało?

Christine, wciąż nie mogąc wydobyć ani słowa, wskazała palcem na środek pokoju.

Abeen spojrzała pierwsza.

— Niech Bóg ma go w swojej opiece! — wyszeptała. Podniosła do ust skrawek fartucha i stała w milczeniu jak osłupiała.

Mustafa podążył za jej spojrzeniem.

— Przyjacielu! — zawołał.

Skoczył do drobnego ciała Amina Darwisza, zwiniętego pod ołtarzykiem żony. Amin w prawej dłoni wciąż ścisnął zdjęcie Ratiby jako szczęśliwej młodej mężatki — trzymał je blisko twarzy, jak gdyby ostatnią bezcenną chwilę życia poświęcił, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

Mały domek Amina napęłnił się ciekawskimi.

— Czy zaatakowano tę kobietę?

— Przysięgam na Boga, izraelskie odrzutowce tak nie hałasowały!

— Co się stało?

Jakiś starszy mężczyzna wskazał palcem na swoją głowę i wyjaśnił:

— To ten niespełna rozumu.

— Sprowadzić doktora? — spytał ktoś.

Christine odpowiedziała suchym, chrapliwym głosem:

— Doktor jest zajęty.

— Nie ma potrzeby sprowadzać doktora — odparł Mustafa z oczami pełnymi łez. Nie mógł powstrzymać drżenia warg. — Amin nie żyje. Zapadła długa cisza. Wszystkim będzie brakowało małego piekarza.

— Czy to serce? — spytał jakiś starzec.

Christine zaczerpnęła głęboko tchu i wzięła się w garść. Nigdy przedtem nie straciła panowania nad sobą w trudnej chwili. Przecisnęła się do Amina.

— Przepraszam. Ja go obejrzę.

Na ciele Amina nie było krwi. Po krótkich oględzinach Christine znalazła niewielką ranę.

— Tutaj — powiedziała. — To serce, ale nie atak. Mustafa i kilku innych mężczyzn pochyliło się nad ciałem.

Serce Amina przebił pojedynczy odłamek. Innych ran nie było; pod koszulą zebrała się niewielka ilość krwi.

Do pokoju wbiegli George i Mary Antounowie. Usłyszeli, że coś się dzieje w domu Amina Darwisza, i przybiegli najszybciej, jak mogli. Abeen objęła Mary.

— Amin jest z Ratibą.

— O, nie!

George podbiegł do ciała Amina. Spojrzał najpierw na Mus tafę, a potem na Christine.

— Christine, jak naprawdę Amin nie żył już od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

— Tak, wiem — odparła, delikatnie dotykając palcami głowy Amina.

— Amin Darwisz był jednym z tych nielicznych, którzy wiedzą, że czas rozwiązuje wszystkie problemy — rzekł smutno George.

Po zmarszczkach na twarzy Mustafy Badera toczyły się łzy. Kiwnął głową.

Christine nic nie powiedziała. Patrzyła na Amina. Odkąd przyjechała do Bejrutu, widziała wielu zabitych i zmarłych; ich rysy wyrażały strach... ból, często zaskoczenie... Ale twarz Amina Darwisza zastygła w jasnym uśmiechu szczęścia.

Rozdział XVI

Śmierć

Jedynym znanym żyjącym krewnym Amina Darwisza był jego starszy brat, który mieszkał w Ammanie w Jordanii. Bracia oddalili się od siebie z biegiem lat z powodu przekonania Amina, że Ratiba wciąż żyje, co wyprowadzało z równowagi jego brata. Nikt z rodziny nie mógł się zająć Aminem, więc Mustafa i Abeen Baderowie oraz kilkoro innych sąsiadów z obozu Szatila umyli ciało i zawinęli w biały całun, a potem skropili je perfumami.

Zgodnie z muzułmańskim prawem zmarłych należy grzebać jak szybko, jak to możliwe, dlatego podjęto decyzję, aby pochować Amina w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Zostaniemy z Aminem na noc — zapewnił Mustafa George'a Antouna.

— Idź, przyjacielu. Niedługo wróci Demetrius. Będzie cię potrzebował. Mary, jak zawsze trzeźwo myśląca, zgodziła się z tą decyzją.

— Tak będzie najlepiej. — Spojrzała na młodą Niemkę, bladą i dziwnie cichą. — Christine, kochanie, chodź z nami.

George, który wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać, skinął głową.

— Demetrius będzie zdruzgotany. Jak mam mu przekazać tę bolesną wiadomość?

Cała trójka poszła w milczeniu do domu Antounów.

— Obudzę tatę i powiem mu, co się stało — oznajmił drżącym głosem George.

— I poproś go, żeby się ubrał i dołączył do nas — powiedziała Mary. — Zrobię mocnej kawy.

Christine koniecznie chciała pomóc Mary.

— W taką straszną noc muszę czymś zająć myśli — powiedziała. Śmierć Amina ją przerażała, lecz najbardziej bolało ją to, że nic nie wie o związku Demetriusa z Halą.

W normalnych okolicznościach Mary nie skorzystałaby z pomocy. W małej kuchence nie bardzo mieściły się nawet dwie osoby, ale w oczach Christine płonął cichy ogień i intuicja podpowiedziała Mary, że przyczyną tego stanu nie jest śmierć Amina.

Jej głowa pełna była pytań. Czemu Christine wróciła z bezpiecznego Bejrutu Wschodniego do Szatili, gdzie roiło się od niebezpieczeństw? Czemu nie jest w szpitalu z Demetriusem, gdzie zwykle przebywała? Mary krępowała się jednak zadawać dziewczynie tak osobiste pytania. Zachowywała się wobec niej chłodno od chwili, gdy uświadomiła sobie, że jej syna i cudzoziemkę łączy bliski związek. Wprawdzie Christine wyznawała tę samą chrześcijańską wiarę, ale różnice kulturowe między Europejczykami i Arabami były ogromne i Mary uważała, że jej syn będzie szczęśliwszy z arabską żoną. Przez ten rok powtarzała mu często: „Pamiętaj, że nie bez powodu czarne ptaki latają razem z czarnymi”. Przyjęła z zadowoleniem wiadomość, że dziewczyna opuszcza Szatilę i odlatuje do Niemiec; teraz jednak, gdy tak się nie stało, postanowiła, że będzie dla niej miła i uprzejma. Spojrzała na Christine i kiwnęła z uśmiechem głową.

— Tak, rozumiem. Spróbujmy odsunąć od siebie myśl o Aminie. — Ścisnęła dziewczynę za rękę. — Życie jest takie ciężkie, Christine. Ciągle muszę sobie przypominać, że po zimie zawsze przychodzi wiosna. Christine zadrżała. Ojciec wiele razy powtarzał jej dokładnie to samo. Nie mogła dłużej powstrzymać pragnienia, żeby dowiedzieć się czegoś o Hali; stanęła blisko Mary, tak, aby George nie usłyszał ich rozmowy z pokoju.

— Czy znasz kobietę o imieniu Hala? — wyszeptała. Było to jedyne pytanie, którego Mary nie spodziewała się usłyszeć.

Hala Kanaan? Christine nie mogła już przestać.

Nie wiem. Słyszałam tylko imię Hala. Kobieta o imieniu Hala... — jej głos wyraźnie się zmienił — ...która kocha Demetriusa.

- Czemu o nią pytasz? — zdziwiła się Mary. Christine odrzuciła ostrożność.

- Demetrius wciąż kocha Halę. Słyszałam to na własne uszy.

Mary spojrzała na Niemkę z niedowierzaniem. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że ponury nastrój Christine może mieć jakiś związek z Halą Kanaan. Odpowiedziała szybko, chcąc zamknąć nieprzyjemny temat:

- Dziecko, to niemożliwe. Mój syn i Hala Kanaan zerwali zaręczyny wiele lat temu. — Mary spochmurniała, przypominając sobie ten burzliwy okres w życiu syna.

Zza ściany wychylił głowę George Antoun i wszedł do kuchni. Troje ludzi niemal się o siebie ocierało. Spojrzał z z troskaniem na dziewczynę syna.

— Christine, może izraelskie bomby popsują ci słuch... Christine jęknęła cicho, zastanawiając się, ile ojciec Demetriusa słyszał. George dzielił się z synem wszystkim, a wiedziała, że Demetrius będzie wściekły, gdy dowie się o jej rozmowie z Mary. Zacisnęła usta, ale kiedy przypomniła sobie, że dziś wieczorem Demetrius powiedział innej kobiecie, że ją kocha, znowu poczuła gniew. Potrząsnęła mocno głową; jej twarz była jak z granitu.

— Podśluchałam Demetriusa, gdy mówił kobiecie imieniem Hala, że nigdy nie przestał jej kochać — oświadczyła z naciskiem.

George i Mary wymienili długie spojrzenia.

— A więc? — Christine dotknęła ramienia starszej kobiety. Czuła, że jest to dla niej bolesna sprawa, ale chciała wykorzystać jedyną szansę, żeby się czegoś dowiedzieć. Wkrótce wróci Demetrius, Mary zamknie się w sobie i nie powie nic z tego, co Christine koniecznie chciała wiedzieć.

George pociągnął dziewczynę za rękę, prowadząc ją do małego pokoju stołowego.

— Usiądźmy. Powiedz nam, co się stało.

Mary zapomniała o kawie i ruszyła za nimi; tak samo jak mąż wiedziała, że Demetrius nic by im nie powiedział. Od powrotu z Karameh zamknął się w sobie, ale zawsze różnił się od innych arabskich dzieci, które na ogół nie ukrywały niczego przed rodzicami.

Christine dręczyły złe przecucia i wyrzuty sumienia. Wiedziała, że powinna zachować milczenie w tak osobistej sprawie, lecz pragnienie, aby dowiedzieć się jak najwięcej o rywalce, kazało jej na nic się nie oglądać. Usiadła na wytartej, choć wciąż jeszcze puszystej poduszce i niecierpliwie czekała, aż Antounowie znajdą sobie wygodne miejsca. George nie spieszył się; poprzekładał poduszki, a potem zapalił papierosa i klepnął Christine w rękę.

— A teraz mów. O co chodzi z naszym synem i Halą Kanaan? Mary patrzyła w milczeniu na Christine. Ich kolana niemal się stykały na środku maleńkiego pokoju. Christine ze łzami w oczach opowiedziała całą historię.

— Nie mogłam wyjechać z Libanu. Nie po dzisiejszych nalotach. Bałam się o Demetriusa. Kiedy przysłam do szpitala, zajmował się właśnie pacjentką. Nie chciałam przeszkadzać, więc poczekałam i usłyszałam ich rozmowę. Tą pacjentką była właśnie Hala.

Mary po raz pierwszy pomyślała o bezpieczeństwie Hali.

— Czy była ranna? — spytała z niepokojem.

— Tak. Demetrius przygotowywał się do operacji.

— Poważna rana?

— Nie jestem pewna, ale tak mi się wydaje. Mary spojrzała na męża i dotknęła palcami ust.

— Demetrius ją uratuje — oświadczył z przekonaniem George. Podobnie jak Mary, zawsze żałował, że Demetrius nie ożenił się z Halą. Niczego bardziej nie pragnął, niż kołysać w ramionach syna swojego syna. Jeśli Demetrius wkrótce się nie ożeni, nigdy nie zazna tej radości.

— Tak. Hala jest już pewnie na rehabilitacji. — Christine popatrzyła na zatroskane twarze Antounów i nagle uświadomiła sobie, że kobieta imieniem Hala znaczyła kiedyś dla nich bardzo wiele. — W każdym razie, czekając na Demetriusa, podsłucha-

lam, jak ta kobieta mówi mu, że zawsze go kochała i czekała na jego powrót po śmierci swojego męża. Błagała Demetriusa o przebaczenie, a potem spytała go, czy wciąż ją kocha.

Christine westchnęła ciężko i znieruchomiała, patrząc na swoje kolana i ręce. Żałowała, że wróciła do Szatili, zamiast wsiąść do samolotu odlatującego do Niemiec.

— I nasz syn powiedział, że tak? — spytała Mary. Christine skinęła głową; po jej policzkach płynęły łzy.

— Tak. Do końca życia nie zapomnę tych słów! Powiedział: „Nigdy nie przestałem cię kochać, i ty o tym wiesz”.

George był wstrząśnięty. Odchrząknął i potarł brodę. Zastanawiał się, ile tajemnic jest jeszcze w życiu jego syna. Christine oparła głowę na dłoniach.

— Opowiedzcie mi o tej kobiecie, proszę. Ja muszę wiedzieć!

Mary, wzruszona cierpieniem dziewczyny, przyniosła ściereczkę i wytarła jej twarz.

— Musisz przestać płakać. Rozchorujesz się. — Po chwili dodała ciszej:

— Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Mimo że na myśl o historii uczucia Demetriusa i Hali Christine robiło się ciężko na duszy, spojrzała na Mary z wyczekiwaniem.

George zerknął na drzwi.

— Szybko... Zanim wróci Demetrius.

Mary podwinęła nogi pod siebie i wsunęła brzeg sukienki z kolorowym kwiatowym wzorem pod stopy. Przypominając sobie dawne dzieje, przez dłuższą chwilę patrzyła na Christine bez słowa.

— Nie ma dużo do powiedzenia — zaczęła wreszcie. — Demetrius i Hala kochali się wiele lat i zaręczyli, zanim nasz syn zaczął studiować na

Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie. — Uśmiechnęła się do męża.

— Ojciec zatroszczył się, żeby go przyjęli. Hala nie mogła doczekać się zamążpójścia, ale zgodziła się odłożyć ślub na trzy lata. Nasz syn odkrył w sobie powołanie do zawodu lekarza jeszcze w szkole średniej. Był doskonałym studentem i zdobył sobie poparcie personelu uczelni. Nawet dziekan powiedział George'owi, że Demetrius ma wrodzony talent do leczenia.

— I miał rację, Mary — oświadczyła Christine. — Demetrius jest wspaniałym lekarzem.

Od pierwszego dnia w Szatili podziwiała umiejętności medyczne Demetriusa. Przybyła do Libanu z przekonaniem, że jej wiedza jako pielęgniarki będzie większa niż wiedza lekarzy w tym arabskim kraju. Myliła się. Demetrius Antoun był równie dobry jak najlepsi lekarze, których знаła w Niemczech — a nawet lepszy. Christine, tak jak wielu Europejczyków przebywających w tym małym lewantyńskim kraju, szybko odkryła, że absolwenci wydziału medycyny Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie dorównują lekarzom z każdej innej części świata.

Na twarzy Mary nie było widać zdziwienia. Często słyszała, jak ludzie wyrażają podziw dla umiejętności jej syna. Popatrzyła z namysłem na Christine.

— Demetrius miał dylemat. Jesteśmy biednymi uchodźcami. Musiał wybierać między małżeństwem a szkołą. — Myśl o cierpieniu, które stało się niegdyś udziałem syna, sprawiała jej widoczny ból. — Jak on się bał powiedzieć Hali, kiedy postanowił, że muszą odłożyć ślub!

— Trząśł się, idąc do niej z tą wiadomością — dodał George. Spojrzał na żonę. — Pamiętasz, jak się denerwował?

— Tak. Nie chciał rozczarowywać Hali, ale wiedział, że po krótkiej zwłóce przyjdzie piękna nagroda... na resztę ich życia. Musiał tylko przekonać Halę do swojej wizji.

Christine zaczynała rozumieć, co się stało. Wszystkie młode arabskie kobiety, które poznała, nie myślały o niczym innym, tylko o małżeństwie.

— Hala była zdruzgotana, a potem się rozgniewała. Powiedziała mu, że nie będzie czekać ani sekundy dłużej. W naszej kulturze, jeśli dziewczyna nie wyjdzie za mąż w wieku dwudziestu dwóch lat, ludzie zaczynają plotkować. Poza tym Hala chciała mieć dzieci. Powiedziała, że będzie za stara, kiedy Demetrius zostanie lekarzem. Z powodu tych obaw popełniła straszny błąd. Żeby wywołać zazdrość naszego syna, zaczęła flirtować z Nicolą Fayadem. — Mary spojrzała na męża, jakby oczekując potwierdzenia. — Hala była bardzo piękna i mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego zechciała.

George przytaknął.

Christine poczuła ukłucie zazdrości na myśl o urodzie pierwszej dziewczyny Demetriusa.

— Tak czy owak, wszystko wymknęło się spod kontroli. Na wieść o tym, że Hala spotyka się z innym mężczyzną, Demetrius przestał przychodzić do domu i zostawał w mieszkaniu na uczelni. — Mary odchrząknęła. — A kiedy w końcu wrócił, był bardzo podekscytowany. Dostał stypendium od Amerykanów, którzy pomagali utrzymać uniwersytet. Oznaczało to, że mógł ożenić się z Halą i jednocześnie się uczyć. — Mary uśmiechnęła się smutno. — Ale do tego czasu wiele się zmieniło. Rozgniewana Hala nadal spotykała się z Nicolą, a on się jej oświadczył. Znałam dobrze tę dziewczynę... wiem, że nie chciała, żeby to zaszło tak daleko. Kiedy Demetrius usłyszał od przyjaciół, że Nicola się oświadczył, doszło do konfrontacji i nasz syn splunął Hali pod nogi. Duma odsunęła go od niej i nigdy więcej nie chciał jej widzieć.

— Arabscy mężczyźni są bardzo dumni! — oświadczył z przejęciem George.

Mary uciszyła go gestem ręki i szybko dokończyła swoją opowieść:

— Nasz syn miał złamane serce, ale nigdy więcej nie wypowiedział w naszej obecności imienia Hali i nam też zabronił o niej wspominać, jakby w ogóle nie istniała. Hala i Nicola niebawem wzięli ślub i mieli dwoje dzieci, a potem Nicola zginął w dziwnym wypadku w Bejrucie...

— To było w zeszłym roku, kilka tygodni po twoim przybyciu do Szatili — wyjaśnił George. — Kiedy mył okna w jakimś hudynku, jedna z frakcji militarnych zdetonowała bombę w samochodzie w środku miasta. Mąż Hali spadł z trzeciego piętra i zabił się.

— A potem Hala czekała na Demetriusa, ale nasz syn nie odpowiedział na jej zaproszenie — dodała Mary z nutą smutku w głosie.

— Nie zapominaj, że w Libanie wciąż szalała wojna domowa — wtrącił George. — Zamiast założyć rodzinę, nasz syn pogрузzył się w pracy, starając się ratować ludzkie życie.

Christine na własne oczy widziała zaciekle walki, które od tylu lat toczyły się w tym kraju. Pomyślała, że jeśli ta długoletnia

wojna była najważniejszym powodem, dla którego Demetrius zwlekał z ożenkiem, powinna być wdzięczna Libancykom.

Bardzo chciała wyjść za Demetriusa Antouna i zatrwożyła się na myśl, że Demetrius może ożenić się teraz z Hala Kanaan Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. Nie umiała wyrazić swojego bólu, gdy przypomniła sobie czułość, z jaką Demetrius wyznał, że jego miłość do rannej kobiety nigdy nie umarła.

Mary popatrzyła uważnie na młodą Niemkę i pomyślała, że wszystkie kobiety, bez względu na narodowość, mają więcej cech wspólnych niż różnic. Doszła do wniosku, że dziewczyna naprawdę kocha jej syna. Dotąd sądziła, że Christine Kleist to jeszcze jedna panienska z Zachodu, na którą trzeba uważać. Teraz uznała, że była w błędzie. Powodowana lekkimi wyrzutami sumienia, powiedziała:

— A potem mój syn spotkał ciebie i zostawił smutek za sobą. George widział, do czego zmierza żona, i ucieszyło go to.

— Christine, jestem przekonany, że oprócz Hali Kanaan jesteś jedyną kobietą, którą pokochał nasz syn — oświadczył. Oprócz niej tylko ciebie przyprowadził do naszego domu.

Ale Christine nie sposób było pocieszyć, bo wydarzenia tego wieczoru doprowadziły ją do bolesnego wniosku.

— To dlatego Demetrius chciał, żebym opuściła Szatylę stwierdziła. — Zamierzał wrócić do Hali. — Spojrzała najpierw na George'a, a potem na Mary, nie umiejąc powstrzymać drżenia całego ciała.

— Nie, nasz syn w ten sposób nie postępuje — zapewnił ją George. — Demetrius nie jest człowiekiem, który spluwa, a potem zlizuje swoje plwociny. Kiedy odciął się od Hali, to naprawdę. — George zawsze lubił Christine, a w tej chwili po raz pierwszy pomyślał, że byłaby dobrą żoną dla jego syna.

— George ma rację — potwierdziła Mary. — Demetrius jest zbyt uczciwy na takie postęпки. — W ciągu tego wieczoru Mary również zmieniła zdanie. Może ślub z Christine byłby najlepszą rzeczą dla Demetriusa. Śmierć męża i dzieci to wielki bagaż bólu, od którego Hala nigdy się nie uwolni.

Niezdarne próby usprawiedliwiania syna przez rodziców sprawiły, że Christine znów zaczęła rozpaczliwie łkać.

Mary pochylała się nad nią i pogładziła ją wierzchem dłoni po włosach.
— Moja droga, nie smuć się tym, czego nie znasz. Nie możesz wiedzieć, jakie znaczenie ma to, co się dzisiaj wydarzyło.

Christine otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale w tym momencie do domu wpadł Demetrius i stanął jak wryty. Przeskakiwał spojrzeniem z jednej osoby na drugą.

— Christine, co robisz w Szatili? — zapytał. Przeniósł wzrok na rodziców. — Co się stało?

Bojąc się powiedzieć prawdę, każde czekało, aż ktoś inny odpowie. Sytuację uratował Mitri.

— Słyszałeś o Aminie? — spytał, wchodząc do pokoju. Demetrius zdrzął. Wiedział, że wiadomość nie może być dobra.

— Czy coś mu się stało?

George wstał i podszedł do niego, obejmując go ręką w pasie.

— Chodź, synku. Siadaj. Demetrius popatrzył na niego z góry.

— Nie, tato. Powiedz mi od razu. Co się stało?

George kołysał się na piętach, odwlekając przekazanie synowi złej wiadomości.

— Najpierw musimy usiąść — stwierdził. Demetrius złapał ojca za ramię.

— Tato, musisz mi powiedzieć! George spuścił wzrok.

— Amin został zabity. Przez Izraelczyków.

Demetrius na chwilę zamknął oczy i zachwiał się. Na jego twarzy ukazał się wyraz bólu.

— Nie, nie Amin. Tato, nie Amin... — wyszeptał. George objął syna za szyję i poprowadził w głąb pokoju, szepcząc mu do ucha coś, co tylko Demetrius mógł usłyszeć.

Oczy wszystkich skierowały się na obu mężczyzn.

Christine poczuła się jak intruz i zmusiła się, by wyjść do kuchni i przygotować kawę, której wszyscy na pewno potrzebowali. Mimo to słyszała rozmowę.

— Przykro mi, synku — powiedziała Mary. — Wszyscy kochaliśmy Amina.

Christine zamarła, kiedy usłyszała odpowiedź Demetriusa

— To nie koniec, mamó. — Zrobił długą pauzę. — Dzisiaj zmarła Hala.

— O mój Boże! — zawołała Mary. — Nie! George popatrzył bezradnie na syna.

Smutek malujący się na twarzy Demetriusa kontrastował ze spokojem jego głosu.

— Tak. Hala i dwoje jej dzieci. Zginęły, a Hala przeżyła i trafiła do szpitala, ale... — Rozłożył ręce w geście kapitulacji. — Nie mogłem jej uratować.

Christine patrzyła, jak wskazówka ściennego zegara przesuwa się po tarczy. Hala Kanaan nie żyje! Nie żyje! Więc jednak nic straci Demetriusa! Musiała się przytrzymać zlewozmywaka, żeby nie zatańczyć. Uśmiechnęła się i nagle dotarło do niej, jak okropna jest jej reakcja. Zaczerwieniła się ze wstydu i zadrżała, przeczuwając, że pewnego dnia zostanie ukarana za to, że przyjęła z ulgą śmierć innej kobiety.

W milczeniu wniosła kawę do pokoju; chciała dać Demetriusowi czas na przeżywanie żalu razem z rodziną.

Wewnętrzna walka w jej duszy trwała przez cały wieczór; nadal odczuwała wyrzuty sumienia z powodu swojej radości. Ale po raz pierwszy od chwili powrotu do Szatili opuściło ją poczucie beznadziejności.

Rozdział XVII

Christine Kleist

— A więc? — spytał Demetrius.

Christine długo nie odpowiadała; wrzuciła do filiżanki z gorącą herbatą dwie kostki cukru i mieszała powoli, aż zniknęły. Gdy spoglądała na Demetriusa, przyszła jej do głowy dziwna myśl, że do jego ciała ktoś przyczepił głowę innego mężczyzny. Miał ściągniętą twarz i wcale nie przypominał siebie.

— Możesz pójść z nami — powiedział. — Będiesz mile widziana. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

— Wiem, kochanie. — Christine upiła łyżeczek gorącej herbaty i uśmiechnęła się blado. — Ale Hala Kenaan należała do innego czasu, innej przestrzeni w twoim życiu, z którą mnie nic nie łączy. Nie czułabym się dobrze na jej pogrzebie.

Demetrius z trudem ukrył ulgę, pytając:

— Jesteś pewna?

Christine dotknęła palcem brzegu filiżanki i skinęła głową.

— Tak, jestem pewna. — Przypomniała sobie o zapracowanych pielęgniarkach w szpitalu Demetriusa. — Poza tym wydaje mi się, że powinnam być w szpitalu. Powiem Madżidzie, żeby wzięła sobie dzień wolny.

Demetrius przyznał jej rację.

— Madżidzie przyda się odpoczynek. Od dwóch miesięcy nie miała ani jednego wolnego dnia.

Christine popatrzyła nieobecny wzrokiem nad jego ramieniem. Dwa miesiące. Czy dopiero minęły dwa miesiące, odkąd Izraelczycy zaatakowali Liban? Tyle się przez ten czas wyda rzyło. Za dużo. Nagle przypomniała sobie, że tego dnia odbcd.i się dwa pogrzeby, i spojrzała na Demetriusa,

— Ale przyjdź po mnie później. Muszę iść z tobą na pn grzeb Amina. W oczach Demetriusa błysnęła straszliwa nienawiść: było In pierwsze uczucie, jakie okazał od wczorajszego wieczoru Z widocznym wysiłkiem usunął ze świadomości myśl o Żydach i opanował się.

— Koniecznie. Amin cię uwielbiał — powiedział. Christine ogarnął smutek; zamrugła, z trudem powstrzymu jąc się od płaczu. Zadrzały jej usta, lecz zacisnęła je. Bard/u brakowało jej Amina Darwisza. Był najciekawszą postacią w obozie Szatila. Demetrius odwrócił się do drzwi, słysząc rodziców i dziadka, idących wąskim korytarzem. Gdy George. Mary i dziadek Miin przyłączyli się do młodych ludzi, siedzących przy małym drewnianym stoliku, pokój nagle się wypełnił.

Christine uśmiechnęła się do nich blado, mimo że jej ser cem targał smutek. Rodzina Antounów była przerażająco biedna. W lepszych czasach, w innym mieście, Demetrius dobrze zarabiałby jako lekarz, ale w ubogiej Szatili był równic biedny jak jego pacjenci. Christine już dawno zauważyła, że nie ma sumienia pobierać opłat od klepiących biedę paejen tów. Często zdarzało się, że wychodził ze szpitala po długim, męczącym dniu pracy, za całe wynagrodzenie mając chudego kurczaka. Popatrzyła na George'a Antouna. Ojciec Demetriusa miał na sobie swój jedyny garnitur — brązowy i postrzępiony -dobitnie świadczący o ubóstwie właściciela. Mary włożyła swoją najlepszą czarną sukienkę, którą zacerowała wczoraj wieczorem. Na głowie miała granatową chustkę, podarunek od Christine na zeszłoroczną Gwiazdkę. Jedyny garnitur Mitriego przetaił się wiele lat temu, lecz ojciec George'a był ubrany w czystą białą koszulę i świeżo uprasowane granatowe spodnie, które, jak twierdził, miał od czasów młodości. Nieco wcześniej

tego samego ranka, spoglądając znacząco na odstający brzuch syna, staruszek poinformował rodzinę z dumą, że w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat ma takie same wymiary, jak w dniu swojego ślubu prawie przed sześćdziesięciu laty.

Christine uśmiechnęła się na myśl o dumie, z jaką Mitri chwalił się swoją szczupłą sylwetką.

— Popatrzcie tylko — powiedziała, wskazując rodziców i dziadka Demetriusa. — Wszyscy tak ładnie wyglądają! A zwłaszcza ty, dziadku. Mitri potarł dłonią brodę, wyraźnie z siebie zadowolony.

Mary posłała Christine spojrzenie pełne sympatii; pomyślała, że dziewczyna ma miłe usposobienie, w przeciwieństwie do wielu innych Europejczyków, którzy sprawiali wrażenie wyniosłych i niedostępnych.

— Synku, jesteśmy gotowi — oznajmił George. Demetrius skinął głową.

— Dobrze, tato.

Christine odsunęła krzesło, wstała i ruszyła do drzwi za rodziną Antounów. Odeszli wąską uliczką, a ona została, żeby pilnować domostwa. Szczęście Antounów polegało na tym, że byli bardzo mocno ze sobą związani. Czują, że w pojedynkę żadne z nich nie znalazłoby w sobie dość odwagi, aby jednego dnia pójść na dwa pogrzeby: Hali Kanaan i bliskiego przyjaciela, jakim był Amin.

Nurtowały ją niepokojące pytania. Czy wszyscy Palestyńczycy są skazani na wygnanie? Od dawna się zastanawiała, czy Antounowie kiedykolwiek wrócą do ojczyzny, czy też ich przeznaczeniem jest błąkanie się bez końca po obcej ziemi. Wiedziała, jakie komplikacje stoją na ich drodze do pokoju. Zawsze rządzili nimi inni: Egipcjanie, Babilończycy, Persowie, Rzymianie, krzyżowcy, Turcy, Brytyjczycy i wreszcie Izraelczycy — ta ostatnia okupacja sprawiła, że byli wygnańcami w kraju ogarniętym pożogą wojny domowej i jednocześnie cierpieli z powodu inwazji swoich najzagorzalszych wrogów.

Co za życie, pomyślała Christine, ze współczuciem potrząsnęła głową, a potem odwróciła się i weszła do domu.

Zjadła przejrzałe jabłko i zaczęła przygotowywać się do

dyżuru w szpitalu. Kąpiąc się w wannie, przyłożyła do twam postrzępiony ręcznik i wyszeptwała: „Przy mnie zapomni o tym. Postaram się o to”.

Dzięki swojej niezwyklej urodzie Hala Kenaan była znana w całej Szatili, a jej dobroć i wielkoduszność sprawiły, że miała wielu przyjaciół. Dlatego też mimo obaw, że izraelczycy mogą wznowić naloty, kilkuset mieszkańców obozu wyszło na ulice Bejrutu i ruszyło w kierunku cmentarza męczenników znajdującego się dwadzieścia minut drogi od Szatili.

Choć mieszkańcy Bejrutu Zachodniego biegali po mieście próbując uzupełnić zapasy jedzenia na wypadek, gdyby Żydzi znów zaczęli bombardować oblężone miasto, zatrzymywali się z szacunkiem na widok żałobnej procesji. Spoglądali ze zniszczonych odłamkami sklepów i chodników na duże zdjęcie Hali Kenaan i jej dwojga dzieci, przyczepione do surowej, zbyt dużej trumny. Szeptano, że w trumnie są ciała pięknej młodej kobiety i jej dzieci. Ludzie zamykali oczy i dziękowali Bogu że nie grzebią tego dnia kogoś ze swojej rodziny.

Podobnie jak Demetrius, Hala była wyznania grekokatolickiego i gdyby wojna nie wzięła we władanie ich życia, odprawiono by za nią i jej dzieci mszę w kościele. Rodziny mieszkające w udręczonym wojną Bejrucie Zachodnim nic mogły liczyć na taki luksus, lecz pop zgodził się odprawić krótkie nabożeństwo na cmentarzu.

Podczas mszy usta żałobników poruszały się w cichej modlitwie, a ich oczy spoglądały na niebo z nadzieją, że izraelska odrzutowce nie wznowią ataków akurat w tym momencie.

Cieężko było słuchać krzyków i zawodzeń matki Hali, jej sióstr i kuzynek. Rozette Kenaan niemal odchodziła od zmysłów po stracie pierworodnej córki i dwojga wnucząt: biła się po twarzy, wrywała sobie włosy z głowy i rozdzierała ubranie "Wreszcie zemdląła, gdy najmłodsza siostra Hali, szesnastoletnia Nadine, próbowała rzucić się do świeżo wykopanego grobu

Podczas tej nabrzmiałej emocjami sceny Demetrius stał w milczeniu między rodzicami, obok dziadka Mitriego oraz Mustafy i Abeen Baderów. Wszyscy szlochali, lecz żal Demet-

riusa był zbyt wielki, by mógł płakać. Patrzył, nie widząc, jak Hala i jej dwoje dzieci składani są do wspólnego grobu obok miejsca wiecznego spoczynku męża Hali. Przypominał sobie dzień, w którym się jej oświadczył, i ze wszystkich sił próbował zrozumieć, jak to się stało, że ich młodzieńcze marzenia rozwiały się bez śladu.

Gdy na drewnianą trumnę spadały ostatnie grudki kamienistej ziemi, Demetrius pomyślał, że powinien był ożenić się z Halą i że po śmierci powinna spocząć obok niego, a nie obok mężczyzny, który — jak twierdziła — był jej obcy nawet po latach małżeństwa i urodzeniu dwojga dzieci. Teraz mógł się tylko modlić, żeby jego ukochana znalazła szczęście za grobem.

Muzułmańskiemu pogrzebowi Amina Darwisza towarzyszyło mniej emocji, bo nie zostawił żony ani dzieci, które by go oplakiwały. Poza tym wielu z tych, którzy go znali, radowało się, że połączył się wreszcie ze swoją żoną Ratibą.

Demetriusowi zaszklily się oczy, gdy czytał krótki wiersz napisany przed laty przez Amina na cześć świeżo poślubionej żony:

***Widziałem wszystkie dzieła
naszego wielkiego Pana,
a poznając Ciebie, moja żono Ratibo,
oddaję serce jego najwspanialszemu dziełu
i chwałę Allacha za mądrość,
która sprawiła,
że dał taką piękność
tak nędznemu stworzeniu jak ja.***

Drżącymi palcami ostrożnie umieścił pomietą brązową karteczkę w złożonych dłoniach Amina, razem z trzema fotografiami Ratiby z mężem, zrobionymi dawno temu, w szczęśliwych czasach.

Pod koniec pogrzebu, chcąc uniknąć przyjaciół i znajomych zmarłego, którzy mieli się spotkać u Antounów, wziął ojca na stronę i powiedział: — Pójdziemy z Christine do domu Amina. Spakuję niektóre jego rzeczy.

Rano tego dnia Mustafa znalazł napisany przed wieloma laty list: mały piekarz zapisywał w nim cały swój skromny ziemski dobytek Demetriusowi Antounowi. Napisał, że kocha go tak, jakby był jego synem z krwi i kości.

— Synku, jesteś za bardzo poruszony, żeby zajmować się takimi rzeczami — powiedział George. — Jutro pomożemy ci razem z matką.

— Nie, tato, muszę się czymś zająć — odparł Demetrius. Poza tym chcę wysłać niektóre osobiste rzeczy Amina jego bratu w Jordanii.

Urzędnik OWP stacjonujący w Bejrucie Zachodnim zdołał ustalić miejsce pobytu brata Amina.

George z zadumą pociągnął się za wąsy.

— No cóż, dobrze.

Demetrius nachylił się do ojca i ucałował go w oba policzki

— Nie martw się, tato. Poradzę sobie.

George w milczeniu oparł się o futrynę drzwi i odprowadził wzrokiem syna i Christine, zmierzających do małego domku Amina Darwisza.

Sercem był przy synu. Jego myśli powędrowały wstecz. Dręczyło go wspomnienie pewnego uczynku ale powiedział sobie, że powinien zapomnieć o przeszłości, bo nie można jej zmienić. „Kto mógł wiedzieć, jak potoczy się nasze życie?” — mruknął do siebie pod nosem.

Mustafa dotknął jego ramienia; chciał wciągnąć go do dyskusji o najnowszym porozumieniu.

— Pan Bóg nie powinien dopuścić, żeby Palestyńczycy byli zmuszeni do takiego życia! — krzyknął George. Miał zaczerwienioną twarz, na jego szyi widać było nabrzmiałe żyły.

Mustafa otworzył ze zdziwienia usta i podrapał się po głowie, a George odmaszerował, mrużąc coś gniewnie.

Demetrius i Christine w milczeniu przemierzali dobrze znaną drogę do domu Amina. Demetrius w milczeniu liczył przyjaciół, których stracił z rąk Żydów, a Christine miała nadzieję, że będą mieli okazję się kochać.

Nie było im dane spędzić ani chwili sam na sam od dnia, w którym Izraelczycy napadli na Liban.

Wiele razy odwiedzali we dwoje dom Amina, wykorzystując

go jako miejsce sekretnych schadzek. Amin często specjalnie zachodził do szpitala, by poinformować Demetriusa, że przez cały dzień go nie będzie, bo idzie sprzedawać słodycze w zamożnych dzielnicach Bejrutu. Wiedział, że Demetrius i Christine ucieszą się z każdej intymnej chwili. W obozie Szatila nieżonatemu mężczyźnie i niezamężnej kobiecie trudno było o prywatność. Większość par musiała się zadowalać skradzionym pocałunkiem i przelotnym czułym uściskiem. Arabska społeczność uważnie obserwowała swoich nieżonatych synów i córki.

Zamknawszy drzwi, Demetrius wszedł do kuchni, wziął butelkę coli, a potem znalazł blaszane pudełko z ciastkami ryżowymi. Amin upiekł je specjalnie dla niego dzień przed swoją tragiczną śmiercią i Demetrius wiedział, że przyjaciel chciałby, żeby je zjadł. Nagle uświadomił sobie, że nigdy więcej nie będzie jadł przy stole Amina.

— Mam przedziwne uczucie, że Amin wcale nie umarł — stwierdziła Christine, wypowiadając to, co Demetrius czuł od chwili, gdy weszli do domu.

Gdy znaleźli się w pokoju, zaczęła podnosić zdjęcia Ratiby, rozrzucone przed ołtarzykiem, przyglądając się każdemu z nich z ciekawością.

— Mam wrażenie, że po prostu zniknął — dodała cicho. Demetrius wiedział, co Christine ma na myśli.

— Byliśmy tutaj tyle razy bez niego. Rzeczywiście wydaje się, jakby za chwilę miał przyjść. — Opadł na podłogę i podłożył sobie pod plecy kilka poduszek. Na kolanach postawił puszkę z ciastkami i butelkę z colą. — Boże, gdyby to była prawda.

Od śmierci Walida czuł się bezpieczniej, trzymając się z dala od swoich rówieśników. Amin był jego jedynym naprawdę dobrym przyjacielem w obozie.

Demetrius Antoun często czuł, że nie pasuje do arabskiej społeczności, którą nazywał swoją. Wydawało się, że Arabami rządzą emocje, a on miał zbyt logiczny umysł.

Usadowiwszy się na poduszkach, skinął na Christine, żeby też usiadła.

— Spróbujmy zapomnieć o tym dniu — powiedział. A potem zapytał nagle: — Christine, czy ty nienawidzisz Żydów?

Christine zeszywniała; otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć ani słowa.

— Nigdy nie zadawaj tego pytania Niemcowi — odparła wreszcie. — Nie mam do nich żadnych pretensji. — Była pewna, że źródłem pytania jest powszechne przekonanie, że wszyscy Niemcy uważają Żydów za podludzi.

Nie spuszczać z niej oczu, Demetrius upił łyk coli; wiedział, że dziewczyna ma więcej do powiedzenia na ten temat. Christine milczała przez chwilę, a potem dodała szybko:

— Właściwie bardzo lubię Żydów, wszystkich i każdego z osobna. — Z powodu swojego nazistowskiego dziedzictwa miała skłonność do przesady w wyrażaniu swojej sympatii i podziwu dla Żydów.

— Naprawdę? Ja nie. Ja ich nienawidzę — mruknął Demetrius, szukając dla niej w pudełku dużego ciastka.

— Demetriusie, to nieprawda! — W ciągu tego roku Christine poznała Demetriusa Antouna lepiej, niż on sam siebie znał. Podejrzewała, że stara się nie uzewnętrzniać swoich emocji, ale wiedziała, że jest łagodnym mężczyzną, niezdolnym do goryczy i nienawiści. — Pewnie chcesz powiedzieć, że nienawidzisz ludzi, którzy są odpowiedzialni za śmierć tych, których kochałeś. — Wyciągnęła palec i strząsnęła mu z wąsów okruchy; pragnęła, żeby przyciągnął ją do siebie i dotknął wąsami jej szyi, tak jak robił to wiele razy. Demetrius nie poruszył się jednak, więc mówiła dalej: — I nikt nie może cię o to obwiniać. Izraelscy żołnierze zabili bliskich ci ludzi. Nienawidzisz tych, którzy się tego dopuścili, a nie całego narodu.

Demetrius z uśmiechem wyciągnął do niej rękę z ciastkiem.

— Ależ tak. Nienawidzę wszystkich Żydów — odparł. Christine bez słowa wzięła ciastko.

Uśmiech zniknął z twarzy Demetriusa.

— Szkoda, że twój ojciec i jego koledzy nie wykończyli ich wszystkich. Christine upuściła ciastko na kolana i zakryła rękami uszy; w jej oczach widać było cierpienie.

— Nie będę tego słuchać!

— Pamiętaj, że pomagasz wrogom Żydów.

— Nie, nigdy nie myślę o tym w ten sposób.

Demetrius popatrzył na dziewczynę z zaciekawieniem.

— Hmm... — Przyszło mu do głowy, że Christine dręczy nienawiść do samej siebie, bo jest córką nazisty, który brał udział w popełnianiu jednej z najpotworniejszych zbrodni, jakie zna ludzkość. Ale jeśli rzeczywiście trapią ją wyrzuty sumienia, to dlaczego zgłosiła się na ochotnika do pomocy wrogom Żydów? Nie widział w tym sensu. Nagle zapragnął poznać źródło poczucia winy Christine. Przechylił głowę. — Powiedz mi, czemu jesteś w Bejrucie, a nie w Jerozolimie?

Christine pociągnęła się za kosmyk włosów, a potem wyznała:

— Zgłosiłam się do pracy w Izraelu, ale po kilku miesiącach wyjechałam.

— Uśmiechnęła się. — Żydzi świetnie dają sobie radę sami.

Oczy Demetriusa zwęziły się. Mimo że od prawie roku łączył ich intymny związek, bardzo mało o niej wiedział. Nie była Arabką, więc nigdy nie traktował tego związku serio, chociaż Christine była ładna, inteligentna i szanowana przez społeczność Szatili. Od zerwania z Halą Kenaan

Demetrius miał wiele romansów z europejskimi pielęgniarkami i wyzwolonymi libańskimi kobietami, poznanymi w Bejrucie. Kiedyś omal nie zginął z ręki wściekłego Libańczyka, który był przeciwny temu, żeby jego siostra spotykała się z Palestyńczykiem. Od początku wojny domowej Libańczycy zwrócili się przeciwko Palestyńczykom, uważając, że to właśnie oni są przyczyną wielostronnego konfliktu w ich kraju.

Demetrius wrócił myślami do terażniejszości. Popatrzył na Christine.

Nagle po raz pierwszy uświadomił sobie, że choć dziewczyna sprawia wrażenie spokojnej, w jej wnętrzu wrze gwałtowna walka. Zapragnął lepiej poznać tę Niemkę o skomplikowanej osobowości.

Christine również patrzyła w twarz Demetriusa, żałując, że nie zna jego myśli.

Demetrius odłożył puszkę z ciastkami i dopił colę, a potem rozciągnął się na podłodze. Oparł twarz na łokciu.

— Powiedz mi, Christine.

— Co mam ci powiedzieć?

— Wszystko.

Christine ucieszyła się. Od chwili, gdy przybyła do obozu Szatila, palestyńscy uchodźcy wypytywali ją o każdy aspekt jej życia. Wszyscy, oprócz Demetriusa Antouna. Jemu wystarczyło wyjaśnienie, że jest po prostu pielęgniarką, która pragnie podróżować po świecie i poznawać inne kultury, jednocześnie pomagając chorym i rannym. Wreszcie dzisiaj, jakby widząc ją po raz pierwszy, zaczął pytać o jej życie.

Z radością przyjmowała to, co powinno stać się dawno temu. W czasie swojego pobytu w Bejrucie zakochała się w Demetriusie i wykorzystywała każdą możliwość, żeby go lepiej poznać. Ale on od samego początku był milczący i niechętnie dzielił się swoją przeszłością. Dowiedziała się od jego przyjaciół paru nieistotnych faktów, lecz on sam nadal pozostawał dla niej zagadką. A teraz wreszcie okazał zainteresowanie historią jej życia.

Postanowiła mu ją opowiedzieć. Popatrzyła mu prosto w twarz i nagle poczuła się onieśmielona. Przeniosła wzrok na ręce i stopy, a potem na sufit, byle tylko uniknąć ciekawego spojrzenia wpatrzonych w nią oczu.

— Nie ma wiele do opowiedzenia — zaczęła. — Moi rodzice byli faszystami z Berlina. Postawili na Hitlera i przegrali. Ojciec był esesmanem, strażnikiem w getcie warszawskim. — Głos Christine wyraźnie się ożywił. — Mój dziadek i jedyny brat matki zostali wzięci do niewoli przez Rosjan. Babcia zginęła podczas bombardowania Berlina. Matka była sama, kiedy Rosjanie wkraczali do Berlina. Spóźniła się na ostatni pociąg na zachód, do sektora amerykańskiego, i została w Berlinie Wschodnim, zdana na łaskę rozwścieczonych rosyjskich żołnierzy. — Christine zamilkła na chwilę, po czym dodała: -To zrozumiałe, że Rosjanie mieli więcej powodów, aby nienawidzić Niemców... Matka wpadła w ręce oddziału mongolskich żołnierzy, kiedy wyszła z bunkra po jedzenie. Więzili ją przez tydzień i wielokrotnie gwałcili.

— O Boże, nie... — wyszeptał Demetrius.

Tak. I zabiliby ją, ale dowiedział się o tym rosyjski oficer i zmusił ich, żeby mu ją przekazali. Zabrał ją od nich całkiem nagą. Zdjął płaszcz i okrył ją, a potem zaprowadził do skonfiskowanego mieszkania. Matka myślała, że jest uratowana,

ale ten oficer trzymał ją tam zamkniętą przez trzy miesiące. Przynosił jedzenie i nie bił jej, ale gwałcił ją codziennie. — Christine patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. — Ten rosyjski oficer był dziwnym człowiekiem... Kazał matce udawać, że jest jego żoną, musiała mu gotować i masować nogi i mówił, że jeśli nie będzie przynajmniej udawać, że seks z nim sprawia jej przyjemność, to ją zabije. Musiał coś do niej czuć, bo kiedy zaszła w ciążę, załatwił aborcję i puścił ją. Znalazł sobie młodszą Niemkę.

— Christine, tak mi przykro.

— Tak, wiem. Bardzo niewielu ludzi zna tę stronę niemieckiej historii. — Przypomniała sobie inne incydenty, o których opowiedziały jej koleżanki matki. — Niewiele jest niemieckich kobiet czy nawet dziewczynek, które uniknęły zgwałcenia przez Rosjan. Wierz mi, Niemcy zapłacili wysoką cenę za swoje zbrodnie. — Christine zamilkła i pomyślała, że to już inna historia, a ona miała mówić o swojej rodzinie. — Tak czy inaczej, kilka miesięcy później matka i ojciec zdołali się odnaleźć. Żyli pod rosyjskimi rządami aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Tuż przed zbudowaniem muru berlińskiego uciekli z Berlina Wschodniego do Zachodniego. Miałam wtedy trzy lata.

Demetrius wyprostował się.

— A co z twoim ojcem? Mówiłaś, że był w SS? Christine skinęła głową.

— Jaka była jego rola w holokauście? Christine uśmiechnęła się.

— Nie uwierzysz mi, jak ci powiem. — Kiedy mówiła o doświadczeniach ojca w Polsce, słuchacze za każdym razem reagowali irytacją i niedowierzaniem.

— Powiedz mi, a zobaczysz, czy uwierzę.

Christine milczała przez chwilę, próbując uporządkować myśli; chciała, aby Demetrius wiedział, że jej ojciec nie był zły.

— Wierz mi lub nie, ale mój ojciec nie był typowym oficerem SS.

Friedrich Kleist był i jest dobrym człowiekiem. Nawet próbował ocalić kilku Żydów. — Wspomnienie ojca, teraz starego i złamanego człowieka, sprawiło jej ból. Spojrzała na Demetriusa, prostując ramiona, jak gdyby przygotowywała się na jego sceptyczną odpowiedź.

— Jak to? — spytał Demetrius, starając się, żeby w jego głosie nie dało się wyczuć powątpiewania. Wiedział trochę o drugiej wojnie światowej i o tym, że niektórzy Niemcy bywali niesłusznie oskarżani o zbrodnie wojenne, ale nigdy nie słyszał o samarytanach w przebraniach esesmanów.

Christine potrząsnęła głową.

— To okropna historia.

— Zachęcasz mnie, a potem się wycofujesz. Chcę wszystko wiedzieć. — Poglądził dziewczynę po dłoni i podniósł ją do ust, całując i pieszcząc patce.

— Więc przestań to robić!

Demetrius uśmiechnął się, pocałował palce Christine ostatni raz i położył jej rękę na swoich kolanach; była to dla nich obietnica.

— Brakowało mi ciebie. Potem pokażę ci, jak bardzo. Ale teraz opowiadaj o ojcu.

Christine odwzajemniła uśmiech i pomyślała, że żaden mężczyzna na świecie nie ma takiego erotycznego magnetyzmu jak Demetrius Antoun.

— Mów.

— Tak jak powiedziałam, ojciec zdołał przeżyć wojnę, nikogo nie zabijając. Nie było to łatwe, zwłaszcza że jego dowódcą był niejaki Karl Drexler... — Christine pociągnęła się za kosmyk ciemnych włosów, próbując sobie przypomnieć wszystko, co mówił jej ojciec. — W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku tenże pułkownik Drexler aresztował pewnego bogatego polskiego Żyda w getcie. Ojciec powiedział, że z jakiegoś powodu cała nienawiść Drexlera do Żydów skupiła się na tym jednym człowieku. Stary Żyd uciekł, ale zostawił dużą rodzinę i pułkownik wziął kilkoro jego wnuków jako zakładników. Kiedy Żyd oddał się w jego ręce, błagając o uwolnienie dzieci, pułkownik Drexler rozkazał ojcu torturować tego człowieka. Ojciec odmówił i spodziewał się kuli w łeb, ale pułkownik tylko się roześmiał i powiedział, że ojciec jest mięczakiem, że brakuje mu siły do wypełniania świętego dzieła Hitlera.

Christine mówiła teraz tak cicho, że Demetrius musiał się bardzo skupić, żeby usłyszeć jej słowa.

— Demetriusie, tego starego Żyda męczono i zabito na oczach mojego ojca... Udusili go struną pianina.

Demetrius znów ujął w dłonie jej rękę i uścisnął.

— A dzieci?

Oczy Christine zwilgotniały.

— Nie bardzo wiem, co się z nimi stało. Ojciec nie chciał więcej o tym mówić. Ale powiedział, że kiedy odkrył, że pułkownik Drexler planuje wysłać całą rodzinę do Trebłinki, Udzie wszyscy zginęliby w komorach gazowych, zaryzykował i ostrzegł ich. — Christine westchnęła. — Nigdy się nie dowiedział, czy komukolwiek z tej rodziny udało się uciec — poza jednym mężczyzną — ale sądził, że zostali spaleni w piecach Trebłinki.

— Czy powiedział im, co się stało z tym starcem? Christine wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Ale to jeszcze nie wszystko. Dobry uczynek ojca jemu samemu ocalił życie. Pod koniec wojny przypadkiem spotkał jednego z Żydów, o których myślał, że zginęli w obozie śmierci. To był wysoki, przystojny francuski Żyd, i ojciec mówił, że od razu go rozpoznał. Ten człowiek zdołał uniknąć komory gazowej w Treblince... Bóg jeden wie, jak... a potem walczył w warszawskim powstaniu przeciwko Niemcom. Ojciec opowiadał, że panował tam kompletny chaos. Polacy walczyli z armią niemiecką... Rosjanie stali u granic miasta... A potem, kiedy ojciec i pułkownik Drexler próbowali wrócić do Vaterlandu, wpadli w ręce uzbrojonych mężczyzn. Ten Francuz nie od razu rozpoznał ojca, ale natychmiast poznał Drexlera. Powiedział, że daruje pułkownikowi życie, jeśli ten udzieli mu pewnej informacji... Chciał wiedzieć, gdzie są dzieci. Ojciec mówił, że pułkownik Drexler się roześmiał i powiedział temu Żydowi, że wysłał je do Niemiec, do adopcji... Drażniąc się z nim, dodał, że na pewno wyrosną na dobrych nazistów. Żyd zabił go wtedy i ojciec myślał, że też zostanie zabity, ale kiedy tamten się opanował, przypomniał sobie, że ojciec ostrzegł jego rodzinę, i przekonał swoich towarzyszy, żeby go uwolnili i pozwolili mu uciec.

Christine zamilkła i po chwili dodała:

— To już koniec tej historii. Ojciec uciekł. Nigdy się nie

dowiedział, co się stało z tym Żydem, ale tak się jakoś działo, że wciąż miał do czynienia z tą rodziną.

— Ho, ho! — zawołał Demetrius. — Bardzo burzliwe życie.

— Czyje?

— Twojego ojca — odparł Demetrius, podnosząc się. Żył, kiedy naziści zdobywali władzę. Służył w zbrodniczej organizacji, jaką była SS. A jednak nie uległ tej obłąkanej idei. Pozostał człowiekiem pośród tych, którzy utracili człowieczeństwo, a nawet ryzykował życie, aby ocalić ludzi, do których wpajano mu nienawiść i rozkazywano mordować. Był świadkiem drugiej wojny światowej, najważniejszego i najtragiczniejszego wydarzenia dwudziestego wieku. Przez pewien czas żył pod rosyjską okupacją, a potem uciekł z żoną i dzieckiem. —

Demetrius popatrzył na Christine. — I po tym wszystkim, zamiast czuć odrazę do ludzi, nauczył swoją córkę troszczyć się o innych...

Christine uniosła brwi. Czyżby Demetrius się z nią drażnił?

Ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że tak nie jest.

Zastanowiła się nad jego słowami. Zawsze uważała swoje dziedzictwo za hańbiące. Kiedyś, po wizycie w obozie śmierci w Oświęcimiu w Polsce, wykrzyczała ojcu, że czuje do niego wstręt z powodu roli, jaką odegrał w masakrze Żydów. Friedrich Kleist rozplakał się i wyznał swojej jedynej córce, że przetrwał z tym poczuciem winy tylko dzięki temu, że wyrzucił z pamięci większość swoich doświadczeń ze służby w SS.

Tymczasem ze słów Demetriusa wynikało, że jej ojciec był bohaterem, a nie nazistowskim zbrodniarzem. Christine pozałowała surowych słów skierowanych do uwielbiającego ją ojca. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Demetriusa.

— Dziękuję ci, że to powiedziałaś.

Demetrius wyciągnął do niej rękę i dotknął delikatnie jej policzka.

— Bardzo bym chciał pewnego dnia poznać twojego ojca. Niewielu ludzi ma odwagę postępować tak, jak on.

Serce Christine podskoczyło z radości.

— Tylko powiedz kiedy, najdroższy — szepnęła, przytulając się do niego namiętnie.

Rozdział XVIII

OWP

W czasie izraelskiego oblężenia Bejrutu Zachodniego prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan i premier Izraela Menachem Begin wielokrotnie rozmawiali telefonicznie i wymienili mnóstwo listów. Gdy prezydent Reagan zaprotestował przeciwko ciągłym izraelskim atakom na obleżone miasto, Begin odpowiedział: „Celem tej wojny jest unicestwienie terrorystów w Bejrucie Zachodnim i czuję się tak, jakbym wysyłał armię do Berlina, żeby pogrzebała Hitlera w bunkrze”. Kiedy okazało się, że amerykański prezydent nie jest w stanie nakłonić Begina do zaprzestania nalotów i bombardowań, libańscy politycy poprosili Arafata, by ocalił Bejrut. Dopiero wtedy przywódca OWP zrezygnował z części swoich żądań i zgodził się zabrać swoich bojowników z Libanu.

Demetrius i Christine wrócili do domu Antounów po dziesiątej wieczorem. Słyszac gwar głosów za drzwiami, Demetrius mruknął z irytacją: „Jeszcze nie skończyli?”.

Christine się tym nie przejęła. Zapomniała o wszystkich złych doświadczeniach, jakich zaznała, nawet o niezręcznej chwili, gdy Demetrius wykrzyknął imię Hali w czasie aktu miłosnego. Położyła mu wtedy palec na ustach i szepnęła: „Ciii”. Nigdy więcej o tym nie wspominali.

Lek Christine ustąpił miejsca nadziei, że Libanka w końcu zostanie zapomniana.

Przyjemnie wyczerpana po miłosnym wysiłku, czuła jeszcze słodki nastrój ostatnich kilku godzin. Położyła rękę na ramieniu Demetriusa i przypomniała mu niskim, drżącym głosem: „Powiedziałeś kiedyś, że chociaż życie pełne jest cierpienia, powinniśmy cieszyć się naszymi radościami i zostawiać smutki za sobą”. Popatrzyła na kochanka, szukając w jego oczach oznak przywiązania.

Demetrius zastanawiał się, dlaczego kobiety tak długo po akcie miłosnym nadal trwają w miłosnej aurze, gdy tymczasem mężczyźni od razu przechodzą do innych spraw. Uśmiechnął się i puścił do niej szelmowskie oczko, a potem musnął palcem czubek jej nosa.

Gdy otworzył drzwi, do wnętrza domu wpłynęła gorączka sierpniowej nocy. Z ulgą zobaczył, że skrzydła małego elektrycznego wiatraka się kręcą, choć tylko wprawiały w ruch gorące powietrze. Od początku inwazji Izraelczycy dręczyli nieszczęsnych mieszkańców Bejrutu Zachodniego, co jakiś czas odcinając dopływ elektryczności. Dziś prąd był w Szatili pierwszy raz od ponad miesiąca.

Głosy stały się wyraźniejsze. Christine wyjrzała zza szerokich pleców Demetriusa. Na podłodze siedziało trzech nieznanych jej mężczyzn w mundurach, opierając się plecami o skrzynki od pomarańczy. Nieznajomi mówili wszyscy naraz, a George Antoun, dziadek Mitri i Mustafa Bader pili w milczeniu herbatę i uważnie słuchali.

Christine zaschło w gardle, gdy zobaczyła, że mężczyźni są uzbrojeni. Przyzwyczaiła się do widoku mężczyzn z bronią w Szatili i Bejrucie, ale pierwszy raz widziała kogoś z bronią w domu Antounów.

George Antoun nie wierzył w przemoc i wojnę, dlatego uczynił ze swojego domu oazę pokoju w Szatili. Christine nigdy nie widziała, żeby odstąpił od swojej żelaznej reguł „Z bronią wstęp wzbroniony”.

Co się stało?

Zanim zdążyła zapytać, najwyższy z trzech przybyszów poderwał się i mocno uściskał Demetriusa.

— Stęskniłem się za tobą! — zawołał.

Demetrius podniósł go i obrócił się, trzymając go w objęciach.

— Ahmed! To naprawdę ty?

— Pamiętasz mnie, stary przyjacielu?

— Trudno cię zapomnieć!

Christine znieruchomiała, obserwując to gorące powitanie. Mężczyzna imieniem Ahmed był prawie tak wysoki jak Demetrius, ale szczupły, niemal kościsty. Był wynędzniały, lecz Christine pomyślała, że gdyby o siebie zadbał, byłby bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Ahmed przechylił głowę na bok, roześmiał się hałaśliwie i odsunął Demetriusa na długość ramion, po czym przyjrzał mu się uważnie. Jego brązowe oczy błyszczały.

— Na Boga, patrzcie tylko — powiedział. — Większy i przystojniejszy niż kiedykolwiek. I podobno jesteś doktorem! Bóg cię pobłogosławił, Demetriusie! Wiedziałem, że tak będzie!

Zerknął na Christine, nie kryjąc zaciekawienia, a potem niespodziewanie podszedł do niej, złapał ją za prawą rękę i zaczął nią potrząsać.

— Chodź tutaj, Demetriusie. Co, wstydzisz się przedstawić mnie swojej przyjaciółce?

Christine mimowolnie zmarszczyła nos i odsunęła się. Ahmed cuchnął. Demetrius klepnął Ahmeda w plecy.

— Christine, przedstawiam ci Ahmeda Fayeza, mojego starego przyjaciela. Ahmed, to jest Christine Kleist, jedna z czterech pielęgniarek w naszym szpitalu. Christine pochodzi z Niemiec.

Christine zmarszczyła brwi. Była czymś więcej dla Demetriusa niż pielęgniarką w jego szpitalu! Drażniło ją, że arabscy mężczyźni unikają nawet najdrobniejszej wzmianki o osobistych związkach z kobietami.

Objęła Demetriusa w pasie i przysunęła się, by pokazać nieznanym, że znaczy dla niego więcej, niż powiedział.

Ahmed uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko do nich obojga.

Skonsternowany Demetrius przestąpił z nogi na nogę i ręka Christine opadła z jego pasa. Po chwili obaj z Ahmedem,

przepychając się z radości jak mali chłopcy, weszli do pokoju i usiedli na podłodze.

Starsi mężczyźni patrzyli na nich z uśmiechem, jakby przypomnieli sobie swoją młodość i bez troskę.

Christine stała samotnie, czując się niezręcznie i zastanawiając się, co powinna zrobić. Być może Mary i Abeen siedziały razem w drugim pomieszczeniu i szyjąc, dzieliły się wrażeniami z tego smutnego dnia, ale Christine nic była w nastroju, żeby z nimi rozmawiać. Chciała być z Demetriusem tak długo, jak to możliwe. Rozejrzała się po pokoju. Mary zdążyła już przykryć większość mebli czarną krepu. Rodzina Anlounów była w żałobie. Czarna tkanina zasłaniała wszystkie obrazy i okna, a nawet duże lustro wiszące na najdłuższej ścianie dużego pokoju.

Christine wiedziała, że w czasie żałoby arabska rodzina nie słucha również radia, nie ogląda telewizji ani nie czyta książek dla przyjemności. Trwa to przez rok. Chrześcijanie znajdują pocieszenie w Biblii, muzułmanie sięgają do Koranu.

W plastikowych miskach na środku stołu leżały resztki kolacji, która składała się z bakłazana, plasterków mięsa, jogurtu, czarnych oliwek i okrągłego chleba. Burczenie w brzuchu przypomniało Christine, że razem z Demetriusem nie zjedli lunchu ani obiadu. Nałożyła jedzenie na dwa talerze i podała jeden Demetriusowi.

Nie zwracając na nią uwagi, Demetrius wziął talerz i zaczął jeść, nie przerywając ożywionej rozmowy z Ahmedem.

Christine miała wrażenie, że obaj mężczyźni czują się tak, jakby byli sami w pokoju pełnym innych ludzi. Usiadła cicho obok Demetriusa i zaczęła powoli jeść, uważnie przy słuchując się rozmowie. Szybko zrozumiała, że Ahmed i dwaj pozostali przybysze są bojownikami Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

— Gdzie byliście, kiedy Izraelczycy wkroczyli do południowego Libanu?

— spytał Demetrius.

Ahmed wziął kromkę chleba i plasterek mięsa z talerza Demetriusa.

— W Sydonie — odparł, przeżuując jedzenie.

— A potem?

Twarz Ahmeda spochmurniała.

— Wyparli nas. Przedostaliśmy się do miasta i zatrzymaliśmy na odpoczynek w Sabrze.

— Zawsze maszerujecie nie tam, gdzie trzeba — burknął niegrzecznie dziadek Mitri.

Zakłopotany George Antoun odchrząknął. Bojownicy popatrzyli na George'a, dając mu do zrozumienia, że nie czują się obrażeni.

— A gdzie byliście w czasie oblężenia? — spytał Demetrius.

— Zostaliśmy w Sabrze. — Spoglądając to na jednego, to na drugiego rozmówcę, Ahmed podniósł ręce do góry. — Gdzie mieliśmy pójść?

Położony na południe od miasta obóz uchodźców Sabra prawie przylegał do Szatili. Obydwa były bezlitośnie bombardowane.

— Przez dwa miesiące siedzieliśmy w tunelach wykopanych pod obozem — powiedział najstarszy z bojowników, Ali. — Wychodziliśmy tylko po to, żeby bić się z Izraelczykami.

Christine zrozumiała, skąd wziął się odór roztaczany przez przybyszów. Czowała też jednak ich dumę, że udało im się przetrwać w walce z jedną z najlepiej wyposażonych i wyszkolonych armii świata. Noszą swój brud jak order, pomyślała. Uśmiechając się do nich, powiedziała sobie, że są bohaterami, a nie terrorystami. Izraelczycy nie mieli racji, gdy ich tak nazywali.

— Spaliśmy i walczyliśmy — dodał najmłodszy z bojowników, Mohammed. — Takie było nasze życie.

— Ale tym razem prawie nas wykończyli — przyznał Ali. Ahmed roześmiał się cicho, jakby te straszne chwile nie zrobiły na nim wrażenia.

— Nigdy im się to nie uda! Trzymają nas za gardło od lat. Nie mogą nas wykończyć, boją się jednak, że wymkniemy im się spod kontroli.

Wszyscy się roześmiali.

— Nie tylko wy żyliście jak szczury w norach — mruknął Demetrius.

— Tak, zapędzili nas w róg. Nikogo jednak nie dopadli, Bogu dzięki — odparł Ahmed, który najbardziej bał się zamknięcia i ślubował, że raczej odbierze sobie życie, niż pozwoli wsadzić się do więzienia.

— Nic nie mogło powstrzymać Żydów — mruknął Mustafa.

Wszyscy wiedzieli, że lekka broń, którą dysponowali bojownicy OWP, nic nie zdziałała przeciw izraelskim myśliwcom. Ich życie było coraz nędzniejsze, bo Izraelczycy odcięli dopływ wody do Bejrutu Zachodniego w najgorętszym miesiącu, lipcu.

Ahmed i Demetrius jedli z tego samego talerza. Christine popatrzyła na nich z ciekawością. Bojownicy OWP mieszkali z rodzinami w Szatili i Demetrius opatrywał ich i leczył bez pytania o zapłatę, lecz Christine nie wiedziała, że łączy go przyjaźń z członkami organizacji. Ilekroć poruszała temat bojowników, Demetrius zmieniał kierunek rozmowy, mówiąc, że jego powinnością jest leczenie ludzi, nie ich zabijanie.

Kiedyś, podczas jednej z rzadkich okazji, gdy rozgadał się na ten temat, powiedział Christine, że rozumie pragnienie zemsty bojowników, lecz mordowanie się nawzajem przez Żydów i Arabów nie jest rozwiązaniem. Według niego rozwiązanie można znaleźć tylko pokojowymi metodami.

— Biblijny werset „oko za oko, ząb za ząb” tylko wszystkich zaślepią — stwierdził ponuro.

Christine zaczęła podejrzewać, że Demetrius nie powiedział jej wszystkiego o swojej przeszłości. Słowa Ahmeda tylko wzmocniły jej przypuszczenie, że obaj mężczyźni przeżyli razem jakąś przygodę, o której nie wiedziała.

Ahmed uśmiechnął się i kilka razy klepnął mocno Demetriusa w plecy.

— George, powinieneś zobaczyć swojego syna w Karameh. Przysięgam przed Allachem, że Demetrius Antoun może w pojedynkę załatwić stu Żydów! Gdyby został żołnierzem, a nie lekarzem, w Bejrucie nie byłoby Żydów!

Ali przyznał mu rację.

— To prawda. Wolałbym rzucić się z kijem na żydowski czołg, niż stanąć naprzeciwko Demetriusa z tuzinem ludzi.

Ahmed uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Widzisz? Nie jestem z tych, co łąją. Ali też tam był! Mohammed popatrzył z podziwem na Demetriusa.

— Słyszałem o twoim wyczynie — rzekł.

Demetrius był wyraźnie zakłopotany i próbując zmienić temat, spytał:

— Gdzie jest Yassin? I Hawad?

Uśmiech Ahmeda znikł; mężczyzna odwrócił ze smutkiem głowę.

— Straciliśmy Hawada w zeszłym roku. A Yassin zginął w Sabrze. — Zamilkł na chwilę. — Trafił go odłamek fosforowy i Yassin zamienił się w pochodnię. Jeszcze na drugi dzień jego ciało się żarzyło!

Demetrius siedział z posępną twarzą. Wiedział dobrze, jak straszną śmiercią zginął ten palestyński bojownik. W czasie największego natężenia izraelskich ataków dwoje młodych ludzi przyniosło do szpitala swoją małą córeczkę, ofiarę bomby fosforowej. Demetrius włożył dziecko do miednicy z wodą, ale nic nie mogło ugasić ognia.

— Nie mogę uwierzyć, że Yassina spotkał taki koniec — wykrztusił wreszcie.

Ahmed powoli potrząsnął głową. Nie było potrzeby mówić tego, co wszyscy wiedzieli. Izraelczycy wypierali się używania bomb fosforowych, mimo że międzynarodowe agencje informacyjne potwierdziły wiele przypadków straszliwej śmierci od takich bomb. Demetrius spojrział na ojca.

— Yassin ocalał mi życie w Karameh. Wszyscy byli poruszeni, lecz nikt się nie odezwał. Wreszcie Demetrius przerwał ciszę, zwracając się do Ahmeda:

— Naprawdę musisz uciekać z kraju?

Każdy wiedział, że głównym punktem żądań Izraelczyków było opuszczenie przez bojowników OWP Libanu. Ahmed odetchnął głęboko i odpowiedział szorstkim głosem:

— Uwierzyłbyś w coś takiego? Kazano nam się umyć, obciąć włosy, zgolić brody i wynieść się z kraju w ciągu tygodnia. — Wzrok Ahmeda nabrał natchnionego wyrazu. — Zostaliśmy zdradzeni przez naszych arabskich braci. A teraz... — zamachał gniewnie rękami, jego twarz się ściągnęła — ...Libańczycy każą nam się wynosić.

— Co na to Abu Amar? — spytał Mustafa. Ahmed zacisnął dłonie w pięści.

— Co on może zrobić? Jeden człowiek przeciwko połączo-

nym siłom Żydów, Amerykanów i Libańczyków! Jeśli nie zgodzimy się na te warunki, Bejrut Zachodni zostanie zrównany z ziemią. — Po chwili dodał ciszej: — Musimy uciekać, żeby ocalić kobiety i dzieci.

Sześciu mężczyzn zaczęło ożywioną dyskusję, jaki los czeka Jasira Arafata i innych członków OWP. Od tygodni krążyły pogłoski, że bojownicy OWP wraz z przywódcą zostaną zmuszeni do opuszczenia Bejrutu. Inne arabskie kraje, dbając o własne interesy, doszły do porozumienia, a Palestyńczykom przypadła rola przegranych. Nikt nie mógł uwierzyć w taką zdradę. OWP przez wiele lat była ważną częścią życia Bejrutu.

Izraelczycy wygrali — w rzeczywistości i na papierze. Kiedy napadli na Liban, swojego najbardziej przyjaźnie nastawionego sąsiada, ich głównym celem było wypędzenie stamtąd śmiertelnego wroga, Abu Amara, znanego świata jako Jasir Arafat.

Ali wyglądał, jakby miał się rozplakać.

— Znów na wygnaniu! George zrobił głęboki wdech.

— Jak można wygnąć człowieka, który już jest na wygnaniu? Nikt na to nie odpowiedział.

— Żydzi są jak wygłodniałe tygrysy — rzekł po chwili Mustafa. —

Muszą pożreć wszystko. — Potrząsnął smutno głową. — Po tej porażce droga do Palestyny jeszcze bardziej się wydłużyła.

Mężczyźni zapadli w ponure milczenie.

Na twarzy Ahmeda malowało się ogromne zmęczenie, jakby wiedział, że skończyła się ostatnia bitwa i został pokonany. Miał jeszcze inne

zmartwienie: bał się, że może nigdy nie wrócić do Libanu ani do Jordanii.

Jak palestyńscy cywile będą się mogli bronić przed wrogami, kiedy ich bojownicy rozproszą się po całym świecie arabskim? Arafat wybrał na miejsce swojego wygnania Tunezję, a Tunezja była daleko. Ahmed odsunął od siebie na razie te myśli i spojrzał na Demetriusa.

— Moich przyjaciół i mnie spotkał wielki zaszczyt. Zostaliśmy wybrani, żeby wyjechać z naszym przywódcą. Wyjeżdżamy z Zarab w poniedziałek, trzydziestego. Będziesz tam, przyjacielu?

Demetrius nie wahał się ani chwili.

— Będę.

Ahmed skinął z zadowoleniem głową, a potem spojrzał na Christine.

— Zabierz ze sobą swoją kobietę. To historyczna chwila.

— Ona też tam będzie.

Ahmed uśmiechnął się i nie wstając, skłonił się i pocałował Christine w rękę. Spojrzał na przyjaciela.

— Szczęściarz z ciebie, Demetriusie. Ale uważaj na nią. Szakale tylko czekają na swoją szansę.

Demetrius skinął głową, nic jednak nie powiedział; uznał, że nie jest to odpowiedni moment, żeby mówić o swoich słabych punktach. Uważał, że bojownicy OWP przesadnie oceniają niebezpieczeństwa grożące nieuzbrojonym cywilom pozostającym w obozach uchodźców. Zresztą czy można się było dziwić, że przesadzają?

Stojąc w drzwiach, Ahmed wyciągnął ręce, żeby ostatni raz uściskać Demetriusa, i Christine ze zdumieniem zauważyła, że bijący od niego odór już jej nie przeszkadza.

30 sierpnia 1982 roku Michel Gale siedział w kucki na skraju opuszczonego betonowego stanowiska bojowego Zarab w Libanie. Pałac papierosa, wrócił myślą do listu, który dostał tego dnia od ojca, z wieścią o tym, co zrobiła Jordana. Był wściekły na siostrę, że przysparza rodzicom zmartwień. Powiedział sobie, że jak tylko wypełni swoją misję, polecą do Nowego Jorku, znajdzie siostrę i przywiezie ją do Jerozolimy. Jako dziecko, Jordana często sprawiała kłopoty. Gdy dorosła, jej zachowanie stało się nie do zniesienia.

Westchnął gniewnie, a potem skupił uwagę na bieżących sprawach.

Popatrzył wokół, zastanawiając się, jak długo będzie musiał czekać na znienawidzonego wroga.

Wybrał punkt obserwacyjny z taką samą pieczołowitością, jaka cechowała wszystkie jego poczynania. Mieścił się on przy bramie przystani, skąd można było wyraźnie zobaczyć twarze mężczyzn przechodzących przez bramę w drodze do kolejnego wygnania. Zły nastrój Michela przysł. O mało nie roześmiał się

głośno. Palestyńscy bandyci wreszcie dostawali to, na co zasłużyli! Czekał z lornetką w jednej ręce i niewielkim aparatem w drugiej. Zgonił dużą muchę, która usiadła mu na policzku. Z kamienną twarzą patrzył na ludzi stłoczonych po obu stronach drogi. Sierpniowe słońce grzało mocno; na górnej wardze Michela zebrały się krople potu. Jego mundur przesiąkł wonią starego dymu papierosowego.

— Jeszcze jeden dzień — mruknął pod nosem. — Jeszcze tylko jeden dzień.

Po lecie wypełnionym zaciekłymi bojami w ramach operacji znanej światu pod nazwą „Pokój dla Galilei”, a przez izraelski dowództwo nazywanej „Śnieżną Kulą”, osiągnęli cele wyznaczone przez ministra obrony Izraela, Ariela Szarona. Wrog został pokonany, a jego żołnierze odizolowani i rozproszeni na terenach należących do ośmiu krajów arabskich. Przez dziewięć dni Michel obserwował wydalanie z Libanu partyzantów OWP robiąc zdjęcia i zapamiętując twarze mężczyzn, których, jak sądził, będą musieli zabić w jakiejś przyszłej akcji.

Dziś, 30 sierpnia 1982 roku, po dziesięciu lalach przebywania w Libanie, jeden z najbardziej upartych przeciwników Izraela Jasir Arafat, opuszczał kraj.

Michel bez przerwy obserwował ulicę. W tłumie panowało coraz większe poruszenie. Nagle rodziny wyjeżdżających bu jowników OWP oraz ciekawscy obywatele Libanu, zebrani przy drodze, zaczęli krzyczeć i wiwatować. Michel jednym płynnym ruchem przesunął pasek aparatu na lewe ramię i zatnął żył lustrzane okulary, kierując uwagę na rozgrywającą się w dole scenę. Do przystani zmierzał konwój dżipów i ciężarówek. Mężczyźni stojący na ulicy zaczęli strzelać w powietrze z karabinów i pistoletów.

Jasir Arafat opuszczał miasto. Otaczali go dyplomaci, ekipy filmowe z różnych krajów, partyzanci OWP i palestyńscy zwolennicy. Tłum wpadł w histerię na widok niskiego, niechlujnego mężczyzny noszącego na głowie *kafiję* niczym koronę, z pistoletem przy boku.

Wyćwiczony w panowaniu nad emocjami w czasie akcji, Michel patrzył obojętnie na rozemocjonowany tłum. Czekał na

ten dzień dłużej, niż sięgała jego pamięć. Żałował tylko, że Stephen nie żyje i nie może widzieć upokorzenia Palestyńczyków. Uśmiechnął się leciutko na myśl, że pewnie litowałby się nad wrogiem. Mimo nieporozumień Michel nie umiał gniewać się na Stephena Grossmana, który gotów był bronić każdego, kogo jego zdaniem źle traktowano. Może świat potrzebuje takich ludzi.

Usunął ze świadomości myśl o Stephenie. Oddział francuskiej legii cudzoziemskiej w odprasowanych mundurach khaki i identycznych okularach powstrzymywał falujący tłum. Żołnierze mieli surowe twarze i muskularne ciała. Michel szanował legionistów. Przywódcę Palestyńczyków otaczali posepnie wyglądający amerykańscy *marines*. Michel poczuł złość, widząc, że wyjazd przywódcy OWP zamienił się w święto. Przed nim i za nim szli wiwatujący gapie. Arafat uśmiechał się i machał ręką do tłumy, zachowując się jak zwycięzca, a nie pokonany. Michel zacisnął zęby i skrzywił się gniewnie. W jego oczach Arafat był symbolem zła. Nienawidził tego człowieka i wszystkiego, co sobą reprezentował. Musiał stłumić w sobie gorące pragnienie zabicia Arafata. Begin, premier Izraela, rozkazał nie strzelać. Obiecał amerykańskiemu prezydentowi, Reaganowi, iż Arafat opuści Bejrut żywy. Jasir Arafat miał szczęście, że Michel Gale zawsze wykonywał rozkazy.

Palestyński przywódca zdecydowanym krokiem maszerował wzdłuż warty honorowej OWP. Zatrzymał się na chwilę, żeby zaszalutować przed opuszczonym sztandarem OWP, a potem strażnicy skierowali go pośpiesznie do czarnej limuzyny, którą odwieziono go na nabrzeże. Arafat miał tu wsiąść na pokład greckiego liniowca „Atlantis” i wyjechać na zawsze z Libanu.

Na widok rozpraszającego się tłumy na ustach Michela pojawił się zimny uśmiech. Arafat dobrze odegrał rolę zwycięskiego bohatera, teraz jednak opuszczał miasto, które pomógł doprowadzić do ruiny. Czy się do tego przyznawał, czy nie, uciekał, wyrzucony z kraju przez wroga, którego obiecywał zniszczyć.

Michel zdjął okulary i schował je do kieszeni, a potem, wolno przesuwając lornetkę, obserwował twarze ludzi. Nagle

zatrzymał ją na widok znajomej kobiecej twarzy. Widział ją wyraźnie w blasku słońca... ładną... drobną. Kobieta miała skórę białą jak kość słoniowa i była ubrana w luźną zieloną sukienkę; Michel zastanawiał się, czy próbuje ukryć bujny biust, który tak dobrze zapamiętał. Jej ciemne włosy były ściągnięte z tyłu żółtą wstążką. To była ta sama kobieta, która rzucała na niego obelgi dwa tygodnie temu, ostatniego dnia bombardowania. Powinien był się domyślić... zwolenniczka Palestyńczyków.

Już miał przesunąć lornetkę, gdy zauważył mężczyznę stojącego obok kobiety. Był wysoki i potężnie zbudowany. I przystojny. Michel zamrugał oczami; poczuł się nieswojo. W wyglądzie mężczyzny było coś znajomego. Sięgnął do pamięci, zastanawiając się, czy to niejeden z bojowników OWP, któremu udało się uniknąć wygnania z Libanu. Nie wiedząc, co robić, zmrużył oczy. Kobieta skierowała spojrzenie prosto na niego. Oczy Christine rozszerzyły się, gdy go rozpoznała. Szturchnęła Demetriusa i wskazała na izraelskiego żołnierza.

— Spójrz! To ten żydowski żołnierz, o którym ci opowiadałam. Michel Gale zeszywniał, gdy Demetrius popatrzył na niego. Ich spojrzenia spotkały się i znieruchomiały. Christine przestraszyła się nagle. — Chodźmy stąd, Demetriusie. — Pociągnęła go za rękę. Demetrius uwolnił rękę i nadal śmiało patrzył na Żyda. Mimo że nie wypowiedział ani słowa, wyraz jego twarzy mówił wszystko: Michel Gale był dla niego zniechęconym wrogiem.

Christine znowu pociągnęła go za rękę. Teraz Bejrutem rządzą Żydzi i nie chciała, żeby zwrócili uwagę na Demetriusa.

— Proszę cię...

Wreszcie Demetrius odwrócił się powoli i odszedł. Nie chcąc, aby Żyd pomyślał, że się boi, zatrzymał się na zatłoczonej ulicy, poprawił Christine wstążkę, a potem czule pogładził ją po policzku i poprowadził przez tłum.

Ten gest był tak delikatny i niespodziewany, że zaskoczył Michela.

Zawsze widział w arabskich mężczyznach tylko terrorystów.

Z niewiadomego powodu długo myślał o wysokim Palestyńczyku i ciemnowłosej dziewczynie.

Rozdział XIX

Masakra

Pogrążeni w smutku Palestyńczycy z obozu Szatila siedzieli beczynn timer przez piętnaście dni po przymusowej ewakuacji bojowników OWP. Potem zajęli się porządkowaniem swojego życia. Sprawni fizycznie mężczyźni i nastoletni chłopcy usuwali gruz i naprawiali zniszczone bombami domy. Oczyszczono ulice, targowiska z produktami spożywczymi wznowiły działalność.

Demetrius Antom wraz ze swoimi współpracownikami za-murowywał dziury w murach szpitala, zakładał nowe zasłony, czyścił splamione krwią podłogi, instalował nowe przewody elektryczne i rury kanalizacyjne. Palestyńczycy nabrali nadziei, że ich życie wróci do normy. Hojownicy OWP wyjechali. Zobowiązanie izraelskiego rządu wobec rządu Stanów Zjednoczonych, że nie będzie więcej ataków na obozy uchodźców, wydawało się szczere. A obecność izraelskiej armii położyła kres libańskiej wojnie domowej.

Niektórzy postrzegali koniec wojny domowej jako nagrodę za to, że przetrwali izraelską inwazję.

Potem jednak doszło do niefortunnego wydarzenia, które przypieczętowało los wielu Palestyńczyków. Czternastego września 1982 roku o godzinie 16.10 Baszir Gemayel, błyskotliwy nowo wybrany prezydent Libanu, chrześcijanin-maronita, zaczął wykład dla grupy młodych aktywistek społecznych. Kilka minut później zdalnie zdetonowana bomba zamieniła trzykondygnacyjny budynek, w którym odbywał się wykład, w stertę gruzu.

Mimo że zamach przeprowadziła Syryjska Partia Narodów, winą obciążono Palestyńczyków.

Demetrius poczuł nerwowy skurcz w żołądku, gdy jego ojciec, George, wszedł bez zapowiedzi do małej sześciennej klitki, służącej mu za gabinet.

Co znowu? — pomyślał, spoglądając znad biurka.

George Antoun, wyglądający w tej chwili na znacznie więcej niż sześćdziesiąt cztery lata, które miał, rzekł:

— Straszne nieszczęście, synku.

Demetrius natychmiast odłożył podręcznik medyczny, który właśnie przeglądał.

— Co się stało?

Podniósł się z krzesła, pełen obaw. Coś musiało się stać matce albo dziadkowi. George zawsze unikał szpitala syna twierdził, że widok fizycznego cierpienia to dla niego zbyt wiele.

— Nadchodzą wielkie kłopoty — oznajmił ojciec. Demetrius zamrugał nerwowo.

— Tato! Dobijasz mnie.

— Usłyszałem wiadomość w radiu — wyjaśnił pośpiesznie George. — Są obawy, że Baszir Gemayel zginął w wyniku zamachu!

Demetrius uderzył się dłonią w czoło.

— Nie!

— Tak — odparł George. — Powiedz mi, na kogo spadnie wina?

Demetrius zastanawiał się przez chwilę. Baszir Gemayel był przywódcą Falangi, faszystowskiej bojówki utworzonej w 1930 roku przez jego ojca. Baszir uważał, że przyczyną kłopotów Libanu są Palestyńczycy, i nie krył się z tym poglądem. Krążyły pogłoski, że jest kierowany przez Begina i obiecał mu, że jeśli zostanie wybrany na prezydenta, wypędzi wszystkich Palestyńczyków z kraju. Po latach niemile widzianego wpływu Palestyńczyków na libańskie sprawy Baszir zdobył popularność wśród większości Libańczyków i przed trzema tygodniami został prezydentem. Z powodu jego nieprzyjaznych wypowiedzi

na temat Palestyńczyków uchodźcy widzieli w maronickim prezydencie swojego zajadłego wroga. Jeśli Baszirowi rzeczywiście coś się stało, wina spadnie na nich.

Demetrius wiedział, że nowy libański prezydent był młody i pełen energii.

— Zastrzelono go? — spytał, podchodząc do ojca. George przestąpił z nogi na nogę.

— Nie. Bomba. Wysadzono kwaterę główną Falangi w Asz-rafijeh. Zebrały się setki ludzi, żeby posłuchać przemówienia prezydenta. — Rozejrzał się szybko i dodał: — Kto wie, ilu ludzi zginęło.

Demetrius opuścił głowę.

— Zidentyfikowano zwłoki?

— Nie, jeszcze nie — odparł ściszym głosem George. — Ale gdyby żył, czy nie ogłosiłby tego?

Demetrius kiwnął głową i spojrział na duży ścienny zegar. Wziął z biurka gruby podręcznik, a potem zdjął biały kitel.

— Dochodzi szósta — powiedział, klepiąc ojca w plecy. — Zawołam Christine. Niedługo przyjedziemy. — Widząc, że ojciec jest niepokojąco blady, pochylił się i uściśnął go. — Wracaj do domu i spróbuj się uspokoić. — Najpierw pójde do Mustafy sprawdzić, czy słyszał wiadomość — oświadczył George i wyszedł z pokoiku.

Demetrius zamknął na klucz drzwi szpitala i poszedł szukać Christine. Mówiła mu wcześniej, że musi zmienić opatrunek Nabilowi Badramowi, trzyletniemu palestyńskiemu chłopcu, który stracił obie nogi podczas ostatnich dni izraelskich nalotów. Dziecko płakało z bólu przy poruszaniu się i Christine codziennie chodziła do jego domu, oszczędzając małemu dodatkowego cierpienia związanego z wizytami w szpitalu.

Demetrius nie mógł przestać myśleć o Baszirze Gemayelu. Jako Palestyńczyk czuł pewną ulgę, ponieważ Baszir Gemayel był jedynym człowiekiem w Libanie, który miał wystarczającą władzę i charyzmę, by doprowadzić do wypędzenia jego rodaków. Jednak jako lekarz i humanista Demetrius żałował każdego straconego życia i współczuł cierpiącej rodzinie zmarłego.

Martwiły go przewidywania ojca. Palestyńczycy z pewnością zapłacą, tylko jaką cenę? Izraelczycy już zabili setki uchodźców,

a OWP została wypędzona. Ale podejrzenie, że sprawcami zamachu są Palestyńczycy, samo się nasuwało.

Spotkał Christine, gdy wychodziła z domu Badramów. Po drodze przedstawił jej sytuację. Szli ostrożnie, omijając leje i dziury po pociskach, których pełno było w chodniku, i oboje widzieli napięcie w ruchach innych przechodniów.

Kiedy dotarli do domu Antounów, trafili na rodzinną sprzeczkę. George i Mitri słuchali wiadomości radiowych, a Man twierdziła, że takie zachowanie nie przystoi w okresie żałoby.

— Myślicie, że Amin Darwisz może słuchać w grobie radia? — spytała surowo. — Błagam was, nie popełniajcie takiego grzechu!

Nikt się nie zdziwił, gdy Mitri machnął ręką na znak lekceważenia dla synowej. Z wiekiem dziadek stawał się coraz trudniejszy.

George też był uparty.

— Mary, nie słuchamy dla przyjemności! Musimy wiedzieć co się dzieje, dla własnego bezpieczeństwa!

Mężczyźni są jak dzieci, pomyślała Mary — zawsze znajdują wymówki dla tego, co robią. Ale koniecznie chciała, żeby ostatnie słowo należało do niej.

— Żałoba to nie piknik! — mruknęła, wychodząc z pokoju. Pomyślała, że zajmie się przygotowywaniem posiłku i spróbuje pogodzić się z tym, że mężczyźni są tacy słabi.

Od 1948 roku Mary Antoun przeżyła cały szereg katastrof! Teraz mogła tylko zaakceptować smutek, który, jak uznała, jest naturalnym składnikiem losu Palestyńczyków. Żałowała każdego zabitego młodego człowieka, lecz tak naprawdę troszczyła się tylko o szczęście i bezpieczeństwo swojego syna i męża. To, że jej rodzina wyszła bez szwanku z libańskiej wojny domowej i gwałtownych izraelskich ataków, sprawiło, iż czuła, że nad tymi, których kocha, czuwają aniołowie. W czasie najgorszych bombardowań Demetrius chodził po ulicach i opalał rannych, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia rodziny Mitri upierał się, żeby być wtedy blisko niego, twierdził, że jeśli Bóg jest sprawiedliwy, skieruje izraelskie bomby na starca, który przeżył już swoje życie, a nie na młodego mężczyznę, mającego przed sobą długie lata. Ani George, ani Mary nie

mogli przekonać żadnego z nich, żeby się kryli przed samolotami. Były to dla Mary trzy miesiące okropnego strachu. Od lat nie czuła się tak szczęśliwa jak teraz, gdy wojna się skończyła, jej piękny syn był cały i zdrowy.

Demetrius bez słowa usiadł obok dziadka i razem patrzyli na radio, wsłuchując się intensywnie w głos spikera.

Christine westchnęła. Mężczyzna, którego kochała, zawsze czymś się martwił. Weszła do kuchni, nadziała na zaostrzony patyk kilka oliwek i wzięła kawałek chleba.

Mary poklepała ją lekko po dłoni.

— Niedługo będzie kolacja! — powiedziała. Christine uśmiechnęła się do niej.

Od śmierci Amina bardzo się do siebie zbliżyły.

Mary patrzyła, jak Christine zagląda pod pokrywki garnków stojących na gazowej kuchence.

Wiedząc, że gospodyni woli być w kuchni sama, Christine wzięła jeszcze trochę oliwek i wyszła do sypialni. Zamknąwszy drzwi, zdjęła poplamioną krwią sukienkę i włożyła wygodne spodnie. Ze względu na trwające w mieście napięcie i niepokoje, Mary nalegała, żeby została w Szatili i przenocowała w pokoju Demetriusa, który miał spać u dziadka, tak jak w dzieciństwie. Ucieszyło to Christine, bo mogła dłużej przebywać z ukochanym. Umyła twarz i ręce, a potem dołączyła do siedzących w dużym pokoju mężczyzn i usiadła na poduszce obok Demetriusa. George nastawił odbiornik na prowadzoną przez Falangę radiostację „Głos Libanu”. Słuchali spikera, który uparcie twierdził, że Baszir Gemayel nie odniósł żadnych obrażeń i wyszedł ze zrujnowanego budynku o własnych siłach.

— On żyje? — spytała ze zdziwieniem Christine. George zmarszczył brwi. — Nie sądzę.

— Gdyby to była prawda, sam mówiłby teraz przez radio — powiedział Demetrius. Dziadek Mitri potrząsnął głową, a potem klepnął się kościstą ręką po udzie. Miał niedobre przeczucie w związku z tą sprawą, ale nie umiał go określić, więc milczał.

Zjawili się Mustafa i Abeen Baderowie, wchodząc do domu bez pukania. Abeen poszła do kuchni, a Mustafa usiadł w pokoju.

— Słyszałem z dobrego źródła, że libański prezydent został tylko ranny — oznajmił. — Jest w szpitalu.

Przerwano wiadomości. Na chwilę zapadła cisza, a polem rozległy się dźwięki marsza żałobnego. Demetrius klasnął w ręce.

— A więc nie żyje!

— Tak to bywa z dobrymi źródłami — mruknął Mitri. Nikt nie ośmielił się przewidywać przyszłości, ale Christine poczuła skurcz w żołądku.

— Ludzie Baszira są znani z dobrej pamięci — stwierdził Demetrius, — Będą chcieli pomścić swojego przywódcę.

— Chodźcie na kolację — przerwała mu Mary. Fajansowe naczynia popękały w czasie bombardowań i teraz wszyscy musieli jeść z plastikowych misek.

Mimo że Mary przyrządziła smacznego kurczaka z ryżem i soczewicą, atmosfera w domu Antounów była ponura. Spoglądając na zasepione twarze wokół, George otarł usta i powiedział

— Nawet w najgorszych tarapatach musimy znaleźć w sobie siłę, żeby się cieszyć.

Mary zgodziła się z nim:

— George ma rację. Żyjemy. Bogu niech będą dzięki! Nikt się jednak nie cieszył. Wszyscy zastanawiali się, czy przeżyli ataki Izraelczyków tylko po to, żeby zginąć z rak libańskich braci.

Nazajutrz o 5.30 rano, kiedy Demetrius pił wczesną kawę z ojcem, usłyszeli silniki odrzutowców. Samoloty leciały bardzo nisko. Obaj mężczyźni wymienili pełne obaw spojrzenia.

— Tato, przy bramie stoją jacyś nieznajomi — powiedział po chwili Demetrius. Jego głos był tak cichy, że ledwo go było słychać.

George, który w trudnych sytuacjach nigdy nie tracił głowy, natychmiast skoczył obudzić ojca i żonę.

— To nie są nieznajomi! — zawołał przez ramię. — Izraelczycy wrócili! Demetrius pobiegł do Christine.

— Ubieraj się, prędko! Musisz zejść do schronu!

— Co? Dlaczego?

— Izraelczycy wrócili! Christine nie mogła w to uwierzyć.

— Dlaczego? — powtórzyła pytanie przez zamknięte drzwi, zdejmując nocną koszulę i wciągając sukienkę przez głowę.

Demetrius nie odpowiedział. Pomagał matce pakować do lorby nieliczne cenne przedmioty, które miała zabrać ze sobą do schronu.

Christine wyszła z sypialni, podskakując przy wkładaniu nutów to na jednej, to na drugiej nodze. Weszła do dużego pokoju akurat w chwili, gdy Mary Antoun chowała do czarnej torebki oprawione zdjęcie Demetriusa.

Kiedy byli gotowi do opuszczenia domu, ryk silników umilkł.

Niespodziewanie zjawiała się Madżida, przełożona pielęgniarek w szpitalu Demetriusa.

— Właśnie dostaliśmy nowy biuletyn — oznajmiła. — Izraelczycy twierdzą, że w obozach ukrywa się jeszcze trzy tysiące terrorystów! — Jej brat był w Bejrucie Wschodnim i szpiegował Izraelczyków.

— To niedorzeczne! — zawołał George.

— Tu nie ma żadnych terrorystów! — powiedziała Christine, spoglądając najpierw na Demetriusa, a potem na Madżidę. — Mogę to potwierdzić! Madżida wzruszyła ramionami.

— Izraelczycy są innego zdania. W biuletynie podano, że armia izraelska wkrótce wkroczy do Bejrutu Zachodniego.

Demetrius ruszył w stronę drzwi.

— Muszę pójść do szpitala. Będziemy mieli rannych. Christine pobiegła za nim.

— Idę z tobą!

— Synku, bądź ostrożny! — zawołała Mary. Przypomniała sobie, że jeszcze wczoraj cieszyła się, iż nic mu nie grozi. Czyżby ściągnęła na niego spojrzenie złego oka?

Demetrius odwrócił się w drzwiach i uśmiechnął do matki.

— Jeśli usłyszysz, że samoloty znów nadlatują, idź do schronu. I nie martw się... nic mi nie będzie. Ale możesz się za mnie modlić. — Jak większość Arabów, chrześcijan czy muzułmanów, Demetrius wierzył, że chwila jego śmierci jest już

zapisana. Umrze w chwili, która Bóg mu wyznaczył. Ani minuty wcześniej i ani minuty później. Razem z Christine i Madzidą ruszyli do szpitala. Kiedy już się tam znaleźli, podarli prześcieradła i zrobili z nich bandaże, które starannie ułożyli na stole. Szybko zrobili inwentaryzację i okazało się, że brakuje wszystkiego oprócz sulfonamidów i lekarstw na przeziębienie. Demetrius zamierzał uzupełnić zapas medykamentów w przyszłym tygodniu. Nie przypuszczał, że Izraelczycy wznowią ataki na obozy. Każdy mieszkaniec Libanu wiedział, że Begin obiecał Reaganowi, że bombardowania Bejrutu Zachodniego się zakończą. I tak spełniał tę obietnicę!

Czekali i czekali, ale nic się nie działo.

Trzy godziny później usłyszeli pierwsze eksplozje. Odgłosy silnych wybuchów dobiegały z Bejrutu Zachodniego, kilka minut drogi od Szatili.

Na dyżur zgłosili się dwaj sanitariusze, Anwar i Nizar. Anwar był starszy i spokojniejszy, ale dzisiaj jego głos drżał.

— Mój kuzyn przyszedł właśnie z Bejrutu Wschodniego Mówi, że Izraelczycy okrążają obozy.

— Jak myślisz, co się dzieje? — spytał Demetriusa Nizai

— Tylko Bóg zna ich plany — odparł Demetrius.

— Powiedziałabym, że prędzej zna je diabeł — burknęła Christine, wściekła na Izraelczyków.

Do szpitala zgłosiło się kilku pacjentów. Wkrótce było ich znacznie więcej, przeważnie z ranami od odłamków.

Pracowali w czasie lunchu i po południu. Pacjenci zlewali im się w jedną krwawą masę. Z każdą upływającą godziną wieści były coraz gorsze.

Gdy jeden z pacjentów powiedział, że uciekł przed czołgiem, Anwar poszedł ocenić sytuację. Wrócił spanikowany.

— Wokół obozu stoją izraelskie czołgi! — Pociągnął Demetriusa za rękę. — Co zrobimy ?

Demetrius zaszywał ranę na szyi jakiejś kobiety.

— Będziemy robić swoje — odparł.

Christine wciągnęła gwałtownie powietrze, słysząc terkoj karabinu maszynowego. Boże, co się dzieje? Czy Izraelczycy wkroczą do obozu?

Palestyńczycy są bezbronni. Po wypędzeniu

bojowników OWP cywile w obozach zostali bez ochrony. Christine czuła zbliżające się niebezpieczeństwo.

Szpital zalali wkrótce pacjenci z ranami postrzałowymi.

— Snajperzy... — wyszeptał mężczyzna z raną w piersi, gdy Demetrius zaczął go badać. — Są wszędzie. — Zmarł, zanim Demetrius dokończył badanie.

W szpitalu zjawiała się Maha Fakharry, mająca już ponad sześćdziesiąt lat. Trzymając się za rękę, powiedziała, że postrzelono ją, gdy wyszła z domu.

— Demetriusie — jęknęła. — W Szatili są uzbrojeni Izraelczycy.

Strzelają do kobiet i dzieci!

Demetrius popatrzył na nią i krzyknął:

— Nizar!

Sanitariusz przybiegł natychmiast.

— Tak, doktorze?

— Idź sprawdzić, co się dzieje z moją rodziną. Jeśli są w domu, każ im biec — nie iść, tylko biec — do schronów. Prędko!

— Ci, którzy mnie postrzelili, nie byli Żydami — szepnęła Maha. — Postrzelili mnie Arabowie.

Demetrius pomyślał, że Maha majaczy.

Nocne godziny upływały czasem powoli, czasem bardzo szybko.

Demetrius zajmował się większością poważnych przypadków, a lżejsze rany opatrywały pielęgniarki. Nie jadł ani nie pił od sześciu godzin.

Operując rękę rannego dziecka, pozwolił Christine włożyć sobie do ust kilka kawałków mięsa i chleba. Chłopiec stracił rękę poniżej łokcia i Demetrius musiał odciąć postrzeżone kawałki tkanki i kości, zanim zatamował upływ krwi.

— Będzie mu trzeba zrobić transfuzję — powiedział do Christine.

— Nie ma więcej krwi.

— Wiem. — Spojrzał na kałuże krwi rozlanej na podłodze szpitala... zmarnowanej krwi. Na jego twarzy lśnił pot.

Christine otarła ją białym bandażem.

Kiedy Demetrius kończył operację, słaby oddech dziecka ustał. Chłopiec zmarł.

Demetriusowi opadły ramiona. Długo patrzył bez słowa na Christine.

— O Boże! — jęknął. Był bliski łez.

— Co się dzieje?

— Nie wiem, po prostu nie wiem. — Nagle przypomniał sobie o rodzicach. — Widziałaś Nizara?

— Tak. Zapomniałam ci powiedzieć. Już dawno wrócił. Kazał ci powiedzieć, że rodziców i dziadka nie było w domu. Musieli pójść do schronu.

— Bogu dzięki. — Spojrzał na Christine. — Nie mów lepiej nikomu, ale Mana Faknarry twierdzi, że napastnikami byli Arabowie — wyszeptał. Zanim zdążyła zareagować na tę szokującą wiadomość, przed szpitalem rozległy się okrzyki przerażenia. Demetrius pobiegł do frontowego pomieszczenia, a Christine za nim.

W poczekalni było pełno uzbrojonych żołnierzy.

Christine pociągnęła go za rękę.

— Żydzi! — szepnęła głośno.

Ale Demetrius wiedział, że żołnierze z całą pewnością nie są Żydami. Byli ubrani w zielone wojskowe mundury i mówili po arabsku. Ich dowódcą był najwyraźniej szczupły mężczyzna z wąsami. Podszedł do Demetriusa i szturchnął go karabinem

— Kto tu jest szefem?

Demetrius skierował lufę broni na podłogę. Nie kryjąc gniewu, odparł śmiało:

— Ja. To mój szpital. Czego chcecie?

Serce Christine załomotało, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Nie okazywał ani respektu, ani strachu, tylko wściekłość. Ci ludzie mogą go przecież zabić!

— Przyszliśmy zabrać twój personel na przesłuchanie. Oczyszczamy obóz z terrorystów.

— Ty głupi ośle, tu nie ma żadnych terrorystów! Wron z mojego szpitala. Nie widzisz, że opatrujemy rannych? Ci ludzie umrą, jeśli ich teraz zostawimy. Żołnierz rozejrzał się po sali pełnej pacjentów.

— Czy oni wszyscy są Palestyńczykami? — zapytał. Na obrzeżach Szatili mieszkało sporo ubogich Libańczyków, muzułmanów-szytów, którzy często korzystali z pomocy mieszkańców obozu.

— Wszyscy są ludźmi — odparł Demetrius.

— Wskaż Palestyńczyków. Jedna z sióstr otworzyła usta.

— Nie odpowiadaj! — krzyknął Demetrius. Cztery pielęgniarki wybuchnęły płaczem.

— Chcemy tylko Palestyńczyków — oznajmił żołnierz. — Libańczycy są wolni.

— Idź do diabła! — zawołał Demetrius, a potem spytał: — Kim ty właściwie jesteś?

Obejrzał dokładnie mundury mężczyzn. Wszystkie były zielone, ale nie było na nich żadnych naszywek. Demetrius wiedział, że intruzi są Libańczykami, nie mógł jednak ustalić, do jakiej frakcji czy organizacji należą.

— To ja zadaję pytania — warknął żołnierz. Odwrócił się do swoich podwładnych. — Zabierzcie cały personel na zewnątrz. Zostawcie chorych. — Spojrzał na kipiącego wściekłością Demetriusa. Wolał uniknąć konfrontacji w obecności pacjentów, którzy mogli być Libańczykami. Wróci i przesłucha ich, kiedy doktor nie będzie mógł się wtrącać. — Ty i twój personel będziecie musieli z nami pójść — powiedział pojednawczym tonem. — Nie zatrzymamy was dłużej niż godzinę. Potem będziecie mogli wrócić do swojej pracy.

Demetrius spojrzał na Christine, rozważając, jaki ma wybór. Jej twarz pobieliała, ale nie wiedział, czy z gniewu, czy ze strachu. Postanowił spełnić polecenie, mając nadzieję, że żołnierz mówi prawdę. Popatrzył na pacjentów. — No dobrze. Niczego sami nie ruszajcie. I nie martwcie się, za godzinę wrócimy.

Szli w milczeniu, prowadzeni przez żołnierzy poza teren obozu.

Demetrius badał wzrokiem otoczenie, usiłując zorientować się w sytuacji, obóz był jednak dziwnie cichy. Widział strzaskane okna i wyłamane drzwi, ale żadnych ludzi, żywych czy martwych. Uznał, że mieszkańcy obozu muszą siedzieć w schronach. Taką przynajmniej miał nadzieję. Miał też nadzieję, że intruzi należą do jakiejś frakcji renegatów.

Izraelczycy z pewnością zrobiliby z nimi porządek, gdyby odkryli, że strzelają do cywilów.

Christine czuła, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Dlaczego żołnierze nie przesłuchali ich w szpitalu? Czemu zadawali sobie tyle trudu? Była przekonana, że zostaną rozstrzelani.

Spojrzała na Demetriusa, który mrugnął do niej i uśmiechnął się dla dodania otuchy.

Nizar, Anwar i Madżida szli za nimi; ktoś popłakiwał. Mogł obejrzeć się i zobaczyć kto, ale byłoby to niegrzeczne. Pewnie Nizar, pomyślał Demetrius. Był młody, łatwo ulegał emocjom i strachowi. Poza tym w ciągu ostatnich trzech miesięcy czterech członków jego rodziny zginęło w izraelskich nalotach.

Po dziesięciu minutach marszu dotarli do bramy obozu. Kreciło się tu kilkudziesięciu żołnierzy, paląc papierosy, jedząc i pijąc.

Eskortujący ich grupę żołnierz kazał im zaczekać. Wspiął się na wzgórze, a potem wszedł do siedmiokondygnacyjnego budynku.

Demetrius odprowadził go wzrokiem. Gdy drzwi za żołnierzem się zamknęły, spojrzał na wyższe piętra budynku. Na dachu stali izraelscy żołnierze. Wszyscy spoglądali przez lornetki na oboz. Demetrius zdziwił się. Wyglądało na to, że Izraelczycy wykorzystują budynek jako punkt dowodzenia. Czy Żydzi wiedzą, co się dzieje w obozie? Czy ci arabscy żołnierze im podlegają? Zdezorientowany, spojrzał w stronę obozu. Jeśli Żydzi biorą w tym udział, mieszkańcom Szatili grozi poważne niebezpieczeństwo.

Nizar, Anwar i Madżida spuścili głowy i patrzyli na ziemię. Każde spojrzenie na prześladowców mogło być źle odczytane.

Christine, która czuła się chroniona przez swoją niemiecką narodowość, obserwowała pilnujących ich żołnierzy. Zdziwiła się, widząc, że kilku z nich to atrakcyjne kobiety. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy dwie splunęły na nią, wołając: „Palestyńska dziwka!”.

Demetrius zareagował tak, jakby go spoliczkowano. Skoczył w ich stronę. — Zamknijcie swoje brudne gęby! Christine zamarła.

Demetrius zaczął gwałtownie potrząsać jedną z kobiet.

— Hańba! Jesteś hańbą dla swojej rodziny! Idź do domu swojego ojca, tam jest twoje miejsce! — krzyczał.

Pięciu żołnierzy-mężczyzn rzuciło się do nich. Odprowadzana przez towarzyszkę kobieta obejrzała się przez ramię i zaklęła głośno, nazywając Demetriusa wściekłym psem.

Otaczało go pięciu żołnierzy z dzikimi oczami, mierząc prosto w jego pierś. Demetrius drażnił się z nimi:

— Lubicie twarde kobiety, tak jak Izraelczycy? Żołnierze dalej mierzyli w Demetriusa.

— Nie pierwszy raz ktoś we mnie celuje — oznajmił wyzywająco Demetrius.

Christine, która do tej pory milczała, podeszła do niego.

— Jestem Niemką — powiedziała po arabsku. — Zostawcie go! Żołnierze zaczęli szeptać między sobą, spoglądając to na Demetriusa, to na Christine. Najwyraźniej nie wiedzieli, co zrobić z wziętą do niewoli Niemką.

— Czy twój narzeczony też jest Niemcem? — spytał jeden z nich.

— Tak! — skłamała. — Jest Niemcem! Demetrius odsunął ją na bok i krzyknął:

— Jestem Palestyńczykiem, świnie!

Uzbrojonych mężczyzn aż świerzbiły palce, żeby go zastrzelić, ale bali się to zrobić bez rozkazu dowódcy.

Kiedy ten wrócił, powiedzieli mu o narodowości Christine. Zmarszczył brwi i zaczął chodzić tam i z powrotem, zastanawiając się, co robić dalej. Wreszcie złapał Christine za rękę.

— Chodź ze mną. Uwolnimy cię i przekazemy twojej ambasadzie. — Odwrócił się do żołnierzy. — Zabierzcie tę czwórkę na stadion na przesłuchanie. Kiedy żołnierze ruszyli z Demetriusem i personelem szpitala w przeciwną stronę, Christine poczuła, że jeśli zostaną rozdzieleni, nigdy więcej nie zobaczy ukochanego. Zaczęła krzyczeć, gryźć i kopać. Wrzeszczała tak głośno, że kilku młodszych żołnierzy zatkało sobie uszy. Arabski dowódca próbował ją odciągnąć, ale zdołała mu się wyrwać. Rzuciła się do Demetriusa, krzycząc:

— Nie! Nie!

Demetrius przytulił ją mocno.

— Christine, nie denerwuj się — szepnął. Zjawił się izraelski żołnierz i zapytał po arabsku:

— Co tu się dzieje? Ostrzegałem was przed takimi sytuacjami! —

Rozejrzał się niepewnie. — Parę minut temu dokładnie w tym miejscu byli zagraniczni dziennikarze!

Najwyraźniej arabscy żołnierze wykonywali rozkazy Żydów,

bo wbili wzrok w ziemię, zmieszani gniewną reakcją Izraelczyka. Oczy Christine rozszerzyły się ze zdumienia. Żyd był tym samym żołnierzem, którego widziała już dwa razy: z balkonu we Wschodnim Bejrucie 12 sierpnia i w bazie Zarab, w dniu ewakuacji Arafata. Żołnierz jej nie rozpoznał i próbował odciągnąć ją od Demetriusa. Ale Demetrius trzymał mocno Christine jedną ręką, a druga wykręcił rękę Michela Gale'a.

Michelowi wydawało się, że pękną mu kości, zdołał jednak zachować nieruchomą twarz.

Był roslim i silnym mężczyzną, lecz Demetrius Antoun był wyższy i potężnie umięśniony. Michel zdziwił się, że Arab nie zdradza lęku.

Spojrzał mu prosto w twarz.

Demetrius Antoun, Arab, i Żyd Michel Gale patrzyli sobie w oczy — dwaj mężczyźni po przeciwnych stronach okrutnego konfliktu. Wszyscy znieruchomieli i spoglądali na nich w milczeniu.

Demetrius ścisnął Izraelczyka jeszcze mocniej.

— Puść ją — powiedział.

Siła przeciwnika zdumiała Michela; zbladł i puścił dziewczynę. Demetrius zwolnił uścisk. Michel potrząsnął kilka razy ręką. Arabski dowódca poinformował go:

— Ta kobieta mówi, że jest Niemką. A ten Palestyńczyk jest jej narzeczoną.

Twarz Christine była mokra od łez.

— Nie pozwolę wam go zabrać — ostrzegła gniewnym pełnym determinacji głosem. — Jeśli to zrobicie, poniesiecie konsekwencje, których się nie spodziewacie. — Uznała, że kłamstwo może wzmocnić jej pozycję, więc dodała; — Moj ojciec jest wysokim urzędnikiem niemieckiego rządu. Jeśli zabierzecie któregokolwiek z tych ludzi, cała Europa dowie się o waszej brutalności! Mój ojciec tego dopilnuje!

Michel nagle przypomniał sobie tę parę. A więc pomylił się — kobieta nie była Libanką ani nawet Palestynką, tylko Niemką! Rozdzierały go sprzeczne emocje. Nienawidził Niem-

ców najbardziej na świecie po Arabach. Spojrzał uważnie na Christine, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Dostał od przełożonych rozkaz, żeby trzymać z dala dziennikarzy, kiedy Libańczycy będą oczyszczać obóz z terrorystów, a ta dziewczyna mogła przysporzyć im poważnych kłopotów.

— Zabrać ich w bezpieczne miejsce — powiedział. — Wszystkich. I uwolnić po wykonaniu zadania. — Otarł usta wierzchem dłoni. — Nikogo nie krzywdzić. — Spojrzawszy po raz ostatni na więźniów, odwrócił się, zamierzając odejść.

Demetrius nie był jednak usatysfakcjonowany.

— Muszę wrócić do Szatili. Mam tam pacjentów, którymi trzeba się zająć.

Kolejna niespodzianka. Michel odwrócił się do niego.

— Jesteś lekarzem?

— Tak. W moim szpitalu są ciężko ranni pacjenci. Michel wiedział, że nie może ustąpić.

— Twoi pacjenci będą musieli obejść się bez ciebie, doktorze — oświadczył.

Wyczuwając, że ma jakiś niezwykły wpływ na Żyda, Christine spytała błagalnym tonem:

— A co z jego rodziną? Ma w obozie rodziców. Michel uśmiechnął się do niej.

— Czy są terrorystami? — zapytał. Christine westchnęła z desperacją.

— Ależ skąd.

— Jeśli nie są terrorystami, to nie mają się czego bać — zapewnił ją Michel, po czym odwrócił się i ruszył w stronę budynku. Bardzo chciał zabrać ze sobą tę dziewczynę, dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale wiedział, że nie poszłaby nigdzie bez tego Araba, a to byłoby zbyt ryzykowne. Spodobała mu się jej odwaga i determinacja. Ze zdumieniem musiał przyznać, że wydała mu się bardzo atrakcyjna, mimo że była Niemką związaną z Palestyńczykiem. Najgorsza możliwa kombinacja! Christine patrzyła przez chwilę na odchodzącego Michela. Wiedziała, że ocalił Demetriusowi życie. Od początku izraelskiej inwazji na Liban zawsze myślała o żydowskich żołnierzach jako o bezmyślnych mordercach — ale czy tak było naprawdę?

Największe niebezpieczeństwo było zażegnane; Madżida Nizar i Anwar otoczyli Christine. Madżida objęła ją za szyję.

— Christine, dziękuję ci... uratowałaś nas — szepnęła. Żołnierze zaprowadzili całą grupę na otoczone murem podworko. Demetrius, Christine i pozostali słyszeli odgłosy strzelnic i ciężkie wybuchy prawie przez cały czas podczas dwoi i dni i nocy, kiedy pozostawali uwięzieni. Demetrius nie mógł zasnąć; chodził tam i z powrotem, martwiąc się o pacjentów, rodziców i wszystkich ludzi w Szatili, których znał. Był pewien, że na terenie obozu dzieje się coś strasznego. Uwolnienie przyszło niespodziewanie. Zjawił się Libańtk w niechlujnym mundurze i otworzył bramkę.

— Możecie wracać do piekła — oznajmił rzeczowym tonem u Skoczyli na równe nogi. Madżida, Nizar i Anwar wybiegli pierwsi. Chcieli jak najszybciej dowiedzieć się, co się dzieje z ich rodzinami.

Demetrius wyciągnął rękę do Christine.

— Wyośmy się stąd. — Ciągnął ją szybciej, niż mogła iść. Najpierw zajrzymy do pacjentów, a potem pójdziemy do domu

— Twoja rodzina rozchoruje się ze zmartwienia.

— Tak, wiem.

Usłyszeli ryk buldożerów, zanim weszli do obozu. Demetrius prawie biegł. Christine ledwie za nim nadążała.

Gdy weszli do obozu, to, co zobaczyli, sprawiło, że stanęli oszołomieni. Szatila już nie wyglądała jak Szatila. Domy zostały zburzone, a w miejscach, gdzie były sklepy i urzędy, leżały stosy gruzu. Buldożery kontynuowały dzieło zniszczenia.

Kiedy znaleźli się na miejscu, w którym kiedyś stał szpital, Christine wzdrygnęła się z przerażenia. Patrzyła, jak poblady Demetrius chodzi bez celu, kopiając kawałki metalu i betonu, szukając jakiegoś znaku, który świadczyłby, że jeszcze niedawno był tutaj szpital. Zostało tylko rumowisko gruzu.

Demetrius i Christine patrzyli na siebie, nie mogąc wydobyć słowa. Co się stało z ich pacjentami?

Nagle, przypomniawszy sobie o rodzicach, Demetrius złapał Christine za rękę i pociągnął ją ulicą w stronę domu Antounów

Christine potknęła się i przewróciła; Demetrius poderwał ją na nogi.

Dyszeli ciężko, odchodząc ze strachu od zmysłów.

Demetrius modlił się po cichu: „Boże, pozwól im żyć”.

Oddalając się od terenu wokół szpitala, zobaczyli, że większość domów jest nienaruszona. Demetrius poczuł nadzieję, widząc, że domy Darwisza i Baderów nie poniosły uszczerbku.

Christine wydała okrzyk radości, kiedy zobaczyła dom rodziców Demetriusa.

Demetrius wpadł do środka z zaczerwienioną z niepokoju twarzą.

— Tato? Mamo? Dziadku?

W domu panowała dziwna cisza.

Christine szła za nim, rozglądając się z przerażeniem. Wnętrze domu było jedną wielką ruiną. Poprzewracane meble, strzaskane lustra, porozrzucana żywność. Na ścianach ktoś wypisał czarną farbą różne obrzydliwości. Christine poruszała wargami, czytając bezgłośnie słowa nienawiści: „Zerznę twoją siostrę! Śmierć terrorystom! Palestyńskie kobiety nie rodzą dzieci, tylko terrorystów!”.

Demetrius wszedł do pokoju na tyłach domu.

— Mamo! — zawołał pełnym napięcia głosem. — To ja, Demetrius! Jesteś tutaj?

Rozglądając się, Christine zauważyła czarną torbę należącą do Mary Antoun — tę samą, do której razem z Demetriusem zapakowała najcenniejsze rodzinne przedmioty. Leżała otwarta, pusta, najwyraźniej rzucona przez kogoś innego niż właścicielka. Christine krzyknęła cicho, ogarnięta lękiem.

— Demetrius! — zawołała drżącym głosem. Demetrius przeszedł wąskim korytarzem do pokoju i stanął, przytłoczony panującym wokół chaosem. Christine wskazała torbę jego matki. Demetrius zadrżał,

Christine podeszła do niego i położyła głowę na jego piersi, szukając u niego pocieszenia i starając się dać pocieszenie jemu.

— Pewnie obrabowano ich, zanim dotarli do schronu. Demetrius próbował odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć ani słowa.

Christine poszukała dłonią jego twarzy. Była zimna jak lod.

— Boję się, że stało się coś strasznego — wykrztusił wreszcie Demetrius. Przez chwilę zastanawiał się, co powinni zrobić.

— Najpierw sprawdzimy u Baderów, a potem w domu Amina — powiedział w końcu. — Później zajrzemy do schronu. — Westchnął i dodał posepnie; — Jeśli nie będzie ich w którymś z tych miejsc, poszukamy w szpitalach.

Pobiegli do domu Mustafy Badera.

Dom był nienaruszony, lecz nie znaleźli nikogo w środku.

Ani Demetrius, ani Christine nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli w domu Amina. Ktoś wypróżnił się na zdjęcia Ratily i poduszki w pokoju stołowym.

Demetrius cofnął się, potrząsając z odrazą głową.

— Czy ci ludzie byli opętani?

Pobiegli do najbliższego schronu, ciemnego teraz i opustoszałego.

Wszędzie leżały śmieci i kawałki jedzenia, co wskazywało, że niedawno korzystało z niego wielu mieszkańców Szatili. Demetrius wyszedł na zewnątrz, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

— Najpierw sprawdzimy w szpitalu Gaza — wyszeptał. W drodze do Gazy zobaczyli pierwsze skupisko ciał, ułożonych na ulicy jak szczapy drewna na opał. Christine nie potrafiła już ukryć lęku.

— Demetriusie, to była masakra — jęknęła i zatoczyła się do tyłu.

Demetrius wszedł między zwłoki. Młody mężczyzna leżał z rękami związanymi z tyłu. Został zadźgany bagnetem. Obok leżały zastrzelone kobiety i dzieci. Starszy mężczyzna miał rozplątany brzuch. Demetrius rozpoznał kilku pacjentów, których zostawił w szpitalu. Ciało Mahy Fakharry leżało na zwłokach dziecka. Musiała się bronić, bo została brutalnie pobita.

Mordercy nie zapomnieli o zwierzętach. Obok trzech kociat leżała zabita kotka. Ranny koń, przewrócony na bok, podrygiwał w kałuży krwi; życie ledwie się w nim tliło. Demetrius załkał i uderzeniem dużego kamienia położył kres cierpieniom biednego zwierzęcia.

W powietrzu unosił się okropny odór.

— Boże drogi! — wymamrotała Christine i powtórzyła: — To masakra. Demetrius obejrzał dokładnie ciała, a potem podszedł do Christine, wziął ją za rękę i odprowadził na bok.

— Nic nie możemy dla nich zrobić.

Ulicę dalej natknęli się na miejsce drugiej masakry. Rozpoznając sukienkę w różowe kwiaty, którą matka miała na sobie, kiedy ją ostatnio widział, Demetrius podbiegł do stosu ciał leżących pod ścianą.

— Mamo!

Sukienka Mary Antoun była zadarta, bielizna porwana.

Z twarzą zalaną łzami Demetrius ściągnął sukienkę z głowy matki i okrył jej obnażone ciało. Mary Antoun została zakłuta bagnetem — miała rany w plecach i w boku.

Christine szlochała histerycznie, kołysząc się w przód i w tył na kolanach. Dziadek Mitri leżał na brzuchu, pod ciałem synowej. Został zabity strzałem w ucho.

Oszalały z rozpaczy Demetrius biegał od jednego ciała do drugiego, wołając: „Tato!”. Oglądał splątane zwłoki, niektóre po cztery albo pięć razy. Wreszcie spojrzał na Christine i potrząsając ze zdumieniem głową powiedział:

— Taty tu nie ma.

— Och, Demetriusie! — krzyknęła Christine. Wstała i chwiejnie podeszła do ciała Mary Antoun. Zadrzała, widząc oprawione zdjęcie syna zaciśnięte w jej dłoniach. Nawet w chwili śmierci Mary myślała tylko o ukochanym synu. Christine zrzuciła z fotografii kawałki szkła, przycisnęła ją do piersi i znów opadła na kolana. — Boże! Żeby to był zły sen!

Ulicą biegł Mustafa Bader.

— Demetrius! To ty! Demetrius odwrócił się.

— Mustafa! Mustafa dyszał ciężko.

— Musisz iść. Szybko! Twój ojciec jest w szpitalu Gaza. Jeszcze żyje!

Demetrius chwycił Mustafę za ramiona i mocno ścisnął.

— Czy tata wie, że mama i dziadek nie żyją?

Mustafa zaszlochał.

— Tak. Był tutaj. Wszystko widział! — Mustafa zaniósł się płaczem. — Ale nie mógł ich uratować.

Szpital Gaza był przepełniony rannymi i umierającymi. Łóżko George'a Antouna wciśnięto do małej salki przeznaczonej na magazyn lekarstw. Do jego ramienia przyczepiona była kroplówka. Mordercy strzelili mu w brzuch i zostawili, sądząc że nie żyje. Gdyby Mustafa go nie znalazł, umarłby na miejscu masakry. George wiedział, że umiera, lecz zmusił się, aby żyć... żyć po to, aby zobaczyć jeszcze syna.

Żył ze strasznym sekretem i musiał wyznać ten sekret synowi zanim umrze. Zamknął oczy. Oszczędzał siły.

Abeen Bader wachlowała George'a. Lekarz powiedział jej mężowi, że George ma już niewiele czasu, i chciała zapewnić mu tyle komfortu, ile się da. Była zdruzgotana. Mustafa powiedział jej, co spotkało Mary i Mitriego i teraz Abeen dręczył lęk, że Mustafa wróci z wiadomością, iż Demetriusa również zaszlachtowano jak owcę. Napastnicy zabili wielu ludzi, ale ich ulubionymi celami byli młodzi mężczyźni.

Usłyszała szybkie kroki. Kiedy drzwi się otwarły, krzyknęła cicho.

Do sali wpadł zbryzgany krwią Demetrius. Mustafa i Abeen podeszli do loża śmierci.

— Tato! To ja! — Demetrius pochylił się nad ojcem i przesunął delikatnie dłonią po jego twarzy. Jednocześnie próbował ocenić, jak poważne są obrażenia. Drgnął, widząc krew sączącą się przez bandażę, którymi owinięty był brzuch rannego.

George otworzył powoli oczy.

— Demetrius? Synku, czy jest tu matka? — Myślał, że umarł i jest już w niebie z żoną i synem.

— Nie, tato. Tylko ja.

George uniósł się nieco, chcąc znaleźć się bliżej syna.

— Demetrius... Ty żyjesz?

— Tak, tato. Żyję.

— Bogu dzięki. Bogu dzięki. Żyjesz. — Oczy George'a

wypełniły się łzami. Kiedy Demetrius nie wrócił ze szpitala, on i Mary przeżyli długie godziny strachu o jego życie.

— Tato, nie denerwuj się. Musisz wyzdrowieć.

George przypomniał sobie nagle o swoim sekrecie. Otworzył szeroko oczy i przez krótką, straszną chwilę Demetrius myślał, że ojciec umiera. George zagryzł dolną wargę.

— Synku... Muszę ci powiedzieć coś, co ci się nie spodoba.

— Nie, tato, później — zaprotestował Demetrius. — Oszczędzaj siły.

George poruszył powoli głową i rozejrzał się. Przesunął językiem po wargach.

— Jest tu Mustafa?

— Jestem, George. — Mustafa wysunął głowę nad ramieniem Demetriusa. — Jestem.

— Mustafa, możesz zabrać Abeen i poczekać na zewnątrz? Mustafa poczuł się dotknięty. Był właściwie członkiem rodziny Antounów. Mimo *to* skinął głową.

— Jeśli każesz wyjść, wyjdę.

— Tato, przestań — wtrącił się Demetrius. — Mustafa może słuchać wszystkiego, co mamy sobie do powiedzenia.

George nie miał siły się spierać. Kiwnął głową. Musi wyznać sekret, zanim umrze. Wiedział, że jeśli tego nie uczyni, czeka go straszna kara z rąk Boga.

Spojrzał synowi prosto w oczy.

— Demetriusie, wiem, że umieram. Twoja matka nie żyje. Dziadek też.

— Głos mu się załamał. — Teraz zostaniesz sam.

— George, Demetrius będzie naszym synem — powiedziała drżącymi wargami Abeen.

Mustafa przytaknął.

— Już nim jest.

George uśmiechnął się blado, mając nadzieję, że Demetrius znajdzie pociechę u Baderów. Ale musiał wiedzieć... Każdy człowiek zasługuje na to, aby znać swoje dziedzictwo.

Zebrał wszystkie siły, złapał syna za rękę i spróbował się podnieść.

— Tato!

— Posłuchaj mnie — rzekł ostro George. — Muszę powiedzieć jeszcze jedną rzecz, zanim umrę. Nie przerywaj mi.

Demetrius walczył z łzami.

— Dobrze, tato. Obiecuję.

— Niech nikt mi nie przerywa — nakazał George. — Słuchajcie tego, co mam do powiedzenia!

Demetrius skinął głową; poczuł, że ogarnia go ciekawość. Głos George'a nabrał siły:

— Demetriusie, nawet twoja matka o tym nie wiedziała. Dziadek podejrzewał, lecz nigdy nie zapytał.

Demetrius słuchał, głęboko zaintrygowany.

— Co to takiego, tato?

George przemówił łagodniejszym głosem:

— Synku, twoja matka pragnęła dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale w ciągu sześciu pierwszych lat naszego małżeństwa dziesięć razy poroniła.

Demetrius słyszał o tym wiele razy i pamiętał słowa matki która mówiła, że jest darem wprost od Boga. Zawsze dawano mu odczuć, że jest najniezwyklejszym dzieckiem, jakie przyszło na ten świat.

— Tak, tato. Wiem.

George wciągnął głęboko powietrze.

— Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku mój ojciec miał trzech synów i córkę, a kiedy uciekaliśmy z Palestyny, byłem jego jedynym dzieckiem. Kilka miesięcy przed ucieczką dowiedzieliśmy się, że w Bramie Jally w Jerozolimie wybuchła bomba. W wybuchu zginęli dwaj moi bracia i siostra, którzy robili wtedy zakupy w mieście. Tata nie mógł znieść pogrzebu trojga swoich dzieci, więc poszedłem sam.

Demetrius delikatnie starł łzy z twarzy ojca. George kręcił się nerwowo.

— Kiedy wyszedłem z cmentarza, nie byłem sobą. — Popatrzył na syna, błagając go wzrokiem o przebaczenie. — Pamiętaj... twój ojciec nie był sobą.

Zaintrygowany Demetrius zastanawiał się, czy ojciec nie majaczy.

Uśmiechnął się jednak czule i powiedział:

— Nie martw się, tato. Zrozumiem.

Na twarzy George'a ukazał się wyraz ulgi. Miał nadzieję, że tak będzie. Westchnął i mówił dalej:

— Poszedłem do domu mojego najmłodszego brata pomóc wdowie spakować kilka rzeczy. Mieszkał niedaleko żydowskiej dzielnicy. Kiedy tam szedłem, grupa Żydów zaczęła rzucać we mnie kamieniami i przygadywać mi. Kazali mi wynosić się z ich miasta. Wyobraź sobie! Z ich miasta!

Spojrzenie George'a spochmurniało, gdy przypominał sobie tamten odległy dzień. Dzień, który na zawsze zmienił więcej niż jedno życie.

— Aleja musiałem wrócić, bo inaczej ojcu nie zostałyby ani jeden syn, który by się nim zajął. — Głos George'a stał się chrapliwy. —

Przechodząc obok domu nieznanego człowieka, zobaczyłem na podwórku kobietę. Siedziała sama, trzymając w ramionach małe dziecko. Śpiewała. Stałem tam i patrzyłem na tę szczęśliwą scenę, wiedząc, że Arabowie są zabijani, wypędzani z domów, ze swojej ziemi, i coś mnie opętało... Nie byłem sobą. — Twarz George'a wyrażała ogromne napięcie. Wstydząc się tego, co miał wyznać, oderwał spojrzenie od twarzy syna. — Schowałem się za krzakami i czekałem. Po jakimś czasie kobieta włożyła dziecko do kołyski i weszła do domu...

Głos George'a znów się załamał.

— Synku, złapałem to dziecko i uciekłem. Demetrius poczuł, że całe jego ciało drętwieje.

Abeen wciągnęła gwałtownie powietrze i spojrzała na męża, zakrywając palcami usta.

Mustafa patrzył niemo w twarz George'a.

Zdezorientowana Christine położyła dłoń na ramieniu Demetriusa.

George wyprostował się i spojrzał synowi w oczy.

— Demetriusie, jesteś najwspanialszym synem, jakiego mężczyzna może mieć. Twoja matka i ja kochaliśmy cię bezgranicznie. — Dotknął palcami drżących warg. Mówił coraz szybciej, jakby chciał dokończyć swoją opowieść, zanim Bóg się o niego upomni: — Synu, ja cię ukradłem.

Należałeś do ludzi, których nie znałem. Kiedy umrę, odszukaj ich

—poprosił. — Znajdź swoją prawdziwą rodzinę. Ja cię jej pozbawiłem... - głos George'a odpłynął.

Blady jak kreda Demetrius dotknął ręki ojca.

— Gdzie to było, tato? — spytał szeptem.

— Przeszukaj dokumenty w domu. Znajdziesz nazwę ulicy przy której mieszkał twój wuj w Jerozolimie. Dom, w którym cię znalazłem, był kilka ulic dalej. Nic więcej nie wiem.

W pokoju zapadła cisza.

George Antoun zamknął oczy, ale zaraz je otworzył i znowu zaczął mówić:

— Zabrałem cię do domu, do twojej matki. Powiedziałem jej, że w tym samym zamachu, w którym straciłem rodzeństwo, zginęła arabska rodzina. I że nie ma się tobą kto zająć. Twoja matka była tak szczęśliwa, że o nic nie pytała. Wychowaliśmy cię jak własnego syna.

Christine położyła dłonie na karku Demetriusa. Były zimne jak lód.

Demetrius pomyślał, że musi poznać swoje wyznanie. Palestyńczycy są albo sunnickimi muzułmanami, albo chrześcijanami. Może był sunnitą, wychowywanym jako chrześcijanin.

— Czy to była chrześcijańska dzielnica?

George, słysząc pytanie, którego się najbardziej obawiał zaczął szlochać. Łkał tak mocno, że czerwona plama na jego bandażu rozszerzyła się.

Demetrius uśmiechnął się słabo.

— Tato! Nic nie szkodzi, nie martw się. Nie obchodzi mnie czy jestem muzułmaninem, czy chrześcijaninem.

Abeen powiedziała:

— Nasz Bóg jest ten sam.

George przyciągnął do siebie syna i próbował coś wyszeptać, lecz nie kontrolował już swojego głosu i nie było w sali nikogo, kto nie słyszałby jego słów:

— Synu... Mój synku, przy tej ulicy mieszkały żydowskie rodziny.

Wszyscy zamarli.

George Antoun otworzył oczy i wydając ostatnie tchnienie zawołał:

— Synku, mój najdroższy synku, urodziłeś się jako Żyd!

Część III

Nowy Jork-Jerozolima 1982-1983

Osoby

Rodzina Gale'ów:

Joseph Gale (ojciec)

Estera Gale (matka)

Michel Gaie (syn)

Jordana Gale (córka)

Rachela Gale (siostra Josepha)

Rodzina Kleistów:

Friedrich Kleist (ojciec)

Eva Kleist (matka)

Christine Kleist (córka)

Demetrius Antoun (palestyński lekarz)

Anna Taylor (Amerykanka zamieszkała w Jerozolimie)

John Barrows (brytyjski lekarz)

Gilda Barrows (żona Johna Barrowsa)

Dżihan (arabska gosposia pracująca u Anny Taylor)

Zmarli:

Ari i Lean Jaworowie (ocaleni z holokaustu przyjaciele Jom-ph.t i Estery Cale'ów) Helmet i Susanne Horstowie (rodzice Ewy Horst)

Heinrich Horst (brat Ewy Horst) Kar) Drexler (były esesman, komendant obozu Szalila)

Miriam Gale (córka Josepha i Estery

Gale'ów) Daniel Stein (brat Estery Gale) John i Margarcte Taylorowie (rodzice Anny Taylor)

George i Mary Anyounowie (rodzice

Demetriusa Antouna)

Prolog

„New York Times”, 26 września 1982

Artykuł Thomasa Friedmana, korespondenta „Timesa”

*Bejrut: Stany Zjednoczone potwierdzają fakt masowych zabójstw
W sobotę o godzinie dziewiątej rano członek ambasady Stanów
Zjednoczonych wszedł na teren obozu Szatila, ustalił, że doszło tam do
masakry, i poinformował o tym swoich przełożonych.*

*Wydaje się, że między późnym popołudniem w piątek i sobotą rano
uzbrojeni falang iści podjęli próbę zatarcia przynajmniej części śladów.
Wiele budynków zburzono buldożerami, grzebiąc pod nimi ciała
zamordowanych. Część zwłok zasypano ogromnymi stosami piasku, z
których tu i ówdzie wystawały ręce i nogi. W niektórych miejscach
falangiści usypali stosy gruzu i przykryli je płytami blachy, próbując
ukryć trupy.*

*Sądząc z liczby domów z zerwanymi fasadami i ogromnych dziur
zrobionych przez buldożery, można przypuszczać, że zamierzali zniszczyć
większość budynków, tak aby ci mieszkańcy, którzy przeżyli, nie mogli do
nich wrócić...*

Falangiści zbierali w grupy mężczyzn, kobiety, dziewczęta

i chłopców. Pięćset lub sześćset osób albo nawet więcej spędzono razem i poprowadzono pod groźbą użycia broni m główną ulicę Szatili, gdzie zmuszono ich, żeby usiedli wzdłuż jezdni. Obok leżały ciała zamordowanych wcześniej mieszkańców obozu.

Część mężczyzn z rękami założonymi na głowy zaprowadzono za stosy piasku. Rozległy się strzały. Kiedy kobiety zaczęły krzyczeć, niektórych przyprowadzono z powrotem, żeby je uspokoić...

Według obserwatora ONZ, który widział w Szatili ponad trzysta trupów, ze stopnia rozkładu ciał wynikało, że wielu ludzi zamordowano już w czwartek, a innych dopiero w sobotę rano...

Rozdział XX

Anna Taylor

Estera Gale podniosła ręce nad głowę i oznajmiła:

— Nie jestem kobietą, która przeciwstawia się Panu Bogu! Anna Taylor siedziała naprzeciwko niej przy małym stoliku na tarasie, z uśmiechem słuchając słów przyjaciółki i przypominając sobie, ileż to razy wydawało się, że przekonania religijne Estery są sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

— Co mogę zrobić, Anno? — spytała Estera, pochylając się i z nadzieją wpatrując w jej twarz.

— Nie dramatyzuj — odparła Anna. — Wynajęcie prywatnego detektywa w celu odnalezienia córki trudno nazwać przeciwstawianiem się Bogu. Jordany nie ma już od ponad miesiąca. Masz prawo wiedzieć, gdzie jest.

Estera zgarbiła się.

— Jordana byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że miejsce jej pobytu ustalił prywatny detektyw wynajęty przez rodziców. Mogłaby jeszcze bardziej się od nas oddalić.

— Masz rację. Ale czy możesz żyć dalej w takiej udreće?

Zatopiona w swoich myślach Estera patrzyła pustym wzrokiem nad głowę Anny. Od prawie godziny siedziały przy okrągłym metalowym stoliku na płaskim tarasowym dachu domu Anny w Jerozolimie, popijając kawę i rozmawiając o Jordanie. Niczego jednak nie postanowiły.

Estera powoli wypila łyk kawy, a potem odstawiła filiżankę na talerzyk.

W jej głosie pojawiła się oskarżycielska nutka:

— Mówisz tak, jak Joseph. To on uparł się, żeby wynająć detektywa. Mnie się ten pomysł nie podoba.

— A co o tym myśli Michel?

— To samo, co ojciec. Kiedy wczoraj rano wrócił z Libanu, zamierzaliśmy z Josephem uczcić jego powrót. Ale zamiast tego spędziliśmy cały wieczór, zastanawiając się nad tym, co powinniśmy zrobić. — Estera spojrzała z lękiem na Annę. — Oni uważają, że Jordanie stało się coś strasznego.

Anna potrząsnęła głową.

— Nie, Estero, na pewno nic się jej nie stało, bo amerykańskie władze natychmiast zawiadomiłyby izraelską ambasadę. Po prostu potrzebowała pobyć trochę sama.

Anna uwielbiała Michela i Jordane, ale szczególna przyjaźń łączyła ją z Jordaną — przyjaźń bez tajemnic. Tymczasem dziewczyna wyjechała z kraju, nie wspominając nawet, że się gdzieś wybiera. To było do niej niepodobne. Powrócił ból, który Anna poczuła na wieść o zniknięciu Jordany; miała nadzieję, że Estera nie wyczuje go w jej głosie.

— Gdzie jest teraz Michel?

— W domu, pakuje się. Powiedział, że nie może cieszyć się powrotem, skoro nie wie, czy jego siostra jest bezpieczna. I dodał, że jeśli nie zgodzę się kogoś wynająć, żeby ją odnalazł, sam jej poszuka. — Estera pochyliła się do przyjaciółki. — Och, Anno, co mam począć ?

— Kiedy Michel wylatuje do Nowego Jorku? — spytała Anna.

— Jutro wieczorem — odparła Estera. — Ale to marnowanie energii. Powtarzaliśmy mu z Josephem tyle razy, że nie wierzymy, by zdołał odnaleźć siostrę w takim wielkim mieście.

Oczy Anny rozjaśniły się nagle. Pochyliła się nad stolikiem i położyła dłoń na ręce Estery.

— Mam pewien pomysł...

— Jaki? Powiedz.

— Jeśli do jutra, zanim Michel odleci, nie dostaniemy wiadomości od Jordany, mogę zorganizować dyskretne śledztwo. Mam w Nowym Jorku przyjaciół, którym można zaufać w takich sprawach. Jordana o niczym się nie dowie.

— Wspaniały pomysł! — zawołała Estera. Od przybycia

rodziny Gale'ów do Jerozolimy prawie trzydzieści sześć lat temu Anna Taylor była dla nich wszystkich źródłem siły. Teraz znów dawała pociechę, gdy wydawało się, że nie może być żadnej pociechy. Estera nie wyobrażała sobie, jakie byłoby jej życie w Jerozolimie bez przyjaźni tej Amerykanki. — Zrobisz to?

— Oczywiście, przecież powiedziałam — odparła Anna uspokajającym tonem, napełniając ponownie filiżankę Estery. — Wszystko już ustalone. Poczekamy jeszcze jeden dzień. — Uśmiechnęła się łobuzersko. — Jeśli do jutra nasz mały zbieg się nie odezwie, rozpoczniemy poszukiwania. Estera wstała.

— Muszę iść.

— Nie, proszę, dopij kawę.

Estera otarła usta białą bawełnianą chusteczką i odparła ze śmiechem:

— Mąż ciągle mi powtarza, że powinnam słuchać twoich rad. Oczywiście ma rację. Muszę go natychmiast znaleźć i powiedzieć mu, że miał słuszość. — Uśmiechnęła się z czułością. — Joseph bardzo się ucieszy. Anna wstała; zdawała sobie sprawę, że Estera rzeczywiście musi już iść. Wiedziała, że przyjaciółka nie spocznie, dopóki nie załagodzi sporu z mężem. Od śmierci rodziców Anna nie widziała pary bardziej w sobie zakochanej niż Joseph i Estera Gale'owie.

Ujęła przyjaciółkę pod ramię i razem ruszyły w stronę wąskich schodów na ścianie willi.

— Proszę, powiedz Michelowi, żeby przed odlotem koniecznie do mnie zajrzał.

Estera skinęła głową.

— Przypomnę mu. — Po chwili dodała: — Michel nigdy by nie wyjechał bez odwiedzenia cię. — Pochyliła się i ucałowała Annę najpierw w jeden, a potem w drugi policzek. — Zadzwoń wieczorem.

Anna odprowadziła wzrokiem przyjaciółkę, która przeszła przez pokrytą kocimi łbami ulicę i szybko ruszyła w stronę domu. Znów, jak często po wizytach Estery, przypomniała sobie, w jakich okolicznościach poznała ją wiele lat temu.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej tysiące europejskich Żydów, którzy zdołali uniknąć hitlerowskich obozów śmierci, uciekało z kontynentu w nadziei dostania się do Palestyny. Byli przekonani, że nie znajdą bezpiecznej przystani nigdzie poza ojczyznę... ojczyznę jeszcze nie uznaną przez świat, lecz obiecaną im w Biblii. Kiedy zaniepokojeni Arabowie zażądali od brytyjskich władz Palestyny, żeby powstrzymały Żydów przed wkraczaniem do ich kraju, Brytyjczycy zablokowali drogi lądowe i morskie. Ale wielu Żydów, a wśród nich również rodzina Gale'ow, zdołało przechytryć Brytyjczyków. Wypłynawszy w nocy małą łódką z Cypru, Joseph, Estera i Rachela Gale'owie prześlizgnęli się przez brytyjski kordon.

Gdy w końcu dotarli do Palestyny, byli wyczerpani, głodni i bez grosza. Joseph i Rachela cieszyli się dobrym zdrowiem, lecz Estera balansowała na granicy życia i śmierci.

Anna i jej matka, Margarete, słyszały opowieści o strasznych przejściach żydowskich emigrantów. Zgłosiły się na ochotnika do opieki nad uchodźcami; Estera była pierwszą pacjentką Anny.

Gdy Anna ją zobaczyła, myślała, że ma przed sobą wygłodzone, łyse dziecko. Osłupiała ze zdziwienia, usłyszawszy, że Estera ma dwadzieścia pięć lat, trzy lata więcej od niej. Z powodu niedożywienia całe jej ciało było pozbawione owłosienia i pokryte ropiejącymi ranami. Osłabiona i półprzytomna, słabym głosem wzywała członków rodziny, którzy zginęli.

Wbrew poleceniu obozowego lekarza, żeby nie marnować czasu na uchodźców, którzy wydają się skazani na śmierć bez względu na pomoc, jakiej im się udzieli, Anna zajęła się Esterą. Postanowiła za wszelką cenę ją uratować i opiekowała się chorą przez całe dnie i noce. Jej wysiłek i modlitwy zostały nagrodzone. Estera powoli zaczęła odzyskiwać zdrowie. W ciągu paru miesięcy z wychudzonego, nie przypominającego człowieka stworzenia zmieniła się w olśniewająco piękną kobietę. Anna wiedziała, że to jej upór ocalił młodej Żydówce życie, Estera też o tym wiedziała. Od tamtych chwil były najbliższymi przyjaciółkami, a niezamężna Anna stała się członkiem rodziny Gale'ow.

Odwróciła się i powoli zaczęła wchodzić schodami z powrotem na taras. Usiadła na krześle i posmarowała kromkę świeżo upieczonego chleba. Martwiła się o Jordane, ale miała nadzieję, że dziewczyna jest bezpieczna.

Jordana Gale nie była sobą od okropnej śmierci swojego narzeczonego, Stephena Grossmana.

Anna siedziała, wpatrzona w puste krzesło po przeciwnej stronie stołu. Pomyślała nagle, że całe jej życie wyznaczają tragedie bliskich ludzi. Od powodzi w Johnstown w Pensylwanii, która sprawiła, że jej ojciec stracił rodziców, po straszliwe katastrofy nawiedzające ludność Palestyny, nieszczęścia spotykały wszystkich, których kochała.

Niespodziewanie nawiedziło ją wspomnienie matki i ojca. Może myśl o tragedii rodziny Gale'ów przywołała ich twarze, głosy i śmiech.

Odłożyła kromkę na talerz i oparła łokcie na stoliku. Na jej czole zebrały się drobne kropelki potu. Otarła twarz serwetką. Powrócił obraz rodziców, dwojga najprzystojniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek знаła. Przypomniała sobie historię ich życia i miłości.

31 maja 1889 roku, w dniu, w którym Pensylwanię nawiedziła katastrofalna powódź, John Taylor miał dziesięć lat. Był dzieckiem zamożnego biznesmena, mieszkał z rodziną w modnej dzielnicy Pittsburgha, wysoko nad sztucznym jeziorem i tamą wciśniętą klinem w dolinę ponad Johnstown. Wyszedłby z tego kataklizmu bez najmniejszego szwanku, gdyby jego ojciec nie był bogatym człowiekiem. Horace Taylor był wędkarzem i zapalonym amatorem sportu. On i inni zamożni biznesmeni z Pittsburgha o podobnych zainteresowaniach zbudowali sobie letnie domki na terenach należących do klubu myśliwskiego, usytuowanych w górach na północ od Johnstown. Tama, dzięki której utworzył się zalew wykorzystywany do sportu i rekreacji, była mocno zaniedbana. Kiedy zaczęły się pojawiać złowieszcze znaki świadczące o tym, że może nie wytrzymać, nikt się tym nie przejął. Nikt się nie zastanawiał, jaki los spotka małe miasteczka położone poniżej tamy, jeśli dojdzie do jej pęknięcia.

Tego feralnego wtorku Horace Taylor miał umówione spot-

kanie z ważnym biznesmenem w Johnstown. Ponieważ rodzina Taylorów przebywała w domku myśliwskim, Horace postanowił zabrać żonę i troje dzieci ze sobą. W domku został tylko John Taylor, przykuty do łóżka z powodu lekkiej grypy.

Nigdy nie odnaleziono ciał rodziny Taylorów, bo gdy tama pękła, zmiotła ich z drogi dwunastometrowa ściana wody, która przewaliła się przez dolinę. Horace Taylor, jego żona Patricia oraz ich troje najmłodszych dzieci zginęli, a wraz z nimi ponad dwa tysiące mieszkańców Johnstown. W wieku dziesięciu lat John Taylor został sam na świecie. Zarządca ojca przyjął chłopca do swojego domu. John był zbyt młody, żeby zrozumieć ludzką chciwość i nawet po osiągnięciu pełnoletności wierzył, że zarządca jest człowiekiem godnym zaufania, rzetelnie pilnującym interesów ojca. Ale gdy skończył college, czekało go szokujące odkrycie: nie miał ani centa! A nawet gorzej — tonął w długach.

Zarządca klął się na Boga, że ojciec Johna zostawił interes w ruinie, z niezapłaconymi rachunkami i pustymi magazynami. John przeraził się, kiedy zobaczył listę długów.

W tym ponurym okresie swojego życia poznał Margarete Frey, która razem z owdowiałą matką wyemigrowała do Ameryki z małej wioski w górach Eifel w Niemczech. Bez środków do życia osiedliły się w Pittsburghu, bo słyszały, że jest tam praca. W końcu znalazły pracę pokojówek w domu zamożnego bankiera.

John Taylor spotkał Margarete na przyjęciu wydanym przez jej pracodawcę. Mimo że jego długi były dla niego samego wielkim ciężarem, wśród przyjaciół i znajomych ojca, biznesmenów, uchodził za dobrze sytuowanego młodzieńca. Cechowała go swoboda i elegancja, jakiej rzadko nabywają ludzie należący do niższych klas społecznych. Bankier uważał go za poważnego kandydata do ręki swojej jedynej córki. A tymczasem John zakochał się w niemieckiej pokojówce!

Przy oświadczeniach oznajmił Margarete: „Jeśli zdobędę twoje serce, będę się uważał za najszczęśliwszego człowieka na świecie, a jeśli nie, mogę tego nie przeżyć!”.

Zerwał związki towarzyskie z kręgiem bogatych, patrzących nań z dezaprobatą przyjaciół ojca z wyższych klas. Wiedząc,

ze imigrantka i służąca nigdy nie zostanie zaakceptowana w tych sterach, postanowił wziąć przyszłość w swoje ręce.

Taki był początek wspaniałej historii ich miłości.

Głęboko religijni i rozczarowani Ameryką, wybrali życie misjonarzy w Ziemi Świętej. Kupili bilet na statek do Stambułu, a potem z tego ogromnego orientalnego miasta wyruszyli do Palestyny drogą lądową, przez Turcję i Syrię.

Podróż zamieniła się w udrękę, której końca nie było widać. Jadąc na osłach, kurczowo trzymali się biednych zwierząt, niepewnie stąpających po skalistym terenie. Z każdym dniem ich nastrój się pogarszał. Palestyna wydawała im się dzikim, nieprzyjaznym, prawie nie nadającym się do zamieszkania krajem. Gdy trasa ich podróży przecięła się z trasą karawany Beduinów, John szepnął do żony: „Mieszkańcy wyglądają tak samo jak kraj... równie nieoswojeni jak zwierzęta!”.

Dla dodania sobie odwagi John i Margarete często przypominali sobie, że ich ukochany Jezus przemierzał te same wąskie szlaki. Przekonanie, że stąpają po ziemi uświęconej przez nieziemski majestat, umacniało ich determinację. Gdyby nie ono, z pewnością zrezygnowaliby ze swej misji i wrócili do Ameryki.

Na szczęście widok Jerozolimy wynagrodził im trudy podróży.

Starożytne otoczone murem miasto było jeszcze piękniejsze, niż sobie wyobrażali.

Historia Jerozolimy to historia triumfów i bolesnych upadków, gdyż w tym regionie świata religia zawsze była silniejsza niż władza świecka; prowadziło to do niestabilności, która przyciągała uwagę żądnych podbojów władców.

Kiedy przybyli tu John i Margarete, Palestyna znajdowała się pod rządami dynastii osmańskiej, trwającymi od 1517 roku. Po śmierci pierwszego sułtana, rządzącego łagodną ręką, następni władcy tureccy zasypywali Palestynę surowymi edyk-tami. W roku 1905, w którym Jerozolima stała się domem Johna i Margarete, czterechsetletnie rządy Turków dobiegały końca — i imperium osmańskie zaczynało się rozpadać. Wśród Palestyńczyków obudziły się nastroje powstańcze. Osiedliwszy się w najświętszym z miast, John i Margarete zajęli się wygłaszaniem kazań, nauczaniem i opieką nad ubogi-

mi; zaskarbili sobie w ten sposób szacunek zarówno bogatych, jak i biednych mieszkańców całej Palestyny.

Z biegiem lat Margarete urodziła trzy córki. John i Margarete dawali nadzieję i ratowali przed rozpaczą każdego, kto tego potrzebował.

Jednocześnie karmili wyobraźnię córek biblijnymi przypowieściami i zapewniali im ciepło i spokój szczęśliwego rodzinnego życia. Nauczyli je oczekiwać nagrody w raju i nauka ta była duchowym bogactwem, które córki miały nieść ze sobą przez życie.

Miłości Johna i Margarete nie naruszyła żadna zawierucha i dzieci nigdy nie usłyszały, by padło między nimi choćby jedno złe słowo.

Jednak John i Margarete nie byli doskonali.

Niedzielne kazania Johna były za długie i wiernych zgromadzonych w świątyni często ogarniała senność. Mimo to Arabowie chrześcijańskiego wyznania uważali, że ich rodzimi przewodnicy duchowi są zbyt impulsywni, żeby być dobrymi kaznodziejami, dlatego aż do śmierci Johna wiernie uczęszczali na jego niedzielne msze.

Silna osobowość Margarete kłóciła się z arabską tradycją, wyznaczającą kobiecie drugorzędną pozycję, i często szokowała Arabów, którzy spoglądali krzywo na śmiałość kobiety z Zachodu. Kiedyś Margarete zbeształa młodego beduińskiego wodza za to, że odmawia córkom prawa do wykształcenia, a on wziął Johna na stronę i oświadczył, że jego żona potrzebuje mocniejszej ręki i że kobiety nie powinno się słyszeć. John odpowiedział na to, że zbyt posłuszna kobieta nie jest interesująca; miał na myśli żonę wodza, potulną kobietę, zbyt przestraszona, żeby wypowiedzieć chociaż jedno słowo w obecności jakiegokolwiek mężczyzny. Urażony wódz wyszedł i przez kilka miesięcy nie pokazywał się w domu Taylorów.

Anna roześmiała się głośno i zarumieniła z radości, przypominając sobie, jak dumny był ojciec ze swojej żony. Odsunąwszy krzesło, wstała i zaczęła chodzić po tarasie tam i z powrotem, spoglądając na wspaniałe i niezwykle miasto, w którym się urodziła i spędziła całe życie.

Jerozolima, napełniająca wielkim smutkiem wszystkich swoich mieszkańców od chwili, gdy ktoś położył kamień węgielny

pierwszego domostwa przy źródle Gihon. Anna pomyślała, że człowiek ten musiał sobie wyobrazić, iż okoliczne wzgórza ochronią jego i jego rodzinę przed włóczącymi się grupami maruderów. Niestety wybrany przez niego kawałek ziemi znajdował się na wzniesieniu i wkrótce stał się bardzo ruchliwym miejscem, pełnym karawan i handlarzy. Zaciekle konkurencja między nimi prowadziła do licznych zabójstw i bezwzględnych wojen.

Anna zatrzymała się, podziwiając urodę pradawnego miasta. Jerozolima była ogromnym skupiskiem ludzkim, rozciągającym się we wszystkie strony. Spoglądając na miasto w nikłym świetle poranka, słuchała jego odgłosów: niecierpliwego trąbienia klaksonów, wycia samotnego psa, chrapliwych okrzyków mężczyzn i kobiet sprzedających na pobliskim bazarze swoje lanie towary. Jak bardzo zmieniło się to miasto! Kiedy była dzieckiem, poza starymi murami mieszkało niewielu ludzi, a teraz wzgórza dźwigały ciężar kamiennych domów; wypielegnowane ogrody Żydów sąsiadowały z piaszczystymi, porośniętymi krzakami posesjami Arabów. Kiedyś, zanim jeszcze syjonistyczna gorączka dziewiętnastego wieku zasiała niepokój wśród arabskiej ludności, obydwie narody żyły obok siebie, nie wylewając na siebie swojego gniewu. W końcu jednak, z powodu coraz liczniejszej żydowskiej imigracji, Arabowie i Żydzi zaczęli w sobie nawzajem dostrzegać zagrożenie. Krew wylała się na ulice i zrosiła ziemię na wzgórzach. Od stu lat Żydzi i Arabowie skakali sobie do gardeł, aż przemoc stała się powszechna i prawie niezbędną, jak gdyby oba narody zaspokajały jakąś swoją ogromną potrzebę.

W ciągu pięćdziesięciu ośmiu lat życia Anna przeżyła trzy wojny i straciła więcej przyjaciół, niż mogłaby zliczyć na palcach. Ilekroć próbowano osiągnąć pokojowe porozumienie, kończyło się to fiaskiem i następowała kolejna runda ostrzału z. moździerzy i dział. Czy nad tym miastem ciąży klątwa Boga? Anna często zadawała sobie to pytanie.

Nawet teraz nie знаła na nie odpowiedzi.

Odgłos kroków przerwał jej rozmyślenia. Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto idzie. Był to Tarek, stary portier, który kiedyś służył u rodziców Anny.

— Przyszedł list z Nowego Jorku! — zawolai chrapliwie
Anna kiwnęła palcem, żeby go jej podał.
Zobaczyła, że jej imię i adres zostały napisane ręką Jordana Gale. Złapała list i podeszła z powrotem do stolika; usiadł., i zrobiła miejsce na blacie. Tarek odszedł, pozostawiając ją samą z listem.
Anna uśmiechnęła się i dotknęła palcem taniego, szorstkiej" papieru; zastanawiała się, co też napisała Jordana.
Otworzyła kopertę nożem śniadaniowym i westchnąwszy głęboko, wyjęła długi list.

26 września 1982

Najdroższa Anno!

Wreszcie znalazłam w sobie odwagę, żeby uciec z kraju. Od dnia pogrzebu Stephena nie mogłam się na to zdobyć. Dla mnie Izrael bez Stephena to Izrael bez życia.

Anno, przyszedłbym się pożegnać, lecz bałam się, że moja determinacja pryśnie wobec Twojego spokojnego głosu i niezwyklej umiejętności trzeźwej oceny tego, co nazywasz „czysto emocjonalnymi decyzjami”.

Cieszę się, że zostawiłam za sobą monotonię i ograniczenia Jerozolimy. Zapomniałam, jakie to cudowne uczucie zagubić się w mieście, w którym mieszkają miliony ludzi. Ale Nowy Jork nie był moim pierwszym przystankiem. Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że zboczyłam z trasy i pojechałam najpierw do Polski i Czechosłowacji.

Dwa tygodnie podróżowałam po polskich wioskach i miastach, oglądając ziemię, która stała się cmentarzem przodków rodzin Gale'ów i Steinów.

Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy odkryłam, że Polacy wciąż nienawidzą Żydów! Szukając rodzinnego domu Steinów w Warszawie, widziałam wrogie spojrzenia i słyszałam groźby. Pewien paskudny facet, który twierdził, że kiedyś pracował jako chłopak na posyłki u dziadka Steina, ośmielił się nawet powiedzieć, że szkoda, iż moja matka uniknęła komory gazowej!

Polska to nadal straszne miejsce dla Żyda.

Mimo wszystkich przeciwności odnalazłam dawny dom matki. To duża willa, zaniedbana i wymagająca remontu, ale widać, że przed wojną Sfeinowie byli całkiem bogaci. Ten stary dom sprawił, że poczułam się oszukana, bo uświadomiłam sobie, że Michel i ja nigdy nie poznaliśmy, jak to jest mieć kochających dziadków.

Z Polski pojechałam do Czechosłowacji. Niestety, mimo pomocy wielu mieszkańców Pragi, nie mogłam znaleźć śladu rodzin Jaworów i Rosnerów — było to tak, jakby Ari i Leah przyjechali do Jerozolimy znikąd!

Potem poleciałam do Nowego Jorku, wynajęłam tam mieszkanie w kamienicy, znalazłam pracę modelki i nawiązałam dwie przyjaźnie. Prawdę mówiąc, właśnie wróciłam z niewielkiego przyjęcia, i po raz pierwszy w życiu za dużo wypijałam. Może ostatni drink rozwiązał mi język, bo czuję potrzebę wyrzucenia z siebie ciężkich myśli, a kto może być lepszym powiernikiem od mojej ukochanej Anny? Skoro Cię tu nie ma, muszę zadowolić się listem.

Anno, od dnia, w którym uciekłam od rodziców, wiele myślałam o byciu Żydem, albo raczej Izraelczykiem, bo my, izraelscy Żydzi, bardzo się różnimy od naszych amerykańskich czy europejskich kuzynów. Bycie izraelskim Żydem to ogromny problem, o czym sama wiesz, bo byłaś świadkiem wstrząsów, jakie towarzyszyły nam od pierwszej chwili, gdy zalaliśmy Palestynę, nazywając ją swoją prawdziwą ojczyzną i odbierając Palestyńczykom. Idąc tym tropem, próbowałam zrozumieć, dlaczego staliśmy się tym, czym jesteśmy.

Podzielę się z Tobą moimi wnioskami, licząc na Twoją cierpliwość. Dla gojów Żydzi to zadziwiająca rasa. Od wygnania z Izraela ponad dwa tysiące lat temu rozprzeczli się po świecie, traktowani jak intruzi wszędzie, gdziekolwiek się znaleźli. Nie chcąc się asymilować, zwrócili się do siebie i tworzyli silnie związane rodziny i społeczności. Zjednoczeni jako naród, czerpali siłę z antysemityzmu. W wielu krajach prawo zabraniało im posiadania ziemi. Ta dys-

kryminacja pociągnęła za sobą jeden dobry skutek: musieli zapewnić swoim dzieciom staranne wykształcenie. Młodzi Żydzi zostawali lekarzami i prawnikami, zajmowali wysokie pozycje na uniwersytetach i w systemie prawnym. Nie wiedzieli, że pogarszało to jeszcze ich sytuację. Europejczycy nienawidzili ich właśnie za to, że osiągnęli najwyższe pozycje w każdej specjalności, którą wybrali. Żydzi w roli nauczycieli, lekarzy i muzyków nic podobali się Europejczykom, woleli trzymać ich w gettach i ustanawiać prawa uniemożliwiające im wyzwolenie się z biedy. A kiedy te prawa nie wystarczyły, aby utrzymać Żydów w ryzach, zaczęli ich zabijać. Znosząc pogrom za pogromem, Żydzi nigdy nie walczyli ze swoimi oprawcami, tylko czekali cierpliwie, aż prześladowania ustaną, i tłumaczyli swoim dzieciom, że każda tyrania zawsze się kiedyś kończy, a walka tylko przedłużyłaby cierpienie.

Holokaust zmienił ten sposób myślenia. Przedtem Żydzi byli myślicielami, ludźmi pokoju. Po holokaucie ten łagodny, nie uznający przemocy naród zamienił się w naród wojowników, gotowych stanąć do walki z całym światem arabskim, gdyby to było konieczne dla zdobycia skrawka ziemi, który mogliby nazwać swoją ojczyzną.

Zadawałam sobie to pytanie tysiąc razy: czy holokaust był dobrą rzeczą? W przypadku sześciu milionów Żydów, którzy zginęli, i tych, którzy go przeżyli, odpowiedź byłaby jasna: nie. Ale bez holokaustu nie byłoby dzisiaj ojczyzny dla Żydów. Wciąż tułaliby się po świecie, upokarzani przez inne narody. Czy holokaust był częścią bożego planu sprowadzenia ich do Izraela? Z całą pewnością bez obozów zagłady i komór gazowych ulegli europejscy Żydzi nigdy nie odważyliby się siłą utorować sobie drogę do Izraela. Holokaust zmusił ludzi takich jak mój ojciec, aby wychowali swoich synów na wojowników.

Pamiętam reakcję mamy, gdy zobaczyła mnie po raz pierwszy w mundurze. Właśnie skończyłam liceum i zaczęłam dwudziestomiesięczną obowiązkową służbę wojskową. Ojciec czuł się niepewnie, widząc swoją córkę z karabinem, ale mama patrzyła na mnie z podziwem.

Zmrużyła oczy i patrzyła gdzieś w dal, a ja wiedziałam, że przypomina sobie jakąś scenę ze swojego życia, scenę, która nie ma nic wspólnego z teraźniejszością. Milczała przez chwilę, a potem uścisnęła mnie i oświadczyła, że najbardziej dumna jest z tego, że jej dzieci zdobyły pewność siebie.

Skinęłam głową, udając, że rozumiem; wiedziałam, że te słowa nawiązują do jej tragicznej przeszłości, ale nie chciałam kierować jej myśli na temat, który zawsze prowadził do głębokiego smutku i depresji. Mimo że mama i tata rzadko mówili o holokauście, zawsze czułam, że wciąż myślą o swoich zmarłych krewnych.

Mama zauważyła, że Żydzi urodzeni w Izraelu zachowują się tak, jakby byli właścicielami przestrzeni, po której się poruszają, podczas gdy większość europejskich Żydów chodzi niepewnie, jak ludzie, którzy nie wiedzą, kim są i gdzie jest ich miejsce. Powiedziała, że pogromy, getta i holokaust odebrały pewność siebie wszystkim Żydom, którzy uniknęli śmierci w Europie, na zawsze pozostawiając w nich poczucie lęku. (Z wyjątkiem takich mężczyzn jak mój ojciec, których nigdy nie opuszcza odwaga).

Słowa mamy zaskoczyły mnie, bo podczas gdy tata zawsze mówił, że Michel i ja nigdy nie okazujemy strachu, mama czuła się nieswojo w wojskowej atmosferze panującej w Izraelu i bała się, że takie otoczenie pozbawi jej dzieci wrażliwości. Wtedy po raz pierwszy nie przestraszył jej nasz bojowy wygląd.

Anno, byłam dumna, że nawet przez tak krótki czas mogłam nosić mundur izraelskiej armii. A potem poznałam żołnierza nazwiskiem Ari Begin. (Nic go nie łączy z naszym obecnym premierem!).

Wszyscy uważają, że to śmierć Stephena sprawiła, iż zaczęłam postrzegać Arabów w innym świetle. Michel zwrócił mi kiedyś uwagę, że powinnam nienawidzić ludzi, którzy zabili mojego ukochanego, zamiast ich usprawiedliwiać. Kiedy mu powiedziałam, że żydowska niesprawiedliwość spotkała się z takim samym odwetem, popatrzył na

mnie, jakbym postradala zmysly. Michel Gale nie dopuszcza do siebie faktów, które są sprzeczne z tym, co czuje.

Ale wróćę jeszcze do przyczyn, dla których zaczęłam pragnąć pojednania z Arabami, Śmierć Stephena sprawiła, że pozbyłam się oporów w wyrażaniu własnego zdania. Jednak mój sprzeciw wobec nadużywania przez Żydów siły zaczął się znacznie wcześniej — w dniu, w którym poznałam Ariego Begin.

Nie chcę się wdawać w szczegóły, lecz Ari był więźniem swojej nienawiści. Nienawiści do Arabów, rzecz jasna. Był to dość wysoki mężczyzna o bujnych czarnych włosach, które — jak z dumą twierdził — zawsze stawały dęba na widok Araba. Twierdził też — to niesamowite — że ma kolekcję arabskich uszu! Rozmyślnie wszczynał bójki z młodymi Arabami, aby w czasie walki odgryźć im kawałek małżowiny. Po powrocie z patrolu wyciągał z kieszeni poszarpane fragmenty uszu i przypinał je szpilkami do małej tablicy.

Pewnego dnia w przypiływie odwagi spytałam go, czemu zbiera te uszy. Uśmiechnął się i powiedział, że chce, aby każdy arabski drań wiedział, jak to jest chodzić ze stygmatem człowieka prześladowanego, tak jak Żydzi w cicigu całej historii swojego narodu.

Wyobraziłam sobie w tym momencie nazistów o lodowatych oczach, trzymających na smyczach owczarki alzackie z najeżoną sierścią, warczące na bezradne żydowskie kobiety i dzieci.

Niech Bóg nas broni przed tym, aby o naszej przyszłości decydowała banda Arich Beginów, torturujących bezbronnych Arabów.

Anno, obawiam się, że tworząc takich ludzi, już sprawiliśmy, że nasze serca stały się twarde i bezlitosne.

Zegarek pokazuje, że wkrótce muszę iść do pracy. Nie wiem, czy udało mi się uporządkować moje skłębione myśli i uczucia. Ale fakty są dość oczywiste: my, Żydzi, byliśmy tymi dobrymi. Teraz jesteśmy złoczyńcami. Moim zdaniem nasza napaść na Liban dowodzi, że zatraciliśmy poczucie dobra i zła. Któż zaprzeczy, że nasze żydowskie ego urosło razem z naszymi granicami?

Wczoraj usłyszałam pogłoski o masakrze w obozie uchodźców Szatila w Bejrucie. Dzisiaj w „New York Timesie” ukazał się czterostronicowy artykuł z opisem szczegółów. Czytając go, czułam mdłości i myślałam tylko o jednym: Michel Gale był w Bejrucie. Michel Gale czuje odrazę do Arabów.

Nie mogę uwierzyć, że Joseph i Estera Gale'owie zostali ocaleni tylko po to, by wydać na świat kogoś, kto będzie sprawcą masakry.

Anno, miałam napisać do mamy i taty, ale ten Ust będzie musiał poczekać jeszcze jeden dzień. Zadzwoń do nich i powiedz, że jestem bezpieczna.

Całuję Was wszystkich. Twoja Jordana

PS Nie bój się o mnie. Przygotowywałam się do tej chwili latami.

Powiedziałas mi kiedyś, że po każdym końcu następuje początek. Mam przeczucie, że Nowy Jork jest początkiem nowego początku dla Jordany Gale...

Anna ze ściągniętą twarzą złożyła list i schowała go z powrotem do koperty. Czuła wielką ulgę, że dziewczyna jest bezpieczna, lecz jednocześnie Ust Jordany mocno ją zaniepokoił. Czy najmłodsze dziecko Josepha i Estery miało spędzić życie za oceanem, z dala od wszystkich, którzy je kochali?

Pamiętała, że już we wczesnym dzieciństwie Jordana Gale zawsze stawiała na swoim. Zadała sobie kolejne pytanie: czy ucieczka Jordany z Izraela to nie kontynuacja dziwnej gorączki, która przez całe życie popychała dziewczynę do podejmowania nieprzemyślanych decyzji? Jeśli tak, to Anna obawiała się, że Jordana poniesie sromotną klęskę. Przypominając sobie, w jaki sposób mała rudowłosa dziewczynka pojawiła się w ich życiu, Anna pograżyła się w myślach; uświadomiła sobie, że Jordana Gale pod wieloma względami przypomina swojego ojca.

Spoglądała w zamyśleniu z balkonu na święte miasto, wspominając biologicznego ojca Jordany Gale, pełnego namiętności, odważnego Ariego Jawora.

Rozdział XXI

Nowy Jork, grudzień 1982

Christine odsunęła się i popatrzyła w twarz Demetriusa, ale nie mogła z niej nic wyczytać. Często wydawało się jej, że im więcej Demetrius wie, tym mniej jej mówi. Ale radość z tego, co przed chwilą powiedział, przesłoniła zniecierpliwienie. Jej ciemnobrązowe oczy błyszczały ze szczęścia.

— Kochanie, to cudowna wiadomość. — Po jej twarzy niespodziewanie zaczęły płynąć łzy. — Kiedy zaczynasz?

Demetrius odwrócił głowę.

— Nie ciesz się tak, Christine — mruknął. — To niskie stanowisko i mała pensja. — Spojrzał na nią, uśmiechając się niepewnie. — Nie zapominaj, że będę tylko asystentem w laboratorium.

Christine pragnęła, żeby jej ukochany był szczęśliwy, ale od ostatnich mrocznych dni w Bejrucie Demetriusa trawił głęboki smutek. Choć mieszkali razem, byli od siebie bardzo daleko.

Christine odrzuciła ponure myśli i uśmiechnęła się. Wiedziała, że w ich wspólnej przyszłości wiele może się popsuć, ale dzisiaj był dobry dzień. Zorganizowała spotkanie w Centrum Medycznym Bellevue, przekonując pełnego oporów Demetriusa, że jest to najlepsze miejsce dla jego medycznego talentu. Szpital Bellevue był najstarszym centrum dydaktycznym w Stanach Zjednoczonych i zatrudniał międzynarodowy personel.

Demetrius wzruszył ramionami.

— Posada będzie wolna w przyszłym miesiącu, ale...

Christine nie pozwoliła mu dokończyć.

— Stanowisko asystenta w szpitalu Bellevue to tylko początek! Kiedy tylko będziesz miał okazję pokazać swoją wiedzę, dostaniesz awans. A gdy zdasz egzamin przed komisją, będziesz mógł leczyć — powiedziała i popatrzyła na niego triumfalnie / zarumienioną twarzą.

Demetrius łatwo się ostatnio irytował. Położył palec na ustach Christine.

— Nie, bardzo cię proszę...

Radość Christine zniknęła; spojrzała na Demetriusa z poczuciem winy.

— Wybacz, zapomniałam — powiedziała uspokajająco. Wczoraj obiecała mu, że przestanie próbować kierować jego życiem, ale dotrzymanie tej obietnicy okazywało się bardzo trudne. Pragnęła zorganizować ich życie w taki sposób, żeby Demetrius uznał, że powinien się z nią ożenić. Czyżby przeholowała? — To był ostatni raz — dodała smutnym, przeprasającym tonem.

Demetrius uśmiechnął się z przymusem, a potem odwrócił się i wrzucił klucze do małego wiklinowego koszyczka na szafce. Trzęsły mu się ręce. Czuł się coraz bardziej nieswojo w tym związku. Christine codziennie znajdowała jakiś sposób, żeby dać mu do zrozumienia, że oczekuje ślubu. Nie chciał jej ranić, ale małżeństwo było ostatnią rzeczą, jaką by planował. Pocieszył się myślą, że nigdy jej tego nie obiecywał. Christine była uroczą kobietą, ale nigdy nie czuł do niej tej gorącej namiętności, którą wzbudzała w nim Hala Kanaan, i nie potrafił zadowolić się niczym mniejszym. Próbował wyjaśnić to Christine, ona jednak nie słyszała tego, czego nie chciała usłyszeć. I mimo swej uczciwości wciąż nie ustawała w wysiłkach uczynienia z ich związku czegoś, czym nigdy nie mógł się stać. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze, kiedy Demetrius zaczął rozpinąć koszulę. Patrzyli na siebie przez kilka sekund.

Obawy Christine znów odżyły. Nic nie układało się tak, jak sobie wymarzyła.

Demetrius postanowił, że jutro będzie dobry dzień, żeby powiedzieć jej, że chociaż ją kocha, nie jest w niej zakochany.

Ich związek, zamiast nabrać intensywności, zaczynał się rozpadać.

Przerwał nieprzyjemną ciszę, zmuszając się do pogodnego tonu:

— Zapomniałem ci powiedzieć... zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie dziś wieczorem.

— Przyjęcie? — zdziwiła się Christine. Nie znali nikogo w Nowym Jorku.

— Lekarz, który mnie przyjmował, John Barrows, urządza wraz z żoną małe spotkanie z sąsiadami. Kiedy usłyszał, że jesteśmy w kraju dopiero od trzech tygodni, powiedział, że koniecznie musimy przyjść.

Christine pobladła, krzyknęła, podbiegła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie.

— Demetriusie, spójrz na mnie! — Obróciła się w jedną i drugą stronę, pociągając się za włosy. — Nie mogę wyjść w takim stanie!

Demetrius zamrugał oczami i patrzył na nią przez kilka sekund, zanim zrozumiał, że Christine martwi się o swój wygląd. Stanął za nią, odwrócił ją delikatnie i uniósł palcami jej podbródek.

— Czym się przejmujesz? — spytał z rozbawieniem. — Będiesz najładniejszą kobietą na tym przyjęciu.

Mruknęła coś pod nosem bez przekonania. W Szatli nie miała czasu, żeby się sobą zająć. Czuła się szczęśliwa, jeśli zdołała obmyć twarz i włosy. Ale od chwili, gdy przylecieli do Nowego Jorku, nie opuszczała jej świadomość, że gdziekolwiek idą, jej ukochanego śledzą pełne podziwu spojrzenia kobiet, zaczęła więc bardzo dbać o swój wygląd.

Demetrius pochylił się i pocałował ją w czoło.

— Wezmę prysznic. — Zerknął na zegarek na nocnej szafce. — Masz mnóstwo czasu. Spotkanie jest dopiero za dwie godziny.

Christine weszła do małej garderoby w sypialni.

— W porządku. Znajdę coś ładnego. — Przesuwając wieszaki, zaczęła nucić pod nosem, kołysząc się na piętach w przód i w tył.

Demetrius zdjął ubranie, zwinął je w kłębek i wrzucił do drewnianego kosza. Narzucił na ramiona niebieski ręcznik i wszedł do łazienki.

Odciągnąwszy zasłonkę, usiadł na brzegu

wanny z prysznicem, odkręcił wodę i ustawił temperaturę. Przypomniawszy sobie, co powiedział John Barrows.

— Kochanie, Barrows powiedział, że mamy się ubrać na sportowo! — zawołał, przekrzykując szum wody.

— Dobrze! — odkrzyknęła Christine.

Demetrius westchnął głęboko, wchodząc pod prysznic. Namydlił ciało i długo stał bez ruchu, starając się o niczym nie myśleć. Czuł się bardzo nieszczęśliwy, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, a przecież całe jego życie znaczyły nieszczęścia. Przedwczesna śmierć najbliższych osób, widok twarzy umierającego ojca i jego wstrząsające oświadczenie — wszystko to sprawiło, że ogarnął go głęboki smutek.

Tuż po wyznaniu, że jego syn urodził się jako Żyd, George Antoun popatrzył pustym wzrokiem na sufit, odetchnął szybko dwa razy, wyszeptał imię żony i zaraz potem umarł, krztusząc się i zachłystując krwią.

Kilka następnych dni również było jednym pasmem nieszczęść.

Pogrzebawszy całą swoją rodzinę, Demetrius szukał pocieszenia u Mustafy i Abeen Baderów. Nie wiedział, czy subtelna zmiana w ich zachowaniu nie jest jego urojeniem, jednak wydawało mu się, że Baderowie czują się nieswojo. Ich bliski niegdyś związek wypełniły nagle niedopowiedzenia, rozmowa nie płynęła już tak lekko i bez wysiłku, jak między ludźmi, których zbliżyła miłość, wygnanie z kraju, wojna i śmierć bliskich. Demetrius wiele razy czuł na swoich plecach oskarżycielskie spojrzenie Mustafy, jak gdyby w ciągu jednej nocy zrzucił arabską skórę i zamienił się w znienawidzonego Żyda. I choć Baderowie nigdy nie okazali mu otwartej wrogości, radzili, żeby zapomniawszy o słowach wypowiedzianych przez ojca na łożu śmierci i nie dzielił się z nikim prawdą o swoim pochodzeniu. Nie mogli zignorować tego, co powiedział George Antoun: Demetrius był Żydem. Nie mogli też zapomnieć, że wiele lat temu, podczas rozmowy z ojcem, Mustafą i Aminem na temat swojej przyszłości, Demetrius oświadczył, że nie chce walczyć z wrogiem, i stwierdził: „Zawarłem separatystyczny pokój z Żydami”. Te nieopatrzne słowa wróciły teraz i nie dawały mu spokoju. Pewnej nocy, gdy Demetrius leżał już w łóżku i Mustafa myślał, że śpi, przypomniał żonie te słowa

i spytał, czy jej zdaniem człowiek może czuć pociąg do swojej krwi, nawet nie wiedząc o swoich związkach rodzinnych.

Demetrius z goryczą przypomniał sobie, że nazajutrz rano, gdy oznajmił, że wyjeżdża z Bejrutu, Mustafa i Abeen okazali widoczną ulgę. Ojciec Christine zdobył dla niego niemiecką wizę gościnną. Demetrius zamierzał wyjechać na krótko, czując, że musi pobyc trochę z dala od obozu, ale nigdy nie zapomniał, że Mustafa i Abeen potraktowali go tak, jakby go już nie było, jeszcze zanim wyjechał. Wysłał im kilka pocztówek i podał adres w Niemczech i w Nowym Jorku, nigdy jednak nie odpisali. Milczenie Baderów powiedziało mu, że już nie może wrócić do ich domu.

Podróż do Niemiec nie poprawiła jego nastroju. Rodzice Christine byli miłymi, kulturalnymi ludźmi, uwielbiającymi swoje jedyne dziecko. Bez wątpienia chcieli, żeby ich córka miała wszystko, co może ją uszczęśliwić, ale jej arabski narzeczonny budził ich niepokój. Friedrich Kleist krytykował politykę Żydów w Palestynie, żeby Demetrius poczuł się lepiej, Christine powiedziała mu jednak, że z biegiem lat poczucie winy ojca z powodu nazistowskiej przeszłości nabrało jeszcze większej siły i przekształciło się w ogromny podziw dla narodu żydowskiego. Demetrius wiedział więc, że ojciec Christine nie przedstawia swojej prawdziwej opinii o Żydach, sądząc, że Arab ucieszy się z każdej krytyki wrogów. Ta nieszczerść, choć wypływająca z dobrych intencji, sprawiła, że Demetrius poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Po tygodniu spotkań, wypełnionych niezręcznymi próbami nawiązania rozmowy, Christine poprosiła ojca, żeby złożył wizytę jednemu ze swych przyjaciół, ważnemu członkowi niemieckiego rządu, zaprzyjaźnionemu z amerykańskim konsulem w Niemczech. Kilka dni później w paszporcie Demetriusa pojawiła się upragniona wiza z pozwoleniem na pracę w Stanach Zjednoczonych.

Ameryka okazała się jednak rozczarowaniem. Czytając w obozach uchodźców o wspaniałym, demokratycznym kraju, Demetrius stworzył sobie wyobrażenie Ameryki jako imperium przyszłości — państwa, w którym prawda i wolność nie są czczymi słowami, a jego obywatele serdecznie witają imigran-

tów. Po kilku tygodniach spędzonych w Stanach odkrył, że choć niektórzy ludzie rzeczywiście okazują mu serdeczność, życie w Ameryce wcale nie jest takie, jak sobie wyobrażał. Amerykanie byli tak pochłonięci pogonią za pieniędzmi, że nie starczało już im czasu na utrzymywanie rodzinnych i przyjacielskich związków.

Wiele lat temu, gdy Demetrius powiedział, że chciałby rozpocząć w Ameryce nowe życie i porzucić pełne przemocy dziedzictwo swojego kraju, George Antoun uśmiechnął się blado i rzekł: „Pamiętaj tylko, synku, że Bóg nie obdarza wszystkimi swoimi darami jednego człowieka ani jednego kraju”. Demetrius nie zrozumiał wtedy słów ojca, ale teraz wiedział już, co znaczyły. Nie ma doskonałego kraju, tak jak nie ma doskonałego człowieka.

Wciąż jednak dręczyły go pytania, na które nie znajdował odpowiedzi: Gdzie jest mój dom? Gdzie moje miejsce?

Christine przerwała jego zadumę, pytając przez drzwi:

— Kochanie, czy mam zadzwonić po ekipę ratunkową? Zaskoczony Demetrius stał przez chwilę nieruchomo.

— Daj mi jeszcze minutę! — zawołał.

— Tylko sprawdzałam! — odparła nienaturalnie radosnym głosem Christine. Demetrius sięgnął po szampon. Kiedy mył i spłukiwał włosy, stanął mu przed oczami obraz brązowych wzgórz i zielonych dolin. Była to wizja Palestyny, kraju, który odwiedził wiele lat temu. Ten miraż stanowił otrzeźwiająca odpowiedź na pytanie, które sobie przed chwilą postawił: nie może uciec przed krajem, w którym przyszedł na świat. Mimo że od niego uciekł, ten kraj nadal w nim był. Jako Palestyńczyk skutecznie oderwał się od Palestyny. Ale jako Żyda coś ciągnęło go z powrotem w przepaść.

Nagle przypomniał sobie, że gdzieś w kraju, w którym się urodził, jest dwoje ludzi, którzy stracili syna. Obiecał sobie, że pewnego dnia w jakiś sposób znajdzie mężczyznę i kobietę, którzy dali mu życie.

Zaczął się modlić: „Boże, pomóż mi dojść tam, gdzie leży moje przeznaczenie”.

Po godzinie oboje z Christine wyszli z mieszkania przy Szesnastej Ulicy i pojechali taksówką do kamienicy przy Dwudziestej Drugiej, gdzie mieszkał John Barrows.

Już na schodach słyszeli muzykę i hałaśliwe rozmowy. Piękna kobieta w czerwonym sari otworzyła drzwi i przywitała ich wylewnie. Przedstawiła się jako Gilda, żona Johna Barrowsa, i kazała im przyłączyć się do zabawy, a sama zajęła się swoimi obowiązkami.

Mieszkanie było urządzone w stylu hinduskim. Na meblach porozwieszano przezroczyste tkaniny, na ścianach wisiały hinduskie malowidła. Na stołach stały mosiężne tace i naczynia, a z głośników płynęła hinduska muzyka.

Demetrius i Christine spojrzeli na siebie, pragnęli, żeby atmosfera przyjęcia przywróciła im radość życia. Żadne z nich nie pamiętało, kiedy się ostatnio śmieli.

John Barrows skinął głową na powitanie nowym gościom. Trzymał w rękach posążek tłustego Buddy i opowiadał o nim jakąś historię. Kiedy skończył, słuchacze parsknęli śmiechem.

Demetrius ujął w dłoń małą rękę Christine i lekko ją uściśnął.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że John Barrows jest prawdziwym oryginałem.

— Na to wygląda — mruknęła z roztargnieniem Christine. Przypatrywała się ciemnoskóremu mężczyźnie w sikhijskim turbanie z klejnotami, siedzącemu przy słomianym koszu. Mężczyzna dmuchał w długi, cienki instrument. Christine z przerażeniem zobaczyła kobrę balansującą na perskim dywanie. Zadrżała, ale patrzyła dalej. Upewniwszy się, że wąż jest tylko gumową atrapą, przeniosła wzrok na twarze gości Barrowsów. W powietrzu unosiły się strzępy rozmów i śmiechy.

Kilku młodych mężczyzn krążyło po pokoju, roznosząc lampki wina i przekąski. Demetrius sięgnął po kieliszek i podał go Christine.

— Drinka?

— Nie teraz. Później.

Demetrius uśmiechnął się i upił mały łyk.

— W porządku — odparł i jeszcze raz uściśnął lekko dłoń Christine.

Spojrzała na niego pytająco, zastanawiając się, co spowodowało tę nagłą zmianę jego nastroju. Po raz pierwszy od miesiąca wydawał się beztroski. Jaka przemiana zaszła w nim podczas kilkunastu minut spędzonych pod prysznicem? Kiedy

o tym myślała, poczuła na sobie czyjś przenikliwy wzrok. Odwróciła się i zobaczyła rosnącego mężczyznę stojącego w kącie pokoju. Natychmiast go rozpoznała. Wciągnęła gwałtownie powietrze i ścisnęła Demetriusa za rękę tak mocno, że aż pobieleły jej palce.

Demetrius popatrzył na nią niemal ze złością.

— Moja droga, przestań!

Christine, pewna, że musiała się pomylić, zerknęła jeszcze raz na mężczyznę, a potem szybko odwróciła głowę. Nie, nie myliła się.

Zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

Mężczyzna zareagował na jej przerażenie gardłowym śmiechem, który wznosił się ponad hałas zabawy,

Christine próbowała przyciągnąć do siebie Demetriusa i powiedzieć mu o swoim odkryciu, ale w tej samej chwili zjawił się John Barrows.

Przedstawiwszy się Christine, porwał Demetriusa, żeby pokazać mu zakupiony niedawno w Jemenie mebel; odchodząc, rzucił wesoło

Christine, żeby czuła się jak u siebie w domu.

Idąc za nim, Demetrius uśmiechnął się do Christine.

Chciała za nim pójść, ale nie mogła się ruszyć.

Mężczyzna podszedł do niej. Miał przyjemny, kulturalny głos.

— Witam ponownie.

Christine przypatrywała mu się przez chwilę w milczeniu; w jej oczach pojawił się gniewny błysk.

— To pan! — wyrzuciła z siebie. Popatrzył na nią z kpiącym uśmiechem. — Cieszę się, że jest pani bezpieczna.

Christine była tak zaskoczona, że zdołała tylko powtórzyć:

— To pan! Michel Gale roześmiał się.

— Chodźmy — powiedział, kierując ją w kąt pokoju. Christine rozejrzała się, rozpaczliwie szukając wzrokiem

Demetriusa; chciała się z nim podzielić niewiarygodną wieścią, że na przyjęciu jest izraelski żołnierz, którego widzieli w Szatili w dniu masakry.

Michel wziął z tacy kieliszek wina i podał jej.

— Proszę. — Jego palce musnęły lekko dłoń Christine. — Wygląda pani tak, jakby potrzebowała drinka. — Spojrzał na nią łagodnie. — Proszę się nie bać. Nie gryzę.

Christine przełknęła duży łyk trunku w nadziei, że alkohol oczyści jej myśli, a potem spojrzała mu prosto w twarz.

— Kim pan jest?

Mężczyzna zaciągnął się papierosem, patrząc jej w oczy.

— No cóż... Nazywam się Michel Gale. Dostałem urlop z jednostki izraelskiego Ministerstwa Obrony i przyjechałem odwiedzić siostrę w Nowym Jorku. — Spojrzał na zegarek, a potem w stronę drzwi. — Ale się spóźnia, co rzadko jej się zdarza. — Popatrzył znów na Christine. — A pani?

Christine nie chciała mu niczego mówić.

— Śledzi nas pan? — spytała z oskarżycielską nutą w głosie. Michel roześmiał się głośno.

— Nie. Kiedy wyjechaliście z Bejrutu?

Christine miała poczucie, że to nie dzieje się naprawdę; nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Stała, nie wiedząc, co powinna zrobić. Przez kilka długich chwil spoglądali na siebie. Christine przypomniała sobie, że ten mężczyzna uratował Demetriusowi życie. Gdyby zabrali go na stadion, tak jak rozkazał żołnierz, zginąłby razem z innymi Arabami, których tam zaprowadzono. Dowiedziała się później, że zostali brutalnie zamordowani przez tych, którzy ich tam zapędzili.

— Jeśli Demetrius pana rozpozna, zabije pana — ostrzegła. Michel uniósł brwi. — Ach tak?

Nie wyglądał na zaniepokojonego. Po chwili jego usta rozszerzyły się powoli w zmysłowym uśmiechu.

— Tak, robi to. — Christine rozejrzała się po pokoju. — Demetrius Antoun nie należy do ludzi, którzy przejmują się konsekwencjami. Ale Michel był tak bardzo nią zafascynowany, że nic, co mówiła, nie mogło przyćmić jego entuzjazmu. Często myślał o tej niemieckiej dziewczynie, i teraz, spotkawszy ją tutaj, czuł, że przeznaczenie pcha ich ku sobie.

— Proszę się o mnie nie martwić. Umiem się o siebie zatroszczyć.

— Nie martwię się o pana! Martwię się o Demetriusa. Pójdzie do więzienia, jeśli pana zabije — odparła Christine ostrym tonem. — Niech mnie pan posłucha. Wszyscy, których

Demetrius kochał, zginęli w masakrze. — Zniżyła głos do szeptu: — On obwinia o ich śmierć Izraelczyków.

Michel pomyślał o spartaczonych akcji w Szatili. Popatrzył na Christine. — Oczywiście! — mruknął sarkastycznie. — Arabowie zabijają Arabów, a świat obwinia Żydów! — Potem dodał szybko: — Proszę powiedzieć, dlaczego armia izraelska ma ponosić winę za nienasyconą żądzę zemsty Libańczyków?

Przypomniawszy sobie żydowskich żołnierzy otaczających Szatilę i zamykających niewinnych Palestyńczyków. Christine poczuła gniew. — Niczym się od siebie nie różnicie!

— Przykro mi, że pani to mówi — odparł Michel z lekkim zniecierpliwieniem. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia z powodu zabitych Palestyńczyków. Jego ślepa nienawiść do nich zbyt długo służyła walce o żydowską ziemię. Nie chcąc jednak przekreślać szansy zawarcia bliższej znajomości z Niemką, dodał pojednawczym tonem: — Przyznaję, że nasza misja przybrała bardzo zły obrót.

Christine milczała, lecz cała jej twarz płonęła.

Nie odrywając od niej wzroku, Michel dokończył drinka; dziewczyna miała w sobie coś, co bardzo go pociągało. Znow się uśmiechnął. Czuł zapach jej kwiatowych perfum. Mimo woli dotknął dłoni Christine; jej skóra była jak aksamit.

Christine odsunęła rękę szybkim, nerwowym gestem. Chciała jeszcze raz ostrzec Michaela przed gniewem Demetriusa, ale pomyślała, że ostrzeżenia nie robią na nim żadnego wrażenia, powiedziała więc tylko: — Kiedy będzie pan obmacywał swoją pękniętą czaszkę, proszę nie mówić, że pana nie ostrzegałam! — Odstawiła kieliszek na mosiężną tacę, a potem wyprostowała się i odeszła szybko, przeciskając się przez tłum gości.

Michel patrzył na plecy Christine, w kącikach jego ust błąkał się lekki uśmiech. Jeszcze nigdy żadna kobieta tak go pociągała! Poczul ulgę, że zerwał z Dinahą.

Słyszając charakterystyczny brytyjski akcent Johna Barrowsa, Christine skierowała kroki na balkon. Rozejrzawszy się, spostrzegła Demetriusa opartego o żelazną barierkę. Spoglądał na

angielskiego lekarza, przesuwającego dłońmi po drewnianej ławeczce. Chcąc jak najszybciej powiedzieć Demetriusowi, że muszą wyjść z przyjęcia, Christine wpadła na niskiego mężczyznę niosącego tacę z krewetkami, czerwonym sosem i roztopionym masłem. Z przerażeniem popatrzyła na poplamioną sukienkę, zaraz jednak uświadomiła sobie, że ma teraz wymówkę, by wyciągnąć narzeczonego z przyjęcia.

W tym momencie zjawiała się Gilda Barrows i zobaczyła, co się stało.

— O, nie! Ale katastrofa! Chodź ze mną, Christine. Christine potrząsnęła głową.

— Nie, nie mogę. Muszę zawołać Demetriusa. Chcę, żeby zabrał mnie do domu.

Gilda machnęła ręką.

— Nonsens. Przecież dopiero przyszliście. — Obejrzała Christine i powiedziała: — Jesteś mniej więcej tego samego wzrostu. — Wzięła ją za rękę i poprowadziła na górę do głównej sypialni.

Christine spojrzała w dół ze szczytu schodów i zobaczyła piękną rudą kobietę, wchodzącą do pokoju. Nieznajoma rozglądała się, jakby kogoś szukała.

Mimo że nie była podobna do Michela Gale'a, intuicja podpowiedziała Christine, że rudowłosa jest siostrą żydowskiego żołnierza.

Po przylocie do Nowego Jorku Jordana Gale wynajęła mieszkanie dokładnie pod Barrowsami i Gilda była pierwszą sąsiadką, którą poznała. Polubiły się od razu i zostały przyjaciółkami.

Jordana uśmiechała się promieniście. Przestała już wierzyć, że szczęście jest możliwe, szybko jednak nauczyła się maskować swoją smutną filozofię wesołym zachowaniem. Szukając brata, przeciskała się przez zatłoczony pokój, witając się z gośćmi Johna i Gildy. Chociaż mieszkała w Nowym Jorku od niespełna czterech miesięcy, była tu już dobrze znana. W tym samym tygodniu, w którym przyjechała do miasta, wychodząc z salonu Elizabeth Arden przy Piątej Alei, zwróciła na siebie

uwagę jednego z najlepszych fotografików w Nowym Jorku. Zauroczony jej niezwykłą urodą, spytał żartobliwie, czy jej imię pochodzi od nazwy kraju. Nazwała go ciemniakiem i wyjaśniła, że Jordana to pospolite żydowskie imię, które nie ma nic wspólnego z nazwą kraju, lecz jest odpowiednikiem angielskiego imienia Yarden. Nie próbowała być czarująca i to zafascynowało go jeszcze bardziej, bo miał już dość kobiet, które dla sławy gotowe były zrobić prawie wszystko. Przebywanie z Jordaną było przyjemną odmianą. W każdym razie zrobiła na nim ogromne wrażenie, a kiedy namówił redakcje dwóch czołowych magazynów mody, żeby umieściły jej zdjęcie na okładce, otworzyła się przed nią droga do wielkiej kariery.

Jordana Gale była piękną kobietą o bujnych rudych włosach, wielkich zielonych oczach i nieskazitelnej cerze. Zbyt obfita figura nie pozwalała jej zostać modelką z wybiegu, mogła jednak mieć wielkie powodzenie, gdyby tylko chciała.

Po przybyciu do Nowego Jorku miała wielu kochanków, szybko jednak doszła do wniosku, że każdego mężczyznę, z którym poszła do łóżka, można zamienić na innego. Bezwzględna dla zalotników, zostawiła za sobą sporo złamanych serc. Znudziwszy się szybko komplikacjami wynikającymi ze zbyt dużej liczby adoratorów, z premedytacją poprosiła Gildę Barrows o rozpuszczenie plotki, iż zakochała się beznadziejnie w żonatym mężczyźnie, pewnym polityku z rodzinnego kraju, Izraela. Kiedy plotka się rozeszła, telefon przestał dzwonić.

Jordana wróciła do żałoby po Stephenie i twierdziła, że jest to jedyna rzecz, która utrzymuje ją przy życiu. Oprócz najbliższej przyjaciółki i brata nikt w Nowym Jorku nie znał prawdy o jej smutnym życiu.

Dziewczyna imieniem Clara, która bardzo pragnęła umówić się z Michelelem Gale'em, powiedziała Jordanie, że jej brat właśnie wyszedł na balkon. Jordana pobiegła wyjaśnić mu, dlaczego się spóźniła. Wiedząc, że Michel będzie zirytowany, uśmiechnęła się do siebie. Zawsze uważała, że jej brat jest zbyt sztywny, i uwielbiała się z nim drażnić. Przecisnęła się wśród gości i przez rozsuwane szklane drzwi wyszła na rześkie grudniowe powietrze. Michel stał z sześcioma czy siedmioma mężczyznami, pochłonięty ożywioną rozmową, i nie zauważył siostry.

Jordana czekała cierpliwie na właściwy moment, żeby odciągnąć brata od grupy gości. Wtedy go zobaczyła.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Wysoki, barczysty i zarazem szczupły, miał lekko falujące ciemnokasztanowe włosy i niemal kobiecą urodę, lecz ratowały go przed tym mocne, wyraźnie rzeźbione kości twarzy. Miał szeroko rozstawione oczy i zmysłowe usta, częściowo zakryte gęstymi węsami. Przeniosła wzrok z jego szczęki na kwadratowy podbródek. Podekscytowana, zacisnęła obie dłonie w pięści.

John Barrows zauważył ją, zanim zdążyła się odezwać.

— Jordana! Czekaliśmy na ciebie! — zawołał, po czym objął ją za szyję i wciągnął do swojego kręgu.

Jordana spoglądała nad jego ramieniem, nie mogąc oderwać wzroku od nieznajomego.

W oczach Demetriusa błysnęła iskra zaciekawienia. Pomyślał, że ta kobieta jest wyjątkowo piękna.

Przywitawszy się ze znajomymi, Jordana stanęła naprzeciwko przystojnego nieznajomego, który był jeszcze wyższy, niż jej się początkowo zdawało. Sama była wysoką kobietą i do tej pory tylko przy ojcu czuła się mała. Wystarczyło jedno spojrzenie szarych oczu Demetriusa, i była oczarowana. Kiedy ich sobie przedstawiono, zaśmiała się, starając się zamaskować napięcie w głosie.

— Miło mi pana poznać, Demetriusie.

Wypowiedzenie jego imienia sprawiło jej wyraźną przyjemność. Nie dała mu w żaden sposób do zrozumienia, że wie, iż jest Arabem, albo że ją to obchodzi.

Demetrius uśmiechnął się.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panno Gale — powiedział głębokim głosem i skłonił lekko głowę. Czuł obecność tej kobiety całym swoim ciałem, ale żadnym znakiem nie dał do zrozumienia, że poczuł do niej nieoczekiwany pociąg.

Natomiast twarz Jordany jasno wyrażała jej uczucia.

Sytuacja stała się niezręczna i niektórzy mężczyźni zaczęli dryfować w inną stronę, zostawiając pochłoniętą sobą parę tylko z Johnem i Michelem.

Jordana powoli się uspokajała, lecz nie przestawali patrzeć na siebie z Demetriusem.

Michel zmrużył oczy i spojrział najpierw na wysokiego Palestyńczyka, a potem na siostrę. Nie podobało mu się to, co widzi. Wyraz twarzy Jordany był tak czytelny, że Michel miał ochotę się roześmiać. I pewnie by to zrobił, gdyby nie chodziło

o jego siostrę. Zwykle nie interesowało go, z kim spotyka się Jordana, lecz Demetrius Antoun był Arabem, a według Michela była to narodowość zakazana dla Żyda z Izraela.

Sam znalazł tego Palestyńczyka, nie obawiając się reakcji, przed którą ostrzegła go Christine.

Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej dziewczynie, upewnić się, czy nie jest żoną Araba. Nie zdziwiło go obojętne zachowanie Demetriusa, gdy ich sobie przedstawiono. Wiedział, że w cywilnym ubraniu

i otoczeniu wygląda całkiem inaczej i że kobiety lepiej od mężczyzn zapamiętują szczegóły.

Demetrius Antoun zmierzył go krótkim, taksującym spojrzeniem, ale był bardzo uprzejmy.

Jordana i Demetrius zaczęli ze sobą rozmawiać.

Dowiedziawszy się, że Demetrius jest palestyńskim uciekinierem, Jordana poczuła radość, że ten wspomniały mężczyzna pochodzi z jej kraju. Nie potrafiąc jej ukryć, spytała:

— Z której części Palestyny pan pochodzi? Demetrius poczuł nagle szalone pragnienie, żeby pochylić

się i namiętnie pocałować tę piękną kobietę w usta.

— Moi rodzice mieszkali w Hajfie — odparł głosem pełnym napięcia. — Do tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Jordana uśmiechnęła się, ignorując oczywiste implikacje wynikające z tej daty.

— Hajfa... Moje ulubione miasto. — Dotknęła jego ręki. — Moi rodzice mieszkają w Jerozolimie

— powiedziała niskim głosem. — Był pan tam?

Michel zmarszczył brwi. Widok siostry flirtującej z Arabem przywoływał całą nienawiść, która nagromadziła się w nim przez lata.

Wyczuwając zmianę nastroju Michela, John Barrows poprosił go, by wyraził swoje zdanie na temat jemeńskiej ławki, którą postawił w rogu balkonu.

Michel nie ruszył się, próbując wymyślić jakiś sposób, żeby

oderwać siostrę od Araba i nie wywołać przy tym sceny. Z doświadczenia wiedział, że Jordany nie można zmusić do niczego siłą. Gdyby to zrobił, niczego by nie osiągnął. Jego siostra była silną, upartą kobietą, która uwielbiała szokować rodzinę.

Czując się nieswojo wśród kłębiących się wokół niego emocji, John wyciągnął ławkę z kąta i powiedział głośno:

— Zrobił ją pewien Jemeńczyk, a rzeźbienia wykonał zwykłym scyzorykiem. — Klepnął ławkę. — Jordano, chodź tutaj i usiądź na niej. Jordana i Demetrius uśmiechnęli się do siebie. Dziewczyna zrobiła krok w stronę ławeczki i obcas jej buta utkwiał w szczelinie między drewnianymi deskami. Potknęła się.

Demetrius złapał ją w ramiona.

Delikatnie dotknęła ręką jego twarzy.

W tym momencie na balkon wyszły Gilda i Christine, szukając Johna i Demetriusa.

Widząc Jordaną w objęciach Demetriusa, Christine cofnęła się, jakby niespodziewanie zobaczyła miotacza noży.

— Demetriusie! Co robisz? — krzyknęła, boleśnie dotknięta. Nie dając mu czasu na odpowiedź, popatrzyła na Jordaną i zapytała: — Kim jest ta kobieta?

Demetrius wypuścił Jordaną z objęć i spojrzał na swoją narzeczoną.

Wyczuwając, że Christine musi być z Demetriusem, Jordana nie potrafiła ukryć rozczarowania. Spojrzała na niego, ale on nie okazał żadnych emocji.

Pragnąc uniknąć gorszącej sceny, wyciągnął rękę.

— Christine, chciałbym, żebyś poznała Jordaną Gale — powiedział cicho, lecz jego słowa zabrzmiały jak rozkaz.

W tej samej chwili zrozumiał, że poznając Jordaną Gale, dotarł do punktu zwrotnego w swoim życiu. Nie miał jednak zamiaru ujawniać swoich uczuć przed ludźmi, których prawie nie znał. Załatwił swoje sprawy z Christine sam na sam. Wtedy, nie będąc już z nikim związany, zbliży się do Jordany Gale.

Bóg jeden wie, jakie będą następstwa wydarzeń tego wieczoru, pomyślał i z niepokojem popatrzył na swoją narzeczoną.

Christine czuła się okropnie, z całego serca chciała cofnąć swoje słowa. Jordanie wydawało się, że dziewczyna zachowuje się melodramatycznie, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że gdyby Demetrius Antoun był jej mężczyzną, pewnie zareagowałyby w taki sam sposób. Gilda objęła Christine w pasie.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała.

Michel walczył z pragnieniem wzięcia Christine w ramiona. Zaskoczyła go dziwaczna myśl: poczuł, że bardzo chciałby być mężczyzną, o którego Christine Kleist była tak bardzo zazdrosna.

Christine oddychała płytko i nierówno. Była rozdarta między nadzieją i lękiem — nadzieją, że myliła się w ocenie tego, co zobaczyła, i lękiem, że się nie pomyliła. Mimo to wiedziała, że się nie pomyliła. Znała Demetriusa zbyt długo, żeby potraktować tę sytuację bez troski. Był mężczyzną, który nie kłamie. Był też mężczyzną, który nie flirtuje z kobietami. Traktował wszystko bardzo serio. Świadomość tego przeraziła Christine, bo wiedziała, że w chwili kiedy jej nie było, w życiu Demetriusa zdarzyło się coś bardzo ważnego.

W jej głowie dudniły dwa budzące grozę słowa: „Straciłam go! Straciłam go!”. Posłała Demetriusowi spojrzenie, w którym miłość mieszała się z żalem, gniew z poczuciem zdrady, wydała zduszony krzyk, wyrwała się Gildzie i wybiegła.

Zapanowała długa, niezręczna cisza. Wszyscy popatrzyli na siebie, a potem na Demetriusa, zastanawiając się, co się stało.

Demetrius postawił swojego drinka na barierce. Był bardzo zakłopotany. — Proszę wybaczyć. Christine nie była sobą. — Spojrzał na Jordanę i ruszył do wyjścia.

Michel pomyślał, że jego siostra jest już dużą dziewczynką i potrafi się sobą zająć. Klepnął Demetriusa w ramię.

— Ja pójdę — powiedział. — Christine i ja poznaliśmy się już... w innym czasie... w innym miejscu. — Spojrzał mu prosto w twarz. — Zostań tutaj. — Popatrzył na Jordanę i dodał: — Z moją siostrą. Odszedł, zanim Demetrius zdążył zaprotestować.

Rozdział XXII

Kochankowie

Roztrzęsiona Christine wybiegła z kamienicy Barrowsów na spokojną ulicę, nie wiedząc, dokąd iść ani co robić. Demci rius miał prawo się na nią gniewać i zdawała sobie sprawy z tego, że spotkanie z nim będzie bolesne, powróciła więc do dawno zapomnianego zwyczaju z dzieciństwa, który polegał na tym, że zamiast narażać się na nieprzyjemną scenę, po prostu się chowała. Zauważyła kępę wysokich krzaków w małym parku naprzeciwko szeregu kamienic i postanowiła się w niej ukryć. Dysząc ciężko, usiadła na ziemi z zamkniętymi oczami.

— Christine! — zawołał męski głos na ulicy. Wyjrzała przez cienkie gałązki krzaków. Kiedy zobaczyła.

że to Michel Gale, wstrzymała oddech.

— Christine!

— Odejdź — szepnęła. — Odejdź.

Wzdrygnęła się ze strachu, słysząc nieznaną głos zwracający się do Michela:

— Szukasz małej drobnej kobitki z długimi ciemnymi włosami?

Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła starą bezdomną kobietę siedzącą na ławce nie dalej niż metr od niej. Wciągnęła głośno powietrze. Czy ta kobieta powie Michelowi, gdzie Christine się ukrywa?

— Tak. Widziała ją pani?

— Wczołgała się pod te krzaki, o tam. — Staruszka wskazała ręką w stronę Christine.

Michel powoli ruszył w kierunku krzaków. Christine rozejrzała się bezradnie, szukając drogi ucieczki. Ale tuż za krzewami wznosiła się ściana domu.

— Pokłóciliście się, dzieci? — spytała kobieta.

— Coś w tym rodzaju — odparł sucho Michel. Christine szepnęła z rozpaczą:

— O, nie...

Michel przykucnął naprzeciwko niej. Jego twarz ukazała się nagle między krzakami.

— Hej.

Zaczerwieniona Christine za wszelką cenę próbowała zachować panowanie nad sobą.

— Cześć.

— Mam się do ciebie przyłączyć, czy może pójdziesz ze mną?

— Sama nie wiem. — Rozejrzała się. — Tu jest fajnie. Michel skinął głową.

— Całkiem komfortowo.

— Tak — odparła Christine, wygładzając sukienkę. — Owszem.

Michel siedział przez minutę w milczeniu, a potem wyciągnął rękę.

— Chodź ze mną.

Popatrzyła mu w oczy, zastanawiając się, czy może mu zaufać.

Uśmiechnął się.

— No chodź, słonko. Podała mu dłoń.

Michel wyciągnął ją z krzaków i strzepnął piach z jej sukienki.

— Chodźmy do ciebie i zabierzmy rzeczy — zaproponował Christine, która stała w milczeniu. — Możesz zostawić kartkę. — Po chwili dodał:

— Od pewnego czasu myślałem o wycieczce na Florydę.

Christine westchnęła ze smutkiem; wiedziała, że jej związek z Demetriusem się skończył. Patrzyła zaskoczona na Michela, który sprawił, że nagle poczuła się bezpieczna.

— To brzmi całkiem niezłe — odparła.

Michel zatrzymał taksówkę. W czasie jazdy mówili niewiele, lecz Michel trzymał ją mocno za rękę, jak gdyby chciał dodać jej siły.

Spakowawszy rzeczy, Christine spojrzała ostatni raz na mieszkanie.

Czuła się jak wewnątrz złego snu — w jednej chwili chciała, żeby Demetrius stanął w drzwiach i kazał jej zostać, a w następnej przypominała sobie, że ich związek był zawsze jednostronny i czuła się w nim tak samo niespełniona, jak zapewne czuł się Demetrius.

— Powinnaś zostawić kartkę.

— Nie. Demetrius zrozumie — odparła z ogromnym smutkiem, który przygnębił Michela.

W ciągu kilku pierwszych dni Christine nie mogła myśleć o niczym innym tylko o Demetriusie — wciąż czuła z oddali jego oddziaływanie.

Michel z niewiarygodną cierpliwością znosił jej wybuchy rozpacz.

Szybko jednak zaczęła ulegać urokowi Michela Gale'a, który był przystojnym mężczyzną ze wspaniałym poczuciem humoru. Demetrius był raczej posepny, więc doceniała pogodne usposobienie Michela.

Dobrze się teraz bawiła, co stanowiło przyjemną odmianę.

Pewnego wieczoru, podczas kolacji w Joe's Stone Club, słynnej restauracji w Miami, przyznała sama przed sobą, że jej zauroczenie Demetriusem zaczyna blednąć, a w jego miejsce pojawia się silny pociąg do Michela.

Michel chyba wyczuł tę zmianę.

— Zatańczmy — zaproponował. — Zatańczmy coś wolnego. Dotykając lekko palcami jego ręki, Christine odparła:

— Mam lepszy pomysł. Wróćmy do hotelu. Posłał jej długie spojrzenie i zapłacił rachunek.

W pokoju stanął naprzeciwko niej, przeciągnął dłonią po jej włosach, szyi i plecach.

— Boże, Christine... Zaczęła rozpinać mu koszulę.

— Michel.

Całował ją po szyi i ramionach.

— Pragnąłem cię od pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem. Roześmiała się.

— A ja tobą pogardzałam.

— Uwielbiałem cię od pierwszej sekundy. — Pocałował ją w usta, najpierw powoli, potem niecierpliwie; po chwili oboje nie mogli złapać tchu.

Chwycił ją za ramiona i popatrzył w twarz.

— Kocham cię, Christine Kleist.

— Jak Żyd może pokochać Niemkę? — drażniła się z nim.

— A czy ty umiesz pokochać Żyda, Christine? — szeptał między pocałunkami.

Odsunęła się i popatrzyła na niego.

— O Boże, Michel — powiedziała w końcu z niedowierzaniem. —

Trudno mi w to uwierzyć, ale chyba właśnie się w tobie zakochuję.

Michel patrzył na nią, uszczęśliwiony, całując jej nos, policzki i usta.

Wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka, a potem znów całował i dotykał.

Dwa tygodnie później, gdy przyszedł czas wracać do Izraela, zabrał ze sobą Christine i przedstawił rodzicom. Oznajmił, że to dziewczyna, którą chce poślubić.

Christine ze zdumieniem odkryła, że jej uczucie do Demetriusa Antouna stało się bladym wspomnieniem, a związek z Michelem Gale jest wszystkim, czego zawsze pragnęła.

Kwiecień 1983, Jerozolima

Chłód rozszedł się po pokoju, gdy Joseph Gale spojrział na Christine Kleist i powiedział:

— Tak, moje dziecko. Nigdy nie zapomnę tego nazwiska. — Jego głos drżał gniewnie, gdy powtórzył: — Pułkownik Karl Drexler. — Z wściekłością na twarzy popatrzył dziewczynie w oczy. — Tylko martwi zapomnieli pułkownika Drexlera.

Christine oparła się bezwładnie o krzesło i spuściła wzrok z zakłopotania i wstydu. Z ogromnym smutkiem na twarzy wyszeptała:

— Miałam nadzieję, że to nieprawda... — Oparła głowę na dłoniach i kołysała się w przód i w tył.

Estera pochyliła się. Jej twarz poszarzała, w oczach czaił się lęk; z trudem panowała nad sobą. To, co mówiła ta niemiecka dziewczyna, było nie do wiary!

Michel osunął się niżej na krześle.

— To jest takie dziwne, takie dziwne — powiedział szorstkim głosem pełnym niedowierzania. — Spojrzał na Christine i spytał z niechęcią: — Czemu mi nie powiedziałaś?

Christine milczała. Chciała mu wyjaśnić, że wołała nie ujawniać swoich podejrzeń, dopóki nie nabrała absolutnej pewności, lecz widząc jego irytację, zmilczała.

Anna Taylor obserwowała tę scenę z niepokojem, przygotowując się na trudny wieczór. Popatrzyła na młodą Niemkę z odrobiną złości. Matka Anny mawiała często, że nieszczęścia zaczynają się od słów, i ten wieczór dobitnie to potwierdzał. Sam fakt, że Michel zaręczył się z córką nazisty, był dość kłopotliwy, a teraz jeszcze to!

Upłynęło kilkanaście sekund. Christine podniosła głowę i spojrzała na Josepha i Esterę.

— Tak mi przykro — powiedziała drżącym, niepewnym głosem. — Czy możecie mi wybaczyć?

Gniewny wyraz twarz Josepha złagodniał. Spojrzawszy na pełną przejęcia twarz dziewczyny, przypomniał sobie o wciąż rozszerzającym się kręgu wojny, oddziałującym nawet na jeszcze nienarodzone pokolenia. — Wybaczyć ci? Moja droga, tobie nie ma czego wybaczać.

Christine czuła współczucie tego człowieka. Znów przypomniała sobie o zbrodniach nazistów i łyzy wstydu stanęły jej w oczach. Spoglądając na przystojną, łagodną twarz Josepha, zastanawiała się, jak niemieccy obywatele z pokolenia jej ojca usprawiedliwiali przed sobą prześladowanie takich ludzi. Estera, wstrząśnięta, oddychała z trudem. Ciemność tamtych dni, odór śmierci — wszystko to powróciło do niej na samą wzmiankę o getcie warszawskim i esesmanach.

Joseph przez chwilę przyglądał się żonie, a potem podszedł do niej szybko i dotknął dłonią jej twarzy.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

Estera nie odpowiedziała, tylko ścisnęła rękę męża i skinęła głową. Anna podeszła do przyjaciółki z drugiej strony i objęła ją dla dodania otuchy. Pod pozorną siłą i spokojem Estery kryło się zbolełe serce pogrążonej w smutku matki. Nikt nie wiedział tego lepiej od Anny. Joseph spojrzął na Christine pytająco.

— Jesteś absolutnie pewna tego, co mówisz?

Christine przełknęła z trudem ślinę. Wiedziała, że informacja, którą ujawniła, była prawdziwa, ale zastanawiała się teraz, czy dobrze zrobiła, mówiąc Gale'om, że jest córką Friedricha Kleista, esesmana, strażnika z getta. Czy to nie zmieni jej stosunków z rodziną Gale'ów? Nie chciała być źródłem bólu dla Michela, nie chciała przypominać o wydarzeniach, które tak bardzo dotknęły jego rodziców. Czy — jeśli tak się stanie — Michel pójdzie swoją drogą, zapomniawszy o wszystkim, co ich łączyło? Poczula, że dostaje gęsiej skórki, jak gdyby właśnie przeczytała swoje epitafium.

Czując na sobie przenikliwie spojrzenia czterech par oczu, brnęła dalej, odpowiadając na pytanie Josepha:

— Tak, jestem pewna. Ojciec powtarzał mi tę historię wiele razy. Kiedy Michel opowiedział mi dzisiaj o śmierci rodziny swojej matki, znałam szczegóły, zanim doszedł do końca. — Spojrzała na Michela, oczekując potwierdzenia.

— To prawda — przyznał Michel. — Christine opowiedziała mi o getcie rzeczy, o których nie miałem pojęcia. — Po chwili milczenia dodał: — Ale nie wiedziałem, że mówi o mojej rodzinie.

Tak jak ogromna większość Żydów, którzy wymknęli się Hitlerowi, Joseph i Estera powiedzieli swoim dzieciom tylko tyle, że ich rodziny zginęły w holokauście. Dorastające w Izraelu, pochłonięte walką o przetrwanie młodego kraju, były zbyt daleko od komór gazowych i sztolni śmierci, żeby w pełni odczuć grozę losu europejskich Żydów.

Po raz pierwszy w życiu Michela ogarnęło poczucie dotkliwej straty. Czuł się też odrobinę zirytowany, że Niemka, córka nazistów, wie o holokauście więcej niż on, syn ocalałych z zagłady Żydów.

Christine uśmiechnęła się do niego niepewnie, mając nadzieję, że wciąż ją kocha.

Michel odwzajemnił uśmiech: wszystko w porządku.

Christine odchrząknęła i znów spojrzała na Josepha. Przesiewała wspomnienia, starając się nie pomieszać faktów.

— Jak powiedziałam, mój ojciec był esesmanem, strażnikiem w getcie warszawskim. Na własne oczy widział zbrodnie popełnione przeciwko waszej rodzinie. — Ściszyła głos. — Ojciec mówił, że nigdy nie widział człowieka, który by walczył z taką zaciętością jak ty. Powiedział, że trzeba było ośmiu esesmanów, żeby cię pokonać. Dopiero wtedy mogli się zbliżyć do twojej żony i dziecka. — Głos Christine załamał się. — Nigdy nie zapomniał tej strasznej nocy.

Słowa Friedricha Kleista, powtórzone przez jego córkę, przetoczyły się przez pokój jak straszliwa lawina.

Michel spojrzał na ojca, myśląc z dumą, że jego odwaga dorównuje dobroci.

Joseph zrobił głęboki wdech i położył środkowy palec na ustach.

Przywołał wyparte z pamięci wspomnienia najstraszniejszej nocy w swoim życiu... nocy, o której próbował zapomnieć przez czterdzieści lat. Widział niemieckie twarze, wszystkie takie same.

— Ojciec powiedział, że uratowałeś mu życie — dodała Christine. — Pod koniec wojny. Pamiętasz to?

Joseph mruknął coś i wstał. Słowa dziewczyny poruszyły jego pamięć, przywołując na myśl twarz pewnego Niemca. Przypomniawszy sobie tego człowieka i jego uczynek — uczynek, który wyniósł go ponad innych esesmanów. Nie mógł uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

— Friedrich Kleist... — powiedział powoli. — Ten esesman jest twoim ojcem?

— Tak! Tak! — zawołała podekscytowana Christine. — Pamiętasz go?

Joseph opadł ciężko na fotel i popatrzył na Michela. Z udreką malującą się na twarzy zaczął mówić powoli i z namysłem:

— To się stało pod koniec wojny. Rok po tym, jak Daniel i ja uciekliśmy z pociągu do Treblinki. Mieszkaliśmy w lasach z polskimi partyzantami, walczyliśmy razem z nimi przez cały ten rok, wysadzaliśmy pociągi, ciężarówki... Twoja matka wciąż

mieszkała z polską rodziną na wsi, zabierać ją stamtąd było zbyt niebezpiecznie. Pewnego dnia przedostaliśmy się z Danielem do Warszawy, żeby zebrać informacje o transporcie broni. Akurat wtedy rosyjska armia zaczęła nagle bić Niemców. Zostaliśmy w Warszawie, wiedząc, że koniec niemieckiej okupacji jest bliski. Przez kilka dni słyszeliśmy rosyjskie działa. Cała Warszawa powstała przeciwko tym niemieckim łotrom. — Joseph zerknął na Christine. — Przepraszam... Christine machnęła ręką.

— Nie szkodzi. Rozumiem.

— Ale Polacy się przeliczyli. Myśleli, że Rosjanie przyłączą się do naszej walki. A oni zostawili Polaków. — Joseph zacisnął gniewnie usta. — Ich czołgi czekały na drugim brzegu Wisły i nawet się nie ruszyły... Dopiero kiedy Warszawa została zrównana z ziemią, a ćwierć miliona polskich powstańców i cywilów zginęło, wkroczyli do miasta.

Michel coś sobie przypomniał.

— To wtedy zginął wujek Daniel?

Joseph zmarszczył czoło. Nigdy sobie nie wybaczył śmierci Daniela Steina.

— Tak — odparł głosem bez wyrazu. — Właśnie wtedy. Przeżył transport śmierci, bitwy w partyzantce i powstanie warszawskie, a potem zastrzelił go rosyjski żołnierz. Swojemu dowódcy powiedział, że Daniel był niemieckim żołnierzem w cywilnym ubraniu.

W pokoju panowała kompletna cisza.

— Wszystkim nam przyda się coś do picia — powiedziała po chwili Anna i wyszła do kuchni.

— Polscy partyzanci, którzy przeżyli, ścigali niemieckich żołnierzy uciekających do Vaterlandu — ciągnął Joseph. — Nie pamiętam, jak to dokładnie było, ale rzeczywiście rozpoznałem twojego ojca. I uratowałem mu życie. — Joseph odwrócił się i popatrzył czule na żonę. — Zrobiłem to tylko z jednego powodu. Friedrich Kleist ocalił życie Esterze. — Spojrzał znów na Christine. — Twój ojciec ostrzegł Daniela. Powiedział mu, że pułkownik Drexler rozkazał mu wysłać całą rodzinę Steinów do Treblinki. — Po krótkiej pauzie dodał: — Mieli zostać zagazowani. — Odetchnął głęboko. — Nie było

zbyt wiele czasu, żeby się przygotować. Tylko Estera się uratowała. Wywieziono ją z getta wozem ze śmieciami i spędziła resztę wojny u polskiej rodziny na wsi. Gdyby nie Friedrich Kleist, nie byłoby jej tu dzisiaj. — Potem spojrział z miłością na syna i dodał: — Ani Michela. Przed oczami Christine stanęła twarz ojca. Narażając swoje życie, aby ocalić Żydów, odkupił swój grzech przynależności do nazistów. Anna wracała właśnie z kuchni, gdy z piersi Estery wyrwał się zdławiony krzyk.

Wszyscy popatrzyli na nią ze zdumieniem.

Aż do tej chwili Estera nic nie mówiła, teraz jednak zerwała się gwałtownie z fotela, podbiegła do Christine i złapała ją za rękę.

Jej wzrok przeraził Christine.

— Czy ojciec powiedział ci, co się stało z moim dzieckiem? Christine pobladła, widząc straszliwe cierpienie na jej twarzy. Joseph podszedł do żony i przytulił ją mocno.

— Nie zadręczaj się, kochanie. Nie trzeba.

Cierpiąca w milczeniu od czterdziestu lat Estera wyrwała się z objęć męża. Padła do stóp Christine, położyła jej ręce na kolanach i płaczącymi się słowami błagała dziewczynę, żeby sobie coś przypomniała.

— Miriam była małą dziewczynką... nie miała jeszcze trzech lat...

blondynka... niebieskie oczy... Josephowi powiedzieli, że nasze dziecko zostało wysłane do Niemiec do adopcji. Niemcy wywieźli wiele polskich dzieci o jasnej cerze... Czy ojciec mówił ci o tym?

Christine zaczęła rozpaczliwie szukać w pamięci jakiejś informacji, którą mogłaby pocieszyć Esterę. Nie wiedziała, co zrobić, więc skłamała, mając nadzieję, że ojciec pomoże rozwikłać tajemnicę zaginięcia dziecka:

— Nic mi nie mówił, ale jestem pewna, że wie. — Po chwili dodała: —

Na pewno wie... ale mi nie powiedział.

Estera położyła głowę na kolanach Christine i zapłakała gorzko.

— Miriam... moje dziecko.

Michel, poruszony bólem matki, zerwał się na nogi.

— Mamo, nie płacz. — Ujął ją za ramiona. — Proszę cię...

Anna poczuła, że ogarniają gniew. Najokrutniejszym aspektem wojny było rozdzielanie matek i dzieci. Dlaczego ta młoda Niemka wyciąga sprawy z przeszłości? Anny nie obchodziło już, co czuje Christine.

— Czy zawsze przypominasz ludziom o tym, co dawno zostało zapomniane? — spytała.

Christine zadrżała.

— Nie powinnaś tak do niej mówić — powiedział Michel. — Ona tylko próbowała pomóc.

Estera zmierzyła Annę badawczym, niemal oskarżycielskim spojrzeniem.

— Zapomniane? Anno, pamięć o mojej córeczce rani mnie jak pocisk w każdej minucie, w każdej sekundzie... — Popatrzyła na Christine. —

Musisz zadzwonić do ojca. — Odwróciła głowę do Josepha. —

Zaprosimy do nas rodziców Christine. — Po chwili dodała ożywionym z podniecenia głosem: — Jej ojciec powie nam, gdzie szukać Miriam.

Joseph wyciągnął ręce i podniósł żonę na nogi.

— Kochanie, upłynęło zbyt wiele lat...

Estera potrząsnęła głową i powiedziała błagalnie, ledwie słyszalnym głosem:

— Tylko ją zobaczyć... dotknąć... wiedzieć, że nie cierpiała... że żyje.

Joseph westchnął głęboko, spoglądając ze smutkiem na żonę. Tak samo jak ona, niczego bardziej nie pragnął, niż zobaczyć jeszcze raz zaginioną córeczkę. Ale wiedział, że szanse na to, że przeżyła, sobą bardzo małe.

Wbrew temu, co utrzymywał pułkownik Drexler, Miriam i jej niewidomy kuzyn trafili najprawdopodobniej do komory gazowej. A gdyby nawet dziewczynkę wywieziono do Niemiec i została adoptowana, w ostatnim roku wojny zginęło tysiące niemieckich cywilów. Joseph był pewien, że stracili Miriam na zawsze.

— Wiem, co myślicie. Miriam ma niemiecką matkę... nasze dziecko nie będzie nas pamiętać... — szlochała Estera. — Ale mimo to musimy spróbować, Josephie! Musimy!

— Nie rób sobie znowu nadziei — błagał Joseph.

Po wojnie Estera przez wiele lat pisała listy do niemieckich władz i rozmaitych agencji, ustalających miejsce pobytu żydow-

skich dzieci o jasnych włosach, które wysyłano z okupowanych krajów do Niemiec w celu adopcji. Wszystkie jej wysiłki spełzły na niczym. Nikt nic nie wiedział ani o Miriam Gale, ani o niewidomym chłopcu, Dawidzie Steinie.

Po dwudziestu latach poszukiwań Estera zrezygnowała, ale niebyło dnia, w którym nie modliłaby się za swoją córeczkę... żeby za bardzo się nie bała... żeby znalazła dobry dom... żeby przeżyła wojnę... żeby była teraz dorosłą kobietą z własnymi dziećmi

— Zadzwoń do ojca! — zawołała do Christine. — Zadzwoń do niego!
Dziewczyna wstała, poruszona jej cierpieniem.

— Michel?

Michel spojrzał na zegarek.

— Która godzina jest teraz w Niemczech?

— Godzina?! — krzyknęła Estera. — Kogo to obchodzi! Obudźcie go!
Christine pobiegła do telefonu. Michel ruszył za nią.

Nowy Jork

Jordana wciągnęła głęboko powietrze. Uwielbiała zapach starych książek. W nowojorskiej bibliotece publicznej były całe kilometry półek z milionami woluminów. Jordana przesuwała palcami po szklanej gablocie, w której wystawiono bez cenne manuskrypty. Wychowano ją w szacunku dla książek; wiedziała, że w czasie holokaustu z domu matki wywieziono bogatą bibliotekę. Zamknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie dom rodzinny w Warszawie. Życie matki musiało być interesujące, zanim wszystko straciła.

Ciekawe, co się stało z tymi książkami. Czy ukochana biblioteka Mosze Steina została zniszczona w powstaniu warszawskim, czy może książki leżą teraz w prywatnym mieszkaniu potomków nazistów? Jaka szkoda, pomyślała Jordana.

Spędziwszy godzinę w ogromnym gmachu, wyszła na zewnątrz i stanęła tak, żeby móc łatwo zobaczyć Demetriusa, gdy będzie wychodził jednym z trzech głównych wejść; siedział w bibliotece już od wielu godzin.

Wkrótce poczuła senność i zaczęła ziewać. Zakryła ręką usta i pomyślała, że jest cudowne popołudnie. Świeciło słońce, niebo było bezchmurne, wiał ciepły kwietniowy wiaterek. Zdawało się, że nawet ptaki radośniej wyśpiewują dzisiaj swoje piosenki.

Uśmiechnęła się na widok pary zakochanych, którzy usadowili się na jednym z rozległych tarasów. Młodzi ludzie obejmowali się namiętnie, przypominając Jordanie, że ptaki nie są jedynymi stworzeniami, które myślą o godach.

Westchnęła i oddała się swojej ulubionej rozrywce, jaką było rozmyślanie o Demetriusie. Od samego początku ich namiętnego romansu wiedziała, że Demetrius nie jest zwyczajnym mężczyzną i że taka miłość bardzo rzadko się zdarza. Demetrius miał w sobie tę samą dobroć i dojrzałość, która przyciągnęła ją do Stephena, lecz była w nim też cudowna namiętność, której brakowało w pierwszej miłości Jordany. Nigdy nie była szczęśliwsza, nawet w najszcześniejsze dni ze Stephenem.

Przypomniała sobie o kopercie, którą miała w torebce. Właśnie dziś rano dostała list od rodziców z Jerozolimy. Dotyczył Christine Kleist, byłej dziewczyny Demetriusa, i zawierał wiadomość, którą Jordana nie chciała się z nim dzielić: Christine zaręczyła się z jej bratem! Zastanawiała się, czy nie przeszkodzi to w jej planach związanych z Demetriusem, pocieszała się jednak, że teraz nie musi się już przynajmniej przejmować poczuciem winy Demetriusa wobec Christine.

List nie był jedynym sekretem, którym nie podzieliła się z Demetriusem. Nie powiedziała mu jeszcze, że została adoptowana. Na początku znajomości po prostu zapomniała mu o tym powiedzieć. Uważała Josepha i Esterę za swoich prawdziwych rodziców. Rzadko myślała o Arim Jaworze i Leah Rosner. Kiedyś omal się nie wygadała, ale natychmiast przypomniała sobie, jaki jest stosunek Arabów do adopcji. Wszyscy izraelscy Arabowie, których znała, traktowali podejrzliwie każdego, kto nie miał bliskich krewnych, bo uważali, że nie znając rodziców i dziadków, nie zna się naprawdę człowieka i nie można mu ufać. Jordana szybko postanowiła, że najpierw przedstawi Demetriusa Josephowi i Esterze Gale'om, a dopiero potem powie mu o Arim i Leah Jaworach.

Rzadko pytała Josepha i Esterę o ludzi, którzy dali jej życie.

Zamknawszy oczy, oparła głowę na uniesionych kolanach i zaczęła przypominać sobie, co na ich temat wiedziała.

Ari i Leah stracili wszystkich bliskich w komorach gazowych. Z dwóch dużych czechosłowackich rodzin przeżyło tylko ich dwoje. Poznali się w czasie marszu śmierci w Oświęcimiu. Po wojnie przedostali się do Palestyny, walczyli ramię przy ramieniu, a między kolejnymi bitwami złożyli sobie ślubowanie małżeńskie. Upłynęły lata, zanim Leah zaszła w ciążę. Kiedy w 1955 roku z dumą ogłosiła, że spodziewa się dziecka, oboje czekali na nie z ogromną radością.

Trzy miesiące przed narodzinami Jordany Ari zginął podczas tajnej misji w Syrii. Leah poddała się, straciła wszelką ochotę do życia. Obawiając się, że może umrzeć podczas porodu, poprosiła Esterę, swoją najbliższą przyjaciółkę, żeby adoptowała jej dziecko. Kilka godzin po porodzie rzeczywiście zmarła i Jordana została z Josephem i Esterą. Wychowali ją jak swoje własne dziecko; nie mogła mieć lepszych rodziców.

Wzdrygnęła się i odsunęła od siebie myśli o swoich biologicznych rodzicach; przypomniała sobie, że przecież poza tym powiedziała o sobie Demetriusowi wszystko — dobre i złe — poczynając od szczęścia powojennych dni, a na tragicznej śmierci starszej siostry i brata kończąc. Wkrótce jej błogi nastrój powrócił.

Rano, razem z kilkoma innymi modelkami, prezentowała najnowszą letnią modę dla lokalnej gazety. Spędziła kilka godzin, parując wśród rzeźbionych lwów i korynckich kolumn marmurowego gmachu. Kilka dni wcześniej ubłagała Demetriusa, żeby towarzyszył jej w czasie sesji zdjęciowej. Chciała dzielić się wszystkim z mężczyzną, którego kochała. Uśmiechnęła się do siebie. Młodzi mężczyźni, którzy przychodzili tutaj opalać się, czytać albo po prostu posiedzieć w czasie lunchu, rzucali jej pełne podziwu spojrzenia. Nie zwracała na nich uwagi, ale przypomniała sobie, że kiedy Demetrius przyszedł na sesję, wszyscy zareagowali tak, jak się spodziewała. Podekscytowany fotograf spojrzał na twarz Demetriusa i powiedział, że może zagwarantować nowemu ukochanemu Jordany lukratywną karierę modela. Trzy pozostałe modelki zaczęły bezwstydnie kokietować przybysza, nie przej-

mując się obecnością Jordany i brakiem reakcji ze strony Demetriusa. On jednak szybko znudził się niekończącymi się powtórkami ujęć i zachowaniem młodych mężczyzn, którzy próbowali podrywać modelki, spojrzał przepaszająco na Jordaną i schronił się w bibliotece.

Teraz nadal był w bibliotece, choć wrócił na chwilę na sesję, żeby powiedzieć Jordanie, że zamierza spędzić tam tyle czasu, ile potrzeba do przeczytania interesującego tekstu o historii Żydów, który znalazł. Jordana nie narzekała — wręcz przeciwnie, cieszyła się, że Demetrius stara się dowiedzieć czegoś o żydowskiej historii. Uznała jego ciekawość za wyraźny sygnał, że traktuje ich związek tak samo poważnie, jak ona.

Zaczęła nucić jakąś liryczną piosenkę.

Po kilku minutach Demetrius ukazał się w środkowym wejściu do budynku.

Jordana z drżeniem serca czekała, aż ją zauważy.

Ale Demetrius myślał o czym innym. Właśnie zrobił pierwszy krok na drodze do odnalezienia swojej żydowskiej rodziny, czytając w bibliotece o żydowskich dzielnicach Jerozolimy. Miał już listę miejsc i ulic, zamieszkiwanych wspólnie przez Żydów i Arabów w burzliwych latach czterdziestych. Dokumenty, które znalazł w Szatili w domu George'a Antouna, okazały się trudne do odczytania. Znał nazwę osiedla, w którym mieszkał wuj, nie znał jednak nazwy ulicy. Będzie musiał szukać dalej.

Widok Jordany zaskoczył go; myślał, że dawno wróciła do domu. Nie był jeszcze gotów powiedzieć jej prawdy o swoim pochodzeniu; nie wiedział, co zrobić z dokumentami, które trzymał w dłoni. Zatrzymał się i powoli złożył kilka arkuszy papieru, a potem schował je do kieszeni spodni.

Jordana widziała kartki, ale o nic nie zapytała. Przekonała się już, że Demetrius jest bardzo skrytym mężczyzną.

— Tu jesteś! — powiedział, uśmiechając się.

Jordana wstała, a Demetrius ujął w rękę obie jej dłonie i lekko uściśnął.

— Przepraszam! Nie wiedziałem, że czekasz. Wybaczysz mi? Ciesząc się jego dotykiem, Jordana zapomniała o wszystkim;

zarumieniła się ze szczęścia i uśmiechnęła promiennie.

— Nic nie szkodzi, najdroższy. Po sesji poczekałam trochę

w środku. Mówiłam ci, że pracowałam kiedyś jako bibliotekarka. Miałam tylko szesnaście lat... Uciekłam z domu i znalazłam sobie pracę w bibliotece w Tel Awiwie. Tata szukał mnie przez kilka tygodni. — Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się. Demetrius też się roześmiał. — Ty bibliotekarką?

Właśnie to lubił u Jordany. Była zabawnie nieprzewidywalna i pełna niespodzianek. Pociągali się nawzajem tak silnie, a ich związek był tak pełny, że Demetriusowi wydawało się, jakby znał Jordane od bardzo dawna. Musiał sobie przypominać, że poznali się dopiero cztery miesiące temu.

Jordana rozejrzała się po tłumie ludzi.

— Miło było powylegiwać się trochę na słońcu, nic nie robiąc.

— To brzmi nieźle — odparł Demetrius.

Jordana przyciągnęła go do siebie i przywarła do niego całym ciałem. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Wypowiedz życzenie — powiedziała, rozchylając usta w uwodzicielskim uśmiechu.

Demetrius zamknął oczy i przysunął usta do jej policzka; trwał tak przez chwilę, wdychając jej zapach.

— Zabierz mnie do siebie, to pokażę ci, czego sobie życzę — wyszeptał obiecująco.

Jordana przesunęła otwartą dłoń po jego piersi i przysunęła głowę Demetriusa do swoich ust. Dotknęła leciutko jego ucha językiem i szepnęła:

— Każde twoje życzenie zostanie spełnione.

— Jordano Gale, jesteś najbardziej zmysłową kobietą na świecie — wymruczał głosem pełnym pożądania.

— Chodźmy — powiedziała niecierpliwie.

Zbiegali ze schodów po dwa stopnie naraz, trzymając się za ręce.

— Weźmy taksówkę — zaproponowała Jordana ze znaczącym uśmiechem. — Nie mogę się doczekać.

Demetrius uśmiechnął się i rozejrzał w prawo, a potem w lewo.

— Dobrze. — Po chwili do krawężnika podtoczyła się rozklekotana żółta taksówka. — Najszybciej, jak się da... nie łamiąc przepisów — powiedział Demetrius.

Jordana zaśmiała się cicho i oparła głowę na jego ramieniu. Taksówka pomknęła do kamienicy przy Dwudziestej Drugiej Ulicy.

Wbiegali po schodach, chichocząc jak dzieci. Otwierając drzwi, Jordana trzy razy upuściła *klucze*. Kiedy już znaleźli się w środku, zaczęli ściągać pospiesznie ubrania.

Ktoś zapukał do drzwi.

— A niech to! Założę się, że Gilda nas usłyszała — szepnęła Jordana.

Mieszkała piętro niżej i lubiła spotykać się z przyjaciółmi wieczorem przy herbacie.

— Nie otwieraj — mruknął Demetrius i przytulił Jordaną, całując ją długo, namiętnie.

Pukanie nie ustawało.

Jordana oplotła rękami szyję Demetriusa, a potem wsunęła palce w jego włosy. Nie otworzyli drzwi.

Jordana spała spokojnie.

Demetrius podszedł do niej cicho, pochylił się i lekko pocałował ją w usta. Nie obudziła się, ale jej wargi ułożyły się w leciutki uśmiech. Patrzył na nią przez chwilę, a potem podciągnął jej kołdrę pod brodę, wyszedł z pokoju i spiralnymi schodami zszedł na niższy poziom mieszkania Jordany. Przez szpary w zasłonach widział, że jest jeszcze ciemno.

Poszukał papierosów Jordany. Zaczął palić, od kiedy ją poznał. Rozejrzał się po jadalni i kuchni i wreszcie zauważył brzeg paczki papierosów, wystający spod pogniecionej bluzki Jordany leżącej na podłodze.

Wciągnął spodnie i z papierosami i zapalniczką w dłoni wyszedł na balkon. Oparłszy się o barierkę, zapalił papierosa. Zamknął oczy i zaciągnął się głęboko. Trzymał dym w płucach, aż zaczął go piec, a potem wypuścił go i skierował wzrok na duży dom stojący naprzeciwko kamienicy, w której mieszkała Jordana.

Cichy niepokój nocy pasował do jego nastroju. Demetrius wiedział od pewnego czasu, że jest zakochany w Jordanie Gale. Czuł, że ten związek jest dla niego początkiem nowego życia. Kochał Jordaną za jej dobroć, wielkoduszność, bystry umysł

i dowcip, ale wiedział też, że ta czarująca dziewczyna potrafi być nieprzyjemnie egoistyczna, uparta i niemiła dla tych, których nie lubi. Kochał ją, wiedząc o tym wszystkim.

Musiał podjąć ważną decyzję i wiedział, że musi to zrobić, gdy jest sam, bez kuszącej obecności ukochanej kobiety. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął poprosić Jordana o rękę, ale wcześniej musiał zajrzeć w siebie, upewnić się, że to nie chęć poznania swojej przeszłości pchnęła go w ten związek. Miał wystarczająco wielkie poczucie winy wobec Christine. Nie chciał zranić tak samo Jordana.

A jeśli się z nią ożeni, czy utrzyma ją przy sobie? Nie było dobrego momentu, żeby wyznać prawdę: że Arab, którego kocha Jordana, jest tak naprawdę Żydem. Jak zareaguje, gdy się dowie, że Demetrius nie jest tym, za kogo go brała? Zaklął po cichu, żałując, że poznał prawdę o swoim pochodzeniu. Jak zdoła pogodzić życie Araba, którym żył do tej pory, z życiem Żyda, którego musiał się nauczyć?

Ten sekret bardzo obciążał ich związek. Musiał powiedzieć jej prawdę, bo Jordana natychmiast zauważała częste zmiany jego nastrojów — powinna wiedzieć, że ich źródłem jest to, czego nie powiedział jej o swoim życiu. Jeśli powie jej, że w jego ciele mieszka tak naprawdę dwóch mężczyzn — Arab i Żyd — czy zaufa mu jeszcze kiedyś?

Nagle uderzyła go absurdalność tej sytuacji. Roześmiał się głośno. Przestraszył się, że obudzi sąsiadów Jordana, więc zakrył usta dłonią i jego śmiech zabrzmiał jak szloch.

Jordana wyszła na balkon.

— Demetriusie, nic ci nie jest? — spytała zaniepokojona. Demetrius ściągnął brwi i popatrzył na nią, jednocześnie uśmiechając się i marszcząc czoło. Kłębiły się w nim różne emocje. Uspokoiwszy się, wyrzucił z siebie pytanie, które chciał zadać od tygodni. Nie dał sobie ani minuty na dalsze zastanawianie się — zaskoczył siebie tak samo jak Jordana.

— Kochanie, wyjdiesz za mnie? Patrzyła na niego bez słowa.

Demetrius prawie nie oddychał, czekając na odpowiedź. Jordana ogarnął dziwny paraliż. Marzyła o tej chwili od samego początku ich znajomości. Jeśli jednak wyjdzie za

Demetriusa Antouna, jej rodzina będzie rozdarta. Była pewna, że Michel, w którym odrazę budziła nawet przyjaźń z Arabem, nigdy nie zaakceptuje Araba jako szwagra. Mimo to wiedziała, że nie zrezygnuje z przyszłości, której pragnie, z powodu Michela. Brat będzie musiał się z tym pogodzić. Ale nawet jeśli nie brać pod uwagę odmienności rodzinnych i narodowościowych, ona i Demetrius różnili się od siebie pod każdym względem. Ona była emocjonalna, a Demetrius miał analityczny umysł... Ona otwarta, a Demetrius skryty... Ona uwielbiała duże przyjęcia, a on spokojne wieczory z przyjaciółmi... Ona lubiła żartować i opowiadać dowcipy, a Demetrius był zbyt poważny, by w ogóle zauważyć, że ktoś żartował... Ale pomimo tych wszystkich różnic czerpali z siebie nawzajem siłę i Jordana wiedziała, że Demetrius kocha ją z taką samą desperacką intensywnością, z jaką ona kochała jego.

Popatrzyła na niego, wiedząc, że wbrew wszelkim racjonalnym argumentom przeciwko takiemu związkowi po prostu nie może żyć bez Demetriusa. Wewnętrzny głos podpowiedział jej, że mimo tych wszystkich różnic ich małżeństwo będzie szczęśliwe.

— A więc wyjdiesz za mnie... czy nie? — powtórzył Demetrius.

Płonące oczy Jordany odpowiedziały mu, zanim się odezwała.

— Oczywiście, że za ciebie wyjdę, kochanie. — Przechyliła głowę i uśmiechnęła się szelmowsko. — Gdybyś jeszcze dłużej poczekał, sama poprosiłabym cię o rękę.

Demetrius przycisnął niedopałek do barierek i wyciągnął rękę.

— Chodź tutaj.

Jordana podeszła do niego i objęli się mocno, a potem Demetrius wziął ją na rękę i zaniósł do sypialni.

Kiedy się kochali, ujął jej twarz w dłonie i podniósł lekko.

— Moja żona?

— Tak, najdroższy, tak!

Rozdział XXIII

Podróż do Jerozolimy

Po wojnie 1967 roku, gdy izraelski rząd wystąpił w roli okupanta, uwidoczniły się polityczne różnice dzielące kraj. Rząd Likudu, partii Menachema Begina, zajął bezkompromisowi postawę w kwestii ziem zajętych przez Izrael, odmawiając ich zwrotu, tymczasem wielu izraelskich obywateli nie chciało takiej polityki i odrzuciło Likud jako zbyt skrajną partię. Niepopularna inwazja na Liban w 1982 roku pogłębiła podziały polityczne wewnątrz Izraela. Po masakrze w obozach uchodźców Sabni i Szatila setki Izraelczyków przemaszcerowało ulicami Jerozolimy, protestując przeciw postępowaniu rządu.

W odpowiedzi na reakcję obywateli premier Begin utworzył komisję Kahana do zbadania sprawy masakry w Bejrucie. Komisja stwierdziła, że rząd Begina powinien przewidzieć możliwość masakry, kiedy oddziały Falangi, ugrupowania za mordowanego prezydenta Baszira Gemayela, zostały wpuszczone do palestyńskich obozów. Komisja postawiła wniosek o usunięcie ze stanowiska ministra obrony Ariela Szarotui. Begin wrogo zareagował na krytykę, twierdząc, że jest prześladowany.

Oponenci Begina głosili, że premier ma „kompleks holokaustu”, i przewidywali, że fanatyczna nienawiść Begina do Arabów doprowadzi ich kraj do ruiny.

Takie nastroje panowały w Izraelu, gdy były strażnik z getta warszawskiego, Friedrich Kleist, przyjechał z Żoną Evą do tego

kraju 6 czerwca 1983 roku. Nieco później tego samego dnia do Izraela przylecieli Jordana Gale i jej arabski narzeczony, żeby poinformować rodzinę Jordany o swoich zaręczynach.

Friedrich Kleist

Friedrich i Eva Kleistowie żalowali teraz, że postanowili zaoszczędzić pieniędzy, lecąc z Frankfurtu do Londynu, a stamtąd do Izraela.

Samolotem linii British Airways z Londynu do lotniska Bena Guriona w Lod w Izraelu podróżowało mnóstwo amerykańskich turystów. Zajęli miejsca blisko Friedricha i Ewy. Rozmawiali i bez przerwy się śmiali, zwłaszcza jedna kobieta o skrzeczącym, hałaśliwym głosie, która nie milkła od startu samolotu z lotniska Heathrow aż do samego końca lotu. Friedrich denerwował się coraz bardziej za każdym razem, gdy usłyszał jej śmiech. Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

— To naprawdę nie do zniesienia! Jego głos utonął w szumie głosów.

Eva westchnęła. Friedrich nie był tego dnia sobą.

W gruncie rzeczy nie mógł się pozbierać od chwili, gdy córka zadzwoniła z szokującą wieścią, że przebywa w domu żydowskiej rodziny, której wspomnienie nie dawało Friedrichowi spokoju przez czterdzieści lat. To było ponad pięć tygodni temu, lecz dla Friedricha wiadomość była tak świeża jak krwawiąca rana.

Eva popatrzyła w milczeniu na męża. Odradzała mu tę podróż, ale gdy zrozumiała, że Friedrich jest zdecydowany spotkać się z żydowskim małżeństwem i poleci do Jerozolimy sam, jeśli będzie trzeba, spakowała walizki. Teraz martwiła się, że mąż załamał się nerwowo; uważała to za całkiem możliwe. Wszystko w jego zachowaniu świadczyło o głębokim poruszeniu. Wiercił się niecierpliwie na fotelu, a kiedy nie przerzucał stron jednego kolorowego magazynu po drugim, z coraz większym zniecierpliwieniem spoglądał na grupę Amerykanów.

Eva poklepała męża po ręce.

— Rozluźnij się trochę.

Friedrich spojrzał na nią ponuro. Odetchnął głęboko dwa czy trzy razy i uśmiechnął się krzywo do żony.

— Przepraszam.

Niepokój nie zniknął jednak z jego twarzy. Ukrywając desperackie myśli za spokojnym wyrazem twarzy. Eva powiedziała:

— Friedrich, nie musisz tego robić.

Friedrich zgarbił się, mierząc ją przenikliwym wzrokiem.

— Ależ muszę, muszę...

Eva skinęła głową. Czas na rozmowy się skończył, powiedziała sobie. W życiu Friedricha nic nie było całkiem takie jak trzeba od 1945 roku, kiedy wrócił z Polski.

Oparła czoło o szybę i patrzyła ponuro na chmury w dole: próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnio czuła się naprawdę szczęśliwa. W jej głowie przesuwały się sceny z przeszłości, jasne i wyraźne. Z głębi pamięci wynurzyła się, jak we śnie, ładna twarz młodziutkiej dziewczyny.

W 1940 roku Eva Horst miała dziewiętnaście lat. Tak jak wielu Berlińczyków, Horstowie byli muzykalną rodziną, umiejącą się cieszyć kulturalnym bogactwem miasta. Susanne Horst grała na pianinie, a Helmet był entuzjastą gry na skrzypcach. Młoda Eva brała lekcje gry na obu instrumentach, lecz wolała skrzypce, i wkrótce całą energię zaczęła poświęcać ćwiczeniu na tym instrumencie, gdyż chciała dorównać ojcu. Młodszy brat Evy, Heinrich, wolał trąbkę.

W kwietniu 1940 roku, gdy Eva odebrała wiadomość od Wilhelma Furtwänglera, że została zaangażowana jako skrzypaczka do Filharmonii Berlińskiej, dumny Helmet zabrał całą rodzinę do popularnej kawiarni Unter den Linden. Friedrich, który nie był jeszcze wtedy w SS, przyłączył się do świętowania.

Ewę radowała myśl o wspaniałej przyszłości w filharmonii i małżeństwie; wydawało się, że nadchodzą dla niej złote czasy.

Jak mogła przewidzieć katastrofę, która zawisła nad jej głową?

Z początku zdawało się, że wszystko jest jak najlepiej... Naziści sprawiali wrażenie, że chodzi im wyłącznie o dobro Niemiec. Po upokarzającej kapitulacji w 1918 roku gospodarka Niemiec się załamała, a szalejąca inflacja pozbawiła większość

Niemców środków do życia. Z chwilą wyboru Hitlera na kanclerza ich życie zaczęło się poprawiać. Hitler dał im pracę, roboty publiczne, zdobył szacunek dla Niemiec... Znow mogli być dumni, że są Niemcami.

Latem 1939 roku niemiecka machina propagandowa przekonała naród, że Polacy popełniają straszliwe okrucieństwa wobec Niemców mieszkających w Gdańsku. Niemcy naprawdę uwierzyli, że Polacy palą niemieckie domy i mordują ich rodaków. W obliczu takiego barbarzyństwa natychmiast się zmobilizowali. Co innego można było zrobić? Kiedy Niemcy zaatakowały Polskę, żeby bronić swoich obywateli, Anglia i Francja wypowiedziały im wojnę; naziści twierdzili, że wtrącają się w ich wewnętrzne sprawy, które nie mają nic wspólnego z Brytyjczykami i Francuzami.

Eva i Friedrich pobrali się w grudniu 1941 roku. Po krótkim miesiącu miodowym, spędzonym w hotelu Adlon, najbardziej ekskluzywnym hotelu w Berlinie, Friedricha wysłano na front wschodni jako strażnika w getcie warszawskim.

Od tej chwili ich życie zaczęło się staczać jak po równi pochyłej. W odpowiedzi na naloty na Londyn, Brytyjczycy zaczęli naloty odwetowe na Berlin, lecz z początku nie byli w stanie wyrządzić poważniejszych szkód. Niemieckie władze zręcznie zamaskowały wielkie miasto, budując wokół niego fałszywe miasteczka i pokrywając budynki malowanymi siatkami, tak że wyglądały z góry jak park. Do 1943 roku bombardowania były tylko pewnym utrudnieniem życia, ale sytuacja uległa raptownej zmianie, gdy brytyjskie samoloty zostały wyposażone w większe silniki, co umożliwiło im przenoszenie większych bomb. W 1943 naloty zagroziły zniszczeniem miasta.

Eva miała szczęście, że grała w Filharmonii Berlińskiej, ponieważ muzycy tej wielkiej orkiestry byli zwolnieni ze służby wojskowej i wszystkich innych powinności na rzecz państwa. Rodzice i brat usuwali ruiny, a Eva grała na skrzypcach. Naziści wiedzieli, że berlińczycy zniosą wszelkie niewygody, ale zbuntują się, gdy przyjdzie im zrezygnować z imprez kulturalnych.

Podczas wojny Eva rzadko widywała Friedricha. W czasie krótkich urlopów zjawiał się bez zapowiedzi w jej mieszkaniu

w Berlinie. Gdy pewnego dnia powiedział Evie, co spotyka Żydów, nie mogła w to uwierzyć. Przecież Niemcy to cywilizowany naród! Jej mąż się mylił! Żydzi byli wykorzystywani do robót fizycznych, nic więcej! Po powrocie Friedricha do Polski po Berlinie krążyły pogłoski o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, ale Eva wciąż nie była przekonana.

W 1945 roku piętnastoletni Heinrich i pięćdziesięcioletni Helmet dostali wezwanie do odbycia pełnej służby wojskowej. Eva po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ich świat się wali, gdy Helmet i Heinrich wraz z wieloma innymi młodymi chłopcami i starszymi mężczyznami przemaszerowali na oczach posepnych mieszkańców ulicami miasta i ruszyli na front wschodni, żeby bronić Niemiec przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Wspomnienie tego dnia wciąż nappełniało oczy Evy łzami. Żałosny widok młodego Heinricha z żółtą skórzaną teczką, w której rok wcześniej nosił książki do szkoły, a teraz dodatkową bieliznę i jedzenie, wrył się na zawsze w jej pamięć.

Straszliwy koniec dwunastoletnich rządów nazistów, które zaczęły się tak wspaniale, przyszedł bardzo szybko. Berlin zamienił się w ruiny, osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców zginęło. W ostatniej bitwie o miasto poniosło śmierć trzydzieści tysięcy cywilów. Była wśród nich Susanne Horst. Heinrich i Helmet nigdy nie wrócili z frontu wschodniego. Wiele lat później Eva dowiedziała się od kogoś, kto był w niewoli u Rosjan, że jej ojciec i brat trafili na Syberię. Obaj zmarli po latach katorżniczej pracy w kopalniach węgla.

Eva, mieszkająca samotnie w dziurze w ziemi, która była kiedyś piwnicą domu Horstów, została złapana przez zwycięskich rosyjskich żołnierzy i brutalnie, wielokrotnie zgwałcona. Podobny straszliwy los stał się udziałem tysięcy niemieckich kobiet, lecz wspomnienie tego poniżenia i hańby miało w niej zostać na zawsze.

Po tygodniach przeszukiwania zniszczonego miasta wychudzony Friedrich odnalazł wreszcie Evę. Już dawno zrzucił z siebie mundur i Eva z trudnością rozpoznała mężczyznę w brudnym, podartym cywilnym ubraniu, w niczym nie przypominającego żołnierza w eleganckim mundurze SS, za którego wyszła. Ten, który powrócił z Polski, był zupełnie inny niż ten,

którego poślubiła. Friedrich nie był już dumnym Niemcem. Wstydził się głęboko swojego pochodzenia. Rychło posprzecjali się o ocenę niemieckiej odpowiedzialności za wojnę. W przeciwieństwie do męża, Eva nie wierzyła, że Niemcy ponoszą całą winę. Tak jak wielu jej rodaków, niechętnych prawdzie, o wszystko obwiniała aliantów, zapominając, dlaczego Niemcy zostały zaatakowane i zniszczone. Nawet gdy wyszła na jaw potworna prawda o obozach zagłady, Eva usprawiedliwiała Niemców. Jak mogli znać prawdę? Do kraju nie dochodziły żadne wiadomości oprócz nazistowskiej propagandy. Na samym początku wojny obywatelom zabroniono słuchać zagranicznych źródeł informacji pod groźbą kary śmierci. Rodzina Horstów należała do „dobrych Niemców” i podporządkowała się nazistowskiemu prawu. Ci zaś, którzy słuchali obcojęzycznych stacji, nigdy nikomu o tym nie mówili ze strachu, że ktoś doniesie władzom. Co mógł zrobić pojedynczy obywatel Niemiec? Jeden człowiek przeciwko całemu systemowi? Jak mógł powstrzymać mordowanie Żydów, nawet jeśli o nim wiedział? A Friedrich był w wojsku. Żołnierz musi wykonywać rozkazy. Jak mógł być niemieckim żołnierzem i ich nie wykonywać?

Podobnie jak inne niemieckie kobiety Eva Kleist próbowała zapomnieć o przeszłości i żyć normalnie dalej. Ponieważ tak wielu mężczyzn zginęło, to kobiety musiały ratować kraj. Siła żony przytłoczyła Friedricha, który stał się cichy i przygaszony. W czasie jednej ze sprzeczek Eva oskarżyła go, że już jest martwy.

Po narodzinach Christine myśli Ewy i Friedricha skupiły się na ochronie dziecka. Dusząc się pod coraz surowszymi rządami Rosjan, uciekli do Berlina Zachodniego, dwa miesiące przed wzniesieniem muru w 1961 roku.

Następne lata nie były łatwe. Friedrich znalazł w końcu pracę, lecz tylko dzięki pomocy byłych kolegów z SS. W amerykańskim sektorze miasta byli członkowie SS zdobyli wysokie stanowiska w lokalnych władzach. Friedrich dostał dobrą posadę w radzie miejskiej Berlina Zachodniego. Mimo że Eva starała się zaszczepić Christine dumę ze swego pochodzenia, przekonać ją, że inne narody zawsze zazdrościły Niemcom ich zdolności organizacyjnych i talentów, dziewczyna

była bardziej podobna do ojca niż do matki. Próbując zrozumieć rodziców i ich tajemnice, dotarła do nazistowskiej przeszłości ojca, a potem zwróciła się przeciwko wszystkiemu co niemieckie. Uciekła do obcego kraju, poświęcając się pracy dla narodu, którego Eva nigdy nie rozumiała. Potem zakochała się w Arabie, a teraz dowiedzieli się, że jest zaręczona z Żydem! Czy nie ma sposobu, żeby dotrzeć do swojego jedyne dziecko? Eva pokręciła głową. Powinni byli mieć więcej dzieci. Wie działa, że to jej wina. Po tym, jak ją zgwałcono, wzdragała się przed dotknięciem mężczyzny, nawet jeśli był nim Friedrich. A on okazywał jej zrozumienie, za dużo zrozumienia. Ich życie seksualne nie układało się i w końcu całkowicie zamarło, bo Friedrich stwierdził, że woli z niego zrezygnować, jeśli ma to doprowadzać żonę do łez. Eva nigdy nie wyjawiała mu swoich uczuć, nie powiedziała, że chce, aby dalej starał się do niej dotrzeć, a z czasem rany się zablizniały... jeśli tylko będzie próbował. Jej milczenie sprawiło, że oddalali się od siebie coraz bardziej. Po narodzinach Christine żyli ze sobą jak brat z siostrą i nic ich nie łączyło poza miłością do córki.

Stewardesa przestraszyła Evę, klepiąc ją w ramię.

— Przygotowujemy się do lądowania. Proszę zapiąć pasy. Friedrich popatrzył na żonę i widząc jej zatroskaną twarz, powiedział coś zaskakującego:

— Evo, kiedy to się skończy, musimy zrobić wszystko, żeby odbudować nasze życie.

Eva zesztywniała, a potem przyszło jej do głowy, że może ta podróż pozwoli Friedrichowi zostawić za sobą dziwny smutek, który przez czterdzieści lat pogłębiał rozdzźwięk między nimi. Czy znajdą wreszcie spokój? Uśmiechnęła się do męża. Oby tak było...

Friedrich pochylił się i całkiem niespodziewanie pocałował żonę w policzek; w tej samej chwili koła samolotu dotknęły lotniska.

Oczy Demetriusa przygasły, gdy Jordana zachichotała i szepnęła:

— Poczekaj tylko, aż Michel się dowie, że jego siostrzeniec albo siostrzenica będzie w połowie Arabem!

Demetrius spojrział z obawą na kobietę, którą kochał; nigdy nie wiedział, czego może się po niej spodziewać.

Trzy tygodnie wcześniej Jordana odkryła, że jest w ciąży. Był na to zupełnie nieprzygotowany. Zawsze starannie się zabezpieczali, z wyjątkiem jednego razu.

Jordana rozmyślała przez kilka godzin o swoim położeniu, a potem powiedziała narzeczonemu, że bardzo się cieszy. Kochali się... zresztą i tak mieli się pobrać. Cięża tylko przybliżyła datę ślubu.

Demetrius cieszył się mniej, z dwóch powodów. Jego sytuacja finansowa była dość kłopotliwa. Wprawdzie John Barrows okazał zrozumienie i obiecał trzymać dla Demetriusa posadę w szpitalu Bellevue w Nowym Jorku aż do jego powrotu, lecz Demetrius czuł wyraźnie, że zawdzięcza to przyjaźni Jordany z Gildą Barrows. Wzdragał się na myśl, że jest specjalnie traktowany z powodu osobistych związków, Jordana jednak nie miała najmniejszych oporów i gotowa była wykorzystać wszelkie kontakty, żeby uzyskać to, czego chciała. Drugim powodem jego rozterek była arabska przeszłość. Mimo że bardzo chciał mieć dzieci z Jordaną, pozostawał pod wpływem arabskiej tradycji, a zgodnie z nią ciąża powinna następować po ślubie.

Ale to Bóg podjął za niego decyzję. Pobiorą się najszybciej, jak to możliwe.

Postanowiwszy, że musi osobiście powiedzieć rodzicom o swojej ciąży i wziąć ślub z Demetriusem w Izraelu, Jordana namówiła go, żeby poleciał z nią do Jerozolimy. Zdobyć wizę okazało się zaskakująco łatwe.

Sekcją wizową izraelskiej ambasady w Waszyngtonie kierowała najlepsza przyjaciółka Jordany ze szkoły. Mimo że nie pochwałała dokonanego przez Jordaną wyboru narzeczonego, uległa jej błaganiom. Miała nadzieję, że przyjaciółka uświadomi sobie, czym jest małżeństwo z Arabem, gdy wróci do kraju, w którym na takie związki patrzy się niechętnie.

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko — Demetrius nie mógł uwierzyć, że oto leci przez Atlantyk do Palestyny. Powiedział sobie, że wyrusza na spotkanie nieznanego, bo wiedział, że ta wizyta będzie zupełnie inna niż poprzednia, którą odbył

z Ahmedem Fayezelem i bojownikami OWP. Teraz będzie pełnoprawnym gościem w utraconej ojczyźnie swojego ojca, Musafy Badera i Amina Darwisza.

Jordana zdawała się nie przejmować reakcją rodziny na swój zbliżający się ślub z Arabem, ale Demetrius czuł się niepewnie. Miał jeszcze jedno zmartwienie. Nie znalazł w sobie odwagi, aby powiedzieć narzeczonej, że urodził się w żydowskiej rodzinie, a teraz zastanawiał się, czy nie czekał za długo i czy nie powinien zabrać ze sobą tej tajemnicy do grobu. No i jeszcze Christine... W czasie jazdy taksówką na lotnisko Jordana poinformowała go, że Christine zaręczyła się z Michelelem Gale'em i jest teraz w Jerozolimie u jego rodziny. Czy ujawniła sekrety dotyczące jego życia? Na samą myśl o tej strasznej ewentualności Demetriusa ścisnęło w żołądku. Próbując zająć się czymś innym, zmusił się do otworzenia książki. Ale kłębiące się w jego głowie myśli o przeszłości i przyszłości nie pozwoliły mu zrozumieć ani słowa z tego, co czytał. Cięża sprawiała, że Jordana odczuwała senność. Mimo podekscytowania niespodziewanym zwrotem w życiu oparła głowę na ramieniu narzeczonego i przespała większą część dziesięciogodzinnego lotu z Nowego Jorku do Paryża.

W Paryżu palestyńskie dokumenty Demetriusa spowodowały znaczne opóźnienie, gdyż podejrzliwi agenci ochrony, pracownicy izraelskich linii lotniczych El Al, dokładnie go sprawdzali. Wreszcie, po godzinnym przesłuchaniu i pełnej kontroli osobistej, Demetriusa wpuszczono na pokład samolotu.

Jordana była zła. Przecież agenci widzieli, że jest tym, za kogo się podaje, czyli Arabem podróżującym z żydowską narzeczoną. A może właśnie to stanowiło problem? Byli wściekli, kiedy oświadczyła, że zamierza wyjść za Araba. Demetrius nie odpowiadał na ich nieprzyjemne uwagi, lecz jego oczy się zwięziły. Był najdumniejszym mężczyzną, jakiego Jordana kiedykolwiek знаła. Wiedziała, że nie zniesie obraźliwego traktowania przez Żydów. A bardzo nie chciała, żeby zdarzyło się coś, co skłoniłoby go do ponownego przemyślenia swojej decyzji o ślubie.

Spojrzała mu w twarz, lecz zwykle nie wiedziała, co Demet-

rius naprawdę czuje. Nie zastanawiając się, objęła go i pocałowała, nie troszcząc się o to, co ktoś pomyśli.

Odprowadzana spojrzeniami pełnymi dezaprobaty, patrzyła na wszystkich dumnie, gdy wsiadali do samolotu.

Godziny minęły jak minuty. Po wylądowaniu na lotnisku Bena Guriona i drugim przesłuchaniu Demetriusa Jordana wynajęła prywatnego taksówkarza, który miał ich zawieźć z Lod do Jerozolimy.

Szczęśliwa, że znów jest w Izraelu, z ożywieniem pokazywała narzeczonemu rozmaite miejsca wymienione w Biblii.

Demetrius udawał zainteresowanego, ale był nieco oszołomiony. Nie dawała mu spokoju natarczywie powracająca myśl: po trzydziestu pięciu latach wygnania jest wreszcie w domu.

Estera Gale przyglądała się uważnie Friedrichowi Kleistowi, próbując umiejscowić tego mężczyznę w morzu posępnych twarzy nazistów, które zapamiętała z tej strasznej nocy w Warszawie przed tyloma laty. W wyglądzie Kleista nie było nic znajomego, choć zaskoczył ją jego wzrost. Wszyscy esesmani pilnujący Żydów wydawali się jej olbrzymami. Tymczasem ten Niemiec, choć mocno zbudowany, był tylko niewiele wyższy od przeciętnego mężczyzny. Miał przerzedzone siwe włosy, zapadnięte policzki i zaokrąglony podbródek. Starła się nie zdradzić swojego zaskoczenia, że były esesman wygląda tak bardzo zwyczajnie, ale musiała przyznać przed sobą, że Friedrich Kleist ma przyjemną, wrażliwą twarz.

Joseph Gale'a w milczeniu popatrzył na Niemca. Czas go zmienił, lecz w wyglądzie ojca Christine było coś znajomego. Po kilku minutach Joseph doszedł do wniosku, że Friedrich Kleist z pewnością jest tym, za kogo się podaje. Ukrył swój gorzki gniew pod życzliwym uśmiechem i wyciągnął rękę do dawnego wroga, pamiętając o tym, że Niemiec uratował Estere. Twarz Friedricha wyrażała niepokój, jego ręce poruszały się niezbornie. Wystarczył mu jeden rzut oka, żeby rozpoznać Josepha Gale'a. To był francuski Żyd, którego tak dobrze zapamiętała! Zrobił krok i ujął jego dłoń, ściskając ją mocno.

Stojąca z tyłu żona Friedricha, Eva, przypatrywała się gos-

podarcom z ciekawością. Choć nie była to ich wina, ci ludzie zmienili nieprzyjemnie jej życie. Starła się zachowywać życzliwie, ale jej uśmiech był wymuszony.

Michel, obejmując Christine w pasie, zerknął z niepokojem na matkę. Mimo wypieków na policzkach, Estera nie wyglądała najlepiej. Wiedział, że rozsadzają ją emocje i tylko siłą woli powstrzymuje się, żeby nie wykrzyzczyć jedyne pytanie, które naprawdę się liczyło: „Gdzie jest mała Miriam?”.

Oczy Christine napęłniły się łzami. Oto spełnia się życzenie ojca. Po tym spotkaniu być może znajdzie spokój, którego tak długo szukał.

Friedrich Kleist przyglądał się Josephowi, wciąż ściskając jego dłoń. Estera nie spuszczała oka z byłego esesmana. Eva przestępowała niepewnie z nogi na nogę. Nikt się nie odzywał.

Nagle z drugiego pokoju dobiegł kobiecy głos, przerywając niezręczną ciszę:

— Jeszcze chwila, Josephie!

— To moja siostra Rachel i nasza przyjaciółka Anna — wyjaśnił gościom Joseph. — Właśnie szykują przekąski.

— Państwo są na pewno zmęczeni. Usiądźmy. — Głos Estery był napięty, ale udawało jej się panować nad sobą. Wskazała gościom najwygodniejsze fotele.

Christine usiadła blisko ojca.

— My już jedliśmy w Jaffie — powiedziała do Josepha i Estery.

— Szkoda — odparła z wyrzutem Estera. — Rachel i Anna gotowały prawie przez cały dzień.

— Jedliśmy tylko przekąski — zapewnił ją szybko Michel. Michel i Christine czekali na Kleistów na lotnisku i wspólnie

doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli rodzice ich obojga spotkają się w domu Gale'ów. Kto wie, jakie emocje mogą się obudzić? Czekać, aż rodzice Christine przejdą przez izraelski urząd celny, uznali, że Friedrichowi i Evie, którzy musieli być wyczerpani po podróży z Niemiec przez Anglię, przyda się mały przystanek w restauracji. Starożytny port Jaffa był tylko piętnaście kilometrów od lotniska, więc zboczyli z trasy i poje-

chali do znajdującej się tam jednej z ulubionych restauracji Christine o nazwie Aladin.

Wystarczyło im kilka minut pobytu w lokalu, żeby zrozumieć, że popełnili błąd. Eva Kleist udawała zainteresowanie osobliwym pięknem małego budynku z kopułą, który w czasach rzymskiego panowania w Palestynie był łaźnią, a Friedrich siedział jak kamień i ledwie spróbował posiłku zamówionego przez córkę. Cieszył się wprawdzie, że widzi swoją jedynaczkę, zrobił nawet kilka gestów świadczących o miłości do niej, lecz dawał jasno do zrozumienia, że najważniejszym celem jego wizyty jest spotkanie z Josephem i Esterą Gale'ami.

Po krótkiej, wymuszonej rozmowie Michel zaproponował, żeby wyszli z restauracji i pojechali do Jerozolimy. Kiedy już wsiedli do samochodu, Kleistowie wyglądali w milczeniu przez okna, ledwie odpowiadając na niepewne próby rozpoczęcia rozmowy, podejmowane przez Michela i Christine. Cała czwórka przejechała drogę niemal bez słowa.

Teraz, w domu rodziny Gale, wszystko, co Friedrich sobie zaplanował powiedzieć, wyleciało mu z głowy. Siedział ze wzrokiem wbitym w kolana.

— Jaffa to piękne miasto — powiedziała Estera, żeby go trochę ośmielić. Eva przytaknęła.

— Tak. Christine powiedziała mi, że zostało założone przed potopem i nazwane od imienia jednego z synów Noego. — Zrobiła pauzę i dodała po chwili: — Trudno sobie wyobrazić, żeby takie biblijne opowieści były prawdziwe...

Wszyscy skinęli głowami.

— Anno, mówiłam ci, żebyś nie dodawała tak dużo cukru! — odezwał się podniesiony głos z kuchni.

Joseph zerknął niepewnie w stronę drzwi. Jego siostra z każdym rokiem stawała się coraz bardziej wybuchowa. Wolał, żeby jej dzisiaj nie było, ale kiedy Rachel dowiedziała się o wizycie Kleistów, koniecznie chciała przyjechać. Kochała tylko czworo ludzi: Josepha, Esterę, Michela i Jordanę i wykorzystywała każdą okazję, żeby wtrącać się w ich życie. Nie mieszkała w domu Josepha od 1948 roku. Tego feralnego roku wydarzyła się rodzinna tragedia, która doprowadziła do

gorącego sporu między Josephem i siostrą. Wzburzona Rachela wyprowadziła się i zamieszkała w pierwszym kibucu, który powstał, Degania Alef, położonym na brzegu Jeziora Galilejskiego. Przez trzy lata nie widywała brata ani rodziny, ale później przeprosiła za swoje ostre słowa i znów brała udział w rodzinnych spotkaniach. W dzieciństwie Michel i Jordana często spędzali letnie wakacje u ciotki, która prowadziła księgę wość kibucu.

Nikt nigdy nie starał się o jej rękę. Na nieszczęście dla wszystkich, którzy ją znali, Rachela nie pogodziła się ze swoim staropanieństwem.

Wypadła teraz z kuchni, balansując tacą pełną szklanek lemoniady.

Niewiele się zmieniła od przybycia do Palestyny. Wciąż była przysadzista i brzydka.

Za nią szła Anna Taylor z tacą jeszcze ciepłych ciasteczek.

Obie miały gniewnie skrzywione twarze. Rachela nie lubiła Amerykanki, bo czuła, że tamta przywłaszczyła sobie jej pozycję w rodzinie.

Obwiniała też Annę o rodzinną tragedię z 1948 roku, która poróżniła ją z bratem. Ale Joseph zabronił poruszać tego tematu, więc Rachela nigdy nie miała okazji powiedzieć, co jej leży na wątrobie. Mimo to nie przepuściła żadnej okazji, żeby posprzeczać się z Amerykanką, która była jak rana, nie pozwalająca o sobie zapomnieć.

Ich sztywne plecy i ściągnięte twarze dobitnie świadczyły o tym, że właśnie znowu się kłóciły.

Michel uśmiechnął się pod nosem; od dziecka patrzył na sprzeczki obydwu starszych kobiet.

Anna i Rachela podały gościom lemoniadę i ciastka i usiadły po przeciwnych stronach pokoju.

Joseph pochylił się, wciąż nie spuszczać oka z Friedricha. Nic nie powiedział, lecz wyraz jego twarzy wskazywał wyraźnie, że czeka na relację Niemca.

Friedrich zjadł ciastko, zbierając w sobie odwagę. Postawił na małym stoliku szklankę z lemoniadą, odchrząknął i spojrzał na Josepha. Jego głos był z początku cichy i chrapliwy, lecz z każdą chwilą nabierał siły i intensywności:

— Kiedy Christine zadzwoniła i powiedziała, że państwa odnalazła, poczułem ulgę. Myślałem o waszej rodzinie wiele

razy. — Skinął głową w stronę Estery. — Ucieszyła mnie wiadomość, że odnalazł pan żonę, chociaż wiem, że bardzo cierpiała.

Surowość spojrzenia Josepha nieco zelżała.

— Tak. Ocalenie Estery to cud. Nie wiem, czy Christine panu o tym powiedziała, ale kiedy ostrzegł pan Daniela Steina, że jego rodzina ma być wywieziona do Trebłinki, moją żonę ukrył polski chłop. Przez prawie trzy lata Estera mieszkała w wykopanej w ziemi dziurze i wychodziła tylko nocą. Niestety cztery dni przed wycofaniem się Niemców z Polski gestapo dostało cynk, że chłop ukrywa Żydów. Gestapowcy torturowali jego żonę tak długo, aż ujawnił miejsce ich ukrycia. Potem zapędzili go tam i podziurawili jak sito seriami z karabinów maszynowych. Spośród dziewięciu Żydów przeżyła tylko Estera. — Joseph spojrzał na żonę. — Leżała nieprzytomna od ran. Gestapowcy zostawili ją, bo myśleli, że nie żyje. — Z na wpół zamkniętymi oczami mówił dalej: — Żonę chłopca i ich trzech synów też rozstrzelano. Estera została sama, ranna, bez jedzenia. Miała tylko worek zgniłych kartofli. — Popatrzył na nią z czułością, która mieszała się z zapamiętanym sprzed lat lękiem. — Kiedy ją znalazłem, była prawie martwa. Nie wiem, jak to możliwe, że przeżyła. — Potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić obraz chwili, kiedy wyciągał wychudzoną żonę z podziemnego wykopu. — Gdybym przyszedł dzień później, straciłbym ją. — Przerwał na chwilę, a potem wyjaśnił: — Jak tylko Niemcy wyszli z miasta, wyruszyłem na poszukiwanie tego domu. Mój szwagier był sprytnym człowiekiem, bo inaczej w ogóle nie wiedziałbym, gdzie szukać. — Popatrzył w zamyśleniu na swoje ręce. — Tego wieczoru, gdy dobiliśmy targu, zanim daliśmy chłopcu zapłatę w diamentach i wywieźliśmy go z getta, Daniel kazał mu narysować mapkę z zaznaczonym położeniem jego małego gospodarstwa. Polak nie chciał, żeby ktoś wiedział, gdzie znajduje się jego dom, ale Daniel nie dawał za wygraną. — Joseph odwrócił głowę. — Zapamiętaliśmy mapkę, a potem ją spaliliśmy, bo gdyby któregoś z nas kiedyś z nią złapano, los Estery byłby przesądzony. Wyjechała z getta na wozie z odpadami. Zapłaciliśmy wozakowi, żeby zwolnił w umówionym miejscu. — Joseph zrobił pauzę.

Wszyscy inni członkowie rodziny Steinów zginęli... Kiedy wróciliśmy z Danielem, mieszkanie Steinów było puste. Wszystkich zabrano. — Zakreślił palcem w górze, pokazując w ten sposób, że jego krewni poszli z dymem z kominów Treblinki. — W na stępnym tygodniu Daniel i ja zostaliśmy zapakowani do pociągu, ale udało nam się uciec.

Oczy Friedricha były zaczerwienione.

— Dręczą mnie straszne koszmary z powodu rodziny Steinów. —

Spojrzał przelotnie na żonę. — Mówiłem Evie wiele razy, że duchy tych ludzi nawiedzają mnie każdej nocy.

Nie chcąc, żeby ktokolwiek pomyślał, że jej mąż zabiega o przebaczenie, Eva powiedziała szybko:

— Tłumaczyłam Friedrichowi, że każdy, kto przeżył te straszne czasy, miewa koszmary. — Machnęła ręką w powietrzu. — To zupełnie naturalne.

Wszyscy popatrzyli na nią z konsternacją.

Zakłopotana Christine zachodziła w głowę, dlaczego matka próbuje umniejszać cierpienia Żydów. Z wdzięcznością pomyślała, że gospodarze są za grzeczni, żeby to skomentować. Uśmiechnęła się do Josepha.

Michel spojrzał na matkę, niepokojąc się, że ta rozmowa może ją zbyt mocno poruszyć, ale szybko zauważył, że dla Estery nie istnieje nikt oprócz Friedricha Kleista.

Niemiec odchrząknął.

— Przybyłem tu, żeby wyrazić państwu mój głęboki żal z powodu tego,

co stało się tamtej nocy. — Łzy nabiegły mu do oczu; mówił bardzo

cicho, lecz każde jego słowo nasycone było emocjami. — Nie szukam

przebaczenia. Grzechy popełnione przeciwko waszej rodzinie są

niewybaczalne. Macie prawo nienawidzić wszystkich Niemców... —

Chciałem tylko powiedzieć, że ogromnie mi przykro z powodu

straszliwych zbrodni popełnionych przez Niemców przeciwko wam i

wszystkim Żydom. — Friedrich czuł, że wytłumaczenie niezrozumiałego

postępowania zwykłych Niemców jest niemożliwe, więc dodał jeszcze

ciszej: — Wiem, że grzech przemilczenia był początkiem upadku

Niemiec.

Twarz Josepha wyrażała żal, ale jego spojrzenie nie złagod-

nialo. Czy Friedrich Kleist przybył tu dla samego siebie, czy dla nich?
Postanowił nie ułatwiać mu wyznania.

Friedrich wskazał drżącą ręką trzy kufry stojące przy wejściu.

— Zwracam państwu ich własność.

Estera wciągnęła głośno powietrze, spoglądając na skrzynie. Myśląc tylko o Miriam, zadała sobie pytanie, czy Niemiec nie oddaje im kości i prochów dziecka.

Josepha jakby raził piorun.

— Jaką naszą własność? — spytał głośno.

Friedrich wstał i podszedł do największego kufra. Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak otwiera go i wyjmuje na podłogę stosy książek.

Zdumiona Rachelą spojrzała na brata.

— Książki?

Joseph nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, co robi Niemiec.

— Pułkownik Drexler kazał mi zabrać waszą bibliotekę — wyjaśnił Friedrich — a potem wysłał książki do swojego domu w Berlinie. Po zakończeniu wojny odszukałem jego żonę... — Spojrzał Josephowi w oczy. — Powiedziałem pani Drexler, że jej mąż poległ w bitwie o Warszawę, że pocisk artyleryjski spadł prosto na niego i zginął na miejscu.

Przez twarz Josepha przemknął wyraz wdzięczności. Nigdy nikomu nie powiedział, że pobił esesmana na śmierć. Nawet Esterze. Niektóre sprawy powinny być przemilczane.

— W każdym razie, gdy wszedłem do jego domu, od razu rozpoznałem pudła z książkami. Znałem je dobrze, bo sam je pakowałem.

Powiedziałem żonie pułkownika, co w nich jest, i spytałem, co zamierza zrobić z książkami. Domyśliła się, że chce je wziąć. Z wdzięczności za to, że opowiedziałem jej o okolicznościach śmierci męża, podarowała mi te książki. — Friedrich przesunął dłonią po jednym tomie. —

Przechowałem cały księgozbiór, żywiąc nadzieję, że pewnego dnia będę miał okazję zwrócić go właścicielom. — Po raz pierwszy od wejścia do domu rodziny Gale'ów Niemiec wyglądał jak człowiek nieomal szczęśliwy. — Przywiozłem ze sobą część książek. — Rozejrzał się po pokoju. Chciałem państwu pokazać, że dobrze dbałem o państwa bibliotekę. Kiedy wrócimy z Evą do domu, wyślę państwu resztę.

Obaj Gale'owie ukłękli przy kufrze i zaczęli przeglądać książki z zaginionej biblioteki Mosze Steina. Joseph popatrzył na syna.
— To księgozbiór twojego dziadka — powiedział. Zamyślony Michel podnosił jedną książkę po drugiej, czytając na głos tytuły:
— *Dekameron... Karat Wielki... Montagne... Historia starożytna Rollina... Republika... Wyznania Rousseau...* — Otworzył *Wyznania* i przeczytał: — „Dla mojej pięknej i mądrej córeczki, Estery”. — Następne słowa z trudem przeszły mu przez gardło. „Twój kochający ojciec, Mosze Stein. 2 kwietnia 1937 roku”.

Estera w milczeniu patrzyła na męża i syna, Friedrich też nic nie mówił, ale nie mógł oderwać oczu od książek. Czekał na tę chwilę tak długo, a teraz czuł się tak dumny, jakby zwrócił Gale'om ich całe utracone dziedzictwo.

Jego zadowolenie nie trwało jednak długo.

Estera skierowała na niego płonące oczy. Nie potrafiła dłużej nad sobą zapanować.

— Muszę wiedzieć, co się stało z moim dzieckiem! — krzyknęła załamującym się głosem.

Friedrich wzdrygnął się, zaskoczony. Estera wstała i patrzyła na niego nieruchomym, zrozpaczonym wzrokiem.

Joseph złapał żonę za ramiona.

— Estero, wszystko w swoim czasie... usiądź, kochanie.

Przed przyjazdem niemieckiego małżeństwa Estera zapewniła Josepha, że pozwoli, aby Friedrich sam doszedł do tematu Miriam. Nie umiała jednak dotrzymać tej obietnicy.

Obserwowała każdy ruch twarzy Friedricha, próbując odgadnąć, czego się wkrótce dowie.

Joseph nakłonił ją, żeby usiadła, a potem odwrócił się do Niemca.

— Czy ma pan jakieś informacje o naszym dziecku? Pułkownik Drexler powiedział, że Miriam została zabrana do Niemiec... do adopcji. Może pamięta pan, dokąd ją wywieziono... do jakiego miasta... regionu?

Friedrich podniósł oczy w górę, przeżegnał się i pomodlił w myślach.

Jego twarz się zmieniła, a usta zaczęły drżeć.

Joseph odgadł całą prawdę z zachowania Niemca. Beznamiętnym głosem powiedział to, co nagle zrozumiał:

— Miriam nie żyje...

Friedrich nieznacznie skinął głową, potwierdzając, że Joseph się nie myli.

— Nie! — krzyknęła Estera.

— Jak? Kiedy? — spytał cicho Joseph, spoglądając na Niemca ciężkim, smutnym wzrokiem.

Przed oczami Friedricha pojawił się straszliwy obraz. Potworne wspomnienie, któremu towarzyszyło głębokie poczucie winy, sprawiło, że zaczął szlochać.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu.

Niemiec zanosił się płaczem, nie mogąc złapać tchu.

— Tato... — zawołała Christine, podbiegając do niego.

Friedrich potrząsnął głową. Czuł dręczącą potrzebę opowiedzenia wszystkiego Esterze i Josephowi, ale wiedział, że relacja będzie równie straszajak samo zdarzenie... okrutne... straszne... nie do opowiedzenia... Odsunął od siebie córkę.

— Nie pytajcie mnie o to — poprosił błagalnym tonem. — Pocieszcie się tym, że wasze dziecko nie musi więcej cierpieć.

W oczach Josepha błyszczały łzy, jego twarz ściągnęła się z bólu.

— Musi nam pan to powiedzieć — rzekł stanowczo. — Nic nie jest gorsze od niewiedzy. Musimy wiedzieć, jak zginęło nasze dziecko.

Friedrich milczał.

— Na miłość boską, miej litość, człowieku! — krzyknął Joseph.

Christine poszukała wzroku ojca.

— Tato... musisz to zrobić.

Niemiec próbował opanować emocje. Wytarł twarz i nos, a potem zaczął mówić, jakby do siebie, prawie nieświadomy swoich słów:

— Dobrze, powiem wam. Po wyjściu tej nocy z państwa mieszkania starałem się opiekować dziećmi najlepiej, jak umiałem. Oddzielone od was, płakały, ale w końcu usnęły. — Friedrich odwrócił się do Josepha.
— Nie zrobiłem im krzywdy. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

— Wierzę panu — odparł Joseph. — Proszę mówić dalej.

— Z początku nikt im nie robił nic złego... Nazajutrz rano Mosze Stein zgłosił się na Pawiak. Oddał się w nasze ręce i powiedział, że musimy zwrócić dzieci rodzinie. — Friedrich potrząsnął powoli głową. — Ten człowiek naprawdę wierzył, że dzieci zostaną wypuszczone. Próbowałem przekonać pułkownika, żeby je uwolnił, ale nie... On nienawidził Mosze Steina... Powiedział, że ten stary Żyd przeżył życie w luksusie, a wszystko, co miał, ukradł Aryjczykom.

Friedrich zamilkł i spojrzał na Josepha, czekając na znak, że już wystarczy.

— Proszę dalej. Niemiec westchnął.

— Pułkownik Drexler trzymał oprócz waszych dzieci jeszcze czworo lub pięcioro innych żydowskich dzieci. Były skazane na zagładę. — Friedrich mówił coraz szybciej: — Drexler był obłąkany. Zawsze tak uważałem. Tego dnia pozbyłem się wszelkich wątpliwości. — Otarł mokre od potu brwi drżącą dłonią, spoglądając znów na Josepha.

Ale Joseph chciał słuchać dalej.

— Wiem. Był kompletnie obłąkany. Tak jak wielu innych Niemców. Proszę mówić dalej.

— Rozkazał nam przyprowadzić wszystkie dzieci do pomieszczenia, w którym trzymano Mosze Steina. — Friedrich spuścił głowę; dławił się słowami, których nie chciał wypowiedzieć. — Wpadł w szal zabijania... poszczuł na dzieci psy... — Spojrzał niepewnie na Esterę. — Zmusili pani ojca, żeby patrzył, jak te psy...

Estera krzyknęła przeraźliwie. W tym krzyku nie było ani jednego ludzkiego tonu. Zdawało się, że nigdy się nie skończy, a wszystkich, którzy go słyszeli, ogarnęło przerażenie — tak wielki krył się za nim ból.

Joseph próbował utulić żonę w ramionach.

Anna i Rachela podbiegły do niej z obu stron.

Michel zamarł, wstrząśnięty cierpieniem matki.

Nagle otwarły się drzwi i do pokoju wbiegła Jordana z Demetriusem.

Odepchnęła wszystkich, torując sobie drogę do matki.

— Mamo! Co się dzieje? Mamo!

Estera nie przestawała krzyczeć i machać rękami. Jordana potrząsnęła nią.

— Mamo! To ja, twoja córka!

Kiedy Estera opanowała się na tyle, żeby rozpoznać Jordane, krzyknęła, rozpryskując kropelki śliny:

— Córeczko! Miriam nie żyje... Miriam nie żyje... — Łkała niepokieszona, a jej ból był równie dojmujący jak tego dnia, kiedy odebrano jej dziecko.

Joseph wziął żonę na ręce i zaniósł do sypialni.

Jordana złapała Demetriusa za rękę i poszli za Josephem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Wszyscy, którzy zostali w pokoju, płakali.

Friedrich trząsał się konwulsyjnie na całym ciele. Kryjąc twarz w dłoniach, zawołał, dławiąc się każdym słowem:

— Od tego dnia nie mogę znieść, że jestem Niemcem! Eva otarła łzy z oczu. To, o czym mówił Friedrich, było straszne. Czuła jednak, że cierpienie Niemców również powinno zostać uznane.

— My, Niemcy, też bardzo wiele przeszliśmy — powiedziała.

Słyszając te słowa, Rachela Gale zmierzyła ją wrogim spojrzeniem. Ta kobieta za bardzo podkreślała cierpienia Niemców!

Czując, że znalazła się w centrum zainteresowania i niechęci Żydów, Eva próbowała się tłumaczyć:

— Straciłam całą rodzinę... nasz dom został zniszczony... nasze miasta leżały w ruinach... aja...

— Nie da się tego porównać! — przerwała jej gniewnie Rachela. —

Niech pani nawet nie próbuje! Michel popatrzył z dezaprobatą na ciotkę.

— Nie ucz mnie, co mogę powiedzieć! — krzyknęła Rachela,

przypominając sobie żal, który tak długo tłumiała. Spojrzała znowu na Evę Kleist. — Chce pani coś wiedzieć o cierpieniu? Powiem pani! Z naszej rodziny przeżyliśmy tylko my, Joseph i ja. Straciliśmy matkę, ojca,

dwoch braci... Naszych rodziców zagazowano w Oświęcimiu. A Michel?

Bóg jeden wie, jak zginął. Nigdy nie znaleźliśmy nawet śladu po tym łagodnym człowieku. I Jacques!

Tylko Bóg może przebaczyć to, co pani rodacy zrobili Jacques'owi! — Rachelę wyrzucała z siebie słowa jedno po drugim. — Mój brat był bohaterem ruchu oporu, najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znałam. Chce pani wiedzieć, co gestapo zrobiło mojemu pięknemu, dzielnemu bratu? — Zaczęła krzyczeć, żyły wystąpiły jej na szyi. — Więzień, który siedział w tej samej celi, przeżył. Opowiedział nam, co wycierpiał mój brat. Gestapowcy torturowali go tygodniami... wyrwali mu paznokcie... spalili ciało... Ale mój brat nic im nie powiedział! Wtedy pomyśleli, że może jest niewinny, i obiecali darować mu życie. — Zniżyła głos. — Jak on chciał żyć! Chciał żyć, żeby zobaczyć brata, Josepha... cieszyć się upadkiem zła... Obiecali mu, że będzie żył! — krzyknęła. — Trzymali go w więzieniu, a potem zastrzelili tego samego dnia, w którym uciekali z Francji... zmusili go, żeby sam wykopał sobie grób... Naśmiewali się z niego, kiedy kopał... po czym strzelili mu w głowę. Jak pani śmie mówić mi o cierpieniu Niemców! Eva wstała.

— Chodźmy stąd, Friedrich — powiedziała zmęczonym, poirytowanym głosem. — Mówiłam ci, co cię spotka za twoją dobroć.

Ale Friedrich Kleist nie zamierzał się poddać.

— Nie, Eva, ci ludzie muszą mówić takie rzeczy. — Zrobił pauzę. — A ja muszę ich wysłuchać. — Spojrzał łagodnie na Rachelę. — Ma pani prawo powiedzieć wszystko, co pani chce.

Spoglądając na wymizerowaną twarz Niemca i widząc, że znienawidzony wróg ukarał się surowiej, niż mógłby to zrobić jakikolwiek trybunał, Rachelę poczuła, że jej gniew wyparowuje, ustępując miejsca smutkowi. Upadła na podłogę, łkając.

— Gdyby tylko Jacques żył. Tylko Jacques...

Anna uklękła obok Racheli i położyła jej głowę na swoich kolanach.

— Rachelo, tak mi przykro... tak mi przykro...

— Tylko Jacques...

Po policzkach Anny spływały łzy i spadały na podłogę.

Rozdział XXIV

Tajemnica małego Daniela

Demetrius siedział przy stoliku na balkonie domu Anny Taylor i czekał na gospodynię, która miała z nim wypić poranną kawę. Myślał o wstrząsających wydarzeniach poprzedniego dnia. Nawet w łagodnym świetle poranka wciąż nie mógł uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło. Znał niewiele szczegółów straszliwego nieszczęścia, które nawiedziło pogrążony teraz w smutku dom rodziny Gale'ów. Powiedziano mu tylko tyle, że ojciec Christine wreszcie rozwikłał zagadkę zaginionego w czasie drugiej wojny światowej dziecka Josepha i Estery Gale'ów, Miriam, i że ta wiadomość była przerażająca.

Zaraz po przybyciu do domu Jordana wezwała rodzinnego lekarza, który przyjechał w ciągu kilku minut, przywożąc ze sobą silny środek uspokajający dla oszalałej z bólu matki. Kiedy Estera wreszcie zasnęła, Jordana i Demetrius wyszli z pokoju, zostawiając z nią Josepha.

Tymczasem w drugim pokoju trafili na kolejne nieszczęście. Rachela szlochała, wzywając zmarłego brata Jacques'a, Anna Taylor wachlowała ją kartkami otwartego magazynu, Christine siedziała na podłodze, tuląc łkającego ojca, a Michel krążył wokół nich. Evy Kleist nigdzie nie było widać.

Kiedy lekarz zobaczył, w jakim stanie są Rachela i Friedrich, uznał, że oni również powinni wziąć środki uspokajające. Michel zaniósł Rachełę do swojego pokoju, a Demetrius wziął

Friedricha i razem z Jordaną zaprowadzili go do jej pokoju i posadzili na łóżku. Upewniwszy się, że żadnemu z całej trójki nie grozi niebezpieczeństwo, Demetrius i Jordana dołączyli do Anny, Michela i Christine w pokoju stołowym.

Demetrius znalazł się nagle naprzeciwko Christine. Dawni kochankowie wymienili spojrzenia pełne zmieszania. Michel i Jordana patrzyli na to z pewną obawą, lecz Demetrius i Christine zachowywali wobec siebie niezręczne milczenie, jakby się w ogóle nie znali.

Każde z pięciorga osób zebranych w pokoju chciało jak najszybciej uciec przed bolesnymi emocjami, a ponieważ wszystkie trzy sypialnie w domu były zajęte, zaczęli zastanawiać się gorączkowo, gdzie kto ma spać.

Lekarz zbadał każdego z pacjentów i poinformował Christine, że Friedrich Kleist będzie teraz spał przez dwanaście godzin. Christine powiedziała, że chce pojechać do hotelu, w którym zameldowali się jej rodzice, wyjaśniając Michelowi, że musi zająć się matką, która wybiegła z domu Gale'ów z oczyma rozpalonymi tłumionym gniewem.

Michel skinął głową i nie odezwawszy się do Jordany i Demetriusa ani nawet nie dając znaku, że zauważa ich obecność, wziął narzeczoną za rękę i wyszedł z domu.

— Będiesz spał na ulicy? — zawołała za nim Jordana. Michel niechętnie zatrzymał się w drzwiach i odwrócił.

— Nie przejmuj się tym — odparł zimnym tonem i trzasnął drzwiami.

— Świr! — krzyknęła Jordana do zamkniętych drzwi. Demetrius nie wiedział, co powiedzieć. Widać było, że

czuje się niezręcznie z powodu sprzeczki Jordany z bratem. Dla Araba zaatakowanie choćby słowem członka rodziny to niemal coś takiego, jak wyrzeczenie się Boga. W arabskich rodzinach nigdy nie rzuca się wyzwiskami, bez względu na okoliczności.

Anna zmierzyła przyjaciółkę groźnym spojrzeniem.

— Przestań! Zachowujesz się jak dziecko! Jordana wcale się tym nie przejęła.

— Przecież on jest wariatem — odparła. Demetrius uważał, że Jordana powinna zostać z matką.

— Mogę spędzić noc w hotelu — oświadczył. — Powiedz mi tylko, gdzie jest najbliższy.

— Nie ma mowy! — zawołała Jordana. — Twoja pierwsza noc w Jerozolimie w hotelu? Musimy wymyślić coś innego! — Bała się, że Christine może spróbować wśliznąć się do pokoju hotelowego Demetriusa i wskrzesić ich romans. Niewiele wiedziała o związku Michela i Christine i przypuszczała, że Niemka wciąż kocha Demetriusa. — Spędzisz noc w moim domu — odezwała się Anna. — Mam dużo miejsca.

Demetrius przystał na to niechętnie, widząc, że takie rozwiązanie bardziej odpowiada Jordanie. Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem. Czy to możliwe, że jest zazdrosna o Christine? Mimo że spodziewają się dziecka i planują wziąć ślub? Nie chcąc się kłócić z narzeczoną o to, gdzie ma zanocować, lekko wzruszył ramionami i pomyślał, że żaden mężczyzna nigdy nie pojmie sposobu myślenia kobiety.

— Ja prześpię się na zapasowym łóżku koło mamy — oznajmiła Jordana. Demetrius pocałował ją na dobranoc, zabrał swoje rzeczy i ruszył z Amerykanką do jej domu.

Anna mało mówiła w czasie piętnastominutowego spaceru do swojej willi. O związku Demetriusa z Jordaną wiedziała tylko to, co powiedział jej Michel: że w swoim buncie przeciwko wszystkiemu, co żydowskie, jego siostra posunęła się do skrajności, wiążąc się z palestyńskim Arabem. Jego zdaniem romans Jordany był tylko kolejnym przejawem buntu przeciwko rodzinie. Anna z trudem powstrzymała się przed pytaniem Demetriusa, czy jego związek z córką nazisty miał podobny podtekst.

Pogratulowała sobie w duchu, że nigdy nie wyszła za mąż. I że nie ma dzieci. Choć bardzo kochała Michela i Jordaną, były takie momenty, że nie miała już do nich sił.

Co za wieczór! Nieoczekiwany przyjazd Jordany i Demetriusa wszystkich zaskoczył. Jedyłą dobrą stroną tego wieczoru było to, że piekło, które się rozpętało, powstrzymało Michela i Jordaną przed jedną z ich słownych bitew, angażujących wszystkich wokół. Anna nigdy nie znała rodzeństwa tak bardzo

różniącego się w poglądach, ale wiedziała, że oboje bardzo się kochają. Była pewna, że gdyby Jordana i Demetrius zjawili się w innych okolicznościach, spotkanie Jordany z bratem miałyby bardzo nieprzyjemny przebieg.

Zerknęła na Demetriusa i zauważyła, że jest głęboko pogrążony w myślach. Szli dalej w milczeniu.

Wskazała gościowi jego pokój, a potem poszła spać; pomyślała, że rano będzie lepszą porą na bliższe zapoznanie się z Demetriusem Antounem. Demetrius nie położył się od razu spać. Otworzył drzwi i wyszedł na mały balkon gościnnego pokoju. Nie był oświetlony i Demetrius odwrócił się z zaskoczeniem, słysząc śpiew ptaka. Zmrużył oczy i spojrzał w mrok. W niewielkiej klatce siedział jasnożółty kanarek. Demetrius popatrzył na maleńkiego ptaszka i nagle wróciło do niego dawno zapomniane wspomnienie.

Gdy tylko nauczył się mówić, zaczął prosić rodziców o jakieś zwierzątko. Na szóste urodziny ojciec podarował mu żółtego kanarka. Demetrius roześmiał się głośno i próbował objąć klatkę.

— Nazwę go Melodia — oznajmił. — Na pewno będzie śpiewał! Minęło kilka tygodni, a ptaszek nie zaśpiewał ani jednej nuty. Był smutnym stworzeniem. Siedział w klatce, spoglądając w błękitne niebo maleńkimi oczkami, w których Demetrius widział tęsknotę. Nawet kiedy poczęstował go ziarnem moczonym w miodzie, dalej siedział w smutnym milczeniu.

Zatroskany Demetrius zadał Mitriemu pytanie, nad którym zastanawiał się od wielu dni.

— Dziadku, jak myślisz, dlaczego on jest taki smutny?

— Kto może wiedzieć, o czym myśli ptak? — odpowiedział Mitri.

Demetrius przyklęknął na jedno kolano i przyjrzał się uważnie kanarkowi.

— Czy on jest smutny, bo musi siedzieć w klatce? Dziadek patrzył długo na ptaszka, a potem odparł:

— Może. Ptaki żyją po to, by latać.

— Mam go uwolnić, dziadku?

Mitri przyjrzał się uważnie wnuczce.

— Jeśli to zrobisz, nie będziesz miał zwierzątka. Pamiętaj, że aż trzy lata trzeba było przekonywać twego tatę, żeby ci kupił kanarka.

— Tak, wiem. — Demetrius wsunął palec przez kratkę i próbował dotknąć Melodii. Ptaszek odwrócił się. Demetrius westchnął i otworzył drzwiczki. — Leć, Melodia, leć — powiedział cicho.

Kanarek siedział i patrzył, więc Mitri wskazał patyczek leżący na podłodze.

— Trzeba go zachęcić.

Demetrius podniósł patyk i delikatnie szturchnął ptaszka. Kanarek wyleciał z klatki, wylądował na dachu sąsiedniego domu i zaczął śpiewać.

Słyszając po raz pierwszy głos ptaszka, Demetrius roześmiał się radośnie.

— Dobrze zrobiłeś, wypuszczając go — powiedział Mitri. Demetriusowi zrobiło się żal, że nie ma już zwierzątka, więc chciał, żeby go ktoś pocieszył.

— Naprawdę, dziadku?

Mitri przez chwilę milczał. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił z wahaniem, jego twarz miała zatroskany wyraz, a słowa były niezrozumiałe:

— Twój dziadek też żyje w klatce.

— Nie żyjesz w klatce, dziadku — zaprotestował Demetrius. Mitri wyjaśnił poważnym tonem:

— Życie w Libanie może dla niektórych ludzi jest wolnością, chłopcze, ale dla mężczyzny wygnanego z domu każde miejsce jest jak klatka.

Demetrius milczał.

Mitri nabił fajkę i mówił dalej:

— Zapamiętaj jedno, Demetriusie. Nie można poprawiać natury. Żadne boże stworzenie nie powinno siedzieć w klatce.

Ptak na balkonie znów zaczął śpiewać i odległe wspomnienie rozplynęło się. Myśl o Melodii poruszyła sumienie Demetriusa. Nie dając sobie chwili na zastanowienie, Demetrius otworzył drzwiczki klatki. Jego serce westchnęło, kiedy mówił: „Leć, ptaszku, leć”. Ptak natychmiast wyleciał z klatki. Patrząc, jak podniecony kanarek przeskakuje z gałązki na gałązkę, Deme-

trius szepnął: „To dla ciebie, dziadku”. Radość rozjaśniła mu twarz. Zapalił papierosa, a potem wrócił do pokoju i posłał sobie łóżko. Zanim się położył, przypomniał sobie, że jest tylko zmęczonym człowiekiem, który wymknął się śmierci. Nie miał już rodziców, którzy go wychowali, ale pomyślał, że przynajmniej uniknął życia w klatce wygnania, na jakie zostało skazanych tysiące palestyńskich uchodźców. A potem jakaś nienazwana siła otworzyła drzwi dla marnotrawnego syna. Jutro zacznie szukać swoich prawdziwych rodziców.

Szybko przyszedł spokojny i mocny sen.

Nazajutrz wczesnym rankiem zbudziła go paplanina służących Anny i zapach świeżego chleba. Kiedy brał prysznic, jedna z kobiet położyła obok jego łóżka kartkę z prośbą, aby spotkał się z Anną o ósmej na balkonie; mieli razem wypić kawę i zjeść śniadanie. Demetrius był poruszony, czytając tę kartkę. Mary Antoun miała zwyczaj kłaść takie karteczki przy łóżku syna, żeby mu przypomnieć o tym czy owym. Nie chcąc pogrążyć się we wspomnieniach o matce, Demetrius przesunął palcami po eleganckim papierze. Nie wiedział, co myśleć o Annie.

Przyjaciółka Jordany sprawiała wrażenie wykwintnej damy. I z pewnością znała się na formach. Ubrał się szybko.

Nikogo nie było widać, ale gdy Demetrius wyszedł na balkon, czekał tam już zastawiony stolik. Zdawało mu się, że siedzi już bardzo długo, więc zerknął na zegarek. Była punktualnie ósma. W tej samej chwili usłyszał cichy szelest kroków na tarasie. Podniósł głowę i wstał szybko, widząc nadchodzącą rażno Annę.

— Dzień dobry, Demetriusie — powiedziała. Skinął głową.

— Dzień dobry, panno Taylor — odparł, wysuwając krzesło.

Przyjrząwszy się dokładniej młodemu człowiekowi, Anna uśmiechnęła się promiennie.

— Mam nadzieję, że nie czekał pan zbyt długo. — Wczoraj wieczorem, w natłoku dramatycznych wydarzeń, prawie nie zwróciła na niego uwagi.

Demetrius pochylił się, podsuwając jej krzesło do stołu.

— Podziwiałem wspaniały widok — odparł, wskazując ręką

w stronę miasta, a potem spojrzał na Annę. Martwił się, czy nie sprawił jej kłopotu.

Anna zauważyła jego zatroskanie.

— Dobrze pani spała? — spytał.

— Raczej nie — przyznała. Ciemne kręgi pod jej oczami dobitnie świadczyły o tym, że głęboko przeżyła wydarzenia wczorajszego wieczoru. Uśmiechnęła się ponownie. Uznała, że podoba jej się nowy narzeczony Jordany. Demetriusa otaczała aura łagodności, cecha, której wyraźnie brakowało młodemu Izraelczykowi. — Kawa jest już w drodze — powiedziała.

— Wspaniale — odrzekł Demetrius, siadając. Jak przystało na dobrze wychowanego mężczyznę na pierwszej wizycie nie powiedział nic więcej, tylko znów popatrzył na panoramę Jerozolimy.

Anna poczuła ulgę. Nic nie irytowało jej bardziej niż próżna gadanina.

Przyjrzała się badawczo twarzy Demetriusa i pomyślała, że jest niewiarygodnie przystojny. Zawsze uważała, że Joseph i Michel Ga!e'owie są najatrakcyjniejszymi mężczyznami, jakich kiedykolwiek знаła, ale musiała przyznać, że Demetrius jest jeszcze przystojniejszy.

Bez trudu rozumiała fizyczny pociąg Jordany do tego Palestyńczyka.

W odróżnieniu od swoich żydowskich sąsiadów i przyjaciół, którzy walczyli o Izrael, Anna nie miała żadnych uprzedzeń wobec Arabów. W dzieciństwie bawiła się z ich dziećmi, a w jej domu zawsze byli arabscy służący. Mimo że nigdy tego nie powiedziała, a jej najbliższymi przyjaciółmi byli Żydzi, na ogół czuła się swobodniej wśród Arabów niż wśród Żydów. Jej ojciec mawiał, że dorośli Arabowie pod wieloma względami są jak dzieci. Ci, których Anna znała, mieli łagodną naturę i woleli popijać herbatę i plotkować, niż walczyć. Miała wrażenie, że właśnie to powodowało, iż w sprawach wojskowych Żydzi zawsze górowali nad Arabami. Żydzi-syjniści z rozdarłej wojną Europy mieli twarde charaktery i byli gotowi budować swoją przyszłość na cierpieniu innego narodu. Palestyńscy Arabowie byli o wiele łagodniejsi i nie dążyli do celu z taką determinacją jak ich żydowscy sąsiedzi.

Anna przypomniała sobie informację usłyszaną od Michela. Rodzina Demetriusa brała udział w tragicznym exodusie pales-

tyńskich Arabów, do którego doszło w czasie wojny 1948 roku. Czy on sam również nie zgorzkniał po tylu latach spędzonych na wygnaniu w Libanie? A jeśli tak, jak zdoła kiedykolwiek pozbyć się tej goryczy i związać z Żydówką?

Demetrius, zamyślony, prawie nieobecny, nadal patrzył na Jerozolimę. Czuł nieodparty pociąg do tego miasta i zdawało mu się, że świat Jordany jest teraz jego światem.

— Nigdy nie myślałem, że Jerozolima jest taka piękna — powiedział wreszcie z zadumą.

Anna spojrzała na miasto i już miała coś odpowiedzieć, gdy pojawili się Tarek i Dżihan. Tarek niósł duży czajnik z kawą, a Dżihan szła za nim z tacą pełną świeżo upieczonych ciast i bułek.

— Tarek i Dżihan! Nareszcie! — zawołała wesoło Anna, robiąc miejsce na środku okrągłego stolika.

Oboje poruszali się powoli, jakby niepewnie. Dżihan szła za Tarekiem jak cień. Spojrzawszy jej w oczy, Demetrius "drgnął, ale szybko się opanował. Oczy kobiety były mlecznobiażowe i zrozumiał, że Dżihan jest niewidoma. Wstał, żeby jej pomóc.

— Nie! — zawołała Anna. Demetrius usiadł.

— Przepraszam — powiedział, czerwieniąc się.

Anna poklepała go po ręce, co oznaczało, że ma się nie martwić.

Przywitawszy Annę, Tarek spojrzał na Demetriusa z nieukrywanym zaciekawieniem. Polem postawił czajnik na stole i odszedł.

Dżihan, jakby wszystko widziała, zaczęła nalewać kawę do dwóch małych filiżanek. Demetrius obserwował ją uważnie. Nie wylała ani kropli.

— Dżihan dwa dni w tygodniu spędza u przyjaciół w Betlejem, a poza tym przez cały czas pomaga mi w domu — wyjaśniła Anna. Nie dodała, że jest to źródłem wielkiej dumy dla niewidomej kobiety.

Nagle stało się coś dziwnego i nieoczekiwanego. Przechodząc obok Demetriusa, Dżihan pobladła i zatrzymała się, mamrocząc coś pod nosem.

Demetrius i Anna spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

— Dżihan. co się stało? — zapyłała Anna.

Demetrius poczuł się nieswojo. Niewidzące oczy Dżihan patrzyły wprosi na niego. Kobieta zaśmiała się gardłowo i zakreśliła w miejscu. Przez chwilę zdawało się, że zacznie tańczyć.

- Dżihan! Co u licha? — zawołała głośno Anna. — Tarek! Chodź tu szybko!

Tarek zjawił się błyskawicznie i Demetrius pomyślał, że musiał czekać ukryty za schodami. Dżihan tymczasem zacierała ręce i śmiała się głośno, wciąż zwracając twarz w stronę Demetriusa. Kiedy chciała rzucić się na niego z wyciągniętymi rękami, Tarek złapał ją z tyłu i zaczęli się szaiścić. Anna krzyczała, żeby dał jej środek uspokajający i położył do łóżka. Kiedy Tarek odciągał ją siłą, Dżihan zaczęła coś do niego mówić pośpiesznie i niespójnie. Ani Demetrius, ani Anna nie zrozumieli ani słowa.

Anna wstała z otwartymi ustami, potrząsając głową.

— Co się dzieje?

Demetrius uznał, że Dżihan jest obłąkana.

— Dziwna kobieta — powiedział.

Anna wciąż potrząsała głową ze zdziwienia.

— Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, co jej się stało. Demetrius starał się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia.

— Od jak dawna jest ślepa? — spytał. Pomyślał, że może Dżihan niedawno straciła wzrok i depresja doprowadziła ją do załamania nerwowego.

Jego pytanie dotknęło Annę. Oparła się na krzesło i spojrzała na Demetriusa z wyrzutem.

— Kiedy zamieszkała z naszą rodziną, widziała. To było wiele lat temu.

— Co się stało?

Anna milczała jednak i Demetrius pomyślał, że nie zamierza mu odpowiedzieć. Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła cicho, jakby do siebie:

— Obawiam się, że to na mnie spada wina za ślepotę Dżihan. — Zadrżała, przypominając sobie nieszczęście sprzed lat. — Byłam wtedy dzieckiem i niechcący poruszyłam ciemne impulsy w duszy Dżihan, które spowodowały jej ślepotę.

Demetrius nie mógł powstrzymać ciekawości.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

Anna popatrzyła na niego, lecz nic nie odpowiedziała. Czowała mrowienie w całym ciele. Z powodu, którego nie umiała określić, czuła, że musi opowiedzieć temu młodemu człowiekowi tę przerażającą historię, choć wiedziała, że nie powinna. Tylko czworo ludzi znało prawdę o ślepotcie Dżihan: ona sama oraz Anna, Joseph i Estera Gale'owie.

Demetrius czekał w milczeniu, pełen niedobrych przeczuc. Po wczorajszym wieczorze nie miał ochoty poznawać smutków innych ludzi, ale czuł, że Amerykanka musi się podzielić z nim jakimś bardzo ważnym wspomnieniem.

Anna, powodowana impulsem, złapała go za rękę.

— Nie wiem dlaczego, ale coś każe mi opowiedzieć panu historię Dżihan. Demetrius skinął głową. Ludzie zawsze chcieli mu się zwierzać. Może przyczyną tego było jego medyczne wykształcenie, które nakazywało mu cenić każdego człowieka. Westchnął i oparł się na krzesło.

Anna zaczęła mówić, wpatrując się w twarz Demetriusa. Gdy przywoływała minione chwile, mówiła lekkim tonem, jakby opowiadała o szczęśliwych, beztrudnych czasach, a nie o okropnej tragedii, która ściągnęła mrok na życie innego człowieka.

— Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj... Właśnie skończyłam jednaście lat i bawiłam się na podwórku za domem. Nagle usłyszałam krzyki, wybiegłam przed dom i zobaczyłam beduińską dziewczynę, trzymającą się spódnicy mojej mamy. Stałam jak wryta, oczarowana kolorowym ubraniem Beduinki. Miała długie czarne włosy i oliwkową skórę i miałam wrażenie, że zeszła wprost z kartek Biblii. Zaraz potem zobaczyłam grupę mężczyzn, przepychających się i próbujących przejść obok mojego ojca. Jednym z nich był ojciec Dżihan. — Anna westchnęła.

— Pamiętam pomarszczoną twarz tego człowieka. Krzyczał, że córka musi odejść z gniazda niewiernych i pogodzić się z losem wyznaczonym jej przez Allacha. Mężczyźni z rodziny Dżihan grozili, że wrzucą ją do studni. Twierdzili, że przyłapano Dżihan w kompromitującej sytuacji z ku-

zynem, i chcieli ją zabić. Nazywają to „zabójstwem dla honoru”. Mordowanie kobiet dla ocalenia honoru rodziny. Mój ojciec mieszkał jednak w Palestynie wystarczająco długo, by wiedzieć, że „kompromitująca sytuacja” może oznaczać niewinną rozmowę, więc bronił dziewczyny.

Beduini w końcu odeszli, ale przedtem oświadczyli, że w ich oczach Dżihan jest już martwa. Miała zakaz powrotu do swojego klanu.

Anna upiła łyk zimnej kawy.

Demetrius widział, jak bardzo drżą jej ręce. Opowieść całkowicie go pochłonęła. Miał nadzieję, że ojciec Dżihan nie wrócił i nie oślepił własnej córki.

Anna wytarła chusteczką górną wargę.

— Od tego czasu Dżihan mieszka z naszą rodziną. — Spojrzała na Demetriusa. — A potem wydarzył się incydent, który spowodował jej ślepotę. To była moja wina.

Demetrius pochylił się i oparł łokcie na stoliku.

— Kilka miesięcy później bawiłam się z arabską koleżanką w głupią zabawę... Wyzaczyłam jej rolę Dżihan, a sama odgrywałam rolę jej ojca, który przyszedł ją ukarać. Nie rozumiejąc, że moje słowa mogą spowodować nieszczęście, krzyczałam, że Dżihan zgrzeszyła i sprawiedliwy Bóg domaga się zapłaty... — Anna zamilkła i po chwili powiedziała poważnym tonem: — Proszę nie zapominać, że zostałam wychowana w głęboko wierzącej, chrześcijańskiej rodzinie. Wszystko musiało się wiązać z Bogiem. Powiedziałam mojej małej aktorce, że karą za jej grzech będzie pokuta na ziemi albo wieczny ogień w piekle! Zrobiłam to tak przekonująco, że moja koleżanka przeraziła się i uciekła do domu.

Anna znowu westchnęła.

— Nie wiedziałam, że Dżihan śpi niedaleko nas pod drzewem. Zauważyłam jej obecność dopiero wtedy, gdy zaczęła krzyczeć ze strachu, usłyszawszy moje straszne słowa. Nic, co potem mówiłam, nie mogło jej pocieszyć, bo była przekonana, że będzie smażyć się w piekle... Niemal jej nie widywałam aż do mszy w kościele w następną niedzielę. Ojciec z wyjątkową pasją czytał tego dnia słowa: „Jeśli prawe twoje oko jest powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie.

Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało być wrzucone do piekła" 1. Wielu Arabów obecnych na mszy płakało ze strachu, Dżihan też.

Demetrius już wiedział, co Anna powie.

Amerykanka potrzęsnęła głową.

— Powinnam była pamiętać o tym, co się wcześniej stało...

— Była pani tylko dzieckiem — przypomniał jej Demetrius.

Uśmiechnęła się słabo.

— Po mszy nikt z nas nie zauważył nieobecności Dżihan na obiedzie. Po południu wymknęłam się z domu i poszłam do budynku gospodarczego poszukać pudełka z zabawkami, które przysłano z kościoła w Anglii. Mama miała je rozdać ubogim dzieciom. Chciałam sobie wziąć jedną zabawkę; myślałam, że jeśli wyjmę ją z pudełka, nikt nie zauważy. Zbliżając się do budynku, usłyszałam dziwne zawodzenie dobiegające ze środka. Posłuchałam chwilę i pomyślałam, że to chyba jakieś ranne zwierzę. — Po chwili milczenia wyjaśniła: — W tamtych czasach często zdarzało się, że Arabowie zostawiali stare lub ranne zwierzęta w opuszczonych domach, żeby umarły z głodu. Weszłam ostrożnie do środka i rozejrzałam się. Ale zamiast zwierzęcia znalazłam tam Dżihan. Poczułam ulgę, zaraz jednak zauważyłam, że Dżihan jest bardzo poruszona. I zobaczyłam, że trzyma coś za plecami.

Zadrżała lekko.

— Kazałam jej pokazać, co trzyma w dłoniach, ale nic nie odpowiedziała. A kiedy podeszłam, dźgnęła się najpierw w jedno oko, a potem w drugie zaostrzonym patykiem.

— Wielki Boże! — zawołał wstrząśnięty Demetrius.

— Nie udało się uratować żadnego oka. Mój ojciec winił siebie i powtarzał w kółko, że powinien był zauważyć, że Dżihan jest niezrównoważona i podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie. Wiele razy mówił, że jeśli się czegoś nauczył przez tych trzydzieści lat spędzonych w Jerozolimie, to tego, że Arabowie wszystko przyjmują dosłownie... — Przypomniała sobie nagle, że jej gość też jest Arabem. —
Przepraszam.

Demetrius uśmiechnął się.

— Nic szkodzi. Ma pani rację. Każdy Arab, którego znam, zawsze bierze wszystko dosłownie.

Anna poklepała go po ręce i mówiła dalej:

— Żadne z nas nigdy nie pogodziło się z tym wypadkiem, ale z czasem Dżihan jakby zżyła się ze swoją ślepotą. To było tak, jakby ślepotą ją wyzwoliła. Nie była już nieśmiała, zaczęła śpiewać beduińskie piosenki i nawet kilka razy zaśpiewała publicznie. Plotkowała z innymi kobietami. Szczególnie polubiła małe dzieci i stała się ulubioną opiekunką dzieci przyjaciółek mamy. — Po chwili dodała cicho: — Była wspaniałą nianią.

— To musi być dla pani straszne — zauważył delikatnie Demetrius.

— Tak. Obecność Dżihan nie pozwala, żeby to bolesne wspomnienie wyblakło. Jestem odpowiedzialna za to, żeby dobrze jej się działo, i nigdy nie mogłabym jej odesłać.

Siedzieli przez kilka minut w milczeniu; Demetrius czuł, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Przypomniawszy sobie o wczorajszym wieczorze, zmienił temat:

— Mam nadzieję, że mama Jordany czuje się już lepiej.

— Obawiam się, że nie — odparła z wysiłkiem Anna. — Usłyszeć, że psy rozszarpały jej dziecko na kawałki... Ten widok będzie ją prześladował do końca jej dni.

Demetrius pomyślał o ciąży Jordany.

— Nie wyobrażam sobie bólu po stracie dziecka.

— A po stracie dwojga dzieci? — spytała Anna.

— No właśnie... Jordana powiedziała mi, że jej starszy brat też zmarł.

Anna wzięła z tacy bułkę.

— Co za nieszczęście — mruknął Demetrius. Anna zdołała tylko powiedzieć:

— Tak, — Milczała przez długą chwilę i Demetrius uświadomił sobie, że trudno jej mówić dalej. — A Rachela Gale mnie o to obwinia.

— Panią?

Anna popatrzyła na Demetriusa z twarzą pobladłą z żalu.

— Jeśli Jordana nigdy nie powie panu, jak to się stało, proszę się na nią nie gniewać. Nic nie wie o tym wypadku,

poza tym, że jej starszy brat umarł wiele lat przedtem, zanim się urodziła. To zakazany temat.

Demetrius chciał się dowiedzieć, czemu Rachela obarcza jego gospodynię winą za śmierć brata Jordany. Dotknął ramienia Anny.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — poprosił. Anna spojrzała błagalnie na Demetriusa.

— Nie wolno panu rozmawiać o tym z nikim z rodziny Gale'ów.

Wiadomość o śmierci Miriam złamała im wszystkim serca. — Po chwili dodała: — Nie trzeba im przypominać o małym Danielu.

— Daniel... — powtórzył cicho Demetrius.

— Chłopiec miał otrzymać imię Daniel po jednym z braci Estery — wyjaśniła Anna. — Sześć dni po narodzinach, a dwa przed ceremonią obrzezania stracili go.

— Czy to była jakaś dziecięca choroba? — spytał Demetrius. Anna machnęła ręką, chcąc porzucić ten temat. Była wyraźnie wzburzona.

— Czy okoliczności mają jakieś znaczenie? — mruknęła, krzywiąc twarz. — Stracili dziecko, to wszystko.

Demetrius pomyślał, że chyba jest niegrzeczny.

— Bardzo panią przepraszam. Proszę mi wybaczyć. — Spyta o to Jordane. Wstał. — Muszę sprawdzić, co się dzieje u mojej narzeczonej.

— Uśmiechnął się uspokajająco do gospodyni. — Niech się pani nie martwi. Nikt nigdy się nie dowie, o czym rozmawialiśmy.

— W porządku — powiedziała Anna. — Ale musi pan się napić dobrej kawy, zanim pan wyjdzie.

— Nie, dziękuję — odparł Demetrius. — Wypiję kawę z Jordaną. Jeśli jej matka czuje się już lepiej, poproszę Jordane, żeby zabrała mnie na ulicę, na której kiedyś mieszkał mój ojciec. Chcę zobaczyć to miejsce.

Anna poczuła się nieco podniesiona na duchu.

— A gdzie to jest? — spytała.

— Nie znam jeszcze adresu. Popytam w okolicy. Ale mój wujek mieszkał w dzielnicy Musrara.

Anna spojrzała na niego niepewnie.

— Pańska rodzina mieszkała w Musrara?

— Tak. Brat ojca tam mieszkał. Został zabity w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. — Demetrius zmrużył oczy i odwrócił głowę. — Był zamach bombowy w Bramie Jaffy. Ojciec stracił wtedy obu braci i jedyną siostrę. Ale czemu pani o to pyta? — spytał zdziwiony.

Anna była najwyraźniej poruszona.

— Proszę nie zabierać tam Jordany — powiedziała nieswoim głosem. — I niech pan nie wspomina o Musrara przy Josephie i Esterze.

— Dlaczego?

Anna siedziała przez minutę w milczeniu, zatopiona w myślach. Wreszcie podniosła głowę i rzekła:

— Dobrze, powiem panu. Joseph i Estera po przybyciu do Palestyny mieszkali w Musrara. Właśnie tam zabrano im Daniela.

Demetrius słuchał tego z niedowierzaniem.

— Zabrano im dziecko? — spytał. — Z ich domu w Musrara?

Anna skinęła głową, bliska łez.

Była zaskoczona, kiedy Demetrius złapał ją za rękę i szepnął tonem pełnym przerażenia:

— Musi mi pani powiedzieć, wszystko! Anna skrzywiła się.

— Już panu powiedziałam — odparła szybko. — Dziecko zostało zabrane. A Rachelą mnie o to obwinia.

— Dlaczego akurat panią?

— Chciałam pomóc, to wszystko. Namawiałam Estere, żeby wzięła moją Beduinę. Dżihan wspaniale radziła sobie z dziećmi. A Estera była słaba, jeszcze nie całkiem doszła do siebie po latach wojny. Miała dwóch synów i potrzebowała kogoś do pomocy przy nich. Rachelą była kłótniwa, a Estera nie chciała się jej sprzeciwić... — Anna zrobiła pauzę, a potem podniosła głos:

— Chciałam tylko pomóc, rozumie pan? Gdybym nie namawiała Estery, żeby wzięła Dżihan!

Rozumie pan? — Oparła głowę na rękach. — Tamtego dnia mały Michel miał ostry kaszel, więc Estera zabrała go do lekarza i zostawiła Dżihan z Danielem na tarasie. Snajperzy przestali strzelać i Estera myślała, że może spokojnie zostawić opiekunkę z Da-

nielem. Dżihan odeszła od dziecka na chwilę, tylko na chwilę. Ktoś musiał ją obserwować i czekać. Ale jak niewidoma dziewczyna mogła zauważyć intruza? Położyła małego Daniela w kołysce i weszła do domu po butelkę. Kiedy wróciła, dziecka już nie było. Ktoś ukradł je z kołyski! Anna spojrzała Demetriusowi w twarz.

— Tajemnica tego, co się stało z dzieckiem, nie daje nam spokoju ani przez chwilę. Wojna wisiała w powietrzu, Jerozolima pogrążyła się w chaosie, a mimo to wszyscy mężczyźni i kobiety z okolicy przeszukali każdy centymetr miasta. Nie było ani śladu dziecka. Jakby rozplynęło się w powietrzu. — Potrząsnęła powoli głową. — Estera Gale o mało nie umarła z żalu.

Demetrius zbladł. Natychmiast przypomniał sobie słowa wypowiedziane na łożu śmierci przez ojca: „Synku, twój ojciec schował się za krzakami i czekał. Czas płynął. Potem kobieta włożyła dziecko do kołyski i weszła do domu. Złapałem to dziecko i uciekłem”.

Zatoczył się do tyłu, uświadamiając sobie, czego właśnie się dowiedział. Anna uspokoiła się i popatrzyła na niego uważnie. W jego oczach dostrzegła coś, czego tam wcześniej nie było. Patrzył na nią wzrokiem ранego zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

Wstała i wyciągnęła do niego ręce, ale w tym momencie z willi dobiegł głośny krzyk. Na tarasie zjawił się Tarek.

— Proszę pani! Dżihan ma atak!

Anna znieruchomiała, spoglądając to na służącego, to na Demetriusa. Tarek zamachał rękami w powietrzu.

— Leci jej piana z ust jak wściekłemu psu!

Nie wiedząc, czy odejść, czy zostać, Anna nadal spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

Demetrius stał, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem.

— Musi pani do niej iść! — zawołał Tarek. — Prędko!

— Demetriusie, niech pan tu zaczeka! — krzyknęła Anna. — Zaraz wrócę!

Demetrius milczał. Był zbyt przerażony, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Rozdział XXV

Rozwiązanie

Wszystkie rozmowy urwały się jak nożem uciął, gdy Anna wpadła bez tchu do domu rodziny Gale'ow. Rozejrzała się z niepokojem.

— Jest tu Demetrius? — zapytała głośno. Domownicy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Nie — odparła zaskoczona Jordana. — Czy nie został na noc u ciebie?

— Tak! — zawołała Anna. — Oczywiście, że został. Rano wypiliśmy razem kawę. Potem był drobny kłopot z Dżihan i musiałam go na krótko zostawić. A kiedy wróciłam, już go nie było! — Przerwała na chwilę. — I zabrał ze sobą swoje rzeczy. — Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

— Modliłam się, żeby był tutaj.

— On jest dorosły — rzuciła ostro Rachel. — Nie podniecaj się tak.

— Pewnie poszedł na spacer — powiedział Joseph.

— Z walizką? — zdziwiła się Jordana.

Michel słuchał tego ze zmrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami. Nic nie mówił, ale myślał pospiesznie. Co knuje Demetrius Antoun? Czyżby wykorzystał Jordane, żeby przedostać się do Izraela? Michel nigdy nie ufał Arabom.

— Sprawdziłaś wszędzie? — spytała Christine. — W willi i na terenie całej posesji?

— Pewnie, że tak! — odparła nerwowo Anna. — Nigdzie go nie było, więc od razu przyszłam tutaj.

Jordana spojrzała na ojca i mruknęła:

— To do niego niepodobne, odchodzić w taki sposób.

— Czy był wzburzony? — spytał Joseph.

Chociaż mieszkał w Izraelu od prawie czterdziestu lat, nigdy nie zrozumiał sposobu myślenia Arabów. Tydzień temu pewien starszy Arab, kupiec z Souq, powiedział Esterze, że wolałby, aby Żydzi wrócili do Niemiec i umożliwili Niemcom dokończenie ich dzieła. Czyżby wczorajszy zgrzyt między ich rodzinami wpłynął w jakiś dziwny sposób na Demetriusa?

Anna, pogrążona w myślach, nie odpowiedziała.

Jordana powtórzyła pytanie ojca:

— Czy Demetrius był czymś wzburzony?

— Był dość rozemocjonowany — odparła wreszcie Anna. Wyglądała na poruszoną. Wiedząc, że wzmianka o Danielu spowoduje jeszcze większe zamieszanie, nie wyjawiała tematu swojej rozmowy z Demetriusem. — Naprawdę nie wiem, co go tak mogło poruszyć, bo nie mówiliśmy o nim. — Chciała coś jeszcze dodać, ale powstrzymała się.

Jordana nie spuszczała oczu z jej twarzy. Otworzyła usta, żeby spytać o dokładny przebieg jej rozmowy z Demetriusem, ale w tym momencie zniecierpliwiony Michel powiedział:

— Na miłość boską, nie rozumiesz? Twój arabski kochanek specjalnie zniknął!

— O czym ty mówisz? — spytała Jordana. Nienawiść, którą Michel czuł do Demetriusa, eksplodowała nagle.

— Dostał to, czego chciał, i zniknął — oświadczył z nieprzyjemnym uśmiechem. Jordana zatrzęsała się cała.

— Jak możesz coś takiego mówić — odrzekła drżącym głosem. — To nieprawda. Demetrius nigdy by czegoś takiego nie zrobił. — Rozłożyła ręce w geście bezradności. — Tato, to nie ma żadnego sensu. Wiem, że Demetriusowi coś się stało.

Christine zmarszczyła czoło. Uważała, że zna Demetriusa lepiej niż ktokolwiek inny, i podejrzewała, że jego nagłe zniknięcie ma coś wspólnego z tajemnicą jego narodzin. Pomyślała, że może stwierdził, iż nie jest w stanie pogodzić się ze swoją żydowską przeszłością, i uciekł przez granicę do Libanu.

Przycupnięta na skraju kanapy Rachela spoglądała to na Annę, to na Jordane, Zachowywała się wyjątkowo cicho, nie wtrącała się, lecz wiedziała, że dzieje się coś bardzo dziwnego, i uważnie słuchała. lalo. musimy go poszukać! — zawołała coraz bardziej zaniepokojona Jordana. — Uwierz mi, proszę cię! De-melrius nigdy nie odszedłby bez wyjaśnienia. Coś się musiało stać!

Spoglądając na pełną niepokoju twarz Jordany, Christine zrozumiała, że Jordana nic nie wie o przedśmiertnym wyznaniu George'a Antouna.

Poruszyła się niespokojnie.

Michela dławił gniew, odraza i oburzenie.

— Ależ z ciebie idiotka — powiedział. — Nie rozumiesz? Twój Arab wykorzystał cię, żeby dostać się do Izraela, nic więcej.

Jordana usłyszała już dość. Jej strach i bezradność zamieniły się we wściekłość. Odwróciła się gwałtownie do brata.

— Przesłań wreszcie! To nieprawda!

Michel cieszył się, że Arab zniknął z ich życia, i chciał, żeby tak pozostało. Uważał, że Jordana powinna zobaczyć go takim, jakim jest naprawdę.

— Ten człowiek wykorzystuje kobiety — warknął. — Wykorzystał Christine, żeby zdobyć wizę do Ameryki, a potem ciebie, żeby dostać się do Izraela!

Oburzona Christine zaprotestowała.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — Demetrius Antoun, którego znała, był zbyt honorowy, żeby tak postąpić. Położyła dłoń na ramieniu Michela. — Mylisz się co do niego.

Michel popatrzył na swoją ukochaną.

— Jeśli w to wierzysz, jesteś tak samo głupia jak moja siostra. — Miał dotkliwą świadomość, że jego siostra oraz kobieta, z którą zamierzał się ożenić, są zaślepione uczuciem do mężczyzny, którego coraz bardziej nienawidził.

Serce Jordany bilo tak mocno, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Demeinusowi stało się coś strasznego, a Michel, zamiast jej pomagać, tak bardzo uległ nienawiści do Arabów, że atakował niewinnego człowieka. Nie znalazł prawdy, a mianował się sędzią i oskarżycielem.

Michel czuł dręczącą potrzebę uświadomienia Jordanie i Christine, kim naprawdę jest Demetrius Antoun.

— Kogo obchodzi, że zniknął? — mruknął szyderczo. — To przecież tylko brudny Arab!

— Michel! — krzyknęła Anna.

Jordana, rozwścieczona słowami brata, straciła panowanie nad sobą. Ze ściągniętą twarzą skoczyła do niego i zaczęła go walić pięściami w pierś. Michel siedział przez kilka sekund bez ruchu, a potem złapał ją za ręce i odepchnął.

Przez chwilę Christine bała się, że rodzeństwo zacznie się bić. Skoczyła na równe nogi.

— Michel, przestań! — krzyknęła.

— Dość tego! — zawołał Joseph, jedną ręką odciągając syna, a drugą podrywając Jordana z podłogi. Przeniósł ją na drugą stronę pokoju, z dala od brata.

Chociaż nie bili się od dzieciństwa, Michel nadal spoglądał wyzywająco na siostrę, jakby gotów był ją uderzyć. Rachela pociągnęła bratanka za ucho.

— Wstyd! — zawołała.

Przerażona Anna zakryła usta, obserwując scenę rozgrywającą się na jej oczach. Wszyscy stracili panowanie nad swoimi emocjami. Bała się powiedzieć, o czym rozmawiała z Demetriusem, ale wiedziała, że musi komuś to wyznać. Może ta informacja pomoże rozwiązać zagadkę zniknięcia Demetriusa. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić, nie przywołując wspomnień o małym Danielu.

Jordana szlochała rozpaczliwie.

Tato! Musimy go odnaleźć! Proszę cię!

— Co tu się dzieje? — zawołała Estera, która zerwała się z łóżka, słysząc podniesione głosy.

Jordana rzuciła się matce w ramiona. Mamo! Demetrius zniknął!

Estera kochała swoich dwoje dzieci tak mocno, jak może kochać kobieta, która straciła dwoje pozostałych w strasznych okolicznościach. Nic nie wyprowadzało jej bardziej z równowagi niż cierpienie Jordany czy Michela. Mimo że nie uradowała jej wiadomość, iż syn chce się ożenić z córką nazisty,

a córka spotyka się z Arabem, nigdy nie zabroniłaby dzieciom tego, co uważały za swoje szczęście. Uważnie przyjrzała się twarzy Jordany.
— Nie płacz, córeczko — powiedziała. — Co się stało z tym młodym człowiekiem?

Płacz nie pozwolił Jordanie wydobyć ani słowa. Estera objęła ją czule i posadziła na kanapie, a potem rozejrzała się gniewnie po pokoju.

— Czy ktoś mi powie, co się stało mojej córce?

— Anna właśnie miała nam to wyjaśnić — odparł szybko Joseph i spojrzał na przyjaciółkę domu. — Mów dalej, Anno. Czy coś wzburzyło Demetriusa?

Jordana wyprostowała się i przestała szlochać.

Wszyscy skierowali uwagę na Annę, która westchnęła ciężko.

— Powiem wam wszystko, co wiem — odparła, siadając obok Estery i Jordany. Z mieszanymi uczuciami opisała poranny incydent z Dżihan, niechętnie wspomniała o zamiarze Demetriusa odwiedzenia domu zmarłego wuja, a potem dodała: — Mówiłam mu, żeby nie zabierał Jordany do Musrara. Chciał wiedzieć dlaczego. — Spojrzała na Josepha.

— Przykro mi, ale musiałam mu powiedzieć o waszym zaginionym synku. Opowiedziałam mu, że Daniela ukradziono z waszego domu i nigdy się nie odnalazł. — Na twarzy Anny pojawił się grymas. — Demetriusa bardzo przygnębiła ta wiadomość. Ale zupełnie nie rozumiem jego zachowania.

Rachelę poruszyło wspomnienie przywołane przez Annę, starała się jednak skupić na bieżącej sprawie.

— Czy Demetrius zawsze tak emocjonalnie reaguje? — spytała bratanicę. Większość Arabów współczuje innym i łatwo płacze, ale to nie wyjaśniało zachowania młodego człowieka. W końcu był lekarzem i z pewnością przywykł do najróżniejszych tragedii.

— Owszem — mruknęła Jordana. — Ma bardzo miękkie serce, ale nie aż tak. — Jej dolna warga zaczęła drżeć; dziewczyna znów była bliska łez. Spojrzała na matkę, zdezorientowana. Pierwszy raz w życiu usłyszała o porwaniu braciszka. — Nic nie rozumiem! Myślałam, że Daniel zmarł. Ukradziono go?

Estera poklepała Jordanę po ręce.

— Później ci o tym opowiem, kochanie. Na razie wiedz, że tata i ja nie byliśmy w stanie opowiedzieć ci tej historii.

Jordana skinęła potakująco, położyła głowę na ramieniu matki i pociągnęła nosem.

Relacja Anny obudziła wspomnienie o zaginionym synku, lecz ani Joseph, ani Estera nie dali po sobie znać, co czują. Im też zachowanie Demetriusa wydało się zagadkowe. Wymienili spojrzenia.

Wiedząc, że ojciec go zbeszta, jeśli wypowie jeszcze choćby jedno słowo, Michel splótł ręce na piersi i milczał.

Christine zadrżała. Powoli zaczęło do niej docierać znaczenie słów Anny.

Wszyscy spojrzeli na nią, kiedy nie mogąc się powstrzymać, krzyknęła:

— O mój Boże! O Boże!

— Co się stało? — spytał Joseph. Jordana popatrzyła na młodą Niemkę.

— Czy wiesz coś o tej sprawie? — spytała oskarżycielskim tonem.

Trzymając się rękoma za głowę, Christine spojrzała na obecnych.

— O mój Boże! — powtórzyła.

Jordana poczuła, że krew napływa jej do głowy.

— O mój Boże, Michel! — krzyknęła Christine, cała roztrzęsiona. —

Demetrius dowiedział się, kim naprawdę jest!

Wszyscy patrzyli na nią, całkowicie zdezorientowani. Joseph próbował ją uspokoić.

— Drogie dziecko, weź się w garść i wytłumacz nam, o czym mówisz.

Christine trzęsła się cała.

— O Boże! To nie może być prawda!

Michel przyciągnął ją do siebie i lekko nią potrząsnął.

— Pleciesz bez ładu i składu! Powiedz nam, co to wszystko znaczy!

Christine przełknęła głośno ślinę i spytała, zwracając się do Josepha.

— Czy waszego synka ukradziono w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku?

Walcząc z emocjami, Joseph odparł spokojnym głosem:

— Tak. Słyszałaś, co powiedziała Anna.

— Czy dziecko miało mniej niż tydzień? Skinął głową, coraz bardziej zdezorientowany.

— Czy zostało ukradzione kilka dni po wybuchu w Bramie Jaffy? Joseph aż się cofnął.

— Skąd o tym wiesz?

— Czy była przy nim kobieta, która śpiewała? — Tak! — krzyknęła Estera.

— Czy ta kobieta położyła dziecko w kołysce i zostawiła je na małym tarasie?

— Dżihan... — szepnęła Anna.

Joseph wstał. Wiedział, co za chwilę usłyszy, lecz wciąż w to nie wierzył. Michel był kompletnie zdezorientowany. Jak to możliwe, żeby Christine wiedziała wszystko o jego rodzinie?

Estera zgarbiła się, a Rachela dyszała ciężko.

Zniecierpliwiona Jordana chciała się dowiedzieć czegoś więcej.

— Christine, co to wszystko ma wspólnego z Demetriusem? — zapytała. Christine wiedziała już na pewno, że Demetrius jest zaginionym synem Josepha i Estery. Ze spojrzenia Josepha wyczytała, że on też to rozumiał. Położyła delikatnie dłoń na jego ramieniu i powiedziała, nie podnosząc głosu:

— Powiem wam to, co wiem, Demetriusa wychowali palestyńscy Arabowie, ale jego rodzice byli Żydami.

Jordana wciągnęła gwałtownie powietrze. Christine mówiła dalej:

— Byłam przy tym, jak George Antoun wyznał na łożu śmierci w Szatili, że Demetrius został ukradziony z żydowskiego domu w Jerozolimie.

Stało się to w tym samym tygodniu, kiedy w Bramie Jaffy wybuchła bomba, George przyjechał do Jerozolimy, żeby pochować swoich dwóch braci i siostrę, którzy zginęli w zamachu. Jeden z jego braci mieszkał w dzielnicy Musrara. W drodze do domu brata napadła go banda Żydów. Pełen żalu, rozgniewany sytuacją polityczną w Izraelu i niena-

widzący wszystkich Żydów George na chwile stracił głowę i ukradł żydowskie dziecko, kilkudniowego chłopca. Zabrał go do Hajfy. Kiedy Antounowie musieli uciekać do Libanu, wzięli ze sobą chłopca i wychowali jak własnego syna. Nie mieli innych dzieci. — Christine popatrzyła najpierw na Josepha, a potem na Esterę. — Dziś rano Demetrius odkrył, że jest waszym zaginionym synem. — Po chwili dodała cicho: — I dlatego uciekł.

— Milcz! Milcz! — Jordana wyrwała się matce i podbiegła do ojca. — To nieprawda! Tato, powiedz, że to nieprawda!

W głowie Josepha kłębiło się mnóstwo myśli. Pamiętał ten dzień, pełen napięcia, ale i radości, bo niedawno urodził im się drugi syn. Wyraźnie pamiętał wizytę Ariego i wiadomość o zamachu terrorystycznym, w którym straciło życie wielu Arabów. Przypominał sobie swoje obawy, że Żydzi z Jerozolimy drogo zapłacą za bezrozumny czyn bandy z Irgunu. Westchnął głośno. Teraz stało się jasne, że on i Estera zapłacili najwyższą cenę za zamach w Bramie Jaffy. Stracili syna. Spojrzał na Michela. Zemsta Arabów wszystkim coś odebrała. Michel stracił brata... Rachela bratanka... Ale najgorsze było to, że małemu Danielowi ukradziono rodzinę i jego dziedzictwo... niewinne żydowskie dziecko zostało wychowane w przekonaniu, że jest Arabem.

Odwrócił się powoli do żony. Estera siedziała z dłońmi złożonymi na piersi i patrzyła na niego. Zawsze była przekonana, że jej małego synka porwano i zabito. Czyżby jej syn urodzony trzydzieści pięć lat temu, dopiero teraz miał zacząć żyć? Czy mały Daniel został wychowany przez Arabów?

Michel wstał, czując zamęt w głowie. Dawno zapomniane wspomnienie... płacz małego dziecka, obraz pustej kołyski i zrozpaczonych rodziców. — Ktoś ukradł dziecko? — spytał.

Estera wyprostowała się gwałtownie i spojrzała na syna. Dokładnie te same słowa wypowiedział mały Michel w dniu, w którym dowiedział się od ojca, że jego braciszek zginął.

Anna patrzyła na Michela, ale go nie widziała. Przypomniała sobie, co mówiła Dżihan, tuż przed tym, zanim lekarstwo zaczęło działać; myślała wtedy, że to majaczenia kobiety, która postradała zmysły.

— Dżihan powiedziała mi, że Demetrius to Daniel. Powtarzała, że dziecko żyje... że wróciło. Że tajemnica Daniela się rozwiązała! — Po chwili dodała: — Inne służące zawsze twierdziły, że Dżihan ma niezwykłą moc psychiczną. Nigdy im nie wierzyłam, aż do tej chwili. — Spojrzała na Josepha. — Ale Dżihan jakoś go rozpoznała... wiedziała, że Demetrius to mały Daniel. — Potrzęsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli, i popatrzyła na Esterę. — Boże drogi! Dżihan miała rację! Estera skinęła głową, a potem wyciągnęła rękę w stronę męża i dziwnie spokojnym głosem powiedziała.

— Josephie, uważaj na córkę. Ona za chwilę zemdleje. Oczy Jordany odpłynęły do tyłu.

Ojciec i brat złapali ją jednocześnie. Michel położył ją na kanapie i poklepał po policzkach.

— Jordana!

Christine pobiegła do kuchni, żeby przynieść ściereczkę nasączoną zimną wodą.

Anna i Rachela obejmowały się mocno, zalane łzami. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla nich bardzo ciężkie.

Jordana otworzyła oczy.

— Mamo! To nie może być prawda! — wymamrotała. Estera uklękła przy niej.

— Cicho, kochanie. — Przyjrzała się uważnie córce. Cierpienie całkowicie ją sparaliżowało.

Jordana łkała cicho.

— Mamo, nie rozumiesz. Nie możesz zrozumieć. Kochamy się. — Głos jej się załamał. — Będę miała dziecko z Demetriusem.

Dotykając lekko dłońmi czoła córki, Estera spojrzała na męża.

— Słyszałeś, Josephie? Nasza córka będzie miała dziecko. Joseph uklękł obok Estery i ujął w dłonie rękę córki.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Twarz Jordany skrzywiła się.

— Demetrius nie wie, że jestem adoptowana! Uciekł i nigdy go nie znajdziemy!

— Cicho, cicho... Nie martw się. Tata go znajdzie.

— Musimy znaleźć Demetriusa... musimy! On jest przekonany, że jestem jego siostrą!

— Tak — przyznał Joseph. — Chłopak musi bardzo to przeżywać. Michel popatrzył niepewnie na ojca.

— Wierzysz, że Demetrius Antoun jest twoim synem?

— Tak — odparł Joseph. — Może to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale czuję, jestem głęboko przekonany, że jest moim dzieckiem. — Nie odrywając wzroku od najstarszego syna. dodał: — I twoim bratem, Michel.

Michel czuł w głowie straszliwy zamęt, jego twarz drgała. Mimo to powiedział spokojnym głosem:

— Jeśli naprawdę w to wierzysz, znajdę go. Jeśli będzie trzeba, poproszę o pomoc wszystkich z mojej jednostki.

Joseph wstał i złapał syna za rękę. Popatrzył na niego swoimi dużymi szarymi oczami i rzekł: — Znajdź go, Michel, znajdź.

Estera popatrzyła na męża. W jej oczach błyszczały iskierki nadziei.

— Czy to może być prawda, Josephie?

Jordana uniosła się na łokciach, postawiła stopy na podłodze i wstała.

Estera wzięła ją za rękę i razem stanęły obok Josepha i Michela.

Jordana objęła Michela za szyję.

— Znajdź go, proszę cię. Umrę, jeśli go nie znajdziesz. Szokująca wiadomość, że ich dawno utracony syn żyje, sprawiła, że Estera wciąż nie mogła dojść do siebie i kurczowo trzymała się męża. Błyszczącymi od teź oczami spojrzała nad szerokimi ramionami Josepha w twarz syna.

— Znajdź brata, Michel. Znajdź brata i przyprowadź go do domu — powiedziała.

Michel Gale nawet nie zauważył, że płacze.

Demetrius zdziwił się, widząc, że dom, opisywany tyle razy przez ojca i dziadka, wciąż stoi, prawie niezmienniony. Z nieprzeniknioną twarzą spoglądał na mały, schludny budynek, należący niegdyś do jego rodziny. Nowi właściciele dobudowali

do niego dużą werandę, ale poza tym wszystko wyglądało tak, jak Demetrius zapamiętał z opisów. Brama wciąż była różowa, a białe kamienie elewacji nadal błyszcząły w blasku gasnącego słońca. Wokół krawędzi trawnika rosły lipy i cytryny. Dawny ogród Mary właśnie kwitł i w powietrzu rozchodził się słodki zapach jaśminu.

Demetrius dotknął palcami dużego klucza, przywołując w pamięci wygląd wnętrza domu. Po lewej stronie korytarza była pracownia George'a, a po prawej — mały salonik. Sypialnia rodziców przylegała do pracowni, a pokój dziadka mieścił się między kuchnią i tylnym wejściem. Demetrius ścisnął kljcz, zastanawiając się, czy wciąż będzie pasował do zamka. Uśmiechnął się pod nosem, wyobraziwszy sobie nowych mieszkańców i ich reakcję, gdyby niespodziewanie wkroczył do domu.

Myśli Demetriusa były pełne zamętu. Po odkryciu, że jest zaginionym synem Josepha i Estery Gale'ów i bratem Jordany, wpadł w najczarniejszą rozpacz. Nie wiedząc, dokąd iść i co robić, błąkał się bez celu ulicami Jerozolimy, przeklinając Boga i oskarżając go o nękanie najgorszymi katastrofami od chwili, gdy dał mu życie. Wiedząc, że musi wyjechać z Jerozolimy i nie może spojrzeć w oczy Jordanie, wiedząc to, co teraz wiedział, wziął taksówkę na dworzec i kupił bilet na najbliższy pociąg. Okazało się, że pociąg jedzie do Hajfy. Kiedy Demetrius otrząsnął się z szoku, ucieszył się, że pojedzie do miasta, w którym mieszkali jego arabscy rodzice. Wsiadłszy do wagonu, wyciągnął z walizki akt własności ziemi i klucz do domu Antounów w Hajfie. Był zadowolony, że poświęcił czas na odnalezienie tych dokumentów w zniszczonym domu w Szatili.

Pociąg z Jerozolimy do Hajfy jechał nieznośnie wolno, ale dzięki temu Demetrius miał sporo czasu na przemyślenia. Był bardzo zmęczony i przestraszony. To, czego się dzisiaj dowiedział, sprawiło, że nie miał już ani rodziny, ani ojczyzny. Jego oczy napęłniły się łzami gniewu, gdy pomyślał, że to George Antoun ponosi za to odpowiedzialność. Z powodu arabskiego ojca został pozbawiony wszystkiego, co normalne. George wychował go jak Araba, a potem odebrał mu szansę, by żył jak Arab, wyjawiając prawdę o jego pochodzeniu. Przedśmiertne

wyznanie George'a postawiło naprzeciw siebie dwóch nie dających się pogodzić wrogów. Araba i Żyda, walczących o duszę jego syna. Siedział jednak spokojnie, rozmyślając o swoim arabskim ojcu. Kiedy przypomniał sobie, jaki dobry i łagodny człowiek go wychował, szybko zapomniał o gniewie. Uświadomił sobie, że nie powinien obarczać winą ojca, lecz przemoc i szaleństwo, które ogarnęły cały kraj. Właśnie ten obłąd doprowadził do łańcucha fatalnych wydarzeń, które sprawiły, że przerażony

i oszalały z gniewu George przekroczył granicę. Zabierając dziecko innemu człowiekowi, popełnił straszliwą zbrodnię, która dręczyła go przez resztę życia. Ale jeśli cenił swoją wolność i dobro żony oraz ojca, nie było już dla niego odwrotu.

Demetrius uznał, że nie może winić Georga Antouna.

Wrócił myślami do Jordany i znów pogrążył się w rozpacz. Starał się zapanować nad emocjami, wiedział, że musi na zawsze zamknąć umysł i serce na uczucie, które dzielił z Jordaną. Teraz jednak każda myśl o ich przekreślonym przez los związku była nie do zniesienia. Nie mógł sobie pozwolić na marzenia o Jordanie, bo natychmiast ogarniał go lęk i straszliwy smutek.

Pałac jednego papierosa za drugim, spoglądał przez okno na malowniczy krajobraz skalistych wzgórz Jerozolimy i zielonych dolin za miastem.

Widział beduińskich pasterzy pasących swe trzody i porównywał ten widok z nowoczesnymi budynkami izraelskich miast. Zmiany, do jakich grupa zdeterminowanych europejskich Żydów doprowadziła na tej starożytnej ziemi, były ogromne.

Kiedy konduktor ogłosił, że pociąg wjeżdża na dworzec Gallim, główną stację kolejową Jaffy, oczy Demetriusa zaświeciły z podniecenia.

Wreszcie dotarł do ukochanego miasta swoich arabskich rodziców, George'a i Mary Antounów.

Pierwsze spojrzenie na Hajfę obudziło wspomnienie Bejrutu. Jej podobieństwo do libańskiej stolicy było nieprawdopodobne. Miasto rozsiadło się na lesistym stoku góry Carmel. Domy i budynki zaczynały się na szczycie góry i schodziły aż do Morza Śródziemnego. Z miejsca, w którym się znajdował, Demetrius widział, że plaża jest biała i piaszczysta. Gdy podał taksówkarzowi adres domu, w którym mieszkali

rodzice, mężczyzna poinformował go, że miasto jest zbudowane na trzech poziomach, a dzielnica, do której jada, nazywa się Hadar Hacarmel i jest położona w centrum. Jeśli nawet zdziwiło go, że pasażer chce wysiąść w niewielkim parku naprzeciwko podanego adresu, nie dał tego po sobie poznać.

Demetrius przez trzy godziny siedział w parku i patrzył na dom, który wciąż był częścią jego życia. Nie chcąc przstraszyć kobiet i dzieci siedzących w ogrodzie, czekał cierpliwie na powrót gospodarza.

Późnym popołudniem frontowe drzwi domu otworzył bez pukania Żyd w średnim wieku. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Demetrius podniósł walizkę i powoli przeszedł przez park, a potem przez ulicę, i stanął u drzwi domu. Rozejrzał się z gorączkowym oczekiwaniem. To, co zobaczył, wydało mu się tak znajome, że jego nastrój od razu się poprawił. Postawił walizkę na kamiennym podejściu, wziął klucz w rękę i zapukał lekko do drzwi.

Otworzył mu chłopiec w wieku około pięciu lat.

— Tata jest w domu? — spytał Demetrius z nerwowym uśmiechem.

Malec zakręcił się w miejscu, odwrócił i wbiegł do środka.

— Tato, jakiś pan do ciebie przyszedł! — zawołał, zostawiając otwarte drzwi.

Mimo że Demetriusa paliła ciekawość i bardzo chciał zajrzeć do wnętrza domu, stał spokojnie, oddychając głęboko.

Krótkim korytarzem nadszedł niski mężczyzna o zniszczonej twarzy.

Stanął w pewnej odległości i popatrzył na przybysza z chłodnym spokojem.

— Tak? — spytał. — Czego pan chce? Demetrius uśmiechnął się z nadzieją.

— Mieszkali tu kiedyś moi rodzice. Czy mógłbym wejść do środka? —

Na dowód tego, że jest tym, za kogo się podaje, wyciągnął klucz,

zawieszony na wytartej wstążce z czarnego aksamitu. — Oto klucz. A tu mam akt własności — dodał, wydając dokument z kieszeni koszuli.

Zaskoczony mężczyzna przyglądał się w milczeniu Demetriusowi. O co chodziło temu Arabowi? Czyżby myślał, że może odzyskać dom ojca?

Pragnąc zobaczyć gabinet, w którym pracował ojciec, i różany ogród uprawiany przez matkę, Demetrius próbował uspokoić obecnego właściciela domu.

— Nie mam żadnych niegodnych zamiarów. Moi rodzice zmarli niedawno — wykrztusił. — Chcę tylko zobaczyć dom, w którym mieszkali, i przejść się po ogródku, który uprawiała moja matka. Mężczyzna pobladł, ale zrobił lekki ruch głową, który Demetrius odczytał jako pozwolenie, więc mówił dalej:

— W tym domu mieszkali George i Mary Antounowie. Wyjechali z Hajfy, kiedy byłem małym dzieckiem. Wiele razy opowiadali mi o rodzinnym domu. — Zrobił krok. — Czy mogę wejść? Tylko na chwilę. Właściciel zrobił niepewny gest rękami. Przez moment rozważał możliwość wpuszczenia Araba do środka. Młody człowiek był schludnie ubrany i zachowywał się grzecznie. Nagle jednak przypomniał sobie, że nieznajomy może być terrorystą, i jego zachowanie się zmieniło. Rzucił się do drzwi, żeby zamknąć je, zanim Arab wejdzie.

— Odejdź, bo zawołam policję! — zagroził. Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Demetrius, zdeorientowany, stał z kluczem zwisającym z dłoni. Zastanawiał się, czy nie zapukać jeszcze raz, ale nagle usłyszał kilka podekscytowanych głosów. Jakaś kobieta wyjrzała przez okno i krzyknęła: „Jeszcze tu jest!”. Głosy były coraz bardziej niespokojne. Demetrius usłyszał, że kobieta dzwoni na policję i krzyczy do słuchawki: „Przyjeżdżajcie czym prędzej! Jakiś wysoki mężczyzna, Arab, próbuje włamać się do naszego domu!”.

Uświadomiwszy sobie, że jest tu tylko intruzem, Demetrius powiesił klucz na klamce, podniósł walizkę i odszedł.

Epilog

Wtorek, 10 czerwca 1983

Najdroższa Jordano!

Czy w kronikach ludzkości jest zapisany podobny dramat, jak porwanie żydowskiego dziecka i wychowanie go na Araba? Dziecka, które żyje pragnieniem pokonania swoich wrogów — Żydów — i w końcu odkrywa, że samo należy do narodu, którego najbardziej nienawidziło? Wydaje mi się, że nie...

Przepróż Annę za moje niezrozumiałe zniknięcie. Musiała pomyśleć, że Demetrius Antoun to wyjątkowo niewychowany gość. Skąd ta biedna kobieta mogła wiedzieć, że tragiczna historia tajemniczego zniknięcia Daniela Gale'a wznieciła w mojej duszy taki okropny zamęt?

Jordano, wiele razy pragnęłam podzielić się z Tobą moim straszliwym sekretem. Obracałam w głowie słowa, ćwiczyłam je. za każdym razem jednak niezliczone obawy łamały moją wolę. Czuję, że moja historia nie będzie wiarygodna i nie przysporzy mi nic oprócz. Twojej nienawiści, więc odkładałam ten bolesny temat. Wreszcie obiecałam sobie, że zwierzę Ci się z mojej przeklętej tajemnicy w Izraelu, po naszym ślubie, ale dzięki Bogu los interweniował i ocalił nas przed najtragiczniejszym z małżeństw.

Jordano, to najtrudniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek napisałam. Musisz usunąć nasze dziecko, i to szybko!

Chciałbym Cię opuścić z macicznymi słowami pociechy, ale tylko to przychodzi mi do głowy: oddałbym życie za jedną chwilę z Tobą gdybyśmy nie byli tym, kim jesteśmy.

A teraz żegnaj... żegnaj... ł nigdy nie zapomnij, że...

Odłożył długopis, nie mogąc dokończyć. Długo patrzył na dokładnie zaciągnięte slory zasłaniające wysokie okna balkonowe pokoju w hotelu American Colony w Jerozolimie Wschodniej. Słuchał przez chwilę, wstrzymując oddech. Do pokoju wdarł się słaby odgłos pracy silnika samochodu. Wyczuwa! obecność człowieka w pobliżu. Słuchał. Zaczął się zastanawiać, czy nie jest przewrażliwiony. Odkąd wprowadzi! się tu wczoraj wieczorem, spędzał czas na picciu kawy, paleniu papierosów i rozmyślaniu. Podniósł do połowy pustą filiżankę kawy, upił mały łyk. a potem postawił filiżankę na miedzianej tacy.

Pomyślał, że wyobraźnia płata mu figle. Zacisnąwszy zęby, położy! palce na powiekach. Jutro przekroczy most Allenby i pojedzie do Jordanii. Z Jordanii wyruszy do Libanu, a stamtąd do Tunisu, żeby odnaleźć Ahmeda Fayeza. Stary przyjaciel Ahmed nigdy go nie wyda, bez względu na to, że w jego żyłach płynie żydowska krew.

Odetchnął głęboko i oparł brodę na rękach; popatrzył na to, co napisał. Ciekawe, jak się wiedzie Jordanie. Pomyślał, że sobie poradzi. Ma rodzinę. Może wiadomość, że on, Demetrius, jest zaginionym synem Gale'ów, pomoże jej zbliżyć się z Michele. I może Michel inaczej będzie teraz patrzył na Arabów.

Podniósł kartki niedokończonego listu i przeczytał jeszcze raz. Gdy czytał, jego twarz wydłużyła się i zapadła.

Jego rozmyślania przerwał kolejny odgłos — tym razem było to łomotanie w drzwi. Ten hałas był jak najbardziej realny i nie miał nic wspólnego z wcześniejszymi wyimaginowanymi lękami. Demetrius powoli zsunął swoje potężne ciało z krzesła przy biurku. Podeszedł cicho do drzwi, ale stanął zaskoczony, widząc poruszającą się lekko klamkę. Po drugiej stronie Michel Gale przekręcał klucz skonfiskowany przestraszonemu recepcjoniście. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Miał na sobie wojskowy mundur.

— Michel! — zawołał zaskoczony Demetrius.

Michel nic nie powiedział, ale jego oczy płonęły. Zdołał odnaleźć brata! Jego koledzy z wojska dokładnie sprawdzili wszystkie hotele w Jerozolimie i dowiedzieli się, że potężnie zbudowany Arab mieszka w hotelu American Colony przy ulicy Nablus. Potem otoczyli cały budynek i postawili strażnika pod drzwiami pokoju Demetriusa, czekając na przyjazd Michela.

Przez krótką chwilę Demetrius zastanawiał się, czy Michel przyszedł, żeby go napaść, nagle jednak stało się coś nieoczekiwanego. Michel uśmiechnął się. Był to ciepły i łagodny uśmiech. A potem zacytował Biblię: „I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

Demetrius powoli przełknął ślinę. Znał dobrze ten werset, była to Ewangelia św. Jana 8;32. Ale czemu Żyd miałby cytować Nowy Testament?

Michel uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyjaśnił:

— Nasza przyjaciółka Anna, która jest chrześcijanką, kazała mi to powiedzieć.

Demetrius skinął głową, wciąż kompletnie dezorientowany.

— Ale wydaje mi się, że chcesz usłyszeć tylko jedno, Demetriusie.

— Co mianowicie? — wykrztusił Demetrius, odzyskując głos.

— Że Jordana została adoptowana. Nie jest twoją siostrą.

— Co powiedziałeś? Michel zaczął mówić szybko:

— Po twoim porwaniu coś się stało mamie. Może to była choroba fizyczna, a może kwestia psychiki, w każdym razie nie mogła już później zająć w ciążę. Miałem być jedynym dzieckiem. Wtedy Leah Jawor, bliska przyjaciółka rodziny, umarła przy porodzie. Nikt z jej rodziny nie został przy życiu, więc powierzyła dziecko nam. — Na myśl o siostrze Michel uśmiechnął się czule. — Nie była to żadna wielka przysługa! — Przerwał i roześmiał się. — Biologiczna matka Jordany była okropna, tak jak Jordana. Ale mniejsza z tym. Dzięki niej rodzina Gale'ów nie popada w pychę.

Twarz Demetriusa odmieniła się całkowicie. Jego usta drżały,

w oczach pojawiły się łzy. Chciał jeszcze raz, usłyszeć krzepiące słowa Michela.

— Więc Jordana nie jest moją siostrą? — spytał bez tchu. Uśmiech nie zniknął z twarzy Michela, kiedy patrzył na swojego odnalezionego brata.

— Nie, Demetriusie. Nie jest twoją siostrą. — Zawiesił głos, a potem znów się uśmiechnął. — Ale ja jestem twoim bratem.

Demetrius nie mógł wydobyć słowa.

Michel skoczył do Demetriusa i mocno go uściskał.

— A teraz zabieram cię do domu — szepnął.

Dwaj koledzy Michela zawiadomili Gale'ów, że Demetrius został odnaleziony i niebawem obaj synowie będą w domu. Christine przekonała Annę i Rachełę, że rodzina musi zostać sama, i namówiła je, żeby poczekały z rodzicami Christine w domu. Joseph, Estera i Jordana siedzieli sztywno na krzesłach w ogródku przed domem. Rodzice Demetriusa i Jordana czekali w milczeniu, spoglądając na drogę, a Rachel i Anna szeptały z podnieceniem, na zmianę wyglądając przez okno pokoju. Nie mogły uczestniczyć w zjednoczeniu rodziny, ale chciały je widzieć. Christine siedziała między rodzicami, którzy byli nieco przytłoczeni nabrzmiałą emocjami atmosferą domu.

Nagle dał się słyszeć odgłos nadjeżdżającego samochodu.

Estera pochyliła się z pełnym napięciem wyrazem twarzy.

— Czy to wojskowy pojazd? Joseph wstał.

— Tak.

Jordana zacisnęła dłonie. Jej serce biło tak mocno, że widziała, jak kołnierzyk bluzki porusza się w tym samym rytmie.

Dżip zahamował gwałtownie. Od strony kierowcy wysiadł Michel i obszedł samochód. Otworzył drzwi i wziął brata pod rękę. Stali obok siebie, spoglądając na rodziców i Jordane.

Jordana ruszyła w stronę mężczyzny, a potem zaczęła biec.

— Demetrius! — zawołała. Rzuciła mu się w ramiona i przytuliła twarz do jego ramienia, szepcząc: „Demetrius, Demetrius”.

Michel usunął się na bok.

Demetrius, za bardzo wzruszony, żeby mówić, ścisnął mocno Jordane. W domu Rachel i Anna szalały z radości. Rachel całowała nawet Annę.

— Bez ciebie nigdy nie znaleźlibyśmy naszego chłopca! — oświadczyła.

— To zasługa Dżihan, przysięgam! — odparła Anna. Podekscytowana Christine nie mogła się dłużej powstrzymać.

Złapała rodziców za ręce i zaprowadziła do okna. Rodzina Kleistów, mocno się obejmując, łkała ze wzruszenia.

Joseph i Estera nie wytrzymali ani sekundy dłużej. Podbiegli do Demetriusa. Gładząc go po twarzy, Estera zobaczyła w niej oczy męża. Drżącym głosem powiedziała:

— Josephie, nasz syn ma twoje piękne szare oczy... Patrząc na gładką oliwkową skórę i łagodną twarz Demetriusa, Joseph poczuł, że wracają minione lata.

— Myślę, że nasz syn jest bardziej podobny do twojej rodziny, kochanie — rzekł.

Z oczu Michela popłynęły łzy. Podszedł, objął brata, siostrę i rodziców i połączył ich w mały, nierozzerwalny krąg.

Joseph spojrzął w niebo i wyrecytował:

— Bądź błogosławion, Panie nasz, Boże, który rządysz wszechświatem, jesteś dobrem i czynisz dobro.

Niczym wspaniałe marzenie, rodzina Gale'ów z Izraela stała spleciona w uścisku — jak symbol tego, czym były niegdyś rodziny Gale'ów z Francji i Steinów z Polski.